

DZIEDZICTWO MOCY VIII

OBJAWIENIE

Karen Traviss

Przeład Hikiert Anna, Syrzycki Andrzej

PROLOG

Placówka Jedi, Endor, dwanaście tygodni po śmierci Mary Jade Skywalker

Mój brat zginął podczas wojny z Yuuzhan Vongami.

Nie, nie Anakin... Jacen.

Uświadomiłam to sobie dopiero po wielu latach, chociaż powinnam była to widzieć od samego początku. Jacen, mój ukochany brat bliźniak, nie wrócił z tej wojny do domu. Tylko wyglądało, jakby wrócił.

Moim zdaniem dusza Jacena przypadła w Objęciach Bólu, gdzie mój brat zginął z rąk Vergere i Yuuzhan Vongów. Do domu wróciła inna osoba, ktoś zupełnie obcy.

To jedyne wyjaśnienie tego, kim się stał.

I właśnie dlatego zamierzam zdecydować się na coś całkowicie niewyobraźalnego, bo to ostatnie, co nam pozostało do zrobienia. Tylko w taki sposób mogę powstrzymać Jacena i jego wojnę przed pochłonięciem całej galaktyki. Zdecydowałam się na ten krok, kiedy zobaczyłam mandaloriańskie miażdżyrękawice. Jag udowodnił, że są bardzo skuteczne. To paskudna broń. Mandaloriańskie żelazo - *beskar* - jest niemal całkowicie odporne na ciosy klingi świetlnego miecza.

Kiedy tata otworzył paczkę, trochę się spodziewałam, że coś ze środka wybuchnie mu prosto w twarz. Odkąd to Boba Fett przesyła podarunki mojemu ojcu?

Prawdę mówiąc, zrobił to, kiedy jego córka zginęła, torturowana przez mojego brata podczas przesłuchania. Od tamtej pory czekaliśmy, kiedy Fett zapragnie się zemścić, ale dotąd się na to nie /decydował. Dopiero w tej chwili... miażdżyrękawice i płytka pancerza, a wszystko to z mandaloriańskiego żelaza.

Przygotowuję się więc do wyprawy, chociaż nie przypuszczałam, że kiedykolwiek na nią wyruszę. Muszę oddać Jagowi sprawiedliwość - ani razu nie powiedział: „A nie mówiłem?” To właśnie on stwierdził, że powinnam uczyć się od kogoś, kto ma dużą wprawę i osiągnięcia w tropieniu i chwytaniu Jedi.

A zatem tylko ja mogę powstrzymać Jacena. Mam tyle samo lat co on, a poza tym jestem Mieczem Jedi. Nie mam tylko jego... umiejętności. Nie wiem, czego mój brat nauczył się od Lumiya, ani tym bardziej, co poznał w okresie pięciu lat swoich podróży. Wcześniej czy później popełni jednak bład. Jest zanadto dumny, żeby nie

mieć o sobie zbyt wysokiego mniemania.

Mam nadzieję, że popełni ten błąd raczej wcześniej. Gdyby tylko to, że jest Sithem, czyniło go niezwyciężonym, do tej pory podbiłby całą galaktykę.

Mam szansę, a pomoc Fetta pozwoli mi ją jak najlepiej wykorzystać.

Znalezienie go nie powinno być bardzo trudne. Fett jest łowcą nagród, więc wynajmę go jak każda inna klientka, tyle że nie będę pierwszą lepszą klientką. Jestem córką Hana Solo i Jedi, a Fett polował na nas całe życie.

A teraz zamierzam go poprosić, żeby mnie wyszkolił, abym mogła wyruszyć na polowanie i schwytać mojego brata.

Podaję nadzieję, że Fett roześmieje mi się w twarz - jeżeli w ogóle kiedykolwiek się śmieje - i powie, że bym nie zawracała mu głowy. Ja jednak muszę go poprosić. Muszę schować dumę do kieszeni, poniżyć się, a jeśli będzie trzeba - błagać. Tata chyba darzy go szacunkiem, ale ja nadal uważam Fetta za łajdaka.

Jeżeli jednak Fett się zgodzi... no cóż, przysięgam, że będę najlepszą uczennicą, jaką kiedykolwiek szkolił. No, dalej, Fett, pokaż mi, jak to się robi.

ROZDZIAŁ 1

Kiedy narodowi zagraża największe niebezpieczeństwo, rytm wybijany na prastarym bębnie wezwie z wiekiustego snu

słynnego wojownika-żeglarza Darakaera. Przed odejściem obiecał, że na dźwięk bębna pospieszy nam na pomoc; wezwiemy go, kiedy wyruszymy na wyprawę, żeby stawić czoło naszemu wrogowi.

Ludowa legenda Irmenu

Placówka Jedi, Endor, dwanaście tygodni po śmierci Mary Jade Skywalker

Benowi Skywalkerowi wydawało się, że wystarczy włączyć kciukiem klingę świetlnego miecza - nie obchodziło go, czy będzie akurat żądny zemsty, czy też pełen cichego smutku - i odciąć głowę Jacena Solo od reszty ciała.

Siedział tak, włączając i wyłączając energetyczną klingę i obserwując, jak kolumna błękitnej energii raz po raz z trzaskiem budzi się do życia i znika. Wspominał swoją matkę, której nie mógł przywrócić do życia za naciśnięciem guzika, chociaż oddałby wszystko za jedną jedyną szansę powiedzenia jej, jak bardzo ją kocha.

Nie potrafił jednak usunąć z głowy obrazu Jacena Solo, chociaż bardzo mu na tym zależało. Tyle osób ostatnio mówiło, że Jacen stał się kimś obcym, ale obcych osób nigdy się nie kochało ani nie szanowało, więc ich brutalne, bezmyślne okrucieństwo było tylko bezosobową informacją z programów informacyjnych Ho- loNetu. Rodzina jednak... rodzina potrafiła zadać ból jak nikt inny i nic musiała nawet stosować tortur jak Jacen, żeby pozostawić blizny.

Ivarz Jacena, którą Ben miał pamiętać aż do śmierci, była tą samą Iwarzą, którą widział na K. awanie, kiedy siedział obok ciała swojej mamy. To on obiecał Benowi, że obaj schwytają zabójcę Mary, kimkolwiek jest. I właśnie dlatego jego twarz nie chciała zniknąć. Było w niej jednak coś dziwnego - czegoś w niej brakowało, a może było coś, czego być nie powinno. Ben usiłował ułożyć to sobie w pamięci, zerkając co kilka minut na wyświetlacz chronometru. Był przekonany, że czeka na ciotkę Leię od wielu godzin.

Miałem okazję go zabić, przypomniał sobie, ale ojciec mnie powstrzymał. Może... może udałoby mi się zabić Jacena bez przechodzenia na Ciemną Stronę? Czy kiedykolwiek będę miał następną okazję?

Jedi w przeszłości zabijali Sithów. Powiadano, że Kenobi zabił Sitha na Naboo, ale nikt wtedy nie uważał, że to natychmiastowa przepustka na Ciemną Stronę. W końcu ktoś musiał wykonywać brudną robotę. Benowi już się

wydawało, że nieodparta potrzeba zabicia Jacena jakoś mu przeszła, ale tak nie było, podobnie jak nie minął jego smutek. Po prostu nasilał się i słał na przemian. Czasami był trudniejszy do zniesienia, kiedy indziej łatwiejszy. Ben uważał, że jego smutek nigdy nie minie zupełnie. Któregoś dnia może nauczy się żyć z tą stratą ale galaktyka tak bardzo się zmieniła, że już nigdy nie wróci do normalnego stanu. Ben żył w jakimś alternatywnym wszechświecie - na tyle znajomym, żeby móc się po nim poruszać, ale zarazem dziwnie obcym, pozbawionym swoich najważniejszych cech.

A teraz zamierzał zwierzyć się Leii, bo jeszcze nie był gotów, żeby o wszystkim opowiedzieć ojcu. Luke Skywalker wydawał się radzić sobie z dręczącym go bólem, ale Ben wiedział, że tak nie jest, więc gdyby mu powiedział, co naprawdę wie... Tata na pewno zabiłby Jacena, & potem by się załamał. Ben musiał sam za wszystko odpowiadać.

Ale jeśli się mylę... sprawię ojcu jeszcze większy ból, pomyślał.

Nic mu się nie zgadzało.

Nie sądzę, żeby to Alema Rar zabiła mamę, zastanawiał się, nawet jeśli posłużyła się Sithami. Po prostu w to nie wierzę.

Skąd Jacen wiedział, gdzie mnie szukać na Kavanie?

Skąd wiedział, że będę przy ciele mojej mamy?

Ben już wtedy doszedł do wniosku, że to dziwne. Chociaż przeżył paraliżujący wstrząs na widok jej ciała, zachował jednak tyle przytomności umysłu, żeby zarejestrować na miejscu zbrodni najdrobniejsze szczegóły, jak uczył go kapitan Shevu. Jacen już kiedyś wpływał na jego umysł, a Ben nie zamierzał mu pozwolić, żeby ponownie zmienił historię.

To była instynktowna reakcja, uznał. Kiedy znalazłem mamę martwą... coś powiedziało mi, że to ważne. Nadal w to wierzę.

Jedi by powiedzieli, że to wpływ Mocy, ale policjanci pokroju kapitana Shevu raczej by stwierdzili, że to wynik szkolenia, które Ben przeszedł, zanim stał się funkcjonariuszem ekipy dochodzeniowej. Tak czy owak, miał dziś więcej pytań niż odpowiedzi, chociaż codziennie był bardziej pewny, że prawdziwym zabójcą matki jest Jacen, jego kuzyn, członek jego rodziny.

Uzbroił się w cierpliwość i czekał.

W końcu usłyszał w korytarzu kroki dwóch osób. W pierwszej chwili pomyślał ze zgrozą że może to Luke postanowił się przyłączyć do Leii, kiedy jednak drzwi się otworzyły, zobaczył Leię w towarzystwie Jaina.

- Ben? - Leia zawsze mówiła spokojnym tonem, jakby wszystko miała pod kontrolą nawet jeżeli tak nie było. - Co się stało?

- Mam ci coś ważnego do powiedzenia - zaczął Ben. - Pewnie mi za to nie podziękujesz, ale nie mogę dłużej milczeć.

Zamierzał oskarżyć Jacena wyłącznie przed Leią; wahał się, czy powinien to wyznać także Jainie, jednak doszedł do wniosku, że ona także powinna to usłyszeć.

- Wiesz, że możesz mi mówić o wszystkim - odparła Leia. - Czy Jaina ma zostawić nas samych?

- Nie, nie - uspokoił ją Ben. - Chyba że poleci i powie o wszystkim tacie. Tata uważa, że przestałem obwiniać Jacena o śmierć mamy, a ja nie chcę, żeby zaczął się martwić na nowo.

Jaina usiadła obok niego i pochyliła się do przodu, jakby była gotowa go objąć, gdyby Ben się rozplakał.

- W porządku - powiedziała. - Nie pisnę ani słowa, a mama jest dyplomatką. Czego takiego strasznego nie należy mówić wujkowi Luke'owi?

Przejdź do rzeczy, nakazał sobie Ben. Im dłużej to w sobie tłumisz, tym będzie ci trudniej. Postarał się mówić rozsądnie i spokojnie.

- Nie wierzę, że moją mamę zabiła Alema Rar - zaczął. Jego słowa zawisły w powietrzu, niemal dostrzegalnie. - Nadal uważam, że to sprawka Jacena.

Leia, z rękami zaplecionymi na piersiach, nie zareagowała. Jaina poprawiła się na sofie. Dziwne, ale obie sprawiały wrażenie zakłopotanych. Ben czekał w dręczącej ciszy.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytała w końcu Leia.

- Nie polegam tylko na uczuciach, chociaż rzeczywiście tak czuję - wyjaśnił Ben. - Kieruję się przesłankami, które do siebie nie pasują. Wiecie, czego szuka policja? Nauczył mnie tego kapitan Shevu. Motywu, środków, okazji. A dla Jacena rodzina niewiele znaczy. Spójrzcie tylko, co zrobił wam i Luke'owi. - Ben pamiętał, jak niespodziewanie Jaina zrezygnowała ze służby w siłach zbrojnych Galaktycznego Sojuszu. - A ty, Jaino? - podjął po chwili. - Przypomnij sobie, co usiłował zrobić tobie.

- Wiem, że Jacen robił straszne rzeczy, ale prześledźmy to krok po kroku, dobrze? - zaproponowała Leia. - Oskarżałeś go już przedtem, ale ostatnio nikt z nas nie myślał jasno. Dlaczego to ci nadal nie daje spokoju?

- Bo nie rozumiem, jakim cudem Jacen odnalazł mnie na Kava- nie - odparł Ben.

- Potrafi wykrywać ludzi w Mocy, Benie.

- Ale ja się wtedy ukrywałem. Zamknąłem się w sobie. Jacen nie jest jedynym Jedi, który to potrafi... sam mnie tego nauczył, a ja nauczyłem mamę. Nawet pokazałem tacie, jak to robić, więc on wam powie, że kiedy ktoś się tak kryje, nawet zdumiewająco supersprytny Mistrz Jacen nie powinien mnie odnaleźć. Tymczasem on przyszedł prosto do mnie w tunelu na opuszczonej planecie w zapomnianym kącie galaktyki. To nie jest zwykłe szczęście, a on nie dokonał tego dzięki Mocy. Po prostu wiedział, gdzie mnie szukać. Pozostaje jeszcze sprawa tej medytacyjnej kuli, którą dysponowała Lumiya.

Ben zachowywał to dotąd w tajemnicy, ale im dłużej się tak postępuje, tym trudniej z tym żyć. Szkoda, że nie sprzeciwił się Jace- no w i i nie opowiedział o wszystkim ojcu. Gdyby to zrobił... może mama by nadal żyła.

Ben miał się tego nigdy nie dowiedzieć.

O co chodzi z tą kulą? - zainteresowała się Jaina.

- Znalazłem ją na Zioście - wyjaśnił Ben. - Przekazałem ją Jacenowi, kiedy wylądowałem w ładowni „Anakina Solo”, tymczasem kiedy następnym razem ją zobaczyłem, kierowała nią Lumiya.

Leia gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Lumiya zawsze potrafiła brać to, co chce - stwierdziła.

- Załoga „Anakina Solo” może i nie potrafiła powstrzymać wszystkich intruzów, ciociu Leio, ale nie wyobrażam sobie, żeby Lumiya po prostu zajrzała do ładowni i porwała tę sferę bez niczyjej wiedzy - odparł Ben.

- W porządku, uznajemy tę sprawę za niewyjaśnioną - zgodziła się Leia. - Ale co z motywem?

Jaina wstrzymała oddech. Leia zerknęła z namysłem w bok, zastanawiając się nad dowodami. Na razie niewiele ich było.

- A może, jak każda dobra Jedi, Mara po prostu mu zawadzała? - zapytała z przekąsem Jaina.

- Posłuchajmy lepiej, co Ben o tym sądzi - sprzeciwiła się Leia.

Ben przekazał im swoją teorię.

- Powiedziałem mamie o wszystkim, co kazał mi robić Jacen, i stwierdziłem, że to ją okropnie zdenerwowało. Jestem pewny, że mama go wymyślała.

- W porządku, to może być motyw - przyznała Leia. - Spójrzmy teraz na środki.

- Mamę mógłby pokonać tylko wyjątkowo dobrze wyszkolony Jedi - stwierdził Ben. - Sami wiecie, jakie

sztuczki Jacen potrafi wyprawiać.

- Ale trucizna? Wszyscy wiedzą, że to była ulubiona broń Alemy.

- To oczywiste, nie?- W ten sposób można było skierować podejrzenia na nią.

- Kochanie, Alema miała sferę - przypomniała Leia. - A więc skumała się z Lumią. Wiemy o tym. Kapitan Shevu z pewnością potwierdzi, że jeśli ktoś stosuje jedną metodę zabijania, to się jej trzyma. Alema przez cały ostatni rok zabijała Jedi, ilu się tylko dało.

Ben podążył tym tropem.

- W porządku, Alema była pomyłona, ale nie miała motywu, żeby zabić mamę - zaczął. - Zawsze chodziło jej o ciebie, ciociu, i o wujka Hana. - Pokręcił głową. - Nie przekonuje mnie takie rozumowanie. Gdyby to Alema zrobiła, pochwaliliby się przed Ja- giem. Chciałaby, abyśmy wszyscy wiedzieli, że wykorzystała okazję, żeby zadać nam ból... a głównie tobie, Jajno. A poza tym...

sprawa okazji. To prawda, przebywała w tamtej okolicy, ale Jacen także znajdował się w systemie hapańskim mniej więcej w czasie, kiedy to się wydarzyło.

Leia najwyraźniej traktowała poważnie jego słowa. Nie podnosiła oczu do góry, nie twierdziła, że Ben jest śmieszny, ani nawet nie usiłowała bronić Jacena. Z drugiej strony nie było w tym nic dziwnego, ze względu na to, co Jacen zrobił własnej matce.

- Fakt, to go wcale nie oczyszcza - odezwała się w końcu. - Ale też nie wystarczy, żeby wnieść oskarżenie, prawda? Jacen mógł być wtedy w systemie hapańskim, bo zamierzał porwać Allanę.

To by była rzeczywiście dobra wymówka: Jacen nie mógł popełnić morderstwa, bo był zbyt zajęty planowaniem porwania, Wysoki Sądzie.

Kiedy Ben przemówił, w jego głosie brzmiała pewność.

- Ciociu Leio, jak myślisz, dlaczego mama pozostawała tak długo w postaci cielesnej? - zapytał. - Dlaczego jej ciało zniknęło, dopiero kiedy Jacen pojawił się podczas pogrzebu? Czy nie uważasz, że w ten sposób Moc usiłuje nam coś powiedzieć? Nie mogę przestać się nad tym zastanawiać. Nie ośmieliłem się powiedzieć tego tacie, ale ta świadomość doprowadza mnie do szału.

Leia podeszła do Bena, kucnęła przed nim i położyła mu dłonie na kolanach.

- Powiedziałeś, że zarejestrowałeś wszystko, co mogłeś, na miejscu zabójstwa - przypomniała.

- Jasne... inaczej ktoś mógłby później wymazać mi to z pamięci albo wmówić, że tylko mi się wydawało - przyznał Ben.

- Znalazłeś coś na tych nagraniach?

Ben się nie poddawał. Był przecież pewny, co dzień bardziej pewny.

- Jeszcze nie - przyznał.

- Rozumiem - powiedziała Leia.

- Dowiem się, co tam się wydarzyło, ciociu Leio - zapewnił chłopiec. Muszę to zrobić w zgodzie z przepisami, żeby uzyskać całkowitą pewność. W przeciwnym razie nie będę mógł z tym dalej żyć.

- A co zrobisz, jeżeli znajdziesz dowody, z których będzie wynikać, że to nie Jacen? - zagadnęła Leia. - Czy pogodzisz się z niepodważalnymi faktami?

Ben był zdecydowany zachować się rozsądnie. Nie zamierzał polegać tylko na intuicji czy na zmysłach Mocy.

- Nie chciałbym oskarżyć niewłaściwej osoby - powiedział. - Wiecie, co czuję do Jacena i co on mi zrobił, nie chcę jednak zrzucić winy na niego, jeżeli prawdziwemu zabójcy czy zabójczym miałyby to ująć płazem. A jeżeli rzeczywiście dokonała tego Ale- ma... no cóż, właściwie na jedno wychodzi.

Jaina długo patrzyła mu w oczy, a w końcu uśmiechnęła się niewesoło. Klęcząca przed Benem Leia miała smutną twarz. Ben czuł się źle, widząc, że godzą się ze wszystkim, co powiedział. Czyżby chciały tylko sprawić mu przyjemność? Cóż, przedstawił im swój problem, a teraz zamierzał zebrać dowody. Musiał uzyskać odpowiedź na swoje pytania, żeby dalej żyć.

Zamierzał wrócić do normalnego życia. Kiedy Jori Lekauf zginął, żeby go ocalić, a Ben zmagął się z wyrzutami sumienia, Mara mu wytłumaczyła, że najlepszym sposobem uczczenia tego czynu będzie godne życie. Nie wolno mu marnować daru, za który Jori zapłacił tak wysoką cenę.

Ben zamierzał więc nadal żyć - dla swojej matki.

Bastion, Szczałki Imperium, rezydencja admirała Pellaeona

Gilad Pellaeon, dziewięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, nie zamierzał poddawać się starości. Grał właśnie w pierścienie na trawniku, kiedy jego doradca wszedł do otoczonego murem ogrodu i ruszył szybko w stronę admirała.

Pellaeon nie odrywał spojrzenia od celu - krótkiego palika w kształcie pąka kwiatu cezithańskiej lili wodnej, jednego z kilkunastu wbitych w dno ozdobnej sadzawki - ale kątem oka zarejestrował, że doradca się bardzo spieszy.

- Tak, Vitorze? - zagadnął, trzymając pierścień między kciukiem a wskazującym palcem i oceniając jego ciężar.
- Czyżbyś chciał mi zameldować, że szef kuchni zdobył flaki Jacena Solo i przyrządził je na obiad?

- Niezupełnie, panie admirale - usłyszał w odpowiedzi.

- Życie jest pełne rozczarowań.

- Przyleciał attache wojskowy Galaktycznego Sojuszu i chce się z panem widzieć. - Podczas wojny z Yuuzhan Vongami Vitor Reige ocalił Pellaeonowi życie, a teraz bronił go przed różnymi irytującymi natrętami. Ostatnio traktował w ten sposób każdego wysłannika Galaktycznego Sojuszu. - Czy mam go odprawić?

- Przypomnij mi, że powinien być umówić się na audiencję, jeżeli chciał się ze mną spotkać. Brzydko jest wpadać bez zapowiedzi jak jakiś domokrążca.

- Myślę, że się tego spodziewał - odparł Vitor. - Wręczył mi tę notę.

Pellaeon odwrócił głowę i zobaczył w ręku doradcy starannie złożony arkusik jasnoniebieskiego flimsiplastu, zapisany odręcznym pismem. To pewnie jakaś wiadomość od tego pyszałkowatego mięczaka, Jacena Solo, albo od jednego z jego lizusów. Może to zaproszenie to wymyślne sztuczki jego speców od wizerunku, konieczne, żeby jego junta zaczęła się cieszyć większym szacunkiem. Pellaeon znów skupił spojrzenie na pąku lili i wprawnym ruchem rzucił pierścień do celu. Opał dokładnie tam, gdzie powinien, i spoczął na podstawie szpikulca.

- Otwórz to, proszę - powiedział admirał, biorąc do ręki następny pierścień. - Jeżeli jednak dojdiesz do wniosku, że zawartość tego pisma może mi podwyższyć ciśnienie, od razu wrzuć je do kosza. Tak czy owak... sprawa może poczekać, dopóki nie skończę gry.

Gra w pierścienie ćwiczyła cierpliwość i koncentrację, a przy okazji zastępowała lekkie ćwiczenia fizyczne. Cel umieszczano się w wodzie, żeby błędny rzut zmuszał do brodenia w stawie i wylawiania pierścienia. Niektórzy twierdzili, że kiedyś w takiej sadzawce pływały drapieżne ryby, a sama gra wywodzi się od technik polowania, ale Pellaeon miał w życiu dość drapieżników, żeby ryzykować spotkanie z następnymi. Wystarczyły mu mokre rękawy koszuli, kiedy nie trafił do celu.

- I co? - zapytał, skupiając uwagę na trudnym paliku, z prawej strony w ostatnim rzędzie. Rzut wymagał odpowiedniego wygięcia nadgarstka, żeby lecący pierścień ominął środkowy rząd. - Czy według ciebie wiadomość przyprawi mnie o udar, czy tylko zapluje się z wściekłości?

- Naprawdę uważam, że powinien pan przeczytać tę wiadomość, panie admirale - ocenił doradca. - Myślę, że może pana rozbawić. - Z uśmiechem wyciągnął przed siebie rozwinięty arkusik flimsiplastu, a Pellaeon go przyjął. - Mam nadzieję, że przynajmniej się pan uśmiechnie.

To nie było pismo odręczne, tylko stylizowany druk. Mimo wszystko okazało się, że to zaproszenie, ale nie takie, jakiego admirał się spodziewał.

Przywódcy Galaktycznego Sojuszu mają zaszczyt zaprosić na spotkanie w celu omówienia szczegółów traktatu o wzajemnej pomocy z Imperialnymi Szczątkami, a także uzupełnienia stanu liczebnego floty Galaktycznego Sojuszu w zamian za znaczne korzyści materialne.

Na podpisie Jacena widniała zielona, oficjalna pieczęć. Dokument nie zawierał podpisu admirał Niathal, więc pewnie Kalama-rianka miała dość zdrowego rozsądku, żeby nie popierać tego małego despoty, a może w ogóle nic jej z tym wszystkim nie łączyło. Niathal miała zawsze własne motywacje, no i na pewno nie uznawała Jacena za wartościowego współpracownika.

Co za gnojek, pomyślał Pellaeon, który wolał podać się do dymisji niż z nim współpracować. Kiedy to się zaczęło, nie było w tym nic osobistego. Pellaeon po prostu sprzeciwiał się utworzeniu niezależnej tajnej policji, oddanej później pod dowództwo kogoś, kto nigdy w życiu nie nosił munduru. Jego niechęć przerodziła się wkrótce w zajadłą nienawiść, podsycaną przez oglądanie holowia-domości i wysłuchiwanie raportów wywiadu wojskowego.

Przeszedłem w stan spoczynku, pomyślał admirał, bo zostałem do tego zmuszony. I nigdy mu tego nie zapomnę.

- O nie, Jacenie... nie pozwolę ci bawić się moimi okrętami - parsknął. - Nie dam ci także ich kupić. - Zmiał arkusik flimsiplastu, aż usłyszał cichy trzask pękającej pieczęci, i rzucił kulę Worowi. - Jaki jest sens, żeby Imperium dowodził ktoś, kto nie ma wpływu na nasze interesy?

- Czy mam zwrócić notę wysłannikowi w takim stanie, panie admirale? - zapytał doradca. Przechylił lekko głowę, jakby się nad tym zastanawiał. - Myślę, że to całkiem wymowna odpowiedź.

- Jasne, taki gest jest wart tysiąca słów, choć wystarczyłyby dwa - odparł Pellaeon.

Reige ruszył z powrotem wysadzana żywoplotem alejką, żeby wręczyć odmowę attache Galaktycznego Sojuszu. Był porządnym facetem, lojalnym jak syn. Pellaeon nawet podejrzewał, że Reige jest jego synem - co było bardzo prawdopodobne - ale nie szukał potwierdzenia. Nie chciał przeżyć rozczarowania, no i strasznie tęsknił za

Mynarem. To okropne, że nie zdążył uznać Mynara za swojego syna. Pellaeon czuł gorzki zawód po jego śmierci. Na wszelki wypadek dołożył starań, żeby Reige'owi w przyszłości na niczym nie zbywało.

Admirał wiedział jednak, że jeżeli ktoś nie pokrzyżuje planów Mistrza Solo, przyszłość Reige'a i wszystkich innych będzie ponura. Nie było prawdą, że Galaktyczny Sojusz nie wywiera żadnego wpływu na Imperium. Niektórych rzeczy nie dawało się uniknąć ani ignorować, bez względu na to, jak daleko się działały.

Głupio zrobiłem, że nie przeszedłem na emeryturę wcześniej, pomyślał Pellaeon, ale jeszcze nie umarłem. Nadal mam wolę walki i niech mnie powiesz, jeżeli ulegnę kaprysom cywilów, którzy się bawią w żołnierzy. Wielka szkoda, że ciotka Solo nie żyje... na pewno niebawem straciłaby do niego cierpliwość i sprawiłaby mu tęgie lanie.

Pellaeon rzucił pozostałe pierścienie, naśladując mieszkańców Naboi. Wyobrażał sobie, że w wodzie pływają ławice mięsożernych ryb, zwanych blembie, a Jacen Solo musi wyławiać niecelnie rzucone pierścienie.

Tak, admirał stanowczo jeszcze nie był martwy

Apartament przywódcy Galaktycznego Sojuszu w gmachu Senatu, Coruscant, dwa dni po powrocie „Anakina Solo”

Darth Caedus wpatrywał się w zmiętą kawałek flimsiplastu na tacy. Co takiego Pellaeon myśli o nim i o jego propozycji? Nie miało to większego znaczenia, ale Caedus był ciekaw.

- Może nie wyraziłem się wystarczająco jasno - powiedział. - Co o tym sądzisz, Tahiri?

Młoda Jedi spojrzała na zmiętą kulę i wrzuciła ramionami. Caedus zastanowił się, czy Tahiri może wyczuć jakieś promieniowanie od pogniecionego arkusika, które byłoby wskazówką co do stanu umysłu Pellaeona.

- Myślę, że zwróciłeś się z tym do niewłaściwej osoby - odparła Tahiri. - Potrzebne ci jest poparcie moffów, a

nie Pellaeona. On jest ostatnią osobą, która chciałaby ci pomóc.

Caedus pomyślał, że zależy mu bardziej na asekuracji niż na pomocy; na razie nie odczuwał żadnego zagrożenia. Konfederacja może i dorównywała mu pod względem liczebności, ale nie zawsze oznacza to rzeczywistą siłę. Tak czy owak, wolałby doprowadzić wojnę do szybkiego końca, zamiast utrzymywać status quo, ale do tego potrzebował więcej wojska. Szczątki Imperium miały nie tylko statki i siłę ognia, ale - co ważniejsze - także doktrynę i liczący się personel. Ich wsparcie bardzo się liczyło podczas tej wojny. Te siły to głównie dziedzictwo jego dziadka. Doborowe oddziały Szczątków podobno dorównywały Pięćset Jedyńce Vadera, a Caedus bardzo potrzebował takich wojsk podczas bitew.

Jedyną przeszkodą był Pellaeon, zbyt stary, żeby odpowiednio reagować na zmiany. Kiedyś był wielkim wodzem, a teraz, chociaż przeszedł w stan spoczynku - z własnej woli czy też nie - nadal blokował gwiazdne szlaki. Naturalnie admirałowie nigdy nie przechodzili na emeryturę. Zawsze można było ich wezwać z powrotem do czynnej służby, więc może Pellaeon tylko czekał na właściwą chwilę.

- Tahiri, jeżeli zależy mi na poparciu moffów, muszę dostać poparcie Pellaeona - odezwał się Caedus. - Chodzi o coś więcej, nie tylko o niego jako o przywódcę Bastiona. Kiedy będę musiał, pominę figurantów, ale ten staruszek wciąż jeszcze odgrywa dużą rolę i ma ogromny wpływ na moffów. Moffowie zgodzą się na przyłączenie swoich sił zbrojnych do Galaktycznego Sojuszu za odpowiednie korzyści, ale tylko wtedy, jeżeli będą na to mieli zgodę Pellaeona.

- A jeżeli on się sprzeciwi? - zagadnęła Tahiri. - Nie rozumiem, dlaczego miałby ci zaufać.

- Cóż, nie jestem jego ulubieńcem, a prawdopodobnie na swój wyniosły sposób uważa Niathal za zdrajczynię - odparł Caedus. - W tym przypadku jest to jednak nie tyle odmowa, co po prostu gest. Przypuszczam, że Pellaeon czeka na zachętę.

Zauważył, że Tahiri się zastanawia.

- A według ciebie, jaka powinna być właściwa zachęta dla moffa, który ma wszystko? - zapytała w końcu młoda Jedi.

- Po prostu więcej tego, co ma, Tahiri - wyjaśnił Caedus. - Wszyscy lubią mieć więcej tego, co już mają.

- A dokładnie czego więcej?

- Terytorium. .

- Musi im być trudno znaleźć wolne miejsca do parkowania tych wszystkich niszczycieli gwiazdnych, Jacenie, prawda?

Caedus musiał przyznać, że Tahiri bywa często zabawniejsza niż Ben... mimo że nie lubił, kiedy nazywano go Jaceniem.

- Prawdę mówiąc, miałem na myśli Bilbringi albo Borleias - powiedział. - Może nawet obie te planety, jeżeli będę musiał.

Gwiazdne stocznie i banki. Moim zdaniem moffom to się spodoba... jeżeli uda mi się przemówić Pellaeonowi do rozsądku.

Tahiri nie zainteresowała się, czy obywateli wymienionych planet ktoś pytał o zdanie ani jak im się podoba, że oto są kartami przetargowymi. Caedus nie dociekał, czy młoda kobieta po prostu myśli w kategoriach politycznych, czy też uważa, że on narzuci mieszkańcom tych planet swoją wolę nawet bez ich zgody.

- Pellaeon jest pragmatykiem - stwierdziła dziewczyna. - Dla swojego małego imperium chce tylko tego, co najlepsze.

- Ale jeszcze wyżej ceni honor. - Caedus uśmiechnął się i popatrzył na stos komputerowych notesów. Wciąż było w nich kilka rzeczy, które nie dawały mu spokoju. - Przypuszczalnie jednak musi mieć czas, żeby się nad tym zastanowić. Może przydałaby się także wizyta kogoś przekonującego... najlepiej w zgrabnym kostiumie i w eleganckich butach, co, Tahiri?

Młoda Jedi posłała mu piorunujące spojrzenie.

- Chcesz, żebym się z nim zobaczyła? - zapytała.
- Mam nadzieję, że spieszysz się lepiej niż ostatnio - odparł Caedus.
- Zrobiłam, co mogłam, Jacenie - oburzyła się Tahiri.
- A mimo to nie potrafisz znaleźć bazy Jedi.
- Wszystko wskazuje, że ty też nie...
- Udowodnij mi, że potrafisz wykonać zadanie. Porozmawiaj z Pellaeonem.
- Ostatnio nie chciał się zobaczyć z attache wojskowym - przypomniała młoda Jedi. - Dlaczego uważasz, że tym razem zechce mnie przyjąć na audiencji?

- Pellaeon jest dżentelmenem, Tahiri. Zgodzi się, na pewno. Nie tylko dlatego, że jesteś taka urocza, ale również dlatego, że ktoś musi wytłumaczyć Moffowi sens zaproponowanej umowy. Moffowie będą pytać jego, więc musi wiedzieć, co mówić. - Caedus już wszystko przygotował. Przesłanie propozycji nieformalnymi kanałami nie kosztowało go wiele trudu i nie zajęło mu dużo czasu, ale Pellaeon musiał wyczuć, że to jego pomysł. Admirała nie da się do niczego zmusić. W żyłach tego starego uparciucha płynęła koreliańska krew. - Widzisz, Imperialcom potrzebne jest Imperium. Zrobią wszystko, żeby je zdobyć. Jak mogliby odrzucić taką propozycję?

No to dlaczego po prostu nie skontaktujesz się z nim przez komunikator i nie powiesz mu prosto z mostu, o co chodzi? - zdziwiła się Tahiri. - Nawet jeżeli Pellaeon cię nienawidzi, doceni taką bezpośredniość.

- Tamten list to miał być balon próbny - oznajmił Caedus. - Teraz, kiedy wiem, jak bardzo jest uparty, przejdę do planu B. Pozwolę, żeby Moffowie podniecili się perspektywą zdobycia dwóch nowiutkich planet, a dzięki subtelnej procesowi osmozy, wspomaganemu twoim urokiem, Pellaeon wyrazi zgodę. Przystanie też uważać, że najpierw zakończyłem jego długą i chwalebłą karierę szybciej, niż sam pragnął to zrobić, a potem go skaptowałem.

Tahiri usiadła na skraju blatu biurka, wpatrzona w napowietrzne szlaki, znaczone mrugającymi światełkami lecących śmigaczy.

- Planujesz każdy swój ruch, prawda? - zagadnęła.
- Muszę - odparł Caedus. - I bez tego dostaje się nam zbyt wiele dzikich kart. Niektóre spośród nich pojawiają się właśnie teraz. - Zdjął komputerowy notes ze stołu. Oto pierwsza dzika karta. Z raportów Wywiadu wynikało, że Korelia złożyła zamówienie na mandaloriańskie myśliwce typu *Bes'uliik*. Były szybsze niż X-wingi i miały pancierz z absolutnie odpornego mandaloriańskiego żelaza - *beskara*. Mógł je kupić każdy, kto miał dość kredytów. To był jeden z tych destabilizujących czynników, które zmieniały przebieg wojen. Fett był zaiste wyrafinowanym facetem. Caedus bardzo chciał się przekonać, jak on się zemści za zamęczenie jego córki. Podejrzewał ostateczny gwałtowny odwet, osobistą zemstę, ale wyglądało na to, że stary najemnik zamierza się bawić w długą i wyniszczającą grę.
- Ruszaj w drogę, Tahiri - rozkazał. - Ale najpierw wróć do mnie z planem wyprawy i strategią dzięki której uzyskasz zgodę na audiencję u Pellaeona i przekonasz go do poparcia naszej sprawy.

Caedus wiedział, że musi też coś zrobić w sprawie *Bes'uliików*. Najprościej byłoby kupić eskadrę tych maszyn dla Galaktycznego Sojuszu, chociaż napełniało go to goryczą. Jeżeli jednak Fett potrafił układać dalekosiężne plany, Caedus nie mógł być gorszy. Mandaloriański myśliwiec, opracowany do spółki z Verpinami z Rochem, miał być częścią wzajemnego traktatu o współpracy między Keldabe a rojami Verpinów. Caedus postanowił umieścić Verpinów na liście istot, których edukacją zajmie się w następnej kolejności. Na razie postanowił także trzymać się z daleka od Mandalory. Miał na głowie pilniejsze sprawy.

Głównym powodem jego niezadowolenia pozostawał cały czas Fondor, z którego orbitalnych stocznicy wylatywały gwiazdne okręty dla Konfederacji, a wśród nich gwiazdne niszczyciele. Planeta stanowiła ciągle zagrożenie, między innymi dlatego, że leżała blisko pasa asteroid, zasobnego w złoża cennych minerałów. Jej stocznice nie mogły dłużej pozostawać w rękach wrogów.

A zatem Caedus postanowił rozprawić się w pierwszej kolejności z Fondorem. Sięgnął po komunikator i wpisał kod swojej najbliższej i najbardziej irytującej współpracownicy, admirał Cha Niathal, która razem z nim

pełniła obowiązki przywódcy Galaktycznego Sojuszu.

Ostatnio nie rozmawiał w cztery oczy z żadnymi admirałami.

- Pani admirał - odezwał się do mikrofonu. - Naprawdę musimy coś zrobić w sprawie Fondora...

ROZDZIAŁ 2

Dziękujemy za ostatnią zapłatę. Wspaniała posiadłość zmarłego Hidu Rezodara została właśnie udostępniona przez Wydział Testamentów i Spadków Urzędu Stanu Cywilnego, więc może pan zgłosić się po te przedmioty w dowolnej chwili w ciągu następných dziesięciu dni. Proces został rozpoczęty, więc każdy przedmiot nieusunięty do tego czasu zostanie sprzedany na licytacji przez władze Phaedy, przez co ulegnie przypadkowi i nie będzie się pan mógł o niego ubiegać. Wszelkie podatki i cła związane z nabyciem tych przedmiotów należy uiścić przed odlotem z planety.

Wiadomość phaedańskiego Ministerstwa Finansów dla Boby Fetta, *Mand'alora*, Al'Ori'Ramikade'a - przywódcy mandaloriańskich klanów, dowódcy superkomandosów

Bralsin, okolice Keldabe, Mandalora

Poobijany hełm Fenna Shysy ciągle stał na granitowej kolumnie w przejściu, zabezpieczony durastalowym sworzniem.

Mogły go zrzucić tylko zwierzęta albo nawałnice. Nikt by się nie ośmielił ukraść przedmiotu, który należał do ukochanego Manda- lora. Hełm przetrwał nawet starania Yuuzhan Vongów, którzy próbowali spustoszyć planetę. Shysa cieszył się zawsze powszechnym szacunkiem.

- Upłynęło sporo czasu, Shysy. - Boba Fett nie miał zwyczaju rozmawiania z nieboszczykami, no, może z wyjątkiem swojego ojca. Odwiedził to miejsce dopiero pierwszy raz. - Ostatecznie stanęło na twoim.

Hełm miał kiedyś kolor żywej zieleni z czerwonym rozcięciem w kształcie litery T, ale kolory spłowiwały i przeszły w jednolicie brązowe tony. Rysy i wgniecenia - skutki wielu bitew - były teraz bardziej widoczne. Pomnik był substytutem mandaloriańskiego nagrobka, bo ciało Shysy spoczywało cały czas w sektorze Quence, gdzie Fett je zostawił. Przywiózł stamtąd tylko hełm, który był odpowiednią pamiątką po popularnym przywódcy. Shysa miał być potraktowany tak samo jak przeciętny Mandalorianin. Grzebano tylko Mandalorów, przywódców ludu pozbawionego państwa. Ta cywilizacja nomadów i wojowników nie miała tradycji uporządkowanych cmentarzy.

Ciekawe, gdzie też mnie pochowają? - zadał sobie pytanie Fett. Gdybym miał coś do powiedzenia w tej sprawie, kiedy nadejdzie mój koniec, nastawiłbym „Niewolnika I” na autopilota, skierowałbym w stronę Zewnętrznych Rubieży i uruchomił jednostki napędowe.

Fett był niedoskonałym *Mand'alorem*, ignorantem w sprawie tradycji własnego ludu. Pobierał teraz nauki - obojętne, czy tego chciał, czy nie - z ust niedawno odnalezionnej wnuczki Mirty, która cały czas nazywała go *Ba'buirem*, dziadkiem, i zachęcała, żeby pogodził się ze swoim dziedzictwem. Relacje między nimi pozostawały... coś, raczej chłodne, ale to i tak był wielki postęp. Zaczynali od tego, że chcieli się nawzajem pozabijać.

Fett spojrział na hełm Shysy, snując wspomnienia. Szalony bu- hacz, pomyślał. Czy na to zasługiwałem? Powiedziałbyś tylko: „A nie mówiłem?”, więc lepiej oszczędzaj oddech...

- Nie mogę czekać na ciebie ani chwili dłużej.

Głos rozległ się niespodziewanie w słuchawce jego hełmu. Fett aż drgnął z zaskoczenia, ale to tylko Mirta nie mogła się doczekać, kiedy oboje wyruszą na wyprawę na Phaedę.

- Cierpliwości - odparł Fett. - Czekałaś trzy miesiące, więc możesz wytrzymać jeszcze dziesięć minut.

Fett przyłożył dwa palce do hełmu w geście pożegnalnego salutu i wskoczył na siodełko raketowego skutera.

Jeżeli troszczysz się tylko o własną skórę, nie jesteś mężczyzną pomyślał.

Mniej więcej właśnie to powiedział mu przed śmiercią Shysa. Fett obrał kurs na farmę Gorana Beviina. Lecił nisko nad srebrzystą wstęgą dopływu rzeki Kelita. Okoliczny krajobraz się zmienił. Od jego pierwszego powrotu planeta usiłowała wrócić do życia po tym, jak Yuuzhan Vongowie zrobili, co mogli, by ją zabić. Mandalorianie, rozproszeni po całej galaktyce, zaczęli tysiącami i setkami tysięcy wracać do domu. Grunt odżywał, a na obszarach zasolonych i zatrutych przez *vongese* powstawały wciąż nowe farmy. Ten widok poprawił mu humor. *Mando 'ade* dowodzili swojej buntowniczej natury, przywracając do życia stare pola, zamiast szukać nowych, łatwiejszych miejsc pod uprawy.

Na szczęście krabostwory - jak cały czas Bevin nazywał Yuuzhan Vongów - nie odniosły zwycięstwa. Mirta była jednak upartą dziewczyną.

- *Ba 'buir*, czy mam uruchomić silniki? - zapytała.

- Nie.

- Nic ci nie jest?

- Czy zastaniemy tam Gorana? - Mirta nie musiała wiedzieć, jak Fett się teraz czuje. On sam nie był zresztą tego pewny... jeśli nie liczyć straszliwego poczucia winy. - Przygotował ten pokój? - zapytał.

- Jasne, że tak - zapewniła. - Goran jeszcze nigdy nie sprawił ci zawodu.

To była prawda.

- A kwatery dla Beluine'a została przygotowana?

- Tak, ale... - zaczęła.

- To lepiej niech ktoś mu powie, że Oyu'baat jest niczym pięciogwiazdkowy hotel, jak na warunki w Keldabe.

- Jesteś wariatem, *Ba 'buir* - stwierdziła Mirta.

Fett wariatem nie był, ale znał Beluine'a na tyle dobrze, aby przewidzieć, że pokój w sielskiej gospodzie Oyu'baat nie przypadnie do gustu renomowanemu lekarzowi z Coruscant. Mówi się trudno, pomyślał. Jestem klientem. Jeżeli władca Mandalory mógł mieszkać w gościnnym domku z prymitywną instalacją wodociagową na chylącej się ku upadkowi farmie, Oyu'baat była odpowiednim miejscem dla Beluine'a. Było tam czysto i ciepło, a dopóki lekarz nie zechce rozegrać partyjki *cu'bikada* z innymi gośćmi, niczym nie ryzykuje.

- Powiedz mu, że zawsze może go zastąpić medyczny droid - poradził Fett i ruszył.

Kiedy skręcił skuterem za ostatnią kępą drzew, zobaczył Mirtę przytuloną do rufowej płyty kadłuba „Niewolnika I”. Stała z rękami zaplecionymi na piersiach, a obok niej czekał Goran Beviin w ciemnoszarym roboczym kombinezonie.

- Nie jesteś dobrym aktorem, więc nie udawaj, że to cię nic nie obchodzi - odezwał się Beviin, kiedy Fett otworzył właz ładowni statku zdalnym sterownikiem i skierował skuter na rampę. - Owszem, zostawiłeś ją ale ona nadal jest twoją żoną.

Fett unieruchomił skuter w ładowni.

- Byłą żoną - powiedział.

- Tak czy owak, pokoje i medyczne droidy są gotowe.

Fett nie zamierzał okazać się niewdzięcznikiem. Beviin był porządnym gościem, wybranym przez Fetta na następcę, gdyby cokolwiek potoczyło się nie po jego myśli - gdyby zachorował, zginął czy po prostu się zestarzał. Odkąd Fett odnalazł Sintas Vel, Beviin musiał spełniać różne jego prośby.

Żona Fetta nadal żyła.

Gdyby zginęła, trudno byłoby mu się z tym pogodzić, skoro ponad trzydzieści lat uważał ją za zaginioną. Z drugiej strony, łatwiej byłoby mu znieść wiadomość o śmierci żony, niż zobaczyć ją zamrożoną w karbonicie i upchniętą w kącie jak zwykły rupieć pośród zapomnianych rzeczy jakiegoś zabitego gangstera. A teraz musi się zastanawiać, co jej powiedzieć.

Jak mam jej wyznać, że nasza córka Ailyn nie żyje? - zadał sobie pytanie.

Jak jej opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło od czasu, kiedy zginęła? Jak ją zawiadomić, że ma wnuczkę?

Dobrze chociaż, że Mirta też będzie mogła jej coś powiedzieć. Fett zwolnił kłapę wjazdu i wnuczka wspięła się do sterowni. Dźwigała na ramieniu zniszczony worek. Miała dwadzieścia kilka lat, ale wyglądała jak młodziutka dziewczyna, co oznaczało, że nie będzie o wiele młodsza niż jej babcia, kiedy zostanie odmrożona.

Jak mogę być tego pewny? - pomyślał Fett. Może po schwytaniu Sintas przeżyła w niewoli wiele lat i została zamrożona w karbonicie wcale nie tak dawno? Może być mniej więcej w moim wieku. W końcu była o kilka lat starsza ode mnie...

Tak czy owak, ponowne spotkanie z żoną będzie bardzo trudne. Kiedy ją widział ostatni raz, leżała ranna w alejce. Porzucił ją i ich małą córeczkę w haniebny sposób. A teraz cały ból na nowo wypłynie na powierzchnię, podobnie jak wszystkie wspomnienia, które uwięził w przeszłości tak dokładnie, jakby zamroził je w karbonicie, żeby więcej na nie nie patrzeć.

- Medyczny droid ma także pełen program psychologiczny, *Bo- b 'ika* - odezwał się cicho Beviin.

Po zamrożeniu w karbonicie ludzie bywali w bardzo kiepskim stanie. Zdezorientowani, czasem ślepi, a zdarzały się ciężkie i trwałe uszkodzenia mózgu. Sintas naprawdę będzie miała go o co obwiniać. Gdyby tylko Fett mógł przewidzieć, jaki los spotka jego żonę...

- Dzięki, Goranie - rzekł. - Powiedz Medrit, że jestem bardzo wdzięczny.

- Przecież zawsze mamy wolne pokoje dla gości - przypomniał Beviin. - *Kih 'parjai*. To nic wielkiego.

- W porządku. W takim razie popilnuj sklepiku, kiedy mnie tu nie będzie.

Na razie wszyscy zapomnieli o wojnie Galaktycznego Sojuszu z Konfederacją. Fett usadowił się na fotelu pilota i zaczekał, aż Beviin oddali się od statku na bezpieczną odległość; potem pstryknął przełącznikami i włączył silniki „Niewolnika I”. Krajobraz północnej Mandalory zamienił się w szachownicę uprawnych pól, niebo za iluminatorem ściemniało do fioletu, a później do czerni, kiedy wyłonili się z górnych warstw atmosfery. Teraz nie było już odwrotu.

- A jeżeli okaże się, że mama jest szalona? - zagadnęła zaniepokojona Mirta.

- Han Solo też spędził jakiś czas zamrożony w karbonicie, a w tej chwili się puszy, jakby nic się nie stało - stwierdził Fett.

- Zaopiekuję się nią-obiecała Mirta.

- Sam mogę się nią zaopiekować.

- To znaczy, że zapłacisz komuś innemu, żeby to robił.

Tego dnia Mirta była wyraźnie w jednym ze swoich wojowniczych nastrojów. Oznaczało to, że się boi. Fett rozumiał dlaczego,

ale miał własne problemy, z którymi musiał się uporać, zanim ponownie stanie twarzą w twarz z Sintas.

Ile lat miałem, kiedy ją opuściłem? - zadał sobie pytanie. Dziewiętnaście? Mirta zaraz zapyta mnie o powody, dla których zostawiłem swoją żonę. To będzie trudna rozmowa.

- Wszystko jedno - powiedział. - Będzie pod dobrą opieką.

Fett chciałby zapomnieć o przeszłości. Obrął ręcznie kurs na

Phaedę tylko po to, żeby zająć czymś ręce i przestać myśleć, ale przede wszystkim, żeby uniknąć rozmowy z Mirtą. Zostawił hełm w sterowni, aby dać jej do zrozumienia, że naprawdę nie ma ochoty na rozmowę. Niełatwo było zaspokoić jej ciekawość. Mirta nienawidziła luk w historii, a życie Fetta miało dla niej o wiele więcej luk niż historii.

- Gdzie byłeś tego ranka? - zapytała.

Gdyby jej nie powiedział, tylko podsyciłby jej ciekawość. A może powinien wreszcie poddać się przesłuchaniu? Może nadeszła pora, żeby dziewczyna się dowiedziała o czymś, czego nie wiedział nikt inny? A może... może po prostu Fett chciał, żeby miała o nim lepsze mniemanie?

- Przy pomniku Shysy - odezwał się po dłuższym milczeniu.

- Dlaczego?

Zaczyna się, pomyślał.

- Nie byłem tam, odkąd umarł.

- Twój brat twierdzi, że to ty go obaliłeś.

Brat? - zdziwił się Fett. Brat. Jaing, Jaing Skirata, ten parszywy, sprytny klon, który po tylu latach wciąż jeszcze się tu kręcił.

- Nie jest moim bratem - odparł Fett. - Po prostu mamy mniej więcej taki sam genom, a ja uważam, że Skirata nie ma pojęcia, co zaszło między mną a Shysą.

- Ale ty wróciłeś, a Shysa nie.

- To długa historia - odparł wymijająco łowca nagród.

- Mamy mnóstwo czasu. Co się stało?

Fett poczuł wyrzuty sumienia. Nie prześladowały go dotąd, bo zrobił, co musiał, a alternatywne rozwiązanie dręczyłoby nawet jego durastalowe sumienie. Zastanowił się, czy jej to wyznać. Nie miał ochoty ożywiać jeszcze jednego ponurego epizodu swojego życia, i to w takiej chwili.

- Zabiłem go - oznajmił w końcu. - Zabiłem Fenna Shysę.

Naczelne Dowództwo Floty, Galactic City

Admirał Cha Niathal potrafiła wyczuć nastrój załogi na pokładzie okrętu - albo personelu naziemnego w bazie - od chwili, kiedy postawiła stopę na pokładzie. A na tym okręcie było mnóstwo niedowierzania i strachu.

Trudno było utrzymać niektóre sprawy w tajemnicy, a jedną z takich spraw była śmierć młodszej oficer na mostku „Anakina Solo”.

To nie może być prawda, pomyślała Niathal.

A jednak kapitan „Anakina Solo”, Kral Nevil, Quarren o nieposzlakowanej opinii i jako pilot, i jako dowódca, widział to na własne oczy. Nie tylko on zresztą był świadkiem tego incydentu. Wiadomość obiegła błyskawicznie zarówno kwatery oficerów, jak i zwykłych członków załóg. Pułkownik Jacen Solo, jeden z dwojga przywódców Galaktycznego Sojuszu, na mostku swojego okrętu flagowego i na oczach wielu członków załogi skrzył kark porucznik Tebut, nawet jej nie dotykając. Powód nie miał tu żadnego znaczenia. Żaden powód nie usprawiedliwiał potworności tego czynu.

Wiadomość o tym obiegła całą flotę niczym sygnał alarmowy. Nawet bezwzględna lojalność starannie dobranej załogi gwiazdowego niszczyciela nie powstrzymała jej członków przed dyskusowaniem o tak poważnym zdarzeniu. Wszyscy podkreślali, że Tebut była także lojalnym członkiem załogi... no i popatrzcie tylko, co się jej przydarzyło.

Niathal cieszyła się, że ma wiarygodnych świadków; bez nich zlekceważyłaby tę informację jako bezpodstawną plotkę. Po drodze do władzy Jacen zaliczył wprawdzie mnóstwo nikczemnych postępów, ale ten postęp nie

był tylko nikczemny. Graniczył z szaleństwem.

Przekroczył wreszcie granicę, pomyślała Niathal. Staje się nieobliczalny. Co mam zrobić?

Kierowała się teraz korytarzami gmachu Naczelnego Dowództwa do kwater starszych oficerów. Na ogół, nawet podczas wojny, w budynku panowała atmosfera powagi i napięcia. Jeżeli podczas akcji stracono jakiś okręt, nastrój smutku był wyraźnie wyczuwalny, ale puls serca Marynarki nie ustawał.

Tego dnia jednak puls umilkł. Wyglądało to, jakby cały gmach wstrzymał oddech, jakby obawiał się wypuścić powietrze z płuc. Kiedy Niathal mijała członków personelu, wszyscy jak zwykle automatycznie jej salutowali, ale na ich twarzach widniały nieme pytania: Co się dzieje? Jakim cudem uszło mu to płazem? Czy zamierza pani coś w tej sprawie zrobić?

Te milczące spojrzenia doprowadzały ją do szału. Ich znaczenie było oczywiste. Mówiły: Jest pani współprzywódcą Galaktycznego Sojuszu... i pozwala mu tak postępować?

Niathal weszła do mesy dla starszych oficerów i natknęła się na mur nagłej ciszy. Dopiero po chwili wszyscy zerwali się z krzesel i stanęli na baczność. Kalamarianka niemal wyczuła smak ich strachu.

- Spocznij - rozkazała. Postanowiła zachowywać się, jak podczas normalnego obchodu, kiedy to sprawdzała rutynowo porządek i morale załogi. - Jakież skargi? - zapytała.

- Nie, pani admirał - odpowiedział jej chór głosów. Gdyby któryś z nich zapytał, dlaczego stery Galaktycznego Sojuszu dzierży niebezpieczny maniak, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Jeszcze nie mogła sobie pozwolić na obalenie Jacena. Z drugiej strony jednak, lekceważąc niepokój oficerów, straciłaby ich szacunek i zaufanie. - Jeżeli chodzi o jedzenie, wszystko w porządku, pani admirał.

Niathal kiwnęła głową i skierowała się do swojego gabinetu. Czekał już tam na nią kapitan Nevil. Kalamarianka zamknęła drzwi i sprawdziła ręcznym skanerem, czy nigdzie nie ma urządzeń podsłuchowych; niczego takiego nie znalazła, ale i tak mówiła cały czas szeptem.

- Mogę tylko mieć nadzieję - zaczęła, nie czekając, aż Nevil się odezwie - że kiedy ta wiadomość się rozejdzie, załogi uwierzą, podobnie jak ja. Może niektórzy pomyślą iż biedna kobieta z jakiegoś powodu sobie na to zasłużyła. Gdyby doszli do wniosku, że Jacen Solo jest potworem, morale się załame, a my przegramy wojnę.

Nevil nie odpowiedział. Quarrenowie na ogół nie zdradzali emocji, ale kapitan wydawał się tego dnia jeszcze bardziej zamknięty w sobie niż zwykle.

- O co chodzi, kapitanie? - zapytała Niathal. - Upewniłam się, że nie ma podsłuchu. Może pan mówić to, co myśli.

Macki na twarzy kapitana zafalowały, jakby Quarren starannie wazył słowa.

- Co pani zamierza zrobić z Solo? - rzucił w końcu.

Instynkt i wyszkolenie Niathal podpowiadały, żeby natychmiast

wezwała funkcjonariuszy żandarmerii wojskowej, ogłosiła stan

wyjatkowy i kazała Jacena aresztować. Zdrowy rozsądek mówił jej jednak, że dowodzona przez Jacena Straż Galaktycznego Sojuszu bez trudu pokona żandarmów. Reszta floty także była lojalna wobec Jacena. A gdyby nawet Niathal została jedyną przywódczynią Galaktycznego Sojuszu, byłoby to jednoznaczne z zażyciem trucizny.

Co więcej, Niathal była tajnym szpiegiem Luke'a Skywalker'a. Musiała cały czas odgrywać swoją rolę, żeby móc przekazywać mu informacje. Jacen był dla niej zbyt silny; nie zdoła sama go obalić.

Spojrzała na Nevila.

- Na razie niewiele mogę zrobić - wyznała.

- Pani admirał... może pani kazać mnie aresztować za to, co teraz powiem, ale Solo powinien zostać odsunięty od władzy.

- Czy pan mi ufa, kapitanie?

Macki Nevila zamarły. Kapitan wystrzył czujność.

- Na razie tak - powiedział.

- A więc jeśli powiem, że jestem równie oburzona jak pan tym potwornym czynem, ale muszę mieć pewność, że wystarczy mi władzy, aby przedsięwziąć decydujące kroki... czy to panu wystarczy?

Miała nadzieję, że Nevil ją rozumie. Nie mogła powiedzieć mu nic więcej, żeby go nie narażać. Tak właśnie porozumiewali się między sobą spiskowcy i buntownicy. Niathal pomagała obalić Cala Omasa, więc nie była jej obca taka konspiracja.

- Wydaje mi się, że mniej więcej rozumiem, o co chodzi, pani admirał - odparł Quarren.

Niathal wcale nie była tego pewna.

- Kiedy strzela się do takiego celu jak Jacen Solo, nie można chybić albo tylko go zranić - odpowiedziała. - Trzeba się upewnić, że nie będzie w stanie odpowiedzieć ogniem. Nigdy.

Nevil pokiwał głową. Ten gest Quarren podpatrzył w czasie kontaktów z ludźmi. Czasami ludzie także przyswajali sobie zwyczaje istot innych ras.

- Spodziewałem się natychmiastowego buntu - stwierdził Nevil. - Jesteśmy jednak zdyscyplinowani i zachowujemy się, jakby nie zdarzyło się nic niestosownego... jakby wszystko miało się dobrze skończyć.

- Trwa wojna, Nevil - przypomniała Niathal. - Nasi podwładni nade wszystko pragną przeżyć. - Podeszła do okna i spojrzała na panoramę miasta, jakby się spodziewała, że - podobnie jak jej świat - tam też wszystko się zmieniło. Życie jednak toczyło się jak zawsze. Coruscant była oddalona od frontu, a Jacen był nadal bohaterskim pułkownikiem, pogromcą terrorystów i synem dwojga słynnych bohaterów dawnej Rebelii. Przeciętny Coruscanin, bezpieczny i dość zamożny, karmił się wiadomościami HoloNetu, które odwracały jego uwagę. Nie spieszył się na barykady i nie zamierzał szturmować gmachu Senatu, nawet gdyby twarz Tebut pokazywano we wszystkich biuletynach informacyjnych. Naturalnie, nigdy tego nie pokażą. - A wojna nie wpływa na życie cywilów z tej planety... przynajmniej na razie.

Nevil trochę się uspokoił.

- Nie zapytam, co pani mu powie, kiedy się spotkacie - powiedział. - Solo chyba jednak rozumie, że pani o wszystkim wie, więc będzie pani musiała zająć w tej sprawie jakieś stanowisko.

- Jak zwykle, otwarcie zakwestionuję jego metody - odparła Niathal, zastanawiając się, czy nie powiedziała Nevilowi za dużo. - A on dojdzie do wniosku, że nic się nie zmieniło.

- A zatem nie podziela pani jego filozofii.

- Jestem rozczarowana. Jak mógł pan kiedykolwiek pomyśleć, że ją podzielam?

Nevil zamilkł; widocznie nie był pewny, czy ambitna admirał nie zrobi wszystkiego, aby zdobyć więcej władzy, nawet gdyby to oznaczało konieczność poświęcenia własnego honoru.

- Mój syn nie zginął po to, żeby sadystyczny despota mógł sprawować władzę - odezwał się w końcu. - Miałem nadzieję, że zrobi pani wszystko, aby ofiara jego życia nie poszła na marne.

To był cios poniżej pasa, ale Niathal jakoś go zniosła.

- Przykro mi z powodu Turla - powiedziała. - Naprawdę.

Nevil uprzejmie pochylił głowę i wyszedł z gabinetu, Niathal

właśnie uzyskała potwierdzenie swoich najgorszych obaw. Wiedziała wprawdzie, że nie zawsze będzie lubiana, a kiedy zostanie przywódczynią Galaktycznego Sojuszu, będzie musiała wchodzić niektórym na odciski, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie każdy musi jej ufać.

Jak na ironię człowiek tak mocno przekonany, że zdoła zakończyć wojnę, stosując brutalne metody, powodował coraz większy chaos. Przy Jacenie wszyscy stawali się ostrożni i podejrzliwi... nawet jego dawni przyjaciele i sojusznicy.

Niathal potrzebowała pośrednika, który by zorganizował dyskretne spotkanie z Lukiem Skywalkerem. Przedtem jednak musiała dotrzymać słowa i stawić czoło Jarenowi, krytykując jego ostatni skandaliczny postępek. Wezwała kierowcę. Lecąc uporządkowanymi coruscańskimi szlakami napowietrznymi do Senatu, wywołała w sobie gniew i oburzenie, żeby nie myśleć o swoich tajnych posunięciach. Wiedziała, że Jedi potrafią wyczuwać nastroje. Pomyślała o zabitym synu Nevila, a wtedy ogarnęła ją prawdziwa wściekłość.

Coruscant była naprawdę bardzo spokojną planetą. Niathal trudno było dopasować to, co widziała przez okna śmigacza, do sytuacji na polu walki. Zupełnie jakby przelatywała przez tajny portal od jednego do drugiego wymiaru. Na Coruscant nie było takiego spokoju od dawna, od czasu inwazji Yuuzhan Vongów, i dlatego mieszkańcy stolicy galaktyki o wiele bardziej drżeli ze strachu niż obywatele planet, które ostatnio bardzo ucierpiały. To dlatego Coruscant była skłonna tolerować wybryki Jacena. Myśląc o toczącej się wojnie, mieszkańcy chcieli mieć zapewnioną ochronę. Niathal zastanowiła się, jak też Jacen by sobie radził, próbując w ten sposób postępować na bardziej doświadczonych przez wojny planetach.

Jacen oglądał właśnie w swoim gabinecie zarejestrowane przez Wywiad holonagranie przedstawiające udział floty w jakiejś bitwie. Lokalne konflikty wybuchały w tylu miejscach galaktyki, że Niathal nie potrafiłaby powiedzieć, gdzie to się akurat odbywa, bez sprawdzenia szczegółów.

Po prostu jeszcze jedno pole walki, pomyślała. Na szczęście Sojusz jeszcze się nie rozpadł, bo systemy gwiazdne toczyły własne wojny, nie domagając się jego udziału.

- Co przeszkobałem tym razem? - zapytał Jacen, nie odrywając spojrzenia od ekranu. - Wyczuwam, że nadciąga reprimenda...

Bądź wściekła, nakazała sobie Kalamarianka. Nie pozwól, żeby wyczuł cokolwiek oprócz twojego gniewu.

Głęboko odetchnęła, demonstrując złość i rozżalenie.

- Jacenie, wiem, że służysz w wojsku od niedawna, ale powinieneś już lepiej poznać zwyczaje starszych oficerów - zaczęła. - Nie mamy tutaj zwyczaju zabijania młodszych oficerów na mostku okrętu, w dodatku na oczach pozostałych członków załogi. Na przyszłość postaraj się przynajmniej nie robić tego w miejscach publicznych.

Tym razem Jacen uniósł głowę. Niathal zastanowiła się, czy Solo nie jest przemęczony i zdenerwowany. Ostatnio wyglądał trochę inaczej... jakby szybko się starzał i tracił młodzieńczą świeżość. Szczególnie było to widać w jego oczach.

- A więc wiadomość się rozeszła - powiedział.

Niathal nie usiadła. Nie mogłaby na siedząco udawać rozgniewanej.

- Takie wiadomości rozchodzą się szybko - oznajmiła. - Zrobiłeś głupstwo.

- Naprawdę? A myślałem, że radzę sobie całkiem dobrze.

- Chodzi o morale, Jacenie - wyjaśniła Niathal. - Jest równie ważne jak gwiazdny niszczyciel. Wymagamy od naszych podwładnych, żeby byli gotowi umrzeć dla nas, więc kiedy stracimy ich zaufanie, zaczniemy przegrywać tę wojnę. Potrzebujemy ich.

- Tak? A oni potrzebują mnie. - Jacen prychnął pogardliwie. - Ten pakt działa w obie strony. Tebut była nieostrożna. To nie są ćwiczenia, pani admirał, lecz prawdziwa wojna, a z powodu takich błędów można zginąć. Przez Tebut mogliśmy przegrać tę wojnę. Moim zdaniem to, co się jej przydarzyło, uświadomi wszystkim, jak należy postępować.

- A więc Tebut miała się stać przykładem dla innych? A może po prostu straciłeś panowanie nad nerwami i wszystko wymknęło ci się spod kontroli?

Tym razem doczekała się jego reakcji. Zauważyła, że zamrugał, ale na jego twarzy nadal nie drgnął ani jeden

mięsień.

- Moim zdaniem po tym incydencie zaobserwujemy poprawę procedur bezpieczeństwa - ocenił.

- To dobrze - odparła Niathal. Jacen się czuje wypalony, pomyślała. .. jest bliski załamania, ale nie chce, żebym to zauważyła. - Poświęcę trochę mojego cennego czasu - dodała - żeby naprawić szkody. Jeżeli członkowie załogi pomyślą że po każdym błędzie może spotkać ich to samo co Tebut, przestaną przejawiać inicjatywę i robić cokolwiek. Czy muszę ci to wyjaśnić?

- Za bardzo dbasz o swoją popularność - warknął Jacen.

Niathal z trudem się powstrzymała od ciętej odpowiedzi. Wiedziała, że wśród żołnierzy ma opinię osoby kompletnie pozbawionej poczucia humoru, zimnej jak góra lodowa.

- Jasne, muszę dbać o swój wizerunek wesołej panienki - powiedziała.

- Tak czy owak, czas na Fondora - oznajmił Solo. - Musimy dobrać się im do skóry.

- Wolałabym najpierw pozbawić ich bazy przemysłowej - odparła Niathal. - Na przykład wyeliminować ich gwiazdne stocznie.

- Lepiej, żeby wpadły nietknięte w nasze ręce - sprzeciwił się Jacen.

- Jeżeli nam na nich aż tak zależy, to chyba będziemy musieli zająć całą planetę. Ich władze nie zamierzają skapitulować, a my nie mamy dostatecznych sił i środków, żeby je do tego zmusić.

- Ale możemy je mieć - oznajmił Jacen.

- Tak? A w jaki sposób?

- Chodzi o Szczątki Imperium - odparł Solo. - Prowadzę z nimi negocjacje.

- Jak miło, że mnie do nich zaprosiłeś - przygadyła mu Niathal.

- Na razie do niczego się nie zobowiązaliśmy - uciał Jacen.

Znów „my”, pomyślała Niathal.

- Jeżeli uważasz, że Pellaeon uściśnie cię i załagodzi spór po tym, jak pozbawiłam go pracy, to jesteś naiwny - powiedziała.

- No cóż, spróbuję zachęcić moffów. Niech go przekonają żeby wybaczył i zapomniał - wyjaśnił Jacen. - Zamierzałem zaproponować im dodatkowe terytoria w zamian za przyłączenie się do nas. Miałem na myśli Borleias i Bilbringi.

Zachęta byłaby rzeczywiście hojna, gdyby Galaktyczny Sojusz miał prawo decydować o losie tych planet. Żadna nie była pełnoprawnym członkiem Sojuszu.

- Do czego to ma prowadzić? - zapytała Niathal. - Do przymknięcia oczu na inwazję moffów czy do udzielenia im pomocy podczas inwazji? A może do wspólnego liczenia zysków, bo i tak nie pospieszylibyśmy tym planetom na pomoc, gdyby zostały zaatakowane? Więc jak chcesz im przekazać te planety?

- Po pokonaniu Konfederacji nadamy galaktyce nowy kształt, taki, jaki uznamy za słuszny dla naszego dobra - odparł Solo. - Jeśli się do tego przyczynią, dostaną dwie zasobne planety w zamian za swoje trudy.

- A może te planety nie zechcą się poddać i będą walczyć o każdy metr swojego terytorium?

- Tak czy owak, to nie nasz problem - stwierdził Jacen.

Niathal była pewna, że wcześniej czy później ten pomysł się na

nim zemści.

- To przypomina mi jeden z tych przekrętów z Naboi - powiedziała. Nadeszła pora, żeby Solo dostał po łapach, a zresztą Pellaeon i tak na to nie pozwoli. - Pozostawię ci całą politykę na wysokim szczeblu.

- To jak, ruszamy na Fondora? - zapytał Solo.

- Wyeliminuj najpierw ich gwiazdne stocznie, bo tylko tak ograniczysz ich możliwości prowadzenia wojny - odparła Niathal. - Dopiero później możesz zneutralizować ich siły zbrojne.

- W porządku.

- Zamierzasz pogadać z Pellaeonem w cztery oczy? - zainteresowała się Niathal.

- Myślałem o wysłaniu kogoś bardziej neutralnego, na przykład Tahiri - odparł Jacen.

- Zaraz, zaraz... Tahiri nie jest dyplomatką ani nawet negocjantką - zaniepokoiła się pani admirał.

- Musi tylko go nakłonić, żeby zaakceptował samą zasadę - odparł Solo. - Ja zajmę się resztą.

Niathal domyślała się, po co Jacen szkoli Tahiri: chce, żeby młoda kobieta zajęła miejsce Bena. Ucieszyła się, że chłopak wymknął się ze szponów Jacena. Ben miał zadatki na dobrego oficera i teraz zacznie się usamodzielniać.

- Daj mi znać, kiedy coś zrobisz - powiedziała, odwróciła się i ruszyła do swojego gabinetu, do którego miała prawo jako Naczelną Dowódczynią. W chwilach takich jak ta gabinet sprawiał wrażenie bezpiecznej przystani. - A jeszcze lepiej, zanim podejmiesz jakiegokolwiek kroki...

- Przyślij do mnie Shevu, dobrze? - poprosił Solo. - Powinien być gdzieś na korytarzu.

Niathal minęła młodego kapitana SGS na korytarzu, spojrzała mu w oczy i kiwnęła głową w kierunku drzwi gabinetu Jacena. Shevu nie wyglądał na uszczęśliwionego, ale nie był też wystraszony. Jeżeli Jacen tolerował w swoim otoczeniu kogoś, kto wyraźnie się go nie boi, to Shevu musiał być jednym z jego najbardziej zaufanych pomocników. Niathal postanowiła mieć się przed nim na baczności.

- Czeka już na pana - oznajmiła.

„Sokół Millennium”, placówka Jedi, Endor

- Tato, jak mam się skontaktować z Bobą Fettem? - zagadnęła Jaina. Ze swojego miejsca widziała tylko buty ojca, który stał pod kadłubem „Sokoła Millennium”. - W jaki sposób ty się na niego natknąłeś?

- W taki jak zwykle, dziecko - odparł Han. - Stałem i rozglądałem się jak głupi, a on po prostu mnie zaskoczył.

- Pytam poważnie, tato.

Han wygramolił się spod kadłuba „Sokoła” i stanął prosto.

- To pomysł Jaga, mam rację? - zapytał. - Nie powinienem był mu dawać tych miążdzyrękawic.

- Hej, sama potrafię podejmować głupie decyzje - odcięła się córka. - A Fett jest fachowcem i może nauczyć mnie, jak polować na Jedi. Mam rację?

Han wytarł hydroklucz o jakąś szmatę, ale Jaina zauważyła, że z ojca uszła niemal cała energia. Zza polany, z głębi lasu, napływała kakofonia dzikich dźwięków, które nie wiadomo dlaczego działały uspokajająco. A Jaina rozmawiała obojętnie i rzeczowo o polowaniu na Jedi... a konkretnie na swojego brata bliźniaka, jedyne pozostałe przy życiu syna swojego ojca. Zdarzało się, że Han wyrzekał się Jacena i nie chciał go nigdy więcej widzieć, ale zaraz następnego dnia Jacen znów był jego synem, a on postanawiał się nim zaopiekować i wszystko naprawić. Jednak liczba spraw, które wymagały naprawy, stawała się codziennie większa, a problemy rosły i stawały się coraz poważniejsze. Tata cierpiał. Jaina wiedziała, że mama także cierpi, ale chyba znosiła to wszystko lepiej niż Han.

- Ben uważa, że to Jacen zabił Marenę, prawda? - odezwał się Han.

Jaina wyjęła narzędzie i szmatę z jego rąk.

- Już jest czysty, tato - powiedziała. - Tak, Ben rzeczywiście tak uważa.
- A co ty o tym sądzisz?
- Nie wiem. Po prostu nie mam pojęcia.
- Uważasz, że Jacen byłby do tego zdolny?
- Na razie nie chcę nawet o tym myśleć.
- Jaina, czy twoim zdaniem Jacen mógł to zrobić? - Han nie ustępował.

Cóż, skoro Jacen torturował Bena... kto wie, jak pokrętną kierował się logiką? Jeżeli rzeczywiście zabił Marę, czy zrobił to świadomie? Nie planował zabicia córki Fetta, ona jednak nie przeżyła jego przesłuchania. Jaina nienawidziła sama siebie, że w ogóle o tym rozmyśla. Jacen był synem Hana Solo, ale przecież każdy przestępca miał jakiegoś ojca.

- Nie, nie sądzę, żeby zamordował Marę - odrzekła w końcu. - Problem w tym, że Ben mówi całkiem rozsądnie. W tym wszystkim coś się nie zgadza. Mam nadzieję, że Ben nie narazi się za bardzo Jacenowi, prowadząc to swoje śledztwo.
- A więc nie uważasz, żeby Jacen mógł skrzywdzić członka swojej rodziny.
- Tato, on już i tak wyrządził nam mnóstwo krzywd.
- Co zamierzasz z tym zrobić? Chodzi mi o to, że musisz mieć jakieś plany, inaczej nie zapisywałaś się do mistrzowskiej klasy Boby Fetta.
- Mam zamiar go tu sprowadzić - odparła Jaina.
- Sprowadzić? - powtórzył Han. - A co później? Przeprogramować go? Zamknąć go na poddaszu, jak podobno się postępuje z pomyłonymi krewnymi? Zrehabilitować go i wciągnąć z powrotem do Zakonu Jedi? A w ogóle co dzieje się z byłymi Lordami Sithów?
- Alternatywą jest pozwolenie Jacenowi, żeby nadal robił to, co robi, tato - odparła Jaina.

Han Solo nigdy nie straszyl swoich dzieci, ale w tej chwili Jaina się go bała. Spuściła głowę.

- Będziemy się martwić później, kiedy już nie będzie mógł zrobić nikomu krzywdy - oznajmiła.
- W porządku - odparł Han. - Gdybym to ja szukał Fetta, zacząłbym poszukiwania od Mandalory. Wiesz chyba, że da ci porządną szkołę, prawda?
- Zrobię wszystko, czego będzie ode mnie wymagał - stwierdziła córka.
- Może od razu pokazać ci drzwi.
- Nie dowiem się tego, dopóki go nie poproszę.
- Liczysz na to, że utrzymasz na wodzy swój temperament?
- Potrafię zrobić wszystko, kiedy naprawdę tego chcę - oznajmiła młoda Jedi. -I mam zamiar ściągnąć tu Jacena, zanim dopadnie go ktoś inny, na przykład Ben. Dla dobra wszystkich.
- Fett nie zna chyba wszystkich sztuczek, w przeciwnym razie już dawno zabiłby Jacena i nosiłby niektóre elementy jego anatomii w charakterze trofeów.
- Jacen nie jest niezwyciężony, tato - zauważyła Jaina. - Nikt nie jest. Kiedy jednak zacznę na niego polować, przydadzą mi się umiejętności, których on nie zna. Muszę nauczyć się tego od Fetta.
- Jeżeli wpadniesz w tarapaty, twoja mama i ja zaczniemy szukać innego miejsca na bazę Jedi, najlepiej niedaleko od tej części galaktyki...

- Zapomnij o tym - przerwała Jaina. - Nikt nie będzie mnie musiał ratować. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy twoim zdaniem istnieje inny sposób załatwienia tej sprawy.

Han nie miał lepszego pomysłu, w przeciwnym razie chciałby go przeforsować. Zamiast tego objął córkę i długo ścisnął, milcząco i bezradny, a Jaina rozumiała, że powinna pamiętać o jednym: choćby sytuacja stała się naprawdę paskudna, musi to zrobić - po to, żeby jej ojciec dłużej nie cierpiał. Musiała to także zrobić dla dobra tych wszystkich istot, których życie mogło być zagrożone, chociaż ten argument nie był najważniejszym motywem. Za to do głębi poruszył ją widok twarzy ojca, pozbawionej tego wielkiego ducha, dzięki któremu był dla niej bohaterem.

- Opiekuj się mamą - powiedziała, odwróciła się i ruszyła w kierunku drzew na skraju polany. - Kocham cię, tato.

- Hej, tylko nie zabieraj stealthX-a na Mandalorę! - zawołał do niej Han. - To by tylko ich rozsierdziło. Aha... ja ciebie też kocham, córeczko.

Jaina odwracała się kilka razy, żeby sprawdzić, czy Han wciąż na nią patrzy, czy też zniknął wewnątrz „Sokoła”; ojciec stał w milczeniu, z rękami zaplecionymi na piersi. W końcu jej pomachał. Świadomość, że kiedy sytuacja wygląda naprawdę źle, jego własna córka uważa, że nie może im pomóc nikt prócz Fetta, potęgowała jego ból.

Fett wiedział, jak się czuje ktoś, kto stracił dziecko i był świadkiem zniszczenia rodziny. Jaina miała nadzieję - chociaż nie przemawiała za tym żadne logiczne przesłanki - że Mandalorianin zgodzi się ją szkolić nie dlatego, żeby zemścić się na Jacenie, ale dlatego, że zrozumie jej ból.

W końcu to i tak nie miało znaczenia.

ROZDZIAŁ 3

Boba, jak tam twoja choroba? Czy moje dane ci się przydały?

Moja oferta pozostaje cały czas aktualna.

Taun We, była kierowniczką programu klonowania ludzi na Kamino, obecnie dyrektorką programu przystosowywania klonów w Arkanian Micro

Port kosmiczny Galactic City, Coruscant

Na planecie mieszkało trylion osób, a Ben znał Coruscant na tyle dobrze, żeby wśród nich zniknąć.

Wycofał swoją obecność z Mocy na długo, zanim statek z Bespi- na wylądował w Galactic City. Bardziej martwił się o to, że uwikła w swoje śledztwo osoby, z którymi zamierzał się skontaktować, niż o to, że Jacen go wyczuje i zacznie ścigać. Znając Jacena, mógł się spodziewać, że starszy kuzyn spisał go już na straty jako słabeusza, który nie mógł znieść trudów szkolenia. Ben, niegdyś zaliczony do kategorii możliwych kandydatów, sprawił Jacenowi zawód, z którym kuzyn zamierzał się uporać, kiedy przyjdzie odpowiednia pora.

Ben miał swoich informatorów, którzy twierdzili, że Tahiri właściwie zajęła jego miejsce u boku Jacena.

W kosmoporcie Galactic City, kiedy z transportowca wysypał się tłum pasażerów podróżujących na dalekich trasach, Ben wmieszał się w strumień podróżnych ze wszystkich zakątków galaktyki. Czuł się jak samotna rybka w wielobarwnej ławicy. Z łatwością, jaką mu zapewniały osłona przeciwsłoneczna i peleryna, udawał jeszcze jednego młodego mężczyznę wśród milionów mieszkańców Galactic City. Może to było tylko jego pobożne życzenie, ale wyraźnie wyczuwał pod palcami zarost na brodzie - no, może nie zarost, a meszek, ale mimo to czuł się... inaczej. Nie wyglądał jak porucznik Skywalker.

Wsunął swój mikroobwód identyfikacyjny do szczeliny czytnika bramki systemu bezpieczeństwa kosmoportu - naturalnie fałszywy, jeden z kilkunastu, jakie miał przy sobie - a mimo to, kierując się ku wyjściu, cały czas oczekiwał wycia syren alarmowych. Na szczęście nic takiego się nie stało. Ben musiał już tylko pamiętać o tym,

żeby zmienić sposób chodzenia; musiał oszukać kamery systemu bezpieczeństwa, który identyfikował osoby po sposobie poruszania się. Wiedział, że jeśli to zrobi, będzie mógł chodzić wszędzie, gdzie tylko zechce. Mały kamyk w każdym bucie zmienił sposób jego chodzenia na tyle, żeby oszukać oprogramowanie kamer, ale nie pozbawiał go swobody ruchów. W worku, który mógł wywracać na drugą stronę, nosił kilka zmian ubrania. Dotarł do najbliższej publicznej toalety obok oddziału Banku Aargau, żeby się przebrać i jeszcze bardziej zmniejszyć szansę rozpoznania.

To twoja zasługa, Jacenie, pomyślał. To ty mnie tego wszystkiego nauczyłeś... a przynajmniej SGS.

W kabinie zmienił tunikę, czapkę i spodnie, odwrócił worek na drugą jasnobrazową stronę i włożył do niego poprzednie ubranie. Włożył także inne buty, na wyższych obcasach. Kiedy wyszedł z toalety, wyglądał jak ktoś zupełnie inny. Był inaczej ubrany, inaczej chodził. Wiedział, że jeżeli będzie stosował te metody, kamery systemu bezpieczeństwa nie zdołają go namierzyć.

Przyjaciółka Lona Shevu, Shula Palasj, pracowała w przedsiębiorstwie transportowym. Ben postanowił się z nią zobaczyć, bo na wszelki wypadek wolał się nie kontaktować przez komunikator. SGS mogło monitorować jej rozmowy; w końcu, kiedy jeszcze służył w SGS, podsłuchiwał rozmowy senatorów i polityków. Ruszył w stronę jej miejsca pracy, od czasu do czasu zawracając i oglądając się za siebie, jak kiedyś uczył go Jori Lekauf...

Każde wspomnienie Lekaufa odczuwał jak cios. Nawet kiedy był pogrążony w żałobie po śmierci mamy, niespodziewanie w jego pamięci pojawiał się Lekauf, a wraz z nim napływały wspomnienia. Nie był to taki ból, jaki go dręczył po śmierci matki, ale i tak chwilę trwało, zanim mijał. To Lekauf nauczył go, jak unikać wykrycia i jak śledzić inne osoby; wykorzystując te nauki w praktyce, udowodniał sam sobie, że ofiara życia Lekaufa nie poszła na marne. A zastosowanie tej wiedzy do obalenia Jacena było ze wszech miar słuszne.

Ben skreślił w alejkę ze sklepami z odzieżą i kawiarenkami. Co właściwie chce osiągnąć, myśląc o obaleniu Jacena? - zadał sobie pytanie. Był pewny, że nie chce go zabić. Nie zamierzał być jego sędzią. Chciał tylko przygotować dość materiału, żeby ktoś inny mógł go wykorzystać i zdecydować, co ostatecznie się stanie z Jacenem.

Jak należy postąpić z obalonym dyktatorem, a do tego z Si- them? - zastanawiał się. A co będzie, jeżeli tata go nawróci i sprowadzi z powrotem na Jasną Stronę? Jak mógłbym z nim przebywać w jednym pomieszczeniu po tym wszystkim, co zrobił?

Najpierw jednak sprawy najważniejsze: zebranie materiału obciążającego Jacena. Ben wiedział wprawdzie, że istnieje dość dowodów winy Jacena i że samo zabicie Jedi nie zrobiłoby z niego potwora. Ben wiedział jednak, że nie może się kierować względami osobistymi podczas zbierania dowodów.

Większość morderstw popełniają członkowie rodzin, powiedział sobie. Dlaczego przypuszczałem, że w naszej rodzinie będzie inaczej?

Cóż, pewnie dlatego, że jesteśmy Jedi, pomyślał.

W drodze do bazy transportowej, w której pracowała Shula Palasj, Ben korzystał z autobusów repulsorowych. Płacił gotówką nie żetonami kredytowymi, które było łatwo wysledzić, a drogę między stacjami przesiadkowymi pokonywał pieszo. Doszedł do wniosku, że nie musi już zmieniać sposobu poruszania się. Trochę wyższe obcasy powodowały, że się lekko garbił, a nawet odczuwał klucie w plecach. Godzinę i kilka zmian ubrania później stanął przed wejściem do bazy firmy GalacticSend.

Za bramą nie zobaczył nikogo znajomego. Baza tętniła życiem, a istoty wszystkich ras czekały w kolejce z paczkami do nadania albo z komputerowymi notesami w dłoniach, sprawdzając zawartość otrzymanych przesyłek. Ben podszedł do droida w liberii firmy GalacticSend. Automat kręcił się między klientami.

- Czy Shula jest dzisiaj w pracy? - zapytał. - Shula Palasj?

- Już tu nie pracuje - odparł droid.

A to ci niespodzianka. Shula musiała odejść z pracy niedawno, bo kiedy Ben ostatnio rozmawiał z Shevu, jego sympatia wciąż jeszcze tu pracowała.

Podziękował droidowi i wyszedł na ulicę. Chodząc ulicami, zastanawiał się, co dalej.

Będzie chyba musiał udać się do apartamentu Shevu. Wolałby tego nie robić, bo oficer mógł być śledzony, ale wciąż jeszcze miał jego przepustkę. A jeżeli Shevu zmienił kod... no cóż, dla Bena nie było to poważną przeszkodą. Następne kilka godzin spędził, kierując się okrężną trasą do kwartału apartamentowców. Kiedy dotarł do celu, był zmęczony i miał stanowczo dosyć ciągłych zmian ubrania.

Jak w większości stołecznych apartamentowców, wejścia strzegł zestaw kamer, który miał zapobiegać przestępstwom. Ben posłał w obiektywy krótki błysk intensywnego światła. Posłużył się Mocą, żeby je przeciążyć, dzięki czemu mógł niepostrzeżenie przejść do szybów turbowind. System monitorujący powinien zarejestrować przez tę chwilę tylko mroczne cienie. Na czterechsetnym piętrze Ben wyslizgnął się z kabiny na korytarz i zatrzymał się przed drzwiami apartamentu Shevu. Próbował wyczuć, czy ktoś jest w środku.

Nikogo nie stwierdził, posłużył się więc przepustką, ale nie działała. Użył Mocy, żeby zaprogramować zamek od nowa na kod z przepustki. Kiedy drzwi się rozsunęły, wsunął się do środka.

Odwiedzał apartament Shevu już wcześniej, kiedy kapitan dał mu przepustkę, żeby Ben nie musiał wracać do domu i konfrontować się z Lukiem. Młody Jedi wyczuwał w apartamencie znajomą atmosferę, ale miał dziwne wrażenie, że tym razem narusza prywatność przyjaciela. Pomyślał jednak, że Shevu by go zrozumiał. Zauważył, że z mieszkania zniknęło wiele rzeczy osobistych - a wśród nich kolekcja kolorowych wypchanych zwierząt Shuli, stopy holowideogramów i heptaliańska haftowana narzuta, która zdobiła kiedyś fotel. Czyżby sprzedali wszystko i się wyprowadzili? Mogło być tak, że Ben przebywa właśnie w apartamencie obcej osoby i czeka, aż nowy właściciel wróci i znajdzie siedzącego na sofie włamywacza Jedi.

Szybkie sprawdzenie zawartości szaf i kredensu upewniło go jednak, że Shevu wciąż jeszcze tu mieszka. Znalazł jego mundury, sprzęt do gry w bolo-piłkę i pudełka z pieprzowymi pałeczkami chlebowymi, za którymi kapitan przepadał. Z apartamentu zniknęły jednak wszelkie ślady obecności Shuli... nawet holoobrazki pary z wakacji na Naboo.

Wyglądało na to, że ze sobą zerwali. Cóż, służba w SGS generowała ciągle napięcia i nie sprzyjała trwałym związkom, a już służba pod rozkazami Jacena była coraz trudniejsza do zniesienia dla policjantów z CSB pokroju Shevu. Ben rozsiadł się wygodnie, skierowany twarzą do drzwi wejściowych. Oparł się pokusie skorzystania z komunikatora, chociaż chętnie dowiedziałby się, kiedy kapitan kończy służbę, uprzedził go, że ma gościa. Z drugiej jednak strony oficjalna pora końca służby w SGS ostatnio niewiele znaczyła. Mogła trwać nawet całą dobę.

Ben zajął się sprawdzaniem informacji na ekranie swojego komputerowego notesu i rozmyślaniami. Cztery godziny później, wyteżając zmysły Mocy, wyczuł obecność kogoś znajomego. Zastanowił się szybko, w jaki sposób zawiadomić Shevu, że Jacen postradał zmysły.

Czy mam mu od razu powiedzieć o mamie, czy dojść do tego stopniowo? - zadał sobie pytanie.

Zdecydował się improwizować. Usłyszał, że ktoś przystaje pod drzwiami. Cisza na korytarzu trwała jednak zbyt długo; czyżby Shevu tyle czasu szukał swojej przepustki? W końcu skrzydła drzwi się rozsunęły i Ben uświadomił sobie, że robienie niespodzianek doskonale wyszkolonemu policjantowi nie było najlepszym pomysłem.

Usłyszał cichy furkot uzbieranego blastera i podskoczył pod sufit w tej samej chwili, kiedy Shevu wpadł do środka i dał ognia. Ben odbił błyskawicę blasterowego strzału, a na podłogę spadł stos holozinowych podkładek.

- Panie kapitanie, panie kapitanie... to ja, Ben! - zawołał, trzymając ręce daleko od ciała. - Niech pan nie strzela!

Shevu, ciężko dysząc, przyklęknął na jedno kolano za osłoną fotela, cały czas mierząc do Bena ze służbowego blastera.

- Niech to szlag, Ben - warknął w końcu, rozluźnił się i na chwilę zamknął oczy. - Nie rób tego więcej! Uprzedzaj mnie wcześniej, na miłość galaktyki!

- Przepraszam - bąknął młody Jedi. - Przykro mi z powodu tych holozinów.

Shevu wstał, wyszedł na korytarz i powiedział coś, chociaż Ben nie widział do kogo. Niewątpliwie to sąsiedzi wyjrżeli na korytarz, żeby sprawdzić, skąd ten hałas. Ben usłyszał jeszcze: „Myślałem, że to włamywacz, ale to mój kumpel”, zanim Shevu zamknął drzwi za sobą i stanął przed Benem..

- Masz szczęście, że jesteś Jedi - powiedział. Wyglądał na mocno wstrząśniętego. - W przeciwnym razie byłbyś już martwym kumplem.

- Staralem się najpierw skontaktować z Shulą- wyjaśnił Ben. - Nie chciałem pana narażać na kłopoty.

Oficer podniósł rozrzucone i stopione holoziny, zlepione w duże bryły.

- Masz kłopoty? - zainteresował się.

- Nie, to Jacen ma kłopoty - odparł młody Jedi.

- Czyli wszystko w porządku. - Shevu uniósł brwi. - Wszyscy tkwimy w tym samym bagnie. Powiedziano mi, że już nie służysz w SGS. Jacen nie wyjaśnił powodów twojego odejścia, ale kiedy zasugerował, żebyśmy mu meldowali, kiedy cię spotkamy, wyciągnąłem z tego własne wnioski. Trochę trudno ignorować zamęt, jaki ogarnął Radę Jedi. - Shevu zreflektował się, że popełnił gafę. - Co ze mnie za kolega? Przykro mi z powodu twojej mamy, Benie. Naprawdę przykro. Co za bezmyślność z mojej strony!

Ben wziął głęboki oddech i postanowił zanurkować na głęboką wodę. Pewnie nie będzie miał lepszej okazji.

- To Jacen ją zabił - powiedział.

- Taa, masz rację.

Bena zdziwił nie tyle beztroski ton Shevu, ale sam fakt, że w ogóle to powiedział. Kapitan nie był wcale wstrząśnięty. Nie był nawet zaskoczony.

- Wiedział pan o tym? - zapytał chłopak.

- Daj spokój, Benie, znasz się na zbieraniu dowodów równie dobrze jak ja. Nie dysponuję wprawdzie niczym pewnym... - zastrzegł się oficer. Sprawdził zamki w oknie i drzwiach, jakby nagle zaczął przestrzegać zasad bezpieczeństwa. Potem przeszedł do kuchni, skąd po chwili doleciał szczęk talerzy, plusk płynącej wody i trzaskanie drzwiczkami szafek. Niebawem do salonu napłynął aromat świeżo parzonego kawy. - Wszystko jednak przemawia za tym, że to on, zupełnie jakby zostawił odciski palców... naturalnie, gdyby Jedi w ogóle je zostawiali. Uwierz mi, byłby pierwszym podejrzanym, którego złapałbym za kołnierz.

- Moi rodzice i inni Jedi uważają że to sprawka Alemy Rar.

- A kto to taki?

- Obląkana Ciemna Jedi, która miała żal do cioci Leii - odparł chłopiec. - Lubiła się posługiwać zatrutymi strzałkami, a wiemy, że właśnie to było... powodem śmierci mamy. - Gdyby Ben potrafił chociaż parę godzin nie traktować tej zbrodni w kategoriach osobistych, może potrafiłby zachować zimną krew. Nie zapominam o tobie, mam, po prostu muszę to zrobić, pomyślał. - Alema już nie żyje, więc nie możemy niczego potwierdzić.

Shevu parsknął z udawanym rozbawieniem.

- Nie wolno tracić świadków, Benie - powiedział. - To wstrząs, kiedy przychodzi do uzgadniania zeznań aresztantów.

- Alema stoczyła walkę z pewnym Jedi, którego wysłano w ślad za nią - wyjaśnił chłopak. - Prawdę mówiąc, doszło do tego, że mogła przeżyć albo ona, albo my. Cały czas usiłowała zamordować ciocię Leię.

- To wyjaśnia, dlaczego wyglądasz o wiele poważniej - stwierdził kapitan i prychnął niezadowolony. Ben wiedział, że Shevu nie lubi, kiedy chłopców w wieku Bena wystawia się na niebezpieczeństwo, ale on nie rozumiał, że wśród Jedi wszystko wygląda inaczej. - No dobrze, a więc Jacen jest głównym podejrzanym. Kilka dni temu zabił młodą oficer na mostku „Anakina Solo” na oczach całej załogi. Skręcił kark porucznik Tebut, nawet nie dotykając jej palcem, a potem cisnął kapitana Nevila na drugi koniec pokładu. - Shevu wyszedł z kuchni z dwiema parującymi filiżankami. - Rozumiesz, co miałem na myśli, mówiąc o odciskach palców?

Ben powinien być wstrząśnięty, ale czuł tylko głęboki żal, że jedynymi osobami, które nie widzą, jakim potworem stał się Jacen, są Jedi, a zwłaszcza członkowie jego rodziny. Jacen pozostawiał za sobą szlak znaczone martwymi ciałami.

- Torturował nawet mnie - wyznał, ale uświadomił sobie, że zabrzmiało to, jakby użalał się nad sobą. A przecież nadal żył. - Tata stoczył z nim walkę i nie pozwolił mi go zabić.

Na twarzy Shevu odmalowało się napięcie, jakby mężczyzna z trudem powstrzymywał wybuch.

- Szkoda, że ci nie pozwolił - wycedził. - Jacen Solo to wariat. Psychopata.

- Jacen wcale nie jest obłąkany - sprzeciwił się Ben. - Jest Si- them. Wie pan, kim są Sithowie?

- Prawdę mówiąc, nie.

- To Jedi, którzy posługują się tylko Ciemną Stroną Mocy - wyjaśnił Ben. - W rzeczywistości nie zasługują na to, żeby nazywać ich Jedi.

- A więc to źli faceci - stwierdził Shevu. - Ale to nie jest nielegalne. Po prostu niewłaściwy kult.

- Tak, chyba tak - przyznał młody Skywalker.

- W porządku, ale czy to wariat, czy Sith moralny inaczej, czy jak tam zechcesz to nazwać... Jacen wykazuje tendencję do stosowania ekstremalnej przemocy, a mój instykt policjanta nakazuje mi zwracać na takie przypadki uwagę. Jak wygląda twoja teoria na temat zabójstwa swojej mamy?

Ben mógł wreszcie porozmawiać z Shevu o sprawach zasadniczych.

- Jacen znajdował się we właściwym miejscu, miał też środki i możliwości do popełnienia tego zabójstwa, jeżeli zaś chodzi o motyw... Moim zdaniem mama po prostu się dowiedziała, że

Jacen jest Sithem. Nie mam dowodów łączących go z miejscem zbrodni, tyle tylko że odnalazł mnie przy zwłokach mamy, a nie powinien był tam trafić. To niestety jedyne, co mogę mu zarzucić.

- Przypuszczam, że do tej pory miejsce zbrodni zostało zniszczone - odezwał się Shevu.

- Wszystko zarejestrowałem wcześniej - odparł Ben.

- Brawo - pochwalił go kapitan. - Jeszcze zrobimy z ciebie detektywa CSB.

- Wszystkim mówię, że to sprawka Jacena, ale kiedy się okazuje, że w grę wchodzi Alema, wszyscy uważają że przemawia przeze mnie osobisty żal. Pewnie łatwiej im myśleć, że sprawcą był ktoś spoza rodziny. Potrzebuję pańskiej pomocy, kapitanie.

- Daj spokój z tym kapitanem. Mam na imię Lon - odparł She- vu, siorbiąc kaf. - Ogromną większość zbrodni popełniają osoby bliskie ofierze: członkowie rodziny, kochankowie, przyjaciele. Gromadzą w sobie emocje, mają łatwy dostęp do ofiary... jedno prowadzi do drugiego. Wiesz, co mam na myśli. Bardzo rzadko zdarzają się owładnięci żądzą mordu maniacy, nawet na najniższych poziomach Galactic City. A jeżeli chodzi o twoją prośbę... naturalnie, że ci pomogę. To dochodzenie w sprawie o morderstwo.

Ben nie spodziewał się niczego innego. Oceniał Shevu prawidłowo, ale wiedział, że naraża oficera na duże niebezpieczeństwo.

- Powiesz mi, co się stało z Shulą? - zapytał. - Wygląda na to, że usunąłeś wszelkie ślady jej pobytu.

- Dla jej własnego bezpieczeństwa odesłałem ją do rodziców na Vaklina - odparł kapitan. - Pobraliśmy się w tajemnicy, a następnie odprawiłem ją z Coruscant i pozbyłem się wszystkiego, co łączyło ją ze mną.

- Dlaczego?

- Bo ludzie, którzy sprzeciwiają się Jacenowi Solo, łatwo umierają, a ja gromadzę przeciwko niemu dokumenty. Moja sytuacja może niebawem się pogorszyć. Kiedy Shula znajdzie się w bezpiecznym miejscu, moim jedynym problemem będzie to, czy tylko odsunąć go od władzy i oskarżyć za pośrednictwem Sojuszu, czy też lepiej będzie, żeby zajął się nim Fett albo Rada Jedi. Moim zdaniem najlepsza będzie zemsta Fetta.

Shevu krytykował metody Jacena od chwili, kiedy ten zabił córkę Fetta podczas przesłuchania, ale Ben nie uświadamiał sobie, że od tamtej pory niechęć kapitana przeszła w zajadłą nienawiść.

- Zróbmy to razem - zaproponował.

- Tak czy owak, pozostanę w cieniu tak długo, jak to będzie możliwe - odparł Shevu z rezygnacją. - Jacen lubi, kiedy kręcę się w pobliżu, nawet na pokładzie „Anakina Solo”.

Ben zastanawiał się, jak szybko jego ojciec zauważy, że syn się nie zgłosił, i zacznie się interesować, co Ben robi i gdzie się po-
dziewa. Wyłączył komunikator na wypadek, gdyby Luke chciał z nim porozmawiać, a jego sygnał został przechwycony. Postanowił, że wkrótce i tak o wszystkim ojcu opowie. Czuł się trochę lepiej, skoro zamierzał wyrazić to, co czuje: „Próbowałem tylko powiązać luźne końce, tato, i upewnić się, że niczego nie przeoczyłem. Wszystko w porządku, Lon Shevu powstrzyma mnie przed zrobieniem czegoś szalonego”. Jednak uświadomił sobie, że Luke pewnie zechce, aby Shevu mu pomógł, stając się szpiegiem w wewnętrznym kręgu Jacena. A Shevu się na to zgodzi, bo nie liczy na sprawiedliwość ze strony Galaktycznego Sojuszu w dającej się przewidzieć przyszłości, a jest zbyt przyzwoity i uczciwy, żeby przejść na stronę Konfederacji.

Wszystko, czego Jacen się dotknął, było zbrukane. Ben głęboko odetchnął, upił trochę kawy i postanowił pohamować gniew, który zatruwał wszystkich wokół.

- Połączmy siły. - Shevu odstawił kubek na niski stolik i oparł czystą holoplanszę o krzesło po przeciwnej stronie. Wziął rysik i zaczął rysować kolumny po jednej stronie planszy i rodzaj tabeli po drugiej. Ben wiedział, że właśnie w taki sposób detektywi CSB rozwiązują zagadki kryminalne. - Zapiszmy wszystko, co wiemy.

Ben próbował wyobrazić sobie, jak paskudnie czuli się Shevu i Shula, kiedy się pobrali i zaraz musieli się rozstać. Shevu chyba przyspieszył ślub, bo gdyby mu się coś stało, władze zatroszczyłyby się o Shulę jako o wdowę po oficerze. Była to przygnębiająca świadomość, ale w obecnych czasach ludzie musieli myśleć w taki sposób.

Jacen naprawdę potrafił niszczyć rodziny.

Osobista szalupa admirał Niathal, w drodze na planetę N'Zoth

Niathal nie była pewna, co zrobi Jacen, kiedy odwróci się do niego plecami, ale postanowiła nie poddawać się paranoi, której początki dostrzegała już pośród pracowników służby cywilnej i senatorów.

Mimo to podczas wyprawy na planetę N'Zoth zmieniała statki kilka razy pod pretekstem inspekcji napotykanym jednostek, począwszy od statków pomocniczych, a skończywszy na transportowcach wojskowych. W końcu wyruszyła w dalszą drogę sama w osobistej szalupie, nie zabierając nawet pilota. Czym innym było niepoddawanie się paranoi, a czym innym szukanie kłopotów. Niathal potrafiła pilotować statek bez pomocy dziesięciu oficerów, którzy wykonywaliby wszystkie jej rozkazy. To był najbezpieczniejszy sposób. Kalamarianka miała nadzieję, że we flocie rozejdzie się wiadomość, iż Stara Góra Lodowa, jak ją przezywano, udaje się na potajemną randkę z kochankiem. Zawsze warto rozpowszechniać takie historie.

A ona po prostu musiała się zobaczyć z Lukiem Skywalkerem.

Rzadko udawała się gdzieś zupełnie sama, bez członków załogi po drugiej stronie cienkiej przegrody czy funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. Nie robiła tego od czasu, który wydawał się jej wiekiem, a prawdopodobnie trwał zaledwie kilka miesięcy. Starła się uważać, z kim rozmawia, z kim kontaktuje się przez komunikator i z kim jada posiłki. Nawet senator G'Sil - dość jej bliski w poglądach politycznych - tylko witał ją na korytarzu skinieniem głowy i szedł dalej w swoją stronę. Rada Bezpieczeństwa nie miała na razie nic do roboty; jej członkowie martwili się tylko, co Jacen z nią zrobi, skoro w ogóle się z nimi nie konsultował. Chyba trzeba mu przypomnieć, że ma obowiązek konsultować się choćby z nią admirał Niathal.

No cóż, tym razem to ona się z nim nie konsultowała. Zajął ją pozycję w pobliżu punktu spotkania, piętnaście tysięcy kilometrów od planety N'Zoth, i zaczęła wypatrywać na monitorach skanerów, czy nie pojawią się jakies statki. Ciekawe, czy zawsze spotkania z Lukiem będą przebiegać w taki sposób. Rebelianci postępowali tak od dwudziestu lat, starając się obalić Imperium. Wydawało się jej to okropne.

Była współprzywódczynią Galaktycznego Sojuszu, ale nie miała nic do powiedzenia.

- *Stang* - zakłęła nagle, zła na siebie. - Jeżeli na to pozwolę, będzie tak przez następnych dwadzieścia lat.

Luke Skywalker się spóźnił. Niathal sprawdzała wskazania skanerów, stopniowo zwiększając ich zasięg i szukając w szerszym spektrum sygnałów. Obawiała się najgorszego, ale na szczęście rozległ się sygnał

ostrzegający o zbliżeniu się nieznanego obiektu. Kalamarianka o mało się nie katapultowała z wrażenia.

Po chwili usłyszała brzęczyk komunikatora bliskiego zasięgu:

- Admirał Niathal, proszę o pozwolenie wejścia na pokład...
- Mistrzu Skywalker, o mało nie przyprawiłeś mnie o zawał - jęknęła.
- Lecę stealthX-em - wyjaśnił Luke. - Nie było sensu ryzykować.
- Powiem producentowi, że jego maszyny spisują się na medal.

Pragmatyczka w Niathal stwierdziła, że niewykrywalna technologia jest świetna, pod warunkiem że ludzie, którym się ją udostępnia, znajdują się zawsze po naszej stronie. Flota miała duże kłopoty z odnalezieniem zestrzelonego stealthX-a Mary Skywalker, więc to była broń obosieczna. Admirał zaczekała, aż wszystkie światła dokujące zapłoną zielonym blaskiem, i otworzyła rufowy właz niewielkiej ładowni towarowej.

Górna część owiewki kabiny stealthX-a zaklinowała się w próż- nioszczelnym rękawie dokującym, wskutek czego myśliwiec wyglądał, jakby staranował wyrzutnię od tyłu pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Luke wyskoczył z otwartej kabiny i wylądował miękko na podłodze.

- Wiem, wiem... zahamowałem zbyt raptownie - przyznał, żeby poprawić humor Kalamariance.
- Przypomnij mi, żebym poprosiła tych z Incomu o zainstalowanie rury dokującej.

Luke wziął Niathal za rękę, zadowolony ze spotkania.

- Przepraszam, ale w tych dniach po prostu nie chcę ryzykować - powiedział.
- Nikt z nas tego nie robi - przypomniała admirał. - Dziękuję, że zechciałeś się ze mną zobaczyć.
- Cała przyjemność po mojej stronie, pani admirał - odparł Luke. - Ja też chciałbym cię prosić o przysługę.
- Postaram się streszczać - zaczęła Niathal. - Nie wiem, czy słyszałeś, że Jacen nabrał zwyczaju zabijania oficerów ze swojego okrętu, i to na oczach pozostałych członków załogi. Posługuje się w tym celu Mocą.

Luke zamknął na chwilę oczy. Wyglądał starzej, niż Niathal go pamiętała; policzki mu obwisły, a cera poszarzała. Kalamarianka pomyślała z niedowierzaniem, że młody Solo może być odpowiedzialny za śmierć Mary - ale chyba nawet on nie posunąłby się tak daleko. Czekala, aż Luke coś powie. Wielki Mistrz Jedi zachował jednak milczenie.

- Wiem, że Jacen nie ma skrupułów i łatwo zabija - stwierdziła. - Chyba mam rację, że nawet ty stwierdzisz, iż tym razem przekroczył granicę.
- Bo przekroczył - zgodził się Luke.
- Jakkolwiek by spojrzeć na tę sprawę, może dać nam pewną przewagę - oceniła Niathal. - Ofiara życia biednej porucznik Te- but nie pójdzie na marne, bo Jacen może stracić lojalność swoich podwładnych. Chyba żeby umocnił swoją władzę dzięki przemocy.

Luke potarł dłonią twarz.

- Dobrze wiem, jaki taka wzmacniająca morale technika odnosiła skutek w pokoleniu mojego ojca - powiedział.
- Pamiętaj, że cały czas mam obowiązki względem Sojuszu i mojego personelu - przypomniała Niathal. - Jestem gotowa przekazywać ci tajne informacje, pod warunkiem że wykorzystasz je, aby obalić Jacena. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz... założysz mu kaftan bezpieczeństwa i umieścisz w zacisznym, odległym klasztorze czy też wypchniesz go z najbliższej służby... byleby tylko zniknął. - To były surowe słowa, ale Niathal nie wiedziała, na co ludzie są gotowi, żeby zmusić do posłuszeństwa niesfornych krewnych. - Musi zostać pozbawiony stanowiska. W tej chwili kolejny przewrót nie wchodzi w rachubę, więc mogę liczyć tylko na zneutralizowanie wpływu Jacena na Galaktyczny Sojusz. Mam nadzieję, że nie będzie to kosztowało życia zbyt wielu osób.

Nie byłaby pierwszym dostojnikiem stojącym przed koniecznością dokonania trudnego wyboru, kiedy

przywódca państwa dąży do wzajemnego wyniszczenia. Zachowała zdrowy rozsądek i leżała jej na sercu dobro Galaktycznego Sojuszu, nie zaś los Jacena Solo.

Zaraz, zaraz... myślę, jakbym była jego zastępcą uświadomiła sobie. Tymczasem mamy taki sam zakres władzy. Czyżbym próbowała zrzucić z siebie odpowiedzialność? Przecież to ja pomogłam Jacenowi w zdobyciu władzy.

- Jest wielu Jedi, którzy próbują go schwytać, pani admirał - oznajmił Luke. - Czy myślisz, że Jacen oszalał?
- Nie - powiedziała Niathal bez wahania. - Widziałam w życiu aż za dużo zdrowych na umyśle osób, zdemoralizowanych przez nadmiar władzy. Jacen nie jest obłąkany. Po prostu zbyt często dostawał to, co chce, a teraz nie potrafi patrzeć na świat z innej perspektywy.
- Co powiesz na to, że Jacen jest Sithem?
- Słyszałam to określenie - przyznała Kalamarianka. - Nic jednak nie wiem o Sithach.
- Sithowie to władcy Mocy, którzy wolą Ciemną Stronę - wyjaśnił Luke. - Jak Palpatine.
- Och... rozumiem. Upadli Jedi.

Luke zacisnął usta i zerknął w bok.

- To ciekawe, co mówisz... właśnie tak nazywają ich Mandalo- rianie - powiedział. - Określają ich jako byłych Jedi, chociaż nie zawsze tak jest.
- Co za różnica, za kogo będziemy go uważać? - zapytała Niathal. - Czy Jacen dysponuje siłami, które odróżniają go od zwykłych Jedi?

Luke zrobił zakłopotaną minę. Niathal nie miała pojęcia dlaczego.

- Niezupełnie - odparł Mistrz Jedi. - Jacen jest po prostu silny z natury i potrafi się posługiwać techniką bitewnej medytacji, która daje mu pogłębioną świadomość wszystkiego, co się dzieje na polu bitwy.

To już zauważyłam, pomyślała Niathal.

- Kręci się koło niego młoda kobieta, niejaka Tahiri Veila - oznajmiła. - Jacen używa jej do wykonywania swoich rozkazów.
- Musimy teraz porozmawiać na temat Bena - zaczął Luke. Podszedł do Niathal i spojrzał jej w oczy, przechylając głowę. Potem wziął ją za rękę. - Wybacz, pani admirał. W tych czasach każdy boi się własnego cienia. Nie chcę narazić niczyjego życia, więc muszę mieć pewność. Ben znów gdzieś zniknął, a ja podejrzewam, że wrócił na Coruscant. Prawdopodobnie próbuje zebrać dowody, które pozwolą mu oskarżyć Jacena o zabicie Mary.

Niathal w duchu westchnęła z ulgą. A więc nie tylko ona podejrzewała, że Jacen byłby zdolny do zamordowania własnych krewnych.

- Jeżeli go spotkam, dopilnuję, żeby otrzymał wszelką pomoc i nie wpadł w tarapaty - obiecała. - Zwłaszcza jeżeli zamierza ścigać Jacena, żeby się zemścić.
- Już tego próbował... po tym, jak Jacen go torturował - wyznał Luke.
- Sądziłam, że ten człowiek nie jest zdolny do niczego gorszego... - zastanowiła się Niathal.
- Zemsta nie zgadza się z filozofią Jedi i Ben powinien się z tym pogodzić, ale jest młody, narwany i uparty. Spróbuj na niego trafić. Może przebywać w tej chwili w towarzystwie kapitana Shevu. Kiedyś byli sobie bliscy.
- Ufasz Shevu? - zagadnęła Kalamarianka.
- Tak. Moja pewność zrodzona z Mocy. Widzę uczciwość w tym młodym mężczyźnie.

Niathal musiała zrewidować swoją opinię o kapitanie, który okazał się odważniejszy, niż myślała.

- Zaufana osoba służąca w SGS bardzo by nam wszystkim pomogła - powiedziała.
- Wykorzystujemy ludzi ze słusznych pobudek, prawda? - zapytał Luke.
- Zgadza się - przyznała Niathal.
- A zatem do następnego razu.

Luke wskoczył z powrotem do kabiny swojego stealthX-a ze zwinnością młodszego mężczyzny. Zaparł się kolanami i zaczekał, aż zacisną się wokół niego pasy ochronnej uprząży. Po chwili zamknęła się owiewka, a Luke pożegnał Niathal uniesionym kciukiem niczym pilot, który zabiera na lot próbny nową maszynę. Zaraz potem opadła przegroda systemu bezpieczeństwa, żeby uwolnić próżnię w dokującym rękawie, i Luke zniknął.

Biedny Ben, pomyślała Niathal. Życzyła chłopcu powodzenia i postanowiła, że pomoże mu osiągnąć to, czego pragnie... jeśli tylko będzie mieć okazję.

O nie, Jacenie, pomyślała, nie ujdzie ci to na sucho. Nie w mojej Marynarce.

Phaeda, Sektor Imperium, Depozyty Skarbca, Derapha

Płyta karbonitu spoczywała na stojaku na krzyżakach, okryta szarym całunem z syntetycznego aksamitu. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że to katafalk.

Fett wciągnął w nozdrza zatechłe powietrze i wyjął mikroobwód, który dostał w Urzędzie do Spraw Testamentów i Spadków, uprawniający go do odebrania rzeczy zmarłego gangstera o nazwisku Rezodar. Urzędnik sprawdził mikroobwód i cofnął się, żeby Fett i Mirta mogli wejść do magazynu.

Fett nie znał Rezodara, ale wcale się tym nie przejmował. Mógł się domyślić, jaki styl życia wiódł gangster. W końcu to była Phaeda. W porównaniu z nią księżyc Nar Shaddaa wyglądał wręcz elegancko. Fett nie był na Phaedzie od czasów świetności Imperium.

Jeszcze jeden element z przeszłości, który powrócił tego ponurego dnia, żeby go prześladować.

- Zostawię was, żeby mógł pan wyczyścić magazyn - odezwał się urzędnik. - Ma pan na to najwyżej trzy godziny. Wszystko musi stąd zniknąć. Jeżeli potrzebuje pan pomocy przy załadunku, może pan poprosić droida.

Fettowi zależało tylko na jednej rzeczy w tym magazynie. Całą resztę i tak zamierzał wyrzucić za burzę, rozdać zasługującym na to biedakom albo - zważywszy, że byli na Phaedzie - niezasługują- cym na to przestępcom.

- W porządku - powiedział i zrobił kilka kroków do przodu. Odległość od stojaka wydawała mu się niewiarygodnie duża, niczym pokryta piaskiem arena Geonosis, którą musiał pokonać, żeby dźwignąć ciało ojca. Pozostawało jeszcze przetransportowanie ciała Ailyn i pochowanie po raz drugi szczątków ojca... Przez ostatni rok Fett stanowczo zbyt często odgrywał rolę karawaniarza. Nie był przesadnie wrażliwy, ale zaczynał się zbliżać do granic tolerancji.

Problem w tym, że Sintas żyje, uświadomił sobie. Ty też żyjesz, pomyślał, chociaż zdarzają się dni, że wolałbyś być martwy.

- W jakiej kolejności zamierzasz to zrobić? - zapytała Mirta. Była dziwnie milcząca, odkąd wyznał jej prawdę o Shysie. Stała teraz po drugiej stronie przykrytego całunem bloku karbonitu. Zdjęła nowy hełm, który ojciec Orade'a wykonał specjalnie dla niej, żeby pasował do płytek pancerza, polakierowanych na ciemny fiolet. Kiedy jedną dłonią przyglądała krótkie, kręcone włosy, przez chwilę wyglądała jak własna babka. Podobieństwo było widoczne, szczególnie w okolicy ust, bo oczy odziedziczyła zdecydowanie po jego rodzinie.

- Sprawdźmy najpierw ten karbonit - zaproponował Fett. W ten sposób przyznał, że troszczy się tylko o Sintas, a wszystko inne uważa za balast.

Chwytał skraj aksamitnego całunu ze swojej strony. Zauważył, że materiał przylgnął do niegdyś znajomej twarzy. Pociągnął mocniej i przypomniał sobie widok pokiereszowanej twarzy Ailyn, kiedy Mirta otworzyła worek na ciało. Była to twarz obcej osoby, którą powinien był znać, ale w której życiu nie brał udziału.

- Och... - westchnęła Mirta.

Fett nie zamierzał jej uciszać; w końcu dopiero drugi raz tego dnia usłyszał jej westchnienie.

Nawet przez mętną karbonitową skorupę można było rozpoznać rysy Sintas. Była nadal piękna. Fett zgiął lekko kolana, żeby przyjrzeć się jej twarzy pod światło; żona wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Te same wystające kości policzkowe, długie proste włosy i mały, spiczasty podbródek. Z rękami ułożonymi wzdłuż boków i zamkniętymi oczami wydawała się spać. Fett widział dawniej wiele osób zamrożonych w karbonicie, ale wszystkie miały na twarzy grymas bólu i przerażenia; pogrążanie żywej istoty w stan hibernacji musiało być okropnym przeżyciem. Mimo to Sintas wyglądała na spokojną.

Może ten buhacz zamroził ją, kiedy już nie żyła? - zastanowił się Fett.

Na chwilę poczuł ulgę, ale zaraz skarcił się za to w duchu. Cóż, martwa Sintas nie przywołałaby nieszczęsnej przeszłości ani nie przeżywała udręki niepamięci. Fett aż do tej chwili czuł się tak, jakby Sintas dawno nie żyła.

Spójrz prawdzie w oczy, Fett, nakazał sobie. Byłeś zawsze odważny. Co pomyślałby o tobie ojciec, gdyby się dowiedział, że jesteś zanadto przerażony, aby usłyszeć kilka słów prawdy? To właśnie przez strach znalazłeś się w takiej sytuacji.

- Może sama nam opowie, jak się tu znalazła - powiedział, odsuwając wszelkie inne myśli. Było na to o pięćdziesiąt lat za późno. - Idź po repulsory.

Przytwierdził po jednym repulsorze do każdej krawędzi karbonitowej płyty i rozejrzał się po magazynie. Wszędzie stały okratowane skrzynie różnej wielkości. Wszystkie były zakurzone i zamknięte. Nie miał wyboru, musiał zabrać je w takim stanie, jak były. Potem zapozna się z ich zawartością, licząc na to, że rzuci chociaż trochę światła na los, jaki spotkał Sintas.

Mirta sprawdziła zamki skrzyń i zaczęła przytwierdzać do nich repulsory. Fett nigdy nie musiał jej mówić, co ma robić. Młoda kobieta uczyła się szybko i bez narzekania starannie wykonywała każdą pracę. W zły humor wprawiały ją tylko emocjonalne problemy z dziedzictwem czy z rodziną. Popychając skrzynię przed sobą w powietrzu, kierowała ją w górę rampy załadunkowej „Niewolnika I”, a później biegiem wracała po następną. Fett cały czas pilnował bloku karbonitu kryjącego Sintas; nie mógłby zostawić jej samej w tym ponurym miejscu.

- Jesteś gotów? - zapytała Mirta, ściągając rękawice i postukując nimi o pancierz na udzie, żeby wytrześć kurz. Potem znów je włożyła. - Zapytałabym, jak się czujesz, ale wątpię, czy doczekałabym się odpowiedzi.

- Nic mi nie jest - odparł Fett. - A ty jak się czujesz?

- Kiepsko - mruknęła wnuczka. - Jestem przerażona. Nie mam pojęcia, jak powiedzieć babci, co stało się z mamą. Nie wiem, co zrobić, jeżeli po rozmrożeniu okaże się obłąkana. Może byłoby dla niej lepiej, gdyby się nigdy nie obudziła? Ale nie martw się, jakoś sobie poradzę.

- Ja jej to powiem - oznajmił Fett.

- Uprzedź mnie, kiedy zechcesz to zrobić - poprosiła Mirta. - Powiesz mi, w jakich okolicznościach się rozstaliście?

Fierfek, nie da się uniknąć rozmowy na ten temat, pomyślał Fett.

- Postrzeliłem ją - powiedział. - Dla jej własnego dobra.

- Taa, a już myślałam, że to było podczas spaceru skąpaną w księżycowym blasku plażą na Naboi, zakończonego czułą obietnicą że zostanieie przyjaciółmi - zadrwiła wnuczka.

- Postrzeliłem ją bo zamierzała otworzyć paczkę z ładunkiem wybuchowym - wyjaśnił Fett. Pstryknął przełącznikami na obudowie repulsorów i zepchnął płytę karbonitu ze stojaka, po czym skierował ją do wyjścia. Mirta odskoczyła w bok. - Miała po tym strzale tylko niewielkie oparzenie - dodał. - Kilka godzin po odmrożeniu nie powinien pozostać żaden ślad. Rany Sintas zawsze szybko się goiły.

- Nie zaczekałeś, żeby sprawdzić? - zapytała wnuczka.

- Żyła, kiedy ją zostawiłem.

Stanowczo miała więcej szczęścia niż Shysa.

Fett doszedł do wniosku, że nie powinien był mówić wnuczce, co się stało z Shysą. Cóż, w kontaktach z Mirtą popełniał błąd za błędem. Prawdę mówiąc, tak samo było w kontaktach z innymi kobietami. Sintas nie wie, jakie miała szczęście, że się rozstali, zanim mógł naprawdę spaskudzić jej życie.

- Śmierć Shysy była aktem łaski - powiedział.

Mirta odwróciła się do niego plecami; fioletowe płyty jej pancerza były ozdobione złotymi wzorami, jakie Fett widział kiedyś na pancerzu klanu Vevuta. A zatem Mirta naprawdę chce poślubić Ghesa Oradei. To oznaczało, że Fett będzie miał prawnuka i stanie się krewnym Novoca Vevuta oraz reszty klanu. Nie miał pojęcia, czy zdoła do tego przywyknąć. Musiałby się zżyć z nową rodziną zapuścić korzenie. Tymczasem Fett zawsze cenił samotność i łatwo sobie z nią radził.

- Cedzisz po jednym słowie, *Ba'buir* - stwierdziła Mirta. - Albo wyrzuc z siebie wszystko, albo milczmy razem... *Ba'buir*.

W języku *Mando 'a* na określenie „dziadka” i „babci” używano tego samego słowa. Język nie stosował rozróżniania płci, a zresztą Fett nim nie władał, jeżeli nie liczyć pojedynczych słów, których uczyła go Mirta. Dopiero teraz sobie uświadomił, że to on był *Ba'buirem* - dziadkiem. Dosyć się tym przejął.

- Nie chciałem tego zrobić - powiedział. - Nie chciałem zostać Mandalorem. Gdybym jednak nie postrzelił Shysy, Mandalor zginąłby okropną śmiercią. Byłem mu to winny, a nawet coś więcej.

- Mogłeś się zachować przyzwoicie i mimo wszystko przekazać *kyr 'bes* komuś innemu.

Fett poznał znaczenie tego słowa niedługo po swoim ślubie. Oznaczało koronę, czaszki mitozaura, zastrzeżoną dla urzędu *Mand'alora*.

- Dałem Shysie słowo, że uszanuję jego przedśmiertne życzenie - wyznał.

Mirta zerknęła na niego przez ramię, ale nic już nie powiedziała. Fett zastanowił się, czy wnuczka mu wierzy. I tak nie był w stanie dalej mówić, więc w milczeniu ułożył płytę karbonitu na podwyższeniu w ładowni towarowej i z powrotem okrył ją całunem z syntetycznego aksamitu.

Jednym ze sposobów radzenia sobie z bolesnymi wspomnieniami było zastępowanie jednych innymi. Działało to równie dobrze jak odpoczynek. W drodze powrotnej na Mandalorę Mirta często wstawiała z fotela drugiego pilota i znikwała w ładowni. W końcu Fett poszedł za nią żeby się przekonać, co wnuczka tam robi, i znalazł ją siedzącą obok Sintasa. Mirta, z ręką na ramieniu babki, cicho coś do niej mówiła.

- Nie słyszy cię - powiedział Fett.

- Niektórzy twierdzą że zamrożone w karbonicie osoby słyszą.

Podobno Han Solo słyszał wszystko, ale Fett nie widział powodu denerwowania wnuczki jeszcze bardziej.

- Już niedługo cię usłyszy - zapowiedział.

Ale Mirta się nie poddawała.

- Może tylko ćwiczę, co jej powiem - oznajmiła.

Fett postanowił być przy niej, kiedy żona zacznie reagować. Żałował, że nie jest choć w połowie tak silnym mężczyzną, jakim był jego ojciec. Jango Fett wiedziałby, co powiedzieć.

„Niewolnik I” wylądował o zmierzchu na farmie Beviina w Kel-dabe. Naprzeciwko Fetta wyszedł niewielki komitet powitalny złożony z osób o ponurych minach. Łowca nagród poczuł się paskudnie ze świadomością, że teraz wszyscy się dowiedzą, jakim był okropnym mężem i ojcem. Doktor Beluine także się pojawił, skoro go o to poproszono. Wyglądał absurdalnie w wykwintnym miejskim ubraniu, a jego srebrzyste włosy rozwiewały podmuchy lekkiego wiatru. Beviin i jego partner, Medrit Vasur, gapili się na blok karbonitu ze stosownie smutnymi minami. Rzadko widywało się na twarzy Beviina coś innego niż pogodny, szeroki uśmiech.

Medrit uniósł brew.

- Nie jestem ekspertem, ale twoja żona była piękną kobietą, Fett - powiedział.

Łowca nagród zwrócił uwagę na czas przeszły i sugestię, że nie był wart szczęścia, które go spotkało. Podążył za blokiem karbonitu do warsztatu Medrita. Wnuki Beviina, Shalk i Briila, szły za nimi z wytrzeszczonymi oczami

Jintar, ich ojciec, pojawił się jakby znikąd i wziął dzieci pod swoją opiekę. Wrócił wówczas z wojny; miał grubo obandażowaną prawą dłoń. Następnym razem, kiedy wyruszy na wojnę, Shalk będzie dostatecznie duży, żeby mu towarzyszyć i uczyć się sztuk walki. Beviin mówił, że chłopiec skończy niedługo osiem lat, wydawał się więc zbyt młody, a jednak Fett w tym wieku nie odstępował ojca i uwielbiał wszystkie spędzone razem chwile. Niebezpieczne wyprawy sprawiały mu zawsze wielką radość.

- Chodźcie, *ad'ike* - zwrócił się do nich Jintar. - Nie powinno was to interesować. A poza tym to nieuprzejmie gapić się na Mandalora.

- Czy ta dama nie żyje? - zainteresowała się Briila. - Możemy zabrać jej rzeczy?

- Tylko śpi - odparł Jintar i mrugnął porozumiewawczo do Fetta.

Medrit uprzętnął jedno z bocznych pomieszczeń w budynku

warsztatu; tam mieli uwolnić Sintasa z karbonitu. W tym pokoiku Medrit ładował zasobnik energetyczne blasterów gazem tibanna. Kiedy blok karbonitu opadał do kadzi, w której miał zostać rozmrożony, Beluine miał przerażoną minę.

- Wszystko w porządku - stwierdził Medrit, pochylając się nad lekarzem. Był tak wysoki, że mógłby wpędzić w kompleksy niejednego Wookiego. - Rozmrażałem wiele takich płyt. W ten sposób transportowaliśmy tusze nerfów, kiedy pracowałem na Olanecie.

- Co za ulga. - Beluine otworzył torbę i wyjął z niej pneumatyczne dozowniki i fiolki lekarstw. - Muszę napisać o tym artykule do „Galaktycznego Miesięcznika Endokrynologii”...

Niebawem grono gapiów się przerzedziło. Zostali tylko Fett, Mirta, Beluine, Medrit i Beviin. Medrit położył dłonie na gałkach urządzeń kontrolnych.

- Daj tylko znak, *Mand'alorze* - powiedział.

Podobno zanim wynaleziono hipernapęd, ludzie pokonywali międzygwiazdne odległości, zamrożeni w karbonicie. Fett pamiętał, jak w karbonicie został uwięziony Han Solo. Kiedy go stamtąd uwolniono, pomagał sobie rękami przy chodzeniu, bo stracił wzrok. Fett zapamiętał to bardzo dobrze.

- Nie martw się, *Bob 'ika* - odezwał się Beviin, szczerząc zęby w uśmiechu. Postanowił zażartować, chociaż wszyscy inni pogrążeni byli w smutku. - Nie mamy tu ani jednego sarlacca.

Tylko Beviinowi mógł taki dowcip ująć na sucho. Był jedyną osobą którą Fett uważał za przyjaciela.

- Kiedy uwolnimy Sintasa z karbonitu, chciałbym zmierzyć jej puls i zawartość tlenu we krwi, aby zminimalizować prawdopodobieństwo uszkodzenia tkanek - oznajmił Beluine. W jednej dłoni trzymał pneumatyczny dozownik, jakby to był miniaturowy blaster, a w drugiej urządzenie do podawania tlenu, wyglądające jak maska do oddychania w wodzie. - Zróbcie mi więcej miejsca.

- Jest pan gotów, doktorze? - zapytał Medrit.

- Owszem.

Medrit pstryknął dźwignkami kilku przełączników i rozległ się głośny syk, a z ferrobetonowej kadzi buchnęły kłęby zimnej mgły. Fett pomyślał, że proces rozmrażania przebiega dziwnie głośno, ale po chwili zrozumiał, że te dźwięki to słaby głos cierpiącej kobiety. Beluine ustawił się w taki sposób, żeby Fett nie mógł wpaść do kadzi, po czym sięgnął w głąb obłoku pary, która utworzyła się nad blokiem karbonitu.

- Wszystko w porządku, *Ba 'buir*, wszystko w porządku, wszystko w porządku... - powtarzał w kółko. Mirta pochyliła się nad kadzią i wyjęła zużyty dozownik pneumatyczny z dłoni lekarza, który włożył kobiecie maskę do oddychania. Sintasa nie krzyczała - zawsze była twardą kobietą; wydawała tylko nieartykułowane odgłosy, dowodzące panicznego przerażenia. - Jesteś bezpieczna - uspokajał ją. - Wszystko w porządku. Niebawem

przyjdiesz do siebie.

Kiedy opary się rozproszyły, Mirta podniosła rękę Sintas, a Beluine założył na nią urządzenie monitorujące. Kobieta wymachiwała rękami, jakby chciała usiąść; rozglądała się wokół dzikim wzrokiem. Wyszarpnęła rękę z uścisku Beluine'a i zacisnęła palce, jakby chciała coś schwytać. Mirta przytrzymała ją.

- Jesteś wśród przyjaciół - odezwała się cicho. - Spokojnie. *Udesii*. Odpręż się i pozwól, żeby zbadał cię lekarz.

Sintas patrzyła na Fetta, ale go nie widziała. Na jej bladej, przerażonej twarzy malował się nieugięty charakter, podkreślony przez czern kiffarskich tatuaży, *qukuuf*. A więc straciła wzrok. Fett był na to przygotowany, ale i tak bał się spojrzeć w jej ciemnoniebieskie oczy, chociaż kiedyś tak tego pragnął. Zasługiwał na surową karę za to, czego nie dał Sintas za życia. Ostatnie pięćdziesiąt lat złożyło się nagle jak domek z kart i łowca nagród poczuł się, jakby znów miał dziewiętnaście lat. Trwało to tylko chwilę; zaraz stał się z powrotem starszym, otepiałym człowiekiem, który się zastanawia, dlaczego odszedł i pozostawił żonę w zakurzonej alejce, chociaż wiedział, że porzuci także swoją córeczkę.

Nawet nie zapytałem o Ailyn, uświadomił sobie. Po prostu dałem Sintas hologram i przykazałem jej, żeby go nie zgubiła.

- Na szczęście może się poruszać - stwierdził Beluine. - Nie jest sparaliżowana. Doskonale.

- *Shab*, zawsze była dzielna - stwierdził Medrit. - Nawet gdybym miał żyć milion lat, nie zwątpiłbym w to.

Mirta i Beviin unieśli Sintas i położyli ją na repulsorowych noszach, po czym otulili ją kocami. Kobieta zaczynała się uspokajać, co prawdopodobnie było skutkiem wyczerpania. Fett ośmielił się podejść troszkę bliżej. Beviin dyskretnie go podtrzymał, żeby przyjaciel nie stracił równowagi.

- Proszę pani... - odezwał się lekarz. - Czy pani mnie słyszy? - Sprawdzał wskazania urządzenia monitorującego na jej ręce. - Jak się pani nazywa?

Sintas zwróciła głowę w kierunku, skąd dobiegał jego głos.

- Ja... słyszę - zdziwiła się.

- To dobrze - odparł lekarz. - Spróbujmy jeszcze raz. Proszę mi powiedzieć, jak się pani nazywa.

Sintas to pytanie wyraźnie zaskoczyło. Leżała na plecach z szeroko otwartymi oczami, jakby się wpatrywała w sufit warsztatu.

- Ja... nie wiem - wyjąkała. - Nie wiem... Kim pan jest? Gdzie... o, niech to... nie mam pojęcia, kim...

Kiedy Sintas trafiła do karbonitu, miała trzydzieści kilka lat. Wracając do życia po rozmrożeniu, była wrakiem człowieka, ale nie straciła nic ze swojej urody.

Jestem jej dłużnikiem, pomyślał Fett. Jestem jej coś winien za te wszystkie lata, kiedy nie byłem mężem ani ojcem.

Nie miał pojęcia, jak jej to powiedzieć, bo zawsze polegał tylko na definiującym wszystko związku między ojcem a synem, ale jedno wiedział: już jej nie zostawi. Miał dość czasu, żeby się zastanowić, w jaki sposób wypełnić puste miejsca w dziejach Sintas.

Gdyby Sintas wyglądała na pięćdziesiąt kilka, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat, pewnie sytuacja wyglądałaby inaczej. Tak jednak nie było. Kobieta nie wydawała się nawet wystarczająco dorosła, żeby być matką Mirty. Mirta była wyraźnie wstrząśnięta, ale nie płakała. Nie ulegało wątpliwości, że pochodzi z rodu Fetta.

- Zabierzmy Sintas do jej pokoju - zaproponował łagodnie Beviin. - Doktor Beluine musi ją zbadać.

- U osób zamrożonych w karbonicie amnezja jest zjawiskiem normalnym - dodał cicho Beviin, podążając za repulsorem w głąb domu. - Problem w tym, co z przeszłości według ciebie powinna zapomnieć.

- To nie ona musi zapomnieć, tylko ja - odparł Fett.

ROZDZIAŁ 4

Kochanie, dobrze się czujesz? Nie podejmuj żadnego głupiego ryzyka. Nie masz obowiązku ratowania Galaktycznego Sojuszu własnymi rękami.

Shula Shevu, świeżo po ślubie, w zaszyfrowanej wiadomości do małżonka

Bastion, Szczątki Imperium, Sala Zgromadzeń moffów w Ravelinie

Wspaniale działa na samopoczucie oglądanie własnego pogrzebu.

Pellaeon stał przy oknie wychodzącym na plac defilad i przyglądał się, jak na udekorowanej lawecie jadącego szczątki. Podobnie jak on, laweta pochodziła z innego okresu. Wyglądała archaicznie, ale w czasie wojny mogłaby nadal pełnić swoje zadania. Ciągące ją pary dobranych krasnopłetwinów znieruchomiały dokładnie pośrodku wybrukowanego terenu; powstały tak dziesięć sekund, po czym skrzyły w prawo i skierowały się prosto do sklepionej kolebkowo bramy, przez którą laweta wyjechała na ulice stolicy. Jaskrawe szkarłatne grzebienie, od których pochodziła nazwa zwierząt, falowały łagodnie jak płomienie w promieniach porannego słońca. Pellaeon uważał, że krasnopłetwiny są podgatunkiem ghannoidalnych śmierdziogrzbiotów, bo miały podobny kolor grzebieni, ale ta nazwa miała lepsze brzmienie. Za lawetą maszerował pluton imperialnych gwardzistów w codziennych mundurach numer pięć, nie w strojach galowych.

Za każdym razem, kiedy Pellaeon widział próbę, wywierala na nim duże wrażenie. Krasnopłetwiny trudno było wytresować, więc rzadko brały udział w konkursach ujeżdżania czy jeździeckich pokazach. Pellaeon postanowił pogratulować personelowi, któremu zawdzięczał ten pokaz. Mięsożerne czworonogi były wspaniałymi bojowymi rumakami, chociaż dosiadający ich jeźdźcie często tracił życie. Niestety, nie służyły z posłuszeństwa.

Na Bastionie organizowano takie próby regularnie, bo wszyscy potrzebowali odrobiny przepychu i pokazu wyszkolenia. Przywódca mógł w każdej chwili umrzeć, a urzędnicy na Bastionie lubili być przygotowani. Pellaeon popijał kaf, świadom pomruku rozmów osób za plecami, i obserwował, jak laweta otoczona plutonem gwardzistów znika na spokojnych o tak wczesnej porze ulicach Ravelina.

- Czy to pana nie przygnębia, admirale? - zapytał Reige.

- Nie, póki osobiście nie biorę w tym udziału. - Pellaeon wyciągnął półprzezroczystą filiżankę, żeby Reige mógł mu dołączyć kawy. - Będę się martwić, kiedy zobaczę gwardzistów w paradnych mundurach. - Obserwował odbicie pokoju w transpystalowej tafli okna i zwracał uwagę nie tylko na to, którzy z moffów przybyli, ale także na to, z kim kto rozmawia półgłosem przed rozpoczęciem zebrania. - Jeszcze dwie minuty, Vitorze, i zaczynamy.

To miało być zwykłe, cotygodniowe zebranie Rady Moffów Imperium. Nie było w tym nic niezwykłego ani niezapowiedzianego, ale w ciągu poprzednich dwudziestu czterech godzin Pellaeon zaobserwował nietypową aktywność na nieformalnym froncie dyplomatycznym. Mógł polegać na moffie Sarretim, że go wprowadzi w arkana zakulisowej polityki, chociaż dostojnik przeszedł już w stan spoczynku.

Ci wszyscy moffowie niewiele mieli pożytku z Imperium; nic dziwnego, że się niepokoił.

Powiodł spojrzeniem po siedzących wokół stołu zebranych. Zastanawiał się, który z moffów chciałby go zamordować, a który widzi korzyści z pozostawienia go przy życiu. Na szczęście ci, którzy potrafiliby zorganizować zabójstwo, byli zarazem najlepszymi fachowcami, a zatem musieli z nim trzymać. Natura miała swoje sposoby na zachowanie równowagi. Niebawem wszyscy zgodzili się na przerwę, żeby napić się kawy.

Trochę cierpliwości, dżentelmeni, pomyślał z przekąsem Pellaeon. Mam dziewięćdziesiąt dwa lata. Po prostu zaczekajcie.

- Panie admirale, czy mogę napełnić pańską filiżankę? - zapytał Lecersen, ze starej szkoły moffów, który wciąż jeszcze wierzył w obowiązek. Dbał o formę, jakby w każdej chwili miał stanąć do walki, nawet włosy strzygł krótko, po wojskowemu. - Wydaje mi się, że zebranie potrwa dłużej niż zwykle.

Pellaeon upił z namysłem łyk kafu.

- Czy kiedykolwiek twierdziłem, że jestem słaby na umyśle? - zapytał.

- Raczej nie - odparł Lecersen.

- A może jednak jestem - zamyślił się admirał. - Moim zdaniem już niedługo zdarzy się coś niezwykłego, co zmieni nasz los.

Lecersen uśmiechnął się z przymusem.

- To bardzo ogólne stwierdzenie, panie admirał - powiedział.

- Zaryzykuję i zabawię się w proroka - uparł się Pellaeon. - Przewiduję, że przynajmniej jeden z tu obecnych słyszał o zdumiewającym zwrocie w trwającym konflikcie między Galaktycznym Sojuszem a Konfederacją.

Lecersen przywołał na twarz szeroki uśmiech i powiódł ostrożnym spojrzeniem po gromadzie mężczyzn, zgromadzonych wokół wielkiego moffa Quille'a.

- Muszę pamiętać, żeby poprosić pana o radę, kiedy będę obstawiał zwycięzcę w wyścigach *odupiendo* - zażartował.

Pellaeon nie znał Jacena Solo tak dobrze, jakby tego pragnął, ale wiedział, że młody mężczyzna jest łatwy do manipulowania, chociaż niecierpliwy. Oznaczało to, że Jacen Solo zechce jak najwcześniej włączyć się do gry. Prawdopodobnie już niedługo odrzucenie przez Pellaeona propozycji rozmów na temat przyłączenia się do obozu Galaktycznego Sojuszu stanie się tematem dyskretnych plotek moffów, jak to ich starzejący się przywódca przepuścił niebywałą okazję, nie mówiąc im o niej choćby słowa. Prawdę mówiąc, gdyby Jacen tego nie zrobił, Pellaeon straciłby wiarę w jego umiejętność dbania o własne interesy, a przecież to dzięki temu cała galaktyka kręciła się wokół Jądra, odkąd planety ostygły na tyle, żeby się na nich rozwinęły bakterie. Pellaeon nie miał też pojęcia, co o tym wszystkim sądzi Niathal, ale znał ją na tyle dobrze, aby zrozumieć, że uważa za porażkę niezdolność powstrzymania Jacena; na pewno nie aprobowała czynów, które Jacen popełnił jako współprzywódca Galaktycznego Sojuszu.

- Panie admirał, zwróciliśmy uwagę na coś bardzo ważnego - odezwał się Quille. - Zastanawiam się, czy nie powinniśmy tego omówić w szerszym kontekście wojny.

- Do tej pory Imperium pozostawało poza konfliktem - przypomniał Pellaeon. Dzięki niech będą za to niebiosom i tobie, Jacenie Solo, pomyślał. Wiara została przywrócona, a galaktyka wciąż się obraca. - Co ma pan na myśli, mówiąc o kontekście?

- Zagrożenia i ewentualne okazje, panie admirał - usłyszał w odpowiedzi. - Ta wojna wciąż coraz więcej planet, a Rada Jedi podbiła stawkę i wyniosła się z Coruscant. To zły znak, bo z tego powodu istniejące sojusze mogą się rozpaść, a sąsiadujące z nami sektory staną się niestabilne. Z drugiej strony może to dać nam okazję do powiększenia sfery wpływów.

Pellaeon nabrał na łyżeczkę miodu *jhen* i potrzymał ją nad filiżanką żeby wstążka złocistego, płynnego bursztynu spłynęła do kawy. Zręcznym ruchem nadgarstka zamieszał w filiżance i zaczekał, aż Quille podejmie przemówienie. Nie pierwszy raz wykorzystywał takie chwile milczenia podczas spotkań z moffami, i zawsze działało to równie dobrze. Kiedy w końcu wyjął czystą łyżeczkę z kawy, już z niepokojem popatrywali na Quille'a, czekając, żeby przerwał przedłużającą się ciszę.

- Proszę mówić dalej - odezwał się w końcu Lecersen.

- Nasze dyplomatyczne źródła twierdzą, że Galaktyczny Sojusz rekrutuje sojuszników spoza zwykłej sfery wpływów - podjął Quille. - Kiedy ta wojna się skończy, mapa galaktyki będzie wyglądać zupełnie inaczej.

Lecersen się uśmiechnął; wyglądał groźniej, niż gdyby zmarszczył brwi.

- Zaczniemy od tego, że w okolicach Korelii powstała wielka pustka - powiedział. - W miejscu, gdzie znajdowała się kiedyś stacja Centerpoint. - Moffowie wybuchnęli śmiechem, ale Quille jeszcze nie skończył.

- Nagrody czekają aż się po nie zgłosimy, panowie - dodał.

- W zamian za udział w wojnie Jacena Solo, tak? - odezwał się Rosset. - Czy istnieje coś, co by nam to zrekompensowało?

Zebrani zaczęli na głos rozważać różne możliwości.

- To jest także wojna Niathal - przypomniał jeden z moffów.

- Tak, nie można zapominać o pani admirał - dodał inny.

- Gdyby to Niathal toczyła tę wojnę, do tej pory już dawno by ją zakończyła.

- No a Solo może zawsze ją przegrać.

- Jeżeli Galaktyczny Sojusz rozumuje w taki sposób, może tak samo kombinuje Konfederacja, a oni mogą mieć korzystniejszą propozycję.

- A czy w ogóle istnieje jakaś propozycja?

Nagle zapadła głucha cisza. To było dobre pytanie. Czas im przypomnieć, pomyślał Pellaeon, że nie jestem jeszcze zniedołężniałym starcem ani figurantem... i nadal mam swoich informatorów.

- Możemy dostać Bilbringi i Borleias, jeżeli oddamy nasze wojska i okręty pod rozkazy Galaktycznego Sojuszu - powiedział i umilkł, żeby wszyscy mieli czas się z tym oswoić. Napawał się chwilą sensacji, jaką potrafił wywołać podczas takich spotkań. Jasne, taki sposób objawiania moffom tego, co wiedział, może i był zwykłym przedstawieniem, ale zarazem był jak strzał przed dziób okrętu każdego moffa, któremu mogło się wydawać, że jest lepszy niż stary admirał. - A pytanie brzmi: jak na tym wyjdziemy? Galaktyczny Sojusz może nam oddać te planety, ale oba systemy są zamieszkane, więc próba ich opanowania może spotkać się z oporem. Może się okazać, że przyjdzie nam stoczyć o nie walkę. Jeżeli tak się stanie, to będzie oznaczało, że Galaktyczny Sojusz po prostu przemyka oko na próby ekspansji z naszej strony, a przelewając naszą krew, zapłacimy za to podwójnie. Gdybyśmy naprawdę zamierzali rozszerzać nasze strefy wpływów, Solo i tak nie byłby w stanie nas powstrzymać, bo biorąc udział w wojnie, ma rozproszone nity. Nie musielibyśmy zatem niczego poświęcać, żeby opanować te planety.

- Pozostaje tylko pytanie, czy naprawdę chcemy rozszerzać sferę wpływów Imperium - odezwał się Lecersen.

- Byłbym skłonny zaczekać i zobaczyć, co zostanie z galaktyki, zanim zdecydujemy, na czym nam zależy - doradził Rosset. - To jest różnica... taka jak między chwytnością okazji na wyprzedaży a charytatywną ofiarnością.

Pellaeon znów poczuł przyływ dawnych emocji. To kwestia obowiązku. Wojny rozszarpały galaktykę, której rany jeszcze na dobre się nie zabiły po inwazji Yuuzhan Vongów. Niektóre planety wciąż jeszcze nie doszły do siebie. Imperium mogłoby tego uniknąć, ustabilizować się i zaleczyć rany, ale to oznaczało współpracę z osobnikami pokroju Jacena Solo... Pellaeon nie wyobrażał sobie, żeby to się udało. Mógł ewentualnie dojść do porozumienia z Niathal, ale nie z kimś tak chwiejnym i tajemniczym jak Solo.

Jesteśmy Imperium, pomyślał. To my powinniśmy zaprowadzić ład i sprawiedliwość dla powszechnego dobra.

Co za ironia losu, że taka sama jest ideologia Jacena Solo.

- Mam pewien problem z Solo - zaczął ostrożnie, wiedząc, że wcześniej czy później jego słowa dotrą do uszu Jacena. Ciekawe, czy przesłuchanie drogi, jaką dotrą, byłoby warte włożonego w to trudu. - Dawniej Jacen nie był członkiem rządu ani nie służył w wojsku. Jedi są doskonałymi opozycjonistami. Służą jako wyrzuty sumienia przywódców, zmuszając ich, aby postępowali przyzwoicie. Jedi mogą nawet tworzyć doborowe oddziały szturmowe, ale nigdy nie byli dobrymi organizatorami ani zarządcami. Są na ogół wykonawcami, nie pomysłodawcami... chociaż na przykład księżniczka Leia jest znakomitą przywódczynią. Niestety, to nie ona stoi na czele tej junty. Świat mógłby wówczas wyglądać zupełnie inaczej.

- Solo wygrywa całkiem sporo bitew jak na kogoś, kto zaczynał od stopnia pułkownika - stwierdził Quille.

- Prawdopodobnie większą część tych zwycięstw zawdzięcza kalamariańskiej admirał w lśniącym białym mundurze. - Pellaeon dobrze wiedział, że Solo nie jest podręcznikowym wzorcem Jedi, w dodatku chodziły plotki, że władza Ciemną Stroną ale przez to reguła nie traciła ważności. Rada Jedi była częściowo gronem my-

ślicieli, częściowo specjalnymi oddziałami, a niekiedy mistycznym alibi dla klasy panującej. Jedi potrafili wymierzać ciosy, a nawet je blokować, ale przywykli, że odgrywają niewielką rolę, choć czasem bywają języczkiem u wagi. To samo można było powiedzieć o Jacenie. Usilnie starał się być imperatorem, niestety, nie nadawał się do tego.

- Czy będziemy w tej sprawie głosowali? - zapytał Rosset.

- Jeszcze nie otrzymaliśmy formalnej propozycji, więc nie bardzo mamy nad czym głosować. - Lecersen robił wszystko, żeby Pellaeon nie musiał odpowiadać na podobne pytania. - Proponuję tylko, żebyśmy uważnie przyjrzelisi się rozwojowi sytuacji. Jeżeli uda się wyjaśnić, co zamierza przewodniczący Solo, zwrócimy się do admirała Pellaeona, żeby się temu dokładnie przyjrzał... jeśli zechce, oczywiście. Admirał ma wyjątkowe doświadczenie w ocenianiu historycznych wydarzeń.

Pellaeon jedno musiał przyznać Lecerseni: ten moff miał błyskotliwy, analityczny umysł i nie musiał wysłuchiwać plotek

O tym, jakoby Jacen Solo podążał ścieżką swojego dziadka, żeby przewidzieć, co z tego wyniknie. Jacen może sam tego nie widział, ale zachowywał się tak, jak każdy natchniony, a jednocześnie pomyłony przywódca w historii galaktyki. Jego wizja stawała się wszechogarniająca; niebawem doprowadzi do tego, że Jacen zacznie ignorować sygnały ostrzegawcze, a potem po prostu przestanie je dostrzegać. Zawsze będzie usprawiedliwiał swoje kolejne „ostateczne posunięcia”, które sprawią że wszystko ułoży się po jego myśli.

Wszyscy tacy przywódcy postępowali podobnie. Innowatorzy

I wizjonerzy, produkujący błyskotliwe idee, potrafili wiele dokonać, ale ich cechy psychiczne nie pozwalały na stabilizację. Zawsze szukali iskry, która dałaby początek generalnej rewolucji. Mieli to zakodowane w umysłach, co tak czy inaczej zawsze prowadziło do samozagłady. Najgorsze jednak, że ceną było także życie innych.

Wcześniej czy później - ale raczej wcześniej - Jacen Solo prze- cenił swoje siły, a wówczas na pole bitwy przyjdą inni - pobierają resztki i przywrócą porządek i spokój.

Moffowie opuścili salę, ale Pellaeon został z Reigem, czekając, aż pomieszczenie opustoszeje. Sprzątający droid zaczął już zbierać nakrycia ze wspianiałego stołu z plekdrewna.

- Lubię, kiedy używa pan najcięższej artylerii, admiralu - odezwał się Reige.

- To powinno ich nauczyć, że nie jestem całkiem głuchy - odparł Pellaeon. - Krasnopłetwiny jeszcze mnie stąd nie wyciągnęły.

Cóż, to była na razie pierwsza salwa. Pellaeon wiedział, że Jacen Solo się nie podda. Chciał się jednak przekonać, czy na stole nie pojawi się naprawdę konkretna propozycja, zanim formalnie odmówi. Nie zamierzał grać zgodnie z despotycznymi regułami Jacena. Jeden Palpatine w jego życiu zupełnie wystarczył.

W dzbanku zostało jeszcze trochę kawy, a Pellaeon już się nie spieszył. Pogawędził z Reigem o temperamentach hodowanych krasnopłetwinów i o tym, czy te zwierzęta są na tyle bezpieczne, żeby mogły ich dosiadać małe dzieci. Problem był poważny, bo zwierzęta były złośliwe i gryzły wszystko, co miały w zasięgu pyska, nawet jeźdźców. Potem admirał odepchnął droida, który usiłował sprzątnąć mu z talerza smakowite paszteciki xirlia. Czuł się doskonale i miał świadomość, że panuje nad sytuacją.

Usłyszał świergot komunikatora. Rozpoznał kod dzwoniącej osoby.

- Przepraszam cię, chłopcze - powiedział. - Muszę się dowiedzieć, czego chce ode mnie moje biuro na Coruscant.

Nie chodziło o szpiegowanie; Pellaeon mógł w każdej chwili powrócić do stolicy jako szanowany weteran. Po prostu lubił wiedzieć, co się dzieje. Wiadomość tekstowa była bardzo krótka. Otóż plotki ze sprawdzonych źródeł głosiły, że Jacen Solo stracił panowanie nad sobą i używając Mocy, zadławił na śmierć młodszą panią oficer na oczach wszystkich członków załogi na mostku swojego okrętu.

- Zupełnie jak za dawnych czasów - mruknął Pellaeon. Doszedł do wniosku, że należy z dystansem przyjmować okropne nowiny, oszczędzając ciśnienie krwi na okazje, kiedy naprawdę się zdenerwuje. - Wszyscy jesteście zaprzężeni do rydwanu i odgrywamy ponownie role jak za pełnych chwały dni naszej młodości. Ja, księżniczka

Leia i młody Skywalker, Fett... a teraz jeszcze mały Lord Vader.

Wojskowi uwielbiali Jacena za to, że złożył swój los w ich ręce i że się o nich troszczył. Nie wiadomo jednak, ile czasu jeszcze wytrzymają, jeżeli Jacen nabierze zwyczaju mordowania podwładnych. Młody Solo w końcu wyczerpie do końca ocean ich dobrej woli.

A Pellaeon zdecydowanie nie zamierzał postępować według reguł Jacena Solo.

„Anakin Solo”, nadprzestrzenny szlak Gandeal-Fondor

- Teb...

Przecież ona już nie żyje, przypomniał sobie Jacen.

Już drugi raz tego ranka Darth Caedus zwracał się do porucznik Tebut z prośbą o przedstawienie raportu z bieżącej sytuacji i uświadamiał sobie, że mówi do nieboszczki. Po drugiej takiej próbie stwierdził, że musi zbadać przyczyny swojej dezorientacji. Kapitan Shevu obrzucił go dziwnym spojrzeniem, kiedy Caedus odwrócił się do zajmowanego zwykle przez Tebut stanowiska na mostku, ale nie powiedział ani słowa. Caedus podszedł do iluminatora i popatrzył na zniekształconą czasoprzestrzeń. Zawsze dobrze mu to robiło, kiedy analizował swoje błędy. Tahiri, idealnie odgrywająca rolę młodszego oficera, tkwiła przy swoim stanowisku z rękami złączonymi za plecami.

Czyżby naprawdę zapomniał, że zabił Tebut? A może tak się z nim działo, kiedy miał poważne zmartwienie? Ileż to razy zaznaczał jakiś akapit w holoźninie, żeby go pokazać Anakinowi, albo koniecznie chciał bratu opowiedzieć coś zabawnego... żeby zaraz z bólem przypomnieć sobie, że Anakin nie żyje. Pamiętał, jak straszliwą śmiercią zginął jego młodszy brat; cofał się z nurtem czasu do chwili jego śmierci, ale nie chciał przeżywać jej wciąż na nowo.

Nie rozumiał, dlaczego tak jest, i to nie dawało mu spokoju. Do tej pory powinien był się pozbyć tych śmiesznych niepokojów. Może właśnie w taki sposób Sithowie osiągnęli wielkość? Może nauczyli się wyłączać i robić to, co konieczne, choćby okazało się nie wiem jak przykre? Gdyby potrafił podejmować fatalne decyzje, nie czując, jakie są złe, nie byłby lepszy od droida. Istoty z krwi i kości potrzebowały, by chronił ich władca, który zrozumie ich ból. Głęboko się nad tym zastanawiał i zawsze znajdował tę samą odpowiedź: oszczędzano go na chwilę, w której będzie potrzebować jasności umysłu, żeby podejmować trudne decyzje. Gdyby zapomniał, czym jest ból i strach, zapomniałby także o swoich obowiązkach wobec trylionów istot, które miały nadzieję, że to właśnie on położy kres ich cierpieniu.

Pamięć o losach Tebut była więc ceną nie słabością. Była przypomnieniem ze strony Mocy, że jest istotą z krwi i kości, a także komu ma służyć. Caedus poczuł się uspokojony.

- Wyskakujemy z nadprzestrzeni za pięć standardowych minut, panie pułkowniku - zameldował oficer, dowódca wachty.

- Bardzo dobrze. - Caedus oderwał spojrzenie od transpastali i wrócił na swoje miejsce na mostku. - Już niebawem zobaczymy Kondora, Tahiri. - Młoda kobieta była tego dnia w niebieskim mundurze bez żadnych naszywek. Nosila regulaminowe czarne buty z okutymi durastalą czubkami dla większego bezpieczeństwa. Tahiri nie lubiła chodzić w butach, ale okręt był zbyt niebezpiecznym miejscem, żeby poruszać się po pokładzie boso. To była też kwestia porządku i dyscypliny. - To następna zbuntowana planeta, którą zajmujemy.

- Ale jeszcze nie dzisiaj - przypomniała Tahiri. - Na razie lecimy tylko na zwiad.

Zwiad nie był właściwie konieczny, gdyż Caedus dysponował dokładnymi danymi Wywiadu. Niespełna standardowy rok wcześniej planeta była członkiem Galaktycznego Sojuszu, więc jej możliwości obronne i produkcja przemysłowa były dobrze znane. Nie mogło to w tak krótkim czasie radykalnie się zmienić. Caedus był zaszokowany decyzją władz planety, które postanowiły odłączyć się od Sojuszu. Uważał to za coś w rodzaju zdrady. Stocznie Fondora prosperowały dzięki zamówieniom rządów związanych z Coruscant i tym nadprzestrzennym szlakiem, którym obecnie lecieli, niezliczone okręty przetransportowano ze stoczni do stolicy galaktyki.

- Nie tylko - odparł Caedus. - Chcemy pokazać władzom Fondora, jak łatwo można dobrać się im do skóry. Ta wyprawa to praktycznie przejażdżka repulsorowym autobusem.

- Czyżby tego nie wiedzieli? - zastanowiła się Tahiri.
- Czasami ignorujemy to, co oczywiste. A poza tym, ma służyć jako ćwiczenie dla ciebie.

Tahiri zamrugwała.

- Jakie ćwiczenie? - zapytała.
- Z podejmowania decyzji.

Przekonać Pellaeona do przyjęcia propozycji Caedusa potrafiłaby każda inteligentna, w miarę ładna kobieta. Caedus chciał jednak, żeby Tahiri dokonała czegoś więcej. Powinna wreszcie dorosnąć; dotąd zachowywała się jak cyrkowy rankor, licząc na nagrodę, czyli powroty do przeszłości i możliwość obserwowania Anakina. Przynęta w postaci nieżyjącego brata Caedusa zawsze mogła ożywić jej zainteresowanie, chociaż była to dosyć okrutna sztuczka. Brzemie służenia Ciemnej Stronie było ciężkie; niewiele istot zgodziłoby się je dźwigać bez wsparcia, które utrzymałoby je na właściwym kursie podczas poznawania prawdy. Krótko mówiąc, podczas dążenia do szlachetniejszego celu.

Caedus chciał, żeby Tahiri zrozumiała wagę służby dla Sithów, jeżeli miała wypełnić Luke pozostawioną przez Bena Skywalker'a. I podobnie jak Ben otrzymał krwawy chrzest, zabijając Dura Gejje- na, Tahiri musiała zrozumieć wagę swojej roli i wyjść poza romantyczne fantazje, które nie miały się nigdy ziścić.

Anakina już nie ma, umarł i nigdy więcej do niej nie wróci. Najlepszą przysługą dla Tahiri, którą Caedus mógł - i zamierzał - wyświadczyć już wkrótce, będzie zmuszenie dziewczyny, żeby spojrzała prawdzie w oczy i zaczęła żyć dla przyszłości.

- W porządku - powiedziała teraz niezbyt pewnie młoda kobieta. - To znaczy, zgadzam się, panie pułkowniku.

Było oczywiste, że Tahiri chce się spisać jak najlepiej. Caedus wołał spoglądać przez iluminator, zamiast obserwować na obrazach z zewnętrznych kamer na ekranach monitorów, jak lekko zniekształcony dysk Fondora zmienia się w planetę o ostrych krawędziach, otoczoną przez orbitalne stocznie jak przez rój małych księżyców.

- Podleć tak blisko, jak się da, sterniku - rozkazał Caedus.
- Tak jest, panie pułkowniku. - W głosie pilota nie było wahania ani wątpliwości na temat rozkazu dowódcy. Gwiazdny niszczyciel opuścił otwarte przestworza i skierował się ku niewidocznym, ale silnie bronionym granicom suwerennego terytorium Fondora.

Caedus nigdy nie ćwiczył tego manewru ani nie uprzedzał o nim załogi mostka. Do tej pory sygnały wczesnego ostrzegania musiały zwrócić uwagę obrońców na zbliżanie się „Anakina Solo”, zresztą dalekosiężne sensory okrętu ukazały, że do lotu podrywają się formacje fondoriańskich myśliwców. Wkrótce miał się zacząć dobrze zorganizowany atak na okręt, i Caedus właśnie na to liczył. Chciał wypróbować zimną krew i zdecydowanie Tahiri.

- Dowódco systemów uzbrojenia - odezwał się - możecie namierzyć cele, ale nie otwierajcie ognia. Powtarzam, nie otwierajcie ognia. Włączyć generatory osłon i przygotować do aktywacji systemu obronne.

Nikt nie powiedział ani słowa... z wyjątkiem Tahiri.

- Czy to specjalna taktyka? - zapytała młoda kobieta. - Jakaś sztuczka?
- Nie, po prostu okręt ma być otwarty na ich atak - odparł Caedus. -Ale...
- Dowódca systemów uzbrojenia przekaze ci namiary na cele. Nie musisz wykonywać żadnych obliczeń. Masz tylko podjąć decyzję: strzelać albo nie strzelać.

Caedus zauważył, że Shevu rozłączył dłonie, które ścisnął za plecami, i zaplótł je na piersi; nie zareagował w żaden inny sposób. Na mostku nie wyczuwało się nerwowości, choć można się było tego spodziewać. Załoga miała zaufanie do Caedusa, że poradzi sobie w każdej sytuacji. Jednak Tahiri była rozdrażniona, bo nie wyczuwała intencji przywódcy. Lord Sithów cały czas ukrywał swoją obecność w Mocy, i to skutecznie. Młoda Jedi widziała już klucze fondoriańskich myśliwców szturmowych. Ich piloci zamierzali przechwycić „Anakina Solo”. Tahiri jeszcze nigdy nie wydawała rozkazów na pokładzie tak wielkiego okrętu.

- To dosyć proste - powiedziała bez przekonania. Caedus wyczuwał, że Tahiri bada jego intencje, że maca na oślepa w Mocy, aby odkryć rzeczywiste znaczenie jego rozkazów i niespodziewanego ujawnienia zamaskowanych pułapek. - Pod warunkiem że ktoś opracuje namiary na cele.

- Czy te myśliwce stanowią dla nas zagrożenie, Tahiri? - zapytał Caedus.

Młoda kobieta się spieszyła. Caedus zasiał wątpliwości w jej umyśle, zadając pozornie oczywiste pytanie.

- To możliwe - powiedziała.

- Jak się o tym przekonamy?

- Kiedy prześlą energię do swpich systemów uzbrojenia.

- Nasze systemy są już uzbrojone - przypomniał Caedus. - Czy zatem my stanowimy dla nich zagrożenie, czy tylko jesteśmy gotowi odeprzeć ich atak? Jakie mamy zasady walki? Co się stanie, jeżeli nie otworzą do nas ognia?

Trzeba przyznać, że Tahiri starała się logicznie myśleć. Nieprzyjacielskie maszyny były coraz bliżej. Członkowie personelu mostka kręcili się niespokojnie w swoich fotelach.

- Szybko, Tahiri, masz tylko kilka sekund - przynaglił Caedus. - A sekunda wystarczy, żeby rakieta przebiła kadłub, wysłała atmosferę z całego przedziału i zabiła setki twoich towarzyszy...

Caedus wiedział, że fondoriańscy piloci wykryją naładowane i wymierzone systemy uzbrojenia, ale przy okazji brak systemów obronnych. Pomyślał, że to pułapka, zawahają się, namierzą cel i zaczną się zastanawiać, co przeoczyli...

Będą już w zasięgu ognia, pomyślał.

- Przesłali energię do systemów uzbrojenia, ale nie namierzili nas, panie pułkowniku - zameldował dowódca systemów uzbrojenia.

- Tahiri...

- Ognia! - rozkazała młoda Jedi. - Strzelać, strzelać, strzelać!

W kierunku klucza myśliwców poleciały smugi ognia z działek.

Od razu zamieniły sześć maszyn w kwiaty białego światła. Walka na odległość zawsze jest bezosobowa, pomyślał Caedus. Maszyna zмага się z maszyną. To coś innego niż stawianie czoła nieprzyjacielowi w okopie lub na ulicy. Musiało chwilę potrwać, żeby to do wszystkich dotarło.

- Aktywować systemy obronne i obrać kurs na Coruscant - rozkazał Caedus.

W przedziałach gwiazdowego niszczyciela zapłonęły światełka i zaczęły się przygotowania do skoku przez nadprzestrzeń do Jądra. Tahiri cały czas wpatrywała się w iluminator.

- Zaraz, zaraz... czy to na pewno była właściwa decyzja? - zapytała.

- Ty mi to powiedz - odparł Caedus.

- Zneutralizowałam zagrożenie.

- A może otworzyłaś ogień do jednostek, które wcale nie obrały nas za cel, i bez powodu powiększyłaś liczbę fondoriańskich wdów i sierot? Jak myślisz, co właściwie zrobiłaś?

- To przecież wojna - oburzyła się młoda Jedi.

- Wojna także ma swoje zasady.

- Powiedziałeś mi, żebym otworzyła ogień.

- Powiedziałem ci tylko, że możesz go otworzyć. - Caedus świetnie wiedział, że członkowie załogi starają się udawać, iż niczego nie widzą ani nie słyszą... jakby stali się nagle ślepi i głusi. - To ty sama podjęłaś decyzję.

- To właśnie temu miała służyć ta cała wyprawa? - Tahiri była wstrząśnięta. - Przylatujesz tu okrętem na kilka minut, żeby się przekonać, czy potrafię wydać rozkaz otwarcia ognia?

- Tak.

- I narażasz przy tym okręt? Zabijasz pilotów?

- Właśnie tym się zajmujemy - wyjaśnił Caedus. - Jak się z tym czujesz? Czy myślałeś o żywych istotach w kabinach tych myśliców albo o załodze tego okrętu? Czy kiedykolwiek zdobędziesz pewność, że podążałaś jedyną słuszną ścieżką? Nie potrafię ci odpowiedzieć na te pytania. Jeżeli chcesz być moją uczennicą musisz sama sobie na nie odpowiedzieć i żyć potem z tymi odpowiedziami. Zabijanie nigdy nie powinno być łatwe ani obojętne jak podczas holowideo gry. Jeżeli nie będziesz później przeżywać rozterek, to nie nadajesz się do dźwigania brzemienia odpowiedzialności.

Tahiri słuchała go w milczeniu, z szeroko otwartymi oczami. Chyba poważnie zastanawiała się nad skutkami swojej decyzji. Podobnie jak on nauczyła się czegoś podczas pobytu u Yuuzhan Vongów. Wiedziała, że nic lepiej niż krew na rękach nie pozwala dorosnąć i zrozumieć, ile trzeba poświęcić w imię obowiązku.

Caedus wrócił do swojej dziennej kabiny i postanowił w czasie drogi powrotnej zapoznać się z raportami Wywiadu z poprzedniego dnia.

Kiedy był jeszcze Jacenem Solo, dowiedział się, że sprawowanie każdej władzy to samotne zajęcie. Dopiero niedawno jednak zrozumiał, co miała na myśli Tenel Ka, mówiąc, że taka jest cena bycia przywódcą.

Był dziś sam jak palec. Wyparła się go nawet jego córka Allana.

Chyba właśnie na tym miało polegać moje poświęcenie, pomyślał.

Był przekonany, że granicą poświęcenia była śmierć Mary Skywalker. Wmówił sobie, że zabijając ją poświęcił podziw Bena dla siebie. Teraz już wiedział, że cokolwiek miało oznaczać pradawne proroctwo Sithów w swojej zawilej mowie węzełków i kolorów, on musiał zrezygnować ze wszystkiego, co wiąże człowieka z innymi istotami - z miłości, zaufania i bliskości. Już nigdy żadnego z tych uczuć nie odzyska. Allana odeszła na zawsze z jego życia. Mógł się tylko pocieszać, że galaktyka będzie dla niej bezpieczniejsza.

Lumiya ostrzegała, że będzie go to drogo kosztować, ale właśnie taka była cena ładu i sprawiedliwości, i stabilności. Jego życie było tylko jednym z wielu. Uważał, że warto zapłacić tę cenę, obojętne, jak bardzo będzie bolało. Tahiri też musiała to odkryć i właśnie zrobiła pierwszy krok na tej drodze. Dla większości istot takie sprawy nie miały znaczenia, ale uczennica Sitha musiała się z tym uporać.

Na tym polegał obowiązek.

Od drzwi kabiny doleciał sygnał zwiastujący czyjąś wizytę. Caedus stwierdził, że to Shevu. Wyczuł go, jak oficer szedł korytarzem, a towarzyszyły mu ostrożność i... niesmak w Mocy. Shevu był kiedyś funkcjonariuszem policji, członkiem Coruskańskiej Służby Bezpieczeństwa, i przyniósł na pokład okrętu wszystkie swoje uprzedzenia. Nie lubił Caedusa i nie pochwalał jego metod, to było jasne jak słońce. Caedus jednak ufał mu bez zastrzeżeń, bo jego nastawienie było oczywiste nawet dla niewrażliwych na Moc osób. Caedus nie musiał się obawiać kogoś, kto nawet nie próbuje ukrywać swoich uczuć, a mimo to świetnie wykonuje swoje obowiązki.

To także obowiązek, pomyślał Lord Sithów. Shevu rozumie, co musi robić.

- Panie pułkowniku, czy mam położyć te raporty na pańskim biurku, czy woli pan je od razu omówić? - zapytał oficer.

- Proszę je położyć. - Caedus nic by nie zyskał, gdyby jeszcze bardziej zrażał podwładnego do siebie. Shevu był bardzo dobry w tym, co robił. - Wygląda pan na zmęczonego.

- Bezsenne noce, panie pułkowniku.

Shevu bywał czasami brutalnie szczery. Caedus potrafił to wyczuć: nuta gniewu, odrobina strachu, trochę zmartwień i pragnienie zobaczenia kogoś, o kogo się troszczył. A takie troski, jeśli odwracały jego uwagę,

mogły się stać zaraźliwe.

- Jakies problemy? - zapytał.

- Sprawy rodzinne, panie pułkowniku - usłyszał w odpowiedzi.

- Ma pan sympatię, prawda?

- Już nie, panie pułkowniku.

- Ach, tak? - Caedus dobrze wiedział, jak się czuje osoba porzucona przez kogoś bliskiego, kto twierdził, że rozumie go i kocha.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział. - Czy nie powinien pan kilka dni odpocząć?

- Nie brałem dotąd żadnego urlopu, panie pułkowniku.

- Ktoś, kto się wypali, nie będzie dobrym oficerem, Shevu. Musisz pozostawać czujny. Weź urlop na siedemdziesiąt dwie godziny i wróć wypoczęty. Nie mogę w żaden sposób wpłynąć na twoją damę, ale rozumiem straty, jakie służba zadaje związkom.

Wyczuł niemal namacalne zaskoczenie oficera.

- Dziękuję, panie pułkowniku - odparł Shevu. Jego nastrój trochę się poprawił. - To bardzo miło z pana strony.

Caedus obserwował, jak drzwi zasuwają się za plecami kapitana. Uzyskał potwierdzenie, że nie zmienił się w potwora, obojętne, co sądził o tym Ben Skywalker. Różne sytuacje wymagały odmiennego postępowania, a Shevu... nie można go było zmusić do posłuszeństwa, bo nie nadawałby się do niczego, a już na pewno nie do wykonywania opartych na informacjach Wywiadu niebezpiecznych zadań. Z tych samych powodów nie można było go kupić pochlebstwem. Należało go traktować z prawdziwym szacunkiem.

Oficer był bezpośredni i prostoduszny. Niewielu było takich jak on, więc Caedusowi tym bardziej zależało na tym, żeby go nie stracić.

Keldabe, Mandalora

Jaina wyskoczyła swoim X-wingiem z nadprzestrzeni. Miała nadzieję, że lecąc powoli i w oczywistym kierunku, zapobiegnie wszelkim nieporozumieniom co do swoich intencji, chociaż leci maszyną Galaktycznego Sojuszu.

Musiała chyba zwariować, pomyślała. Powinna była wcześniej skontaktować się z Fettem i uprzedzić go o swoich zamiarach. Gdyby jednak nie zgodził się od razu... cóż, i tak bym tu przyleciała, chociaż byłabym w gorszej sytuacji. Zawsze trudniej jest komuś odmawiać podczas rozmowy w cztery oczy. A Fett szanuje odwagę. A poza tym...

Poza tym była Jedi, która bezprawnie wkraczała w mandaloriańskie przestworza. Tylko to w tej chwili miało jakieś znaczenie. Musiała przelecieć obok strażnika i dotrzeć do Fetta, żeby przekonać go w bezpośredniej rozmowie. Nie mogła teraz tracić głowy.

- Kontrola Ruchu Powietrznego Keldabe, tu X-wing Bursztyn Dziewięć - odezwała się: - Pilotka prosi o zgodę na wejście do mandaloriańskiej przestrzeni powietrznej. - Jeszcze raz się upewniła, że jej myśliwiec ma wyłączone wszystkie systemy uzbrojenia, żeby nic, absolutnie nic, nie dało gospodarzom niewłaściwego pojęcia o jej zamiarach. Może powinna była przylecieć wahadłowcem, ale nie wiedziała, jak zostanie przyjęta, a na myśl, że może zostać ostrzelana, nie poczuła się lepiej. Jej X-wing nie zboczył z obranego kursu. - KRP Keldabe, tu X-wing Bursztyn Dziewięć - powtórzyła. - Czy mnie słyszycie?

- KRP Keldabe do Bursztyna Dziewięć - usłyszała kobiecy głos. Kontrolerka nie była ani trochę zaniepokojona z powodu naruszenia przestrzeni powietrznej Mandalory przez myśliwiec Galaktycznego Sojuszu. Może codziennie zestrzeliwali takie maszyny dla nabrania większej wprawy? Jaina wkrótce się o tym przekona na własnej skórze. - *Pare sol.* Zaczekaj.

Czy w ogóle ją poznają? Nietrudno było rozpoznać myśliwiec X-wing, ale twarz Jainya nie była tak powszechnie znana jak twarz Jacena czy mamy. Chociaż była pilotką nie założyła pomarańczowego kombinezonu Galaktycznego Sojuszu. Świadomie miała na sobie kombinezon w neutralnym kolorze, a włosy związała z tyłu.

Musiała tylko wylądować, zachowywać się uprzejmie i zdać się na łaskę Boby Fetta. Cały czas miała nadzieję, że pomoże jej zatajenie prawdziwej tożsamości. Gdyby od razu powiedziała, że nazywa się Jaina Solo, jakiś mandaloriański patriota mógłby dojść do wniosku, że dobrze będzie wyrównać rodzinne porachunki w imieniu Fetta.

A jeżeli pojawi się banda Mandalorian i zaczną mnie wypytywać o tatę... Już wiem, jak zareaguję, pomyślała.

Jaina nigdy przedtem nie była w przestworzach Mandalory. Mama, która pojawiała się tu w czasach Rebelii, mówiła, że Mandalorianie mieszkają w nadrzecznych domach, a ich przywódca, blondyn zwany Shysą jest czarującym mężczyzną. Jaina czekała, przywołując całą cierpliwość, której nigdy nie miała w nadmiarze.

Jej zmysły Mocy ujawniły, że coś się zbliża, ale nie wyczuła żadnego zagrożenia. Od nadlatującego obiektu promieniowała tylko życzliwość i, o dziwo, coś w rodzaju rozbawienia. Tak, zdecydowanie coś nadlatywało w stronę jej X-winga. Na ekranach monitorów było jednak widać tylko średniej wielkości statek z masywną jednostką napędową. Obiekt wyglądał jak kosmoportowy holownik albo statek pomocniczy. Może przysłano go jako eskortę?

Był już bardzo blisko, mimo to Jaina nadal go nie widziała w przestrzeni, chociaż obiekt zbliżał się od strony burt. Dopiero kiedy odwróciła głowę, z trudem mogąc usiedzieć na fotelu pilota, zobaczyła czarną pustkę, w której powinny świecić gwiazdy, a w tej pustce widniała mroczna sylwetka, lecąca na nią i to bez zapalonych światel pozycyjnych. Czyżby została wykryta?

Obiekt leciał kursem na zderzenie. Jaina przygotowała się do ucieczki.

A po chwili zapłonęły światła.

Na sekundę oślepił ją błękitnobiały blask; kiedy zamruwała, żeby odzyskać ostrość spojrzenia, zobaczyła ponurą bryłę statku najeżonego lufami działek, z mnóstwem obrotowych platform, włazów i kanciastych wieżyczek. Po prostu latający czołg.

- Keldabe wita ostrożnych *aruetiise*, jeżeli ich kredyty mają wartość - odezwała się przez komunikator kontrolerka KRP. - Bursztyn Dziewięć, jaki jest cel twojej wizyty?

Zaczyna się, pomyślała Jaina. Po prostu jej powiedz.

- Przyleciałam zobaczyć się z Bobą Fettem - oznajmiła.

- Bursztyn Dziewięć, przedstaw się - zażądała kontrolerka.

- Keldabe, nie jestem przedstawicielką Galaktycznego Sojuszu - odparła Jaina. Zachowuję się jak przestępczyni, pomyślała. A co będzie, jeśli zostanie aresztowana? - Przyleciałam sama.

- Podążaj za naszą eskortą-usłyszała.

Na razie była w jednym kawałku, co mogła uznać za osiągnięcie, chociaż nie miała pojęcia, co oznacza słowo *aruetiise*. Latający czołg obrócił się w poziomie o dziewięćdziesiąt stopni i zaczął się od niej oddalać. W pewnej chwili zanurkował na sterburcie, jakby dając do zrozumienia, że Jaina ma za nim lecieć. Młoda Jedi spodziewała się, że na jej spotkanie wyślą *Bes'uliika*, i czuła się dość rozczarowana, że nie zobaczy nowego mandaloriańskiego myśliwca. Powiadano, że jest szybszy niż X-wing. Siły zbrojne Korelii i innych planet ustawiały się w kolejce, żeby go kupić.

Ciocia Mara byłaby zachwycona, gdyby mogła się czymś takim przelecieć, pomyślała Jaina.

Wspomnienie Mary nachodziło Jainę kilka razy dziennie. Lepsze to niż gdyby o niej zapomniała, chociaż zapomnienie oszczędziłoby jej sporo bólu. Nauczyła się tego po śmierci Anakina. Zanim dotarła do górnych warstw atmosfery Mandalory, do niezgrabnego czołgu dołączył elegancki myśliwiec o trójkątnym kształcie i Jaina zrozumiała, że jej życzenie się spełniło. To był *Bes'uliik*, którego widywała w holowiadomościach. Pilot myśliwca zajął pozycję między nią a czołgiem. Leciał tak blisko jej X-winga, że Jaina dostrzegła, jak mężczyzna w hełmie daje jej ręką znak, który rozpoznalby każdy pilot: leć za mną.

Tymczasem czołg skręcił i zniknął, pozostawiając na ekranie sensorów myśliwca Jaina zdumiewająco nikły ślad po ciepłych gazach wylotowych. Młoda Jedi nawiązała łączność z pilotem *Bes'uliika*.

- Powiesz mi, co to było? - zapytała.

- Chcesz złożyć wstępne zamówienie? - zapytał pilot. - Spece z MandalMotors nazywają to *Tra'kad*, GwiezdnyMiecz.

Elegancka nazwa dla nieeleganckiej jednostki. Jaina nie zastanawiała się nad tym dłużej, bo lądowanie na Mandalorze wymagało od niej całej uwagi. Młoda pilotka nagle znalazła się w zatłoczonej przestrzeni powietrznej; pod sobą widziała porośnięty gęstymi lasami teren z rozszanymi tu i ówdzie małymi wioskami. W jej ilu- minatorze pojawiło się Keldabe - wyglądało jak ogromna forteca na granitowym postumencie, otoczona rzeką niczym fosą. Jaina dostrzegła wieżę firmy MandalMotors. Rozpoznała ją po namalowanym znaku - ponuro wyglądającej czaszce jakiegoś zwierzęcia z płomieniem buchającym z pustego oczodołu.

Jej pasywne skanery zarejestrowały obecność imponującego zestawu systemów obronnych typu ziemia-powietrze. Keldabe było gotowe na powitanie różnych gości.

Jaina gładko spłynęła nad lądowisko swoim X-wingiem, a zaraz za nią ten sam manewr wykonał pilot *Bes 'uliika*. Na płycie stały rozmaite jednostki, począwszy od poobijanych gladiatorów i zwinnych, nowych uzbrojonych transportowców firmy KDY, a skończywszy - co ją trochę wstrząsnęło - na starych X-wingach polakierowanych na krzykliwe kolory. Z większości statków wysypywali się pasażerowie. Wszyscy nosili charakterystyczne, osłaniające całe ciało pancerze w jaskrawych barwach. Przeważała czerwień, zieleń i zgaszona żółć.

Kiedy wylądowała, poczuła dreszcz, który przeniknął nawet przez kadłub jej X-winga. Od tej chwili nie było już odwrotu.

- Przylecieli na wakacje? - zapytała uprzejmie przez komunikator.

- Wracają na łono ojczyzny - odparł pilot *Bes 'uliika*. - Na innych planetach mieszkają miliony *Mando'ade*. Nasz *Mand'alor* zwrócił się do ochotników, żeby przywrócili planecie dawną świetność. Ci, których tu widzisz, przylecieli w odpowiedzi na jego prośbę. Wszyscy dostaną swój przydział gruntu.

- Nie miałam pojęcia, że byliście aż tak rozproszeni - stwierdziła Jaina.

- To właśnie dlatego nie mogli się nas pozbyć - stwierdził pilot. - Wszelkie próby przypominały rozbijanie młotkiem kropli rtęci... Ona się po prostu rozdziela na mniejsze krople i po jakimś czasie znów łączy.

Jaina postanowiła zapamiętać to porównanie. Wyłączyła systemy swojego myśliwca i przygotowała się do otwarcia owiewki kabiny. Miała nadzieję, że Bursztyn Dziewięć nie zostanie skonfiskowany przez tubylców i polakierowany na jaskrawopurpurowy kolor jak tamten stary X-wing stojący w kącie lądowiska.

- Wyskakuj z kabiny, *aruettii*, żebyśmy mogli cię sprawdzić - usłyszała.

Zaraz, zaraz, pomyślała pilotka. Mam zabrać swój miecz świetlny czy lepiej nie?

Postanowiła zaryzykować i zostawiła broń w podręcznej torbie w kabinie. Wskoczyła i wylądowała na permabetonie. W nie- rzucającym się w oczy szarym kombinezonie wyglądała dziwnie wśród Mandalorian w klekoczących różnobarwnych pancerzach. W powietrzu unosiła się woń żywicy ze świeżo przepiłowanych pni drzew i rozgrzanego metalu.

- Powiedz mi, co oznacza słowo *aruettii* - poprosiła.

- Kogoś obcego - odparł pilot *Bes 'uliika*. Niedbałym ruchem wyciągnął zza pasa blaster BlasTech o krótkim łożysku, a drugą ręką poddał ją badaniu ręcznym skanerem. - Kogoś spoza Manda- lory. Czasem nawet zdrającę. W porządku, jesteś czysta.

Jaina uznała, że poczułaby się o wiele pewniej, gdyby jednak badanie wykryło, że jest uzbrojona w świetlny miecz.

- Co się teraz stanie ze mną? - zapytała.

- Ktoś przyjdzie, żeby cię sprawdzić - odrzekł pilot. - Nie możemy pozwolić, żeby każdy włóczęga zwracał głowę naszemu *Mand'alorowi*, prawda?

Czy powinnam teraz wyjawić, kim jestem? - zadała sobie pytanie młoda Jedi. Pilot miał blaster. Gdyby nie spodobało mu się jej wyznanie, mogłaby cierpliwie czekać, co stanie się za chwilę, albo posłużyć się Mocą chociaż otaczały ją setki Mandalorian. Każdy miał jakąś broń, nawet dzieci. Sytuacja mogła łatwo wymknąć się spod kontroli, a ona bardzo potrzebowała pomocy Fetta.

- Masz rację - powiedziała z przekonaniem.

Musi teraz zmienić sposób myślenia, odrzucić wszystko, czego się nauczyła podczas szkolenia. Zgodnie z naukami powinna traktować wszystko wokół jako zagrożenie i przygotować się do obrony. Tymczasem gnębiło ją poczucie bezradności. Pilot *Bes 'uliika* nic więcej nie powiedział i stał spokojnie z blasterem na ramieniu. Oboje czekali cierpliwie, a ludzie wokół zaczynali się już na nich gapić. W końcu przez tłum na obrzeżach lądowiska przepchnął się skuter raketowy i skierował się prosto ku nim.

- Zabieraj ją- odezwał się pilot *Bes 'uliika*. - Jest nieuzbrojona.

Skuterem kierował mężczyzna w ciemnoniebieskim pancerzu. Jaina wyczuła, że nieznajomy jest zaniepokojony, ale chyba nie jej pojawieniem się na lądowisku.

- Nazywam się Goran Beviin - powiedział ostrożnie. U jego pasa zwiisał krótki, ale groźnie wyglądający metalowy miecz oraz blaster. - *Mand'alor* jest w tej chwili zajęty, więc lepiej powiedz, o co ci chodzi. Wskakuj.

Kusiło ją żeby mu zdradzić, że nazywa się Jaina Solo... tak, ta Jaina Solo, ale trochę ją niepokoił ciemny przedmiot, który zwiisał z płytki jego naramiennika. Wyglądało to na włosy obcej istoty, ale było w nich coś znajomego. Mandalorianie przepadali za trofeami. Fett słyszał z tego, że nosił u pasa zaplecione skalpy Wookiech. Było to obrzydliwe, ale Jaina nie przyleciała tu, żeby oceniać zwyczaje mieszkańców Mandalory. Potrzebowała pomocy pewnego Mandalorianina.

- Czy to włosy Yuuzhanina? - zagadnęła uprzejmym tonem.

- Owszem - przyznał Beviin. - Niczego nie lubiłem bardziej niż zabijania chłopców-krabów.

I to była właściwie ich cała rozmowa, dopóki nie dotarli do Keldabe. Jaina stwierdziła, że matka miała rację. Rzeczywiście po drodze mijali kilka nadrzewnych domów. Miasto wyglądało jednak jak każde inne - ot, chaotyczna masa granitowych bloków, drewna, plastoidu i durastali. Domy stały blisko siebie, jakby ich mieszkańcy lubili bezpośrednie starcia. Na wielu ścianach wciąż jeszcze widniały ślady wojennych zniszczeń; nawet stumetrową, dumną wieżę firmy MandalMotors szpeciły ślady po pożarach. Kilka nowych biurowców i budynków publicznych wyglądało bardziej okazale, ale całe miasto sprawiało wrażenie niezbyt zamożnego i zbudowanego dość chaotycznie. Kojarzyło się z człowiekiem, który zwyciężył, ale odniósł poważne rany.

Beviin zastopował skuter przed frontem budynku, w którym mieściła się kantyna. Drzwi były uchylone, a ze środka napływał zapach rozgrzanego oleju i piwa. Nad wejściem widniał napis, powtórzony pod spodem w basicu. Jaina przeczytała: „Kantyna wszechświata - zakaz wprowadzania Strillów - przyjmujemy zapłatę w postaci dóbr materialnych”.

Weszła za Beviinem do środka. Mężczyzna zdjął hełm i położył go na kontuarze. Jaina uświadomiła sobie, że Beviin nie wygląda wcale jak typowy Mandalorianin. Zamiast zbira o kamiennym obliczu zobaczyła zwyczajnego, siwiejącego człowieka mniej więcej w wieku jej matki. Miał pogodny wyraz twarzy. Zachwiał się także propagowany przez Fetta wizerunek samej Mandalory, który Jaina dawno sobie utrwaliła. Kiedy jej oczy przywykły do półmroku, stwierdziła, że znajduje się w kantynie pełnej zakutych w pancerze Mandalorian. Nie wszyscy byli ludźmi, ale wszyscy trzymali hełmy pod stołami. Wszyscy też wbijali spojrzenie w ogromny holowideograficzny ekran i w pełnej napiętej ciszy obserwowali jak zahipnotyzowani przebieg meczu w bolidach.

- *Meshgeroya* - szepnęła Beviin, jakby obawiał się zakłócić nabożeństwo. - To piękna gra. Nasza druga narodowa rozrywka.

Obok stopy Jajny śmignęło coś małego i kosmatego; młoda Jedi nie ośmieliła się temu dobrze przyjrzeć. Jeden z gości - zwalisty mężczyzna o siwych włosach i wytatuowanej na szyi gałązce winorośli - spojrzał na nią i wybuchnął rubasznym śmiechem.

- Wypuść ją z powrotem. - Zarechotał wesoło. - Wiesz, że nie powinno się chwytac takich małych.

Beviin spojrział na niego podejrzliwie.

- Przyleciała tu, żeby zobaczyć się z Fettem, *Car 'ika* - powiedział.

- Nasze stawki są o wiele mniejsze, młoda damo - odparł wytatuowany mężczyzna. - Na kogo mamy zapolować?

- Dajcie spokój. - Jaina skrzywiła się, bo żart mężczyzny niebezpiecznie zbliżył się do rzeczywistości. Oparła się o kontuar i zastanowiła, dlaczego zaprowadzono ją do kantyny zamiast do jakiegoś budynku rządowego czy nawet do rezydencji Fetta. - Sama wiem, gdzie znajduje się mój łup.

W kantynie unosiły się wonie przypraw i smażonego pożywienia. Większość gości popijała czarne ale albo sączyła ze szklanek przezroczysty płyn, który prawie na pewno nie był wodą. Zmysły Mocy powiedziały Jainie, że wszyscy są znacznie bardziej zainteresowani ostatecznym wynikiem meczu niż faktem, że przebywa pośród nich obca osoba. Czyżby naprawdę byli tak beztroscy? A może sądzili, że w tej kantynie nikt nie może im zrobić niczego złego?

- Przykro mi, że się na ciebie gapiłem - odezwał się łagodnie Beviin - ale chyba cię znam i próbuję sobie przypomnieć, gdzie już widziałem twoją twarz. Nieważne. Niebawem sobie przypomnę. - Cały czas opierał dłoń na głowicy miecza, co prawdopodobnie pomagało mu utrzymać prostą pozycję w kompletnej zbroi.

Jaina zastanawiała się, jak miałyby sparować cios, gdyby mogła się posługiwać tylko Mocą. - Sama mi tego nie powiesz, dopóki nie będziesz musiała, prawda?

- Fett zna mnie i moją rodzinę - odparła wymijająco Jaina. Liczyła na to, że Fett ją rozpozna, chociaż widziała go tylko raz, kiedy była dzieckiem, i ktoś jej wtedy powiedział, że to mógł być oszust. - Będzie wiedział, po co tu przyleciałam.

Bolo-piłka w naturalny sposób odwracała od niej uwagę zebranych. Jaina też była pochłonięta obserwowaniem meczu. O mało nie ogłuchła, kiedy ciszę w kantynie przerwały głośnie okrzyki *Oya!*, w momencie gdy ulubiony zespół zdobył bramkę. I wtedy coś poczuła: dziwne wrażenie przepłynęło wzdłuż jej kręgosłupa, a wszystkie włosy stanęły dęba.

To przecież niemożliwe, pomyślała Jaina.

- Co się stało? - zapytał Beviin. Wyciągnął rękę nad kontuarem, chwycił coś z misy i zaczął z namysłem żuć. - Uważasz, że to była bramka ze spalonego?

Jaina rozejrzała się po sali, gotowa do ucieczki, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi. Młoda Jedi nadal czuła, że coś jest nie w porządku. Moc podsuwała jej dziwne wrażenia.

Do kantyny weszło dwóch Mandalorian. Jeden był zakuty w pancerz z różnokolorowych płytek, a drugi miał zbroję zieloną. Ten w zieleni był wyraźnie starszy i siedł tak, jakby bolały go wszystkie stawy.

Starszy mężczyzna zdjął hełm i położył go na kontuarze. Tak, rzeczywiście był leciwy. Wyglądał, jakby wysuszyło go samo życie. Prześwidrował spojrzeniem Jainę, która też na niego spojrzała. Od razu pożałowała, że się nie przyznała, kim jest, kiedy tylko postawiła stopę na lądowisku.

- Witaj, Jedi - odezwał się mężczyzna i wyciągnął blaster.

ROZDZIAŁ 5

W mandaloriańskim kodeksie kolor niebieski oznacza niezawodność, zielony - obowiązek, złoty — zemstą, czarny - sprawiedliwość, szary - smutek po śmierci ukochanej osoby, a czerwony — szacunek dla ojca.

Mandalorianie: tożsamość i język, wydawnictwo Galaktycznego Instytutu Antropologii

W drodze do Gromady Hapes

- Jesteś pewny, że to nie pułapka? - zapytał Ben.

- Mówiłem ci, że Jacen to wariat. - Shevu leciał w kierunku Perlemiańskiego Szlaku Handlowego małym transportowcem z emblematem geologicznej ekipy naukowej Uniwersytetu Coruscant. Ben nie miał nic przeciwko posłużeniu się tym podstępem, gdyby ktokolwiek ich o to zapytał; na szczęście wyglądali jak student i gorliwy młody wykładowca egzotycznej gałęzi wiedzy o wulkanicznych skałach. Tak naprawdę Ben bardzo chciał jeszcze raz rzucić okiem na miejsce śmierci matki na Kavanie. - Nie mógł wiedzieć, że zamierzam to zrobić, skoro powiedział, że bym skorzystał z urlopu.

- Musiał mieć jakiś inny powód - stwierdził młody Skywalker.

- No cóż, nie domyślał się, że polecimy na Kavana - odparł oficer. - I nie dowie się, że tam byliśmy.

- Kto załatwił panu tę balię?

- Jacen zraził do siebie wiele osób - zmienił temat Shevu.

- Moim zdaniem skreślono go z listy zapraszanych gości w wielu ambasadach - zgodził się z nim Ben.

- Jeżeli musisz wiedzieć... wśród Korelian, których wygnął, było wielu profesorów i studentów. Władze uniwersytetów zareagowały oburzeniem. Aha... bardzo nam pomaga Barit Saiy i towarzystwo inżynierskie jego ojca.

Na dźwięk tego nazwiska Ben skulił się, jakby Shevu go spo- liczkował. Barit Saiy. Korelianin ze zwyczajnej, ciężko pracującej rodziny, która od wielu pokoleń mieszkała na Coruscant. Chłopak używał jednak blastera w głupi sposób i rozpowiadał na prawo i na lewo, że powinno się wypowiedzieć wojnę Galaktycznemu Sojuszowi, więc Ben przekazał go w ręce Jacena. Kiedy Barit zniknął z aresztu SGS, podobnie jak wielu innych Korelian w tamtych paskudnych tygodniach, Ben zaczął się obawiać najgorszego.

Przypomniawszy sobie, jak pochylony nad listami aresztantów She- vu wściekał się, że znikają osoby z listy bez przestrzegania odpowiednich procedur.

- Znalazł go pan? - zapytał Ben, odsuwając wspomnienia.

- Taa - przyznał kapitan.

- I wyciągnął go pan z aresztu. - Ben przerwał, jakby wskoczył z dużej wysokości do wypełnionego lodowatą wodą basenu wątpliwości. - Przecież Barit był uzbrojony i strzelał do glin...

- Owszem. Wcale nie musisz odczuwać wyrzutów sumienia, że na niego doniosłeś. Prawo to prawo.

- Ale pan je nagiął i wypuścił Barita.

- Benie, wszystko, co Jacen robił, żeby sięgnąć po władzę, było działaniem w granicach prawa - przypomniał Shevu. - Istnieje prawo i istnieje sprawiedliwość, ale nie zawsze jest to jedno i to samo. Barit to dzieciak, który za dużo gadał, jak inni chłopcy w jego wieku.

Ben się zawahał. Sam widział, jak Barit strzelał do policjantów podczas zamieszek, odbił nawet na bok błyskawicę blasterowego strzału. Zastanowił się, czy gdyby cały czas o tym pamiętał, nie odczuwałby wyrzutów sumienia z powodu tego, że go wydał.

- A pan potrzebował informatora - zgadł.

- A ty nie? - odciął się Shevu. - Czy właśnie nie tym zamierzam się stać dla twojego ojca?

Dorosły świat, do którego wrzucono Bena, nie miał siatki bezpieczeństwa na wypadek, gdyby skok się nie udał. Nikt nie informował, że czas ćwiczeń dobiegł końca, a broń już nie jest zmodyfikowanym mieczem świetlnym, który ma tylko kłuć, nie zabijać. Ben szybko zaczął się z tym oswajać; musiał grać w tę grę zgodnie z brudnymi, pełnymi przemocy regułami osób dorosłych. Walcząc, godził się na kompromisy. Często leżał długo w nocy, nie mogąc zasnąć, i wędrował bezkresnymi labiryntami dobra i zła. Zastanawiał się, czy z dwóch złych rzeczy może wyniknąć jedna dobra i czy nauczano tego w Akademii Jedi. Tata chyba zawsze wiedział, co jest dobre, nawet jeżeli nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Ben uświadomił sobie wreszcie, że nigdy nie odkryje nieomylnego wzoru pozwalającego określić, co jest słuszne, a co nie. Należało mieć się na baczności w każdej minucie dnia i zawsze

stawiać sobie pytania: czy powinienem to zrobić? Czy chciałbym, żeby ktoś tak ze mną postąpił?

- Nie musi pan szpiegować dla Rady Jedi - powiedział teraz Ben.

- Ależ muszę - sprzeciwił się Shevu. - Kto inny znajdzie sposób, żeby pozbyć się Sitha? Wydaje ci się, że sądy Sojuszu zastosują w jego sprawie majestat galaktycznego prawa? Dopóki obaj wiemy, o co chodzi, wszystko jest w porządku.

Ben zajął się swoim notesem komputerowym. Widział, jak bardzo Shevu jest spięty. Młody Skywalker mógł zdradzić Tenel Ka, czym się razem z Shevu zajmują, ale to by pociągnęło za sobą oficjalny udział hapańskiej służby bezpieczeństwa, a Shevu nikomu nie ufał. Ben dobrze rozumiał jego punkt widzenia. Mimo wszystko, kiedyś ufał Jacenowi. Teraz wrócił do świata niepodważalnych dowodów i przeglądał wszystkie informacje, które zgromadził, kiedy jego matka leżała bez życia w tamtym tunelu na Kavanie.

Zwłoki Mary widniały na większości zarejestrowanych holo- wideogramów.

Ben oglądał je bez końca, licząc na to, że wreszcie przestanie odczuwać ból spowodowany przeżywaniami wciąż na nowo jej śmierci. Zaczął zwracać uwagę na szczegóły: ułożenie ciała i na całe otoczenie. Widział miejsca, w których skały zostały przemieszczone albo połamane. Jaskrawy kolor strzaskanych cegieł dowodził, że uszkodzenia są świeże. Odtworzył w myślach przebieg zaciętej walki. W kompleksie tuneli na tej opustoszałej planecie widniało tyle śladów zniszczeń, że musieli tego dokonać władcy Mocy. Nigdzie nie było widać śladów eksplozji detonitu, które mogłyby to usprawiedliwić. Mara Skywalker nie musiałaby używać tyle siły, gdyby jej przeciwnikiem nie był użytkownik Mocy, i to równie potężny jak ona.

Ben przeanalizował pobrane próbki powietrza. Wykrył ślady parowania pod wpływem dużych energii, wydzielających się podczas walki na świetlne miecze, a także mnóstwo śladów pierwiastków uwolnionych przez roztrzaskiwane drewno, cegły i kamienie. Niemal liczył na to, że usłyszy szmer oddechu Jacena, ale analizator o rozmiarach jego notesu komputerowego nie potrafił dokonywać cudów.

Czyżby coś przeoczył? Ciało jego matki bardzo dokładnie zbadała Cilghal. Inni Jedi przeczesali tunele w poszukiwaniu dowodów. Sprawdzali wszystkie możliwe wątki, które mogła przeoczyć zwykła technika, ale nie znaleźli niczego oprócz porzuconego pakietu zatrutych strzałek, które były - jak wszyscy wiedzieli - ulubioną bronią Alemy. Wyczuli przy okazji echa ciemnej energii, które również mogły pochodzić od Alemy.

Nie wykryli jednak tropów samej Alemy. Czyżby Twi'lekan-ka tak zręcznie zatarła ślady swojej obecności na Kavanie? Jacen z pewnością by to potrafił. Umiał maskować swoją obecność w Mocy, a nawet ukrywać obecność Lumiya pod samymi nosami członków Rady Jedi.

Poszukiwania odkryły, czego nie było na miejscu zabójstwa, ale nie znaleziono żadnych konkretnych dowodów.

Dalekosiężne sensory hapańskiej służby bezpieczeństwa wykryły uniwersytecki transportowiec, jak tylko statek znalazł się w ich zasięgu; kontrolerów interesowało wyłącznie to, czy pasażerowie nie zamierzają poszukiwać cennych klejnotów. Wyglądało na to, że są na tym punkcie przewrażliwieni.

Shevu bardzo przekonującym głosem wyjaśnił, że klejnoty nie są ani w połowie tak interesujące jak carlaniańskie wulkaniczne rurki i otaczające je skały, które mogłyby rzucić więcej światła na najnowsze teorie o powstaniu Gromady Hapes. Wyczytał to wszystko z ekranu komputerowego notesu, ale kontrolerom wystarczyło. Jeden z nich przerwał mu w połowie zdania wyjaśniającego przyczyny powstawania odkrywek cylindrycznych i szybko wyraził zgodę na lądowanie transportowca na Kavanie.

Dam radę to zrobić, pomyślał Ben. Skoncentrowany i spokojny, obserwował, jak wysmagana przez wichry powierzchnia Kavana rośnie szybko w iluminatorach statku. Potrafi stawić temu czoło.

- Nic ci nie jest, Benie? - zagadnął Shevu.

- Nie, wszystko w porządku - odparł młody Skywalker.

- Myśl jak glina. Cały czas rozumuj jak policjant.

Planeta była znacznie bardziej opustoszała, niż Ben zapamiętał. Teraz, w innej porze roku, grunt porastały zielone rośliny i kępy niewielkich czerwonych kwiatków w kształcie gwiazdek z bursztynowymi kolcami zamiast liści. Shevu nastawił geologiczny automat na prowadzenie badań i - na wszelki wypadek - na pobieranie

przekonujących próbek gruntu, i od razu zaczęli podążać za kursem - co w slangu CSB oznaczało ponowne badanie miejsca zbrodni i wymierzanie krokami różnych odległości w nadziei wyszukania świeżych dowodów. Stanęli w miejscu, gdzie znaleziono należący do Mary stealthX, i rozejrzeli się w poszukiwaniu natchnienia.

- Jacen na pewno właśnie tu wylądował swoim myśliwcem - stwierdził Shevu. - Zarejestrowano czas, kiedy wyleciał z hangaru SGS, a my wiemy, że twoja matka skontaktowała się z hapańską Kontrolą Ruchu Powietrznego, twierdząc, że według niej Jacen znajduje się w tej okolicy. A zatem jeżeli po drodze Jacen nie zmienił statku, powinniśmy szukać śladów izotopu gazu tibanna.

- Ekipa Cilghal już przeszukała cały ten teren - przypomniał Ben. Znał wyniki jej analiz, ale chciałby, żeby na światło dzienne wyszedł nieznanym dotąd, rewelacyjny dowód. - Podczas startu stealthX-y wzbijają tyle kurzu, że jego ślady powinny pokryć obszar o średnicy pięciuset metrów. Gdyby mama wylądowała swoim myśliwcem w pobliżu maszyny Jacena, co jest prawdopodobne, jeżeli zamierzała go schwytać, zatarłaby wszelkie ślady jego maszyny.

- Po prostu sprawdzam.

- Zajmijmy się tunelami - zaproponował młody Jedi.

To było najtrudniejsze zadanie ze wszystkich, ale za radą Shevu Ben myślał jak policjant. Chciał widzieć tylko to, na co wskazywały ślady, nie zaś ewentualne wydarzenia. Cilghal znalazła ślady krwi na rumowisku, które powstało po zawaleniu się sklepienia tunelu. Prawdopodobnie kogoś tam przygniotło, ale ślady były zatarte przez energię blasterowego strzału, więc nie dało się zidentyfikować ich źródła. Niewykluczone, że była to krew jego matki.

Kolejność wydarzeń wydawała się teraz dosyć oczywista. Co najmniej dwie osoby walczyły w tunelach, powodując olbrzymie zniszczenia. Niektóre niewątpliwie powstały od strzałów z blastera, ale pozostałe miały inny charakter i Ben doszedł do wniosku, że mogły być skutkiem potężnego pchnięcia Mocą. To twoja robota, Jacenie, wiem... wszyscy to wiemy, ale muszę znaleźć niepodważalne dowody, pomyślał. Shevu, z każdą chwilą bardziej zdenerwowany, badał skanerem ściany i dno tunelu. Patrząc na odczyty, kręcił głową z powątpiewaniem. Mimo wszystko od tej zbrodni minęło wiele miesięcy.

- Myślę, że niczego więcej tu nie znajdziemy - stwierdził Ben. - Chodźmy

- Jeszcze nie skończyłem - sprzeciwił się Shevu.

- Zbadajmy inną drogę - zaproponował młody Jedi. - Nie musi pan...

- Gdybym chciał sądzić Jacena za zabójstwo, łatwo mógłbym go oskarżyć o zabicie pani porucznik Tebut. Wielu wiarygodnych świadków widziało, jak to zrobił - odparł oficer. - Robię to dla ciebie, Benie. To ty musisz uzyskać pewność.

Czy śmierć Mary Skywalker miała większy ciężar gatunkowy niż zabicie Patry Tebut? Dla Bena z pewnością, chociaż gnębiły go wyrzuty sumienia, że wykorzystuje tyle środków na swoje poszukiwania sprawiedliwości. Nie znał Tebut: nie wiedział, czy młoda pani oficer miała rodzinę i co się z tą rodziną dzieje, nie miał też pojęcia, jaką historię opowiedziano jej najbliższemu, żeby wyjaśnić jej śmierć. Próbował wmówić sobie, że robi to także dla niej i dla wszystkich istot, które straciły życie przez Jacena, nawet dla córki Boby Fetta - nieważne, czy miała na sumieniu jakieś przestępstwa.

Powinienem być od razu się zorientować, co to za człowiek, pomyślał. A już na pewno od chwili, kiedy siedziałem za drzwiami sali przesłuchań i słyszałem, jak Jacen morduje tę kobietę.

- Masz rację - powiedział do Shevu. - Pracujmy dalej.

Niebawem wyszli z tuneli. Na niebie pojawiły się chmury i wyglądało na to, że się rozpada. Shevu poszedł zmierzyć krokami odległość od ostatniej znanej pozycji stealthX-ów. Powiedział, że spróbuje spojrzeć na okolicę oczami Jacena, a Ben skupił znów uwagę na swoim komputerowym notesie.

Trudno mu było spokojnie patrzeć na obraz matki. Przypominał sobie sprawy, o których nie miał okazji jej powiedzieć, i powiększał na ekranie jej twarz, pokrytą świeżymi ranami. Jaka szkoda, że Mara nie podrapała twarzy Jacena; można by wtedy porównać tkankę spod paznokci. Cilghal powiedziała, że rany Mary powstały od uderzenia cegłami, bo odkryła na nich ceglany pył. Ben wpatrywał się w obraz matki na ekranie; mógłby

przysiąc, że jej twarz lekko się poruszyła, jakby coś było nie w porządku z notesem.

Od ekranu odbił się krótki błysk słońca. Ben przechylił urządzenie, żeby lepiej widzieć, a wtedy twarz matki na ekranie rzeczywiście się poruszyła, niczym odbicie w lustrze. Młody Jedi nerwowo przełknął ślinę, nabrał powietrza i się odwrócił.

Matka stała za nim i patrzyła mu prosto w oczy. Była tak blisko, że mógłby jej dotknąć. Wyglądała jak za życia, ale otaczała ją lekka białobłękitna mgiełka niczym w wadliwym hologramie. Uśmiechnęła się smutno i zanurzyła palce prawej dłoni w gęstej rudej czuprynie. Szarpnęła i cały czas się uśmiechając, wyciągnęła w stronę Bena rękę z garścią wyrwanych włosów. Chłopcu odjęło mowę. Sięgnął, żeby schwytać włosy, ale nic mu nie wpadło do ręki. Wtedy Mara się odwróciła i powoli odeszła. Ben próbował za nią krzyknąć, poprosić, żeby została i z nim porozmawiała... że pragnie jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha, ale matka szła dalej, a on zdołał tylko szepnąć:

- Kocham cię...

Wtedy matka się odwróciła i znów pociągnęła się za włosy. Z ruchu jej warg Ben odczytał:

- Ja też cię kocham, Benie.

A potem zniknęła.

Ben słyszał już tylko łomot własnego pulsu. Nie potrafił zrobić żadnego ruchu.

- Benie! - zawołał Shevu. - Benie, na pewno dobrze się czujesz?

Weź się w garść, nakazał sobie chłopak.

- Czy pan coś zauważył? - zapytał.

- Nie wyglądasz najlepiej - zmartwił się oficer.

A ty na pewno coś widziałeś? - zadał sobie pytanie Ben.

- Nie znalazłem niczego, co przegapiono by za pierwszym razem, a jeśli nawet coś tu było... od tamtego czasu upłynęło wiele tygodni, więc pewnie dawno zniknęło. - Shevu podszedł do Bena i położył mu ręce na ramionach. - Wyglądasz okropnie. Odpocznijmy chwilę w transportowcu. Może tam dojdiesz do siebie.

Ben wiedział, że Shevu uważa go za opętanego przez wspomnienia. Nie zauważył Mary, a Ben nie miał pojęcia, jak mu powiedzieć, że mu się ukazała. Ludzie pogrążeni w żałobie widywali swoich bliskich wszędzie, zwłaszcza póki ich strata była świeża, i to mogło wyjaśnić widzenie Bena. Problem w tym, że matka patrzyła prosto na niego i chciała mu coś dać do zrozumienia. Nawet się odezwała, chociaż syn nie usłyszał słów. Ben nie wiedział zbyt dużo o zjawach Mocy - nikt tego nie wiedział - ale przecież widział tę niesamowitą błękitną mgiełkę. Gdyby to jego mózg płatał mu figła, zobaczyłby Marę dokładnie taką, jak ją zapamiętał.

Wróciła, żeby mi coś powiedzieć, pomyślał.

- Nie... nic mi nie jest - bąknął bez przekonania.

Zastanawiał się gorączkowo. Musi zrozumieć, co się stało, dopóki szczegóły spotkania z matką miał na świeżo w pamięci. Dlaczego Mara wyrywała sobie włosy z głowy? Dlaczego ukazała mu się właśnie tutaj? Dlaczego nie na Endorze albo w domu? Jeżeli potrafiła się z nim skontaktować, dlaczego mu po prostu nie powiedziała, że to Jacen ją zabił?

Czy w ogóle wiedziała, kto jest jej zabójcą? Mogła przecież zostać zaskoczona. Ale teraz, kiedy zespoliła się z Mocą... Ben się zawahał. Ściągał mgławicowy świat zjaw, a potrzebował niepodważalnych dowodów, które mógłby przedstawić żywym.

- Benie, mam manierkę z kafem - odezwał się Shevu. - Wypij filiżankę, od razu poczujesz się lepiej.

Dlaczego pojawiła się tutaj? Ben spróbował sobie odpowiedzieć na to pytanie. Cóż, właśnie tu prowadzimy dochodzenie. A włosy... włosy muszą mieć jakieś znaczenie.

- Panie Shevu - zagadnął swojego towarzysza. - Kiedy ludzie ze sobą walczą pozostawiają na sobie jakieś ślady, prawda?

- Tak, ale jest za późno, żeby zebrać je z ubrania Jacena - odparł officer. - Ale... czy Jedi walczą w zwarciu?

- Nie, ale...

- Niech to zaraza. - Shevu coś przyszło do głowy i teraz był wściekły na siebie. - Niech to zaraza. StealthX! Nie zbadaliśmy jego myśliwca. W CSB zazwyczaj bardzo skrupulatnie przeczesujemy kabiny...

- Ale wtedy nikt jeszcze go nie podejrzewał. Nikt nie przypuszczał, że w kabinie jego myśliwca może być coś, czego warto poszukać.

- A wiesz przynajmniej, czego mielibyśmy tam szukać? - zapytał Shevu. - Benie, co ci chodzi po głowie?

Chłopak przełknął ślinę.

- Włosów - powiedział. - Włosów mojej mamy.

- Uważasz, że mogła lecieć należąca do Jacena stealthX-em? - zdziwił się Shevu. - Załóżmy, że coś tam znajdziemy, ale przecież mogło to tam trafić w każdy inny sposób. Wiem, że Mara przyleciała do kwatery głównej SGS, żeby się z nim zobaczyć, ale czy poza miejscem pracy mogli mieć ze sobą jakiś kontakt? Taki, który mógłby wyjaśnić przeniesienie włosów twojej matki?

- Nic mi o tym nie wiadomo - stwierdził chłopak.

- A więc musimy się tego dowiedzieć, Benie - zawyrokował Shevu.

- Jakim cudem mielibyśmy dostać zgodę na zbadanie kabiny jego myśliwca? - zapytał Ben. - A poza tym Jacen miał wiele tygodni na wysprzątanie kabiny.

- Coś wymyślimy - uspokoił go Shevu. Wyraźnie był w rozterce: nie potrafił się zdecydować, czy zostać i dalej prowadzić poszukiwania, dopóki jest widno, czy też wracać do domu. - Chodźmy. Jeżeli niczego nie znajdziemy, mówi się trudno - zdecydował - ale zamierzam odwrócić tu każdy kamień.

Wezwali automat, wystartowali i obrali kurs w kierunku nadprze- strzennego szlaku. Podczas podróży Ben wiele razy zamykał oczy, żeby przypomnieć sobie zjawę matki i jej poruszające się wargi.

„Ja też cię kocham, Benie” - powiedziała mu Mara.

A to znaczy, że musiała usłyszeć jego słowa. Może tylko je wyczuła. .. Ben nie mógł powstrzymać płaczu. Szlochał, aż rozbolał go brzuch.

- Przepraszam - odezwał się w końcu, ocierając twarz rękawem. - Przepraszam, że tak histeryzuję.

- Twoja matka została zamordowana - przypomniał cicho She- vu. - To wystarczający powód, żeby się martwić.

Ben zastanowił się, czy nie powiedzieć mu o wizji, ale po namyśle zrezygnował. Może później, pomyślał. Na razie nie powie o tym nawet ojcu. Nie wiedziałby, w jaki sposób mu to wyznać. Postanowił tylko, że skontaktuje się z nim i da mu znać, kiedy tylko wyskoczą z nadprzestrzeni. Tęsknił za Lukiem i nie potrafił zrozumieć, dlaczego w przeszłości tak go unikał. Teraz cenił sobie każdą chwilę z nim spędzoną.

- Martwi mówią do nas, Benie - odezwał się Shevu. - Wydają świadectwo.

- Tak - przyznał chłopak. - Masz rację.

Farma Beviina i Vasura, niedaleko Keldabe

Doktor Beluine dał Sintas kolejny zastrzyk uspokajający i sprawdził jej puls. Tym razem kobieta nie zdradzała nadmiernego pobudzenia.

- Na ogół nie stosuję tego środka - oznajmił lekarz - ale jeżeli jej nie uspokoję, zrobi sobie krzywdę. Może się uderzyć o coś twardego albo ostrego.

Fett znów ujrzał w wyobraźni otwartą paszczę sarlaccy, po czym pograżył się w mrocznej, beznadziejnej jamie z kwasem. Dzięki, Solo, pomyślał.

- To prawda - powiedział.

- Przestańcie mówić o mnie, jakbym już nie żyła - warknęła Sintas. - Okropnie tu głośno. Gdzie ja jestem? Dlaczego nic nie widzę?

Wyglądała na oszołomioną, ale i tak było już lepiej; przynajmniej nie krążyła jak błędna po pokoju. Mówiła dość przytomnie, ale zaburzenia psychiczne mogły powrócić. Fett wiedział, że było najwyżej pięćdziesiąt procent szans, że Sintas pozostanie zupełnie normalna. Nie wiedział, jak to wyjaśnić pozostałym. Na razie nawet Mirta, która zazwyczaj znała wszystkie odpowiedzi, starała się zachowywać ostrożność. Sintas usiadła na łóżku, objęła rękami kolana i kręciła głową, kierując niewidzące oczy w miejsca, skąd słychać było głosy.

Jak powiedzieć kobiecie, że została zamrożona w karbonicie na trzydzieści kilka lat? Że kiedy była nieprzytomna, jej trawiona żądzą zemsty córka udała się na poszukiwania jej byłego męża? Że ta córka wpadła w ręce funkcjonariusza tajnej policji i została zamęczona na śmierć? Że ta córka miała córkę i... Fett próbował ułożyć to sobie w głowie. Niech to szlag, pomyślał. Brzmiało to teraz równie okropnie jak przed trzema miesiącami, może nawet jeszcze gorzej.

Byłoby jednak bardzo źle, gdyby Sintas sama sobie to wszystko przypomniała.

Trzeba przyznać Medritowi, że zrobił to, co zrobiłby Beviin, gdyby nie musiał akurat rozwiązywać innego potencjalnego problemu. Oszczędził *Mand'alorowi* zakłopotania i zajął się dyplomacją.

- Nazywasz się Sintas Vel - powiedział do niej cicho Medrit. Wyglądało na to, że kobieta jest bardzo wrażliwa na dźwięki. Może i dobrze, że była niewidoma, bo gdyby zobaczyła nad sobą tego wysokiego i silnie umięśnionego mężczyznę o krzaczastych brwiach, dowodzących krewkiego usposobienia, nie poczułaby się najlepiej. - Jakiś czas byłaś zamrożona w karbonicie. Wiesz, co to jest?

- Naturalnie, że wiem - obruszyła się Sintas.

- W porządku. Znajdujesz się teraz w Keldabe na Mandalorze. Ja nazywam się Medrit Vasur. To moja farma, ale możesz tu zostać, dopóki nie odzyskasz zdrowia na tyle, żeby ją opuścić. Jakie ostatnie wydarzenie ze swego życia pamiętasz?

Sintas kierowała spojrzenie prosto na niego, chociaż nadal niczego nie widziała. Nawet teraz, pod działaniem środków uspokajających, raz po raz pocierała powieki w oczywistej frustracji.

- Gdzie mój naszyjnik? - zapytała.

- Pamięta pani, że go miała? - odezwał się Beluine.

- Miałam - potwierdziła Sintas. - Co się z nim stało?

Beluine odwrócił się do Fetta.

- Miała naszyjnik? - rzucił cicho.

- Tak - przyznał łowca nagród.

- Bardzo dobrze, że sobie to przypomina.

Fett zerknął na Mirtę. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, młoda kobieta sięgnęła za dekollet, żeby wyjąć ogniste serce, a przynajmniej tę połowę, której nie pochowano razem z Ailyn. Fett dał klejnot Sintas jako prezent ślubny, kiedy oboje byli zbyt młodzi, żeby cokolwiek rozumieć, ale nie dlatego coś go teraz ścisnęło w sercu.

Sintas pochodziła z planety Kiffu. Klejnot - jeden z najrzadszych, płonący wewnętrznym blaskiem tęczy kolorów - podobno zawiera w sobie część duszy ofiarodawcy i obdarowanego. Kiffa- rowie potrafili wyczuwać wspomnienia przechowywane w takich klejnotach, niczym dane zarejestrowane w kryształach, ale także odbierali całą warstwę emocjonalną w nich zawartą. Gdyby nawet Sintas była szalona albo ślepa, ten klejnot mógł przemówić do niej i pobudzić jej pamięć o wiele za szybko, żeby mogło jej to wyjść na dobre. Łowca nagród zawsze mówił tylko to, co musiał. Zazwyczaj nie było tego dużo, ale tym razem chodziło o coś innego.

O kogo bardziej się martwię, o Sintas czy o Mirte? - zadał sobie pytanie Fett. Żadna z tych kobiet nie знаła pełnego obrazu chaosu, jaki ogarnął jego rodzinę... na razie.

Beluine nie zrobił na Fecie równie dobrego wrażenia jak weterynarz z miejscowej farmy, który go kiedyś leczył, ale doktor podjął próbę zarobienia na swoje honorarium. Przyciągnął krzesło do łóżka i odezwał się do Sintas uspokajającym, profesjonalnym tonem:

- Czy pamiętasz, moja droga, moment zamrożenia w karbonicie? - zapytał. - Byłaś wtedy przytomna?

Sintas przekręciła głowę, bo usłyszała, że do jej sypialni wchodzi medyczny droid.

- Nie wiem - oznajmiła. - Nie przypominam sobie niczego. Aha, i trzymajcie tego droida z daleka ode mnie.

Mirta zaczęła kręcić ognistym sercem na skórzanym pasku, który owinęła sobie na palcu. Spojrzała znacząco na Fetta, jakby chciała powiedzieć: „Teraz albo nigdy, *Ba'buir*”. Ostrożnie podeszła do łóżka Sintas.

- Proszę, tu jest twój naszyjnik - powiedziała. Łagodnie zamknęła palce babki na klejnocie. - Przechowałam go dla ciebie. Nazywam się Mirta Gev. Nigdy się nie spotkałyśmy, ale jestem twoją... krewną.

Sintas znieruchomiała i skierowała niewidzące oczy na ogniste serce w swojej dłoni. Delikatnie potarła klejnot.

- Jest inne niż je zapamiętałam - szepnęła.

Fett z rozmysłem przestał zwracać uwagę na to, co się dzieje wokół niego. Nauczył się tej sztuczki krótko po śmierci ojca. Było to niczym pstryknięcie przełącznikiem wyłączającym wszelkie emocje, co powodowało całkowite odrętwienie. Fett stwierdził kiedyś, że przydaje się to także w przypadku silnego bólu. Każdy mógł się tego nauczyć, jeżeli naprawdę chciał.

- Musieliśmy przełamać to serce - powiedział. - Możesz dostać inne.

Sintas odwróciła powoli głowę w jego stronę i przez moment Fett sądził, że była żona rozpoznaje jego głos. Rzeczywiście wyglądała, jakby coś ją tknęło, ale w końcu opuściła głowę, kierując niewidzące oczy na ogniste serce trzymane w dłoni. Mirta siedziała na łóżku, dotykając barkiem ramienia babki. Miała ponurą minę, jak zawsze, kiedy postanawiała ukryć swoje zdenerwowanie.

- Czy ja cię znam? - zapytała Sintas.

Beluine pochylił się w stronę Fetta.

- To może być za szybko, zbyt wiele wrażeń - rzekł. - Czytałem o przypadkach, kiedy przedwczesne ujawnienie rzeczywistej sytuacji powodowało, że odmrożone osoby wpadały w katatonię.

Fett zrozumiał i chwycił się tej wymówki.

- Znałaś mnie dawno temu... Sintas - powiedział. Imię żony zabrzmiało obco w jego ustach, ale nie ośmielił się użyć zdrobnienia - Sin. Ona niegdyś nazywała go Bo. Tak było w krótkiej, szczęśliwej przeszłości. - Odpocznij trochę.

Wpatrywał się w Sintas kilka długich minut. Zastanawiał się, co się stało z jego życiem przez ten czas, gdy ona spała w karbonicie. Kiedy usłyszał, że otworzyły się drzwi, wstał, żeby je zamknąć. W przyległym pokoju dzieciaki piszcząły:

- *Babuir*, ta pani się obudziła! Jest szalona! I nie widzi!

- *Kuur!* - odezwał się Medrit tak cicho, że Fett ledwo go usłyszał, po czym uciszył dzieci. - To nie było uprzejme, Briilo. Pani jest chora. To żona *Mand'alora*.

- To dlaczego on jest taki stary, a ona taka piękna?

Jakbym sam tego nie wiedział, pomyślał Fett. Wszedł do przyległego pokoju. Nigdy nie obchodziły go opinie innych ludzi - z wyjątkiem ojca. Ojciec był dla niego jedynym punktem odniesienia. Dał mu poczucie własnej godności i przekonał, że go kocha. Wszystko inne się nie liczyło. Nawet morski węgorz, którego Fett hodował na Kamino... biedne stworzenie nie uniknęło swojego losu, Fett przywiązał się do niego i kiedy ostatni raz

odlatywał z ojcem z Tipoca City, wypuścił węgorza do oceanu. Niestety na jego oczach ulubienca momentalnie pożarła drapieżna ryba, zanim zdążył zasmakować wolności. Wszystko, co kiedykolwiek kochał, zostawało mu odebrane, jakby podlegał okrutnej kłatwie. Może po prostu Fett powinien być zawsze sam... dla dobra innych.

- Ach, te dzieciaki - westchnął Medrit.

Fett przyjrzał się swoim rękawicom.

- Podobno ja też byłem kiedyś dzieckiem - rzucił.

- Skontaktował się ze mną Goran i powiedział, że jest w tej chwili w kantine *Oyu 'baat*. Nie uwierzysz, kto do nas przyleciał swoim X-wingiem.

- No, kto?

- Jedi. Goran przypuszcza, że to Jaina Solo. Pamięta ją z holo-wizerunków, które pokazywał Sal-Solo, wyznaczając nagrodę za członków rodziny Solo.

- Coś podobnego...

- Ta Jedi chce się widzieć z tobą.

- A czy ma odpowiednie konto kredytowe? - Fett był niemal wdzięczny za tę wiadomość. To była jego praca... radził sobie z nią o wiele lepiej niż z tym, co się działo w sąsiednim pokoju. - Obiecałem, że załatwię *Bes 'uliika* jej parszywemu bratu, pod warunkiem że przyleci tu osobiście. Przekonajmy się jednak, co ona ma nam do zaproponowania.

- A jak ci idzie z Sintas? - zapytał Medrit.

- Mirta dała jej ogniste serce i to na jakiś czas jązajęło - odparł Fett.

- A przy okazji, ten Beluine to strata kredytów.

- Ostatnio niewielu lekarzy umie leczyć pacjentów po zamrożeniu w karbonicie.

- Chodzi mi o to, że nawet nie zapytał, co z twoją śmiertelną chorobą zwłaszcza że został kiedyś wezwany w tej sprawie aż na Kamino.

- Przecież widzi, że jeszcze oddycham.

- Lepiej poinformuj Hayce Mekketę, że może być jeszcze potrzebny...

Fetta rozbawiła ta wzmianka o leczącym nerfy weterynarzu. Trochę mu to poprawiło samopoczucie.

- Chcę się dowiedzieć, czego chce ta Jedi - powiedział. - Daję jej dziesięć dodatkowych punktów za odwagę, jaką się wykazała, przylatując na Mandalorę.

Kantyna Oyu'baat, Keldabe

To było ostatnie miejsce w galaktyce, w którym Jaina spodziewałaby się spotkać innego Jedi. A już na pewno takiego, który

wymierzy do niej z blastera. A jednak właśnie patrzyła w wylot lufy takiej broni.

Spróbuj wykręcić się z tej sytuacji gadaniem, pomyślała. Nie masz innego wyjścia.

- Mam rację, prawda? - zapytał starzec. - Jesteś Jedi.

A więc się nie pomyliła. Starzec wywierał w Moc silne, konkretne wrażenie, jakby został dobrze wyszkolony. Za to drugi mężczyzna, ten w wielobarwnym pancerzu... Jainie trudno było określić, z kim ma do czynienia, ale mogła być pewna, że on także jest wrażliwy na Moc. Skądś znała ten akcent, ale nie potrafiła go zdefiniować. Goście w kantine nagle stracili zainteresowanie grą w bolo-piłkę i każdy wyciągnął blaster. Niektórzy nawet dwa.

- Gdzie jest jej miecz świetlny? - zapytał mężczyzna z tatuażem w kształcie winorośli.

- Nie ma go. - Stary Mandalorianin nawet nie mrugnął. Jego oczy z różowymi obwódkami, w spłowiałym kolorze, który mógł być niegdyś zielony albo brązowy, świdrowały Jainę w sposób, w jaki potrafiłby to robić tylko Jedi. Mężczyzna postąpił pół kroku naprzód. Nie wyglądał już na zniedołężniałego starca. - Miałem przecucie, że tu przylecisz.

- Nazywam się Jaina Solo - powiedziała młoda Jedi. Zazwyczaj to nazwisko wystarczało, żeby otwierały się przed nią wszystkie drzwi na wszystkich planetach Jądra galaktyki. Tu jednak chyba nie mogła na to liczyć. - Przyleciałam prosić Fetta, żeby mi pomógł.

Po jej słowach zapadła tak gęsta cisza, że można by ją kroić ostrzem wibromiecza. Spodziewała się raczej pogardliwego śmiechu. Beviin obserwował ją z uśmiechem pełnym politowania, jakby patrzył na dziecko. Jaina to wyczuwała.

- Czyżbyśmy nie uratowali *shebs* twojego taty na Stacji Calu-ula? - zapytał wytatuowany mężczyzna. - Zapytaj go, czy jeszcze pamięta zakutych w pancerze, zabawnych gości, którzy pomogli mu zabijać *vongese*. Może to pobudzi jego pamięć. Aha, i powiedz mu, że Carid serdecznie go pozdrawia.

- Przepraszam, że... przyleciałam bez uprzedzenia - odezwała się Jaina. Musiała całkowicie polegać na umiejętnościach, których nigdy nie stosowała ani nawet się ich nie uczyła, chociaż często widziała, jak korzystała z nich jej matka. Nie polegała na sztuczkach Mocy, tylko na dyplomacji i perswazji. Zadanie było naprawdę trudne. - Nie mogłam jednak od razu wyjaśnić waszym kontrolerom, kim jestem i po co tu lecę. Naprawdę potrzebuję pomocy Fetta.

- Zapisz na jej plus przynajmniej to, że przyleciała nieuzbrojona. - Mężczyzna w pstrokatym pancerzu zdjął czerwono-szary hełm, niezbyt pasujący kolorystycznie do reszty. Miał pięćdziesiąt kilka lat, bardzo ciemne oczy i poprzetykane siwizną czarne włosy. - Nazywam się Venku - powiedział. - Znany także jako *Kaduka*. - Spojrzał na starca z roztargnieniem, ale i z czułością. - A mój szacowny *ori 'buir* nazywa się Gotab.

- No cóż, skoro już wszyscy wiemy, kim jesteście... - zaczęła Jaina.

- My jesteście przede wszystkim Mandalorianami, Jedi Solo - przerwał jej Venku.

Jaina doszła do wniosku, że pozostali mieszkańcy Keldabe chyba nie mają pojęcia, że ci dwaj są wrażliwi na Moc. Mandalorianie byli wrogo nastawieni do Jedi, więc może oni się ukrywali, albo... albo... nie, nie potrafiła znaleźć rozsądnego wytłumaczenia. Nie wyobrażała sobie, żeby jakikolwiek Jedi mógł przebywać w odosobnieniu tyle czasu i że nigdy o nim nie słyszała. Mogło być też tak, że ci mężczyźni nie byli Jedi, tylko osobami wrażliwymi na oddziaływanie Mocy. Problem w tym, że od starszego mężczyzny promieniowała potęga, a także wrażenie... umiejętności uzdrawiania, godzenia zwaśnionych stron i uspokajania nastrojów. Trudno to było pogodzić z widokiem blastera w jego dłoni czy z wyraźnym wrogim nastawieniem. Na pewno nie był przypadkowym wybrykiem genetycznym.

Nie przyleciałaś tu, żeby zadawać pytania, skarciła się w duchu. Masz pobierać nauki u Fetta.

Musiała przestać testować obecność mężczyzn w Mocy, nawet bardzo ostrożnie. W przeciwnym razie mogliby poczuć się zagrożeni. Jeżeli rzeczywiście żyli tu jak Mandalorianie - a Jaina zauważyła, że nikt nie traktuje ich jak obcych - to raczej starali się nie rzucać w oczy.

Chyba że... - pomyślała. O, nie! Powiedźcie, że nie jesteście Sithami!

W dawnych czasach Mandalorianie zawsze walczyli dla Sithów. Sam Fett był przecież wynajętym zbirzem Dartha Vadera. Przed czymś takim nie było ucieczki.

Jaina była jednak pewna, że gdyby ci dwaj byli Sithami, wyczułaby otaczającą ich mroczną energię. W ciągu ostatnich miesięcy nabrała zbyt dużej wprawy w wyczuwaniu obecności Sithów i Ciemnych Jedi w Mocy, żeby teraz się pomylić.

Może mi się jeszcze przydać ich pomoc jako władców Mocy, pomyślała. Nie mogę przeciągać struny.

- To w tej chwili nieważne - odezwała się w końcu. - Moja matka przyleciała tu podczas okupacji Imperium. Spotkała się z człowiekiem, który był wówczas waszym przywódcą. Prawdę mówiąc, ona...

- Radzimy sobie teraz o wiele lepiej niż w czasach twojej matki, ale nie zawdzięczamy tego Nowej Republice... ani Galaktycznemu Sojuszowi - odparł starzec. - Czy przyleciałaś tu, żeby negocjować w sprawie nabycia jakiegoś systemu uzbrojenia?

A więc nie zapomnieli jeszcze czasów wojny z Yuuzhan Vongami, uświadomiła sobie Jaina. Ale czy ktokolwiek o nich zapomniał?

- W pewnym sensie chyba tak - przyznała młoda Jedi.

- Fett już tu leci - powiedział Beviin. - A zawierane transakcje na ogół są wynikiem negocjacji.

Gotab, widząc, że ku Jainie kierują się lufy innych blasterów, mógł się odprężyć. Wsunął swoją broń za pas i założył hełm.

- Będziemy lecieć - polecił Venku. - Beviinie, jeżeli będziesz czegoś potrzebował, po prostu skontaktuj się ze mną.

Beviin był wyraźnie zaintrygowany.

- Jak to się stało, że zauważyłeś ją wcześniej niż ja? - zapytał. - Przecież miałem identyfikacyjne portrety, które przekazał nam Sal- -Solo.

- Może nie tylko tobie zaproponowano kontrakt na członków rodziny Solo - odparł Venku.

Jaina przypomniała sobie, że nie tylko jej brat był kłopotem dla rodziny. Miała także wyjątkowo wrednego wuja, którego Fett pomógł się pozbyć.

A Venku najwyraźniej nie chciał ujawnić, że jest wrażliwy na oddziaływanie Mocy.

- Miło z waszej strony - odezwała się Jaina, obserwując, jak obaj wrażliwi na Moc mężczyźni wychodzą z kantyny. - Uznam to za dobry znak, że nie polujecie akurat na nas.

- Poluje córka Fetta - przypomniał Beviin. - Ale według niej Han Solo był jedynie przynętą dla jej ojca.

Jaina spróbowała sobie wyobrazić, jak bardzo by cierpiała, gdyby ciocia Mara stała się ofiarą Fetta. Ciekawe, jaki jest w tej chwili stan umysłu łowcy nagród... i gdzie go można znaleźć. Jak to możliwe, żeby Mandalor, władca planety, nie miał oficjalnej rezydencji, gdzie mógłby urządzić audiencje? Dlaczego musi się z nim spotykać w obskurnej kantynie. Oparła się plecami o kontuar, kończąc grzecznościową pogawędkę z Beviinem, który ją obserwował, ale tak, żeby nie patrzeć jej w oczy.

Goście stopniowo pochowali blastery i wrócili do swojego piwa. Gderali tylko, że z powodu tej *shabla* Jedi nie obejrzeni końcówki meczu w bolo-piłkę. Rozmawiają w basicu, żeby zrozumiała, że to ja ich zirykowałam, uświadomiła sobie Jaina. No i bardzo dobrze. W pewnej chwili drzwi kantyny się otworzyły i stanął w nich mężczyzna w matowym zielonym pancerzu i w obszarpanym płaszczu.

Przybysz wywierał w Mocy wrażenie osoby samotnej, ale pogodzonej ze swoją sytuacją. Czyżby to był Fett? Jego pancerz odpowiadał opisowi, ale w ciągu ostatniej godziny Jaina widziała sporo zielonych pancerzy, począwszy od jasnej zieleni orzeszków warra, a skończywszy na ciemnej zieleni liści w najgłębszym lesie. Niektórzy goście zerknęli na nieznanego, widocznie chcąc się upewnić, kto przyszedł, ale zaraz znów skierowali spojrzenia na ekran HoloNetu, żeby obejrzeć pomeczowe komentarze w ich własnym języku. Może więc nowo przybyły nie był Fettem? Jaina spodziewała się zobaczyć brutalnego olbrzyma, tymczasem ten człowiek był przeciętnej budowy i niewysoki. Poruszał się wprawdzie bardzo pewnie, jakby nie musiał się nikomu z niczego tłumaczyć, ale nie wyróżniał się też niczym szczególnym. Na ulicy Jaina nie zaszczyliłaby go drugim spojrzeniem.

Mężczyzna zatrzymał się metr przed nią. Kciuk jednej dłoni wsunął za pas, a drugą położył na kolbie blastera typu EE3, który nosił na ramieniu.

Dopiero wtedy Jaina zauważyła wiszące u pasa skalpy Wookiech. A więc to jednak Fett.

- Chciałaś się ze mną widzieć, Jedi? - zapytał Mandalorianin.

- Jesteś Boba Fett?

- Dawniej niektórzy mnie udawali, ale chyba się wszystkich pozbyłem. Daj mi znać, jeżeli jakiegoś przeoczyłem.

- Jestem Jaina Solo.

- Wiem. - Fett przechylił głowę i przyjrzał się jej uważnie. - Jesteś podobna do swojej matki.

Jaina, przyzwyczajona do protokołu dyplomatycznego, czyli do prowadzenia grzecznościowych rozmów i nadszkakiwania przywódcom na dziesiątkach planet, nie była przygotowana na spotkanie z władcą, który chadzał bez eskorty, a podwładni ignorowali jego obecność, oglądając spokojnie mecz w bolo-balla, jeżeli mieli takie życzenie. Oznaczało to, że albo Fett jest bardzo pewny swojego stanowiska, bo dysponuje ogromną władzą, albo nie cieszy się szacunkiem ziomków. Jaina byłaby gotowa założyć się o wszystkie kredyty, że chodzi raczej o pierwszą ewentualność. Tymczasem Fett stał przed nią spokojnie i po prostu czekał. Ojciec miał rację: uznała za bardzo irytujące, że za przysłoną hełmu nie może widzieć jego oczu.

- Kilka razy uratował pan życie mojemu ojcu - przemówiła w końcu Jaina. - Powinam panu podziękować.

- A kiedyś przekazałem go w ręce Jabby. Skoro jednak dzięki niemu spędziłem trochę czasu w paszczy sarlaccia, to chyba jesteście kwita. Czego chcesz ode mnie?

Jaina poczuła się, jakby stała na bardzo cienkim lodzie. Mogłaby przysiąc, że słyszy, jak trzeszczy. Musiała zachować maksymalną ostrożność.

- Chodzi o mojego brata, Jacena - wyjaśniła.

- Tego tchórzliwego buhacza, który zamęczył moją córkę? - zapytał łowca nagród.

- Obawiam się, że tak - przyznała Jaina. - Bardzo mi przykro.

Fett mówił beznamiętnym, ochryplym głosem, a wyrażał się

zwięźle.

- Wiem, że Jacen chce kupić kilka mandaloriańskich cudów techniki - powiedział.

- Nie o to chodzi - odparła Jaina. - Chcę, żeby pan mnie nauczył, jak go schwytać i powstrzymać przed zniszczeniem galaktyki. - Urwała na chwilę. - Proszę - dodała.

Fett nie od razu odpowiedział. Nie był gadułą to fakt, ale czym innym było zastanawianie się nad odpowiedzią a czym innym zdumione milczenie. Jaina nie wiedziała, o co chodzi w tej chwili. W Mocy Fett jawił się jej jak silny strumień lodowatej wody.

Najważniejsze, że zwrócił na nią uwagę. Teraz Jaina musiała już tylko uzyskać jego zgodę.

ROZDZIAŁ 6

Haatyc or'arue jate'shya ori'sol aru'ike nuhaatyc.

Lepszy jeden potężny wróg, którego się widzi, niż wielu słabych, których się nie widzi.

Mandaloriańskie porzekadło

Coruscant: apartament Lona Shevu

- Czy można mieć zaufanie do kapitana Girduna? - zapytał Ben.

- Mniej więcej takie samo jak do Hutta - odparł Shevu. Kapitan siedział z łokciami opartymi na kolanach i głową spoczywającą w dłoniach. Wpatrywał się w holomapę opartą o krzesło, jakby próbował ją unieść siłą

woli. - Na szczęście Heol jest karierowiczem, a zaufanie nie jest kluczowym słowem dla naszych kolegów, których zwerbowano ze służb wywiadu. Powiedzmy, że dla nich to pojęcie elastyczne.

Przepaść między byłymi szpiegami ze Straży Galaktycznego Sojuszu a byłymi funkcjonariuszami policji otworzyła się wcześniej, zaraz po utworzeniu 967. Oddziału Komandosów. Szpiegdy godzili się z tym, że zabijanie więźniów stanowi nieodłączną część ich pracy, ale wyszkolony w CSB personel odmawiał stosowania takich metod. Nic dziwnego, że nie mogli się ze sobą zgodzić.

- Proszę spróbować jeszcze raz - powiedział Ben.

Musieli uzyskać dostęp do stealthX-a Jacena. Ben miałby kłopot z przedostaniem się do hangarów SGS - nie było to co prawda niemożliwe, ale z drugiej strony wcale niełatwe - i nawet Shevu, chociaż miał wszystkie potrzebne przepustki, ściągnąłby na siebie uwagę, gdyby tylko otworzył owiewkę kabiny. Powinni obaj spędzić tam co najmniej godzinę, żeby przeprowadzić drobiazgowo badania. To nie to samo co przedostanie się na terytorium wroga, dyskretne podłożenie ładunku wybuchowego i wymknięcie się z powrotem. W normalnym świecie zmysłów, mogliby się postarać o nakaz przeszukania, ale Ben wiedział, że oznaczałoby to szybki wyrok śmierci dla Shevu. Nie da się tego załatwić zgodnie z procedurami.

Na szczęście Shevu potrafił być na swój sposób równie elastyczny jak Girdun.

- Przegląd techniczny - powiedział. - Potrzebujemy pretekstu, żeby myśliwiec został poddany przeglądowi.

- Czy stealthX-y nie powinny przechodzić takich przeglądów co tysiąc godzin? - zapytał Ben.

- Owszem - odparł Shevu. - Wątpię jednak, żeby ci z Incomu poszli nam na rękę i zażądali odstawienia maszyny do przeglądu.

- Komu z personelu naziemnego możemy zaufać?

Shevu usiadł prosto.

- Tu nie chodzi o zaufanie - stwierdził. - Im mniej osób się o tym dowie, tym krótszy będzie łańcuch... i tym mniejsze ryzyko, że zostaniemy zauważeni.

Ben zwalczył przelotny impuls, żeby porzucić ten pomysł i raczej zdać się na wyczucie niż narażać Shevu. Gdyby jego matka powiedziała tylko jedno słowo: Jacen... Coś takiego nie stanowiłoby wprawdzie niepodważalnego dowodu w sądzie, ale Ben uzyskałby pewność, więc efekt może byłby taki sam... a postawienie Jacena przed sądem byłoby tylko sennym marzeniem.

- Lepiej skontaktuję się z tatą - postanowił. - Niech pan się nie martwi, coś wymyślimy.

Ben podejrzewał, że jego ojciec i tak dobrze wie, co robi syn, chociaż raczej nie orientuje się gdzie. Postanowił mu wszystko powiedzieć, tak jak planował, łagodnie.

- Cześć, tato - powiedział. - Jak się miewasz?

Luke postarał się, żeby jego głos brzmiał pogodnie.

- U mnie wszystko w porządku - oznajmił. - Gdzie jesteś? Nie potrafię wyśledzić źródła tej transmisji.

- NaCoruscant.

- Tak przypuszczałem.

- Czy naprawdę pomoże, jeżeli powtórzę to samo jeszcze raz, tato? - zapytał Ben. - Przykro mi, że ci o tym nie powiedziałem.

- Prawdę mówiąc, potrafię się z tym pogodzić - odparł Luke. - Ale dzięki, że starasz się mnie chronić.

- Tato, ja... jestem prawie pewny, że Jacen był w to zamieszany. - Ben doszedł do wniosku, że jeżeli będzie używał specyficznego języka sędziów śledczych, Luke zrozumie, że syn całkowicie panuje nad emocjami i nie zrobi niczego głupiego. Z rozmysłem uniknął słów: „zamordowanie mamy”. W ostatniej chwili się powstrzymał. - Muszę to udowodnić... albo zdecydować, że tak nie było... dla własnego spokoju. Jacen jest znacznie gorszym

człowiekiem, niż sądzisz, tato. Niedawno zabił młodą oficer ze swojej załogi. Skręcił jej kark.

Zapadła krótka, przerywana trzaskami zakłóceń cisza.

- Wiem - odezwał się w końcu Luke. - Powiedziała mi to admirał Niathal.

- Niathal?

Na dźwięk tego nazwiska Shevu uniósł głowę.

- Już nie jest tylko naszą zwolenniczką Benie - odparł Luke. - Podejmuje ryzyko i bezpośrednio się ze mną kontaktuje. Powiedziałem jej, że może mieć zaufanie do Shevu.

- A jak myślisz, tato, z kim w tej chwili jestem? - zapytał chłopak.

- Tu cię mam... a więc i ty masz do niego zaufanie.

- Jak myślisz, do jakiego stopnia Niathal zechce nadstawiać karku? - zapytał Ben.

- Wydaje mi się, że bez ograniczeń.

Tak samo jak Cal Omas i Dur Gejjen, kiedy spotykali się ukradkiem i dyskutowali o obaleniu Jacena, pomyślał Ben. A co ja wtedy zrobiłem? Gdybym nie zamordował Gejjena, czy doszłoby do takiej sytuacji? - zadał sobie pytanie. Czy to tylko moja wina, że wykonywałem polecenia Jacena?

- Możesz niebawem usłyszeć, że poprosiłem ją o przysługę, tato - uprzedził Ben.

Było jeszcze coś, co nie dawało mu spokoju, bardziej nawet niż chęć oskarżenia Jacena - wspomnienie wykreowanej przez Moc zjawy matki. Z początku chciał opowiedzieć o tym ojcu, ale zrezygnował. Jak Luke by się poczuł, wiedząc, że żona nie ukazała się jemu, tylko synowi? Ben rozumiał już teraz, jak rozpaczliwie można pragnąć ujrzeć chociaż przez sekundę bliską osobę, którą się straciło. To było największe pragnienie, jakiego kiedykolwiek doświadczył, pochłaniające wszystkie inne uczucia, ale... jego pragnienie się spełniło.

A taty nie.

Czy Luke nie poczułby się okradziony? Czy nie zdręczałby się rozważaniem, dlaczego Mara wybrała właśnie Bena?

Był pewny, że tak będzie. Pomyślał, że nadejdzie odpowiedni moment, żeby opowiedzieć o tym ojcu. Przecież niewykluczone, że i Luke widział Marę, ale nie powiedział o tym synowi dokładnie z tego samego powodu.

- Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie mogę cię spotkać, kiedy będziesz prowadził swoje dochodzenie - powiedział Luke, przerywając

Benowi rozmyślenia. - Możliwe, że usłyszysz zwariowane plotki na temat Jai. Uprzedzam cię: to nie plotki, to prawda.

- Jak bardzo zwariowane?

- Mówią, że poleciała poprosić Fetta o pomoc i radę, jak schwytać Jacena.

Ben wcale nie uznał tego za szalony pomysł.

- W tych dniach wszyscy musimy myśleć i działać nietypowo, tato - powiedział.

Ojciec się roześmiał. Ben mógłby przysiąc, że po raz pierwszy od wielu miesięcy.

- Nie wiem, jak to się stało, ale chyba przeoczyłem chwilę, kiedy dorosłeś - powiedział. - A w dodatku mnie prześcignąłeś.

Ben o mało się nie złamał i nie powiedział mu o mamie, ale odpowiednia chwila minęła. Cóż, na pewno się kiedyś powtórzy.

- Uważaj na siebie, tato - poprosił.

Shevu wiercił się niecierpliwie na krześle, czekając, aż Ben zakończy rozmowę.

- Więc co z Niathal? - zapytał. - Co powiedział twój ojciec?

- Poleciała, żeby się z nim zobaczyć - odparł Ben. - Opowiedziała się przeciwko Jacenowi, przynajmniej nieoficjalnie.

- To może być przełom - zamyślił się Shevu.

- Co masz na myśli?

- Niathal może teraz autoryzować różne nasze działania. Trzeba ją tylko poprosić.

- Ale to niebezpieczne.

- Podobnie jak włamywanie się do hangarów SGS i ryzyko przyłapania nas na pocieraniu wacikami fotela osobistego myśliwca przywódcy Galaktycznego Sojuszu.

- W każdej chwili możemy to przerwać.

- Nie, bo teraz i ja wiem to oficjalnie, skoro to zgłoszone przestępstwo, prawda? - zapytał Shevu. - Zapomnij o tym zabójstwie na statku, chłopcze... to nie działa w taki sposób.

- Może pan przeze mnie zginąć - powiedział Ben.

- A ty możesz zginąć przeze mnie. - Shevu położył sobie holo- mapę na kolanach. - Nawet jeżeli Jacen poleciał na jedną ze swoich wypraw, nie zabierając swojego myśliwca, trzeba będzie wyszukać wiarygodny powód, żeby przeszukać jegoabinę. Jacen jest skłonny do paranoi i może nabrać podejrzeń. Wymyślę coś i spróbuję nakłonić Niathal, aby pomogła nam przy realizacji. Mam zamiar nosić

włączony holorejestrator, ilekroć będę rozmawiał z Jacenem, nawet jeżeli to będzie tylko łączność foniczna.
Ostrożności nigdy za wiele.

Shevu zamierzał za wszelką cenę zdobyć jakiś dowód. Jakikolwiek. Każda ścieżka, w którą zapuścił się Ben, prowadziła donikąd; kontakty, które nawiązywał, okazywały się nic niewarte. Wszystko sprowadzało się do słów: jeśli, jeśli, jeśli. Jeśli nawet uda się z narażeniem życia dostać do kabiny stealthX-a, może się okazać, że niczego tam nie znajdą. Ben przypomniał sobie, jak zjawia Mary Skywalker wyrwała sobie kosmyk włosów i upuściła je w podstawioną dłoń syna. Miał nadzieję, że nieznane siły, które decydują o pojawianiu się umarłych, pozwolą matce ukazać się Luke'owi, kiedy jego ojciec będzie najbardziej tego potrzebował.

Mara sama zdecyduje, która chwila jest odpowiednia, jeżeli tylko będzie mogła wybierać.

Apartament Niathal, współprzywódczyni Galaktycznego Sojuszu

Niathal sprawdziła pozycje okrętów floty na wtórnym ekranie w ścianie swojego gabinetu; ekran zwano we flocie „tablicą totka”. Zauważyła, że „Anakin Solo” wrócił spod Fondora.

- Jego wyprawy trwają zawsze jeden dzień - odezwała się do droida administratora, pamiętając o niewyjaśnionych nieobecnościach Jacena w poprzednich miesiącach. - Gdybym nie wiedziała, że po prostu traci amunicję na bezsensowne ćwiczenia, powiedziałabym, że spotyka się gdzieś potajemnie z kochanką.

- Niedaleko Fondora mieliśmy niewielkie starcie z nieprzyjacielem - zawiadomił ją droid.

- Co to znaczy niedaleko? - chciała wiedzieć Niathal.

- W przestworzach planety.

- Nie znoszę, kiedy ich głupio prowokuje - mruknęła Kala- marianka. - Zakładam, że sprawdza zdeterminowanie Fondorian przed poważnym starciem.

- Moim zdaniem szkoli nową asystentkę - odparł droid.

- Czy ta dziewczyna chociaż zna się na wojsku? Nie pozwolę cywilom bawić się okrętami liniowymi. Nie w mojej Marynarce. Syn Skywalkera przynajmniej był żołnierzem.

- Ta młoda kobieta jest cywilem, pani admirał - wyjaśnił droid.

- Jeszcze się o tym przekonamy. - Niathal wpisała wiadomość dla Jacena i powierzyła ją systemowi. Młody Solo powinien ją przeczytać na ekranie swojego notesu komputerowego, jak tylko do niego zajrzy. - Muszą istnieć jakieś granice takiego stylu dowodzenia - dodała.

Na użytek droida nie warto było robić oburzonej miny, ale Niathal musiała zachowywać pozory. Nie wolno jej wypaść z odgrywanej roli. Gdyby wyglądała na spokojną Jacen zwróciłby na to uwagę. Znała go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie ukryje swoich nastrojów przed jego zmysłami Mocy. To dlatego nieustannie demonstrowała irytację, pogardę i lekceważenie.

A zresztą przychodziło jej to bez trudu.

Niathal nadal mogła śledzić większość poczynań Jacena, rejestrując ruchy okrętu albo sprawdzając, kiedy jego stealthX-a nie było w hangarze. Metoda była niedoskonała, ale Niathal nie spodziewała się osiągnąć więcej. Jacen zgodnie z regulaminem powinien zresztą meldować o aktualnym miejscu pobytu, na wypadek gdyby trzeba było szybko podjąć jakąś decyzję. Skoro Jacen nie zamierzał jej przekazać całkowitej władzy nad Galaktycznym Sojuszem, musiał mówić jej, dokąd się wybiera.

„Anakina Solo” nietrudno było śledzić. Nawet Jacen nie potrafił zmusić do zniknięcia obiektu wielkości gwiazdnego niszczyciela. Nie potrafił też zabezpieczyć okrętu przed intruzami, więc albo nie był tak wszechmocny, jak przypuszczano, albo wykorzystywał okręt w charakterze pułapki.

Niathal odnosiła raczej wrażenie, że chodzi o to drugie. Niepokoiło ją że nie zna granic potęgi Jacena. Żaden wojskowy strateg nie mógł się czuć bezpieczny, dopóki nie pozna mocnych i słabych stron nieprzyjaciela. Skierowała spojrzenie na obraz Kalamara na ścianie gabinetu. Patrząc na długą linię horyzontu za Reef Home - jej domem - zastanawiała się, kiedy nadarzy się następna okazja urlopu.

Zależało ci na najwyższym stanowisku, więc je zdobyłaś, pomyślała. Teraz masz za swoje.

- Pułkownik Solo chciałby się z panią zobaczyć, pani admirał - zaanonsował droid, używając oficjalnych tytułów wojskowych. Ani jej, ani jemu nie trzeba było przypominać, że Jacen i Niathal są współprzywódcami Galaktycznego Sojuszu. Kiedy Niathal usłyszała słowo „admirał”, przypomniała sobie czasy, kiedy się zaciągnęła, żeby służyć Sojuszu. Dziwnie łatwo było jej teraz odgrywać inną rolę.

Jacen wszedł do jej gabinetu i przysiadł na brzegu stołu. Przy okazji o mało nie zrzucił swoim długim czarnym płaszczem stosu arkuszy flimsiplastu i komputerowych notesów. Ta beztroska zirytowała Niathal prawie tak samo jak widok tego dramatycznego stroju, na jaki Jacen zmienił swój regulaminowy czarny mundur polowy.

- Słyszałem ciekawe wypowiedzi niektórych moffów o możliwości przyłączenia się do Galaktycznego Sojuszu - zaczął Jacen. - Wygląda na to, że znów marzy im się imperium.

- Osobiście to słyszałeś? - zainteresowała się Niathal. Jacen przecież obiecał, że nie będzie prowadzić negocjacji bez jej udziału. - Czy też to tylko plotki z klubu dżentelmenów?

- Powiedzmy, że to drugie - odparł Jacen.

- Poproszę o szczegóły - zażądała Kalamarianka. - Mam powyżej uszu zgadywania, jakby to była pogawędka na przyjęciu.

- Wojskowy attache wylądował na Muunilincie w tym samym czasie co moff, który ma tam krewnych - odparł Solo.

- Bez wątplenia chodziło o akcję charytatywną na rzecz pracowników banku - parsknęła pani admirał.

- Gdybym wysłał tego człowieka na rozmowy z moffami w samym Ravelinie, zarzuciłabyś mi, że cię lekceważę - odezwał się Jacen.

- To oczywiste. - Niathal zmartwiła sprawa moffów. Od wielu lat Szczątki Imperium żyły sobie spokojnie w obrębie własnych granic, a przynajmniej tak się wydawało. Spokojne życie było pojęciem względnym. -I jakie

pozwoliłeś im odnieść wrażenie?

Jacen zsunął się ze stołu i włączył holomapę Niathal - tę samą z której korzystała podczas spotkań członków sztabu. Powiększył północno-wschodni kwadrant i blat stołu wypełnił się przezroczystymi planetami, gwiazdami i różnobarwnymi świetlnymi nitkami, oznaczającymi główne szlaki nadprzestrzenne.

- Spójrz na to, co im zaproponowaliśmy - powiedział, wskazując palcem gromadę planet między Jądrem a planetą N'Zoth. - Borleias i Bilbringi.

- Jesteś wzruszająco bezpośredni - stwierdziła Niathal.

- Daj spokój, Imperium zawsze zależało na odzyskaniu systemu Bilbringi - odparł Jacen. - A my od czasu wojny z Yuuzhan Von- gami nie rościliśmy sobie praw do niego w sposób zdecydowany... najwyżej go broniliśmy. Powiedzmy, że od tej pory przestaniemy go bronić. Zasoby minerałów wciąż tam są a planeta dojrzała do kompleksowej odbudowy, jak mówi się w świecie handlarzy nieruchomości. Tak samo jak stocznie.

Ta planeta znajduje się zdecydowanie za blisko Coruscant, żeby mogło mi się to podobać, pomyślała Niathal.

- Borleias umożliwi im szybki dostęp do wszystkich najważniejszych szlaków nadprzestrzennych - ciągnął Jacen.

- Zasoby, infrastruktura... i przy odrobinie wysiłku możliwość podróżowania. Czego więcej mógłby pragnąć pełnokrwisty moff?

- Właśnie, szlachetny moff o błękitnej krwi. Co to za snoby! Niepokoi mnie to, że są gotowi do walki, ale nie mają co zdobywać. A my jeszcze raz dajemy im złudzenie wielkości.

- Nie wyrosli na tyle, żebyśmy musieli się tym martwić - odparł Solo. - Zawarliśmy ugodę: jeżeli przekażą swoje siły zbrojne na potrzeby tej wojny, w nagrodę będą mogli znacznie powiększyć swoje terytorium. - Jacen przechylił głowę, żeby się lepiej przyjrzeć trójwymiarowemu obrazowi spłaszczonego dysku galaktyki. - Na początek proponuję, żeby ich poprosić o pomoc w zdobywaniu Fondora.

A nie mógłbyś po prostu zostawić Fondora w spokoju? - pomyślała Niathal.

Nic dziwnego, że Fondor irytuje Jacena, skoro nie chce postępować zgodnie z jego rozkazami. Powtarzała się sytuacja z Korelią. Jacen powinien docenić tę ironię losu; w każdym razie jego koreańską krew nie pozwalała mu się pogodzić z odmową. Pod względem strategicznym miał zresztą rację: stocznie Fondora dostarczały Konfederatom uzbrojenia i okrętów na coraz większą skalę, więc ich zamknięcie bardzo by się przydało. Jednak opanowanie planety i zagarnięcie jej produkcji przemysłowej wymagałoby przeznaczenia na ten cel dużych środków i licznej armii okupacyjnej; ktoś musiał pilnować, żeby robotnicy w stoczniach grzecznie pracowali i nawet nie myśleli o sabotażu. Niathal miała jednak spore wątpliwości, i to z kilku powodów.

- Pamiętaj, że Szczątki Imperium mogą dojść do wniosku, że Fondor jest dla nich możliwy do zdobycia. Borleias i Bilbringi leżą wystarczająco blisko Jądra, żeby się przydać do zadania ciosu - powiedziała.

- Rzeczywiście coś takiego może im przyjść do głowy - przyznał Solo.

- Nie igraj z nimi, Jacenie. Po opanowaniu tych dwóch planet Szczątki znajdą się niebezpiecznie blisko Coruscant.

- Ale będą miały do obrony bardzo dużą przestrzeń między tymi planetami a Bastionem - przypomniał młody Solo. - Zanim będą tym zajęci, żeby jeszcze myśleć o napaści na nas. Pozostaje jeszcze Pellaeon. Nie zapominaj o nim. On wie, jak zmusić moffów do posłuszeństwa. Kiedy zdobędziemy jego błogosławieństwo, będziemy mogli wykonać pierwszy ruch.

- Jeżeli - poprawiła go Niathal. - Jeżeli zdobędziemy to błogosławieństwo. Pellaeon cię nienawidzi.

- Ty też, pani admirał. - Jacen się uśmiechnął. - Ale mimo to jakoś udaje się nam współpracować. To skuteczna strategia... dwie osoby, które za sobą nie przepadają, nawzajem się pilnują.

Właśnie na tym polegał problem z Jacenem. Gdyby był demonstracyjnie, jawnie niekompetentny albo szalony, łatwo byłoby go zlekceważyć albo spróbować usunąć, nawet w drastyczny sposób. Podczas bezsennych nocy Niathal zastanawiała się nieraz, jak by usunąć tego władcę Mocy, obdarzonego w dodatku ogromną potęgą i

świadomego nadszarpniętego zagrożenia. Można by zastosować bombardowanie z orbity przy użyciu siły ognia, zdolnej unicestwić całą planetę... cóż, przynajmniej hipotetycznie. Zastanawiała się także nad jawnym buntem i nad tym, czy Jacen nie wypowie jej posłuszeństwa, jeżeli ona szybko nie podejmie ważnej decyzji. Nigdy dotąd nie miała takich myśli. Jacen niestety zawsze krzyżował jej tajne plany i uzasadnione fantazje. Wszystko przez to, że myślał jak uzdolniony strateg, był kompetentny i - co najważniejsze - odnosił sukcesy.

Tymczasem Niathal wolałaby, żeby Jacen w amoku popełnił coś, co pozwoliłoby się jej zdecydować. Zamordowanie porucznik Tebut było bliskie tego ostatecznego powodu, którego Niathal potrzebowała, żeby uspokoić swoje sumienie.

Ach, gdybym tak potrafiła obalić go sama, pomyślała z goryczą.

- Zgadzą się. Powinniśmy wyeliminować Fondor z gry, i to raczej wcześniej niż później - oznajmiła.

- Czy to oznacza, że pozwalasz na formalne zwrócenie się do Szczątków Imperium? - zapytał Solo.

- To będzie wyglądało, jakbyśmy nie mogli poradzić sobie sami, ale zrób to - zgodziła się Niathal. - Nasze siły są zanadto rozproszone. Aż za często zwracałam ci na to uwagę.

- Bardzo dobrze - stwierdził Jacen. Wyglądał na zadowolonego, niczym dziecko, któremu pozwolono zorganizować przyjęcie i zaprosić kolegów. - Wyślę Tahiri Veilę, żeby spotkała się z Pel- laeonem.

- A nie mamy przypadkiem bardziej doświadczonego oficera, który mógłby się podjąć tego zadania? - zapytała Kalamarianka.

- Tahiri potrafi być bardzo przekonująca - zapewnił Solo. - Jest o wiele twardsza, niż na to wygląda.

- Niech będzie, ale następnym razem, kiedy dopuścisz ją do broni, każ jej najpierw zaciągnąć się do armii. Załatw jej patent oficerski, jeżeli uważasz, że się nadaje. Powinna już zrozumieć, że wojny nie są dla cywilów.

Jacen wydał jej się dziwnie bezbronny. Często się kłócili, przyznawali, że się nie lubią ale mimo to zawsze jakoś dochodzili do porozumienia, jakby brak wzajemnego zaufania wcale im nie przeszkadzał. Niathal postanowiła powstrzymać się od zadania ciosu.

- Co z ciebie za Jedi, Jacenie? - zapytała. - Pytam, bo żaden ze znanych mi członków Rady Jedi nie był tak zaprogramowany na jeden cel ani... tak bezwzględny.

- To prawda - zgodził się Jacen. - Nie zachowuję się jak inni.

- Jesteś Sithem, prawda?

Kiedy młody Solo tracił panowanie nad sobą, można to było poznać po jego oczach. Potrafił kontrolować mięśnie twarzy i mowę ciała - Niathal poznała już psychologię istot ludzkich niemal równie dobrze jak Kalamarian - ale kiedy Jacen był zaskoczony, w jego oczach pojawiał się dziwny przelotny błysk. Czymkolwiek był, Niathal właśnie znów go zobaczyła.

- Co wiesz o Sithach? - zapytał Jacen cicho rzeczowym tonem.

- Och, niewiele - odparła pani admirał. - Wiem, że Palpatine był Sithem, ale był także błyskotliwym taktikiem. Nie znał litości; prowadził totalną wojnę, czego nie potrafiłby nigdy zrobić Mistrz Skywalker, nawet gdyby żył wiecznie. Wiesz, dlaczego o to zapytałam? Bo mi go przypominasz.

Pierwsze zdanie było prawdziwe, za to drugie było kłamstwem.

- Tak - przyznał cicho Jacen - Jestem Sithem.

- Cóż, chyba powinniśmy nauczać w Akademii taktyk Sithów - podsumowała Niathal, chociaż wolałaby chyba powrót Yuuzhan Vongów.

Jacen obdarzył ją protekcyjnym uśmiechem; jego zdaniem Kalamarianka nic nie rozumiała, a on mógł tylko nad tym ubolewać. Niathal nie miała nic przeciwko temu. Była wręcz zadowolona ze swoich manewrów. Miała nadzieję, że Jacen zwróci na to uwagę i zinterpretuje odpowiednio.

- Powiadomię o wszystkim Tahiri - rzucił Solo i wyszedł.

Niathal podejrzewała, że Tahiri jest już w drodze, ale nie miało to znaczenia. Usiadła, wpatrzona w holomapę i zastanawia się, jak na tę propozycję zareagują imperialni moffowie i jakie pokusy może im to podsunąć. Gdyby Pellaeon nie sprawował władzy na Bastionie, Szczątki mogłyby już dawno brać udział w tej wojnie, a przynajmniej patrolować pole bitwy, żeby jak najlepiej wykorzystać panujący chaos. Pellaeon miał jednak dziewięćdziesiąt kilka lat i raczej nie będzie żyć wiecznie, więc panowanie nad ambicjami moffów skończy się zapewne za kilka lat ich ucieczką z sektora Braxanta.

Nie znoszę, kiedy prawdopodobnie masz rację, Jacenie, pomyślała Niathal.

- Pani admirał - odezwał się droid. - Kapitan Shevu pyta, czy zechce pani poświęcić mu pięć minut.

- Zechcę. Wprowadź go. - Niathal wyłączyła holomapę. Ciekawe, czy nie będę musiała skasować części pamięci droida, pomyślała. - Jeżeli ktokolwiek o mnie zapyta, powiedz, że biorę udział w konsultacjach na temat zaopatrzenia.

Shevu nie był typem, który wpada znieca na grzecznościową pogawędkę. Niathal trochę się spodziewała jego wizyty, odkąd Luke Skywalker powiedział jej, że uważa go za potencjalnego sojusznika. Kapitan nie tracił czasu. Ten najstarszy oficer osobistej elitarnej jednostki Jacena - 967. Oddziału Komandosów Straży Galaktycznego Sojuszu, podejmował ogromne ryzyko - a Jacen nie mógł sobie zrobić gorszego wroga.

Niathal zachęciła gestem kapitana, żeby usiadł. Była ciekawa, co Shevu ma jej do powiedzenia.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go. - Za każdym razem, kiedy tu wchodzę, przeszukuję gabinet, żeby stwierdzić, czy nie zainstalowano w nim urządzeń podsłuchowych.

Shevu wyjął jednak z kieszeni mały skaner i omiół nim cały pokój; dopiero wtedy trochę się odprężył.

- Ja też tak robię - powiedział.

- A zatem rozumiemy się nawzajem - odparła Niathal.

- Chyba tak.

- Co mogę dla pana zrobić?

- Muszę przeprowadzić badania kryminalistyczne kabiny stealthX-a jednego z pani kolegów - zaczął oficer, nie precyzując, że chodzi o maszynę Jacena. Dawno przywykł do mówienia eufemizmami, żeby w razie czego nikt nie mógł go później o nic oskarżyć. - Czy da się tak zrobić, żebym zdobył dostęp do tego myśliwca na kilka godzin?

- Ten pański kolega akurat wyszedł, żeby wziąć udział w odprawie swojej nowej podwładnej, która ma lecieć z misją na Bastion - odparła Kalamarianka. W myślach przebiegła wszystkie rodzaje rutynowych badań, którym mogłby ewentualnie zostać poddany należący do Jacena stealthX. Jego maszyna była jedną z niewielu, których piloci Jedi nie zabrali ze sobą kiedy się wycofali. - Czy to bardzo pilne? - zapytała.

- Powinniśmy byli to zrobić trzy miesiące temu - odparł Shevu i wymówił bezgłośnie dwie sylaby: Mara. - Naturalnie możemy niczego nie znaleźć.

A zatem nie tylko Ben uważał, że Jacen jest jakoś zamieszany w śmierć Mary. Luke wprowadził jej o tym wspomnień, ale ten pomysł wydał się jej jeszcze bardziej szokujący, kiedy usłyszała go z ust zawodowego detektywa, jakim był Shevu.

- Jeżeli przeprowadzi pan nawet takie badania - zaczęła - czy on nie wyczuje, że przebywał pan w kabinie jego myśliwca?

- Właśnie dlatego badania wykona droid - odparł oficer.

- Z jednostki SGS?

- Nie, z CSB. Sam załatwię sfałszowanie mikroobwodów identyfikacyjnych.

- Bardzo dobrze, kapitanie - odparła Niathal. - Zawiadomię droidy i członków personelu, że ta maszyna wymaga bardzo specjalistycznych badań: sprawdzenia szczelności uszczelki kabiny, przecieków paliwa... i co mi się jeszcze przypomniało. Żeby wszystko wyglądało bardziej przekonująco, dopilnuję, aby podobnym badaniom poddano także wszystkie zdolne do lotów w przestworzach maszyny SGS. Nie mamy ich znowu tak wiele.

- Dziękuję, pani admirał.

- Musimy też wymyślić dobrą przykrywkę na wypadek, gdyby ktoś poinformował Straż o naszym szczególnym zainteresowaniu bezpieczeństwem myśliwców, bo kiedy ta informacja dotrze do uszu Jego Niebiańskiej Wysokości...

- Kilka miesięcy temu spodziewałem się, że on zaraz się o wszystkim dowie - powiedział Shevu. - Brał udział we wszystkich akcjach, w których uczestniczyły jego oddziały. Teraz jednak przestał tak uważnie obserwować swoich podwładnych i skupił uwagę na wielkich graczach. Możemy to wykorzystać.

- Sam pan wie, jak niebezpiecznie jest z nim zadzierać - westchnęła Niathal. Żałowała, że to nie ona stoi na czele tego cichego buntu przeciwko Jacenowi.

- Ani w połowie tak niebezpiecznie, jak się stanie, jeżeli tego nie zrobimy - odparł Shevu.

Kantyna Oyu'baat, Keldabe

- A niby czego mógłbym cię nauczyć, Jedi? - zapytał Fett.

Kiedyś prośba Jaina Solo byłaby zabawna - a nawet satysfakcjonująca. Teraz nie było w niej jednak nic zabawnego. W sercu Fetta cały czas odzywał się głos, tłumacząc mu, że powinien osobiście kazać temu buhaczowi Jacenowi zapłacić za to, co zrobił Ailyn. Kiedy jednak Fett zobaczył ciało córki, zdecydował, że zemstę zaplanuje na zimno, a wtedy będzie znacznie bardziej dotkliwa. Powinien był tak samo postąpić po śmierci ojca. Jedi obrabowali go z życia rodzinnego, którego i tak zaznał niewiele, a teraz się spodziewali, że pomoże im posprzątać bałagan, do jakiego dopuścili.

- Zabił pan i schwytał więcej Jedi niż ktokolwiek inny - przypomniała Jaina, a słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Bo ja wiem... w tamtych czasach niektórzy moi bracia także osiągnęli bardzo dobre wyniki - odparł łowca nagród.

Jaina nie zareagowała.

- Jacen i ja mamy mniej więcej równy potencjał we władaniu Mocą - ciągnęła. - Mój brat zdobył jednak wiedzę o takich technikach Mocy, których nawet nie rozumiem. Wynika z tego, że mam jedną szansę pokonania go: muszę posłużyć się umiejętnościami, których sam nie opanował. Idę o zakład, że nigdy mu pan nie przekazał dziesięciu najważniejszych mandaloriańskich wskazówek, jak polować na Jedi.

- Bo nigdy mi za to nie zapłacił - burknął Fett. - Powiedz mi... dlaczego cię obchodzi to, co stało się z Ailyn?

- Bo Jacen zabił nie tylko pana córkę - wyjaśniła Jaina. Pograżona w desperacji, starała się trzymać fason, ale Fett wyczuwał jej nastrój. - Niewykluczone, że maczał palce w zabójstwie Mary Skywalker.

- A więc dlatego doszła pani do wniosku, że trzeba go powstrzymać. - Fett nie był zaskoczony samym pomysłem, tylko tym, że Jaina w ogóle do niego przyleciała. Nie było specjalnie dziwne, że rodziny się kłóciły, ale coś takiego... - Bo zabiło jedną z Jedi, tak?

Beviin przysiadł na barowym stołku przy kontuarze, odsunął hełm na bok i zaczął coś pisać na klawiaturze swojego notesu komputerowego.

- Zabija także swoje podwładne, *Mandalorze* - wtrącił i ustawił ekran notesu w taki sposób, żeby Fett mógł się zapoznać z wiadomością od jednego z długiej listy swoich informatorów. Coruscant znajdowała się jednak znacznie bliżej Mandalory, niż uważali Coruscanie. - I nawet nie robi tego rękami. Uczy się skręcać ludziom karki samą Mocą. Zamordował w ten sposób porucznik Tebut. Trąbi o tym w tej chwili cała flota... cóż, przynajmniej moi znajomi we flocie. To naprawdę niezły wyczyn.

- Jak za dawnych, dobrych czasów - zamyślił się Fett. - Tyle tylko, że Vader budził we mnie coś w rodzaju

sympatii.

Jaina zmarszczyła czoło. Czyżby nie wiedziała o losie ostatniej ofiary Jacena? Nie zarzuciła Beviinowi, że szerzy plotki, żeby ją jeszcze bardziej wyprowadzić z równowagi, bo oboje wiedzieli, kim się stał jej brat. Ciekawe... ofiary znaczyły więcej, kiedy miały nazwiska. Fett oparł się pokusie przypomnienia Jainie, że wszystkie zaatakowane przez Jacena istoty także miały nazwiska.

Jaina spojrzała na łowcę nagród.

- Przesłał pan nam miazdzyrękawice - przypomniała. - Uznaliśmy to za... ee... czytelną aluzję.
- Pamiętaj o dziesięciu tonach specjalizowanych detonatorów termicznych - odparł Fett.
- Chcemy go schwycić żywego.
- To zawsze bywa bardziej skomplikowane - stwierdził Fett. - Łapię ofiary żywe tylko wtedy, jeżeli mi za to więcej płacą, Jedi.

Położył blaster na kontuarze i oburącz zdjął hełm. Nie miał już teraz nic przeciwko pokazywaniu twarzy. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie pokazały się bez hełmu nawet swoim ludziom, może z wyjątkiem Beviina, ale odnotował wyraz twarzy Hana Solo, kiedy ten pierwszy raz spojrzał mu z bliska w oczy. Solo zrozumiał, że ten zimny, nieprzejednany, twardy hełm z durastali nie kryje po- czciwiny, ale durastalowy charakter, lodowaty chłód i brak serca. Jeżeli ktoś chciał zobaczyć pod pancerzem zadowolonego i dobrze przystosowanego Mandalorianina, powinien popatrzeć na Beviina.

Fett cały czas czuł na sobie spojrzenie Jainy.

- Jeżeli ja tego nie zrobię, to nikt inny nie da rady - stwierdziła młoda Solo.

W podobnych sytuacjach Beviin lubił bawić się z Fettem w grę: dobry *Mando*, zły *Mando*. Wcielił się więc w tę rolę, bez jakichkolwiek sugestii ze strony Fetta, który milczał, wpatrując się w twarz Jainy, jakby oceniał jej odwagę.

- Masz świetny miecz, damo, a Jacen nie ma *beskar 'gama* - odezwał się Beviin. - Czego moglibyśmy cię jeszcze nauczyć? Zastawiania pułapek? Mistrzowskiego opanowania sztuki posługiwania się blasterem? - Wyciągnął do połowy z pochwy swój prastary *beskad*, tradycyjny mandaloriański żelazny miecz. - Przydatnej techniki rozłupywania czaszek Vongów?

Jaina nie odrywała spojrzenia od twarzy Fetta.

- *Beskar* to wasz specjalny gatunek stali, prawda? - zapytała. - To z tego metalu wykonano miazdzyrękawice?
- Owszem. Jest w tej chwili dostępny we wszystkich dobrych punktach sprzedaży broni - odparł pogodnie Beviin. - Właśnie dostaliśmy nową dostawę. Czy to wszystko, czego naprawdę potrzebujesz? Plus kilka sugestii, jak posiekać brygadę szlafrokową?
- Posłuchaj, Fett - nie rezygnowała Jaina. - Możesz przecież nauczyć mnie, jak chwytać Jedi. Robiłeś to wystarczająco często.

Fett odczekał dwie sekundy.

- Miałbym teraz zakończyć wojnę, kiedy nasza gospodarka zaczyna stawać na nogi? - zapytał.
- Poświęciłbyś całe planety dla swoich celów?
- Wy poświęciliście Mandalorę - odciął się łowca nagród. - Dla swoich celów pozwoliliście Vongom ją niszczyć.
- Przykro mi, że nie pomogliśmy wam w jej odbudowie, chociaż powinniśmy byli to zrobić - odparła młoda Jedi. - Nie jestem z tego dumna. Ale czy pan nie rozumie, co robi Jacen, jeżeli pozwoli mu się na realizację jego planów? Muszę go powstrzymać, i to jeszcze zanim umocni swoją władzę.

Jaina grała twardo i nie zamierzała się wycofać; Fett musiał jej to przyznać. Gdyby Sintas nie wróciła z grobu,

co przysporzyło mu nowego bólu, mógłby uznać szkolenie Jainy Solo za całkiem przyjemne zajęcie, tak bliskie słodkiej zemsty, o jakiej marzył od wielu, wielu lat.

Zrobię to, powiedział sobie. Z Jacenem Solo trzeba zrobić porządek. Potem i tak będzie mnóstwo pracy, a nie ma większej ironii losu niż widok, jak jeden Jedi walczy z innym Jedi. Walka dwojga bliźniąt - coś, do czego dążyli Yuuzhan Vongowie. Jaka szkoda, że większość z nich już nie żyje; mieliby powód do radości.

Beviin wsłuchiwał się w głos rozbrzmiewający w swojej głowie, bo nie mógł go zmusić do milczenia. A ten głos mu podszeptował, że im bardziej ta wojna się rozszerza, tym większe prawdopodobieństwo, że Shalk i Briila, zostaną sierotami. A żadne dziecko nie zasługiwało na taki los. Fett także przez to przechodził.

Mando 'ade zawsze walczyli, walczą i będą walczyć, pomyślał Fett. O co ci chodzi?

A o to, że Shalk i Briila byli wnukami Beviina. Beviin i Medrit adoptowali ich matkę, Dinuę, kiedy jej matka została zabita podczas walki przeciwko *vongese* u boku Fetta. Wszyscy oni mieli już w życiu dość żałoby. Życie Fetta także było pełne nieboszczyków, sierot i moralnych długów.

Łowca nagród przyjrzał się Jainie uważnie. Młoda kobieta była niewysoka, a jej gładkie dłonie dowodziły, że nigdy nie musiała nimi kopać umocnień ani rowów. Była jednak Jedi, co oznaczało, że potrafiła potroić swoją siłę i zwiększyć zasięg ramion. W każdym razie zamierzała ściągać brata, bez względu na to, czy Fett ją wyszkoli, czy też nie. Łowca nagród poznał to po jej oczach: widział w nich trochę strachu - chociaż chyba nie bała się jego - i ślad wstydu, że w ogóle musi go prosić o przysługę. Cóż, błaganie o cokolwiek nieprzejednanego wroga swojego ojca z trudem przechodziło jej przez gardło, ale postanowiła się przemóc, żeby wykonać zadanie.

Fett szanował takie podejście do życia. To była pierwsza lekcja, jaką musiał sobie przyswoić każdy łowca nagród: zapomnieć o emocjonalnym balaście i skupić się wyłącznie na celu.

Gdybym mógł służyć pomocą Ailyn, nauczyłbym ją jak walczyć i jak troszczyć się o siebie, a może także jak polować na Jedi. Każdy *Mando* szkoli swoje dzieci, a nawet dzieci swoich ziomków. Jeżeli ktoś tego nie robi, nie jest godzien nazywać się mężczyzną.

Głos umierającego Shysy rozlegał się ostatnio w jego głowie bardzo często, chociaż przedtem długo milczał. „Jeżeli troszczysz się tylko o swój tyłek, nie jesteś mężczyzną”. Dołączył do chóru, który ostatnio mu dokuczał. Wszyscy radzili mu, co powinien zrobić. Jego zmarli wracali, żeby go dręczyć w taki albo w inny sposób.

- Dobrze, zrobię to - zdecydował. - Ale to będzie kosztowało.

- Nie prosiłam o jałmużnę - odparła Jaina, unosząc brew. Rzeczywiście była podobna do Leii. Rozluźniła mięśnie ramion, wyjęła z kieszeni na piersi lotniczego kombinezonu żeton kredytowy o bardzo dużym nominale i chwyciła go dwoma starannie wyma- nikiurowanymi palcami. - Nawet zemsta nie przeszkadza w interesach, prawda, panie Fett? - zapytała.

- To twoja pierwsza lekcja, Jedi - uświadomił jej łowca nagród. - Później wystawię ci za nią rachunek. - Nie potrzebował kredytów, ale musiał dbać o swój wizerunek, podobnie jak Jaina musiała dbać o swój. Jeden i drugi mogły zostać poważnie naruszone. - Nie myślmy teraz o honorariach. Co jeszcze planujesz mi zlecić?

- Jestem pilotką gwiazdowego myśliwca - odparła młoda Jedi. - Całkiem nieźle radzę sobie także z naprawami urządzeń mechanicznych.

- Wszyscy tu jesteśmy pilotami - stwierdził Fett. - Zawsze jednak przydadzą się nam mechanicy. Do domu wraca teraz wielu wygnańców i infrastruktura trzeszczy pod ich naporem. Przydasz się.

Fett włożył hełm i odwrócił się, żeby odejść. Jaina zawołała w ślad za nim:

- Kiedy zaczynamy?

- Już zaczęliśmy - odparł łowca nagród, nie odwracając głowy. - Wrócę jutro. Wynajmij tu pokój i prześpij tę noc.

Jaina i tak nie miała dokąd się udać, a Fett nie poprosił w porę Beviina, żeby znalazł pokój dla jeszcze jednej osoby. Baltan Carid, którego wytatuowana winorośl wzbogaciła się jakby o kilka dodatkowych liści, zawołał do barmana:

- Lepiej wykop strilla z apartamentu dyrektorskiego, *Cham 'ika*. Masz tu osobę z królewskiego rodu.

Fett powstał chwilę przed wejściem do *Oyu'baata*, rozejrzał się, a potem przeciął plac i stanął nad urwiskiem, które opadało niemal pionowo do rzeki Kelita. Beviin w milczeniu stanął obok niego. Obaj oparli się o balustradę i patrzyli, jak prąd miota o skały obłamane z drzew gałęzie. W górze rzeki budowano ostatnio wiele domów.

- Jedi umieją uzdrawiać - odezwał się Beviin. - Takich zdolności nie ma żaden z nas.

Fett zacisnął palce na najwyższej szynie.

- Nie chcę, żeby Jaina Solo uzdrawiała Sintas - powiedział. - Te problemy nie mogą mieć ze sobą nic wspólnego.

- To była tylko luźna myśl - usprawiedliwił się Beviin.

- Ale i tak ci dziękuję.

- Aha... gdybyś chciał mieć oko na tę Jedi, zawsze znajdzie się pokój na farmie.

Beviin byłby o wiele lepszym Mandalorem niż Fett, może dlatego, że bardziej przypominał Shysę. Był równie skłonny do podnoszenia morale i do zawierania sojuszów, jak i do pchnięcia swoim *beskadem* najbliższego wroga. Najważniejsze jednak, że wszyscy go lubili. Za Fettem przemawiały osiągnięcia na polach bitew i dynastyczne nazwisko. *Mando 'ade* lubili pokazywać jego wizerunek reszcie świata. Fett liczył się bardziej jako żyjący talizman niż jako przywódca. Cóż, każdy Mandalor miał własny styl. W końcu to nie zmieniało ani trochę istoty Mandalory.

- Powiedziałem Mircie, że to ja zabiłem Shysę - zwierzył się Fett.

Beviin westchnął.

- Może dobrze, że całe to twoje *osik* trafiło w wentylator w jednej chwili i masz to już za sobą *Bob 'ika*... - powiedział.

- Niczego jej nie wyjaśniłem, po prostu powiedziałem.

- A mnie kiedyś opowiesz?

- Jeżeli chcesz wiedzieć, skróciłem jego męki - odparł Fett. - Zostaliśmy otoczeni, a on był zbyt ciężko ranny, żeby uciekać. Nie mogłem go zostawić na łasce Sewetów.

- To musiała być trudna decyzja... chyba jednak tego się spodziewaliśmy - stwierdził Beviin.

- Shysa prosił mnie, żebym to zrobił.

- A więc w ten sposób dostało ci się najważniejsze stanowisko? Pamiętaj, że nikt nigdy nie miał ci tego za złe.

- Można rozwalić komuś czaszkę, traktując poważnie jego ostatnią wolę - powiedział Fett. - Shysa kazał mi dać słowo, że to zrobię. - Aczegoś takiego nie można było zlekceważyć: Jango Fett od kołyski uczył syna, że jego słowo jest najważniejsze. - Kazał mi też przysiąc, że zostanę jego następcą. Zawsze chciał, żebym został Mandalorem. Gdybym go nie znał tak dobrze, powiedziałbym, że sam to zaaranżował.

- Nie masz żadnych świadków - stwierdził Beviin.

- Wydaje ci się, że zależało mi na tym stanowisku?

| - To mówi wiele o tobie.

- Powiedziałem mu, że nie chcę być Mandalorem.

Beviin wyglądał na rozdrażnionego.

- Chodzi mi o to, *Bob 'ika*, że mógłbyś obiecać Shysie wszystko i nikt by się nie dowiedział, czy dotrzymałeś

słowa, czy też nie.

Fett ścisnął krawędź kamiennej balustrady.

- Ja bym wiedział - odparł z powagą.

Beviin tylko kiwnął głową.

- Nigdy nie cofałeś się przed niczym... chyba że miałeś dobry powód - powiedział.

Tym razem Beviin nie miał racji. A jeżeli Sintas odzyska pamięć, też mu to powie.

ROZDZIAŁ 7

Żaden mandaloriański żołnierz nie powinien brać udziału w wojnie aruetii za wynagrodzenie w postaci dziennego wyżywienia. Żaden Mando'ad nie powinien w ogóle walczyć, chyba że w obronie Manda'yaima, swojego domu, swojej rodziny albo dlatego, że ma taką ochotę. Musimy przestać wysługiwać się rządcom, których nie obchodzi, czy żyjemy, czy umieramy, jeżeli tylko spełniamy ich zachcianki.

Kad'ika, zwany także Venku, zwracając się do nieformalnego zgromadzenia przywódców klanów

Farma Beviina i Vasura, okolice Keldabe

Fett zatrzymał się pod drzwiami. Słyszał furkot serwowatorów droida, który poruszał się po sypialni, a także niski głos doktora Beluine'a. Łowca nagród chciał poczekać, aż lekarz wyjdzie, żeby wejść do sypialni i spędzić kilka chwil z Sintas. Później rozpocznie zajęcia z Jainą Solo. Dzień miał dokładnie zaplanowany.

- Babcia chciałaby wiedzieć, gdzie się znajduje. - Mirta podeszła do niego od tyłu i szturchnęła go w plecy. Nie miała zwyczaju brać go za rękę ani obejmować, a zresztą Fett i tak by nie wiedział, jak zareagować na taki przejaw poufałości. - Cały czas jej to tłumaczymy, ale jej krótkookresowa pamięć jest rozwalona w *haran*.

- Jeszcze jest na to zbyt wcześnie - orzekł Fett, zastanawiając się, kim on sam jest.

- I nie chce się nawet na chwilę rozstać z ognistym sercem - dodała Mirta.

- Nazwałaś ją babcią?

- Pomyślałam, że to byłoby szukaniem guza, *Babuir*... - odparła wnuczka.

Fett usłyszał za plecami czyjeś kroki. Ktoś mijał go, idąc ostrożnie i powoli, jakby nie chciał, by go zauważono. Fett nie musiał korzystać z hełmu, który zapewniał mu trzystusześdziesięciostopniowe pole widzenia, aby wiedzieć, kim jest ta osoba.

- Dzień dobry, Orade - przywitał się.

- *Su 'cuy, Mand'alor*. - Ghes Orade, nowy ukochany Mirty, zatrzymał się gwałtownie. W rękach trzymał bukiet dzikich kwiatów vormur. - Przyniosłem kwiatki dla Sintas - powiedział.

- Straciła wzrok - przypomniał mu łowca nagród.

Orade obrzucił go spojrzeniem mówiącym „bezduszny buhacz”.

- Wyczuje zapach - zapewnił.

Taki miły gest Fettowi jakoś nie przyszedł do głowy. Lepiej, żeby Ghes traktował także swoją wnuczkę jak księżniczkę, pomyślał. Odwrócił się powoli, żeby młodzieniec mógł sobie uświadomić jego niewypowiedzianą przestrożę. - A więc żenisz się z Mirtą? - zapytał.

- Tak, *Mand'alore* - rzekł Orade.

- Jesteś jedynym *Mando 'ad* na tej planecie, który się przede mną płaszczy - stwierdził Fett. - Nie rób tego więcej. - Orade był typowym twardym, mandaloriańskim chłopakiem, ale zięciowie potrafili być gorsi niż Yuuzhan Vongowie. - W jednej minucie jestem sierotą - zastanowił się - a w następnej członkowie rodziny pojawiają się jak fale na powierzchni wzburzonego morza.

- Masz rację - odparł Orade, napinając mięśnie karku. - Zamierzam poślubić Mirtę i jeżeli ktokolwiek będzie musiał się zająć jej babką, zrobimy to my dwoje.

Mój zięć, *fierfek*, pomyślał Fett. Rzucił okiem na młodzieńca, żeby go ocenić, i pomyślał, że Orade się nadaje.

Mandaloriański ślub składał się z czterokrotnej krótkiej przysięgi i bywał zazwyczaj bardzo prywatną ceremonią - wyłącznie młoda para, żadnej rodziny. Fett, który wciąż myślał jak *aruetii*, zastanowił się, czy ma poczuć się urażony, że go nie zaproszono, ale zaraz przypomniał sobie, że w ceremonii nikt inny też nie weźmie udziału, chociaż po wszystkim będzie wspólne picie i towarzyskie rozmowy. Żaden kredyt nie zostanie zmarnowany na głupstwa. *Mando 'ade* działali zgodnie z planem, własnymi obietnicami i kontraktami, i to zarówno w miłości, jak i w interesach.

- A więc nie zamierzacie wracać do kultury Kiffarów? - zapytał Fett Mirtę.

- Dokonałam wyboru - odparła wnuczka.

W końcu drzwi się otworzyły i z sypialni wyszedł Beluine. Wyglądał za zdenerwowanego. Fett odprowadził go na bok, a Mirta i Orade wślizgnęli się do sypialni.

- Czy stan zdrowia Sintasa się poprawi? - chciał wiedzieć łowca nagród.

- Już to, że jest przytomna i może się poruszać, jest nie lada osiągnięciem - odparł lekarz. Mówił cicho i Fett musiał się pochylać, żeby go usłyszeć. Beluine był wyraźnie urażony, że nikt nie docenia jego starań. - W większości przypadków tacy pacjenci przebywają wiele miesięcy w stanie mniej lub bardziej głębokiej śpiączki. Możliwe, że jej kiffarskie geny dały pewną osłonę przed urazem, jaki powoduje zamrożenie w karbonicie.

Fett wiedział, że Kiffarowie są inni. Najlepszym tego dowodem była umiejętność odczytywania przeszłości z martwych przedmiotów; tak właśnie zrobił Gotab, który opowiedział Fettowi o swojej historii z Sintasa, trzymając ogniste serce w dłoniach. On także musiał być Kiffarem.

- A więc uważasz, że stan zdrowia może się poprawić? - podsumował łowca nagród.

- Może - przyznał Beluine. - Zamrożenie w karbonicie wpływa na połączenia neuronów w mózgu. To właśnie dlatego pana żona nie widzi i nie pamięta tego, co się z nią działo. Neurony jednak w miarę upływu czasu się regenerują. Pomaga mentalne pobudzanie. .. różne ćwiczenia umysłowe, które stymulują pamięć. Pomaga także widok przedmiotów, które może pamiętać, w rodzaju naszyjnika, holowizerunków i tak dalej.

To moja była żona, doktorze, pomyślał Fett. Była żona.

A jednak brzemie odpowiedzialności za nią ciążyło mu tak samo. Nigdy nie był dobry w myśleniu za dwie osoby, chyba że tą drugą osobą był jego ojciec.

- Twierdzisz, że ma uszkodzony mózg... - zaczął.

- Technicznie tak - przyznał Beluine. - Niemniej właściwe leczenie...

- Powiedziałeś kiedyś, że mam przed sobą rok życia. Teraz czuję się doskonale.

Beluine się skrzywił.

- Czyli znalazł pan swojákaminoańską badaczkę - powiedział.

- Znalazłem to, co było mi potrzebne - odparł Fett. Nie przechodził żadnych badań, odkąd tamten weterynarz oczyścił mu krew. Pod względem fizycznym czuł się świetnie. Podejrzewał, że los oszczędził mu przedwczesnej śmierci, żeby mógł się jeszcze trochę pokręcić po świecie i pozwolić, żeby dogoniła go przeszłość. Nie jestem dumny z niczego, co zrobiłem, pomyślał. Z drugiej strony... niczego się także nie wstydzę. Robiłem, co

musiałem. - Zapytam Sintas, czego pragnie. Gdybym cię potrzebował, skontaktuję się z tobą.

Beluine zawsze wyczuwał, kiedy się go odprawia. Mirta wystawiła głowę z pokoju. Zmarszczyła brwi.

- Cokolwiek twierdzi Medrit, Beluine spał się doskonale - oznajmiła. - Jesteś niewdzięcznikiem. Babcia równie dobrze mogła umrzeć.

Fett przypomniał sobie pierwsze lekcje sztuki walki, których udzielał mu ojciec. Przypomniał sobie, co przy tym mówił: poświęć się bez reszty atakowi. Nie poddawaj się. Nie zatrzymuj się, żeby pomyśleć. To chyba dobra rada także dla kogoś, kto miał stawić czoło przeszłości. Fett wszedł do sypialni i usiadł obok łóżka. Sintas siedziała ze skrzyżowanymi nogami na materacu. Obracała w palcach ogniste serce, jakby czegoś w nim szukała.

- Kim jesteś? - zapytała, odwracając się do niego twarzą.

Nie zatrzymuj się, żeby pomyśleć, przypomniał sobie łowca nagród.

- Zналиśmy się, kiedy byliśmy młodzi - powiedział.

- Jak się nazywasz?

Nie zatrzymuj się, żeby pomyśleć. Nie zatrzymuj się...

- Boba. Boba Fett - powiedział.

Spodziewał się, że świat zaraz zawali mu się na głowę, ale Sintas miała obojętny wyraz twarzy. Może usiłowała przypomnieć sobie jakiś drobiazg... ale na pewno nie mężczyznę, który wywarł tak wielki wpływ na jej życie.

- Ja się nazywam Sintas Vel, ty Boba Fett, a ona... ona...

Mirta stanęła po drugiej stronie łóżka.

- A ja jestem Mirta Gev - powtórzyła cierpliwie.

- Ta-ak, Mirta... jesteś moją małą dziewczynką? - zapytała Sintas. - Pamiętam, że miałam córeczkę...

Fett się wyłączył. Nie planował tego, ale nie potrafił inaczej. Zachował się jak termostat, który wyłącza ogrzewanie, kiedy powstaje niebezpieczeństwo, że ogrzewane przedmioty się przegrzeją.

- Ailyn - odezwał się po chwili. Nie wiedział, ile jego żona może znieść naraz. Na ogół zapominała wszystko w następnej chwili. - Twoja córka miała na imię Ailyn. Kiedy ostatnio ją widziałas, miała mniej więcej szesnaście lat.

- Muszę ją odnaleźć - postanowiła Sintas. - Będzie się zastanawiać, gdzie jestem.

Mirta spojrzała na Fetta, jakby mówiła: „Nawet o tym nie myśl”.

- Wiele rzeczy się wydarzyło, odkąd zatopiono cię w karbonicie - zaczęła, biorąc głęboki oddech. - Ja... ja jestem twoją wnuczką

W pierwszej chwili Sintas nie zareagowała. Nadal obracała w palcach ogniste serce i bezgłośnie poruszała wargami. Fett zastanowił się, czy ona wyczytuje coś z klejnotu i stara się powiązać te informacje z tym, co słyszy. Sin była zawsze bystra, przypomniał sobie. Miała analityczny umysł i potrafiła patrzeć na wszystko pod różnymi kątami. Co prawda słowo „zawsze” było eufemizmem, bo odkąd ją spotkał, do chwili kiedy ją zostawił, upłynęły trzy, najwyżej cztery lata.

Sintas zawiązała rzemiek z ognistym sercem na karku, ale cały czas palcami ścisnęła klejnot. Orade pochylił się i przybliżył bukiet do jej twarzy.

- To kwiaty vormur - odezwał się. - A to ja, Orade. Pamięta mnie pani? Byłem tu wczoraj.

Sintas wciągnęła powietrze w nozdrza i lekko się uśmiechnęła. Dobrze, że nie była zdenerwowana. Mirta wstała i wyjęła z szuflady komody przedmiot, którego Fett nie widział od bardzo dawna - czerwone, podłużne pudełko

z uchwycem na górze. Jego serce stanęło na chwilę, ale łowca nagród nie dał nic po sobie poznać.

- Znaleźliśmy to w rzeczach Rezodara - powiedziała Mirta, otwierając wieczko pudełka.

Ze środka z cichym pomrukiem wyłonił się hologram, włączony przez jakiś mechanizm. Mirta uniosła powoli głowę i zmierzyła Fetta zagadkowym spojrzeniem. Na jej twarzy malowało się poczucie winy, a może nieme pytanie, czy ma powiedzieć Sintas, co oboje widzą a czego ona nie może zobaczyć. Hologram przedstawiał Sintas z dzieckiem na rękach. Obok żony stał Fett, obejmując ją ramieniem. Oboje się uśmiechali.

Mogłem jej wmówić, że to nie ja tam stoję, tylko Spar, wypełniając, jak zwykle, wolę Shysy. Idiota ze mnie. Tylko że... to jestem ja. Pamiętam tamten dzień.

Fett przypominał sobie, że zabił wielu łajdaków, żeby odzyskać dla Sintas ten hologram długo po tym, jak się rozstali. Nie pamiętał jednak, jak się czuł, kiedy ta scena została uwieczniona.

- Co to jest? - zapytała Sintas, wyciągając rękę w kierunku źródła dźwięku.

- To stary hologram - wyjaśniła łagodnie Mirta. - Przedstawia ciebie i, jak mi się wydaje, twoją córeczkę, a moją matkę. Atakże... twojego męża. - Nie odrywała wzroku od twarzy Fetta. Mierzyła go takim samym zimnym, ponurym spojrzeniem, jakie mu posłała, kiedy się pierwszy raz spotkali. Zupełnie jakby przypomniawszy sobie wszystkie wskazówki Ailyn, że ma go nienawidzić. - Hologram nabierze sensu, kiedy znów będziesz mogła widzieć.

Sintas uśmiechnęła się niepewnie. Wyglądała na zakłopotaną.

- A więc mam męża? - zapytała. - Co się z nim stało? Jak długo byłam zamrożona? No, dalej, powiedzcie mi wszystko!

Chociaż straciła pamięć, była to wciąż ta sama, dawna Sintas, trzeźwo myśląca łowczyni nagród, która nie miała czasu na wykręty i banały. Zawsze chciała wiedzieć wszystko do końca.

Fett nabrał głęboko powietrza do płuc.

- Jutro nie będzie niczego pamiętać - wyszeptał bezgłośnie Orade, ledwo poruszając wargami.

Fett wyobraził sobie, że otwiera kopniakiem drzwi i wdziera się do niedostępnego pomieszczenia.

- Byłaś zamrożona trzydzieści osiem lat - powiedział. Muszę to mieć za sobą pomyślał. Spojrzał Sintas w oczy, chociaż kobieta go nie widziała. -I to ja byłem twoim mężem. Nazywam się Boba Fett.

Zamarł na parę sekund, jakby czekał na eksplozję detonatora i musiał przygotować się do ucieczki, żeby go nie dosięgła fala eksplozji. Wybuch jednak nie nastąpił. Sintas zwracała niewidzące oczy to w jedną, to w drugą stronę, jakby czegoś szukała. Miała niemal pogodny wyraz twarzy, najwyraźniej zaświtała jej jakaś myśl.

- Kto zamroził mnie w karbonicie? - zapytała.

- Tego jeszcze nie wiem - odparł Fett.

- Ale to ty mnie odnalazłeś.

- Owszem - odparł łowca nagród.

- To prawda?

- Odnalazłem cię razem z Mirtą. - Sintas musiała wiedzieć wszystko. Fett był jej to winien... i jeszcze o wiele więcej. - To głównie zasługa Mirty.

- Nie pamiętam - westchnęła Sintas. - Niczego nie pamiętam. Ale skoro przybyliście po mnie... po tak długim okresie, to chyba cały czas mnie szukaliście...

Fett otworzył usta, aby wyjaśnić, że to nie tak, ale Mirta uniosła palec ostrzegawczym gestem, jakby chciała powiedzieć: „Sintas nie musi teraz tego wiedzieć”. Łowca nagród zrezygnował.

- Wkrótce dojdiesz do siebie - powiedział. - Przyjdę później.

To był taktyczny odwrót. Kiedy Fett się odwrócił, zobaczył stojącego w progu Beviina z rękami zaplecionymi na piersi. Przyjaciel cofnął się, żeby go przepuścić, i podążył za nim korytarzem do wyjścia. Dinua i Jintar jedli akurat śniadanie z dziećmiakami w kuchni. To był inny świat, a oni wyglądali na zachwyconych, że mogą być znów razem. Fett podsłuchiwał część ich rozmowy. Jintar mówił o swoich planach założenia nowego warsztatu, co oznaczało, że przynajmniej na razie nie zamierza pracować jako najemnik. Niektórzy ludzie potrafią odnaleźć się w życiu rodzinnym, nawet w najmniej sprzyjających okolicznościach, pomyślał Fett.

- Mógłbym dzisiaj zająć się tą Jedi zamiast ciebie - zaproponował Beviin. - Chyba że chcesz się stąd wynieść.

- Im szybciej wybiję Sintasa z głowy, że jestem oddanym małżonkiem, tym lepiej - odparł Fett. - W przeciwnym razie będzie jej trudno, kiedy w końcu wszystko zrozumie.

Dotarli do wyjścia; w drzwiach stał Medrit, blokując przejście. Był tak potężnie zbudowany, że przychodziło mu to bez trudu. Dzięki wielu latom kucia metalu miał silnie rozwinięte mięśnie.

- Zatrzymaj się - zarządził stanowczym tonem Medrit. - Żadnych ćwiczeń z *jetii*, dopóki nie będziesz odpowiednio ubrany. - Pokiwał brudnym palcem, zapraszając Fetta do warsztatu. - Wolałbym, żeby nie spadła dzisiaj żadna głowa.

Na stole roboczym leżał komplet płyt pancerza, jednolicie zielonych. Zieleń była często spotykanym kolorem wśród Mandalorian; była także kolorem Boby Fetta.

- Musimy jak najlepiej wykorzystać nowe złożę *beskara* - oznajmił Medrit. Zdjął ze stołu płytkę napierśnika i zakręcił nią młynka. - Mówiłem ci, że powinieneś się pozbyć tego durastalowego pancerza, prawda? Oto twój właściwy *beskar 'gam*. Włóż go, na wypadek gdyby tamta Jedi miała szczęście. Ten pancerz musiałaby siekać swoim *jetii 'kadem* przez tydzień, żeby powstało choćby wgłębienie.

- Zrób mu tę przyjemność - doradził Beviin. - Specjalnie dla ciebie wykonał kołnierz...

Fett nie zamierzał poddawać *beskar 'gama* bojowej próbie, ale zaintrygował go kołnierz. Wyglądał jak półkolista opaska z zawiasami i chronił kark w miejscu, w którym hełm stykał się z kryzą pancerza. Gdyby jego ojciec miał taki kołnierz, pewnie by przeżył cios świetlnym mieczem Mace'a Windu, który odciął ojcu głowę. Fett przymierzył kołnierz i pokręcił głową żeby sprawdzić, czy mu zapewnia swobodę ruchów.

- Wydaje ci się, że walka razem z Jainą Solo to strata czasu? - zapytał i pochylił się, żeby Medrit mógł wymienić kilka płytek. - Mogę ją nauczyć polowania na brata, nie męcząc się i nie narażając na ciosy.

- Dobrze by było, żebyś założył także nagolenniki - doradził Medrit. - Szukasz guza, *Mand'alore*.

- Ten pancerz nie wygląda jak moja własność - zbuntował się łowca nagród. - Jest zbyt nowy.

- W porządku... chcesz, to go trochę podniszczę. Namaluję na nim rysy, jeżeli chcesz wyglądać jak twardziel. Pamiętaj jednak, że to *beskar*. Rzeczywistych skaz nie da się w nim zrobić.

Fett przypomniał sobie, jak Mirta nazwała go niewdzięcznym *shabuirem*.

- Jest bardzo dobry, Medrit - powiedział. - Dziękuję.

Beviin pomógł mu przytwierdzić resztę płytek. I jeszcze nowy hełm... Fett postanowił, że później się z nim oswoi. Tego dnia powinien mu wystarczyć stary, durastalowy. Machnął raz i drugi ramionami, żeby się przyzwyczaić do ciężaru nowego pancerza, zanim założy plecak raketowy i przytroczy skalpy Wookiech. Wreszcie poszedł do stodoły, w której miał szkolić Jainę Solo.

Beviin podążył za nim.

- Uważasz, że to będzie niezłe widowisko? - zagadnął łowca nagród. - Przedtem muszę się upewnić, co ta Jedi umie.

- Nie ufam Jedi, *Bob 'ika* - stwierdził Beviin. - Nie, żebym podejrzewał, że nie dasz sobie z nią rady.

- Podczas wojny wszyscy ufaliśmy Kubarietowi - przypomniał Fett.

- On był innym rodzajem Jedi, niech spoczywa w spokoju w *manda*. - Beviin był tradycjonalistą. Może nie do końca wierzył w zbiorową ponadduszę, ale bardzo chciał, żeby istniała. Poklepał głównie swojego *beskada*. - Wolę jednak dmuchać na zimne.

Jaina czekała już na nich w stodole. Siedząc na przewróconym wiadrze, wyglądała na przygnębioną i niegroźną. Skuliła się, kiedy Fett podszedł do niej. Łowca nagród był przyzwyczajony do takiej reakcji, więc nie zwrócił na to uwagi, dopóki nie uświadomił sobie, że zamiast niepokoju na twarzy Jaina ma ciekawość.

- Stało się coś złego? - zainteresowała się młoda Jedi.

Fett poczuł się nagle obnażony. A więc Jaina wyczuwała promieniującą od niego aurę niepokoju. Łowca nagród był pewny, że nie tak jak Sintas, ale jednak wyczuwała kłopoty.

- Problemy rodzinne - wyjaśnił krótko.

- Taa, wiem coś o tym. - Jaina wstała z wiadra. - Chodzi o twoją wnuczkę?

Łowca nagród nie widział powodu, żeby jej nie powiedzieć prawdy. I tak wiedzieli o tym wszyscy w Keldabe. Może to być dla niej nauczką, żeby się niepotrzebnie nie rozpraszała.

- Nie, o moją była żoną - powiedział. - Ostatnie trzydzieści osiem lat spędziła zamrożona w karbonicie. Jeszcze nie wie, że to twój brat zabił jej córkę. •

- Jeżeli wolałby pan być teraz z nią... - zaczęła Jaina.

- Mamy tu zadanie do wykonania - uciął łowca nagród.

Spojrzał Jainie w oczy i zobaczył w nich współczucie i ból, których się nie spodziewał. Oboje mieli rodziny rozdarte przez tragedie i oboje mieli przed sobą trudne obowiązki. Patrzyli chwilę na siebie i Fett mógłby przysiąc, że widzi w oczach tej Jedi coś w rodzaju litości. Zupełnie mu się to nie podobało.

Jaina wyciągnęła świetlny miecz powoli, jakby nie chciała, żeby ktokolwiek posądził ją o złe zamiary.

- Chce pan się najpierw przekonać, co potrafię? - zapytała.

Fett opróżnił umysł ze wszystkich niepotrzebnych myśli. Walka

działała na niego oczyszczająco. Robił to tyle razy, że traktował ją niemal jak rodzaj medytacji. Był znów w swoim naturalnym żywiole, uwolniony z obcego świata związków, których nigdy nie nauczył się kultywować.

Nauczył się za to włączyć każdą broń którą miała mu do zaproponowania galaktyka... z wyjątkiem jednej.

- Ja też to potrafię - odpowiedział teraz, wyciągając własny miecz świetlny. - Możemy nauczyć się nawzajem paru nowych sztuczek.

Farma Beviina i Vasura, okolice Keldabe

Jaina myślała, że rozpoczną tę dziwną lekcję od omówienia umiejętności Jacena we władaniu Mocą ale miało być inaczej.

- Nie jestem szermierzem - odezwał się Fett, trzymając świetlny miecz niczym młot i powoli ją okrążając. Jego broń miała zieloną klingę. Jaina ciekawa była, komu łowca nagród ją zabrał i w jakich okolicznościach. - Nigdy nikogo nie szkolilem. To będzie lekcja dla nas obojga.

To musiała być jakaś sztuczka. Młoda Jedi parowała ciosy Fetta, ale cały czas trzymała się od niego na dystans. Zauważyła, że po jej prawej stronie stoi Beviin, widoczny jako ciemnoniebieska rozmazana plama; z pewnością tylko obserwował ich ćwiczebny pojedynek, ale Jaina czuła się nieswojo. Od Beviina promieniowała podejrzliwość, połączona z czymś, co wydawało się... rozbawieniem? Może Beviin uważał to wszystko za dobry żart; w każdym razie nie emanowała od niego namacalna wrogość. Jaina postrzegala jego obecność w Mocy jak pozostający poza zasięgiem nieprzyjacielski okręt, na który jednak trzeba uważać.

- Chcę się nauczyć czegoś, czego mój brat nie potrafi - oznajmiła.

Fett zatrzymał się i przechylił głowę. Wyglądał, jakby uśmiechał się pod hełmem, ale Jaina była na to przygotowana. Spodziewała się kpin i szyderstw; podejrzewała, że Fett spróbuje ją zdenerwować, żeby sprawdzić, jak szybko Jaina traci panowanie nad nerwami i do popelnienia ilu błędów uda się ją sprowokować.

- Powiedz mi, co potrafi Jacen - zażądał teraz łowca nagród. - Oczywiście oprócz zabijania bezbronnych kobiet bez dotknięcia choćby palcem.

Jaina poczuła, że Beviin powoli wychodzi poza zasięg jej peryferyjnego widzenia. A zatem Fett nie zamierzał poddawać próbie jej technik walki. Chciał tylko odwrócić jej uwagę.

- Poza podstawami, które opanował jeszcze w Akademii? - upewniła się.

- Poza dziwnymi wyskokami, wpływaniem na umysły, rzucaniem skałami za pomocą siły woli - odparł Fett.

- To telekineza - mruknęła Jaina. Cołhęła się o krok, żeby widzieć Beviina. Mężczyzna był uzbrojony w blaster i w krótki, płaski miecz. Jedno i drugie miał przypięte do pasa. - Wiem, że potrafi zmieniać trajektorie lotu gwiazdnych okrętów, odbijać na boki strzały z jonowych dział... a nawet z turbolaserów. Słyszy na dużą odległość dzięki the- rańskiej technice wsłuchiwania się w Moc. Potrafi wytwarzać skomplikowane iluzje Mocy, które wydają się rzeczywiste. Umie się cofać w czasie albo wybiegać w przyszłość. Potrafi panować nad przedmiotami, na przykład skanerami. Może także kasować zawartość pamięci żywych osób. - Zlikwidował na przykład część pamięci Bena.

- Czyli sprawił, że chłopak zapomniał różne rzeczy? - zapytał Fett.

- Tak.

- Mógłby się dzięki temu wzbogacić. - Fett chyba nie żartował. Prawdę mówiąc, jego głos wydawał się zupełnie obojętny, a w Mocy jawił się jak czysta tablica, z której nie dałoby się nic wyczytać. - W takim razie, jeżeli potrafi podsłuchać wszystko, co chce, do czego są mu potrzebni szpiedzy i funkcjonariusze tajnej policji?

- Eee... właściwie to nie wiem - bąknęła Jaina.

- Jeżeli potrafi własnoręcznie powstrzymywać strzały z turbolaserów, to na co mu flota?

Jaina zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Nie mam pojęcia - przyznała w końcu.

- A do czego są mu potrzebne generatory ochronnych pól, jeżeli potrafi wytwarzać własne pola?

Jaina stała, opierając stopy na piętach, gotowa do skoku. Reagowała instynktownie dzięki szkoleniu; nie mogła na to nic poradzić. Czuła się teraz zagrożona. Kątem oka zauważyła, że cienki pasek światła w niedomkniętych wrotach rozszerzył się; do stodoły weszło kilka osób. Miała widownię.

Całkiem jak w kabarecie, pomyślała. W porządku, Fett. Ani przez chwilę nie przypuszczałam, że to będzie spacer.

Fett opuścił klingę świetlnego miecza, szpicem niemal dotykając zakurzonego klepiska. Szedł powoli, wzbijając niewielkie obłoczki kurzu.

- Coś jeszcze? - zapytał.

- Nie potrafimy... wyczuwać Jacena w Mocy - dodała Jaina.

- Witaj w normalnym świecie - zakpił łowca nagród.

- Czasami także potrafi stawać się niewidzialny.

Beviin wybuchnął śmiechem.

- *Wayii, gar ori 'shukla!* - powiedział.

Jaina miała ochotę się odwrócić, kierowana instynktem zwrócenia się twarzą do źródła niespodziewanego

odgłosu, ale się powstrzymała. Fett był teraz zupełnie odprężony. Stał kilka metrów od niej, trzymając od niechcenia świetlny miecz jedną ukrytą w rękawicy dłonią. Jego pancerz wyglądał jakoś inaczej niż zwykle... był czysty i błyszczał jak świeżo polakierowany. Może na tę okazję założył odświętny strój?

- Co to znaczy, Mirta? - zapytał Fett.

Wśród nowo przybyłych Mandalorian była młoda kobieta. Jaina teraz sobie przypominała, że to jego wnuczka... ta sama, z którą spotkali się moi rodzice, pomyślała. I ta sama, która próbowała zabić Fetta. Przyleciałam w odpowiednie miejsce, pomyślała młoda Jedi. Fett wie, co to rodzinne rozdźwięki. Jaina wyczuwała zdenerwowanie młodej kobiety, ale jej to nie dotyczyło. Chyba chodziło o przykre wspomnienie, o którym Mirta starała się zapomnieć.

- Beviin powiedział: „O rety, ależ wy jesteście pokręceni”, Jedi. - Mirta stanęła w polu widzenia Jainy, za plecami Fetta. Nosiła ciemnożółty pancerz, a hełm przyciskała jedną ręką do boku. Jaina wyczuwała jej rozgoryczenie. - Jacen jest bardzo mądry, prawda?

Zabił jej matkę, przypomniała sobie Jaina. Ale numer.

Młoda Solo wyczuła nagle, że wszyscy zamarli. Zmysłami Mocy śledziła wiele celów. Uświadamiała sobie obecność Beviina, Fetta i Mirty, a także trzech innych zakutych w pancerze osób, które chyba na coś czekały. Czyżby popełniła okropny błąd? Czy oni wszyscy chcieli ją zmusić, aby zapłaciła za śmierć Ailyn Vel? Oko za oko, córka za córkę. Fett podszedł tak blisko, że znalazł się w zasięgu jej broni. Opierał cały ciężar ciała na jednej nodze. Taka pozycja nie nadaje się do zadania ciosu, a zresztą promieniował od niego spokój. Po prostu się z nią drażnił. Wyłączył nawet klingę swojego miecza świetlnego i zaczął się przyglądać kunsztownie rzeźbionej rękojeści. Jaina także opuściła broń, a wreszcie ją wyłączyła.

- Masz problem, Solo - stwierdził Fett, wsuwając kciuk za pas. Jainie nikt nie musiał tego mówić. - To co, zamierzasz go upolować?

Młoda Solo na razie nie miała na to odpowiedzi. Fett wzruszył ramionami i nagle...

Zanim Jaina się zorientowała, grzmotnął ją pięścią w brzuch z taką siłą że wyparł z jej płuc powietrze. Jaina włączyła swój miecz i niemal odruchowo cięła go przez pierś. Zrobiła to w ułamku sekundy, instynktownie, bez namysłu. Pod impetem ciosu Fett cofnął się kilka kroków. Jaina zgięła się w pół i zaczęła łapczywie chwytać powietrze. Po ciosie Fetta jej splot słoneczny był jak płonące ognisko bólu. Mimo to młoda Jedi trzymała klingę miecza przed sobą żeby zniechęcić przeciwnika do zadania następnego ciosu.

- Ty draniu... - stęknęła. Jeszcze nigdy w życiu nikt jej tak nie zaskoczył. Dlaczego nie wyczuła, na co się zanoszi? Z wysiłkiem chwyciła powietrze. O dziwo, nikt z widzów z niej nie zadrwił, chociaż spodziewała się wybuchu pogardliwego śmiechu. - Co to...

- Koniec lekcji - oznajmił łowca nagród i przyjrzał się płytce napierśnika. Jaina miała łzy w oczach, ale zauważyła zwęglony ślad przecinający pancerz od brzucha do brody. Na zielonym lakierze widniała czarna smuga. Wyglądała, jakby ktoś namazał ją od niechcenia czarnym lakierem, spod którego wyglądał tu i ówdzie szary metal. - Boli, prawda?

Jaina uspokoiła oddech z niewielką pomocą Mocy. Pewnie, że boli, ty krety, pomyślała. Robiła wszystko, żeby zachować godność wobec widzów. Wiedziała, że już niedługo wieść o jej wpadce obiegnie całe Keldabe.

- W tym wszystkim... był jakiś cel - powiedziała, zdecydowana nie okazywać, jak bardzo zabolął ją ten cios. Fett cały czas trzymał w prawej dłoni rękojeść świetlnego miecza. Chociaż miał siedemdziesiąt kilka lat, wydawał się silny i zwinny jak za młodu. - Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Rzeczywiście - przyznał, cały czas patrząc na ciemny ślad po klindze świetlnego miecza Jainy na swoim pancerzu. - Czekam, aż odgadniesz jaki.

Jaina doszła do wniosku, że może bezpiecznie wyłączyć klingę. Gdyby ktokolwiek chciał ją zaatakować, do tej pory już podjąłby próbę.

- Twój pancerz jest z *beskara*, prawda? - zapytała.

- Tak, to *beskar 'gam* - odparł stojący za nią Beviin. - To oznacza „żelazna skóra”. Żyjemy w naszych

pancerzach. Gdyby Man- d'alor go nie założył, nie pozwoliłbym mu podejść blisko ciebie.

- Gdybym go nie nosił, nawet bym nie próbował - odparł łowca nagród.

Beviin przyciskał hełm do boku, miło uśmiechnięty. Wyciągnął rękę ze swoim mieczem i podsunął Jainie, żeby mogła mu się lepiej przyjrzeć.

- Jeżeli masz ochotę stoczyć ćwiczebny pojedynek ze mną, mogę ocenić twoją technikę - zaproponował.

- Co za skromność - parsknęła młoda Solo.

- Czy twój brat wie, jak walczysz świetlnym mieczem?

- Wie.

- Chętnie ci pokażę, w jaki sposób wykorzystasz twoją technikę przeciwko tobie - stwierdził Beviin.

Pokora, dziewczyno. Pamiętaj o pokorze, pomyślała Jaina.

- Bardzo chętnie. Dziękuję - powiedziała.

Stodołę wzniesiono z drewna i arkuszy duraplastu. Przez szczeliny między arkuszami wpadały smugi słonecznego blasku. Jaina wyobrażała sobie, że te szczeliny to miejsca dla snajperów, słabe punkty. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak wystawiona na możliwe ciosy, taka bezbronna. A przecież jej władza nad Mocą wystarczała, żeby wydostać się z każdego tarapatów. Potrafiła odbijać na boki błas- terowe strzały. Umiała wydostawać się skokiem poza zasięg broni. Mogła też, posługując się Mocą rzucać dowolnymi przedmiotami.

Ale Fett pozbawił ją psychicznej przewagi.

Pewnie właśnie o to chodziło. To rodzinne brzemie... te wszystkie historie, z którymi dorastała... opowieści o tym, co Fett zrobił jej ojcu i o tym, że się nigdy nie poddawał. Nawet sarlacc nie dał rady go zabić. Ale jak to wszystko miało jej pomóc pokonać brata bliźniaka? Teraz dopiero mogła poświęcić chwilę, żeby przyjrzeć się nielicznej widowni. Zauważyła rosnącego mężczyznę w ciemnoszarym pancerzu i hełmie na głowie. Był tu też młody, brodaty blondyn, który chyba dotrzymywał towarzystwa Mircie, a także starszy człowiek z bujnymi czarnymi warkoczami, spiętymi złotymi klamerkami. Na jego ciemnej skórze widniały wypukłe blizny. Mężczyzna spojrzał na nią i mrugnął porozumiewawczo. Gdyby spotkała go gdzie indziej, natychmiast by go polubiła.

- Czego jeszcze nie rozumiesz, Solo? - zapytał Fett.

- Myślę, że wykorzystał pan swoją opinię - odparła Jaina.

- Wykorzystałem twoje błędy - poprawił ją łowca nagród. - Niewłaściwie odczytałaś mowę mojego ciała. Doszłaś do wniosku, że jesteś bezpieczna.

- Trudno jest wyczuć emanujące od pana zagrożenie - usprawiedliwiła się młoda Jedi. Jakie to sprytnie, pomyślała. Teraz już wiesz, w jaki sposób Fett potrafił zabić tylu Jedi. Odgiętym kciukiem wskazała Beviina. - Więcej wrogości promieniowało od pańskiego przyjaciela - dodała.

- A mimo to nie atakowałaś.

Jaina wskazała ciemną smugę na jego napierśniku.

- Hej, trafiłam pana celnie i czysto - przypomniała.

- Za dużo myślałaś - stwierdził łowca nagród. - Założyłaś, że tylko się szkolisz, że nikt nie chce wyrządzić ci krzywdy, że ten miły *Mando* ci pomaga, że nie stoi w pozycji do ataku... Chcesz wygrać? To zacznij wygrywać! Zaatakuj pierwsza!

- Radzi mi pan, żeby walczyła nieczysto - podsumowała Jaina. - Rozumiem.

- Tłumaczę ci, że tu nie chodzi tylko o technikę walki świetlnym mieczem - powiedział łowca nagród. - Mam ponad dwa razy tyle lat co ty i nie jestem władcą Mocy, a mimo to uśpiłem twoją czujność. Wygrywanie nie

polega na tym, żeby być lepszym. Polega na znajdowaniu i wykorzystywaniu słabości przeciwnika.

- Wiesz, jakie są słabości Jacena? - zapytała Jaina.

- A jakie są twoje?

Jaina w zamyśleniu przygryzła wargę, świadoma spojrzenia Mirty. Wydało jej się nagle, że wnuczka Fetta mogła być groźniejszą przeciwniczką niż jej dziadek. Co by się stało, gdybym po prostu podeszła do Fetta i go zaatakowała bez żadnego wstępu? - zastanowiła się. Gdybym po prostu na niego napadła? Czy ktoś z nich by mnie powstrzymał? Ja...

I nagle przyszło olśnienie.

- Używam odpowiedniej siły. Postępuję zgodnie z regułami walki - powiedziała.

- Bardzo dobrze - pochwalił Fett. Obrócił rękojeść świetlnego miecza w dłoni i wsunął ją do ochronnej pochwy na udzie spodni. - Uczysz się. Następna lekcja... Goran pokaże ci, jak wykonywać klingą odpowiednie ruchy.

- A co ze słabościami Jacena? - zainteresowała się Jaina.

- Są twoimi słabościami - odparł łowca nagród.

- Jest moim bliźniakiem. Znam go.

- A on zna ciebie - przypomniał Fett. - Musisz stać się kimś innym.

Jaina przypięła do pasa rękojeść świetlnego miecza. Zrozumiała

zarówno prostotę, jak i trudności swojego zadania. Rozwiązanie jej problemu było bardzo trudne do osiągnięcia. Nie musiała stać się sprawniejsza, silniejsza, zwinniejsza ani bardziej uzdolniona. Musiała tylko zachowywać się niezgodnie z własnym charakterem, żeby Jacen nie potrafił jej rozgryźć i przewidzieć, co zrobi.

- Gdybym potrafiła stać się zupełnie inna, nie byłabym Jedi, Fett - stwierdziła.

- W tym cały problem - zgodził się łowca nagród, odwrócił się i odszedł.

Podążyła za nim Mirta i obaj mężczyźni bez hełmów na głowach. Beviin został. Rosły drab w ciemnoszarym pancerzu zdjął hełm i obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

- Czy właśnie na tym polega pomysł Fetta z mistycznym oświeceniem? - zapytała Jaina.

Beviin wzruszył ramionami.

- To nie to samo co inżynieria nadprzestrzenna - powiedział.

- Szkoda. - Jaina miała ochotę zetrzeć pogardliwy uśmiech z twarzy osiłka, ale doszła do wniosku, że to byłoby ryzykowne. - Dałabym sobie z tym radę.

Beviin podeszedł do wrót stodoły i kiwnął głową, żeby podążyła za nim. Mężczyzna w szarym pancerzu dotrzymywał mu kroku.

- Możesz uzyskać całkiem nową tożsamość - odezwał się Beviin. - Jaina oszustka, Jaina przebiegła łowczyni nagród. Jesteś na to gotów, *Med'ika*? - zapytał swojego towarzysza.

- Zawsze jestem gotów zapewnić ludziom szansę drugiej kariery - odparł dryblas. O dziwo, wyrażał się jak człowiek z wyższym wykształceniem. Jaina spodziewała się raczej prymitywnego brutala. - Niech jednak ta Jedi spróbuje najpierw naprawić roboty - oracze. A może by odesłać ją z powrotem i zamiast tego poprosić o kogoś z Korpusu Rolniczego?

Beviin parsknął śmiechem.

- Niewdzięcznik - skomentował.

Fett zniknął. Jaina zastanawiała się kiedyś, co też on robi w wolnym czasie, więc gdy Beviin wskazał rudę, w której mieszkał

Mandalor, była autentycznie wstrząśnięta. Przecież władca powinien mieszkać w pałacu! Tymczasem dom na farmie Beviina, otoczony rozmaitymi przybudówkami i czymś na kształt fosy, przypominał bardziej twierdzę niż oazę wiejskiego spokoju. Cóż, nic nie było takie, jak się wydawało.

Stała w brudnym warsztacie z rękami w zatłuszczonych wnętrznościach robota-oracza, wsłuchując się w ryki przelatujących nad jej głową maszyn. Stwierdziła, że to myśliwce, sądząc po opadającym tonie, kiedy maszyny się oddalały. Dokręcając luzy i sprawdzając filtry, zauważyła, że po warsztacie kręci się mała dziewczynka, najwyżej pięcioletnia, i nie spuszcza z niej oka. Mała była ubrana w dziecięcą wersję kombinezonu lotniczego, jakie nosili wszyscy Mandalorianie. Płytki pancerza zwisały luźno, wyraźnie o kilka rozmiarów za duże. Mały blaster u pasa wyglądał jednak na odpowiedni do jej wieku.

W dodatku był prawdziwy.

- Cześć, kotku - zagadnęła Jaina, gotowa do odbicia blasterowego strzału.

- *Su 'cuy, jetii* - odparła dziewczynka.

- Czy to twój blaster?

- Tak, dostałam go od mamy. - Dziewczynka wyjęła broń z kabury ruchem zawodowca, sprawdziła bezpiecznik i odwróciła lufę od Jainy. - Mam pięć i pół roku. Dopiero się szkolę.

- Ja też, kotku. - Jaina, dziwnie wzruszona, przełknęła z wysiłkiem ślinę. - Obie się uczymy.

Mandalorianie byli zupełnie inni, niż się spodziewała. A ona miała się nauczyć, jak sprawić bratu niespodziankę podobną do tej, jakiej ona doznała na Mandalorze.

Dzięki, Fett, pomyślała.

Imperialny patac, miasto Ravelin, Bastion, dwa dni później

- Wprowadź, proszę, tę młodą damę, Vitorze.

Pellaeon pomyślał, że przyjmowanie gości w sali audiencyjnej pałacu zawsze przypominało im, co reprezentują. Sala audiencyjna była imponującym pomieszczeniem, bogato urządzonej. Jej widok sugerował, że Imperium nie musiało zbyt usilnie się starać.

Wprawdzie sam Pellaeon nigdy nie uważał się za imperatora - wolał uniknąć manii wielkości i moralnego zepsucia - ale w końcu był naczelnym wodzem i lubił, żeby goście zdawali sobie z tego sprawę.

- Mam podać kawy czy murrin tisane, panie admirał? - zapytał Vitor.

- Jedno i drugie, bardzo proszę. - Pellaeon zauważył w pokrywie chmur wycinek turkusowego nieba przez zajmujące całą wysokość ściany okna, co zwiastowało koniec burzliwej pogody. Żałował, że nie może być w tej chwili na pokładzie jednego z okrętów floty. - I czuwaj nad przebiegiem spotkania, dobrze?

- Naturalnie.

Pellaeon nie widział powodów, żeby nie wysłuchać, co ma do powiedzenia wysłanniczka Jacena Solo. Wysłuchanie do niczego nie zobowiązywało, po prostu wypełniało luki w informacjach, pozostawione przez informatorów. W trwającej ponad siedemdziesiąt lat karierze stworzył osobistą sieć donosicieli, której mogłyby mu pozazdrościć korpusy wywiadu każdej planety. Nawet rzekomo wszechpotężny Jacen nie mógł zrobić niczego bez pozostawiania śladów. Musiał współpracować z istotami z krwi i kości - żołnierzami, pracownikami służb cywilnych, urzędnikami... a także z droidami. Okręt potrafi zostawiać bardzo szeroki ślad; trzeba tylko wiedzieć, gdzie patrzeć.

Tahiri Veila wpłynęła do sali z wdziękiem i niezwykle punktualnie. Dzięki jasnym włosom i bezpretensjonalnemu obejściu wyglądała na zbyt młodą na wykonawczynię tak trudnego zadania, a pozostawione przez Yuuzhan Vongów znaki na jej czole przywoływały niemiłe wspomnienia.

Jacenie, wysłałeś piękną młodą kobietę, żeby mnie zagadała słodkimi słówkami, ale cały urok pryska przez ten ślad po Von- gach... - pomyślał admirał.

Wstał i gestem zaprosił Tahiri do zajęcia miejsca na krześle. Jej urok naprawdę minął, zanim miała okazję go wykorzystać.

- A więc to twoja pierwsza wizyta na Bastionie? - zapytał Pellaeon, nalewając jej szklankę murrh tisane, które utworzyło na białym marmurowym blacie stołu ametystowy krąg światła. - Jeżeli tak, to nie możesz odlecieć bez zobaczenia Imperialnych Ogrodów.

- Zrobię to, panie admirale - obiecała Tahiri.

- A więc... - Pellaeon usiadł na krześle, starając się wyglądać jak zmęczony życiem starzec, którego łatwo będzie przekonać. -

Żyjemy w trudnych czasach, ale tu, na naszym małym odludziu, udało się nam uniknąć okropieństw wojny, więc zastanawiam się, za jaką cenę powinniśmy znów się w nią wplątać.

- Pańskie imperium jest bardzo małe - zauważyła Tahiri.

- Ale idealnie ukształtowane - stwierdził admirał.

- Oto jak to widzimy w Galaktycznym Sojuszu. - Tahiri pochyliła się do przodu, niczym gorliwa uczennica. - Im dłużej ta wojna trwa, tym gorsze są perspektywy dla nas wszystkich, nie tylko dla biorących bezpośredni udział w walkach. Zależy nam na stabilności, tymczasem mamy nie tylko rozdzźwięk między SGS a Konfederacją ale także neutralne systemy, toczące własne, lokalne wojny. Jeżeli pokonamy najpotężniejszych przeciwników Galaktycznego Sojuszu, cała ta wojna szybciej się zakończy.

- Już to przerabiałem, i to więcej niż raz - zapewnił Pellaeon. - Czy dobrze pamiętam, że szybki, silny cios miał zmusić Korelię do posłuszeństwa?

Tahiri najwyraźniej nie została poinstruowana, że może dyskutować na tematy inne niż propozycja, którą miała mu przedstawić. Zamrugła nerwowo.

- Uda się nam, jeżeli pan zechce dołączyć swoją flotę i swoich żołnierzy do naszych sił zbrojnych - oznajmiła.

- A więc proszę powiedzieć, jaką korzyść odniesiemy z narażania życia obywateli Imperium w tej ryzykownej sprawie... bo to jest ryzyko. - Pellaeon rozumiał, że nie powinien wyglądać na zbyt zainteresowanego. Każde jego słowo miało zostać przekazane - podejrzewał, że także zarejestrowane - a Jacen będzie się doszukiwał głębszych motywów, jeżeli Pellaeon nie zgłosi zastrzeżeń. - Muszę przedstawić sprawę moffom nie tylko jako mgliste plany osiągnięcia pokoju i harmonii w galaktyce. Potrzebny mi permabeton, nie mgła.

- Galaktyczny Sojusz jest gotów zaproponować wam Borleias i Bilbringi - powiedziała Tahiri.

- Pod jakimi warunkami?

- Jeżeli Imperium wyśle okręty i żołnierzy do ataku na Fondora u boku sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu.

- Czyli zapłata za wywiązanie się z umowy - podsumował Pellaeon. - Bardzo rozsądnie. Jaki ma być cel tej operacji?

Tahiri rozejrzała się nerwowo. Widocznie jeszcze nie przywykła do wojskowego żargonu.

- Chcemy sprowadzić planetę z powrotem na łono Galaktycznego Sojuszu - powiedziała.

- Problem w tym, że nie znam szczegółów, moja droga - oznajmił Pellaeon. - Czy Jacen zamierza tylko opanować orbitalne stocznie, czy też chce je zniszczyć? A co z samą planetą? Czy ma zamiar ją prostu zmusić do kapitulacji? Czy woli ją podbić i okupować? Każdy cel wymaga zupełnie innych środków.

Tahiri szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Moim zdaniem o strategii powinien pan porozmawiać ze współpracownikami Galaktycznego Sojuszu - powiedziała. - Przyleciałam tu tylko po to, żeby złożyć wstępną propozycję.

- Słuszna uwaga - przyznał Pellaeon. Jacen był konsekwentny. Rzeczywiście miał listę planet, które zamierzał po kolei zmuszać do posłuszeństwa. - Przedstawię sprawę moffom - obiecał.

- Ale przecież to pan o wszystkim tu decyduje, prawda? - zapytała Tahiri.

- Nikt nie nacieszy się długo nawet największą władzą jeżeli nie będzie mieć poparcia większości podwładnych - powiedział. - Zawsze konsultuję z moffami moje decyzje.

Przemysł to sobie, Jacenie Solo, dodał w duchu. Gdyby ten młody mężczyzna był rozsądny, mógłby skorzystać z rady starego człowieka, który przez ostatnich kilka dekad widział wielu autokratów obalonych przez podwładnych. Tak czy owak, Jacen potrzebował pomocy Imperium. Jeżeli Pellaeon go dobrze zrozumiał - nie, jeżeli Jacen myślał jak Pellaeon - wiedział, że w tej chwili ma za mało sił i środków, żeby szybko zrealizować główne cele Konfederacji, jednak nagły zastrzyk żołnierzy i okrętów mógł przechylić szalę na jego korzyść. Jedna bitwa potrafi zmienić przebieg wojny. Jedynym problemem pozostawało to, że nie można było z góry ustalić która, dopóki od zawieszenia broni nie upłyną całe lata.

Jeżeli rzeczywiście wygrasz, Jacenie... wojna dla Imperium i tak się nie zakończy. Jaki rodzaj galaktycznej władzy chodzi ci po głowie? - rozmyślał admirał.

- Dziękuję za tisane - odezwała się Tahiri. - Mam nadzieję, że pozostaniemy w kontakcie.

Kiedy wyszła, Pellaeon wezwał Reige'a.

- Worze, poproś tu moffów - polecił. - Przekonajmy się, kto się na to połączy i jak szybko.

Reige sięgnął po komputerowy notes i zaczął wpisywać polecenia do systemu komunikatorów gabinetu.

- Większość moffów w tej chwili przebywa na Bastionie, więc będzie miał pan prawie pełną salę przy przedstawianiu tej propozycji. A pan akceptuje, panie admirał?

Pellaeon pokiwał głową.

- Jeżeli ktoś kiedyś skopie tyłek Jacenowi, Galaktyczny Sojusz pewnie się rozpadnie, a my będziemy w pobliżu, żeby pozbierać kawałki - powiedział. - Jeżeli wstrzymamy się z decyzją nic złego nam się nie stanie. Jeżeli jednak go poprzemy, uzyskamy większą władzę nad biegiem wydarzeń, i to bez względu na to, czy na dłuższą metę Jacen zwycięży, czy też nie.

- Myśli pan, że może ponieść klęskę?

- W tej chwili ma na głowie okupowanie albo podbijanie połowy galaktyki, bo chce zebrać z powrotem Galaktyczny Sojusz w całość, a nie może się tym zajmować wiecznie, obojętne jak dobrym jest dowódcą. Jeżeli nie przedstawi przekonującego planu pokojowego, który w jakiś sposób nie połączy sił obronnych w Galaktycznym Sojuszu, ta wojna szybko się nie zakończy. Chyba pamięta pan, że właśnie dlatego się zaczęła.

Pellaeon, czekając, aż moffowie zgromadzą się w sali zebrań, spróbował myśleć jak Jacen. Młody Solo nie był głupcem, ale czy potrafi spojrzeć na galaktykę oczami Fondorian? Czy wie, które bitwy musi wygrać? Pewnie uważa, że władcy planet to po prostu uparci watażkowie, a ich obalenie pozwoli obywatelom tych planet zaakceptować jego punkt widzenia. Nie rozumie, że ludność też nie chce zaakceptować punktu widzenia Galaktycznego Sojuszu.

Jeżeli stwarza się imperium... no cóż, problem polega na tym, żeby pozwolić obywatelom żyć, jak im się podoba. Pellaeon wstał i podszedł do szafy mieszczącej setki komputerowych notesów, archaicznych arkuszy flimsiplastu, a nawet prastare zwoje zwierzęcej skóry - wojskowe dokumenty zebrane przez tysiąclecia na tysiącu planet. Wiedział, że gdyby nawet sięgnął na chybił trafił, natknie się na historię bardzo podobną do tego, co obecnie się dzieje: zagarnięcie władzy, żądę ekspansji i nieuniknioną niezdolność do utrzymania wszystkiego, co się zagarnęło. Jediną zmienną był czas, jaki musiał upłynąć, zanim wszystko się rozpadło. Najdłużej trwały imperia, których władcy rządzą najlżejszą ręką.

- Imperium może być inne - mruknął do siebie. - Pod warunkiem że zastrzelimy wszystkich, którym podoba się ten pomysł.

Z czym teraz zostanie? Pozbył się ambicji, kiedy ukończył dziewięćdziesiąt dwa lata. Po prostu chciał

pozostawić galaktykę uporządkowaną i czystą kiedy na dobre ją opuści. Właśnie na tym polegało sprawowanie władzy, a wojsko było instrumentem, który miał umożliwić osiągnięcie tego celu.

Jak można się było spodziewać, moffowie byli podzieleni. Niektórzy okazywali entuzjazm dla planu Jacena Solo, chociaż nie znali szczegółów, inni - jak Rosset - chcieli wiedzieć coś więcej, zanim podejmą decyzję w tak ważnej sprawie.

- Jestem w tej sprawie z panem, admirale - oznajmił Rosset, siedzący dokładnie naprzeciwko niego, po drugiej stronie wypolerowanego jak lustro stołu. - Wyeliminowanie orbitalnych stoczni z akcji to zupełnie inna sprawa niż podbicie samej planety. Może się okazać, że skończymy, okupując Fondora dla Jacena Solo, dopóki Mustafar nie pokryje się grubą skorupą lodu.

Pellaeon z fascynacją zauważył, jak zgrabnie Jacen usunął w cień panią admirał Niathal. To miała być tylko jego wojna. Pomyślał, że kalamariańska intrygantka będzie z tego zadowolona. Zawsze mogła się włączyć, kiedy Jacen napotka silny opór, a dzięki temu zachowa stosunkowo czyste ręce.

- Jak bardzo nam zależy na tych planetach, Borleias i Bilbringi? - zapytał.

- Opanowanie ich nie będzie nas wiele kosztować - odezwał się Quille. - Po wojnie z Yuuzhan Vongami na Borleias pozostało niewielu mieszkańców, którzy prawdopodobnie będą zadowoleni, że zaopiekuje się nimi ktoś taki jak my. Zdobycie Bilbringi może jednak wymagać wysiłku wojskowego.

- Jak już wspominałem - zaczął Rosset - moglibyśmy opanować oba te systemy, jeżeli na tym nam zależy, i to nie robiąc żadnych ustępstw na rzecz Galaktycznego Sojuszu, bo moim zdaniem Jacen nie jest w stanie nas powstrzymać.

Twarz Quille'a przybrała wyraz niemal religijnego olśnienia.

- Ale Galaktyczny Sojusz nie da rady utrzymać Fondora bez nas, bo to by wymagało użycia armii okupacyjnej, kiedy planeta już się podda. Biedny, stary Sojusz. Brakuje mu funkcjonariuszy. A my proponujemy zaopiekowanie się planetą kiedy Sojusz będzie zajęty zapędzaniem następnych zbłąkanych systemów z powrotem

na swoje łono. Skończy się na tym, że tam zostaniemy. Trwanie na i miejscu to większa część prawa. | Rosset wypuścił powietrze z płuc.

- Moim zdaniem zauważa, że usiłowaliśmy sprzątnąć im Fondora sprzed nosów - powiedział.

- Nie przypuszczam, żeby patrzyli na to od tej strony.

Do rozmowy przyłączył się Pellaeon. Na ogół nie zgadzał się z Quillem nawet w sprawie pory dnia, ale moffowie chyba mieli rację. A jeżeli Jacen miał wcześniej czy później upaść, jeśli odrobinę za bardzo rozproszy swoje siły...

- Jeżeli zdobędziemy zarówno Borleias, jak i Bilbringi, zyskamy miejsce, z którego będziemy mogli pilnować naszej obecności na Kondorze. Potem możemy rozszerzyć sferę naszych wpływów w kierunku Jądra i poza nie.

Pellaeon nie musiał się nad tym zastanawiać. Każdy moff rozumiał taką możliwość.

- A zatem jesteśmy zgodni, panowie? - zapytał. - Przyjmiemy zaproszenie Galaktycznego Sojuszu, pod warunkiem że oni podzielą się z nami swoim planem dotyczącym Fondora, dzięki czemu będziemy mogli określić naszą rolę w całym przedsięwzięciu?

W normalnych okolicznościach powinien obejść stół i zarejestrować głosy popierające plan i przeciwnie, ale moffowie po chwili milczenia wybuchli spontanicznym aplauzem. Pellaeon nie miał pojęcia, czy to wiwaty na jego cześć, czy może radość z powodu perspektywy znalezienia się ponownie w siodle.

- Nie jest pan tym specjalnie zachwycony, panie admirale, prawda? - zapytał potem Reige, przyrządzając wieczorny koktajl admirała: dwie części koreliańskiej brandy i jedna część wody. - Nigdy przedtem nie pochlebiał pan moffom, a Jacen jest dla pana...

Wyklęły? - dokończył w myśli Pellaeon. To prawda, a ja wcale nie pochlebiam moffom.

Stał na balkonie swojej sypialni, spoglądając na park w dole. Ceremonialny oddział kawalerzystów szkolił swoje krasnoplętki, żeby galopowały w równej linii po zboczu wzgórza. Zwierzęta odcinały się od tła wieczornego nieba, które o tej porze roku na Bastionie nigdy nie ciemniało. W ciągu kilku tygodni słońce nie będzie zachodzić do końca, a w nocy będzie panował półmrok. To świetny moment, żeby popijać brandy i napawać się zapachem świeżo skoszonej trawy.

- Staram się jak najlepiej wykorzystać sytuację, którą Jacen Solo z pewnością narzuci galaktyce, i to bez względu na to, czy przyłączymy się do niego, czy też nie. Jeżeli tego nie zrobimy, wszystkie próby odbudowy Imperium po ostatniej wojnie pójdą na marne. Spodziewam się, że Jacen podaży drogą większości despotów i w końcu zostanie obalony, a może nawet go powieszają. Jeżeli do tego dojdzie, będziemy czekali w pogotowiu. Nie mam tyle zaufania do Galaktycznego Sojuszu, aby wierzyć, że potrafi rządzić cokolwiek poza własnym ogródkiem na Coruscant, a co dopiero galaktyką.

Pellaeon obrócił powoli szklaneczkę brandy w palcach i spojrzał na Vitora Reige'a. Czasami Vitor naprawdę wyglądał zupełnie jak nieżyjący syn admirała, Mynar. Dobrze byłoby sprawdzić w końcu, czy Reige jest naprawdę krwią z jego krwi i kością z kości.

Nie wpłynęłoby to w najmniejszym stopniu na szacunek, jakim darzył Vitora Pellaeon. Stary admirał postanowił, że nigdy nie spróbuje tego zbadać. Lepiej było nie wiedzieć niektórych rzeczy.

- Coś jeszcze, panie admirale? - zapytał Reige.

- Nie, dziękuję, Vitorze. - Pellaeon wyciągnął szklanę w jego stronę. - Zechcesz do mnie dołączyć?

- Może później, panie admirale. Mam do ukończenia pewną pracę.

- Cieszę się, że dotrzymasz mi potem towarzystwa.

Pellaeon stał przy oknie, dopóki nie opróżnił szklanki, ale ani

podjęta decyzja, ani brandy nie pomogły mu pozbyć się przekonania, że Jacen Solo jest samolubnym megalomanem i nie jest w stanie dotrzymać żadnej umowy, jeżeli się go do tego nie zmusi. Mimo wszystkich swoich zwycięstw był człowiekiem niezrównoważonym, a Galaktyczny Sojusz nadal tracił sojuszników... stracił nawet Hapes.

I Kashyyka, co było hańbą dla wszystkich noszących mundur.

Nadszedł czas, żeby się zabezpieczyć. Obojętne, co Jacen planował dla Fondora i dla Imperium - a Pellaeon był pewny, że o większej części jego strategii Imperium nic nie wie - Pellaeon potrzebował własnego silnego atutu.

Niejedno musieli także zobaczyć moffowie, pomyślał. Mamy tu przecież własnych Jacenów.

- No cóż, stary przyjacielu - powiedział głośno, podszedł do sięgającego sufitu lustra i przyglądał siwe włosy, sprawdzając, czy kurtka dobrze leży. - Czas na spłatę długu wdzięczności.

Poczuł się nagle głupio. Tahiri nie mogła go przecież widzieć. Pellaeon zamierzał jej wysłać pustą wiadomość, bez jednego słowa. Adresatka ją odbierze i będzie wiedziała, co oznacza, a to było najważniejsze.

A następnie udzieli odpowiedzi.

Pellaeon wyjął kilka małych pudełek z szuflady biurka i postukał palcami w wieczko każdego pudełka. Wsłuchiwał się w ich dźwięk, żeby wybrać takie, które najlepiej naśladowe odgłos bębna.

Puk... puk...puk

Puk, puk... brr-rrr-puk.

To było to. Pellaeon usiadł przy biurku i ustawił komunikator obok pudełka, gotów do wystukania wiadomości. Musiał trochę pocwiczyć sztywne palce, ale nie podda się artretyzmowi w takiej chwili. Jacen Solo nie mógł na to nic poradzić.

- Nie robiłbym tego, gdybym nie musiał, moja droga - mruknął i włączył komunikator.

Puk... puk... puk... puk, puk... brr-rrr-puk.

Nadszedł czas, żeby wezwać wojownika-żeglarza Darakaera z irmeńskiej legendy. Pellaeon podejrzewał, że galaktyka ześlizguje się w stronę najczarniejszego mroku, a Jacen... Jacen przybrał maskę sojusznika, ale admirał wiedział, że w rzeczywistości jest najgorszym wrogiem.

Puk... puk... puk... puk, puk... brr-rrr-puk.

Od dawna nieżyjący Darakaer z pewnością nie udzieli pomocy, której Pellaeon potrzebował, nawet gdyby wstał z grobu i odpowiedział na wezwanie. Admirał znał jednak osobę, która dysponowała odpowiednią siłą ognia i która- bardzo lubiła sagę o irmeńskim bohaterze.

Puk... puk... puk... puk, puk... brr-rrr-puk.

Uderzenia w bębenek poszybowwały w przestworza. Ten powtarzający się rytm nie miał żadnego sensu dla nikogo z wyjątkiem irmeńskiego historyka. Jeżeli ktokolwiek nasłuchiwał w tym bezpiecznym kanale, tym kimś mogła być wojownicza-żeglarz. Admirał miał nadzieję, że nadal jest bardzo żywa.

Puk... puk... puk... puk, puk... brr-rrr-puk.

W końcu Pellaeon wyłączył komunikator i rozsiadł się wygodniej, żeby poczekać na odpowiedź.

ROZDZIAŁ 8

Tra'kad to prymitywna jednostka.

Sądziłem, że zależy wam na najnowszej technice i że właśnie po to sprzymierzycie się z nami.

Jaki cel przyświecał konstruktorom tego statku?

Sas Sikili, negocjator z ramienia rojów Roche'a, w rozmowie

z Jirem Yomagemem, naczelnym dyrektorem firmy MandalMotors, po obejrzeniu holowizerunków *Tra'kada*, prototypu wielozadaniowej jednostki bojowej

Gabinet współprzywódcy Galaktycznego Sojuszu, Coruscant

Caedus przesunął czubkami palców po tabliczce z nazwiskiem na drzwiach i zastanowił się, kiedy każe zmienić jej treść; kiedy zamiast słów „Pułkownik Jacen Solo” pojawi się napis „Darth Caedus”.

Czy w ogóle będzie potrzebował tabliczki na drzwiach albo nawet gabinetu? Zamierzał nadal powierzać rutynowe sprawy administracyjne admirałowi Niathal, chociaż Kalamarianka coraz bardziej go irytowała. Nadeszła pora, żeby zacząć się rozglądać za fachowcem, który przejąłby jej obowiązki, na wypadek gdyby musiał odesłać ją na emeryturę. Caedus miał nadzieję, że Niathal postąpi rozsądnie i wróci na Kalamara albo zaakceptuje przeniesienie jej z powrotem na stanowisko operacyjne, związane z dowodzeniem flotą. Niathal jednak zasmakowała władzy, a mało kto godzi się na przyjmowanie rozkazów, jeżeli przedtem je wydawał.

Istoty z krwi i kości zawsze są niewolnikami ambicji. Caedus cenił ambicję u ucznia albo młodszego oficera, ale im bliżej ambitna osoba znajdowała się jego poziomu władzy, tym bardziej mu przeszkadzała we władaniu pokojową stabilną galaktyką. Nieustanne wypatrywanie uzurpatorów zajmowało czas i zaprzętało jego uwagę. Caedus powoli dochodził do wniosku, że woli usługi droidów; to droid prawnik umożliwił mu niegdyś wykorzystanie przepisów prawa do przejścia władzy i nie spodziewał się w zamian żadnych przywilejów ani wysokiego stanowiska. Po prostu wykonywał swoją pracę. A może Caedus potrzebował droida administratora?

Jeszcze jeden cios, pomyślał. Jeszcze tylko jeden, i kręgosłup ruchu oporu zostanie przetrącony. Niech Fondor stanie się dla wszystkich nauczka.

Miały dołączyć do niego Szczątki Imperium, a to wszystko zmieniało.

Caedus wyczuwał coraz wyraźniej, że oto stoi w punkcie zwrotnym swojej kariery. Galaktyczne sojusze nie zapewniały mu przewagi liczebnej, ale zwerbowanie moffów do jego sprawy było samo w sobie nie lada osiągnięciem. Najbardziej zależało mu na ich wojskowej potędze, ale sfera wpływów - która obejmowała także ośrodki bankowe na Muunilinstie i Mygeeto - była także cenną zdobyczą.

Mam środki, jakich potrzebuję, ale potrafię także pozbawiać tych środków innych... gospodarka to doskonała broń, pomyślał.

- Gdzie się podziewałaś, Tahiri? - zapytał.

Młoda kobieta siedziała na krześle, zwrócona twarzą do jego biurka. Wyglądała jak idealna pani podporucznik; miała gładko upięte włosy.

- Myślałam, że wiesz - powiedziała. - A co, nie mogłeś mnie wykryć?

Caedus włączył holomapę i powiększył system Fondora, po czym zaczął przesuwając ikonki okrętów w różne miejsca.

- Nie mam czasu na obserwowanie wszystkich - powiedział. - A skoro mowa o wykrywaniu... czy jesteś blisko odnalezienia bazy Rady Jedi?

- Niestety, nie... panie pułkowniku - odparła Tahiri.

- Dlaczego?

- Bo trzeba przeszukać wiele miejsc w galaktyce, a stealthX wymaga regularnych przeglądów. Już i tak straciłam jeden dzień.

- Wydaje mi się, że przeglądy idą w dobrym tempie. To nie wyjaśnia braku wyników u kogoś, kto jest Jedi.

- Panie pułkowniku, to niesprawiedliwe. - Tahiri poważnie traktowała swój nowy status wojskowy; od wielu dni nie nazwała go Jacenem. - Jeżeli to takie ważne i pilne, to przecież ma pan o wiele potężniejsze zmysły Mocy niż ja, więc to pan powinien był ich odnaleźć. Nadal uważam, że zaszyli się w jednej z dawnych kryjówek.

Caedus wiedział, że Luke'owi nie brak wyobraźni. Mistrz Jedi mógł oczywiście polecieć na Hoth czy na Endora, żeby się tam ukryć, a także przywołać smutne wspomnienia z lat młodości.

Luke świetnie rozumiał, że przeszukanie Hoth czy innej zapomnianej przez Moc planety wymagałoby od Caedusa poświęcenia sporej części sił i środków. I na pewno nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Caedus uznał go za głupca i zaczął gonić w piętkę, starając się odgadnąć strategię Mistrza Jedi.

Nie dam Luke'owi tej satysfakcji, postanowił Caedus. On jest człowiekiem z przeszłości. Nie zamierzam tańczyć, jak mi zagra.

- To Luke chce, żebyśmy tracili czas na przeszukiwanie jego dawnych kryjówek, a więc tego nie zrobimy - powiedział.

Przesuwał palcem gwiazdne niszczyciele i fregaty wokół sektora Tapani, zastanawiając się, jak najlepiej zmusić Fondora do posłuszeństwa. W pewnym sensie planeta znaczyła więcej niż Korelia, która zawsze była cierniem w boku każdej władzy. Na Korelii mieszkali urodzeni malkontenci, których nie obchodziło, kto stoi u steru rządów ani jakie ma poglądy polityczne - pod warunkiem że mogą się przeciwko tej władzy zbuntować. Najgorszą rzeczą, jaka mogłaby spotkać Korelię, byłoby zmuszenie ich do zaakceptowania na Coruscant takiej władzy, która by im we wszystkim ulegała. To by ich całkiem zdezorientowało. Fondor był jednak zupełnie inny. Był normalną planetą z odpowiedzialnymi i posłusznymi mieszkańcami, więc jej odejście z Galaktycznego Sojuszu byłoby dla innych planet niebezpiecznym sygnałem. Caedus podejrzewał, że ośmieliliby to inne systemy do zerwania więzów z Sojuszem. Wszyscy muszą więc zobaczyć, jak zmusza Fondora do posłuszeństwa. Powinien był to zrobić wiele miesięcy wcześniej, ale jego uwagę zaprzętały inne sprawy.

Od wielu godzin nie pomyślałem o Allanie ani o Tenel Ka, uświadomił sobie. Jeżeli bardzo się postaram, z czasem zupełnie o nich zapomnę.

- Kiedy odzyskamy Fondora, dołączę do ciebie i zapolujemy na Luke'a - postanowił Caedus. Nie zamierzał popełnić tego samego błędu, co w przypadku Korelii, kiedy posłuchał opinii niezdecydowanych urzędników,

którzy nie mieli odwagi walczyć. Tłumaczyłem Calowi Omasowi, że powinniśmy od razu zmiążyć Korelię, żeby zdławić rebelię w zarodku, przypomniał sobie. To jego wina, że mnie powstrzymał. Jego i Niathal. Udowodniłem potem, że miałem rację. Albo się gasi pożar lasu od razu, albo płomień schodzą pod powierzchnię, pozostawiając tylko popiół. Caedus wiedział dużo o pożarach lasów, więc spodobała mu się ta analogia. Prawdziwe pożary lasów na Kashyyyku miały umożliwić wegetację nowej roślinności; podobnie miało się stać ze starym porządkiem i chaotyczną polityką planetarną. - Czy poświęciłaś trochę czasu na integrowanie się z załogą floty? - zapytał znienacka.

- Słucham? - zdziwiła się Tahiri.

- Chodzi o to... czy wsłuchiwałaś się w nastrój panujący na niższych pokładach?

- Eee... owszem, kilka razy zjadłam posiłek w mesie kwatery głównej - odparła Tahiri.

- No i?

Caedus zmusił się na chwilę do zapomnienia o Fondorze. Zamknął oczy i uspokoił umysł, skupiając uwagę na przypadkowo wybranym punkcie w czasie i w przestrzeni, czyli mesie młodszych oficerów Kwatery Głównej Floty. Postępując tak, potrafił wyczuć zbiorowy nastrój personelu; odbierał mieszanekę oczekiwania, strachu, ciekawości, samotności i nawet troski o żołąd oraz awans - jakby to była jedna całość. Mesa jawiła mu się jako biały szum; już po chwili wychwycił z niego poszczególne emocje i rozmowy, które pojawiły się w jego umyśle z niezwykle jasnością.

Nie do wiary.

Mówię ci, to prawda. Zabił ją. Skreślił jej kark.

Jest najlepszym oficerem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Troszczy się o nas.

Mówię ci, że ją zabił. Tebut była w porządku. Jeżeli mógł ją udusić...

Odkąd przejął władzę, zginęło wiele osób. Omas, Gejjen, żona Luke 'a Skywalkera...

Nie bądź głupi. Ona była członkiem rodziny.

Caedus wyrwał się z transu. Jego gabinet wydał mu się nagle martwy, pozbawiony wszelkich barw. Był wściekły. Ja zabiłem Marę? - oburzył się w duchu. Twierdzą, że to zrobiłem? To ona na mnie polowała. Próbowała się mnie pozbyć. Gdybym jej nie zabił, to ja byłbym teraz trupem i miałbym państwowy pogrzeb. Nieważne, czy o takim przeznaczeniu zdecydowała Moc. To Mara zawiniła. Była kiedyś skrytobójczynią. Widać takie było jej przeznaczenie, a jej cele dopiero teraz stają się oczywiste. Caedus czuł, że twarz go pali. Wstrząsnęła nim siła własnej reakcji. Patrzył sobie w oczy każdego ranka przy goleniu i wierzył, że bez względu na to, ile ofiar pochłonęła ta wojna, on robi to, co musi. Poświęcał jednych, żeby ratować życie innym, więc nie zamierzał za nic przeproszać ani pozwalać, żeby go traktowano jak pospolitego przestępcę.

- Panie pułkowniku, dobrze się pan czuje?

Caedus uspokoił się i pogodził z chwilową przykrością. Cóż, jeszcze jeden ból na drodze do opanowania mistrzostwa Sithów. Gdyby nie czuł się zraniony, zawiedziony i zmartwiony, gdyby potrafił zignorować rany... nie mógłby wykorzystywać emocji, którymi musiał się karmić Sith. One były jego siłą. Ból był jego siłą.

Gdyby tylko Ben chciał zrozumieć wartość bólu... Był o wiele bystrzejszy, bardziej roztropniejszy i cenniejszy niż Tahiri, chociaż zbyt sentymentalny. Gdzie znajdę właściwego ucznia? - zastanowił się Caedus. Kiedy znaję wartościowego ucznia?

Ta sprawa musiała jednak poczekać.

- Nie powinienem był się zajmować żołnierskimi drobiazgami, Tahiri - powiedział. - Bądź moimi oczami i uszami. Nie znoszę stosować do tego drzew ch'hala. Jesteś mądrzejsza niż drzewo... prawda?

- Tak, panie pułkowniku - przyznała młoda kobieta, a jej uraza była wyczuwalna niczym kwaśny sok vattle na języku. To dobry znak, lepszy niż desperacja, która motywowała ją do wysiłku tylko wówczas, kiedy chciała jeszcze raz zobaczyć Anakina. Jeżeli miała być kimś więcej niż tylko dziewczyną na posyłki, Caedus musiał znaleźć durastal w jej kręgosłupie, jakąś potężną emocję, dzięki której Tahiri będzie mu się odgryzać, a nawet

rzuci mu wyzwanie. Ten ogień, te emocje musiały pochodzić z głębi jej duszy, nie od niezwywego chłopaka, którego nie mogła wskrzesić.

Niezdrowa była taka obsesja na tle kogoś, kto odszedł na zawsze. Caedus czasami czuł niepokój, kiedy sam musiał cofać się w czasie, ale traktował to jako przynętę, jako sposób ustawiania Tahiri we właściwym miejscu, żeby doceniła rzeczywiste i trwałe rzeczy. To było konieczne chwilowe zło.

- Później zrozumiesz - powiedział. Gestem zachęcił ją, żeby podeszła do stołu z holomapą chociaż mogła wszystko dobrze widzieć, gdyby obróciła się na krześle. - Chcę ci pokazać moją strategię dla Fondora - dodał.

Zaczął przesuwac miniaturowe iskiarki, aż utworzyły nieregularny pierścień wokół Fondora. Światelka wyglądały jak małe gromady gwiazd.

- Twoją strategię... - powtórzyła Tahiri. A więc nie dała się zastraszyć. To dobrze, pomyślał Caedus. Wciąż się uczyła, a teraz była zagniewana. - Nie bierze w tym udziału admirał Niathal?

- A kto ma się zająć sprawami państwowymi podczas mojej, nieobecności? - odparł Caedus. - Musimy unikać sytuacji, kiedy oboje przywódcy Galaktycznego Sojuszu opuszczą Coruscant, a w tym czasie, gdzieś daleko dojdzie do poważnego kryzysu. -

Caedus dobrze wiedział, że często nie tylko oboje opuszczali Coruscant, ale nawet brali udział w tej samej akcji. Na szczęście nic groźnego się nie zdarzyło... niektóre istoty potrafią być naprawdę ustepliwe, pomyślał. - Niathal zna moje plany.

- A ty ufasz jej na tyle, że odwracasz się do niej plecami - stwierdziła młoda Jedi.

- Nigdy się nie odwracam plecami. Do nikogo - odparł Caedus.

Wyraźnie mnie podpuszcza. Albo chce mną wstrząsnąć, albo

jest autentycznie podejrzliwa, pomyślał. Obie te ewentualności są godne prawdziwego Sitha, więc może Tahiri w końcu wychodzi na prostą?

- A więc co mam przed sobą? - zagadnęła Tahiri.

Caedus wyczuł, że korytarzem nadchodzi Niathal. Kalamarianka miała niezwykle wycucie czasu. Musiała widzieć, jak Tahiri przechodzi obok drzwi jej gabinetu.

- Te małe światelka to miny - powiedział Caedus. - Nie zamierzam popełnić tego samego błędu jak podczas blokady Kore- lii. Wtedy cały czas się łudziliśmy, że powalimy planetę na kolana, utrzymując normalną blokadę... taką jak przy pobieraniu opłat celnych czy akcyzy. To jednak jest marnotrawstwo środków, zwłaszcza kiedy mamy do czynienia z pierścieniem stacji orbitalnych, które trzeba odizolować zarówno od samej planety, jak i od otwartych przestworzy. Kiedy rzucę do akcji okręty i myśliwce, będą musiały walczyć, a nie powstrzymywać Konfederatów od deptania naszego trawnika. Zabieram dzisiaj na Fondora pierwszą grupę Czwartej Floty. Stawiacze min już tam poleciały.

- Zaminujesz przestrzeń wokół całej planety? - zainteresowała się Tahiri.

- To jedyne wyjście. Gdybyśmy zaminowali tylko główne wyloty z Rimmańskiego Szlaku Handlowego, statki zaopatrzeniowe mogłyby omijać pola minowe, a miny niszczyłyby tylko te, których kapitanowie nie byli dość ostrożni. Tymczasem ja chcę, aby statki handlowe nie zaopatrywały Fondora, ale nic nie zyskam, jeżeli zrażę do siebie właścicieli tych statków ofiarami pośród cywilów.

Obecność Niathal pojawiła się w Mocy jak wzbierająca na horyzoncie burza, zanim Kalamarianka nadeszła. Caedus i Tahiri jednocześnie się odwrócili.

- Zgadzam się, że to niewłaściwy pomysł. Żadnych ofiar wśród cywilów. - Niathal podeszła do mapy i zaplotła ręce za plecami. W nieskazitelnym białym mundurze ze złotymi plecionkami wyglądała jak wzorzec admirała. Przechyliła głowę, żeby lepiej się przyjrzeć holoschematycznej mapie systemu. Caedus wiedział, że Kalamarianie muszą patrzeć w taki sposób, żeby widzieć ostro z niewielkiej odległości, ale dla istot ludzkich ten gest wyglądał dziwnie. Zupełnie, jakby Niathal uważała Caedusa za upośledzonego umysłowo chłopca, od którego nie doczeka się prawidłowej odpowiedzi. - Marzy ci się nieprzenikliwy pierścień z detonitu, tak,

Jacenie? - zapytała, po czym odwróciła się do Tahiri. - Świetnie ci w tym mundurze, moja droga - stwierdziła. - Witaj we flocie.

Caedus postanowił się wtrącić. Niathal była w jednym ze swoich irytujących nastrojów - najwyraźniej bardzo zadowolona z siebie i zachwycona perspektywą jego nieobecności.

- Pamiętasz, że dzisiaj wieczorem odlatuję na Kondora? - zapytał. - Na pewno będziesz za mną tęsknić.

- Powinnam teraz zażartować, ale nie jestem komediantką - odparła Niathal.

- Pięć stawiaczy min powinno zająć pozycje kilka godzin wcześniej niż pozostała część grupy szturmowej - stwierdził Caedus. Spojrzał na ścienny chronometr. - Kiedy tam się zjawię, cała planeta powinna już być otoczona.

Niathal wsunęła kościsty palec w sieć splątanych, płonących linii z punkcikami różnobarwnego światła.

- Tylko nie zapomnij, żeby postawić najpierw wewnętrzny pierścień min - zadrwiła.

- Przesadziłaś ze skromnością, twierdząc, że nie jesteś komediantką, pani admirał... - odciął się Caedus.

Niathal ewidentnie napawała się tą słowną potyczką.

- Mam nadzieję, że miny nie zostaną aktywowane, dopóki nie ostrzeżony Kondora. Musimy im dać standardową godzinę na ogłoszenie ogólnego alarmu - przypomniała.

- Gdybyśmy nie ostrzegli planety o istnieniu pól minowych, popełnilibyśmy zbrodnię wojenną, pani admirał, bo ruch cywilnych jednostek...

- Właśnie dlatego pytałam - przerwała Niathal. - Ostatnio jesteś strasznie zapominalski. Liczę na to, że decyzję o aktywowaniu min podejmiemy wspólnie.

- Jestem graczem zespołowym - odparł Caedus. - Chyba w to nie wątpisz.

Nie musiał korzystać ze zmysłów Mocy, aby wiedzieć, że Niathal nie będzie za nim tęsknić.

- Postawiłam w stan gotowości jednostki szybkiego reagowania Trzeciej Floty, więc jeśli będziesz potrzebował pomocy, skontaktuj się ze mną - powiedziała Niathal.

- Utrzymam blokadę przez tydzień, a później przejdę do fazy szturm - oznajmił Caedus.

- Nie braliśmy tego pod uwagę - sprzeciwiła się Kalamarianka.

- Bo przyszło mi to do głowy dopiero później...

- Po co stawiać miny, jeżeli nie zamierzasz im dać wystarczająco dużo czasu? Nie możemy marnować okrętów ani żołnierzy. Nie mamy ich zbyt wiele.

- Cały czas uważam, że powinniśmy opanować stocznie jak najszybciej - odparł Caedus. - Możemy je zajmować jedną po drugiej, podczas gdy planeta będzie otoczona blokadą. Kiedy je opanujemy, zamierzam zająć stolicę i główne ośrodki regionalne.

- Już to mówiłeś, ale pamiętaj, że na planecie mieszka pięć miliardów Fondorian, z czego przynajmniej połowa na powierzchni planety, a większość w miastach.

- Mam nadzieję, że nie dojdzie do tego - stwierdził Caedus. - Może poświęcę jedną stocznę, aby wykazać, że nie żartuję, ale Fondor nie pozwoli chyba na to, żebym niszczył jego infrastrukturę przemysłową. To mała, bogata planeta, która szybko zrozumie, co dla niej dobre.

- Korelia ma jeszcze mniejszą liczbę mieszkańców, a wiesz dobrze, jak nam tam poszło. - Niathal spojrzała na wiszący na łańcuszku złoty chronometr, który wyjęła z kieszeni bluzy. - Ojej, już tak późno? Muszę lecieć. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- To okropne - odezwała się Tahiri, kiedy Niathal znalazła się na tyle daleko, że nie mogła jej usłyszeć. - Czy

wy oboje zawsze się tak kłóćcie?

- To pozwala nam zachować czujność - odparł Caedus. Martwiłby się o wiele bardziej, gdyby Niathal była wobec niego uprzejma. Dopóki czuł, że Kalamarianka nim pogardza - a czuł to wyraźnie - i dopóki otwarcie demonstrowała swoją pogardę, mógł wierzyć, że go nie zaatakuje. Niathal była o wiele bardziej przewidywalna, niż się spodziewał.

- Prawdę mówiąc, jest bardzo dobra w tym, co robi - dodał po chwili. - Powinna tylko się pogodzić z tym, że jest niezbyt dobra w tym, co ja robię.

- Wyczuwasz jej nienawiść, prawda? - chciała wiedzieć młoda Jedi. - Ja ją wyczuwam.

- To nie jest nienawiść, Tahiri - sprostował Caedus. - To pogarda z domieszką satysfakcji, że jest lepsza ode mnie. Przynajmniej ona tak to widzi. To raczej niechęć, nie nienawiść. Nienawiść zawsze ma w sobie element grozy i strachu, podobnie jak miłość ma element życzliwości. Czasami trudno jest dostrzec linię graniczną między tymi dwiema emocjami.

Tahiri mogła to przyjąć za prawdę albo doszukiwać się ukrytego znaczenia w jego słowach. Caedus miał nadzieję na to drugie.

- Zawrócę o osiemnastej zero, zero - powiedziała. Nauczyła się wojskowego żargonu; pewnie chciała wyrzucić na nim wrażenie, a przy okazji uzyskać zgodę na jeszcze jedną bezowocną dręczącą wyprawę w przeszłość w celu zobaczenia Anakina. - Panie pułkowniku.

Ruszyła w stronę drzwi jego gabinetu sztywno, jakby kij połknęła. Może ona także wybiera ból, pomyślał Caedus.

- A przy okazji... podczas negocjacji z Pellaeonem spisałaś się na medal - pochwalił ją. - Dobra robota, pani porucznik.

Wyczuł, że w Mocy przemieściło się coś małego, jakby trybik maszyny przeskoczył o jeden ząb, a wraz z tym ruchem subtelnie zmieniła się cała reszta maszynierii. Taka była natura przeznaczenia. Caedus postanowił poszukać w Mocy miejsca, gdzie mógł się znajdować Luke i jego ekipa, ale umysł miał skupiony na konieczności poskromienia Fondora.

To będzie krótkie obłężenie, obiecuję, pomyślał. Decydujące.

Spróbował odnaleźć w Mocy swoją siostrę bliźniaczkę. Ot tak, z ciekawości.

Jaina. Nie do wiary, jak łatwo jest zapominać. Potrafię przeżyć wiele dni, nie pamiętając o twoim istnieniu, Jaino, uświadomił sobie.

Posłużył się Mocą i uwolnił myśli, ale w wielkiej maszynierii zdecydowanie coś się zmieniło. Nie wyczuł JAINY - znajomej mieszanki temperamentu, pasji i chęci panowania nad sytuacją. Może to Ben nauczył Jainę, jak ukrywać swoją obecność w Mocy, podobnie jak kiedyś nauczył tego matkę, żeby mogła skutecznie dopaść Jacena Solo. Caedus zreflektował się nagle; stwierdził, że postrzega Jacena jako zupełnie odrębną osobę. To była nie tylko zmiana; to było rozdzielenie. Jacen nadal istniał na użytek rodziny, która próbowała go zrozumieć, ale to nie on siedział tu, w tym gabinecie.

Nie powinienem uczyć Tahiri ukrywania swojej obecności w Mocy, pomyślał. To tylko wszystko komplikuje.

Jacen Solo. Nie ukrywał się, nie maskował. Zniknął i nigdy nie miał wrócić.

Caedus spędził popołudnie, przesuując okręty w wymyślonych przestworzach Kondora. Odczuwał przyjemność za każdym razem, kiedy jego palec dotykał bursztynowego światelka reprezentującego nowy nabytek - okręt liniowy albo eskadrę gwiazdnych myśliwców Szczętków Imperium. To nie będzie długa, męcząca, poniżająca porażka jak przy próbie zdławienia oporu Korelii. Tym razem miał do dyspozycji sporą część Czwartej Floty i nie znał nikogo, kto chciałby pospieszyć Fondorowi z pomocą. Wszyscy mieli własne problemy i własną wojnę, która zaprzętała ich uwagę.

Tym razem będzie inaczej, bo Jacen Solo już nie istnieje. A więc nikt nie będzie nim manipulował.

A jeżeli nie istnieje Jacen Solo, nie ma także jego siostry bliźniaczki.

Caedus się odprężył.

Hangar Floty Galaktycznego Sojuszu, Galactic City sześć godzin później

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Shevu. - „Anakin Solo” właśnie opuścił orbitę.

Ben obserwował Shevu na monitorze zainstalowanym w kabinie śmigacza CSB. Nie wiedział i nie zamierzał pytać, jakim cudem kapitan wypożyczył policyjny patrolowiec, ale statek był dobrą przykrywką dla kogoś, kto zamierzał czekać przy skrzyżowaniu napowietrznych szlaków, niedaleko obiektu wojskowego, bez wzbudzania zainteresowania.

Patrolowiec był podłączony do sieci holokamer nadzoru napowietrznych szlaków. Ben musiał tylko siedzieć i patrzeć na obrazy, które robot kryminalistyczny przesyłał z kabiny stealthX-a.

- W porządku - powiedział. - Proszę dać mi znać, jeżeli trzeba będzie odwrócić czyjąś uwagę.

Shevu poprawił hełm i ruszył w kierunku otwartych wrót hangaru. Na permabetonową rampę padł snop żółtego światła.

- Gdybyś kiedykolwiek zdecydował się zostać przestępcą, Benie, poradziłbyś sobie doskonale - ocenił. - Jak to dobrze, że Jedi są kryształowo uczciwi.

Ben nauczył się, że nawet dla Shevu istnieją rzeczy, o których nie musi wiedzieć - a w tej chwili on nie musiał wiedzieć, jak bardzo zaangażowana jest w to wszystko CSB. Policjanci zajmowali się własnymi sprawami bez zadawania zbędnych pytań. Uważali, że Shevu był nadał ich funkcjonariuszem, chociaż nosił teraz czarny mundur Straży Galaktycznego Sojuszu.

Pozostał już tylko problem umieszczenia robota kryminalistycznego w kabinie stealthX-a. Robot wyglądał jak piłka rozmiarów termicznego detonatora. W jego środku znajdowały się próbniki, spektrometry, odczynniki, pakiety do przechowywania próbek i kompletny zestaw sensorów do rejestrowania tego, co trzeba na miejscu zbrodni. Automat nadawał się idealnie do przeszukiwania niebezpiecznych lub trudno dostępnych miejsc, do których nie mógłby dotrzeć żywy funkcjonariusz jednostki kryminalistycznej CSB. W dodatku był tak mały, że trudno go było zauważyć.

Był tylko jeden problem: nie wyglądał jak robot do dokonywania okresowych przeglądów, więc ktoś mógłby zwrócić na to uwagę. Zadanie Bena polegało na pilnowaniu, żeby nikt tego nie zrobił.

Shevu w swoim czarnym mundurze wykorzystywał fakt, że w nowym porządku galaktycznym Jacena funkcjonariusze SGS mogli robić, co chcieli. Kiedy oficer wszedł do hangaru, zdalniak monitorujący ruch na zewnątrz stracił go z pola widzenia w panującym półmroku. Na monitorze pojawiła się mgiełka zakłóceń, ale po chwili Ben przełączył obraz na kamerę z hełmu Shevu.

- Zaczynamy - odezwał się kapitan. Jego kamera pokazywała osobisty stealthX Jacena, stojący na lądowisku. Maszyna miała zamkniętą owiewkę kabiny i stała w szeregu innych X-wingów, podłączonych do diagnostycznej sieci za pomocą kabli i przewodów. Remontowe roboty i żywi technicy, którzy od czasu do czasu pojawiali się w obiektywie kamery, wyglądali na zapracowanych.

- Przygotuj robota - polecił Shevu.

- Jak tylko się da - odparł Ben.

Zauważył, że Shevu podszedł do techników. Teraz pewnie pytał, kiedy osobisty stealthX pułkownika Solo doczeka się przeglądu. Technicy uznali, że kapitan domaga się wyższego priorytetu dla maszyny pułkownika.

- W porządku, sprawdzimy ją przed następną serią X-wingów - obiecał jeden z techników z wyraźną irytacją. - Naprawdę pracujemy tak szybko, jak to możliwe.

- W porządku. - Głos Shevu brzmiał teraz zyczliwie, jakby kapitan dał się udobruchać. - Pokręcę się trochę po hangarze, jeżeli nie macie nic przeciwko temu. Sami wiecie, jak dużą wagę pułkownik przywiązuje do skuteczności.

Technicy zamarli, zdecydowanie przerażeni. Pamiętali dobrze, jaki los spotkał biedną Tebut, i nie w głowie im były żarty. Nie mieli pojęcia, czy powinni się roześmiać. Poczucie humoru w siłach zbrojnych czasami

przypominało śmiech przez łzy. Shevu wzruszył ramionami i odszedł.

Wymyślił idealny pretekst, żeby pokręcić się po hangarze. Wyglądało to, jakby dla zabicia czasu zaglądał we wszystkie zakamarki. Po funkcjonariuszu tajnej policji technicy mogli się spodziewać takiego zachowania. Wspiął się po drabince do kabin niektórych X-wingów, sprawdzał połączenia kabli i generalnie zachowywał się jak ktoś, kto chce szybko wywiązać się z obowiązku, bo ma narwanego szefa.

Zastanawiał się, czy pozostałe załogi we flocie nadal uwielbiają Jacena. Jeszcze kilka dni temu- młody Solo był ich bohaterem, jednym z zespołu. Wysyłał zaopatrzeniowców na linię frontu za to, że dostarczali żołnierzom sprzęt kiepskiej jakości albo w ogóle go nie dostarczali. Dowodził z pierwszej linii i nigdy nie prosił podwładnych o zrobienie czegoś, czego sam nie potrafił. Ben wiedział, że w ten sposób tworzą się więzy lojalności, dzięki którym podwładni chętnie poświęcają własne życie dla oficera. To nie żaden polityczny zapal ani żądza chwały. Takie oddanie rodzi się ze wspólnego ryzyka i ze świadomości, że towarzysze broni - bez względu na stopień - mają troszczyć się nawzajem o siebie.

Tyle że Jacen się o niego nie troszczył. Poddał go torturom. Ben nie potrafił sobie wyobrazić, że można tak postąpić wobec kogoś, o kogo powinno się dbać, choćby dla własnego dobra.

Czy naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo on się zmienił, Jaino? - pomyślał Ben.

- Benie, przygotuj się - rozkazał Shevu.

Kamera z jego hełmu pokazywała, że kapitan stoi obok steal- thX-a. To była jedna z trzech maszyn tego typu, jakie pozostały. Inne zabrali Jedi, a zresztą stealthX nie był dobrym myśliwcem dla osób, które nie władają Mocą i musiały korzystać z komunikatorów. Ben widział, że obraz z kamery Shevu lekko się trzęsie, kiedy kapitan wspinał się po drabince do kabiny. Zobaczył błysk unoszonej transpystalowej owiewki, a potem mroczne wnętrze i matowy panel z przyrządami, kiedy Shevu zajrzał do środka.

- Jestem w kabinie... - mruknął oficer do mikrofonu komunikatora. Teraz wygramolił się z kabiny, zszedł po drabince i zaczął pozornie bez celu przechadzać się po hangarze. - Robot bada kabinę - zameldował.

Ben skupił uwagę na obrazie przesyłanym przez obiektyw kamery robota. Kątem oka nadal jednak obserwował obraz z kamery Shevu. Musiał spodziewać się komplikacji, a wtedy powinien posłużyć się Mocą. Widział gładkie, matowe krzywizny instrumentów i obrazy z kamery robota, który przelatywał nad plastoidem i durastalą, wychwytywał różne pozostałości i analizował je, zanim umieścił pobrane próbki w pojemnikach. Ikona na monitorze prezentowała wyniki pracy robota. Automat zebrał już fragmenty komórek nabłonka, smaru maszynowego, mikroskopijne skrawki metalu i pot z dłoni. Znalazł nawet pył o mineralnym profilu Ka- vana, ale przecież Jacen wylądował na tej planecie, żeby szukać Bena, więc to nie był żaden dowód.

Robot pracował metodycznie, badając kabinę i jej ścianki. W pewnej chwili natknął się na włos - krótki i należący do mężczyzny. Ben poczuł zawód, kiedy uświadomił sobie, że w ciągu ostatnich kilku tygodni kabina musiała być kilkakrotnie sprzątna.

Teraz robot zainteresował się pozornie czystym siedzeniem fotela. Z ikon na monitorze wynikało, że natknął się na komórki nabłonka, pył i oleje. Próbniki zapuściły się w głąb szwów, a następnie w szpary między oparciem a siedzeniem.

Ikony na ekranie uległy zmianie. „Cząsteczki: cegła, pochodzenie nieznanne. Glina, krzemiany.

Materiał organiczny: włos kobiecy, długości 29 cm, materiał cebulki obecny, na włosie ślady krwi. DNA zgadza się z DNA włosa.

- Och, nareszcie - szepnął Ben.

- Masz to? - Widok z kamery Shevu dowodził, że kapitan stoi obok drzwi i lekko kręci głową, jakby coś obserwował. - O co chodzi, Benie? - zapytał.

- Włos ze śladami krwi i z cebulką - odparł Ben. - Kobiecy.

- Jeżeli ma cebulkę, prawdopodobnie został wyrwany.

Ben przypomniał sobie matkę, która wrywała sobie włosy i sypała je na jego podstawioną dłoń, kiedy

wpatrywał się oszołomiony w jej ducha na Kavanie.

Zrobiłaś to, mamó, pomyślał.

- Wynosimy się stąd - powiedział. - Mamy dowód.

- Szlag by to... - mruknął Shevu.

Ben przełączył monitor na obraz z kamery kapitana i przekonał się, dlaczego Shevu zaklął. W jego stronę szedł kapitan Girdun. Ręce trzymał w kieszeniach i bezgłośnie gwizdał.

- Niech pan go odciągnie - rzekł Ben. - Ja wycofam robota.

- Zaczekaj - doradził Shevu. - Pozbędę się go.

- Proszę tylko odprowadzić go jak najdalej od myśliwca - powtórzył młody Jedi. - Zajmę się resztą.

- Dobrze. - Shevu zaczął mówić innym tonem, bardziej oficjalnym; widocznie zwracał się do Girduna. - Masz tu obowiązki? - zapytał.

- Nie widuję cię często tu, na dole - odparł Girdun.

- Chcę się tylko upewnić, że zabawka pułkownika Solo będzie gotowa, kiedy on postanowi wcześniej wrócić - oznajmił Shevu. - Nie chcę, żeby wytargał mnie za uszy.

Girdun parsknął. .

- Przecież jesteś jego małym Mistrzem Doskonałości - zadrwił. - Nic ci nie robi. A poza tym, jeszcze długo będzie tkwił w przestworzach Fondora.

Shevu zaczął pomału oddalać się od stealthX-a, a Girdun poszedł za nim niemal odruchowo. Ben obserwował, jak obraz z kamery hełmu Shevu zmienia perspektywę; zamiast usianej cętkami, włóknoplastowej powierzchni kadłuba myśliwca ukazała się panorama hangaru z rzędami X-wingów stojącymi pod obiema ścianami. Zaczekał, aż Shevu minie trzy maszyny, zanim kazał robotowi wylecieć z kabiny.

A może przerwałem badanie zbyt szybko? - zadał sobie pytanie. Może zostały tam jeszcze inne dowody?

Cóż, zdobył już to, co najważniejsze. Robot miał własny napęd, ale mimo to Ben posłużył się Mocą, wyłuskując go z kabiny. Kazał mu opaść nad posadzkę, wylecieć przez wrota i zniknąć w ciemności nocy. Kiedy automat wydostał się poza rampę hangaru, Ben polecił mu unieść się w powietrze i przywołał go do siebie. W pośpiechu

0 mało nie rozbił robota o bok przelatującej ciężarówki repulsoro- wej. Kiedy automat osiadł obok Bena, na siedzeniu fotela patrolowca, chłopiec zacisnął dłonie w pięści i triumfująco wyszeptał:

- Tak, tak, tak!

Teraz musiał już tylko poczekać, aż Shevu pozbędzie się Girduna

I spotka z nim. Przeleciał na następne skrzyżowanie napowietrznych szlaków i pogłaskał robota, niczym posłusznego ulubieńca, który właśnie wykonał sprytną sztuczkę. Po chwili usłyszał głos Shevu:

- Trzymaj się, do zobaczenia rano...

Poczuł ogromną ulgę.

Teraz Shevu skontaktował się z nim i umówił przy następnym szlaku napowietrznym. Kapitan był ubrany w czarny płaszcz bez oznak i stopnia. Wyglądał w nim jak oficer taktyczny systemów uzbrojenia CSB. Przejął stery, wysadził Bena z robotem dwa kwartały od swojego apartamentu i zniknął, żeby wrócić do śmigacza CSB. Ben podziwiał elastyczny system administracyjny CSB. Jak to możliwe, żeby oficer mógł pożyczyć pojazd kumpłowi w celu wykonania bardzo nieregulaminowej operacji, która nie miała nic wspólnego z CSB - przynajmniej oficjalnie?

Ben wrócił do apartamentu, położył robota na stole i usiadł, wpatrując się w niego, jakby w obawie, że ucieknie

mu na wolność. Trochę się spodziewał, że matka ukaże mu się jeszcze raz i pogratuluje mu sukcesu, i był lekko rozczarowany, że do tego nie doszło. A jednak po raz pierwszy, odkąd znalazł jej ciało, miał wrażenie, że matka niezupełnie go opuściła. Znajdowała się po prostu w innym miejscu. W przeciwieństwie do większości istot w galaktyce, wiedział, że to prawda. To nie była tylko nadzieja. Z tą świadomością mógł żyć dalej. Żyć tak, jak sobie obiecał... czyli jak najlepiej.

Tego popołudnia zjedli razem z Shevu kolację w niemal całkowitym milczeniu. Obaj czuli pewne rozczarowanie.

- Zabawię się w adwokata Palpatine'a - odezwał się Shevu, żując powoli. - Ten włos. Najpierw musisz porównać go z włosiem swojej matki...

- Tata zabrał większość jej rzeczy, kiedy się wyprowadził - przypomniał Ben. - Zabrał także jej szczotki. Na pewno pozostało na nich mnóstwo włosów mamy, więc łatwo będzie sprawdzić DNA.

- Chodzi mi o coś innego. Musisz udowodnić, że nie było innego sposobu, aby jej włos znalazł się w kabinie myśliwca Jacena - odparł Shevu.

- Był pewnie na jego ubraniu. - Ben spróbował wyobrazić sobie, w jaki sposób włos matki został wyrwany. Mara krwawiła. .. dobrze to widział, kiedy ją znalazł. - Musieli stoczyć walkę wręcz - powiedział. - To... ponure.

- Nie miała jego skóry pod paznokciami, więc co takiego robili, żeby ją szarpał za włosy? - zapytał Shevu. - A może urządził na nią zasadzkę?

- Nie wiem - przyznał Ben.

- Adwokat by powiedział, że Jacen mógł przypadkiem ściągnąć ten włos z twojego ubrania - stwierdził kapitan.

- Nie dotykałem jej ciała - zapewnił młody Skywalker. - To było miejsce zbrodni. Wiedziałem, że muszę zostawić wszystko tak, jak było.

- Powiedziałyby, że to twoje słowo przeciwko słowu Jacena.

Ben poczuł irracjonalny gniew.

- A ja bym powiedział: spójrzcie na te dowody, które zebrałem. Tylko że... tu chodzi o tatę, prawda? Pyta mnie pan, czy to wystarczy, żeby przekonać jego.

- Gdybym nadal służył w CSB, powiedziałbym, że wystarczy, żeby aresztować Jacena w celu przesłuchania - odparł Shevu. - Co najmniej.

- Ale to pośredni dowód - stwierdził Ben.

- Zabierz robota - polecił Shevu. - Odwiozę cię teraz do miejsca, w którym masz się ukrywać.

Ben już otworzył usta, żeby powiedzieć „Endor”, ale Shevu uniósł rękę na znak, że młody Jedi ma milczeć.

- Nie muszę tego wiedzieć - powiedział. - Rozumiesz?

Ben się zastanowił. Istniało coś takiego jak uzasadnione wątpliwości. Tylko że on był pewny. Nie wiedział tylko, czy tak samo pewny będzie jego ojciec.

Tak naprawdę potrzebował jeszcze jednego, decydującego dowodu, ale nie miał pojęcia, co to może być. Co udowodni ponad wszelką wątpliwość, że to nie Alema Rar zabiła Marę Jade Sky-walkera, ale Jacen Solo?

Ośrodek operacji Kwatery Głównej Floty, Coruscant

Niathal starała się bywać codziennie w Kwaterze Głównej Floty, ale to była jej druga wizyta tego dnia, w dodatku złożona bez zapowiedzi.

Jej pojawienie się wywołało w ośrodku cichą, ledwie zauważalną panikę. Pracownicy porządkowali konsoly i dyskretnie opróżniali filiżanki z resztek kawy, w nadziei, że pani admirał nie zauważy, jak nerwowo doprowadzają stanowiska pracy do porządku, kiedy w końcu oderwie spojrzenie od ekranu. Chyba nie wiedzieli,

jak duży kąt widzenia zapewniają Kalamarianom ich oczy.

To tylko kaf, pomyślała Niathal. Nie zwracajcie sobie tym głowy. Mamy o wiele poważniejsze problemy.

- Pani admirał, co jeszcze mogę dla pani zrobić? - zapytał sullustański dowódca ośrodka operacji, wyraźnie zakłopotany. W końcu miał do czynienia nie tylko z naczelnym dowódcą Floty, ale także współprzywódczynią Galaktycznego Sojuszu. Wyglądał, jakby oczekiwał, że w każdej chwili na jego szyję może spaść topór. Pewnie myślał, że zawiódł podczas niezapowiedzianej inspekcji z powodów, których nigdy nie zdoła pojąć. - Czekam na panią prywatny gabinet.

Niathal mogła równie dobrze obserwować postępy Jacena na wtórniku holomapy ze swojego apartamentu w Senacie, ale nie była zainteresowana ogólnym obrazem. Chciała poznać szczegóły. Chciała wiedzieć, w jaki sposób załogi są przygotowywane i informowane, zanim Jacen dokona skoku do nadprzestrzeni. Chciała także sprawdzić, czy Jacen nie zapomniał jej powiedzieć o jakimś drobiazgu w rodzaju terminu rozpoczęcia szturmów, bo niby umknęło to jego uwagi.

Załogi orbitalnych stoczní powinny bez problemu przeżyć miesiąc albo więcej, zanim zużyją zapasy żywności, jeżeli będą dysponować środkami uzdatniania wody. A potem przeżyją kolejny miesiąc dzięki zmniejszonym do połowy racjom żywnościowym. Na pokładach fondoriańskich stoczní gwiazdnych pracowali głównie ludzie; mogli wytrzymać, dostarczając organizmowi bardzo niewielu kalorii, pod warunkiem że nie ulegną odwodnieniu. Tydzień to było o wiele za mało.

Niathal nie mogła uwierzyć, że Jacen nie wyciągnął wniosków z nauki, jaką dostał podczas próby okupowania Korelii. Do tej pory była pewna, że czegoś go to nauczyło. Jeżeli był chociaż w połowie tak sprytny i przedsiębiorczy, jak Niathal przypuszczała, powinien zgromadzić dość żołnierzy i odpowiednią ilość sprzętu, żeby przejść do fazy szturmów - najpierw orbitalnych stoczní, a później planety - tak szybko, jak to tylko możliwe.

Czyżby naprawdę nie wiedział, że Niathal potajemnie przekazuje informacje Luke'owi? A może chciał ją wypróbować?

Prześń myśleć o tym w taki sposób, bo to cię do niczego nie doprowadzi, skarciła się w duchu. Ty też jesteś dobrym taktikiem.

- Czy ma pani wgląd w plany pułkownika Solo? - zapytał dowódca. Nazywał się Kent; Niathal widziała tylko litery K i E na jego tunice, pozostałe kryły się w tałdach tuniki. - Jeżeli dzieje się coś złego...

- Jeżeli nawet się dzieje, to mój problem, nie pański, dowódco - odparła spokojnie Niathal. Słyszała ciche pobrzękiwanie filiżanek z kafeem i szelest arkuszy flimsiplastu. Kiedy odwróciła głowę, na konsolach panował nieskazitelny porządek. Nie jestem Jacenem, pomyślała. Nie musicie się mnie obawiać. - Zaniedbałam logistykę, a chcę szybko być znów na bieżąco.

- Naturalnie, pani admirał. - Z twarzy Sullustan nie dało się wyczytać tyle co z rysów ludzi, ale Kalamarianka potrafiła rozpoznać niedowierzanie. - Proszę mnie wezwać, jeżeli będzie pani czegoś potrzebować.

Tak, w każdym normalnym rządzie głowa państwa i sekretarz do spraw obrony naradzaliby się z szefami sztabu, jak prowadzić poważny konflikt zbrojny i ile można na to poświęcić sił i środków. Jacen i ona tworzyli duumwirat, łącząc role szefów państwa i sił zbrojnych, a mimo to Jacen skąpił jej informacji. Zachowywali się jak nieznajomi w zatłoczonej kabinie turbowind, udający, że każdy jedzie sam. Póki nie nawiążą kontaktu wzrokowego, utrzymują iluzję anonimowej prywatności. Jacen przekazywał jej wprawdzie szczątkowe informacje na temat strategii, ale zaraz potem zabierał stadko okrętów i odlatywał, by się nimi pobawić. A ona na to pozwalała, bo nie miała pojęcia, jak go powstrzymać pierwszym strzałem.

Miała tylko jedną szansę. Zraniony Jacen mógłby się stać straszliwym przeciwnikiem.

Chcę się przekonać, co zabrałeś na swoją małą wyprawę, pomyślała.

Jacen zawsze miał „Anakina Solo”, a Fondor był stosunkowo małą planetą pyłkiem w porównaniu z Coruscant. Sąsiadująca z Fondorem Nallastia była jeszcze mniejsza i prawdopodobnie nawet nie podejmie próby przyścia mu na ratunek. Niathal przywołała z pamięci holomapę z węzła w gabinecie Jacena i spróbowała ocenić, co jest niewłaściwe w planach podboju Fondora. Bo zdecydowanie coś się jej nie podobało.

Miny - zwłaszcza urządzenia najnowszej typu Merr-Sonn Vi-gilante, które same się rozpraszały - można było

rozstawić szybko i łatwo. Do tego Jacen nie potrzebował wielu okrętów; najwyżej dwóch od strony planety i trzech do utworzenia zewnętrznego kordonu, bo do stworzenia podwójnego pierścienia wokół planety wystarczyłoby niewiele min. Chodziło o to, żeby odpowiednio te miny zaprogramować. Potem się je wyrzucało, a sprytnie małe bestie same dryfowały we właściwe miejsca i tworzyły własną sieć łączności. Odtąd miały czekać w pogotowiu i niszczyć wszystko, co przeleci w pobliżu. Miny mogły potem zostać zdezaktywowane i zebrane razem jak stado posłusznych zwierząt.

Dlaczego nie dało się tego zrobić w przypadku Korelii? - zadała sobie pytanie pani admirał.

Miny były niewybrednymi zabójcami, bo tak je zaprojektowano. Miały wysłać jednoznaczny sygnał, że nikt nie da rady obok nich przelecieć. Cała blokada Korelii była więc tylko psychologiczną pułapką wymyśloną w czasach, kiedy Cal Omas naprawdę uważał, że tę wojnę da się zakończyć rokowaniami, a Jacena można powstrzymać. Obaj sądzili, że wrogowie, przerażeni liczbą ofiar, nabiorą rozumu.

- Stawiacze min od godziny są w nadprzestrzeni - zameldował Kenb. - Proszę im dać godzinę na zajęcie pozycji wokół celu i wycofanie się poza granice fondoriańskich przestworzy.

Niathal musiała zawiadomić Luke'a o wszystkim, co się dzieje. Mistrz Jedi interesował się tylko Jacenem, ale każdy dowódca powinien znać szerszy kontekst.

Podczas krótkiej drogi do kwatery głównej Niathal biła się z myślami. Poinformowanie Luke'a oznaczałoby ostrzeżenie Fondora, a żołnierze na pokładach okrętów biorących udział w akcji Jacena byli jej podwładnymi; byłoby to podpisaniem na nich wyroku śmierci. Jeżeli jednak tego nie zrobi, czy zdobędzie dla Jedi jakieś przydatne informacje? Personel SGS tak czy owak może zostać narażony.

Nie, nie mogła działać na ślepo. Musiała wybrać teraz. Nie czuła się z tym dobrze.

Jeżeli Fondor się nie podda, nawet jeśli stanie oko w oko z perspektywą zamiany paru swoich miast w transpasterowy parking... to jak Jacen zamierza okupować planetę?

Zabrał na tę wyprawę sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Większości z nich będzie potrzebował do opanowania dziesięciu orbitalnych stocznii. Zakładając, że ta część jego operacji zakończy się sukcesem, nadzorowanie procesów przemysłowych, aby niezadowoleni robotnicy nie mogli się dopuszczać sabotażu, będzie wymagało sporego personelu. Jacen miał za małą załogę nawet na krótką metę. Solo miał wprawdzie niezwykle talent bitewny - Luke twierdził, że to umiejętność Sithów - mógł też wiedzieć o czymś, o czym Niathal nie miała pojęcia, ale to jeszcze nie gwarantowało uniknięcia problemów. Nie wiadomo też, czy jego żołnierze będą się starać równie ochoczo jak przed zamordowaniem Tebut. Morale załogi często decydowało o różnicy między natchnioną akcją a klęską.

- Jak wygląda ostatnia estymata sił grupy szturmowej Szczątków? - zapytała Niathal.

- Czekają w pogotowiu w sile dwudziestu gwiazdnych niszczycieli oraz lotniskowców z zaokrętowanym pułkiem myśliwców - odparł Kenb. - Do tego dochodzą krążowniki, jednostki pomocnicze, lądowiki i szybkie patrolowce. Nie znamy dokładnej liczby personelu, ale pierwsza grupa w sile pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy będzie potrzebna do blokady. Mają też niewielkie oddziały specjalne do zajmowania strategicznych celów, jeżeli okaże się to konieczne. Zmierzają dołączyć do pułkownika Solo tuż przed szturmem.

- Muszę porozmawiać z Pellaeonem - mruknęła Niathal. - Przekonam się, czy uważa Jacena za geniusza, czy za szaleńca.

- Chyba zgadnę, co odpowie dżentelmen Gil...

To było wzruszające; większość podwładnych wciąż jeszcze lubiła Pellaeona. Niathal nie znosiła admirała, ale skoro musiała z nim współpracować, postanowiła na krótko go polubić.

- Bardzo dobrze - oznajmiła. - Na dzisiaj koniec. Jeżeli cokolwiek się zmieni, proszę się ze mną skontaktować.

Niathal dobrze wykorzystała krótki przelot z kwatery głównej do Senatu. Jej oficjalny śmigacz miał przyciemniane ekrany i był dźwiękoszczelny, więc stanowił zaciszną przystań na te kilka minut, dzięki czemu mogła oczyścić umysł.

Jacen nie jest głupi, zdecydowała. W każdym razie nie aż tak, żeby próbować zdobyć Fondora z tak małą liczbą

żołnierzy. Mam tylko nadzieję, że Imperialcy dotrzymają słowa, pomyślała. Na pewno uważają, że dostaną Fondora jako premię za swoje kłopoty. .. Mogłabym się o to założyć.

Bardzo ją denerwowało, że Jacen nie informuje jej o operacyjnych rozkazach i że dowodzi w bardzo nietypowy sposób. Chodziło o jego nieuchwytnie przeczucia, intuicję Mocy i pogardę dla konkretnych liczb; tymczasem najczęściej wszystko mu się udawało. Za to Niathal nie cierpiała tego, czego nie mogła zobaczyć ani zmierzyć. Jacen po prostu nie mógł opanować Fondora z tak małą liczbą żołnierzy, chyba że liczył na kapitulację. Niathal wiedziała jednak, że nawet w takim wypadku ludność przechodzi często do ruchu oporu. Były dwie możliwości: albo Moc zapewniła Jacena, że Fondor skapituje po minimalnej wymianie ognia, tak jak było po zatargu na granicach fondoriańskich przestworzy, albo że Jacen przecenia swoje szanse.

Amoze miał w zanadru tajną taktykę Sithów, której nikt jeszcze dotąd nie poznał?

Zmęczona Niathal potarła twarz. Tak czy owak, Luke musi się dowiedzieć, że atak na Fondora wkrótce się rozpocznie. Kierowca śmigacza zostawił ją przed drzwiami klubu, w którym miała spędzić popołudnie, ale zamiast korzystać z krótkiej chwili wytchnienia i podjąć ważną decyzję - co zamówić z karty potraw, omiotła najpierw pokój skanerami wykrywającymi urządzenia podsłuchowe i zredagowała zaszyfrowany arkusz danych dla Luke'a Sky-walkera. Zawarła w nim wszystkie szczegóły, których Mistrz Jedi mógłby potrzebować.

Nie miała pojęcia, ilu Jedi zaszło się na Endorze, ale Jedi mieli swoje sposoby, a ich wpływ był często niewspółmierny do samej ich liczby.

Zrób to także w moim imieniu, Luke, pomyślała. Zadaż mu silny cios.

Kiedy połączyła się z Lukiem, zaczęła szybko:

- Mistrzu Skywalker, Fondor zostanie otoczony pierścieniem min typu Vigilante. Podwójnym. Oceniam, że pięć czy sześć godzin później pojawi się tam flota.

Luke spróbował to sobie wyobrazić.

- Fondor chyba spodziewał się czegoś w tym rodzaju po utarczce z „Anakinem Solo” - powiedział wreszcie.

- Tak, to była prowokacja - przyznała Niathal. - Jest jednak coś jeszcze. O dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt dziewięć pojawi się tam Jacen z częścią Czwartej Floty i ze stu pięćdziesięcioma tysiącami żołnierzy. Twierdzi, że chce odizolować orbitalne stocznie przy wykorzystaniu min i zmusić obrońców do poddania. Może liczyć na poparcie Szczątków Imperium. Wysłałam ci teraz dane... uaktualnię je, kiedy będę mogła.

- Dlaczego uważasz, że Jacen może kłamać?

- Bo to Jacen. Zawsze tak postępuje. Nie wierzę, że jest głupi. Ma za mało żołnierzy, żeby opanować i utrzymać zarówno orbitalne stocznie, jak i planetę, ale jego okręty liniowe dysponują ogromną siłą ognia. Osobiście uważam, że zamierza wywabić fondoriańskie siły zbrojne, a później zbombardować planetę, żeby do akcji mogli wkroczyć Imperialcy. - Pojawiały się w jej głowie coraz to nowe pomysły. - Nie jest jednak niezwykły.

- Czy to będzie pozorowany atak? - zapytał Luke.

- Nie widziałam ruchów innych okrętów ani wojsk, które mogłyby sugerować, że Jacen planuje gdzie indziej operację.

- Więc może mniejszą? - podsunął Mistrz Skywalker.

- Po prostu tego nie wiem. Zmierzam jednak dziś wieczorem poprosić kilku dowódców, żeby wyciągnęli z tego moich podwładnych, jeżeli cała sprawa zacznie śmierzć.

- Dzięki, pani admirał.

- Nie ma za co, Mistrzu Skywalker - odparła Niathal. - Proszę pokrzyżować plany Jacena w moim imieniu.

A może także plany moich podwładnych, pomyślała. Mam nadzieję, że nie. Naprawdę mam taką nadzieję.

Niathal zeszła do jadalni i spróbowała wykrzesać z siebie chociaż odrobinę entuzjazmu dla spisu potraw, ale

straciła cały apetyt. Siedziała, kierując nieobecne spojrzenie na cienki lniany obrus i zastawę z porceplastu z Naboo ze złotą obwódką. Przez jej gardło nie chciał przejść nawet łyk czystej wody.

A była przecież pewna, że pokrzyżowanie planów Jacena Solo jest właściwym posunięciem. Nigdy nie można jednak uniknąć ofiar po swojej stronie. To po prostu część wojny. Jeśli wysyłasz do walki żołnierzy, musisz wiedzieć, że niektórzy nie wrócą.

Kiedy wydawała rozkaz, lubiła patrzeć podwładnym w oczy, ale często nawet nie stała z nimi na tym samym pokładzie.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się mniej godna noszenia munduru.

ROZDZIAŁ 9

Pewnie już pan to kiedyś słyszał, ale... to pułapka.

Luke Skywalker do prezydenta Fondora, ostrzegając go o polu minowym w fondoriańskiej przestrzeni

Bralsin, w pobliżu Keldabe

- Trudno kochać Vongów - powiedziała Jaina. Zeskoczyła z tylnego siedzenia skutera repulsorowego, osłoniła dłonią oczy i rozejrzała się wokół. Położoną kawałek dalej kotlinę pokrywała mozaika pól uprawnych, lasów, starych gospodarstw i kolistych dachów nowo budowanych domów; tu i ówdzie dało się jednak jeszcze dostrzec polacie ugoru - zatrutej przez Yuuzhan Vongów ziemi, gdzie nic nie chciało rosnąć.

- Nawet nie próbuję. - Beviin wypakował z sakw płyty pancerza i ułożył na ziemi obok skutera. - Nienawidzę ich i dobrze mi z tym. Dzięki temu żyję przynajmniej w zgodzie z samym sobą.

- Przywiozłeś mnie tutaj, żeby mi pokazać okolicę? - W oddali Jaina spostrzegła strzelistą wieżę MandalMotors; niebo nad nią przecinał statek o dziwnej, kanciastej sylwetce - podobny do tego, który tak jądziwił, kiedy weszła w mandaloriańską przestrzeń. Po chwili zobaczyła drugi taki sam. Przyglądała im się uważnie - po części na wypadek gdyby pewnego dnia przyszło jej z nimi walczyć, po części dlatego, że była pilotem. Latanie czymś takim musi przypominać latanie blokiem permabetonu, pomyślała.

- Niekoniecznie - odpowiedział na jej pytanie Beviin. - Ale tu będziemy mieli spokój, poza tym to miejsce to kawałek historii.

- No tak - mruknęła. - Chyba przyciągnęłam do was trochę ciekawskich. Powinniście sprzedawać bilety.

- Wielu naszych nigdy wcześniej nie widziało żywego Jedi.

- Nie brzmi to zbyt zachęcająco...

- Wiesz, co mam na myśli.

Beviin poprowadził ją na niewielkie wzgórze, porośnięte u stóp kępami krzewów i zarośli. Atmosfera panująca w tym miejscu przyprawiała ją o gęsią skórę - taką reakcję wywoływały w niej co prawda wszystkie pola walki, jednak tym razem wrażenie było nieporównywalnie silniejsze. Nie był to strach, lecz raczej świadomość, że rozegrały się tu okrutne, a jednak w jakiś sposób chwalebne, a nawet dające dziwną radość czyny. Połączonej, niewysokiej trawy przecinał szpaler drzew. Jaina nie widziała, dokąd prowadzi, ale czuła, że nie zostały tu zasadzone bez powodu.

- Święte miejsce? - spróbowała zgadnąć. Beviin pochylił się i dźgnął kilka razy sztychem *beskada* ziemię, jakby czegoś szukał. - Czuję, że coś tu się wydarzyło - powiedziała. - Jakaś bitwa albo...

- Bitwa z Yuuzhanami - potwierdził Beviin. - Ale nie dostaniesz nagrody za odgadnięcie zagadki. - Odszedł kawałek dalej, nie przestając uważnie się za czymś rozglądać. - O, spójrz tutaj. Cały czas można się jeszcze na nie natknąć. Chodź, zobacz sama.

W trawie bielila się naga kość: czaszka - nie ludzka - po dziwnych wypukłych rantach biegnących od brwi do skroni widać było od razu, że należała do wojownika rasy Yuuzhan Vong, a mimo to wyglądała dziwnie ludzko - na pewno bardziej niż którykolwiek z Yuuzhan za życia. Rytualne blizny i tatuaże, z którymi obnosili się z taką dumą czyniły ich twarze skrajnie obcymi. Beviin kucnął i wyciągnął częściowo zakopany czerep z ziemi. Kiedy wczepił palce w pusty oczodół, ze środka wypelzł, wypłoszony, bładożółty robak i zaczął rozpaczliwie wiercić się w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia.

- Było ich dosłownie tysiące - powiedział cicho Beviin. - To miejsce było trudne do obrony, a jednak pokonaliśmy ich. Walczyłaś z tymi pokrakami, prawda? Wiesz, o czym mówię. - Podniósł czaszkę i zabrał się do wydłubywania oblepiającej prawą stronę kości ziemi, odsłaniając okazałą szczelinę nad łukiem brwiowym. - No proszę, *ner vod*, widzę, że już się spotkaliśmy - mruknął. - Jak tam? Widzę, że gnicie ci służy. - Wyciągnął swój *beskad* i ostrożnie przyłożył ostrze do rozszczepienia kości; pasowało idealnie. Odkąd Jaina udowodniła, że potrafi niezgorzej radzić sobie w warsztacie i poparła tę tezę, pracując, dopóki nie padła na twarz, Beviin stał się najlepszym gospodarzem, jakiego mogła sobie wymarzyć. Teraz trudno jej było dopasować ten wizerunek dobrodusznego pana domu do człowieka, którym się stawał, kiedy dobywał *beskada*.

- A to... - wskazał obsadzoną drzewami alejkę-pomnik Fenna Shysy. Twoja matka go znała, zresztą twój wuj Luke też. Okaż mu szacunek i możemy przejść do naszej lekcji.

Między drzewami, na prostym, surowym postumencie stał zniszczony czerwono-zielony hełm. Nie było żadnych napisów ani ogrodzenia, słowem nic, co wskazywałoby, że leżący tu człowiek był przywódcą wszystkich Mandalorian - ani nawet wzmianki o tym, kogo tu pochowano, jednak teraz, kiedy Jaina nieco już się oswoiła z rygorystycznymi, prawie barbarzyńskimi zwyczajami regulującymi pewne sfery życia Mandalorian, nie dziwiło jej już to tak bardzo. Wiedziała też, że pomimo znacznych sum kredytów zasilających - wydawałoby się - anarchistyczne społeczeństwo (pochodzących głównie z wydobywania *beskara* i sprzedaży *Bes uliike*) na Mandalorze się nie przelewa. Przypomniała sobie małą Briilę, potrafiącą w wieku pięciu lat posługiwać się blasterem i Fetta, mężczyznę w podeszłym przeciwieństwie do wieku, niemal rozkwaszającego jej śledzoną ciemną w trzewia. Uznała, że najlepiej będzie zachować czujność.

Nie miała pojęcia, jak złożyć hołd pustemu hełmowi, więc postąpiła tak, jak zachowałaby się na pogrzebie wojskowym: skłoniła po prostu głowę i trwała tak przez chwilę. W ten właśnie sposób czcili pamięć zmarłych Jedi.

- Shysa poprowadził nas przeciwko Imperium - wyjaśnił Beviin. - Prawda, *Fen 'ikal* Niezłe skopaliśmy im tyłki! - Zarechotał, a potem podszedł do hełmu i czule poklepał poobijany metal. - Był wspaniałym *Mand'alorem*, ale zawsze obstawał przy wersji, że to Fett powinien nami dowodzić. A Fett miał to gdzieś. Mimo to w końcu Shysa dopiął swego. O, a może chciałabyś nagrać holowi-dokówkę dla swojej matki?

- W niektórych kulturach coś takiego jest uznawane za brak szacunku... - zachnęła się Jaina.

- Hm, no tak, ale na pewno nie u nas. Jestem pewien, że Shysa byłby zachwycony, mogąc przesłać księżniczce Leii pozdrowienia z zaświatów - zażartował Goran. - Wiesz, powiem ci w tajemnicy, że mogłabyś być teraz nawet jedną z nas, gdyby tylko twoja mama szepnęła słówko... i gdyby oczywiście nie spotkała tego kosmicznego łazęgi. - Beviin powiedział to z szerokim uśmiechem i - w przeciwieństwie do Fetta - w jego wykonaniu nie zabrzmiało to jak obelga.

- Dlaczego Shysa sądził, że to Fett powinien zostać *Mandalo-rerrf!* - spytała Jaina. - Bo jego ojciec nim był? - Ugryzła się w język, zanim wyrwało jej się, że facet raczej nie sprawia wrażenia zbyt kontaktowej osoby. - Przecież nie liczą się dla was więzy krwi.

- Masz rację, ale Jango był cholernie dobrym wojownikiem, a poza tym sam Jaster Mereel wybrał go na swojego następcę, więc nazwisko Fett cieszy się u nas dużym szacunkiem. A kiedy sprawy przybierają taki kiepski obrót, jak podczas upadku Republiki... cóż, nawet my potrzebujemy symboli. Wiesz, że Shysa skłonił nawet jednego z klonów-dezerterów, żeby udawał syna Jango Fetta - tylko po to, żeby *aruetiise* byli przekonani, że znów jesteśmy silni i trzeba się z nami liczyć? W rzeczywistości nikt nie miał pojęcia, kto kryje się pod hełmem. Sztuczka się sprawdzała... hm, do czasu.

- A potem Fett zburzył całą tę iluzję solidarności narodowej, najmując się jako dyżurny zbir mojego dziadka... - westchnęła Jaina. Wiedziała, że niektóre postęпки jej przodków w niczym nie ustępowały niechlubnym dokonaniom Fetta. - Co się z nim stało? - spytała.

- Ze Shysą? - Beviin puścił do niej oko. - Czy Vaderem?

- Tym dezercerem.

- A, ze Sparem? Hm, cóż, zabiła go córka Fetta. Był dobry jako jego sobowtór... może nawet za dobry, niech spoczywa w *man-dzie*... Ailyn nienawidziła swojego tatulka.

- To straszne - powiedziała ostrożnie Jaina. Czyżby Beviin żartował? Nie, tego była pewna - ale dlaczego ktoś miałby narażać się dla Fetta? - A więc Shysa... - urwała.

- Musisz sama spytać o to Fetta. - Beviin wzruszył ramionami.

- Jasne, wpiszę to na listę moich pytań do niego od razu po tym

0 jego żywą-nieżywą żonę - stwierdziła z przekąsem. Zmusiła się, żeby stłumić w sobie gniew, który ogarnął ją znów na myśl, że Sintas Vel żyła - a Mara nie. - Wujek Luke pewnie powiedziałby mu trochę do słuchu, żeby docenił ten uśmiech losu... i takie tam... - bąknęła.

- Skoro jego wnuczka próbowała go wykończyć, a jego córka nawet zabiła człowieka, który wyglądał jak on, to jak myślisz, co zrobi jego żona, kiedy przypomni sobie, kim jest Boba Fett?

Jaina nie potrafiła nic na to odpowiedzieć, ale pomyślała o Jagu

I własnych rodzicach - i wiedziała z niezachwianą pewnością jedno: że ma o wiele więcej niż Fett. W głębi duszy przypuszczała, że osławiony łowca nagród jest już zbyt stary i przyzwyczajony do samotności, żeby mógł chcieć żyć takim życiem. Mimo to,

0 dziwo, tej myśli nie towarzyszyło nawet odległe echo satysfakcji z faktu, że najstarszy - i najzacieklejszy - wróg jej ojca wiódł tak nieszczęśliwy, jałowy żywot. Czowała tylko współczucie.

- No dobra - westchnęła znowu, chcąc się skupić na czymś innym niż tragiczne historie rodzinne. Miała dość własnych kłopotów - i była pewna, że wkrótce przyjdzie się jej zmierzyć z nowymi. - Może lepiej weźmy się do roboty. Nazwij mnie jeszcze raz twi'lekańską tancerczką, a pokażę ci, czego nas uczą w Akademii... - zagroziła żartem.

Beviin uśmiechnął się szeroko i włożył hełm.

- Gadać po próznicy każdy potrafi, Jedi - rzucił. - Wskakuj lepiej w pancerz.

Zbroi treningowej nie dało się za dobrze spasować, a hełm pełnił tylko funkcję ochronną - nie miał żadnych fikuśnych mandaloriańskich systemów - ale całość zrobiono z *beskara*. Najgorszym, co mogło jej się stać, było kilka stłuczeń. Beviin wziął dwa metalowe miecze i podał jej jeden rękojścią do przodu.

- Durastal - wyjaśnił. - Oboje chcemy przecież patrzeć, jak dorastają nasze wnuki - dodał znacząco. - No, dawaj młoda. Ruchy, ruchy!

- Więc uważasz, że powinnam walczyć z moim bratem normalnym mieczem? - spytała Jaina, waząc broń w dłoni i odwlekając moment starcia.

- Nie - zaprzeczył Beviin. - Uważam, że powinnaś się nauczyć innej techniki walki, bo ta, którą stosujesz, jest przewidywalna.

- Dlatego że wszyscy Jedi uczą się tych samych podstawowych ruchów? - domyśliła się.

Beviin zamarkował kilka ciosów w parodii walki mieczem świetlnym.

- To wszystko długie zamachy, widzisz? Każda część ostrza tnie tak samo, więc nie musisz się zastanawiać nad kątem, a poza tym broń jest lekka, co sprawia, że nie wkładasz w zamach za dużo wysiłku. Większość energii tracisz, skacząc wokół przeciwnika

I próbując się przedrzeć przez jego obronę. Zobaczmy, co się stanie, kiedy przywykniesz do *heskada*. Jestem pewien, że zupełnie zmienisz swój stosunek do tego świecącego kijaszka.

Jaina przyjrzała się podejrzliwie *beskadowi*, który jej wręczył; klinga miała jakieś czterdzieści pięć centymetrów długości, pięć- -sześć centymetrów szerokości, była zaostzona z jednej strony i wygięta w łagodny łuk. Całość

była znacznie cięższa, niż można by przypuszczać po wyglądzie - miecz ważył około dwóch kilogramów. Obciążona skórą rękojeść z prostym jelcem i ciężką głowicą dawała wrażenie dobrze wyważonego młota... czy może raczej jakiegoś narzędzia rolniczego. Trzymając broń w dłoni z łatwością wyobraziła sobie, jak brzeszczot wchodzi w yuuzhańską czaszkę jak w masło.

Kiedy spróbowała zmienić ułożenie ciała, żeby dostosować je do ciężaru *beskada*, pierwsze, co zauważyła, to drastycznie zmniejszony w porównaniu do miecza świetlnego zasięg klingi. Poza tym rękojeść była na tyle krótka, że - w przeciwieństwie do broni Jedi - nie mogła trzymać jej oburącz. Poczuli się dziwnie obnażona i wystawiona na ciosy. Beviin stał naprzeciwko niej, rozluźniony, stukając końcem ostrza w płytę udową pancerza. Gdyby był Jedi, oboje przyjęliby teraz postawę wyjściową i zaczęli ostrożnie obchodzić się nawzajem, czekając na odpowiedni moment i kąt, żeby uderzyć...

Ale Beviin nie był Jedi. Stał tak sobie po prostu, niedbale, dopóki Jaina nie poczuła ukłucia irytacji i nie zaczęła - prawie mimowolnie - podkradać się w jego stronę, nie bardzo wiedząc, co zrobić z lewą ręką - poza wysunięciem jej dla zachowania równowagi. Kiedy machnęła na próbę mieczem - poziomym łukiem celując w jego pierś (poczuła, że końcówka klingi musnęła napierśnik jego zbroi) w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że stoi za daleko. Nawykła do dłuższej klingi, działała automatycznie, a Beviin skrętnie to wykorzystał, wyprowadzając cios blokujący jej ostrze; jego lewa pięść wystrzeliła błyskawicznie w jej mostek, pozbawiając ją równowagi i posyłając kilka chwiejnych kroków w tył. Widząc jej nieuwagę, przyskoczył do niej i powalił na ziemię - rozbroił ją dosłownie w dwie sekundy, nawet nie używając miecza.

- Niezły początek, Solo - powiedział.

Jaina czuła się dziwnie - po raz pierwszy w jej szermierczej karierze ktoś zdołał ją rozbroić w taki sposób - prawie od niechcenia. Beviin wyprostował się i pomógł jej wstać.

- Rany, jak mogłam dać się tak głupio podejść? - wymamrotała, zawstydzona.

- Sęk w tym - wyjaśnił Goran - że nie byłaś przygotowana na to, co zrobiłem - po prostu nie znasz mojej techniki. Zmusiłem cię, żebyś do mnie podeszła - i to cię zgubiło. Następnym razem będziemy walczyć, dopóki któreś z nas nie osiągnie nieosłoniętej zbroją części ciała przeciwnika - zarządził. - Gotowa?

- Gotowa.

Tym razem cofnęła się kilka kroków i zaatakowała, tnąc z góry. Ostrze opadło z impetem, ale zamiast dosięgnąć zbroi Beviina, zatrzymało się na klindze jego miecza - w mgnieniu oka zdołał przerzucić *beskad* do drugiej ręki i zablokował jej cios, a potem zanurkował i naparł na nią z byka, atakując nisko pochyloną głowę i ramieniem. Za każdym razem, kiedy próbowała wstać, ładowała plackiem na ziemi, rozłożona na łopatki, po ledwie kilku sztychach i nieporadnych machnięciach. Skutek był taki, że zaczęła odkrywać coraz to nowe zastosowania dla lewej ręki: pchnięcia i rozpaczliwe próby złapania równowagi po ciężkich uderzeniach miecza przeciwnika, od których jej zęby szczękały w zamraczającym *staccato*. Be- viin nie zadał sobie nawet trudu draśnięcia jej klingą: wystarczyło, że każdy cios przy akompaniamencie głuchoego stęknienia wypychał jej z płuc resztki powietrza. Jedynym, co mogła zrobić, było wykorzystywanie Mocy do wspomaganie skoków i uskakiwanie z drogi temu napierającemu na nią odzianemu w zbroję ludzkiemu taranowi.

Goran był bezlitosny, pewny siebie, a do tego przyzwyczajony stawiać czoło dużo cięższym przeciwnikom. Jaina nie mogła za nic znaleźć sposobu na przeniknięcie za jego osłonę - cały czas blokował ją wolną ręką. Fakt, że jego kończyny chronił pancerz, jeszcze wszystko utrudniał: każda część ciała była jednocześnie tarczą i bronią. Nie mogła sobie pozwolić na fałszywy krok. W końcu jedynym sposobem na przyjęcie dwóch następujących po sobie ciosów i utrzymaniu gardy okazało się odruchowe prawie odepchnięcie przeciwnika Mocą - dzięki temu zrekompensowała sobie mniejszą masę i brak impetu. Kiedy wreszcie udało jej się ściąć Beviina z nóg i przyszpilić Mocą do ziemi, stanęła nad nim, oddychając ciężko.

- Zastanawiałem się właśnie - wydyszał, tak samo zziębnięty jak ona - kiedy to zrobisz...

- Jesteś wyższy... - wysapała. - I cięższy...

- Tak czy siak, oszukiwałaś.

- Czego się nauczyłam? - westchnęła, kiedy złapała trochę tchu. Kucnęła i klapnęła z impetem na ziemię. - Nigdy nie miałam z czymś takim do czynienia. Złamałaś wszystkie zasady walki na bliski dystans! - Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Otóż to - potwierdził Beviin. Leżąc na plecach, podniósł trzymany za rękojeść i koniuszek miecz do światła. - Kiedy odbijałaś ciosy, używałem go jak nadziaka - a ty spodziewałaś się, że będę walczył konwencjonalnie. Poza tym hamuje cię pamięć mięśniowa. Zostałaś wyszkolona tak skutecznie, że twoje ciało reaguje automatycznie, bez konsultacji z mózgiem. Cały czas.

- Ha, żebyś wiedział! - prychnęła. - Mało tego - szkołą nas, żebyśmy nie myśleli, tylko działali, zdając się na intuicję i Moc... - Poczula się nagle zapędzona w nerfi róg. - A niech mnie szlag, czy mi się zdaje, czy uczę cię właśnie, jak załatwić Jedi? Ty cwaniaku!

- To nic nowego. I tak to już umiem - parsknął. - Wierz albo nie, ale Jedi mnie tego nauczyli...

- No tak, super...

- Nie rozpowiadaj tego, ale Fett i ja walczyliśmy u boku Mistrza Jedi wiele razy podczas wojny z Vongami - szepnęła konfidencjonalnie.

- Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, tak? - domyśliła się Jaina.

- Mój wróg jest zawsze moim wrogiem, ale ku obopólnej korzyści możemy czasem na chwilę o tym zapomnieć, żeby stawić czoło wspólnemu zagrożeniu - odparł Goran.

Jaina musiała go o coś zapytać. Nie dawało jej to spokoju. Jej myśli cały czas krążyły wokół tego starszego - bądź co bądź - człowieka, o silnej aurze i nurtującego ją pytania: czy ktokolwiek wiedział, kim on jest naprawdę.

- A czy ja jestem twoim wrogiem, Goranie?

Beviin usiadł i złożył broń na podółku.

- Nie jestem Fettem - powiedział. - A najpierw zapytałbym, dla kogo walczysz. *Mando* nie oceniają nikogo po łańcuchu DNA.

- Fett jest inny niż reszta waszych - zauważyła Jaina. - Widzę to wyraźnie, chociaż jestem u was dopiero od niedawna.

- Nie. - Beviin pokręcił zdecydowanie głową. - On jest Fettem. Odrębnym gatunkiem na własnych prawach. - Wstał, przeciągnął się leniwie i zmienił temat: - No to sprawy przedstawiają się następująco: mamy tu mistrzynię najbardziej wyrafinowanej w galaktyce sztuki walki, której skopał *shebs* niedomyty *Mando*-burak, tak? Dlaczego? Dlatego, że nie miałaś pojęcia, co zrobię. Nigdy do tej pory nie miałaś okazji walczyć na tak krótki dystans - wyskoczyłem ci pod samym nosem, w twoim zasięgu, więc wszystkie te twoje fikuśne parady na nic ci się nie zdały, mam rację? A wiesz, dlaczego tak się stało? Bo nie używam miecza jak miecza - wyjął prosto. - Mimo to jestem pewien, że nim minie tydzień, bez trudu mnie rozłożysz na łopatki, bo jesteś dobra w te klocki. Poza tym jesteś młoda i władasz Mocą.

A Jacen nigdy by się nie spodziewał spadającego na jego głowę *beskada* - dopowiedziała sobie w myśli. Z całej siły próbowała odfiltrować z zamętu emocji, kłębiących się w niej od samego rana, lekcję, którą musi zapamiętać.

- A gdybyśmy się spotkali na polu walki - zagadnęła - zabiłbyś mnie?

- Tak. - Beviin nawet się nie zawahał. - Wybacz. I lepiej dla ciebie, żebyś też mogła mnie załatwić bez zastanowienia.

Jaina zdjęła hełm i otarła twarz rękawem.

- Przyj emniaczek z ciebie - mruknęła. - Ale wiesz, naprawdę musiałabym być przekonana, że chcesz mnie zabić, zanim posunęłabym się tak daleko.

- A więc jak, do jasnej *shab*, chcesz się zmierzyć z własnym bratem? - parsknął kpiąco. - Bo pewnie wiesz, że pojmanie go będzie stokroć trudniejsze niż zabicie mnie. Zawsze tak jest, wierz mi. Istnieje mnóstwo sposobów na zabicie kogoś bez zbliżania się do niego na krok.

Nie musiał jej tego wyjaśniać. Wiedziała, co ma na myśli.

- Hm... - mruknęła. - Cóż, wiem, że mój brat nie potrafi rozgraniczać między ranieniem siebie a swoich bliskich. Wystarczającym na to przykładem jest nasz kuzyn Ben...

- Ale czy potrafiłabyś mu spojrzeć w oczy, a potem z zimną krwią poderżnąć mu gardło? - spytał Beviin. - Bo jeśli chcesz go dorwać, będziesz musiała go zwabić w pułapkę albo zranić tak, żeby móc go zakuć w *beskarowe* kajdanki... - Wstał i szturchnął ją czubkiem buta. - A potem, co zamierzasz z nim zrobić, co? - Znów ją kopnął - lekko, co prawda, ale tym razem w krzyże, tuż pod krawędzią płyty pancerza osłaniającej plecy. - Wsadzisz go na resztę życia do *beskarowej* klatki?

- Nie wiem - burknęła, rozdrażniona jego bezceremonialnym zachowaniem i głupimi pytaniami. Podświadomie zdawała sobie sprawę, że stara się wymusić na niej jakąś reakcję - i zanim się obejrzała, zareagowała odruchowo, tłumiąc gniew. - Przestań!

- Myślisz, że Jacen by przestał?

- Och! - jęknęła. - Dobra już, dobra! Wiem, o co chodzi!

Tym razem kopniak naprawdę porządnie zabolął. W mgnieniu oka zerwała się na równe nogi, gotowa wepchnąć mu *beskad* w sam środek bebechów. Ledwie wstała, zmusiła się, żeby zdławić rozbudzoną na nowo wściekłość.

- Wybacz - mruknęła. - Rzadko kiedy zdarza mi się stracić nad sobą panowanie, a już szczególnie podczas walki.

- Bo wciąż masz w pamięci porzekadło, że gniew prowadzi na Ciemną Stronę? - domyślił się.

- Tak.

- To jakim cudem umiesz walczyć i o tym nie myśleć?

- Właśnie do tego służy nam Moc - wyjaśniła, lekko zbita z tropu. - Prowadzi nas, kiedy się jej poddajemy.

Beviin zakręcił biodrami w parodii ruchów twi'lekańskiej tancerki.

- To gadanie tancerczki, Jedi, wiesz? - wytknął jej.

- Mimo to wciąż daje nam sporą przewagę. - Nie dała się sprowokować.

- No dobra - ustąpił Goran - zróbmy to po mojemu. Wyobraź sobie, co robisz, zanim sięgniesz po miecz - od początku do końca. Działasz i nic cię nie może powstrzymać - aż do rozstrzygnięcia naszej walki. - Zabrał jej miecz, podszedł do skutera i wyciągnął z juków dwa krótkie drewniane kije. - Nie będzie bolało, więc możesz dać upust wyobraźni - dodał znacząco. - Jasne? Puść jej wodze i nie używaj *shabla* Mocy. Masz tylko jeden cel: wykończyć swojego wroga.

- Nienawiść - podchwyciła Jaina, przyjmując pałkę. W porównaniu do ciężkiego *beskada* wydawała się lekka jak piórko.

- Nie - sprostował Beviin. - Nie chodzi o nienawiść, tylko o to, kto wygra: ty czy on. Totalna wojna.

Jaina odebrała to jak ostrzeżenie - przed tym, czego uczono ją unikać od chwili, w której po raz pierwszy w życiu trzymała miecz świetlny. Nie była wtedy pewnie wiele starsza od Briili... Zgadza się: to był tylko jeszcze jeden sposób powiedzenia, że nie można się poddać - nawet kiedy przeciwnik ścinał cię z nóg. Musiała być zdeterminowana. Stała teraz kilka metrów od Beviina, mniej spięta, gotowa spuścić mu porządne lanie. Wiedziała, że może sobie pozwolić na wiele, bo zwykłą pałką nie zdoła mu zrobić zbytnej krzywdy.

Bez zapowiedzi rzuciła się na niego, uderzając z całej siły - bez użycia Mocy. Wykorzystując samą tylko siłę mięśni, zasypała gradem ciosów jego ramiona, przedramiona, a nawet głowę, kiedy się na chwilę odsłonił. Laga stała się nagle w jej rękach dziwnie lekka. Zmuszała go, żeby się cofał; wkładała w zadawanie ciosów tyle wysiłku, że z gardła co chwila wyrzywały się jej chrapliwe stęknięcia, a mimo to miała wrażenie, że jej chaotyczna młócka nie robi na Beviinie żadnego wrażenia. Ani razu jej nie oddał - nie starał się nawet specjalnie bronić. W końcu, zdyszana, zatrzymała się. W skroniach czuła gwałtowne pulsowanie krwi.

- Całkiem niezłe - mruknął Beviin. Czyżby słyszała w jego głosie nutkę aprobaty? - No to zobaczymy, co powiesz na to... - Runął prosto na nią z uniesioną pałką i gardłowym, niskim, niemal zwierzęcym okrzykiem na

ustach. W tej samej chwili Jaina poczuła poprzez Moc, jak kłębiące się w nim emocje nikną bez śladu - dosłownie w mgnieniu oka zastąpione przez jedno pragnienie, płonące jasno w jego umyśle jak wypisane ognistymi literami słowo: koniec. Dopadł do niej i zaczął okładać ją na oślep - działał zupełnie jak maszyna: bezdusznie i systematycznie. Opuszczał pałkę raz za razem, chaotycznie, bez śladu taktyki i bez wytchnienia, dopóki nie padła na ziemię zwinięta w kłębek, instynktownie osłaniając głowę - a i wtedy nie przestał. Przez głowę przemknęła jej przerażająca, absurdałna myśl, że może naprawdę zamierza ją tą pałą załuc na śmierć... Kiedy to się skończy? Czy zamierzał w ogóle przestać? W jego brutalnej agresji nie było cienia nienawiści, tylko mordercze skupienie, jakby cały świat przestał nagle istnieć - poza jego ofiarą. I wtedy w Jainie coś pękło - odepchnęła go Mocą niemal nieświadomie, sparaliżowana ze strachu.

Kiedy w końcu odważyła się otworzyć oczy i spojrzeć w górę, Beviin stał nad nią bez hełmu, z twarzą czerwoną i lśniącą od potu. Poprzez Moc czuła jego zakłopotanie.

- Widzisz? - wysapał, próbując złapać oddech. - Dobrze, że to zrobiłaś. Nie ubywa mi latek. Nigdy bym sobie nie darował, gdyby jakiś Jedi wykończył mnie byle *shabla* różgą.

- Przecież i tak byś już nie żył. - Jaina parsknęła śmiechem, chociaż wcale nie było jej wesoło. To była po prostu nerwowa reakcja; organizm musiał jakoś rozładować napięcie.

- Czy teraz rozumiesz? - spytał ją. - Nie zatrzymałbym się, dopóki bym cię nie zabił albo skutecznie unieszkodliwił. Widzisz teraz różnicę? Zatraciłem się.

- Gdybyś miał miecz... - zawahała się. - Tak, rozumiem już.

- Czy potrafiłabyś wprowadzić swój umysł w stan, w którym nic, ale to nic, nie zdoła cię powstrzymać? Nawet jeśli twój przeciwnik błaga cię z płaczem o litość, a przed oczami masz tylko krwawą miazgę i wiesz, że ten widok będzie prześladował cię w koszmarach do końca życia?

Cisza, która zapadła po jego pytaniu była lekcją - i Jaina skrzętnie ją przyswoiła. Beviin wyglądał teraz na lekko zdezorientowanego.

- Jedzenie - mruknął w końcu, zbierając broń, pomagając jej wstać i zdjąć elementy pancerza. - Medrit nienawidzi, kiedy dzieciaki muszą przeze mnie czekać na lunch.

Jaina wskoczyła na siodło za jego plecami, nie do końca pewna, co o tym wszystkim myśleć. Kiedy przeszliżgawali się ponad płotami i ogrodzeniami, jej nozdrza wypełniały rozmaite zapachy: świeżego drewna, nawozu, dymu; na każdym polu, które przecinali, pasące się nerfy ponosiły łby i łpy, na nich podejrziwie.

- Możemy o tym porozmawiać? O naszej walce? - Jaina gryzła się ze sobą jakiś czas, ale w końcu uznała, że musi wiedzieć.

- Napędziłem ci stracha, co? - rzucił Beviin przez ramię. - Sobie też, nie martw się. Zawsze tak jest.

- Na te parę minut dosłownie jakby odjęło ci rozum - powiedziała. - A potem znów byłeś sobą... Potrafisz to kontrolować?

- To styl walki. - Beviin wzruszył lekko ramionami. - Uczymy się tego od małego.

Cóż, nieco niezwykła technika medytacji, pomyślała Jaina z przekąsem.

- Przegrywa ten, kto pierwszy umrze, co? - zażartowała ponuro.

- Mniej więcej - odparł Goran. - W takim stanie nie myśli się o niczym poza zakończeniem walki. Nie myśli się nawet o tym, że twoim przeciwnikiem jest żywa istota. Zero litości, tylko świadomość, że trzeba się pozbyć tego, kto stoi naprzeciwko ciebie, zatrzymać go, pokonać - zrobić wszystko, żeby dopiąć swego... albo zginąć.

- Nieźle - westchnęła cicho Jaina. Naprawdę była pod wrażeniem.

- Kiedyś jakiś przemądrzały doktorek stwierdził, że umiemy się przestawiać na tryb psychopatii. - Beviin przechylił skuter na bok tak gwałtownie, że Jaina musiała kurczowo przytrzymać się rękami i kolanami, żeby nie spaść. - W gruncie rzeczy to charakterystyczne dla wszystkich Mandalorian - u części dziedziczne, część uczy się tego. Może czasem nawet nieświadomie adoptujemy dzieci, które wykazują takie skłonności? Nie wiem. Tak czy inaczej, jesteśmy społecznością wojowników od tyłu stuleci, że trudno stwierdzić na pewno, skąd to się

berze. - Zaczął gwizdać pod nosem jakąś skoczną piosenkę, której melodii Jaina nie mogła do końca złapać, bo co chwila przestawał, żeby zaczerpnąć tchu, a potem zaczynał od nowa. Znała wiele kultur, w których wojownicy wprowadzali się przed bitwą w stan agresji bojowej różnymi ziołami i innymi specyfikami, ale mandaloriański berserkerski szal był techniką, o której nigdy nie słyszała. Wyglądało na to, że Man- dalorianie wpadali w psychopatyczny amok poprzez wizualizację.

Czy tak właśnie powinnam się zachować? - zachodziła w głowę.

Ale przecież... to była manifestacja Ciemnej Strony, bez dwóch zdań. Beviin potrafił się przestawiać na taki tryb, kiedy chciał, a potem wracał do normalności i z powrotem wcielał się w rolę dobrodusznego sąsiada czy wujaszka. Jaina zastanawiała się, czy właśnie od tego zaczęła się powolna, nieuchronna wędrówka Jacena na Ciemną Stronę - szybką rozpaczliwą potrzebą wygrania, przetrwania, po której wessał go jej zdradliwy wir.

Wszystko brzmiało tak logicznie... Nie potrafiła go za to znienawidzić, ale wiedziała, że podobny scenariusz jest bardzo prawdopodobny.

Jacen nie potrafił tego powstrzymać, nie umiał się oprzeć zewowi mroku, ale Beviin po prostu wrócił do swojego starego „ja” jakby nigdy nic. A gdyby potrafił ją tego nauczyć... Musiała mieć pewność, że ona także zdoła się cofnąć.

Mimo wszystko Goran był tylko zwykłym człowiekiem, niewrażliwym na Moc i nie mogącym korzystać z jej potencjału - podczas bitwy wykorzystywał własne ręce i każdą broń, jakiej mógł użyć.

- A jednak przerwałeś walkę - zauważyła po chwili milczenia.
- Gdybym mógł używać Mocy, ani przez chwilę bym się nie zawałał.

Jainę przeszedł zimny dreszcz. Jeszcze tylko tego brakowało - żeby *Mando* okazali się telepatami, pomyślała ze zgrozą.

- Nawet nie masz pojęcia - powiedziała - ile się od ciebie uczę.

Kiedy wrócili, Medrit stał przy stole z rękami skrzyżowanymi na

piersi, a Dinua, Jintar i dzieci rozprawiali o czymś z ożywieniem po mandaloriańsku - w *Mando 'a*. Na widok Jainya dzieciaki natychmiast przestały interesować się rozmową.

- O rany, masz rozkwaszony nos! - westchnął z zachwytem Shalk. - O ja cię!
- Hełm jest trochę za luźny - wyjaśnił Beviin, myjąc ręce w du- raplastowej misce na blacie. - A ja jutro będę cały w siniakach. Fett może jąsobie zabrać z powrotem, zanim zafunduje mi jakieś trwałe kalectwo - dodał kąśliwie.

Medrit z głośnym trzaskiem wyłamał za stawu nerfą giez.

- Widzę, że pokazałeś jej swoją technikę „żadnych jeńców” - mruknął.
- *Nasaad murci 't!* - wykrzyknął radośnie Shalk. - Żadnych jeńców!
- Jedi walczyła z umiarkowaną mocą- wyjaśnił Beviin. - Przez małe „m”. Wygląda na to, że naszym szarlatanom niezbyt dobrze wychodzi machanie *beskadem*.

Dinua roześmiała się beztrąsko. Jaina nie miała do niej żalu. W wieku czternastu lat Mandalorianka musiała stawić czoło Yuuzhanom.

- Z przyzwyczajeniem się do Jedi, *Buir*, jest ten sam problem, co z udomawianiem nerfów czy nun - powiedziała Dinua. - Kiedy przychodzi co do czego i masz je zaszlachtować, dopadają cię wyrzuty sumienia.

Wszyscy parsknęli śmiechem; Jaina także, choć musiała przyznać, że uwaga Dinui odrobinę ją zabolala - ale cóż, Mandaloria- nie mieli specyficzne poczucie humoru. To nie było nic osobistego, a już na pewno nie bardziej gorszącego niż głupawe żarty jej ojca na temat śmierci Jango Fetta. Zabrali się do jedzenia, zupełnie nieskrępowani jej obecnością.

- A jeśli kiedyś trafi się wam Mandalorianin używający Mocy - spytała ostrożnie - jak go potraktujecie?
- Przydadzą się do otwierania mocno zakręconych słoików - parsknął Medrit - albo wpływania Mocą na poprawę plonów.

Wyglądało na to, że nikt nie ma pojęcia, do czego Jaina pije, jednak ona nie zamierzała popuścić; ciekawość zżerała ją w tempie większym od prędkości, z jaką pochłaniała kawałki nerfa i warzyw.

- A kim są Venku i Gotab? - zapytała pozornie obojętnie między jednym kęsem a drugim. -I czemu Venku ma taką dziwną zbroję?

- A, Venku. - Beviin odłożył widelec, jakby dopiero teraz do niego dotarło, o kogo pyta. - *Kad'ika*. Chyba najbardziej zaangażowana w polityczną agitację osoba na całej Mandalorze. W kółko gędzi o jednym: „Niech galaktyka znajdzie sobie innych frajerów, którzy będą za nią umierali. My powinniśmy siedzieć na dupie, troszczyć się o własne interesy, dbać, żeby mandaloriański sektor rósł w siłę”.

- A zbroja? - dopytywała Jaina.

- Tradycja - wyjaśnił krótko Beviin. - W wersji ekstremalnej. Mandalorianie często po śmierci bliskich przywdziewają części ich pancerzy, zresztą zdarza się też, że robią to i za ich życia. Gość nosi na sobie całą swoją rodzinę.

- Moim zdaniem ma nierówno pod sufitem - mruknął pod nosem Jintar.

- Wcale nie. Facet ma rację - poprawił go Beviin.

- Taa, ma rację, dopóki nie wyeksploatujemy nowego złoża *beskara*.

- Fett go słucha, *Jin 'ika* - przypomniał mu Goran.

Podczas posiłków wszystkie rodziny były takie same, pomyślała Jaina. Jej myśli były teraz skupione wokół nowej, intrygującej taktyki walki, polityki, dylematu, czy bardzo niegrzecznie będzie dołożyć sobie jeszcze kawałek nerfa, a także próbie powstrzymania łez, bo przypomniała sobie ciocię Marę.

- A Gotab? - spytała, przelatykając kolejny kęs.

- To jeden z odludków z Kyrimorut, tak samo jak Venku. - Beviin przewrócił oczami. - Nawet nie pytaj, co w ogóle tutaj robią. Trzymają się na uboczu. Przychodzą i odchodzą, ale zawsze zjawiają się na sygnał, kiedy trzeba stanąć do walki - i to bez słowa protestu. Mamy tutaj całkiem sporo krewniaków Fetta, bo w czasie wojny na Mandalorze znalazło schronienie wielu dezertorów. Przypuszczam, że właśnie tak trafił tutaj ojciec Venku. Fett twierdzi, że facet jest Kiffarem, bo czyta z ognistego serca. Kiffar... Sintas też jest Kiffarką.

Gdyby tylko wiedział... - przeszło Jainie przez myśl.

- Czy Jedi potrafią uzdrawiać? - spytała Dinua.

Jaina wzruszyła ramionami.

- Umiemy przyspieszać leczenie własnych ran, ale niektórzy Jedi są świetni w uzdrawianiu innych.

- Tak bardzo byś się nam przydała...

Jaina musiała zebrać myśli, zanim dotarło do niej, o co w rzeczywistości chodzi Dinui. Mandalorianie nie tylko adoptowali dzieci - chcieli gromadzić jak najwięcej: umiejętności, jakość, technologię — wszystko, na czym mogli skorzystać, a do przejścia czego nie potrzebowali siły. I łatwo było im na to pozwolić. Może właśnie dlatego Gotab zaszył się na odludziu?

- Hm... - podjęła, powoli układając kawałki układanki na miejscach. - A co się stało z Jedi, który walczył z wami podczas wojny z Vongami?

- Ach, masz na myśli Kubarieta - domyślił się Medrit. W jego oczach na chwilę zagościł smutek. - Nie żyje. Ciekaw jestem, ilu ludzi właściwie wie, że walczyliśmy po cichu za Nową Republikę...

- Ja wiem - powiedziała cicho Jaina. - I naprawdę mi przykro, że po wojnie nie otrzymaliście żadnej pomocy ze strony Coruscant.

- A mnie nie. Dzięki temu *naas* nic wam nie jesteśmy winni.

A więc Gotab nie był Kubarietem, westchnęła w duchu. W jego aurze w Mocy było coś, co nie dawało jej spokoju. Nie żał czy podejrzliwość, co zresztą byłoby dziwne u Jedi, ale coś nieuchwytnego, czego nie umiała nazwać...

Zupełnie jakby słyszała kilka dźwięków, które powinny jej wystarczyć do odtworzenia całej piosenki, a jednak melodia wciąż uparcie wymykała się jej z pamięci.

Uzdrowianie, olśniło ją w końcu.

Gotab umiał uzdrawiać!

Tak, to było to - nie miała wątpliwości. Czula przepelniające Moc to samo wrażenie cichego zmęczenia ciągłym stawianiem czoła chorobie, które wyczuwała w obecności innych uzdrowicieli.

Ta świadomość nie zaspokoila jej ciekawości - wręcz przeciwnie, jeszcze ją spotęgowała. Jaina szybko przywołała się jednak do porządku: nie przyleciała na Mandalorę, żeby bawić się w detektywa. Miała nauczyć się, jak schwytać swojego brata i zatrzymać jego autodestrukcyjną, zagrażającą całej galaktyce wędrowną w mrok.

Wbiła widelec w ostatni kawałek nerfa na półmisku, chociaż w domu nigdy nie pozwoliłaby sobie na coś takiego.

Bądź inną Jainą, nakazała sobie w myśli.

Potrafiła to.

Imperialny gwiazdny niszczyciel „Krasnopletwin”, imperialne stocznie, Ravelin

- A więc, panie admirale - odezwał się pierwszy oficer - rozumiem, że jest pan zadowolony? Pellaeon robił właśnie obchód mostka nowego niszczyciela - ucieleśnienia najwyższych standardów, zaklętego w formie pachnącej świeżą farbą perfekcji.

- Jest wspaniały - powiedział. - Wciąż, że się tak wyrażę, mam obawy przed nakrywaniem do stołu najwykwintniejszą zastawą, kiedy na obiad są proszeni tak nieokrzesani goście, ale cóż poradzić. - Podeszedł do holomapy. Projekcja była na tyle duża, że mógł swobodnie stanąć wewnątrz trójwymiarowego odwzorowania przestrzeni. Miał co prawda nieco wątpliwości związanych z tym udogodnieniem, bo nie był pewien, czy dzięki mapie będzie miał najlepszy widok na sytuację na polu walki, ale w razie czego zawsze mógł skorzystać z monitorów repetycyjnych na mostku. Taka skala zdecydowanie bardziej mu odpowiadała. - Może przetestujemy system łączności? - zaproponował. - Proszę mnie połączyć z admirał Niathal.

- Już się robi, sir - potwierdził karnie oficer.

Cha Niathal powinna była się z Pellaeonem już do tej pory skontaktować - chociażby po to, żeby dać upust frustracji. Według jego źródeł - przyjaciół i kolegów z branży, (którzy po prostu byli z nim w kontakcie, nie miało to nic wspólnego ze szpiegowaniem) - konflikt między Niathal a Solo zapowiadał się dużo poważniej niż sytuacja na linii frontu. Domyślał się, że Kalamarianka będzie szukała sprzymierzeńców.

Cóż, na tak wygodnym stołku było miejsce tylko dla jednej osoby. Czego się spodziewali, dzieląc posadę?

Jeśli Niathal zachowała resztki zdrowego rozsądku, będzie dążyła do triumwiratu, uznał Pellaeon. Co prawda jego zdrowego rozsądku nikt nie poddawał w wątpliwość, jednak nie był do końca przekonany, czy chce dołączyć do gry.

- Gil - rozległ się za jego plecami głos Niathal.

Admirał odwrócił się i uśmiechnął ciepło do holoe ekranu. Niathal sprawiała wrażenie wyczerpanej. U Kalamarian zmęczenie widać było po oczach, a u niej były one matowe i dziwnie puste.

- Jak się miewasz, Cha? - przywitał ją. - Czy ten twój chłoptaş przekazał już całą władzę w twoje pletwy?
- Wszystkim nam tu brakuje twojego poczucia humoru, Gil - westchnęła Niathal. - A więc to jest „Krasnopłétwin”...
- Właśnie tak - potwierdził z dumą. - Cacko typu Turbulent, mniejszy i bardziej sterowny niż jego koledzy. Co powiesz na małą holograficzną wycieczkę po wnętrzu?
- Cieszę się, że się odezwałeś - zignorowała zaproszenie.

Z miłą chęcią obejrzę „Krasnopłétwina”, ale najpierw chciałabym z tobą omówić parę... prywatnych kwestii.

Pellaeon dał pierwszemu oficerowi znak, że będzie kontynuował rozmowę w swojej kabinie dziennej. Jak tylko znalazł się u siebie, przekierował połączenie.

- Zamieniam się w słuch, Cha.
- Możesz śmiało powiedzieć: „A nie mówiłem?” - westchnęła kalamariańska admirał.
- Ach, a więc chodzi o Jacena? - domyślił się. - Świetnie się składa. Fakt, uprzedzałem cię, ale mniejsza z tym. Za parę dni będziemy wysyłać statki i żołnierzy na Fondora. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to jest dobry moment.
- Solo zamierza zaminować przestrzeń wokół Fondora i za kilka godzin odciąć stocznie - obwieściła ponuro. - Planuje uderzyć w ciągu tygodnia. Czy omówił z tobą szczegółowy plan?
- Powiedział mi tyle, że wszystko jest zaplanowane na dwudziestą trzecią pięćdziesiąt dziewięć czasu coruskańskiego, czyli... sprawdzmy - za trzy standardowe godziny. Zamierza odizolować planetę, zabezpieczyć stocznie i rozpocząć rajd na sam Fondor.
- Raid?
- Liczy na kapitulację - wyjaśnił Pellaeon.
- A ty?
- Nie. Sądzę, że będzie musiał go najpierw zająć, poczynawszy od zdobycia stolicy.
- Według moich szacunków ma dość żołnierzy, żeby zająć stocznie orbitalne - to wszystko - powiedziała Niathal. - Dlatego chciałabym, żebyś był ze mną szczery, Gil, bo mam obawy, że mój kolega może potraktować bezpieczeństwo załóg mojej floty niefrasobliwie. Czy Jacen zaproponował Imperium Fondor? Przymierzacie się do okupacji?

Pellaeon nie mógł odpowiedzieć na to pytanie „tak” lub „nie”, zresztą odpowiedź w stylu: „Myślałem o tym i możliwe, że będziemy zmuszeni...” także nie wchodziła w rachubę.

- Nic takiego nam nie proponował - powiedział zamiast tego - ani nie sugerował. Może po prostu chce, żebyśmy zinterpretowali jego milczenie jako sugestię, że to rozważa, żeby zagwarantować sobie nasz udział? Tak czy inaczej, jeśli ma jakiś skomplikowany plan rozmieszczenia wojska, którego mi nie zdradził, to po wysłaniu żołnierzy do stoczni jedynymi siłami, które będzie mógł rzucić do okupacji Fondora, będą moi ludzie. A wtedy... sam sobie zrobi krzywdę.
- Jesteś ze mną bardzo szczery.
- Jestem za stary, żeby pożądać chwały - westchnął Pellaeon. - W moim wieku należy raczej martwić się o to, co będą o mnie mówili po śmierci. Chciałbym być wspomniany jako admirał, który zostawił galaktykę nieco spokojniejszą i bardziej uporządkowaną niż ją zastał.
- Spotkanie? - zaproponowała Niathal.
- A czy twój koleżka na nie wpadnie?

Kalamarianka przez chwilę wbijała wzrok w podłogę.

- Wiedziałaś, że jest Sithem? - spytała cicho.

- Osoby władające Mocą robią różne dziwne, niezrozumiałe dla nas, zwykłych śmiertelników, rzeczy - skwitował obojętnie.

- Mam wrażenie, że tym razem może się przeliczyć... Ale równie dobrze mogę nie mieć pojęcia o jakimś tajnym planie, który zamierza wcielić w życie i wszystkich nas zaskoczyć.

- Chcesz mnie o coś poprosić? - zgadywał Pellaeon.

- Chcę się tylko podzielić z tobą obawami, że ten krok może nas kosztować wiele istnień, a Jacen może postąpić lekkomyślnie. Trzecia Flota czeka w pogotowiu, ale zamiast rzucać moich ludzi do walki, wolałabym doprowadzić do odwrotu...

- Ach! - Pellaeon opadł na oparcie fotela. Czuł się... oszukany. - Chcesz, żebym został na Bastionie?

- Nie - zaprzeczyła pani admirał. - Naprawdę się martwię. I próbuję się czegoś dowiedzieć. Czy masz zamiar go wesprzeć? Wiem, że kilku moffów stawia na bardziej ekspansywną politykę niż ty.

- Gdybym powiedział, że nie będę płakał, jeśli Jacen szczerze i zgnije - zinterpretuj to sobie jak chcesz - i że z chęcią podejmę się obowiązku posprzątania po nim bałaganu... czy taka odpowiedź cię satysfakcjonuje?

- A więc zamierzasz poczekać, aż powinie mu się noga, i wykorzystać sytuację...?

- Gdybym miał pewność, że to przywróci równowagę w galaktyce. .. - Pellaeon nie miał złudzeń, że to nie jest najlepsza pora na wyjaśnianie, że ma poważne wątpliwości co do dalszego funkcjonowania SGS - z czy bez Jacena - w świetle faktu, że sam dał młodemu Solo narzędzie jego zniszczenia, zresztą przypuszczał, że Niathal i tak zdaje sobie z tego sprawę. - Jedno mogę ci jednak obiecać - powiedział. - Mam granicę, której nie przekroczę - i chociaż w tej chwili może się wydawać, że moje działania są zgodne z polityką moffów, to zapewniam cię, że nie dzielimy tych samych przekonań.

- „Zachowaj spokój i rób swoje?” - sparafrazowała Niathal.

- Tak. Można tak powiedzieć.

- Dobrze. W takim razie wchodzę w to. - Pellaeon wiedział, jak czuje się w tej chwili Niathal, ale nie miał pojęcia, jakie kroki chce podjąć pani admirał. - Miejmy nadzieję, że sprawy pójdą po naszej myśli.

- Miejmy nadzieję - powtórzył. - Będziemy w kontakcie. - Przerwał połączenie i przez chwilę kontemplował w ciszy słowa Niathal; zastanawiał się, jak zły obrót przybrałyby sprawy, gdyby z jakiegoś powodu kalamariańska admirał znikła ze sceny wydarzeń. Jak do tej pory wydawała się jedyną osobą, która potrafiła ściągnąć Jacenowi cugle i Pellaeon zamierzał ją poprzeć.

Dzięki temu Imperium tylko zyska, uznał. Utrzymywanie przy władzy osób prowadzących umiarkowaną politykę było znacznie bardziej opłacalne niż ciągle użeranie się z despotami.

Kiedy nad Fondorem zrobi się gorąco, a Niathal zdoła ująć cało z opresji, Jacen może zostać sam.

Ilu oficerów ich floty wesprze Solo po tym, co przydarzyło się Tebut? To przesądzało sprawę. Sith, Jedi czy inne bóstwo - nieważne. Był tylko jeden. Był sam.

Pellaeon wstał i ruszył korytarzami „Krasnopłetwina”, po drodze zauważając, że monterzy nadal zajmują się drobnymi pracami wykończeniowymi, takimi jak zakładanie zaślepek i zabezpieczanie przewodów, a w szybach wentylacyjnych wciąż uwijają się droidy techniczne.

- Sir? - zawołał ktoś za nim. - Sir! - Młodszy oficer pokładowy, porucznik Lamburt, pełniący akurat wachtę, podszedł do niego najprędzej, jak się dało bez przyspieszania do nieprzepisowego biegu. - Sir, ochrona zatrzymała kobietę, która chce się z panem widzieć, ale ta pani odmawia zdradzenia tożsamości.

- Jest się czego bać? - spytał admirał, marszcząc czoło, lekko rozbawiony. - Uzbrojona? Zazdrosna? Blondynka czy ruda?

Oficer roześmiał się uprzejmie, przekonany, że Pellaeon żartuje na temat swojego upodobania do atrakcyjnych

kobiet, wciąż żywego mimo jego - podeszłego, bądź co bądź - wieku. Nie wiedział, że pytanie admirała było tylko pozornie błahe: jasnowłosa Tahiri nie była tu mile widzianym gościem - mimo jej uroku i anielskiej urody należało mieć się przy niej na baczności, bo była pacholkiem Jacena Solo. Zupełnie inaczej natomiast miały się sprawy

w przypadku pewnej damy o ognistorudych lokach - jeśli była tym, kogo Pellaeon się spodziewał, przyjmie ją z otwartymi ramionami.

Oficer pokładowy zaśmiał się znów nerwowo.

- Strzał w dziesiątkę, sir! Ta pani, która chce się z panem widzieć, ma rude włosy.

Pellaeon wygładził mankiety i ruszył dziarskim krokiem do bramki wejściowej, wyprostowany, z podniesionym czołem.

- Powitam ją osobiście - poinformował Lamburta. - Poproś droida-kelnera, żeby podał w mojej dziennej kabinie herbatę... Może jeszcze ciasto i karafkę spirytyropu.

- Tak jest, sir.

Nowy statek zawsze przepelniała aura optymizmu - i Pellaeon z zachwytem oddychał nią pełną piersią. Kiedy szedł, maci usuwali mu się z drogi i przyklejali plecami do grodzi, żeby mógł przejść - chociaż korytarz był na tyle szeroki, że nie musieli tego robić. Pellaeon lubił małe statki. Była w nich jakaś zwięzłość i praktyczność, w odróżnieniu od potężnych okrętów o rozmiarach strzelistych biurowców. Załoga statku była na tyle niewielka, że znał każdego osobiście. Tak - to była zdecydowanie jednostka, na pokładzie której chciał walczyć; prawdziwy okręt wojenny - czerpał radość z samego obcowania z wibracją hałasem i wszystkimi innymi oznakami życia tej wspaniałej, mechanicznej bestii.

Przed skrętem w korytarz wiodący do bramki przystanął i przyglądał wąsy. Minęło tyle czasu... Odetchnął głęboko i ruszył w stronę wejścia. Wokół zdążył się już zebrać całkiem pokaźny tłumek techników, pozornie zajętych bez reszty sprawdzaniem statusu świateł wjazdu i innych systemów, w istocie gapiących się ukradkiem na kobietę, która zawiadywała okrętami, jeszcze zanim którykolwiek z nich się urodził.

- Moja droga, nic się nie zmieniłaś - powiedział szarmancko, szerokim gestem wskazując jej drogę. - Dobrze znów cię widzieć, admirał Daalo.

„Anakin Solo”, przestrzeń Fondora, sektor Tapani: godzina 05.00 SCG

Kiedy gwiazdny niszczyciel opuścił ciszę eteru nadprzestrzeni, Caedus wiedział instynktownie, że coś poszło niezgodnie z planem.

W granicy rzeczy bitwy rzadko kiedy szły zgodnie z planem, dlatego plany należało dostosowywać do nowych realiów.

Kiedy systemy znów zaczęły funkcjonować, panele łączności i ekrany na mostku obudziły się do życia. Oficerowie i starsi maci natychmiast zajęli się odczytywaniem sygnałów i meldunków operacyjnych, czekających na odebranie od pięciu godzin. Caedus czuł, jak atmosfera na mostku zmienia się powoli z każdym krokiem przybliżającym go do monitorów sytuacyjnych - wśród jego podwładnych dominował strach; wszyscy z nienaturalnym skupieniem i trwogą śledzili dane przewijające się przez wyświetlacze, chowając podświadomie głowy w ramiona, zgarbieni nad skanerami i czujnikami. Caedus wrócił do panelu widokowego i zapatrzył się w rozgwieżdżoną przestrzeń, próbując namierzyć wśród świetlnych punktów sferę Fondora. Z tej odległości nie dostrzegał nic niepokojącego.

- Sir, nie możemy nawiązać połączenia ze stawiaczami min - zameldował któryś z oficerów.

Caedus obejrzał się przez ramię na holomapę na stanowisku siedzącego najbliższego operatora czujników. Dane były przekazywane w czasie rzeczywistym i nigdzie nie było śladu po pięciu stawiaczach min. A przecież powinny już do tej pory rozmieścić siatkę min Vigilante i wrócić do fondoriańskiej przestrzeni, meldując się w punkcie zbiorczym, pomyślał ze zdziwieniem... „Anakin Solo” miał wyskoczyć z nadprzestrzeni tuż nad nimi...

Obok niego jak spod ziemi wyrosła Tahiri. Kiedy sięgnął poprzez Moc, wyczuł na zewnątrz chaos sygnałów, jaki zazwyczaj towarzyszył każdej wojnie: strach, gniew, zagrożenie życia, spustoszenie i nikłe echa eksplozji -

tą samą mieszankę, którą wkrótce mógł czuć dzień w dzień, do końca życia, jeśli przestanie się tym wszystkim interesować i sobie odpuści.

Zdolność użytkowników Mocy do wyczuwania niebezpieczeństw i ukrytych broni była wspaniałym darem w coruskańskiej kafejce czy obcym mieście, ale na polu walki nie dawała żadnej przewagi. Wszystko wokół było przesiąknięte groźbą i mogło w każdej chwili stać się narzędziem śmierci - Caedus był ładnych kilkaset kilometrów nad powierzchnią planety, na której budowano okręty, i która była w stanie najwyższej gotowości bojowej.

- Sir, operatorzy floty twierdzą że ostatni kontakt ze stawiaczami min mieli przed skokiem w nadprzestrzeń - zameldował porucznik przy stanowisku kontroli systemów walki elektronicznej.

O dziwo, kiedy Caedus świdrował go wzrokiem, nawet nie mrugnął - ani nie odwrócił oczu. Promieniował od niego niepokój, jednak nie martwił się o sytuację. Miał do Caedusa żal. - A potem nic, nawet boi awaryjnej - dodał. - Jeśli wrócili na Coruscant, do tej pory powinni już dotrzeć na miejsce.

Trudno wykrywalne stawiacze min były małymi stateczkami,

o potężnej, nieadekwatnej wręcz do ich rozmiarów mocy silników, dzięki którym mogły sobie pozwolić na swobodne wskakiwanie

do wyskakiwania z i do nadprzestrzeni bardzo blisko stref ich działań docelowych. Miało to na celu zminimalizowanie czasu spędzanego w zwykłej przestrzeni i uniemożliwienie wykrycia - zostawiały niespodziankę na wycieracze wroga i natychmiast wiały z powrotem w nadprzestrzeń. Przy samorozmieszczalnej siatce min, nie- wymagającej konwencjonalnych metod stawiania, cały proces był niezwykle szybki i efektywny.

- Połącz mnie z nimi. - Nadal tylko lekko zaniepokojony, Caedus pochylił się nad konsolą i ruchem palca wywołał na ekranie przekazywane przez centrum dane. Na monitorze rozwinęły się lśniąca linijki błękitnych liter i cyfr, oznaczających godziny i współrzędne biernej kontroli pozycji całej grupy zadaniowej, włącznie z uwijającymi się na zewnątrz minerkami. - Centrum operacyjne? Co tam się dzieje? - rzucił do komunikatora.

- Pułkownik Solo, jeżeli stawiacze min wypełniły swoje zadanie, powinniśmy już dostać od nich potwierdzenie pozycji i zamiarów - zameldował szef zespołu operacyjnego. - Oczywiście, nie mieliśmy szans ich namierzyć w pobliżu Fondora, dopóki działały w trybie maskującym... - Oficer zawiesił głos, jakby brał głęboki oddech. - Wiem, że to może głupie pytanie sir, i z góry za nie przepraszam, ale... czy wykrywacie siatkę min?

Caedus przestawił się z powrotem na tryb postrzegania zwykłego świata za pomocą zmysłów, przyrządów i odczytów. Na mostku panowała niczym niezmacona cisza. Miny? Nie było po nich śladu.

To wszystko twoja wina, Lumiyo, powiedział gorzko w myśli do byłej Mistrzyni. To ty przekonałaś mnie, że bym przestał polegać na własnych zmysłach... Dawniej najpierw sprawdzałem odczyty skanerów, a dopiero później Moc. Gdzie się, u licha, podział mój rozsądek?

- Sir, nie odbieramy sygnału sieci min, dzięki której moglibyśmy ją zdalnie aktywować - zameldował porucznik. - Wniosek nasuwa się sam: nie zostały zrzucone. Proszę spojrzeć, to widok przekazywany przez skaner średniego zasięgu z przestrzeni fondoriańskiej - aż do Nallastii. - Przełączył obraz i kolumny liczb zastąpiło graficzne odwzorowanie sytuacji: mapa kolorowych plam, wskazujących temperaturę i gęstość badanego terenu.

Fondor symbolizowała sfera oznaczona polami różnic temperatury, otoczona wianuszkami bardziej stonowanych kolorystycznie stoczni orbitalnych, wyglądem przypominających spłaszczone groty strzał. Tuż nad krawędzią planety powiększenie pokazywało małe, ale wyraźne punkty, wyglądające jak miniaturowe mgławice. Kiedy porucznik przybliżył obraz jeszcze bardziej, żeby Caedus mógł obejrzeć punkty w lepszej rozdzielczości, obiekty zmieniły się w koncentryczne pierścienie o różnej gęstości cząstek i temperaturze.

- Co to takiego? - spytał, chociaż doskonale wiedział. Chciał po prostu usłyszeć odpowiedź z ust kogoś innego, łudząc się do końca, że może ten jeden raz się myli... Miał wrażenie, że reszta załogi mostka wycofuje się ostrożnie z jego pola widzenia. Teraz dostrzegał przed sobą tylko ekrany skanerów i czujników. Był wściekły - i ta wściekłość rosła z każdą chwilą dojrzewając w ciszy i pozornym spokoju.

- Szcątkowe ślady wybuchów, sir - wykrztusił wreszcie porucznik. - Analiza spektrometryczna cząstek wykazuje, że pasują do materiału wykorzystanego w stawiaczach min typu Nonvide- or... - Przelknął głośno

ślinę. Był nowy w jego załodze, zajął miejsce Tebut. - Bb... baza danych, sir - zająknął się. - Mamy bazę danych materiałów na wypadek misji ratunkowych i postępowania kryzysowego - dzięki niej możemy stwierdzić, który ze statków...

W ciszy, jaka zapanowała na mostku, Caedus słyszał tylko nikły szmer instrumentów pokładowych i ciche rżenie silników i generatorów - odgłosy brzmiące dla załogi tak uspokajająco, jak bicie serca matki dla dziecka.

Czuł, że spodziewali się po nim wybuchu, ale wiedział też, że taki krok będzie w ich oczach oznaką słabości. Nie mógł ich winić - byli tak samo przerażeni i wzburzeni jak on.

- Ile ich jest... - Jak ma na imię ten człowiek? - ..Loccin? - spytał, odczytując imię z plakietki na piersi. - Naliczyłem trzy.

- Żeby się upewnić, musimy mieć widok z drugiej strony Fondora, chociaż równie dobrze możemy tam znaleźć następne dwie chmury szczątków. Sprawdzam jeszcze dokładnie... Trzy wyjściowe współrzędne skoków pasują do trzech obszarów namierzonych przez skaner.

- Mostek do dowódcy lotów - powiedział Caedus. - Sekcja lotnicza? Wyślijcie X-winga w pobliże planety od strony Jądra i potwierdźcie obecność pól szczątków i ich współrzędne.

Chociaż pełniąca obowiązki dowódcy lotów kobieta była cichą, spokojną osobą jej głos zagrział z głośników statku nienaturalnie głośno:

- Tak jest, sir!

- Dziękuję. A teraz może ktoś raczy mi powiedzieć, co się dzieje na Fondorze? Wiadomo coś o sytuacji? Jakies informacje z relacji HoloNetu? Protesty dyplomatyczne?

- Żadnych wieści z biura przywódcy, sir...

- O, właśnie. Połącz mnie z Niathal - poprosił Caedus. - Siedzi sobie spokojnie z pełną łącznością od co najmniej pięciu godzin, więc powinna nas informować na bieżąco, mam rację?

W miarę jak oficerowie wracali do swoich obowiązków, atmosfera na mostku powoli zaczynała się rozluźniać; szepty przeszły w rozmowy prowadzone normalnym głosem, nikt się już nie garbił.

- Sir, w wiadomościach HoloNetu nie wspominają o żadnych incydentach.

- Biuro Stosunków Zewnętrznych SGS twierdzi, że nie zgłoszono próby nawiązania stosunków dyplomatycznych, sir - ani oficjalnych, ani nieoficjalnych.

- Monitoring SGS zgłasza, że ich agenci donoszą o ciągłym trwaniu stanu nadzwyczajnego na Fondorze i wzmożonym ruchu jednostek wojskowych między powierzchnią planety a stoczniami orbitalnymi - ale to podobno od kilku miesięcy norma - napływały raporty.

A więc czekali, aż Sojusz dobierze im się do tyłków - nie wiedzieli tylko kiedy, pomyślał Caedus...

Tahiri, od jakiegoś czasu obserwująca go z wyrazem twarzy kogoś, kto czeka na eksplozję odbezpieczonego detonatora, podeszła bliżej.

- A więc stawiacze min zostały przechwycone od razu po przybyciu - stwierdziła. - Nie miały nawet czasu zostawić ładunków.

- Dokładnie, porucznik Veilo - przyznał. - To samo potwierdzają informacje z rejonu wyjścia dwóch pozostałych statków.

- Setka członków załogi, zgadza się? Po dwadzieścia osób na statek...

- Tak. - Rozmiar i profil rozprysku cząstek szczątków sugerował potężną eksplozję - jak zresztą można się było spodziewać w przypadku bezpośredniego trafienia w wyladowane minami statki. Cóż, przynajmniej długo nie cierpieł, pomyślał ponuro Caedus. Wciąż troszczył się o swoich ludzi - w końcu nie był potworem. - A więc zdrada...

- Fondor na nas czekał - stwierdziła Tahiri.

- Porucznik Veilo, Fondor był przygotowany, że się o niego upomnimy, od tygodni. Chodzi o to, że wiedzieli, gdzie i kiedy dokładnie się pojawimy. - Caedus przeszedł na drugą stronę mostka, po drodze omiatając taksującym spojrzeniem wszystkich członków załogi. To byli starannie dobrani ludzie, lojalni i sprawdzeni. Wątpił, żeby któryś z nich dopuścił się ujawnienia informacji takiej wagi. Poza tym nie wyczuwał wśród nich najmniejszego śladu kolaboracji z wrogiem. A skoro przeciek nie nastąpił wśród jego ludzi, informacja musiała wyjść z kwatery głównej, wydziału łączności albo od kogoś będącego w bezpośrednim kontakcie z załogami stawiaczy min po tym, jak otrzymali rozkazy. Czas na przeniknięcie tej informacji przez system był bardzo ograniczony - na pewno było go za mało, żeby ktokolwiek ostrzegł Fondor o nalotach stawiaczy min. A Fondorianie mieli dokładne współrzędne, dzięki którym zniszczyli statki od razu po wyjściu z nadprzestrzeni. Nawet gdyby fondoriańskie patrole miały graniczący z cudem fart, nie było szans, żeby czekały tak blisko punktów, w których pojawiły się stawiacze min.

- Droga załogo - powiedział cicho Caedus. - Mamy wśród nas - w najlepszym wypadku - karygodnie lekkomyślnego głupca, a w najgorszym... zdrajcę.

Loccin odchrząknął i spojrział mu prosto w oczy.

- Sir, rozumiem, że kontynuujemy naszą misję?

- Tak - potwierdził Caedus. - Nie wrócimy do domu z podkulonym ogonem tylko dlatego, że nie zdołaliśmy utworzyć blokady. Plany podczas wojny zawsze się zmieniają. To po prostu nieprzewidziany zwrot akcji, nic więcej. Będę w mojej dziennej kabinie. Dajcie mi znać, kiedy złapiecie admirał Niathal, a jeśli skontaktuje się z nami admirał Pellaeon, o niczym mu nie mówcie, tylko przekierujcie go od razu do mnie. Lepiej nie niepokoić moffów, prawda?

Kiedy był już w swojej kabinie, Caedus stanął na środku i zastanowił się, jakim cudem udało mu się powstrzymać wybuch gniewu. W myśli analizował wszystkie wydarzenia - w najdrobniejszych szczegółach - począwszy od wyboru punktów wyjścia z nadprzestrzeni, po sam moment pojawienia się stawiaczy min w okolicy. Kto mógł znać - i obserwować - szczegóły? Przemknęło mu przez myśl, że mógłby spróbować wędrowki po śladach - powrotu do centrum operacyjnego i podsłuchania rozmów - ale to kosztowałoby go sporo wysiłku, na który nie był w tej chwili przygotowany; poza tym lista potencjalnych winnych przecieku... zdrajców, poprawił się w myśli, była krótka, a on miał na głowie opracowanie nowego planu inwazji.

Kiedy siadał, kątem oka dostrzegł w lustrze własne odbicie - i nagle uzmysłowił sobie, dlaczego młody oficer na mostku nie mógł odwrócić od niego wzroku: oczy Caedusa były żółte. Przez krótki, zdezorientowany moment sądził, że widzi w lustrze kogoś innego, ale niemal w tej samej chwili jego twarz... jego oczy, nabrały z powrotem znajomych cech i jaskrawożółte tęczy znowu zbrązowiały.

Usiadł nad holomapą zaczął układać nowy, ale wcale nie mniej okrutny niż poprzedni plan podboju Fondora.

ROZDZIAŁ 10

Tak, przykro mi to mówić, ale słyszeliśmy, jak Mara Jade Skywalker grozi przywódcy Sojuszu, Jacenowi Solo. Powiedziała,

żeby „zostawił Bena w spokoju”, że „obedrze go żywcem ze skóry” i że to jego ostatnia okazja, żeby dał sobie spokój z czymś, co nazwała Sithami, albo że ma „przygotować się na to, co go czeka”. To było zupełnie do niej niepodobne!

Senator Nab'Haas z bithańskiej delegacji, składający zeznania w sprawie współpracujących z Sojuszem Solo i Niathal w rozmowie z kapitanem Lonem Shevu

Frachtowiec „Duch Interesu”, w drodze na Endora; ładownia

Ben Skywalker sięgnął za pazuchę i po raz nie wiadomo który wymacał w wewnętrznej kieszeni bluzy robota

kryminalistycznego, upewniwszy się wpięrw, że jest poza zasięgiem wzroku mechanika pokładowego. Nie był w nastroju do pogawędek, ale załoga frachtowca nudziła się na śmierć i wydawało się, że jedynym sposobem na zabicie nudy, jaki znają, jest przesłuchiwanie przypadkowych pasażerów. A Ben był niestety jedynym pasażerem na pokładzie. Siedział skulony, wciśnięty w przestrzeń między ogromnymi kontenerami przytwierdzonymi do pokładu ładowni i starał się sprawić wrażenie udęconego, zestrachanego gówniarza.

- Mogę cię podrzucić tylko do bazy towarowej, wiesz o tym, co nie?

Ben spojrział w górę. Najwyraźniej poza niekomunikatywnego nastolatka nie zadziałała - był, bądź co bądź, rośli, owłosienie na jego twarzy aspirowało do miana pełnoprawnego zarostu i nikt (jak uświadomił sobie z nagłą jasnością) od jakiegoś czasu nie traktował go jak dzieciucha. Widocznie wyglądał tak, jak się czuł: nie-skończenie staro.

- Wiem - mruknął. - Dzięki.

- Byłeś już kiedyś na Endorze? - Oho, trafił mu się troskliwy koleżka... Jeszcze tylko tego brakowało.

- Tak, znam tam parę osób - potwierdził grzecznie. - Mam się tam z kimś spotkać.

- Tak tylko pytam - bąknął mężczyzna. - Nie wyrzuciłbym w tej dziurze nawet najgorszego wroga. Ewoki! - prychnął lekceważąco. - Dzikusy! Jeśli mam być szczerzy, powystrzelałbym je wszystkie co do nogi, gdybym tylko mógł.

- Mam kilku przyjaciół Ewoków - zaprotestował słabo Ben. Nie miał ochoty się wdawać w kłótnie, ale nie mógł puścić takiej uwagi mimo uszu. - Poza tym w lesie czuję się bezpieczniej niż w Galactic City.

- Bez urazy - bąknął ugodowo mechanik.

- Nic się nie stało.

Facet zaczął się powoli wycofywać, zmieniając co chwila ręce na podwieszanej wysoko szynie, ostrożnie stąpając między zbiornikami i pojemnikami, które w drodze powrotnej miały zawierać rośliny i grzybnie dla przemysłu farmaceutycznego.

- Coruscant... Taa, wiem, co masz na myśli - mruknął. - Jak nie kryminał i hołota, to tajna policja.

.. w której pracuje kilku moich najlepszych przyjaciół, pomyślał smutno Ben, ale nic nie powiedział. To był ostami etap jego skomplikowanej podróży do bazy Jedi. Za kilka godzin będzie bezpieczny, pośród rodziny i przyjaciół - tak samo jak robot kryminalistyczny, wciąż zawierający w szczelnie zapieczętowanym wnętrzu próbki pobrane ze stealthX-a Jacena. Zawinał je w fleksifolię, na wszelki wypadek. Czuł, że to jego ostatnia, nikła szansa na rozwiązanie całej sprawy i odnalezienie spokoju. Jak mam to powiedzieć tacie? - zachodził w głowę. Czy mam wszystkie dowody, których potrzebuję? I kiedy... jak mam mu wspomnieć o tym, że mama do mnie przyszła?

Ze wszystkich rzeczy, które prześladowały go w cichych chwilach, kiedy nie miał nic, co mogłoby oderwać jego uwagę od roztrząsania tamtych wydarzeń, dopóki się nie zapętlili, to właśnie ukazanie się ducha mamy najczęściej nie dawało mu spokoju. Był prawie stuprocentowo pewny, że Luke nie dostał tego przywileju i czuł się z tego powodu coraz gorzej. Dlaczego tylko ja? - pytał siebie w myśli. Odkąd zaczął żyć w świetle Lona Shevu, w którym niepodzielnie rządziły zasady „pokaż mi” i „udowodnij”, znacznie bardziej sceptycznie podchodził do zjawisk nadprzyrodzonych, a nawet manifestacji Mocy. Ostatnio wciąż zadawał sobie pytanie „dlaczego” - tak było w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto i przypuszczał, że takie nastawienie długo go nie opuści. Kiedy „Duch Interesu” opadł na polanę oddaloną o kilkaset metrów od budynków placówki rozładunkowej, Ben po męsku uściśniął załodze dłonie i zapewnił, że nie omieszka skorzystać z ich usług przy najbliższej okazji, a potem z torbą przewieszoną przez ramię wszedł w zagajnik, kierując się w stronę gęstwiny. Był dojmująco świadom setek oczu, śledzących każdy jego krok z zarośli i z gałęzi drzew, i bezwiednie zaczął się zastanawiać nad najlepszym sposobem na podbicie i zajęcie podobnej planety. Cóż, na pewno nie byłoby to proste...

Luke czekał na niego w umówionym miejscu: siedział na potężnym pniaku, dorównującym średnicą okrągłym parkowym ławkom w Ogrodach Botanicznych Gwiazdnej Kopuły w domu, na Coruscant. Miał na sobie kombinezon lotniczy.

Dom...

Co to słowo właściwie dla niego znaczy? - zastanowił się przelotnie.

- Tato... - Ben nie wstydził się już okazywania czułości. Objął ojca i przytulił się mocno do jego piersi. Nie pamiętał już, dlaczego jeszcze jakiś rok temu podobne sytuacje wprawiały go w zakłopotanie. Jego koledzy z SGS, dorośli mężczyźni i najwięksi twardziele, jakich znał, przytulali swoich bliskich, płakali - i nie przejmowali się, co ktoś sobie może o nich pomyśleć. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wróciłem... - wymamrotał.

- Wyglądasz na wykończonego - zauważył z troską Luke.

- Miałem trochę roboty - bąknął wymijająco Ben. Powiedziałby mi, gdyby mama do niego przyszła, przemknęło mu przez myśl. Na pewno by mi powiedział, prawda? Wypuścił ojca z objęć i szturchnął go palcem w pierś. - Widzę, że trochę lataliśmy, co? - rzucił żartem. - Martwisz się, że wyjdiesz z wprawy?

- Nic podobnego. Ale muszę ci powiedzieć, że ostatnio wydarzyło się sporo ciekawych rzeczy.

- Co mnie ominęło?

- Jacen wyruszył na podbój Fondora i trochę pomieszaliśmy mu szyki, a wkrótce zamierzamy pomieszać jeszcze bardziej. Aha - Han i Leia ciągle szukają nowej bazy. - Luke odwrócił się i ruszył w stronę szeregu swoopów w różnym stanie rozkładu. Na ich widok nikt by się nie domyślił, że w pobliżu stacjonuje elitarny oddział Jedi. W pewnej chwili przystanął, obejrzał się przez ramię i wskazał na swoją pierś. - Zaczęłeś grać w smashballa? - spytał. - Prawie połamałeś mi żebra! Co tam masz w kieszeni?

Ben uznał, że chwila jest równie dobra jak każda inna.

- To sonda - wyjaśnił. - Robot kryminalistyczny CSB. Zawiera... dowody.

Jego ojciec przerzucił nogę przez siodełko pierwszego swoopa z brzegu, a on wskoczył na miejsce pasażera za jego plecami.

- No, no, mój syn żołnierzem, a teraz gliną - mruknął pod nosem Luke. - Znalazłeś coś? Sądząc po twojej minie, pewnie tak?

- Tak, tato, znalazłem - potwierdził. Mistrz Jedi odpalił silnik i poszybowali pośród drzew. -I to całe mnóstwo ciekawych rzeczy.

Ojciec obejrzał się na niego przez ramię.

- I...?

- Ej, tato, może lepiej patrz przed siebie, co? - Maszyna skręciła ostro, ale po chwili Luke znów panował nad skuterem. - Hm, to znaczy - podjął Ben - nie jestem przysięgłym, sędzią ani nikim takim... Pamiętasz, jak chciałem z miejsca zabić Jacena? Powstrzymałeś mnie - i ta lekcja bardzo dużo mnie nauczyła. Jestem tylko śledczym, oskarżycielem. Kiedy ci pokażę, co znalazłem... i wujkowi Hanowi i cioci Leii oczywiście też... Sami będziecie musieli ocenić, o czym to świadczy. - Swoop śmignął przez zasłonę cienkich gałązek i Ben schylił głowę, żeby uniknąć podrapania twarzy. Wyglądało na to, że za każdym razem, kiedy jego ojciec wskakiwał na skuter, wracała mu młodzięcza fantazja z czasów, gdy był Rebeliantem. - Chcę wam przedstawić całą sprawę możliwie jak najbardziej obiektywnie. Pokazałem ci sztuczkę z ukrywaniem się w Mocy, więc wiesz, że Jacen nie mógł mnie znaleźć na Kavanie przypadkiem, ale to nie wystarczy. Mam inne dowody - i całą resztę śladów, które znalazłem, a które mogą mieć jakieś znaczenie, niezależnie od tego, czy potwierdzają moją teorię, czy nie. Właśnie tego nauczył mnie Lon Shevu: chcę poznać prawdę, nawet jeśli będzie niewygodna.

Luke nie odpowiedział od razu. Zgarbił się tylko lekko, jakby wzruszył ramionami i Ben usłyszał, jak przełyka głośno ślinę, ale tym razem jego ojciec nie obejrzał się przez ramię.

- Ben... - wykrztusił wreszcie dziwnie stłumionym głosem.

- Tak, tato?

- Ben... - *Stang*, jego ojciec... płakał. - Ben, jestem z ciebie taki dumny... Wiesz? Jesteś taki... prawy.

- Ej, tato... proszę, daj spokój... - Ben poklepał go uspokajająco po plecach. - Robienie tego, co trzeba, to nie nadzwyczajnego. To konieczne minimum. To od tego zaczynamy każdego ranka - to nie plan na odległą przyszłość... Sam mnie tego nauczyłeś.

Luke zaczął coś mówić, ale w połowie zdania urwał i pokręcił tylko głową, a potem zwolnił i obniżył lot swoopa.

- Kiedy wstąpiłeś do Straży, zadałeś mi pewne pytanie... - zaczął.

Oho, tata zaczyna uderzać w poważny ton, pomyślał Ben. To nie

wróży dobrze.

- Jakie? Jak sznurować buty? - spytał żartem. - Za który koniec blastera trzymać? Rany, przecież byłem wtedy jeszcze dzieckiem.. - zaprotestował.

Luke parsknął krótkim śmiechem - z rodzaju tego, który stanowczo zbyt często przechodził w pociąganie nosem.

- Sądzę, że było to pytanie retoryczne. Chciałeś wiedzieć, ile osób zabiłem, kiedy walczyłem przeciwko Imperium.

- A, tamto... - mruknął Ben z lekkim zakłopotaniem.

- Odpowiedziałem ci: „Tak, ale wszystkie one były...” i wtedy musiałem przerwać, bo dotarło do mnie, że nigdy wcześniej nie przemyślałem tego tak, jak powinienem. Nigdy nie powinienem był mówić „ale”.

- Tato, jeśli zwolnisz jeszcze choć trochę, silnik zgaśnie - zauważył trzeźwo Ben.

- Fakt, przepraszam - wymamrotał Luke. Chwilę później posa dził swoopa w wysokiej po kolana, ostrej trawie i zaczął nasłuchiwać cichego stukania stygnącego silnika i chóru głosów wydawanych przez mieszkańców lasu ukrytych w zaroślach. Ben odruchowo położył dłoń na rękojeści miecza - na wszelki wypadek. Nie czuł się w leśnej głuszy tak bezpiecznie, jak mu się wcześniej zdawało. -I miałeś rację - większość z nich była po prostu zwykłymi żołnierzami albo członkami załogi statków, którzy może i nie darzyli Imperium szczególną sympatią, ale musieli w jakiś sposób zarabiać na życie... albo nie mogli powiedzieć „nie” - podjął Luke. - Nie wszyscy byli imperialnymi fanatykami, pragnącymi zagłady galaktyki. Byli zwykłymi ludźmi... a ja miałem zaledwie dziewiętnaście lat i chyba czułem w głębi serca, że jeśli nie są gotowi stawić czoła Palpatine'owi tak jak ja, muszą być tchórzami lub źli do szpiku kości. .. albo w jakiś inny sposób różnią się ode mnie - i to w moich oczach czyniło ich kimś gorszym. - Obrócił się w siodełku tak daleko, jak mógł, żeby spojrzeć Benowi w oczy. - Nie miałem wtedy pojęcia o polityce, Ben. W istocie nie myślałem wtedy o tym, czemu to robię. Czułem po prostu, że muszę ocalić kogoś, komu jest źle. Właśnie dlatego... tak, zabiłem mnóstwo osób, których nie powinienem był zabić. Ich życia były cenne - i ważne. A teraz pięć pełnych załóg statków nie żyje, bo pozwoliłem, żeby Fondor dowiedział się za wiele. I czuję się z tego powodu bardzo, bardzo źle.

Ben nie spodziewał się, że ich początkowo niewinna rozmowa wywoła taki potok zwierzeń. I chociaż nie uważał teraz przytulania i okazywania łez za coś żenującego, to kompletne obnażanie przed kimś własnej duszy było zupełnie czymś innym. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Luke weźmie sobie jego słowa aż tak do serca i tak bardzo się nimi przejmie. Było mu wstyd: dokładał swojemu ojcu zmartwień w chwili, kiedy on i tak miał ich już nadto. Powinien był to wszystko zachować dla siebie...

- Nie wiem, co powiedzieć, tato - wymamrotał.

- Byłeś dla swojej matki wszystkim. - Luke przez chwilę milczał, aż w końcu pokiwał głową jakby odpowiadał na pytanie, którego Ben nie słyszał, i znów odpalił silnik. Maszyna podniosła się nad wysoką trawę i wystrzeliła naprzód. - Słusznie - rzucił przez ramię.

Muszę to zrobić teraz, dotarło do Bena. Muszę to powiedzieć, ale w takiej chwili powinienem raczej patrzeć własnemu ojcu w oczy niż wbijać wzrok w tył jego głowy...

- Na Kavanie... widziałem mamę - rzucił. - To znaczy... ona... Ukazała mi się. Naprawdę ją widziałem - nie jak wtedy, kiedy wydaje ci się, że dojrzałeś kogoś przypadkiem w tłumie. Ukazała mi się... jako duch. Powiedziała mi...

Luke zacisnął dłonie na rączkach kierownicy tak mocno, że jego knykcie zupełnie zbiały.

- Co takiego ci powiedziała?
- Powiedziała, że mnie kocha.
- Cóż, tego jestem pewien... A ty, co jej powiedziałaś?
- To samo.
- Czy teraz czujesz się trochę lepiej?

No, dalej, przynaglił się w myśli Ben. Kiedy, jeśli nie teraz, powinien być całkiem szczery ze swoim ojcem?

- A ty... - zająknął się. - Czy ty już ją widziałeś, tato? Nie chciałem ci o tym mówić, na wypadek gdybyś poczuł się... pominięty. Hm, to złe słowo...

- Nie, nie widziałem jej - odpowiedział Luke. - Ale nie martw się, to nie powód do niepokoju. Moc zawsze wie najlepiej, czego potrzebujemy. Zdażyłem się już do tego przyzwyczaić. - Nie powiedział nic więcej. Ben starał się z całych sił nie myśleć o Jacenie, bo w tej chwili nie mógł zdobyć się na nic poza bezsilnym gniewem. Jak Jacen śmiało zrobić to jego ojcu? Jak mógł tak bezmyślnie skazać go na takie cierpienie? Jeżeli jego kuzyn chciał zniszczyć Luke'a Skywalkera, to zabicie matki Bena było najlepszym na to sposobem. Było czymś nawet gorszym niż zabicie samego Luke'a. I jego ojciec o tym wiedział, a mimo to nie pozwolił, żeby ta świadomość zmieniła go ani to, w co wierzył. Ben nie miał innego wyjścia, jak tylko wyciągnąć z tego wnioski i czerpać siłę, a kiedy nadchodziły chwile, w których dopadał go ten miażdżący serce, bezsilny gniew - którego nie pozbedzie się już pewnie nigdy, jak przypuszczał - przypominał sobie, że właśnie dlatego jego tata wiedział zawsze, co jest dobre, w przeciwieństwie do Jacena, który nie miał o tym pojęcia albo po prostu go to nie obchodziło. To było jak nieskończony ciąg rozstajów dróg - albo odchylenie w strukturze jednego atomu, który dzielił się na dwa, potem na cztery, a potem na kolejne setki połówek, dające mnogość wyborów, prowadzące na różne światy. To był punkt odniesienia dobra i prawdy, o których Ben i Luke dopiero co rozmawiali. W każdej chwili należało zadawać sobie pytanie: czy to, co za moment zrobię, jest dobre czy złe?

Granica dzieląca dobro i zło była cienka jak włos, a jednak z każdym oddechem i decyzją każdej istoty poszerzała się w przepaść zdolną pochłonąć całą galaktykę.

Nie wiem, dlaczego Jacen to zrobił, westchnął w duchu Ben. Nie mam nawet stuprocentowej pewności, że w ogóle to zrobił, ale motyw jest w tej chwili nieważny - nie warto sobie nim zaprzętać głowy. Musisz być obiektywny, nakazał sobie w duchu. Liczą się fakty.

Luke zszedł nieco niżej, w pobliże starej imperialnej bazy i Ben widział teraz za zasłoną drzew i pnący holowane na stanowiska dwa stealthX-y, wokół których kręciło się mnóstwo osób. Pokażna grupa oddanych przyjaciół i sympatyków Jedi, którzy zostawili wszystko i opuścili Coruscant, żeby pomagać w utrzymaniu całego dobytku przeniesionego na Endora - droidy, piloci, technicy i mechanicy, a nawet garstka Ewoków, uwijali się jak w ukropie, nosząc wypakowane po brzegi staroświeckie kontenery.

Ben obszedł podwozie najbliższego stealthX-a i zastanowił się, jak zacząć opowieść o misji jego i Shevu.

- Postanowiliśmy, że przeniesiemy się na jakąś bardziej niedostępną planetę - odezwał się Luke. - W zależności od tego, jak rozwinie się sytuacja na Fondorze.

- Jeszcze dalej niż Endor? - jęknął Ben. - A w ogóle się da?

- Chcemy przenieść się gdzieś, gdzie trudniej będzie nas znaleźć - wyjaśnił Luke. W rejon Ulotnych Mgieł. Han i Leia wiedzą jak znaleźć dobrą kryjówkę.

- Dobry pomysł - skwitował Ben. - W takim razie... ile mam czasu, zanim wyruszymy na Fondora? Żeby przedstawić dowody? - Zobaczył w oddali idącego w ich stronę Jaga. Chłopak szedł z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie, ze spuszczoną głową. Ben poklepał znowu wewnętrzną kieszeń swojej bluzy. - Nie chciałbym brać ze sobą tego robota kryminalistycznego na misję. Gdybym stracił dowody...

- Nie lecisz z nami na Fondora, Ben - wszedł mu w słowo ojciec.

Dawniej w takiej sytuacji Ben zacząłby się wyklócać, rozżalony,

pytając, dlaczego znów nie może wziąć udziału w akcji, i argumentując, jak bardzo się przyda - nie mógł przecież przepuścić takiej okazji! Jednak teraz... Poczul tylko lekki niepokój i pomyślał, że to kolejny krok pogłębiający przepaść między nim a jego ojcem, ale wiedział, że musi go słuchać. Więc postuchał.

- Dobrze, tato - powiedział. - Rozumiem.

Luke milczał przez chwilę, a potem uśmiechnął się, jakby spodziewał się protestów.

- Wiesz, że to nie dlatego, że chcę cię chronić, prawda? Podjąłem taką decyzję z powodów... operacyjnych, nie dlatego, że „sy- nalek szefa ma chody”.

- Rozumiem, tato - powtórzył Ben. - Co mam robić, kiedy was nie będzie? -I ani mi się waź nie wracać, pogroził mu w myśli. - Jak długo stealthX-y będą w terenie?

- Chciałbym, żebyś opracował plan ewakuacji - tak, żebyśmy od razu po powrocie mogli spakować manatki i się stąd wynieść - westchnął Luke. - Natychmiast. Zostawiam tu z wami około połowy całego zespołu pilotów Jedi.

- A więc przeprowadzka - mruknął Ben. Nigdy wcześniej nie miał okazji planować na taką skalę ani kierować podobnym projektem: będzie musiał zadbać o personel pomocniczy, złożony z ponad tysiąca istot i robotów, nie mówiąc już o sprzęcie. Cóż, zawsze kiedyś następował ten pierwszy raz, westchnął w duchu. Poradzi sobie, najlepiej jak umie. - Nie uciekamy przed nikim. - To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Cieszę się, że chcesz się tego podjąć.

- Zdrowy rozsądek, tato. - Ben wzruszył ramionami.

- Jestem pewien, że ci go nie brakuje - pochwalił go Luke i poklepał go po obu ramionach. - Poza tym będziesz pod moją nieobecność moralnym kompasem naszych ludzi. Jeśli ktoś z nas nie wróci z tej misji, chcę mieć tu kogoś, kto będzie zadawał trudne pytania i upewniał się: „Czy na pewno powinniśmy to robić? Czy to słuszne?” i kto nie spocznie, dopóki nie usłyszy odpowiedzi.

Benowi nigdy nie przyszłoby do głowy spojrzeć na siebie w takim świetle. Był osobą metodyczną zdeterminowaną rozwiązać wszelkie problemy, które stanęły na jego drodze, drążącą sedno spraw, analizującą dokładnie składowe i niezmordowanie podejmującą próby złożenia wszystkiego od nowa w całość. Wiedział, na czym polega logistyka. Ale... pewność co do tego, że jego decyzje są moralnie uzasadnione? Cóż, Jacen pewnie też był o tym przekonany.

Jak dotąd całkiem niezłe sobie radziłem, kierując się zasadami, które wpoili mi mama i tata, przekonywał się w duchu. Postaram się nie zbaczać z tej drogi.

Skupił się na czekającym go zadaniu, byle tylko nie słuchać dźwięku rozgrzewanych właśnie silników stealthX-ów.

- Teraz, tato? Wyruszenie już teraz? - spytał.

- Czekałem na twój powrót - wyjaśnił Luke. - Spokojna głowa. Reszta zespołu powinna już być w okolicach Fondora.

- Co planujecie?

- To co zwykle - westchnął Mistrz Jedi. - Pomóc Jacenowi dostrzec własne błędy.

Mo dobrze, uznał Ben. Skoro tata nie ma ochoty wtajemniczać go w szczegóły operacji, trudno, jakoś to przeżyje.

W tej chwili jeden z mechaników podbiegł do ojca i podał mu jego hełm - co sprawiło, że wszystko wydało się Benowi jeszcze bardziej nieuchronne i dziwnie ostateczne.

- Aha, jeszcze jedno... Jacen zdołał wynegocjować wsparcie Szczątków Imperium - dodał Luke.

- Admirał Pellaeon? O rany, nie wiem, czy się z tego powodu cieszyć, czy płakać...

- Cóż, mam nadzieję, że są jeszcze osoby o nierozregulowanych kompasach moralnych.

Ben uzmysłowił sobie, że właśnie przestawił się na tryb stosowany zazwyczaj przed akcją przez żołnierzy SGS: wyparł z umysłu strach i pozwolił, żeby usta przejęły kontrolę zamiast mózgu - potok ponurych żartów miał na celu zamaskowanie skręcającego mu wnętrzności niepokoju.

- Nie daj się zabić, co, tato? Sam widziałeś, co się stało z Fet-tem. Nie chcę skończyć jak jego syn.

- Obrzydliwie bogaty? - Luke podchwycił żartobliwy ton.

- Nie, polerując stary statek swojego ojca i zadreżając wujka Hana - rzucił pozornie bez troski Ben.

- Spokojna głowa. Jaina może ci załatwić po dobrej cenie działkę w Keldabe.

- Mówię serio, tato. - Ben nagle spoważniał.

- Ja też. A teraz zmykaj stąd i przestań się zamartwiać albo obiecuję, że będę wracał jako duch i robił ci wstyd na randkach.

Ben skrzywił się w duchu.

- Kocham cię, tato.

- Ja ciebie też.

Ben posłuchał ojca i nie oglądał się za siebie, chociaż serce ścisnęło mu się z bólu. Kiedy podniósł głowę, zobaczył znów Jaga. Skupił się na jego poważnej twarzy, żeby nie myśleć, i szedł w jego stronę, dopóki nie stanęli nos w nos.

- Więc ciebie też tu udupili? - zagadnął starszego kolegę. - Cóż...

Jag wyglądał na lekko zdenerwowanego.

- Wprost uwielbiam robić za ogon - prychnął. - Kocham stać jak słup i warować przy komunikatorze. Masz jakieś wieści od Jai-iny? Dawno się nie odzywała.

- Nie. - Ben pokręcił głową. - Ale nie ma jej chyba dopiero jakiś tydzień, co? - Ostatnio był zbyt zaferowany sprawą z dowodami, żeby myśleć o Jainie i uwaga Jaga sprawiła, że poczuł ukłucie winy - Dotarła na Mandalorę cała i zdrowa, prawda? - upewnił się.

- Hm, ta-a, dostałem szablonowe powiadomienie - burknął Jag.

- Jag, gdyby coś było nie tak, ciocia Leia na pewno by to wyczuła - spróbował go uspokoić Ben.

- Jasne, pewnie Fett sprzedał ją za całkiem niezłą sumkę...

- Jaina potrafi o siebie zadbać.

- A co, jeśli...

- Wiedzielibyśmy - zapewnił Jag. - Wyczulibyśmy to.

Jag otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale się rozmyślił.

- No dobra - bąknął. - Trzymam cię za słowo. Jak wyczujesz, że wpadła w tarapaty, masz mi natychmiast powiedzieć, dobra?

Czasami Ben zapominał, że jego znajomi, nawet osoby z którymi blisko współpracował, jak na przykład Shevu, nie były obdarzone jego dodatkowym zmysłem. Zdał sobie sprawę, że w chwilach takich jak ta osoby niewrażliwe na Moc mogły się czuć naprawdę sfrustrowane.

- Mam opracować plan ewakuacji bazy - powiedział, zmieniając temat.

- Jak to się stało, że nagle jesteś starszy niż ja, Ben? - Jag pokręcił z rozbawieniem głową.

- Nigdy nie lekceważ uspokajającej potęgi sporządzania listy - wygłosił przesadnie patetycznym tonem Ben. To było jedno z powiedzonek Shevu. Jego przyjaciel miał pełno takich mądrości na każdą okazję. - Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? - poprosił Jaga. — Chciałbym, żebyś skrzyknął cały starszy personel bazy. Mam teraz coś do zrobienia, ale wkrótce powinniśmy się zająć ustalaniem szczegółów operacji, rozdzielić zadania i określić nieprzekraczalne terminy ich realizacji.

Jag przyglądał mu się moment bez słowa, a po chwili na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

- Ben, a niech mnie, w ciągu jednej nocy zmieniłeś się w Kapitana Zdrowy Rozsądek! Jeszcze chwila, a wyrośnie ci siwa broda!

- Mimo to nadal zastrzegam sobie prawo do zmiany w nieznośnego bachora i nie sprzątania pokoju, kiedy nie ma musu - zażartował Skywalker.

Wyglądało na to, że Jag na chwilę zapomniał o trosce o Jainę.

- A więc spieszę zorganizować pańską audiencję, mój panie - podchwycił żartobliwy ton przyjaciela.

Ben uszedł kilka kroków, zanim uderzyło go, jak naturalnie, automatycznie przestawił się na tryb organizatora wydającego rozkazy, wcielając się w rolę, którą tak często pełnił jego ojciec. To dlatego, że tata ani przez chwilę we mnie nie zwątpił, pomyślał. To był właśnie ten niepowtarzalny rodzaj pewności siebie, którą potrafili wpajać dzieciom tylko ojcowie.

Tak czy siak, zanim zajmie się organizowaniem ewakuacji bazy, musi dopilnować jeszcze jednej rzeczy, przypomniał sobie.

Kiedy wrócił do swojej kwatery, przetań wszystkie powierzchnie sterylną ściereczką a potem rozłożył na stole płachtę flimsi, przygotowując stanowisko do pracy z robotem.

W pewnej chwili zastanowił się, czy sterylne środowisko naprawdę miało aż takie znaczenie? Instrumenty i czujniki i tak już przecież przeprowadziły analizy, których potrzebował, więc nie musiał się martwić o zanieczyszczenie. Miał wszystkie potrzebne dane w swoim datapadzie; znał skład chemiczny każdej z poszlak, które zgromadził robocik. Mimo to czuł, że cała ceremonia - właśnie tak, ceremonia - musi się odbyć w odpowiedniej oprawie; powinien przeprowadzić całą operację z właściwym szacunkiem. Niewielka kula kryła w sobie tajemnicę, która może zadecydować o losach galaktyki...

Włosy, przypomniał sobie. Potrzebne mu będą włosy ze szczotki jego matki.

Tylko w taki sposób mógł potwierdzić, że pasemko znalezione w stealthX-ie należało do niej. Buszując w pokoju własnego ojca, czuł się jak intruz. Luke trzymał prostą, szarą plastalową szczotkę mamy z włosia w pudełku razem z paroma świecidełkami i kilkoma innymi rzeczami osobistymi żony, które zabrał z ich sypialni na Coruscant, i Ben nagle ze smutkiem wspomniawszy ich rodzinny apartament. Czy od czasu opuszczenia Coruscant ktoś tam był? Zostawili tam wszystkie ubrania i rzeczy jego mamy... Nie obchodziło go, co się stanie z jego dobytkiem, ale nie mógł znieść myśli, że służusy Jacena myszkują po ich mieszkaniu i obmacują wszystko swoimi brudnymi łapskami.

To tylko rzeczy, próbował się w myśli uspokoić. Nie myśl o tym. Czyszczenie przedmiotów jest niezdrowe. Wiesz, że mamie jest dobrze tam, gdzie teraz jest... Przecież ją widziałeś...

Samo myślenie o tym podnosiło go na duchu bardziej niż kiedykolwiek mógłby przypuszczać. Wiem, powtarzał sobie. Naprawdę to wiem.

Nagle Jedi wydali mu się najszcześniejszym gatunkiem galaktyki. Zwykłym istotom poskąpiono pewności co do tego, co je spotka po śmierci. Wiele ras inteligentnych wierzyło, że po ustaniu czynności życiowych istnieje jakaś forma egzystencji, a niektóre wręcz przeciwnie, ale tylko Jedi otrzymali błogosławieństwo rzeczywistego potwierdzenia, co się z nimi stanie. No, przynajmniej część z nich. Rzesze kaznodziejów i mistyków przekonywały pogrążone w żalu rodziny zmarłych, że mogą zapewnić im kontakt ze świętej pamięci bliskimi - Ben nie wiedział, czy była to prawda, jednak miał pewność co do jednego: że Jedi to potrafili i istniały na to niezbita dowody.

Jednak jak wszystko, i taki stan rzeczy miał swoje złe strony: co prawda był to przywilej i niezwykły dar, ale też fakt, że pozałowano go reszcie istot galaktyki, był dziwnie przygnębiający. Pewność, pomyślał smutno Ben. Tak

rzadko gościła w jego życiu. Chociaż ten jeden raz nie miał żadnych wątpliwości.

Poza szczotką we włosie której wplątanych było parę długich, kręconych rudych i białych kosmyków, w pudełku były dwa pierścionki, czip z danymi zawierający kilka rodzinnych holozdjęć, jak domyślał się Ben - i platynowy medalion. W środku zamykanego na haczyk wisiora znalazł skrzętnie poskładany kawałek flimsi. Kiedy go rozłożył, arkusik okazał się wygnieciony, jakby ktoś go kiedyś zmiął. Skreślono na nim kilka słów - poznał pismo matki. Notka głosiła: „Wybrałam się na polowanie. Za kilka dni wrócę. Nie złość się na mnie, chłopcze z farmy...”

Ben wpatrywał się w litery, wyobrażając sobie, jak jego matka je kreśli, a potem złożył starannie karteluszek i schował z powrotem do medalionu. Zabrał całe pudełko do swojej kwatery, położył szczotkę na biurku i ostrożnie, za pomocą cienkiej pęsety, wyjął z niej kilka włosów.

Teraz musiał je tylko umieścić w odpowiednim miejscu w obudowie robocika i pozwolić, żeby automatyczny mechanizm pobrał ich próbkę, żeby poddać ją badaniu. Nie potrwa to więcej niż minutę.

Ben czekał.

Wkrótce na pokrywie droida zapaliły się światelka sygnalizujące zakończenie procedury, a dane z analizy zostały przesłane prosto do jego datapada. „Zestawienie przebiegło ze skutkiem pomyślnym” - głosił napis.

I to by było tyle, westchnął w duchu Ben. Łamiąc pieczęć bezpieczeństwa robota, naruszał co prawda sterylność wnętrza - gdyby kierował się zasadami Wydziału Sprawiedliwości i CSB w sprawie gromadzenia dowodów, nic, co zbadalby za pośrednictwem tej jednostki, nie zostałoby już uznane za wiarygodne, a to oznaczało, że gdyby chciał oficjalnie rozwiązać sprawę, musiałby do zbadania poszlak użyć nowego automatu, autoryzowanego i nienaruszonego.

- Nie tym razem, mój mały przyjacielu - mruknął pod nosem, dezaktywując obwody uruchamiające alarm antyskażeniowy. - Zależy mi tylko na włosach.

Droid był malutki, a jego wewnętrzne mechanizmy przypominały skomplikowane dzieło jakiegoś szalonego chronomistrza-perfekcjonisty. Do wyjęcia zapieczętowanego pojemnika zawierającego włosy jego matki Ben musiał użyć długich, wyjątkowo cienkich szczypczyków - ich końcówki miały grubość włosa. Zamiast lśniącego, skręconego pasemka, które spodziewał się znaleźć w środku (co było raczej mało realne) jego oczom ukazał się pojedynczy włos. Ben miał ich co prawda pełną garść, wplątanych we włosie szczotki, ale tylko ten jeden, pojedynczy znaczył dla niego więcej niż cała reszta. Musiał go zatrzymać. Zwinął go na palcu w pierścionek i zamknął wraz z flimsoplastowym arkusikiem w medalionie. Kiedy eskadra wysłana na Fondora wróci, pokaże go ojcu, postanowił.

To było głupstwo, drobnostka, ale chciał to zrobić. Czuł taką potrzebę.

Podczas gdy kopiował dane do drugiego datapada, sprawdził swój notes: Shevu wysłał mu zaszyfrowaną wiadomość z aktualizacją danych.

„Ben, wiem, że to może być dla Ciebie trudne, ale chcę, żebyś to zobaczył. Rozmawiałem z bithańskimi senatorami, którzy byli świadkami kłótni między Twoją matką a J.S., na krótko zanim wyleciała z Coruscant na Hapes”, głosiła notka.

Ben otworzył plik, przygotowany na najgorsze. Wyglądało na to, że mama faktycznie naskoczyła na Jacena przy świadkach... Oskarżyła go publicznie o bycie Sithem i groziła mu. Shevu znał go na tyle dobrze, że wiedział, że go to zaboli, a mimo to nie chciał go chronić niewiedzą.

Nie mogę brać tego do siebie, powtarzał sobie w myśli jak automat. To nic takiego. Och, nie... Mamo, naprawdę nie byłem wart takiego zachodu... - jęknął w końcu w duchu, niezdolny dłużej trzymać świadomość z dala od siebie. Cena, którą zapłaciłaś... była zbyt wysoka...

Na widok niezbitego dowodu, świadczącego o tym, że jego matka ostrzegęła Jacena, żeby trzymał się od niego z daleka, utracił nowo odzyskany spokój ducha. Po chwili jednak wziął się w garść i postanowił spojrzeć na wszystko oczami Shevu: jakby to Mara zadarła z Jacenem, a nie na odwrót.

To był swego rodzaju zwrot w toku myślenia Bena - do tej pory był przeświadczony, że jego matka ścięgała Jacena, bo sądziła, że jest niebezpieczny i trzeba go powstrzymać - ale wiadomość Shevu zasiała w jego

myślach ziarno wątpliwości. Czyżby Mara planowała zrobić coś więcej, niż tylko go ostrzec?

Ben wiedział, że jego matka była twardą nieugiętą osobą. Od małego szkolono ją na skrytobójczynię - i walka była dla niej chlebem powszednim, jednak on wolał czcić jej pamięć jako bezbronnej ofiary, będącej ponad przyziemnymi pragnieniami takimi jak krwawa zemsta.

Czy to mnie czyni kimś złym? - spytał sam siebie.

Jakaś część jego, ja" była dumna z tego, że jego matka nie zawahała się stawić czoła Lordowi Sithów, jednak do ucha wciąż szeptał mu jakiś cichy, uparty głosik, każąc mu się zastanawiać, jak te ostatnie informacje pasują do obrazu nieuzasadnionej zemsty. Nie mógł też zaprzeczyć, że gdzieś w głębi duszy czuł się winny tego, że to on mógł być przyczyną całego zajścia - i gdyby tylko odpowiednio wcześniej przejrzał Jacena i jego zamysły i wyrzekł się go, jego matka mogłaby żyć.

Jego datapad zapikał, sygnalizując nadejście wiadomości: to jego ojciec próbował się z nim skontaktować przed wejściem w nadprzestrzeń.

„Ben, zapomniałem zabrać ze sobą medalion Mary” - pisał. - „Jest w pudełku w mojej kwaterze. Gdybyś był tak dobry i zakrzął- nął się w niej, zanim wrócimy, proszę - zaopiekuj się nim”.

Ben zamknął medalion i przycisnął go mocno do piersi. - Mam go, tato - powiedział. - Przechowam go dla ciebie.

Dzienna kabina admirałska, imperialny gwiazdny niszczyciel „Krasnopletwin”; stocznice Ravelina, Bastion

- Ile to już lat? - westchnął Pellaeon. - Trudno zliczyć, jednak wciąż nie mogę się nadziwić, jak świetnie wyglądasz. Starzejesz się z więcej niż godnością. Z urokiem!

Daala zabębniła palcami w blat stołu - dokładnie imitując rytm tajnej wiadomości, w której informował ją o sytuacji krytycznej - i uśmiechnęła się do niego prawdziwym, pogodnym, ciepłym uśmiechem.

- Pan wzywał? Obiecałam ci przecież, że zawsze zjawię się na twoje wezwanie, jak tylko użyjesz tego kodu - zupełnie jak Dara- kaer. W czym problem? - spytała rzeczowo.

- W Galaktycznym Sojuszu - odparł krótko Pellaeon.

- Ach, a więc chodzi o Jacena Solo i jego stosunki z admirał Niathal - domyśliła się. - Zamierza pobić rekord galaktyki w najszybszym doprowadzeniu do krwawej anarchii czy wygrać konkurs na najbardziej stylową czarną kreację? Rozumiem, że wszyscy wybieracie się na przyjęcie na Fondorze?

Pellaeon z radością stwierdził, że podziw, jakim darzył tę kobietę od lat, wciąż jest uzasadniony. Daala zniknęła na... (Ile to już lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć?) tyle czasu, a jednak nadal była na bieżąco i miała informacje z pierwszej ręki. Jej wywiad działał bez zarzutu. Stracił już rachubę, ile razy wypadła z gry, pozornie pokonana, a nawet uznawana za zabitą- a jednak raz za razem wracała, żeby dać Nowej Republice tego łupnia. Obserwowanie, jak kpi sobie z losu, było fascynujące, mimo iż w duchu wiedział, że powinien się jej bać.

Jeśli ktoś chciałby znać jego zdanie, to nadal zachowała swój imperialny przydział.

- Imponujące - powiedział głębokim, dźwięcznym głosem. - Doprawdy, imponujące.

Daala się roześmiała.

- Nigdy nie wychodziło ci naśladowanie głosu, ale muszę przyznać, że intonacja jest doskonała! - Wyciągnęła rękę przez dzielącą ich fotele przestrzeń i poklepała go po dłoni; gest był bardzo intymny - Daala była urodzoną uwodzicielką. Wszystko, co robiła, robiła z pewnością siebie osoby świadomej własnej potęgi i uroku. Znała swoje atuty i wiedziała, że nawet najbardziej niewrażliwi nie są na nie do końca odporni. - Fakt, może i wybrałam życie na uboczu, ale nie jestem ślepa ani głucha.

- Wolę nawet nie pytać o twój wywiad, moja droga... - mruknął Pellaeon.

Uśmiech Daali znów rozświetlił pogrążoną w półmroku kabinę.

- Nie zwykłam zdradzać dwóch rzeczy: wieku i źródeł.
- Miło wiedzieć, że siatka szpiegowska Rynów ma się dobrze - zauważył oględnie.
- I nie tylko.
- Tęsknię za naszymi małymi utarczkami słownymi, moja droga - wyznał.
- Ja też, Gil. Ja też - westchnęła Daala. - Ale do rzeczy, skoro już tu jestem. Co mogę dla ciebie zrobić?

Pellaeon nie miał pojęcia, czy zjawia się u niego z pustymi rękami, czy wciąż dysponuje własną flotą. Za każdym razem, kiedy udawało jej się uciec, zabierała ze sobą co najmniej kilka statków. Kiedy „skok w bok” Wielkiego Moffa Tarkina, jak złośliwie nazywali ją oburzeni i zazdrośni o jej karierę oficerowie (a był to jeden z łagodniejszych przydomków, jakie jej nadano), kierowała Laboratorium Otchłani, w Otchłani notorycznie znikwały eksperymentalne jednostki i modele broni. Pellaeon nie wiedział, co obecnie pani admirał chowa w zanadru. Równie dobrze jak rdza, pył i zbutwiały plastoid mogła to być najbardziej zaawansowana technologicznie flota w galaktyce, czekająca sobie ot tak, na najlepszą chwilę, żeby zaprezentować się w całej okazałości i zadać Republice ostateczny, miażdżący cios. Wiedział jednak, że nigdy się tego nie dowie, dopóki Daala sama nie uzna, że warto mu pokazać.

Cóż, sam fakt, że przetrwała wojnę z Yuuzhan Vongami, mówił już sam za siebie.

- Chcę, żebyś mnie osłaniała - powiedział. - Podczas akcji na Fondorze, a pewnie i jakiś czas później. Może jakieś małe porządki, jeśli Solo nie zdoła utrzymać tego, po co sięga? Ale jeżeli wygra, chcę mieć w pogotowiu siły, które będą mógł rzucić przeciwko niemu w razie, gdyby potraktował nas tak samo jak swoich byłych sojuszników i rodzinę. Jeśli zacznie chojrakować i przegra, będziemy musieli wkroczyć do akcji i zaprowadzić ład, bo Konfederacja nie zdoła utworzyć galaktycznej administracji, a pozostałe, niezrzeszone światy to jeden wielki chaos.

- My wiemy przynajmniej, z której strony zabrać się do sprawy, prawda? - westchnęła.

- Jakie karty możesz wyłożyć na stół, Daalo? - spytał bez ogródek.

Pani admirał założyła nogę na nogę i pochyliła się lekko w jego

stronę. Musiał przyznać, że niepokoiła go nieco opaska przesłaniająca jej oko - nie żeby ją szpeciła, wręcz przeciwnie, dodawała jej raczej nieco zawadiackiego szyku, a jej drugie oko zyskało dzięki temu przenikliwość szmaragdowozielonego laserowego promienia. Trudno było mu po prostu sobie wyobrazić, co takiego mogło się wydarzyć, że nie zdecydowała się na zastąpienie uszkodzonego organu protezą. Podobne operacje nie były niczym szczególnym, a Da- ala sprawiała wrażenie, jakby nosiła tę opaskę od bardzo dawna.

- Mogę - odparła po chwili przerwy - w ciągu standardowej godziny przysłać na Fondora pełną flotę. Co ty na to?

- Ile? - spytał. -I za ile?

- Powiedzmy, że nie lubię marnować środków, które znajduję, a całe mnóstwo światów, których obecności Sojusz nie przyjmuje do wiadomości, jest mi winne przysługi po wojnie z Yuuzhanami. Może i flota nie będzie ultranowoczesna, ale bez dwóch zdań niebezpieczna. Czy taka odpowiedź ci wystarczy?

Pellaeon pomyślał o tych wszystkich prototypach i technologii, sfinansowanych przez stare Imperium, które zniknęły bez śladu i nigdy nie ujrzały światła dziennego. Daala musiała utrzymywać w pogotowiu co najmniej kilka okrętów. Na pewno miała „Scyllę”, ale co jeszcze? Mimo wszystko ostatnimi czasy bitew nie wygrywało się samymi tylko dużymi statkami; przewagę gwarantowała elastyczność i zwrotność, więc znacznie bardziej w cenie były małe jednostki.

- Jacen Solo ma połowę Czwartej Floty SGS - powiedział.

Daala skinęła głową.

- Fondor spokojnie zdoła stawić czoło takiej sile ognia. Może nie ma druzgocącej przewagi, ale poradzi sobie.

- Ale SGS nie wysłał wystarczającej ilości sił lądowych, żeby zdobyć i utrzymać Fondor - zwrócił jej uwagę

admirał. - Zajęli tylko stocznie orbitalne, chociaż ludzi mają pod dostatkiem.

- A więc albo zamierza zniszczyć ich flotę, albo nie ma sentymentów wobec Fondora i nie będzie się cackał z samą planetą... -

Daala nawet nie tknęła swojego kieliszka. - Bo jeśli nie zniszczy ich floty i nie podbije świata, nie zdoła utrzymać stoczni. Będzie je okupował i odpierał ataki, a to oznacza mnóstwo zachodu. O ile ich również nie zamierza zniszczyć - zastrzegła.

- Jeśli chcesz spytać, czy znam jego zamiary, odpowiadam: Nie, nie znam.

- I nie boisz się rzucać do walki sił Imperium? - zdziwiła się.

- Bywało, że wchodziłem do gry, mając znacznie mniej.

- Bywało też, że na naszych oczach rządy planetarne rozpoczynały wojny, których nie potrafiły potem skończyć ani nawet osiągnąć tego, co początkowo stawiały sobie za cel - zauważyła trzeźwo Daala. - Gil, mam nadzieję, że twoje zamiary ograniczają się do trzymania Solo na oku, kiedy będzie się bawił w wojenkę; chcesz po prostu zobaczyć, kto wygra, mam rację?

Pellaeon wierzył w wartość swoich słów. Uczciwość była kwestią honoru, ale również zachowaniem o podłożu czysto pragmatycznym: jeżeli dotrzymywało się słowa, twoje groźby nabierały takiego samego realizmu jak twoje obietnice, a zobowiązania wobec sojuszników gwarantowały namacalne korzyści. Podczas wojny kłamcy tracili przyjaciół najszybciej.

Pellaeon zdał sobie sprawę, że właśnie przekracza cienką linię rozgraniczającą potwierdzenie, że wątpi w Jacena i jego plan awaryjny na wypadek, gdyby coś poszło nie po jego myśli.

Czy gdyby zaatakowano Bastion, młody Solo ryzykowałby dla nas swoją flotę? Nie musiał się długo zastanawiać, żeby znać odpowiedź. Brzmiała „nie”. Jacen Solo kierował się głównie niejasnymi podszeptami Mocy, a to oznaczało, że snucie z nim wspólnych planów i wiara, że je zrealizuje, były absurdem. Jedynym wyjściem dla Pellaeona w tej sytuacji było przygotowanie się na najgorszy scenariusz. Fakt pozyskania przez Imperium Borleias i Bilbringi wydawał się w świetle takiego obrotu spraw coraz bardziej błahy; podarunki rozdawane lekką ręką miały zawsze taką samą wartość.

- Halo? Bastion do Gila? - Daala poklepała go po kolanie.

- Wybacz, moja droga - zmieszał się lekko, wyrwany z zamyślenia.

- Czy poczujesz się pewniej, jeśli będę w pobliżu? - Wstała, jakby szykowała się do wyjścia. - Wszystko rozbija się w gruncie rzeczy o twoje poczucie odpowiedzialności. Siedzisz sobie bezpiecznie w swoim przytulnym domku, ale na ulicy trwa bunt, więc czujesz się w obowiązku wyjść i go stłumić. Jeśli tego nie zrobisz, twój dom wkrótce może przestać istnieć.

- Nie wiem, czy mam to uznać za cenną szczerość, czy po prostu próbujesz pobłażać starcowi, Daalo - wyznał z lekkim zakłopotaniem.

- A do tego te twoje chciwe dzieciaki będą się potem przepychać, byle tylko splądrować sklepy zniszczone podczas buntu... - Zamiast odpowiedzieć, Daala pokręciła głową i zamokła z udawaną dezaprobatą. - Moffowie są jak krnąbrni synowie, mój drogi. Powinieneś spróbować wyegzekwować konsensus.

- Ach, ach, moja królowo analogii - westchnął Pellaeon. Daala miała wrodzony talent, dzięki któremu potrafiła przywoływać skłóconych imperialnych przywódców za pomocą ledwie paru słów do porządku. Nigdy nie traciła czasu. - Spróbuję najpierw przemówić im do rozsądku.

- Nie kocham moffów, Gil - powiedziała pani admirał. - Mam nawet w planach zabicie kilku z nich, wiesz? - Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. - Oprowadź mnie po statku - zażądała, zmieniając temat.

Roztaczała aurę pewności siebie i wyniosłości. Gdziekolwiek się pojawiła, natychmiast zwracała na siebie uwagę, ale zdawała się kompletnie nie wiedzieć, jak piorunujące wrażenie robi na innych. Do tej pory plotka o jej pojawieniu się w porcie na pewno dotarła już do uszu kilku moffów - i ci, którzy natychmiast nie wpadli w panikę albo nie zaczęli się trząść z wściekłości, na pewno zadawali sobie pytanie: „Po co wróciła?” Pellaeon

oprowadził ją po pokładach „Krasnopłetwina”, jakby była zwykłym gościem, pokazując jej najbardziej interesujące punkty projektu typu Turbulent. Młodszy członek załogi nie miał pojęcia, kim jest ta czarująca nieznajoma, ale gdyby dwójka admirałów spotkała podczas swojej wycieczki któregoś z starszych moffów, imię „Daala” znalazłoby się na ustach wszystkich w mgnieniu oka.

Pellaeon nie miał zamiaru informować ich, że zamierzała wesprzeć Imperium. Skoro paru z nich zważało się z SGS, zanim on został oficjalnie poinformowany o porozumieniu, do uszu Jacena mogło szybko dotrzeć, jaką rolę w tym wszystkim ma odegrać pani admirał. A on chciał mieć w rękawie asa, którego w razie potrzeby mógłby wyłożyć na stół.

- Mówisz poważnie o tym zabijaniu moffów, Daalo? - spytał pozornie obojętnie.

- Tak. - Daala podziwiała właśnie nowiutki, wypolerowany na błysk przedział obsługi uzbrojenia statku. Przeciągnęła palcami po grodzi i musnęła pieszczołliwie krzywiznę obudowy działka. - Zabili Liegeusa. Kiedy się dowiem, którzy z nich za tym stali, wyrównam rachunki. Tu i teraz jestem wyłącznie do twojej dyspozycji i - w mniejszym stopniu - dla Imperium.

- Och... - odchrząknął Pellaeon. - Bardzo mi przykro... Ja... Naprawdę, bardzo, bardzo mi przykro... - Liegeus Vorn był pierwszą miłością Daali, pilotem (choć właściwie bliżej mu było to łotryka) i kiedy po jednej ze swoich spektakularnych ucieczek z pola przegranej bitwy pani admirał wycofała się na Pedducis Chorios, po latach rozłąki los znów ich pechnął w swoje ramiona. W tym spotkaniu był jakiś podnoszący na duchu romantyzm, ucieleśnienie powtórnej obietnicy szczęścia, za którą tęskni potajemnie każde złamane serce. - Jak... i kiedy? - spytał cicho.

- Detonator termiczny - wyjaśniła krótko Daala. - Czekałam pięć lat, żeby zbadać sprawę.

Daala była kolekcjonerką - co prawda bardzo niezwykłą bo kolekcjonowała wrogów. Wynikało to zresztą z charakteru wykonywanej przez nią pracy, a jej cierpliwość i zabójcza skuteczność przyprawiały o dreszcze niejedną istotę, która miała z nią na pieńku.

- Czy to wtedy zostałaś ranna? - spytał Pellaeon, wskazując na jej opaskę.

- Nadal nie wiem, czy to on był głównym celem, bo ktoś chciał mnie wkurzyć, czy zginął przez przypadek w zamachu na moje życie - westchnęła Daala, ignorując jego pytanie. - Dowiem się tego, kiedy znajdę sprawców i zadbam, żeby cierpieli długo i w mękach. Wtedy zrobię porządek ze swoim okiem - nie wcześniej, żebym... nie zapomniała - dokończyła cicho.

To nie wróżyło dobrze Imperium, jeśli jego nowy sojusznik był nadal w stanie wojny z kilkoma - może nawet większością - jego przywódców. Moffowie od zawsze byli bardzo wrogo nastawieni względem Daali - początkowo, bo była kobietą, a później dlatego, że była po prostu Daalą i nie tolerowała głupców, zaś mniej utalentowanych od niej oficerów traktowała z góry. Teraz mieli tego pożałować - na własną prośbę. Admirał Daala nigdy nie zapominała, nie wybaczała ani się nie poddawała.

- Gdyby wiedział, nie zwracałbym ci głowy... - Pellaeon położył delikatnie dłoń na jej plecach i pokierował dalej korytarzami statku. Zbliżali się znów do lewoburtowej bramki; jeden z oficerów, nieco starszy niż jego koleżdy żółtodzioby, zagapił się na Daalę i odprowadził ją wzrokiem z otwartymi ustami. Kiedy Pellaeon napotkał jego spojrzenie, stało się dla niego jasne, że mężczyzna wiedział, kim jest jego znajoma. - Pamiętaj tylko, że ostatnimi czasy paru moffów przejrzało na oczy - mruknął pod nosem. - Może nawet jeden z drugim do czegoś by ci się przydali? Dysponująca taką władzą kobieta nie musi prowokować, żeby samce z krzykiem na ustach ruszały do obrony swojego męskiego terytorium. Weźmy na przykład takiego Lecersena, to stosunkowo nowy nabytek...

- Zapamiętam to nazwisko i oszczędzę go - obiecała Pellaeonowi.

- Nie wiem jeszcze kiedy, ale poinformuję moffów, że wracasz oficjalnie do czynnej służby... w charakterze mojego doradcy - dodał znacząco.

- No tak, słówko „flota” wszczęłoby ogólną panikę.

- .. i mogłoby skłonić Fondora do uległości - dopowiedział.

- Zachowajmy na razie nasz mały sekret dla siebie. - Daala wzięła jego rękę w swoje dłonie i uściśnęła

serdecznie. - Będziesz miał cały czas otwarte połączenie na moim kanale i poinformujesz mnie najwcześniej, jak się da, kiedy planujesz skok, a ja ze swojej strony obiecuję, że w razie potrzeby będę na miejscu w ciągu kilku minut.

- Minut?

- Mam na myśli rejon ześrodkowania albo krótki skok przez nadprzestrzeń - wyjaśniła. - Zaufaj mi.

Ochrona na bramce nie spuszczała z niej wzroku, kiedy schodziła przejściem na pirs. Pellaeon szacował, że wieści o jej wizycie rozejdą się po Ravelinie w ciągu najwyżej trzech godzin. Komandor, który zbłądł na jej widok, podszedł do Pellaeona i prawie stanął na baczność.

- Sir, czy to jest ta osoba, o której myślę?

- Starsza siostra mojej niesfornej czeredy - rzucił lekko admirał. Miał ochotę trochę sobie pożartować kosztem oficera. - Nie sądzisz, że najwyższy czas, żebyśmy dochowali się moffa kobiety?

Komandora dosłownie zatkało. Pellaeon był co prawda więcej niż pewny, że Daala nad moffowanie zdecydowanie bardziej ceniła sobie funkcję admiralską ale sam pomysł obsadzenia ją na takim stanowisku wydał mu się niezwykle zabawny. Przez całą drogę powrotną do swojej kabiny uśmiechał się pod wąsem, a kiedy był już u siebie, usiadł w oczekiwaniu na najnowsze wieści od Wywiadu.

Daala nie pytała o Niathal, a to znaczyło, że znała sytuację kalama-riańskiej admirał. Wszystko wskazywało na to, że każdy traktował jednego ze współprzywódców Sojuszu jak szarlatana w czerni, którego w każdej chwili może dopaść jeden z jego słynnych już ataków furii, a Kalamariankę sprawującą rządy wraz z nim jak ucieleśnienie spokoju w bieli, z którą można ubijać interesy, nawet jeśli - a przynajmniej zdaniem moffów - jest tylko słabą istotą płci żeńskiej.

Daala i Niathal miałyby wiele tematów do rozmowy, gdyby się spotkały, uznał.

Nalał sobie kapkę ciemnego jak smołodrzew spiryty syropu i dolał nieco wody, po czym podniósł szklanekę, wznosząc swój prywatny toast:

- Za panie na mostku - powiedział - i panów na szczeblach niżej.

Punkt stacjonowania Trzeciej Floty: centrum operacyjne, kwatera główna floty

- Pani admirał?

Niathal czuła lekkie zniecierpliwienie czekającego obok młodego porucznika. Był Nimbanelem, a przedstawiciele tej rasy nie spotykało się często wśród personelu floty, chociaż byli znani ze swoich rozlicznych zalet. Ten tutaj był oficerem do spraw informowania o nieprzewidzianych wypadkach.

To był bardzo neutralny, oględny tytuł jak na osobę, której zadaniem było przekazywanie bliskim smutnych wieści, stwierdziła.

- Pani admirał...

Niathal odwróciła się powoli w jego stronę.

- Proszę mi wybaczyć, poruczniku - westchnęła. - Tak, słucham?

- Proszę pani, eskadra stawiaczy min... Zlecono mi wizytę w bazie. Czy chciałaby pani, żebym zrobił coś poza normalnym zakresem obowiązków?

Gratulacje, pani admirał, powiedziała do siebie gorzko w myśli. Właśnie zabiła pani setkę własnych ludzi, nie dając im nawet cienia szansy na obronę. Oto do czego dochodzi, kiedy zdradza się szczegóły operacji wojskowych...

- Domyślam się, że wszyscy pochodzą z tego samego środowiska? - spytała.

- Tak jest, proszę pani - potwierdził porucznik, sprawdzając coś w swoim datapadzie. Kiedy Niathal zerknęła mu przez ramię, zobaczyła przewijające się przez ekran linijki tekstu - listę. To były nazwiska. - Eskadra to mała i

zżyta ze sobą społeczność, zresztą nic rzadkiego w jednostkach specjalistycznych. Muszę przyznać, że mamy do czynienia z bardzo dużą liczbą ofiar jak na jedną operację - zauważył ostrożnie. - Chcemy zaproponować ich rodzinom dodatkowe wsparcie.

Dodatkowe wsparcie... Co za prosty, wyzuty z emocji język, pomyślała Niathal. Cóż, właściwie była to jedyna rozsądna alternatywa dla destrukcyjnej powodzi emocji nierozzerwalnie związanej ze śmiercią. Jak dotąd ta wojna pochłonęła już tysiące ofiar. Niathal nauczyła się godzić z takimi rzeczami już na początku swojej kariery, ale dziś patrzyła na własne dzieło: notes komputerowy pełen informacji, które były wynikiem jej decyzji. Wiedziała, że ta lista nazwisk symbolizujących ofiary, żywe istoty, będzie ją prześladować do końca życia. Oficerowie często musieli podejmować trudne decyzje, mając świadomość, że część członków ich załóg nie wróci z misji, ale tym razem... to było coś zupełnie innego.

A na co liczyłaś, ujawniając Luke'owi Skywalkerowi informacje o planowanej akcji, co? - spytała się znów z wyrzutem. Czego się spodziewałaś? Naprawdę myślałaś, że Fondor po prostu wyśle kilka statków, żeby nastraszyć i wykurzyć stawiacze min? Kilka strzałów ostrzegawczych i po krzyku?

Zestrzelili je. Wszystkie, co do jednego. Wiesz zresztą doskonale, że zrobiłabyś na ich miejscu dokładnie to samo.

Zawsze tak było: podobne, ponure, pozornie drobne wydarzenia stawały się punktami zwrotnymi, które całkowicie zmieniały bieg rzeczy, jednak tylko nieliczni - jak na przykład syn kapitana Nevila, Turl, czy porucznik Tebut - zdawali sobie z tego sprawę. Niathal porzuciła roztrząsanie tych ponurych wieści i próbę przypisania śmierci do rozmaitych kategorii, nadania im nazwy: „śmierć spowodowana koniecznością poświęcenia jednej misji dla innej, o krytycznym znaczeniu”, „śmierć spowodowana brakiem kompetencji”, bo w istocie za tym wszystkim stało tylko jedno: taktyka, podstępne, celowe zdradzenie informacji z zimną krwią. Dopuszczając się tego, osobiście skazała tych ludzi na śmierć.

Dzięki temu lądowała najniżej, jak się dało, w kanale zarezerwowanym -jak jej się kiedyś zdawało - wyłącznie dla Jacena Solo.

Szpiegowalaś dla wroga, szeptało jej sumienie. Świadomość, że ujawniłaś informacje prawemu, żadnemu sprawiedliwemu Jedi, żeby pomieszać szyki jakiemuś małemu tyranowi, gotowemu na wszystko, byle tylko wygrać jakąś chorą wojnę wydaną chaosowi, nie złagodzi w najmniejszym stopniu cierpienia bliskich tych ofiar. Rodziny tych załóg nie będą czuły się przez to ani trochę mniej opuszczone.

- Proszę im powiedzieć, że bardzo mi przykro - powiedziała w końcu do porucznika. - Proszę przekazać im moje najszczerze wyrazy współczucia.

- Tak jest, proszę pani.

Niathal z trudem skupiła się z powrotem na wyświetlaczach kontrolnych i mapach, rozświetlających łagodnym blaskiem pograżone w półmroku centrum operacyjne. Jednostki z Czwartej Floty, wysłane przez Jacena, od jakiejś godziny powinny być na miejscu, tworząc już blokadę. Teraz grupa zadaniowa była wystawiona na bezpośredni atak, a Fondorianie wiedzieli, że statki SGS planują natarcie. Jacen mógł się teraz albo wycofać, albo trwać na stanowisku, próbując opracować nową strategię.

Bitwy rzadko toczyły się zgodnie z planem, ale nie w taki sposób. Czekają przy komunikatorze wystarczająco długo, uznała.

- Pułkowniku Solo - warknęła. - Czy teraz raczy pan ze mną porozmawiać?

Miała z „Anakinem Solo” połączenie holoaudio; już wkrótce ekran zamigotał i pojawiła się na nim postać Jacena - stał z rękami założonymi za plecami przed szeregiem konsol kontroli uzbrojenia.

- Pani admirał, nastąpił przeciek informacji - powiedział chłodno bez zbędnych wstępów.

Tylko spokojnie, nakazała sobie w myśli.

- Domyślam się - odparła krótko. - Jakie są twoje najbliższe plany, pułkowniku? Dostaliśmy informację, że Fondor jest przygotowany na atak.

- Domyślam się - powtórzył jej słowa.

- To może być dobra chwila na podjęcie rozmów, teraz kiedy nie mogą nas zignorować.

- Straciliśmy przewagę zaskoczenia. - Jacen był wcieleniem spokoju. W tej chwili do centrali wszedł kapitan Piris, Quarren dowodzący „Szczołdrosią”, odwracając na chwilę uwagę Niathal od rozmowy. Nie podzielała typowej dla wszystkich Kalamarian rezerwy wobec Quarrenów, wręcz przeciwnie - ostatnio czuła do nich coraz większą sympatię, tylko częściowo wynikającą z faktu pochodzenia z tej samej planety. W obliczu wciąż rosnącego zdziwienia Jacena wydawali się wyrażać swoją opinię o nim bardziej otwarcie niż większość ludzi. Nie bali się go. - Pani admirał, planuję równocześnie zaatakować cztery stocznie orbitalne rozmieszczone wokół planety, związać walką ich floty i je... unieszkodliwić - poinformował uprzejmie Jacen.

Podobne stocznie były zazwyczaj wyposażone w systemy obronne, niedorównujące jednak w najmniejszym stopniu sile gwiazdnych niszczycieli. Fondor będzie musiał wysłać im na ratunek wsparcie, więc w tym punkcie plan Jacena wydawał się rozsądny, jednak na tym jego zasadność się kończyła.

- Chcesz rozbić stocznie w pył - zgadła.

- Możliwe, że to będzie konieczne - przyznał niechętnie Jacen.

- Ale to całkowicie sprzeczne z tym, co uzgodniliśmy - zaprotestowała Kalamarianka. - Co to ma być, jakiś sabotaż?! Na wszystkich bogów, pułkowniku, co to ma znaczyć? Nie może pan co chwila zmieniać planu bitwy według własnego widzimisię...

- Ufam mojej więzi z Mocą.

- Która radzi panu...? Co takiego radzi panu ta pańska Moc? - spytała zaczepnie.

- Uczynić z Fondora przykład - odparł z powagą Jacen.

- Starczy tego! - jęknęła. Nie obchodziło jej, że wszystko rozgrywa się na oczach personelu centrali. Jeśli zostały jej jakieś resztki zdrowego rozsądku, wykorzysta nieobecność Jacena na Coru- scant do zwołania w trybie pilnym posiedzenia Senatu i ogłosi, że pozbawia młodego Solo obowiązków przywódcy Sojuszu - i od tej pory będzie podejmować wszystkie decyzje samodzielnie. To jednak wymagało czasu, którego jej brakowało, poza tym nie miała złudzeń, że taki krok przyczyni się do nasilenia chaosu i zwiększenia natłoku problemów, w tym konieczności udzielenia odpowiedzi na pytania takie jak na przykład: „Co Jacen może w takiej sytuacji zrobić i gdzie zechce wysłać swoją grupę zadaniową?” Musiała lecieć na miejsce i interweniować. I to szybko. Nie wierzyła, że Moc powstrzyma młodego Solo przed poświęceniem tysięcy istnień, żeby tylko przesłać galaktyce wiadomość - a ta chwila była równie dobra, jak każda inna, żeby spróbować go powstrzymać. Nie mogła liczyć na to, że nadarzy się ponowna okazja do podjęcia odpowiednich kroków. - Nie chcę słyszeć, że masz przeczcucie, pewność czy co tam jeszcze. Chcę konkretów: godziny rozpoczęcia operacji, zasięg, siła wojska. Pułkowniku, wysyłam teraz nad Fondor grupę zadaniową Trzeciej Floty - poinformowała. - Zjawię się na miejscu osobiście za około sześć standardowych godzin.

Spodziewała się, że Jacen wykpi ją albo zrobi jej na złość, rozpoczynając atak natychmiast, jednak on tylko pochylił lekko głowę - tak jak mieli w zwyczaju Jedi - i uśmiechnął się pod nosem.

- Wspaniale, pani admirał - powiedział. - Dysponując naszymi siłami i wsparciem Szczałków Imperium, będziemy mogli odizolować Fondor i jednocześnie zająć stocznie.

Jacen nigdy nie porzucał własnych pomysłów, godząc się na rozwiązania zaproponowane przez innych, więc Niathal czuła, że coś tu jest nie tak. Przerwała gwałtownym ruchem połączenie; wściekłość podsyciła jeszcze poczucie winy, które z takim wysiłkiem starała się wciąż stłumić. Rozejrzała się po centrum operacyjnym, zerkając na pochylone plecy personelu, próbującego udawać, że wcale nie słyszał sprzeczki dwojga współprzywódców Sojuszu i Jacena Solo, zdradzającego w ich obecności kluczowe szczegóły planu ataku.

Piris stał obok, cierpliwie czekając.

- Tym razem posunął się za daleko - stwierdziła stanowczo Niathal. - Musi odejść. - Wiedziała, że wszyscy ją słyszą. - Kapitanie, czy jesteście gotowi?

- Tak jest, proszę pani - nadeszła odpowiedź. - Flota może w każdej chwili ruszać. Admirał Makin przesyła wyrazy szacunku i przekazuje, że grzeje dla pani fotel na „Oceanie”.

Wraz z Pirisem opuściła budynek i już wkrótce lecieli śmigła- czym floty do bazy.

- Wiesz, czego najbardziej mi brakuje? - zagadnęła Quarrena, zastanawiając się, na co też jej przyszło w tym punkcie tak - zdawałoby się - pewnej, przewidywalnej kariery. - Tego, że nie mogę osobiście dowodzić.

- Jest pani naczelnym dowódcą sił zbrojnych i pierwszą współ- przywódczynią, proszę pani - zaprotestował uprzejmie jej kolega. - Ma pani do dyspozycji całą marynarkę.

- To nie to samo, Piris - westchnęła. - Skaczę ze statku na statek, jak jakaś teściowa wpadająca w odwiedziny, wchodząc w paradę innym dowódcom, odsuwając ich na chwilę od ich obowiązków, wydając rozkazy, podczas gdy to oni powinni grać na swoich statkach pierwsze skrzypce... Brakuje mi prostoty. Tęsknię za dniami, kiedy wiedziałam, że odpowiadam za statek własną głową i czułam się na pokładzie jak w domu - otwierałam drzwi do własnej kabiny i potykałam się o własne rzeczy...

- Mawiają, że flota powinna być elastyczna i dyspozycyjna - zauważył Piris.

- Jestem staroświecka.

- To godne pochwały, ale przynajmniej nikt nie będzie od pani wymagał, żeby odchodziła razem z własnym statkiem...

Jacen był bardzo przywiązany do „Anakina Solo”, jednak Niathal miała wrażenie, że traktuje statek jak swego rodzaju trofeum, zupełnie jakby chwalił się najbardziej odlotowym sportowym śmigaczem w mieście. Nagle w jej umyśle pojawiła się wizja holo- kreskówkowej, karykaturalnej postaci młodego Solo w jego trzepoczącej czarnej pelerynie, gramolącego się do ostatniej kapsuły ratunkowej na statku, podczas gdy biedny kapitan Nevil stoi dzielnie na płonącym mostku „Anakina”, z dumnie wyprostowanymi mackami i wyprężoną u czoła ręką - w ostatnim salucie, wypełniając powinności, na które jego przełożonemu zabrakło odwagi.

Pozwól mu spłonąć, Nevil, powiedziała do kapitana w myśli.

Jednostki grupy zadaniowej Trzeciej Floty czekały na opuszczenie orbity i sygnał do skoku, odkąd straciły kontakt z „Anakinem Solo”. Jeśli Niathal powie Pirisowi, że wcale nie planowała postawić się tak drugiemu współprzywódcy, nie uwierzy jej - nie miała co do tego wątpliwości.

Cóż, czasem gdybanie zmieniało rzeczywistość, co było tym dziwniejsze, jeśli ewentualne scenariusze wydawały się ucieleśnieniem podświadomych pragnień.

Jeżeli Niathal miała odsunąć Jacena Solo od władzy, lepiej, żeby doszło do tego z dala od Coruscant, w miejscu, gdzie przestrzeń pozwalała na wykorzystanie przewagi floty, uznała.

Zamachy stanu wymagały skrupulatnie opracowanych planów - wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny, bo sama pomagała wcielić Jacenowi w życie jeden z nich. Krok po kroku była mamiona pozorami słuszności, ale teraz, kiedy oglądała się za siebie, widziała, jak wiele wiary w nim pokładała. Zupełnie niesłusznie, jak się okazało. Nadszedł czas, aby powstrzymać postępujące zepsucie - i Niathal zamierzała zrobić, co w jej mocy.

- Zazwyczaj o wszystkim decydują drobnostki, prawda, proszę pani? - zagadnął ją Piris, kiedy szli do jednostki, która miała ich zabrać - odpowiednio - na „Szczerzość” i „Ocean”. - Jeden płatek śniegu wywołuje lawinę.

Albo czyjś syn, dopowiedziała w myśli Niathal.

Albo tysiąc obcych istot.

Albo oglądanie się za siebie, na to, kim było się kiedyś, zanim to wszystko się zaczęło...

- Nie wiem, ilu dowódców pójdzie za mną - westchnęła cicho.

Nie powiedziała dokał. Podcinanie Jacenowi skrzydeł będzie

krokiem oportunistycznym, podjętym bez namysłu ryzykiem, ale przynajmniej nie zostawi miejsca na odkrycie przez innych konspiracji, o którą ktoś mógłby ją podejrzewać, gdyby spróbowała zamachu stanu i jej się nie powiodło.

Piris przeciągnął dłonią po mackach, zupełnie jak człowiek głaszczący w zamyśleniu brodę.

- Nigdy nie będziemy mieli pewności, dopóki nie nadejdzie ta chwila - powiedział refleksyjnie. - Ale jednej rzeczy jestem pewien - nie będziemy sami.

ROZDZIAŁ 11

Jak mogę wysłać żołnierzy do walki bez planu działań? Nawet jeśli w ostatniej chwili wszystko ma się zmienić, muszę mieć coś pewnego, coś, od czego będę mógł zacząć. Solo słynął z tego, że wiedział, czego chce, a teraz... wszystko to jakieś bzdury, sztuczki Mocy - nie mogę tak pracować! Zmienił się. A co, jeśli to nie Moc go prowadzi? Co, jeżeli ma po prostu omamy?

pułkownik Pichaff, dowódca ds. szybkiego reagowania, grupa zadaniowa Sojuszu na Fondorze

Mandalmotors, Keldabe

- A więc ta Jedi nie chce naszych *Bes 'uliikel* - spytał Jir Yomaget. - Szkoda. Z linii produkcyjnej właśnie zszedł jakiś tyśiąc na eksport.

- Przyleciała tu, żebyśmy ją nauczyci, jak ma upolować swojego brata - wyjaśnił obojętnie Fett. Hangar był zapchany myśliwcami *Bes 'uliike*. Znajdowali się w sekcji prototypów i niektóre z maszyn wyglądały nieco... ekscentrycznie. - Pomagamy jej razem z Be-viinem.

- Delikatna sprawa - parsknął Yomaget. - Zbuduję jej wibromłot.

- Dobrze sobie radzi z maszynami - dodał Fett. - Zapracuje na swój pobyt, jeżeli ma zostać dłużej.

- Jasne, jeszcze tego nam tu trzeba: Jedi patrzącego nam na ręce i wtykającego nos w nie swoje sprawy, a potem rozgłaszającego tajemnice naszej technologii - prychnął Jir.

- A co by jej z tego przyszło? Wie, jak machać *beskadem*, ale to nie czyni z niej Beviina.

Tak samo było z eksportem. Myśliwce *Bes'uliike*, sprzedawane rządowi innych planet i - od czasu do czasu - zamożnym kryminalistom, były wersją zubożoną jak mawiał Yomaget: powolniejsze, o cieńszym *beskarowym* pancerzu i lżejszym verpińskim uzbrojeniu. Mimo to wciąż były na głowę X-wingi, więc klienci nie narzekali. Tak czy inaczej, gdyby nawet udostępnić im najlepsze *Bes 'uliike*, zarezerwowane wyłącznie dla Mandalorian, nie potrafiliby nimi latać ani walczyć jak *Mando*.

- To jak ubieranie banthy w *beskar 'gam* - gderał Yomaget. - Niezły ubaw, a bantha może i czułaby się bezpieczniejsza, gdyby coś z tego rozumiała, ale... to nie pancerz czyni żołnierza.

- Więc?

- A właśnie. *Tra'kad*. Jeśli masz trochę miejsca na próbny spacer, bierz go.

- Toczy się wojna - przypomniał mu Fett. - Miejsca jest aż nadto.

- Jesteśmy neutralni - wytknął mu Yomaget.

- Ale to nie znaczy, że nie możemy pracować jako najemnicy...

- Skoro uważasz, że ci się przyda, jest twój. - Jir wzruszył ramionami.

Zdaniem Fetta *Bes 'uliike* były czymś w rodzaju latających dzieł sztuki. W porównaniu do nich *Tra'kady* wydawały się... toporne. To było najlepsze określenie. Jakiś czas temu miał okazję oglądać jeden egzemplarz podczas lotu testowego. Nie było w nim ani śladu gracji, jednak kanciasty kształt maszyny i dobra manewrowość bez dwóch zdań przemawiały na jej korzyść. Fett bez trudu potrafił sobie wyobrazić, jak pojazd dostarcza żołnierzy do kluczowych punktów w obleżonym mieście, przywierając płasko do okna albo do otworu w ścianie budynku, czy też jak osłania z bliska wojska lądowe. Wspiął się na kadłub i stanął na podstawie obrotowej wieżyczki. W gruncie rzeczy statek był dwudziestometrową *beskarową* płytą z działkami na każdym

rogu - na górze i na dole. Na wierzchniej płycie pancerza umieszczono także modułową obrotową platformę zbroijną. Fett dokonał w myśli paru obliczeń i stwierdził, że statek ma dobrze ząbujące się obszary rażenia poszczególnych działek. Był chroniony z każdej strony, nie miał żadnych martwych punktów.

- I co, Verpinowie nie stawiają dodatkowych warunków? - spytał podejrzliwie.

- To przestarzała technologia - wyjaśnił Jir. - Dla nich to właściwie żadna korzyść, za to dla nas czysty zysk.

Pokrywa jednego z górnych włazów odskoczyła i ze środka wynurzyła się głowa Baltana Carida. Uśmiechał się od ucha do ucha.

- Mam nadzieję, że nie cierpisz na klaustrofobię, Fett - rzucił. - Wskakuj do środka.

Boba Fett przecisnął się przez właz i znalazł w ciasnej kabynie, otoczony zewsząd skomplikowanymi układami. Wnętrze wypełniała platanina rur i pokręteł, jakby żywcem wyjęta ze starego holofilmu. Zza uchylonego wewnętrznego lewoburtowego włazu wylewało się światło i dobiegał słaby, metaliczny dźwięk, jakby ktoś coś dokręcał. Fett zajrzał do sąsiedniej kabiny i zobaczył Rama Zerimara - snajpera, którego poznał w czasach, kiedy Korelia chciała wynająć elitarny oddział superkomandosów Fetta, *Ori 'ramikade*. Ram nastawiał właśnie celownik jednego z działek, energicznie kręcąc zębatką. W pewnej chwili przerwał, jakby napotkał opór, i sprawdził wskaźniki.

- Testuję, jak szybko można tym cudem wycelować - odezwał się. - Dzięki temu zdobędę pewność, że nie wyszedłem z wprawy, *Mandalorze*. - Wskazał labirynt przekładni i zaworów. - Spójrz tylko: jeżeli nawet wszystko trafi *osik*, statek przez jakiś czas może sobie radzić bez zasilania. Gdyby nas przysmażyli, wszystkie najważniejsze systemy można obsługiwać ręcznie za pomocą systemu kół zębatych, przewodów i sprężonego gazu. Mamy nawet nie- zużywające energii ekrany światłowodowe, dzięki którym można celować i kontrolować, co się dzieje na zewnątrz. Fakt, wymaga to mnóstwa pracy, ale za to jest genialne, jeśli chodzi o unikanie kłopotów. - Mrugnął. - Albo ich powodowanie.

Fett wśliznął się do niszy i wyrzwał przez właz, przecinający na przestrzał metalowe cielsko *Tra 'kada*, idealnego do ewakuacji żołnierzy pod ostrzałem. Statek był wręcz stworzony dla pesymistów. .. albo wybitnych pechowców.

Szkoda, że nie mieli takiego sprzętu podczas wojny z Vonga- mi... Może wtedy matka Dinui by nie zginęła?

Fett zastanowił się przelotnie, czy dziewczyna myślała o swojej matce tak często, jak on o swoim ojcu.

- Ile osób liczy załoga? - spytał rzeczowo.

- W razie nagłej sytuacji może go pilotować jeden człowiek, i to z różnych punktów na statku. Standardowo do obsługi potrzeba pięciu ludzi, a jeśli chodzi o to, ilu może pomieścić, to jeszcze nie testowaliśmy. Następny model będzie mógł się też poruszać w środowisku wodnym.

- Następny wielozadaniowiec - mruknął Fett pod nosem. Yoma- get przecisnął się i stanął obok. Miał obsesję na punkcie budowania maszyn, które potrafiłyby dosłownie wszystko. Tak naprawdę była to typowa cecha Mandalorian, którzy najbardziej cenili sobie niezależność i przygotowanie na każdą ewentualność. - Kosztem...?

- .. prędkości - westchnął Yomagat.

- W porządku. Przy najbliższej okazji zabierzemy go na mały lot próbny. - Fett podciągnął się i wyszedł ze statku przez górny właz. Jego myśli krążyły już wokół sposobów wykorzystania zdolności pojazdu do utrzymywania przy braku zasilania. Na pewno można by z tego zrobić użytek w sytuacji innej niż tylko ekstremalna... Pułapka, przyszło mu do głowy. Cóż, liczy się nie tylko wygląd zewnętrzny.

Czujniki jego HUD-a zarejestrowały jakiś ruch - po podłodze przemknął kłębek brązowego futra: *vhe 'viin*. Te małe gryzonie także korzystały z urodzaju, uczując beztrusko. Wszystkim wiodło się coraz lepiej. Kiedy Fett wyszedł tylnymi drzwiami z hangaru, zobaczył wijący się aż po horyzont ciemny pas ziemi, rozkopanej podczas ciągnięcia wody do nowej osady, położonej pięć kilometrów na południe. Mimo to *Mando* kopali też studnie - *ret'lini*. Na wszelki wypadek, jako plan B.

- A więc za to też zapłaciłeś, Yomagat - bardziej stwierdził, niż zapytał.

Szef MandalMotors stanął obok i podniósł do oczu odpiętą od pasa elektrolornetkę.

- Taa - mruknął. - Zapewniam też robotnikom wyżywienie. Zapasów nie starcza dla wszystkich nowych, ale akurat to wkrótce ma szansę się zmienić.

Fett był wciąż zafascynowany tą cechą swoich ziomków. Man- dalorianie, kochający kredyty tak samo jak każda inna rasa w galaktyce, nie potrzebowali ustanawiać praw, aby dzielić się tym, co mieli, z innymi, kiedy dobrze im się wiodło. To była bardzo ważna zasada sztuki przetrwania i chociaż Fettowi nie przyszło to łatwo, w końcu i on ją przyswoił.

- Jeżeli Jaina Solo zarzuci nam zdziczenie i brak kultury, pokażę jej to wszystko - powiedział, zapalając silnik swojego repulsorowe- go skutera. - Najwyższy czas wracać do szkolenia naszego gościa.

Boba Fett cieszył się, że Beviin zgodził się go zastąpić na jeden dzień. Dzięki temu mógł choć przez chwilę swobodnie odetchnąć - a teraz, kiedy miał na głowie Sintas, bardzo tego potrzebował. Mirta najwyraźniej spodziewała się, że będzie siedział cały czas przy łóżku swojej żony, jednak tak naprawdę nie było nic, co mógłby dla niej zrobić. Mógł najwyżej opowiedzieć Sintas historię jej życia - poza oczywiście latami, kiedy go przy niej nie było - ale to raczej nie przyspieszyłoby jej powrotu do zdrowia.

A gdyby tak Jedi mogli ją uleczyć...? - przemknęło mu przez myśl.

Ostatnio Fett rozmyślał głównie podczas jazdy skuterem. Kiedy wracał do „Niewolnika I”, zostawionego na lądowisku obok jego opustoszałego przez większość czasu domu, ciągle zawracali mu głowę jacyś petenci, żądni odpowiedzi na swoje niekończące się pytania. Kiedy był w trasie, nikt nie mógł go złapać. Poza tym w samym rytuale gnania przed siebie bez celu było coś... kojącego - tak samo jak w ustalaniu kursu „Niewolnika” i w samotnych wyprawach na Zewnętrzne Rubieże.

Niestety, nawet wtedy jego ziomkowie mogli się z nim skontaktować poprzez komunikator wbudowany w hełm. Na jego wyświetlaczu zamigotał właśnie bursztynowy symbol połączenia i Fett mrugnął, żeby odebrać.

- Kopę lat, Fett - popłynęło z głośników. Głos był głęboki, dźwięczny, dystyngowany i Fett rozpoznał go ułamek sekundy wcześniej, zanim z krańców pamięci napłynęło imię. Minęło jakieś dwanaście lat. Cóż, wiedział, że prędzej czy później ona znowu się pojawi.

- Pani admirał - przywitał się. - Dobrze znów panią słyszeć.

- A więc żyjesz, tak samo jak ja.

Rzadko miała dla niego zlecenia, ale te nieliczne zawsze były interesujące.

- Zamierzasz wzbogacić swoją kolekcję o *Bes 'uliikal*

- Jesteś taki przyziemny, Fett - w jej głosie zabrzmiała żartobliwa przygana. - Ciągle tylko o interesach.

- A więc o co chodzi?

- Dobrze, intratne zlecenie dla najemnika.

Cóż, nie był to może szczyt jego marzeń, ale przecież cały czas dostawał podobne propozycje, które tylko potwierdzały, że nadal jest zapotrzebowanie na jego usługi. Wciąż był jednym z najlepszych w tej branży, a Daala nadal plasowała się wysoko na liście jego pracodawców. Starych nawyków trudno się było pozbyć.

- Zobaczymy - rzucił krótko. - Co to za zlecenie?

- Jacen Solo.

- Ach tak?

- Słyszałam o twojej córce... - dodała Daala.

- A co, pomieszał ci szyki? - wszedł jej w słowo. - Nigdy bym nie pomyślał, że macie na pieńku.

- Wracam do gry razem ze Szczątkami Imperium - wyjaśniła.

Fettowi przemknęło przez myśl, że ta wiadomość na pewno wprawi wszystkich moffów w euforię. Prawie się uśmiechnął.

- Na jak długo tym razem?
- To zależy. Gil Pellaeon zamierza wesprzeć Solo na Fondorze. Domyślam się, że wiesz, co się tam szykuje.
- Mam swoje źródła informacji.
- To może się nimi ze mną podzielić? Co powiesz na jakąś setkę ludzi?
- Zależy, co planujesz.
- Chodzi mi o wsparcie. Chciałabym, żebyś mnie ubezpieczał... powiedzmy, że ze względu na stare, dobre czasy. Czekam w pogotowiu, na wypadek gdyby Pellaeonowi coś... wypadło. Moffowie mogą nagle zmienić zdanie, tak samo zresztą jak Sojusz.

Ale przecież tutaj jest Sintas, przyszło mu natychmiast do głowy. I Jaina Solo...

Sam fakt, że o tym pomyślał, przeraził go. Nigdy wcześniej nie musiał się przejmować takimi rzeczami. Zawsze mógł lecieć, gdzie mu się żywnie podoba i robić to, za co mu dobrze płacono, bo w jego życiu nie było nikogo, o kogo musiałby się troszczyć.

- Fett? Jesteś tam? - spytała Daala. - Chodzi o honorarium? Jeśli tak, to się nie martw. - Ciągle mnie na ciebie stać.

- Zastanawiam się tylko nad jedną rzeczą - uspokoił ją. - Moja była żona się znalazła. Żywa.

Teraz to Daala zaniemówiła na dobrą chwilę.

- Cieszę się - powiedziała w końcu.
- To nie tak - westchnął. Nie zastanawiał się już, działał instynktownie: praca, interesy. Ty sam ustalasz zasady, przypomniał sobie. - Dobra. Może nie setka, ale zjawię się z solidną eskortą. Prześlij mi szczegóły.
- Będziesz mi potrzebny już za jakieś dwadzieścia cztery godziny... - ostrzegła go.

Fierfek! - zaklął w myśli, na głos jednak powiedział tylko:

- Umowa stoi. Warunki takie jak zawsze.

Zaparkował przy głównym wejściu na farmę Beviina, cały czas zastanawiając się, jak wszystko zorganizować. Teraz nie mógł myśleć o niczym innym; nie wolno sobie pozwalać na sentymenty. Ta jedna chwila wahania to już i tak było stanowczo za dużo. Kiedy skrzydła drzwi się rozsunęły, przestronna sala, w której gotowano i jedzono posiłki - centrum życia rodzinnego domu - nie wiedzieć czemu przypominała mu arenę na Geonosis: czuł się osaczony. Za sfatygowanym, drewnianym stołem siedziały Mirta i Jaina, między nimi zajmowała miejsce Sintas. Obok Beviin i Medrit, z nogami niedbale założonymi na ławę i skrzyżowanymi na piersiach ramionami, rozmawiali o jakichś błahostkach.

Kiedy Fett przekroczył próg, wszyscy przerwali to, co akurat robili i jak na komendę spojrzeli w jego stronę. Poczul się przytłoczony - do tego stopnia, że z trudem oparł się chęci ucieczki.

Masz siedemdziesiąt jeden lat! - skarcił się w duchu. Nie możesz wiecznie przed tym uciekać.

Zdjął hełm i skinął Sintas głową chociaż wiedział, że go nie widzi.

- Sin? - rzucił, automatycznie używając zdrobnienia, którym dawniej się do niej zwracał. Nie wymawiał tego imienia od wielu dziesięcioleci i natychmiast poczul się nieskończenie głupio, jakby popełnił potworną gafę. Cóż, mógł mieć tylko nadzieję, że Sintas nie zwróciła na to uwagi. - Jak się dziś czujesz?

- Boba Fett - mruknęła.

- Tak - potwierdził. Nie było odwrotu, tryby maszyny zostały wprowadzone w ruch. Przeniósł spojrzenie na Jainę, bo nie mógł wytrzymać wzroku Mirty. - A więc pamiętasz...

- Sam mi to powiedziałeś... - westchnęła. - Wczoraj... a może to było kiedy indziej? - Wyglądała całkiem nieźle. Cóż, tak naprawdę wyglądała świetnie, musiał to przyznać - ale właściwie zawsze tak było. Na szyi miała zawieszona ogniste serce. - Może umknęło mi kilka ostatnich dni, ale nie zapominam tego, co ktoś mi niedawno powiedział. - Odsunęła swoje krzesło, wstała i niepewnie, ostrożnie wymacując drogę, zaczęła obchodzić stół. Mirta natychmiast zerwała się na równe nogi, żeby je pomóc, a Beviin i Medrit niezwłocznie zabrali nogi z blatu. Sintas sama podeszła prosto do Fetta i złapała go za ramię, prawie na niego wpadając. - Och, nosisz zbroję! - parsknęła.

W tej chwili Fett nie mógł myśleć o niczym poza chęcią zakończenia tego wszystkiego - tak jak podczas walki. Nie zastanawiał się, słowa popłynęły same:

- Pamiętasz, co ci zrobiłem?

Sintas wbiła w niego niewidzące spojrzenie.

- Nie. Wiem tylko, że minęło bardzo dużo czasu, ale wreszcie mnie znalazłeś. A skoro minęło dużo czasu, to na pewno bardzo się zmieniłeś.

Nie mógł się dłużej powstrzymać, nawet jeśli miał jej zadać ból.

- Rozstaliśmy się, Sin - powiedział cicho. - Jakiś rok czy dwa po narodzinach Ailyn. Przykro mi.

Sintas zawsze była twardą sztuką. Cóż, w końcu łowczyni nagród potrafi wiele znieść. Fett wiedział, że właśnie zaczyna się dla niej nowe życie. Będzie musiała sobie jakoś radzić z wieloma przeciwnościami losu. Okłamywanie jej na samym wstępie nie było dobrym początkiem.

Kobieta zmarszczyła lekko czoło.

- Ale przecież mnie uratowałeś - powiedziała z namysłem - więc na pewno nie jesteś skończonym gnojkiem...

Musiał coś z tym zrobić; nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Poszukał spojrzeniem Beviina, który zawsze ratował mu *shebs* w takich sytuacjach. Przyjaciel dyskretnym gestem dał mu znak, żeby wyszedł. Mirta ostrożnie posadziła Sintasa na krzesło, a Jaina wyszła za Beviinem na zewnątrz, jakby czuła się zaangażowana w całą sprawę.

- *Bob'ika*, Sintas pamięta pewne rzeczy sprzed karbonitu - powiedział cicho Beviin. - Ale niewiele. Wie, że pochodzi z Kiffu i że miała córkę. Jaina sądzi...

- Co o tym myślisz, Jaino? - przerwał mu Fett. - No, dalej! Podziel się z nami swoimi mądrościami Jedi.

- Próbuję tylko pomóc. - Jaina cofnęła się o krok, rozkładając bezradnie ręce. - Mój ojciec przechodził przez to samo, zapomniałeś? Mama opowiadała mi, jak marnie z nim było.

- Wyobraź sobie, że pamiętam - parsknął z przekąsem.

- No dobrą przepraszam - bąknęła, zbита z tropu. - Pomyślałam po prostu, że ktoś mógłby pomóc Sintasa, a przynajmniej przywrócić jej wzrok. Dał jej szansę zacząć wszystko od nowa i uniezależnić się od...

- Ode mnie?

- Od wszystkich.

Beviin podszedł bliżej.

- Spokojnie. Wysłuchaj przynajmniej, co dziewczyna ma do powiedzenia - zaproponował. - Możliwe, że mogłaby jej sprowadzić uzdrowiciela. Jedi. Kogoś, kto się na tym zna.

Jaina odruchowo się wzdrygnęła, spodziewając się ze strony Fetta protestów, ale jednocześnie wyczuła, że jest wewnętrznie rozdarty. Jeżeli Sintasa odzyska wspomnienia... jeżeli on wypełni białe plamy w jej pamięci... przyjdzie jej żyć z potwornym brzemieniem. Ale co na to poradzić? Kim będzie jego była żona, jeżeli przyjdzie

jej żyć w taki sposób?

Jest jeszcze wcześniej, przekonywał się Fett w myśli. Może się jej polepszyć. A więc dlaczego to dla mnie takie trudne? Czy naprawdę chcę, żeby spędziła resztę swojego życia jak jakieś chore zwierzę, którym nieustannie trzeba się opiekować?

- Po prostu próbuję tego wszystkiego uniknąć - odezwał się w końcu. - To dla mnie trudne. Ale ona ma rodzinę, nawet jeżeli nie jestem już jej częścią. Musi więc odzyskać całe swoje życie, nawet te najtrudniejsze chwile. Sprowadź uzdrowiciela.

Jaina bez słowa wróciła do domu, a Beviin czekał w milczeniu, z rękami opartymi na biodrach. Wyglądał na zawiedzionego.

- Wierz mi, zmieniłbyś zdanie o swoim wspianiałym *Mand'a-lorze*, gdybyś się dowiedział, co jej zrobiłem - odezwał się Fett.

Beviin wzruszył ramionami.

- Opowiesz mi o tym, kiedy będziesz gotów.

- Tak czy inaczej, na razie mam robotę. A dokładnie jutro. Odezwała się do mnie Daala. Potrzebuje wsparcia dla Pellaeona na Fondorze.

- *Shab!* - Beviin wyglądał na niezłe wkurzonego, a rzadko mu się to zdarzało. - Musiała wrócić właśnie teraz? Świetne wycucie czasu - parsknął. - Leć. Zajmiemy się Sintas, nie martw się. Idź.

- Goran, opiekuj się nią dobrze?

Fett wiedział, że Beviin wołałby lecieć razem z nim.

- W porządku.

- Nie jestem ślepy - dodał Fett. - Myślisz, że to wymówka... że uchylam się od odpowiedzialności, tak?

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- Owszem. - Beviin był jedyną osobą na której szacunku mu zależało. - Cenię sobie twoje zdanie.

- Tak? W takim razie wrócisz tam teraz i powiesz Mircie i Sintas, że wyruszasz jutro na wojnę. I Jainie, że prawdopodobnie będzie tam też jej brat. *Shab, Bob 'ika*, imperialni grają teraz w drużynie Jacena Solo! Chcesz na niego zapolować, mam rację?

Fett, przygotowując się na powrót do domu, nie spodziewał się takiego obrotu spraw.

- Jedno jest pewne - mruknął. - Nie będę mu kibicował.

- Wszystko słyszałam, ty parszywy *shabuirze*. - Fett aż się wzdrygnął na dźwięk głosu Mirty. Wnuczka podeszła prosto do niego i pchnęła go z całej siły w pierś. - Czy ty nigdy się niczego nie nauczysz? Jeżeli wybierasz się po Jacena Solo, idę razem z tobą. Żeby pomóc moją matkę. A co z Jainą?

- Widzę, że się zaprzyjaźniłyście... - westchnął Fett.

- Jest tu już jakiś czas. - Mirta wzruszyła ramionami. - Rozmawialiśmy dziś rano o mamie... i o członkach rodziny, których chcielibyśmy pokochać, ale którzy ze wszystkich sił nam to utrudniają- dodała znacząco.

Fett mógł skontaktować się z Daalą i powiedzieć jej, że nic z tego, ale obiecał jej już, że weźmie tę robotę... dał słowo. I chociaż nie mógł zmienić przeszłości, teraz wiedział, z kim powinien się sprzymierzyć, żeby wpłynąć na przyszłość.

- Może Jedi też powinna z nami lecieć - przyznał z ociąganiem. - Przeciwicy sobie przynajmniej na sucho to, z czym wkrótce przyjdzie jej się zmierzyć. Zadowolona, Mirto? — Rzadko zwracał się do wnuczki po imieniu. On także chciałby ją pokochać, ale w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, jak się do czegoś takiego zabrać, od czego zacząć. Cóż, ona przynajmniej kochała Orade'a... Ta myśl przyniosła mu pewną ulgę - jak to dobrze, że

przynajmniej ona była zdolna do uczucia - i ucieszyło go to, bo znaczyło, że nie jest mu obojętna. - Myślisz, że to dobre wyjście?

- Zrób to. Po prostu idź tam i to zrób - poprosiła.

Posłuchał i wrócił do domu. Zanośliło się na długi dzień; musiał zmierzyć się ze wszystkim, co go czeka, krok po kroku. Nie wszystko naraz. To nie jest najlepsza chwila na informowanie Sintas, że być może jutro poleci walczyć z człowiekiem, który zabił jej córkę. To może poczekać, aż wróci, uznał. Jeżeli wróci. Mirta zabrała Sintas z powrotem do jej pokoju, Medrit poszedł posiedzieć przy niej, więc Fett postanowił porozmawiać z Jainą.

- Dobra, Solo - odezwał się. Teraz wydawała mu się kimś zupełnie innym niż ta dziewczyna, która ledwie kilka dni temu przybyła do Keldabe. Nie była już zdeorientowana, nie wyczuwał w niej ani odrobiny żalu, którego mógłby się po niej spodziewać. Sprawiała wrażenie kogoś, kto z całej siły stara się zrozumieć i odnaleźć w nowej sytuacji. - Czeka cię mały sprawdzian. Możliwe, że jutro złożymy wizytę twojemu braciszкови. Na linii frontu.

Dzienna kabina kapitańska, „Anakin Solo”, przestrzeń w okolicy Fondora

Na ich miejscu już dawno rozpyliłbym mnie na atomy, myślał Caedus.

Czekając na wsparcie Niathal, starał się wyczuć poprzez Moc nastroje wśród żołnierzy, szykujących się do obrony Fondora. Czekali. Cóż, on też czeka.

Nie jestem wszechmogący, westchnął w myśli. Muszę znać własne ograniczenia. Wciąż potrzebuję ludzi do realizacji moich planów.

Między planetą a stoczniami na orbicie panował spokój; wstrzymano nawet kursy promów - ale to było do przewidzenia, skoro lada chwila spodziewali się ataku. Jednak nigdzie nie było śladu fondoriańskiej floty, co oznaczało, że wyskoczy z nadprzestrzeni. Zostali widocznie ostrzeżeni, tak jak w sprawie stawiaczy min, więc uciekli.

I na pewno wrócą kiedy nadejdzie właściwy moment, ale tym razem on będzie na to przygotowany. Wydawało mu się, że nadprzestrzeń kipi wzmożoną aktywnością - odbierał to jak coś na kształt ucisku, który często czuł w głębi oczodołów na kilka godzin przez burzę. Dosłownie się w niej kotłowało. I było tam znacznie więcej jednostek, niż liczyła cała Trzecia Flota czy nawet nadchodzące z odsieczą siły Pellaeona.

A ona go zostawiła...

Niathal. Przeciek musiał nastąpić wśród jej ludzi - nikt z jego załogi nie ważyłby się postąpić tak lekkomyślnie. To z pewnością był któryś z jej kalamariańskich albo quarreńskich ziomków, próbujących podkopać jego autorytet w oczach załogi. Może nawet wrobili go w to specjalnie, chcąc umożliwić Niathal przejście władzy i usunięcie go ze stanowiska?

Koniec tego dobrego, pani admirał, powiedział do niej w myśli. Muszę znaleźć możliwie najmniej kłopotliwy sposób na wyrzucenie cię z mojego podwórka.

Za każdym razem, kiedy opuszczał Coruscant, spodziewał się, że Niathal będzie próbowała się go pozbyć, ale na próżno. A to znaczyło, że albo chce, żeby wygrał dla niej wojnę, zanim przypisze sobie wszystkie zasługi, albo czeka, aż on da się zabić. Cóż, jeśli tak, to się przeliczy. Jeżeli przywłaszczysz sobie pod moją nieobecność całą władzę, moja droga, zrobię wszystko, żeby odbić Coruscant, postanowił. Ale na pewno nie kosztem planety-miasta...

0 nie, stolica galaktyki zanadto ucierpiała podczas ostatniej wojny,

I wciąż jeszcze dochodziła do siebie. Nie mógł sobie pozwolić na brutalność. Nie, kiedy w grę wchodziło serce jego nowego imperium. To serce musiało pozostać nienaruszone.

Niathal była typową oficer marynarki, od płetw do głowy. Nigdy nie będzie potrafiła myśleć jak prawdziwy przywódca galaktyki. Nawyki z okresu kierowania flotą były tak głęboko zakorzenione w jej psychice, że próbowała manipulować nim z mostka swojego okrętu, jakby miała do tego jakieś prawo. Ona i Pellaeon byli siebie wari. Obojgu nie ufał ani odrobine. Trzymali się z nim tylko z powodu nacisków moffów czy załóg

statków - inaczej już dawno by mu się postavili.

Tebut... cóż, żałował, że tak wyszło. Mógł to rozegrać inaczej. A może jej przeznaczeniem było ukazać mu, że prawdziwy gniew Sithów powinien służyć wyższym celom? Musi wierzyć, że nie doszło do tego bez powodu. Wstąpiłem na tę ścieżkę dla wszystkich Tebut galaktyki, wszystkich szarych istot zginających karki przed garstką nędzników, którzy wykorzystują swoją władzę dla niecznych celów, powtórzył sobie. Przecież nigdy nie pozwoliłbym sobie na bezmyślne zabijanie, tylko dla kaprysu... prawda?

Zmroziła go nagła myśl, że oto wkracza na zgonną ścieżkę, którą kroczył jego dziadek. A przecież każdego dnia widział dowody na to, że tak nie jest. Poza tym to był tylko jednorazowy akt, przypadek, a za rządów Vadera w ten sposób ginęli ludzie każdego dnia. Cóż, Vader został okaleczony przez miłość, a w dodatku wypełniał rozkazy tego obłąkanego głupca, Imperatora. A w psychice Caedusa nie było rozpraszejającej trzeźwy osąd miłości, nie był też niczyją marionetką.

Tak. Śmierć Tebut to sygnał, który przesłała mu Moc. Był tego pewien.

Śmierć? Nie mógł zaprzeczyć: zabił ją. I musi się z tym zmierzyć, a co więcej - wyciągnąć z tego naukę.

Przeszłości nie można zmienić, ale trzeba z niej wyciągać wnioski. Studiowanie historii miało sens jedynie wtedy, kiedy dostrzegało się popełnione w niej błędy i uczyło na nich, jak kształtować własny los, jak podejmować decyzje - bo od tego właśnie zależała przyszłość: od dokonywanych wyborów. Tahiri ciągle jeszcze nie umiała się z tym pogodzić - chociaż wiedziała, że Anakin odszedł na zawsze i każde spojrzenie wstecz ją spowalnia. Caedus był jednak pewien, że wkrótce ją tego odczyty. Tak będzie lepiej i dla jej, i dla niego.

Nagle wyczuł nikłą, znajomą obecność w Mocy: Niathal. Była już blisko. Nie czuł jednak zagrożenia, a jedynie chęć pomocy. Jak powinien postąpić? Czego się nauczył?

Oficerowie czasem giną, zwłaszcza na wojnie, powtórzył sobie w myśli.

Będzie wiedział, co zrobić, kiedy przyjdzie czas. Nie mógł zrażać do siebie żołnierzy Niathal, robiąc z niej męczennicę. Musiał mieć ich po swojej stronie. Nie zdoła wiecznie robić wszystkiego sam, a strach nie sprawdzał się dobrze jako narzędzie utrzymywania porządku - nie na dłuższą metę.

- Sir? - Z zamyślenia wyrwał go głos Tahiri. Wiedział, że nadchodzi, ale nie wiedzieć czemu zignorował to.

- Tak, Tahiri?

- Jest coś, co mnie niepokoi - mruknęła Veila.

Cóż, jeśli znów chodzi o Anakina... będę bardzo rozczarowany, pomyślał. Czasami tak łatwo było ją czytać poprzez Moc...

- Tak?

- W jaki sposób przeprowadzisz ten atak po przybyciu Niathal? Jak po tym wszystkim masz zamiar z nią współpracować?

A więc nie chodziło o Anakina, tylko o przyszłość. Odetchnął z ulgą.

- Zakładam, że to pytanie retoryczne?

- Nie. - Wyglądało na to, że Tahiri stara się podczas tej misji możliwie jak najwięcej nauczyć. - Nie widzę innego wyjścia. Nie możesz się jej pozbyć ot, tak.

- Dlaczego?

- Nie zdołasz cały czas kontrolować całej floty sam, bo nawet Sithowie dysponują ograniczonym czasem. Dlatego potrzeba ci jak najwięcej lojalnych oficerów. Jeżeli Niathal cokolwiek się stanie, uznają że nikt nie może czuć się przy tobie bezpieczny.

- Zdziwiasz mnie ostatnio, Tahiri. - Pokręcił z niedowierzaniem głową. A do tego chcesz iść w moje ślady, dodał w myśli. A ja się już martwiłem, gdzie znajdę godne zastępstwo dla Bena Skywalkera... - Według mnie Niathal jest bliska popełnienia błędu i nie zamierzam jej od tego odwozić. Wręcz przeciwnie, jeszcze jej w tym

pomogę.

Tahiri wyglądała, jakby przeżuwała i trawiła każde jego słowo - i nie była zbyt zadowolona z ich smaku.

- Te lądowania w stocznich na orbicie... - podjęła ostrożnie. - Przywódcy floty zaczynają się niepokoić. Podśledzałam na mostku komunikaty do kapitana Nevila. Są niezadowoleni. Żądają potwierdzenia czasu i współrzędnych.

- Nie mogę im ich jeszcze podać. Czy nie mają wywiadu w stocznich? - Caedus pomyślał o Nevilu. Przypomniał sobie, jak podczas incydentu z Tebut cisnął nim o gródź. Może źle go ocenił? Musiał z powrotem przeciągnąć go na swoją stronę. - Czy Nevil próbował ich uspokoić?

- Tak.

- To tylko nerwy.

- Oczywiście, sir.

- Wiesz co, Tahiri? - dodał, wspominając Jacena Solo, tamtego Jacena, który potrafił zagrozić do walki cały oddział żołnierzy. - Pokażę im, że nie siedzę tylko beczynnym, pilując sobie paznokietki. - Otworzył schowek, w którym trzymał swój kombinezon pilota i inny, zapomniany sprzęt. Dawniej wyglądał jak jeden z nich, jeden z jego własnych ludzi; teraz nadszedł czas wrócić do tego symbolu - ku pokrzepieniu serc. Zdjął swoją czarną pelerynę i naciągnął kombinezon, po czym aktywował komunikator. - Hangar Delta? Przygotujcie mój stealthX. - Tahiri czekała na jego rozkazy. - Przyjrzę się temu wszystkiemu z bliska - wyjaśnił. - Znam te plotki powtarzane po kątach. Coruscańską Gwiazdę dostają z urzędu dowódcy, którzy trzymają się w bezpiecznej odległości od linii frontu. A ja nie chcę, żeby mnie nią udekorowali. Nigdy w życiu.

Szacunkowy czas do przybycia Niathal wynosił jedną standardową godzinę. Wystarczy akurat na sprawdzenie kilku punktów. Po drodze do hangaru nie mógł nie zauważyć, jakie nastroje panowały wśród załogi: przeważało zwątpienie i brak wiary. Caedus z trudem stłumił wzbierający w nim gniew.

Jego widok w hangarze sprawił techników pokładowych w wyraźne zakłopotanie.

Spraw, żeby uwierzyli w to, że nam się uda, powtórzył w myśli. Dawniej byłeś dla nich wzorem i inspiracją. Na reputację pracuje się długo, a wystarczą sekundy, żeby ją stracić. A tamto... to były tylko sekundy. Zwykłe potknięcie. Zwykła... lekcja.

- Pora na mały rekonesans - oznajmił beztrząs, przestawiając się automatycznie na ich język, schodząc do ich poziomu. - Nigdy nie proszę nikogo o coś, czego nie potrafię zrobić sam.

Wyprowadził stealthX w usianą gwiazdami próżnię i obliczył skok na stocznie. Kiedy chwilę później wrócił do zwykłej przestrzeni, był tylko małą czarną, niemożliwą do wykrycia plamką przemykającą pośród gwiazd, tak jasnych na tle kosmosu. W chwilach takich jak ta czuł się jak duch: widział wszystko tak dokładnie, tak wyraźnie, samemu nie będąc widzianym.

Kiedy przeciął przestrzeń nad pierwszą stocznia orbitalną wy- gładającą jak strzała o grocie długim na kilka kilometrów, zauważył kontury gwiazdnych niszczycieli, otoczone różnymi konstrukcjami, żurawiami, siecią rur i płataniną kabli. Czuł napływający od przyczajonych w dole istot strach i oczekiwanie na atak. Za krzywizną planety rysowała się sylwetka następnego punktu, skierowanego w jego stronę: kanciasta bryła z licznymi wypustkami, wystającymi z górnej i dolnej powierzchni. W miarę jak się do niej zbliżał, dostrzegał gęszczące budynków i struktur tworzących uprzemysłowione osiedle. Obejrzał wszystko dokładnie i z bliska, bez pośpiechu przelatując obok. I znowu to samo: emocje napływające od oczekujących najgorszego robotników, niepokój i agresja - a do tego wszędzie uzbrojone statki, zdeterminowane, by odeprzeć jego atak. Fondor nie był dużą planetą, ale jego stocznie, zatrudniające miliardy istot, miały strategiczne znaczenie. A on musiał je przywrócić Sojuszwowi... albo wykluczyć z gry.

Nie wierzył, żeby Szczątki Imperium korzystały z nich zgodnie z zasadami i grały fair.

Moffowie dostaną Borleias i Bilbringi; chwilę im zajmie podziwianie tych cacek, dzięki czemu on zyska czas na umocnienie swojej pozycji i zdoła zapobiec zakusom na wprowadzenie własnego ładu.

Przez chwilę zdawało mu się, że wyczuwa poprzez Moc znajomą aurę, ale uczucie było krótkotrwałe i ulotne.

Zaraz zastąpiła je dojmująca świadomość gotowości bojowej jego kapitanów i dowódców; postrzegał ją jak żywą sieć połączonych ze sobą punktów, które zmieniały położenie, przesuwały się i obracały niczym na holomapie. Caedus miał lepsze rozeznanie w teatrze wojny, niż mógłby mu zapewnić najnowocześniejszy sprzęt, i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział też, jak trudno było jego podwładnym zaufać tak niepojętemu i tajemniczemu dla nich zjawisku jak Moc.

W jego polu widzenia coś zamigotało, ale kiedy chciał się lepiej przyjrzeć, błysk zniknął.

Może w ogóle nic tam nie było? To główna wada świadomości bitewnej: im więcej widział dzięki niej, tym bardziej zagłębiał się w szczegóły i tym trudniej było mu czasem oddzielić wizje oglądane oczyma duszy od tego, co postrzegał zmysłem wzroku.

W punktach orbitalnych, które zdążył skontrolować, zanim skończył mu się czas, roilo się od statków - większość wyglądała, jakby już kończono je budować. Właściwie to nigdy nie przypuszczał, że Fondor produkuje ich aż tyle. A to zmieniało postać rzeczy: to nie będzie walka o następną, byle jaką planetę, tylko o cel kluczowy dla przyszłych wydarzeń.

Wszystko byłoby zdecydowanie prostsze, gdyby udało się sprawa z minami, westchnął w duchu.

Dokonał krótkiego skoku w pobliże „Anakina”. Ta technika dla niewrażliwych na Moc pilotów X-wingów była czymś niepojętym, pomyślał z rozbawieniem. Pewnego razu ktoś rzucił półzartem, że jeśli Jacen Solo dalej będzie tak skakał na ślepo, wpakuje się z nadprzestrzeni prosto na swój superniszczyciel. On wyczuwał jednak instynktownie miejsce swojej maszyny w trzech wymiarach, a nawet więcej. Widział ją dokładnie i wyraźnie.

Tutaj, właśnie tu...

...i nagle znalazł się z powrotem w zwykłej przestrzeni. W pobliżu majaczyła sylwetka „Anakina Solo”, otoczonego konstelacją fregat, krążowników, promów desantowych, lotniskowców i dziesięciu gwiazdnych niszczycieli.

Trzecia Flota Niathal - właściwie grupa zadaniowa, ale wygodnie było myśleć o niej jako o osobnej flocie, bo właściwie nie stanowiła części zintegrowanej marynarki - zajmie siły obronne planety, podczas gdy on przejmie punkty orbitalne. Szczątki Imperium będą patrolowały zewnętrzne granice, przygotowane na powrót fondoriańskiej floty. Caedus uznał, że zaplanował wszystko całkiem dobrze. Nawet naleganie oburzonej Niathal, że koniecznie musi osobiście pokazać mu, jak sobie ze wszystkim poradzić, doskonale wpisywało się w jego plan. Tak naprawdę Niathal mogła zrekompensować brak pola minowego.

Caedus sięgnął poprzez Moc do swoich dowódców i dodał im nieco pewności siebie: wszystko pójdzie dobrze, uspokoił ich. Nevil... Kiedy się na nim skupił, wyczuł jego zdenerwowanie. Ach, prawda... niedawno zginął jego syn. Caedus zupełnie o tym zapomniał. To go trochę przygnębiło, jednak nie zaprzętał sobie tym głowy. Skupił się mocniej na ucisku w głębi oczodołów - to nikłe wrażenie pozwalało mu wyczuć pozycje statków, zgromadzonych w pobliżu - i na flocie Niathal, która powinna właśnie wyskakiwać z nadprzestrzeni...

Teraz!

Rozejrzał się nerwowo w poszukiwaniu rozbłysków światła, towarzyszących pojawianiu się statków w przestrzeni. Kiedy zwolnił, kątem oka zauważył eksplozję jasności i ostrożnie podprowadził swój stealthX w pobliże, żeby mieć lepszy widok. Miał rację - Trzecia Flota zjawiała się w sama porę. Statki pojawiały się w przestrzeni kosmicznej jeden za drugim, jak sztuczne gwiazdy: chaotyczne konstelacje światła pozycyjnych i zalanych słonecznym blaskiem krzywizn kadłubów. Systemy wczesnego ostrzegania Fondora powinny już do tej pory wykryć zagrożenie.

Tamci ciągle mogli się jeszcze poddać. Caedus robi, co będzie musiał, ale tylko dla dopełnienia formalności. Jeżeli się poddadzą Sojusz i tak zostawi na planecie swoje wojska, żeby pilnowały porządku. A to będzie wymagało kolejnych nakładów...

Cóż, w każdym razie wciąż mógł jeszcze liczyć na fondoriańską marynarkę.

Wyczuwał ją w nadprzestrzeni, a więc inaczej niż gdyby znajdowali się w zwykłej przestrzeni. Nie było żadnych wskazówek, którymi mógłby się kierować - tylko nikłe wrażenia, przeczucia.

Na razie jednak musiał się skupić na Niathal.

Nawiązał połączenie - w tej odległości od statku łączność była całkowicie bezpieczna. Operacje z użyciem stealthX-ów prawie zawsze przeprowadzano w całkowitej ciszy, dzięki czemu wysłedzenie ich graniczyło z cudem. Były dosłownie niewidzialne.

- Solo do Nevila. Trzecia właśnie przybyła. Połącz mnie Z „Oceanem” - rzucił do komunikatora.

To będzie... Lepiej nie, przemknęło mu natychmiast przez myśl. Zmienił zdanie. Obrócił swój myśliwiec o dziewięćdziesiąt stopni i położył na prawą burtę - ułamek sekundy później jego oczy, minimalnie wolniejsze od zmysłu Mocy, dostrzegły wyrastającą tuż przed nim bryłę okrętu. I nie był to „Anakin”. Ustawił kurs na flotę, ale nagle wokół zaczęły pojawiać się jeden po drugim statki, otaczając go ścisłym pierścieniem. Ze wszystkich stron jego stealthX okrążyły najeżone masztami, antenami czujników i pocętkowane włazami kadłuby okrętów. Widział wieżyczki uzbrojone w działka, ale nie potrafił ich zidentyfikować - nie miał pojęcia, co to za jednostki, nie rozpoznawał ich kształtu ani typu. Był osaczony przez flotę z innego miejsca i czasu.

Czuł obecność statków, ale brakowało mu wrażenia grozy, odczucia przytłaczającej masy. Czujniki pasywne jego maszyny potrzaskiwały bezradnie wyładowaniami, jakby porażone impulsem elektromagnetycznym nie zdążyły przesłać ostrzeżenia. Mimo to Caedus wyczuwał niebezpieczeństwo. Coś im zagrażało.

Dlatego zrobił to, co zrobiłby na jego miejscu każdy inny pilot: zasygnalizował zagrożenie najlepiej, jak umiał, próbując jednocześnie dojść, na co właśnie trafił.

Okręt flagowy admirał Niathal „Ocean”, przestrzeń w okolicy Fondora

Spokój na mostku statku Niahfal zmaćił chaotyczny i dziwnie głośny komunikat nadany z pokładu myśliwca Jacena Solo.

- Statki wroga, powtarzam, statki wroga, około pięciu niszczycieli nieznanego typu, dwadzieścia lekkich krążowników... nie, piętnaście... w zasięgu jakichś pięciuset metrów...

Niathal wlepiła zaskoczony wzrok w tablice kontrolne. Nic. Tylko statki, których się spodziewała - jednostki z Trzeciej i Czwartej floty. Rozejrzała się wokół, szukając jakiegoś prostego wytłumaczenia, a załoga sekcji kontroli działań wojennych - wszystkich dziesięciorgo oficerów - odwzajemniła jej zdezorientowane spojrzenie. Byli co do jednego równie zakłopotani jak ona. Na ekranach nie było śladu ostrzeżeń przed niezidentyfikowanymi jednostkami. Po chwili jedna z kobiet odwróciła się do swojego monitora i zaczęła gorączkowo stukać w klawiaturę, wpisując polecenia. Nikt nie odezwał się słowem. Wszyscy zasiadający za pulpitem zajęli się sprawdzaniem, wyszukiwaniem i próbą odpowiedzi na pytanie, co przeoczyli, a co podobno czyhało na nich na zewnątrz, niewidoczne w pustce przestrzeni. Czyżby skok przez nadprzestrzeń zakłócił działanie sensorów? Czy za chwilę mogli zostać rozpyleni na atomy?

- Co on wyprawia? - Niathal w osłupieniu przyglądała się odczytom z czujników. Zachodziła w głowę, co się dzieje. Czyżby przeszkodziła Jacenowi w zmierzającym do podniesienia morale, wstępnym badaniu reakcji przed atakiem? Pamiętała dziwne, obce sztuczki, które czasem stosował w sytuacjach takich jak ta. - Pułkownik Solo? Tu „Ocean”. Nie widzimy celów, powtarzam, nie widzimy celów...

Oficer wachtowy i młodszy oficerowie śledzili uważnie sytuację za przednim panelem widokowym, nerwowo poszukując zagrożenia, o którym mówił Jacen, a którego śladu nie widzieli. Na zewnątrz nie było nic niepokojącego, chociaż - sądząc po relacji Jacena - powinni dostrzec jakiś ruch, choćby lśnienie słońca na powłokach panczerzy... W tle słychać było zadziwiająco spokojny głos młodego Solo, przekazującego im szacunkowe odległości i pozycje względem jego maszyny.

- Mam go, proszę pani - odezwała się oficer walki radioelektronicznej, wklepując jakieś dane na swojej konsoli. - Naniósł sygnał jego komunikatora na holomapę. Proszę śledzić purpurowy punkt...

W pobliżu grupy niebieskich znaczników rozbłysła niewielka świetlna plamka. Niebieskie znaczniki były podzielone na dwie formacje o potwierdzonych sygnałach, symbolizujące dwie grupy zadaniowe SGS. Fioletowy punkt, oznaczający stealthX-a Jacena Solo, przecinał ekran, klucząc i robiąc uniki, jakby starał się ominąć wyrastające mu raz po raz na drodze większe przeszkody.

Po początkowym szoku Niathal powoli zaczęła odczuwać niedowierzanie i troskę, ale napięcie zelzało na tyle, że przynajmniej przestała czuć w skroniach gwałtowne pulsowanie krwi. Przeniosła wzrok na panel łączności: połączenie z Jacenem było przekierowywane na mostek „Anakina Solo”.

Niech będzie, pomyślała z rezygnacją. Zdajmy się na twoją si- thańską intuicję, pułkowniku.

Aktywowała jedną z kontrolek, nawiązując łączność ze wszystkimi statkami w obydwu armadach, żeby udostępnić im trwającą rozmowę.

- Proszę pani? Nie wykryto żadnych jednostek. - Oficer wahała się przez chwilę, jakby głośne wypowiedzenie obaw Niathal - i pewnie wszystkich na mostku - było nieco nietaktowne. - Nie ma tam nic, zupełnie nic - bąknęła wreszcie. - No, chyba że dysponują jakąś ultranowoczesną technologią maskującą, którą pułkownik Solo potrafi przejrzeć... ze swoimi umiejętnościami Jedi i tak dalej.

Niathal wiedziała, że to mało prawdopodobne, ale musiała zyskać pewność.

- Bargos? - rzuciła do jednego z oficerów. - Wystrzel, proszę, najmniejszą torpedę, jaką mamy, w któryś z tych punktów podanych przez pułkownika. Zobaczmy, czy w coś uderzy.

- Tak jest, proszę pani. - Bargos miał z czego wybierać cele. Ustawił kurs, nie wyznaczając punktu docelowego, i wysłał całej grupie zadaniowej standardowe ostrzeżenie: - Uwaga, uwaga, do wszystkich statków! Test broni na żywo, nastawiam tor... Pocisk zostanie wystrzelony za pięć standardowych sekund... Teraz!

Czekali.

Symbol położenia przekazywany przez czujniki torpedy przecinał spokojnie monitor. Wkrótce minął punkt, w który według oczekiwań miał uderzyć, i leciał dalej... wciąż dalej. Wszystko wskazywało na to, że mogłby tak wędrować jeszcze długo i za jakieś pięć lat dotrzeć do Bestine, niezatrzymany przez żaden tajemniczy obiekt.

- Może to coś zmieniło położenie... - zasugerował niepewnie Bargos. To nie miał być żart. Tak jak reszta członków załogi na mostku, Bargos był wyraźnie zaniepokojony - nie obawiał się jednak ataku niewidzialnego wroga. Lękał się o ich dowódcę, który zachowywał się... co najmniej irracjonalnie.

- O rany, naprawdę źle z nim - szepnął ledwie słyszalnie jakiś głos za plecami Niathal. - Mówiłem ci, że mu odbiło, od kiedy wykończył Tebut...

Jacen nie przerwał połączenia, ale najwyraźniej był zbity z tropu.

- „Anakinie Solo”? Ta flota... straciłem ją z oczu - zameldował i zamilkł.

- Rozumiem, sir.

- „Anakinie Solo”? Czy udało wam się potwierdzić współrzędne tych statków? Cokolwiek?

- Nie, sir.

- W takim razie zrobię jeszcze jedną rundkę i wracam na statek.

Na mostku było tak cicho, że Niathal wyraźnie słyszała, jak wstrzymujący oddech oficerowie przetykają ślinę. Wszystko rozegrało się na oczach - a raczej uszach - całej floty. Wszyscy się dowiedzieli, że współprzewódca Sojuszu numer dwa, WGS 2 - jak w skrócie nazywano Jacena - ma zwiady. A gdyby nawet niektórzy nie usłyszeli tego na własne uszy, to zawsze można było liczyć na niezawodnych plotkarzy floty; niewątpliwie zadbają żeby szeptano o tym po kątach jeszcze długo. Niathal zerknęła na chronometr i sprawdziła czas nadania sygnałów. Osobliwy incydent trwał niecałe osiem minut.

Najwyższy czas działać.

- „Anakinie Solo”? Tu „Ocean” - rzuciła do komunikatora. - Chcę mówić z kapitanem Nevilem. Szybko.

Widocznie Nevil czekał w pogotowiu, bo zameldował się dosłownie w ułamku sekundy i odpowiedział, zanim zdążyła sformułować pytanie. Brzmiał przekonująco, jakby niedawno wcale nie rozmawiali.

- Proszę pani, nie wiemy ani trochę więcej niż wy...

- Kapitanie? Proszę, niech pan potwierdzi, że to były tylko niefortunnie zaplanowane ćwiczenia...

- Niestety, nie mogę, proszę pani. Przykro mi.

- Na wielkich bogów wód, czy ten Solo oszalał? - jęknęła. Rozmowa nadal była transmitowana na wszystkich mostkach. Niathal nie miała wyjścia; może faktycznie gdzieś tam czaiła się zamaskowana flotylla, ale też okazała sprzyjała, żeby dyskretnie zmanipulować nastroje członków załogi. Oficerowie na pozostałych statkach sami będą teraz mogli zdecydować, za którym z przywódców opowiedzą się w krytycznej sytuacji. - Przecież wiem, że nie pije...

- Jak tylko pułkownik Solo wróci, przekażę mu, że chciałaby pani z nim porozmawiać.

- Będę wdzięczna, kapitanie. - Niathal z zadowoleniem wygładziła poły swojego munduru. Czowała się, jakby właśnie znalazła na ulicy tysiackredytowy czip. Zasiała oto wśród członków grupy zadaniowej ziarno nieufności wobec Solo, a Nevil świetnie odegrał swoją rolę lojalnego oficera. Pozory zostały zachowane. - Do wszystkich jednostek: stan pogotowia. Bądźcie czujni - dodała, a potem zeszła z podwyższenia na mostku. Po drodze zatrzymała lię i rzuciła załodze porozumiewawcze spojrzenie. - Aha, jeszcze jedno... jeśli nikt nie zauważy nic niepokojącego, bardzo proszę mnie o tym nie informować.

Wokół rozległy się śmiechy. Chociaż nadal czekała ich walka, napięcie zauważalnie zelżało. Niathal udała się do swojej kabiny, zamknęła oczy i oparła głowę o gródź, chcąc chwilę odetchnąć, zanim znów skontaktuje się z Nevilem.

- Kapitanie Nevil? - odezwała się w końcu. - Przepraszam za to wszystko. I dziękuję za stosowny... brak zaangażowania. Chcę, żeby pan wiedział, że nie jest w tym wszystkim osamotniony.

ROZDZIAŁ 12

Czy mogłem temu zapobiec? Gdybym polecił Calowi Omasowi na samym początku, żeby pozwolił Korelii działać na własną rękę, jakby się to dla nas skończyło? Wyszliśmy z założenia,

że konieczne jest zmuszenie wszystkich światów Sojuszu do udostępnienia ich zasobów, a tak naprawdę nie istniało zewnętrzne zagrożenie, któremu musieliśmy stawić czoło. Stworzyliśmy je sami. Jestem jednak pewien, że gdyby doszło do podobnej inwazji, jak podczas najazdu Yuuzhan Yongów, Korelianie i tak ruszyliby galaktyce na pomoc. Jak zawsze.

Luke Skywalker w rozmowie z Hanem Solo

Pięćdziesiąt kilometrów od punktu zbornego floty, okolice Fondora Caedus był wściekły.

Nie był durniem, nie oszalał, a poza tym zgłębił więcej tajnych technik Mocy niż którykolwiek z członków Rady Jedi. Nie dawał się łatwo zwieść.

Gdyby jednak nawet przyjął, że cała ta flota-widmo była tylko sprytną sztuczką, a nie jakimś osobliwym fantomem wywołanym przez zjawisko fizyczne, którego nie pojmował - to kto za tym wszystkim stał? Zatoczył swoim stealthX-em krąg, rozglądając się uważnie po okolicy.

Nie robił tego, żeby się upewnić, czy gdzieś w pobliżu nie czai się jakaś następna iluzja, o nie. Szukał po prostu jej źródła. Bo teraz był tego pewien - to była iluzja, bez dwóch zdań.

Ale on także miał w zanadrzu kilka niezłych sztuczek i potrafił je wykorzystać - jak na przykład wtedy, kiedy ukrył Lumię dosłownie pod samym nosem Luke'a. Zdarzało mu się już doświadczyć na własnej skórze umiejętności sfabrykowanych iluzji; wciąż pamiętał sztuczną rzeczywistość siedziby jego byłej Mistrzyni na opuszczonej asteroidzie.

Niathal, praktyczna i skrupulatna, sprawdziła po prostu sytuację, wysyłając torpedę. Jej rozsądku nie ograniczały żadne niejasne przecucia, które kazałyby podejrzewać, że skoro pocisk w nic nie uderzył, to także mógł zostać zmanipulowany.

Ale on, Caedus, był Lordem Sithów.

Powinien być ponad to wszystko. Powinien był przewidzieć ten atak...

Tak, to musiał ukartować któryś z tych odstępców Jedi, uznał. Na pewno nie Lumiya - Lumiya nie żyła. Ale kto jeszcze mógł go w taki sprytny sposób wyprowadzić w pole? Ben? Nie... Syn Skywalkerów potrafił co prawda to i owo, ale brakło mu finezji; korzystał z Mocy do celów tak prozaicznych, jak wyważanie drzwi, identyfikowanie ładunków wybuchowych czy oszukiwanie systemów kamer. Nie było to nic, czego nie potrafiliby dwaj krzepcy oficerowie CSB i wyszkolony akk. A to rzucało raczej podejrzenie na kogoś z Zakonu... może Luke'a albo Zekka? Na pewno nie stały za tym jego matka ani siostra - to nie w ich stylu. Ale w takim razie... gdzie ten ktoś się przyczaił? Jak daleko sięgały moce Luke'a?

I dlaczego iluzji nie dostrzegł nikt poza nim samym? Podobne zjawiska widywały zazwyczaj większe grupy świadków, ale ten szczególny przypadek był najwyraźniej przeznaczony tylko dla jego oczu - miał go wytrącić z równowagi, może wywołać strzelaninę i w konsekwencji wprowadzić zamęt.

Caedus nie czuł nic poza nikłym wrażeniem, że w pobliżu są też inni Jedi. Znów dał się wystrychnąć na dudka - i o to właśnie im chodziło. Musiał się skupić, uspokoić, stłumić gniew; nie da się sprowokować, co to, to nie.

Wystarczy, że zrobił z siebie kompletnego idiotę w przytomności całej załogi „Anakina Skywalkera”. A przecież miał pracować nad poprawą swojego wizerunku... Zaśmiał się gorzko w duchu.

Luke... Musiał coś z tym zrobić, zanim wydadzą rozkazy. I nie zamierzał mieszać do tego Niathal. Luke powinien wykazać trochę rozsądku i jako ostatni Jedi po czystce Palpatine'a udać się na wygnanie, stwierdził ponuro.

Caedus przyjrzał się jednostce tankującej, przycumowanej do krążownika stacjonującego w pobliżu i dostarczającej mu paliwa przez długą rurę - dowód na to, w jakim pośpiechu Trzecia Flota opuściła doki. Wypełniali rutynowe zadania, które w normalnych okolicznościach powinni byli zakończyć dużo wcześniej. Imperialni także wkrótce złączą desant. Jak tylko się pokażą będą mogli zrobić z tym porządek. Okupacja Fondora nie wchodziła w rachubę. Mogłoby dojść do powtórki z Korelii albo czegoś jeszcze gorszego. Oczy wszystkich planet były cały czas zwrócone na Ko- relię - poturbowaną ale wciąż zrzeszoną w Konfederacji. Może nawet cały incydent ośmielił innych na tyle, że poważą się pójść w jej ślady? Bardzo możliwe, że tak właśnie było w przypadku Fondora, dysponującego setkami tysięcy żołnierzy i statków. Cóż, jeśli tak, to Caedus dopilnuje, żeby los planety podzielał jak przykład mówiący: „Lepiej nie próbujcie nic podobnego”.

Taką nauczka miało być spopielenie Kashyyyku, ale wyglądało na to, że znakomita większość przedstawicieli ras humanoidalnych przywiązywała większą wagę do tego, co dzieje się z gatunkami im pokrewnymi w cywilizowanych dużych miastach.

Myśliwiec Caedusa wśliznął się między statki floty. Światło słońca, wpadające do kabiny od strony rufy, zmieniło nieco kąt padania i Caedus przestał widzieć cokolwiek na panelu sterowniczym. Nie wyczuwał niczego poza ogromną masą okrętów wojennych gotujących się do walki.

Pamiętaj, co wydarzyło się ostatnio, upominał się w myśli. Nie ma mowy, drugi raz nie powtórzy tego samego błędu. Jeżeli przechylił się odrobinę na bok, odbicie na jego szóstej przesunie się na przedni iluminator... Zmienił pozycję, ale nic się nie wydarzyło.

Jeśli będę tak podskakiwać na widok byle cienia, tamten postawi na swoim, pomyślał ze złością. Niedoczekanie... W tej samej chwiliabinę wypełnił dźwięk rozdieranego fiberplastu, a on sam poleciał bezwładnie na lewą burtę. Coś musiało w niego uderzyć i na pewno nie było to skutkiem jego nieuwagi. Był na to za bardzo doświadczony. Gwałtownym szarpnięciem zatrzymał maszynę w pół obrotu i odbił pod statki, żeby zwiększyć odległość między nim a obiektem, który w niego walnął.

Oczywiście nie zobaczył nic niepokojącego. Nie było sensu wysłać sygnału ostrzegawczego; nie mógł o czymś takim dyskutować drugi raz ze swoją flotą. Przyspieszył, próbując zyskać większą przewagę i szukając anomalii w postaci ciemnych plam na tle kosmosu, zasłaniających gwiazdy. To był jedyny sposób na namierzenie maszyny zamaskowanej i trudnej do wykrycia. Tak samo działał kamuflaż jego własnego myśliwca.

Już nieraz uciekałem przed stealthX-ami, Luke, zadrwił w myśli. Masz mnie za głupca?

Skoro nie mógł zobaczyć wuja, poleci tam, gdzie Luke nie zdoła go wykryć.

Nie zamierzał dać się nabić w butelkę, tak jak podczas incydentu z Marą, kiedy nie mógł użyć działek.

Ryzykowałby zestrzelenie. Teraz, gdyby na wypadek dekompresji musiał uciekać i szukać schronienia, nie miał daleko. Tym razem wykorzysta to, czego nauczył się na własnych błędach.

Nagle ogarnęły go wątpliwości: czy to na pewno Luke z nim pogrywa?

Może to jednak Ben?

Na razie nie wyczuwał nikogo, a przecież z rozpoznaniem obecności Luke'a nigdy nie miał najmniejszego problemu. Ale Ben... z Benem było inaczej. W mig nauczył się ukrywać swoją obecność w Mocy. Marze udawało się to tylko w krytycznych momentach - zresztą mało brakowało, a byłaby go dzięki tej sztuczce zabiła - jednak tym razem czuł w tym rękę jej syna.

Łuuup!

Coś grzmotnęło w myśliwiec od spodu, aż zaszczękały mu zęby. Najszybciej, jak zdołał, sięgnął do instrumentów, żeby wyrównać kurs. Nie musiał sprawdzać odczytów na monitorze, żeby wiedzieć, że myśliwiec został uszkodzony. Kiedy skręcił, kątem oka dostrzegł cienką smużkę ulatującego z wnętrza statku oparu albo cieczy - pewnie chłodziwa. Tarcze stealthX-ów nie były zbyt silne - taka była cena usprawnienia systemów zakłócania czujników. Nawet po zniszczeniu osłony potrafiły wiele wytrzymać, jednak kolizja z innym statkiem przy tej prędkości kończyła się zazwyczaj źle.

To był albo niesamowicie precyzyjnie wymierzony cios, albo wyjątkowy niefart - i to drugi raz z rzędu. W dodatku Caedus musiał pamiętać, że nie jest już dłużej niewykrywalny: zostawiał za sobą ślad oparów.

Otworzył kanał łączności. Nie było sensu ciągnąć dłużej tej farsy. Musiał jednak przyznać, że system komunikacji jego stealthX-a przydał się dziś bardziej niż w całej swojej karierze.

- Pokaż się i skończmy to wreszcie! - rzucił do komunikatora. Ben czy Luke? - zachodził w głowę. Jeżeli miał do czynienia z tym drugim, oznaczało to, że jego wuj nauczył się kilku nowych trików. Po namyśle uznał, że to mogła być nawet Jaina - jeśli Ben zdecydował się ją nauczyć, jak znikać w Mocy. Tak czy siak, niewiele go to obchodziło.

- Odwróć maszynę i kieruj się na stacje orbitalne - usłyszał głos Luke'a. - Bez dyskusji. Potem wylądujesz i porozmawiamy.

Caedus obrał kurs na „Anakina”, zastanawiając się przelotnie, jak daleko posunie się Luke, żeby zmusić go do lądowania. Tym razem to on dyktował warunki, inaczej niż na Kavanie. Miał też flotę, czekającą na jego znak.

- Spróbujesz mnie zestrzelić?

Kabina jego maszyny pogrążyła się w ciemności, kiedy siedzący mu na ogonie statek na ułamek sekundy przesłonił słońce. Za to Moc wypełniła się nagle oślepiającym blaskiem obecności Luke'a.

- Gdybym chciał cię zabić, zdążyłbym to zrobić już kilka razy - odparł spokojnie Skywalker..

- Myślisz, że ostra bura, przeprogramowanie mózgu i kochająca rodzinka sprowadzą mnie z powrotem na właściwą drogę? - zakpił Caedus.

-- Zdziwiłbyś się. Jestem na to przygotowany.

Caedus wciągał Luke'a coraz głębiej w przestrzeń zajęta przez jego flotę, ale wuj wydawał się nic sobie z tego nie robić - po prostu siedział mu na ogonie.

- Będziesz mnie musiał zestrzelić, jeśli chcesz mnie powstrzymać - ostrzegł go Caedus.

- Potrafię się uczyć na błędach - nadeszła odpowiedź.

- Spróbuj tylko... Oj! - Z trudem ustabilizował stealthX, kiedy działko na prawym skrzydle, w które oberwał, całkiem się odłamało. Do uciekającej z uszkodzonego przewodu pary dołączyły większe kropelki jakiegoś płynu. - To ty? - warknął Caedus.

Trach! Lewoburtowe działko zostało daleko w tyle.

- Mógłbyś odplacić mi tym samym - odezwał się Luke, denerwująco spokojny - i wtedy obaj skończylibyśmy jako trupy. Zawróć i leć na Fondora.

Caedus kierował się cały czas w stronę maszyn pomocniczych, ku siatce rozciągniętych między nimi a statkami rur i przewodów. Jeśli uda mu się wciągnąć stealthX-a Luke'a w gąszcz gwiazdnej floty, no i uprzedzić strzelców na fregatach...

- Nie jestem twoim ojcem, Luke. Nie trzeba mnie ratować - warknął.

Skywalker zareagował zgodnie z jego oczekiwaniami; widocznie Caedus trafił w czuły punkt. Czuł poprzez Moc, jak wuj stara nad sobą zapanować.

- Mara powiedziała to samo o Lumiya.

Na dźwięk imienia byłej Mistrzyni tym razem to Caedus się wzdygnął.

- I miała rację.

Przed nimi punkciki światła zaznaczały kapsuły diagnostyczne, przemieszczające się wzdłuż kadłubów statków. Caedus przygotowywał się do uniku i zanurkowania do hangaru „Anakina”. Skywalker nie był chyba na tyle głupi, żeby robić zamieszanie w samym centrum floty SGS. Może Niathal zawarła z nim układ i teraz zaganiał go w pułapkę? Czyżby dał się głupio zrobić?

Luke ani słowem nie wspomniał o śmierci Mary, a to już było podejrzane i oznaczało, że albo zaplanował dla Caedusa coś specjalnego i znacznie gorszego, albo uważał, że to nie on za tym stał. Czuł, jak wiszący mu nad głową topór powoli, ale nieuchronnie opada. Na razie Fett także nie próbował się na nim zemścić, a że będzie szukał odwetu za śmierć swojej córki, Sith był stuprocentowo pewien.

Cóż, wyglądało na to, że jeszcze nie teraz.

Myśliwiec Luke'a znów go potracił - jakim cudem? Caedus nie miał pojęcia, jak wuj to robi. Pchnięciem Mocy? Usłyszał, jak wewnątrz kadłuba coś zgrzyta, jakby ktoś gorączkowo szperał w silnikach w poszukiwaniu upuszczonego hydroklucza, odrzucając na bok kawałki metalu. Rozwała moją maszynę... - stwierdził z niedowierzaniem.

Spróbował zablokować Luke'a w Mocy i nagle dotarło do niego, jak wielką siłą dysponuje Skywalker... W tej samej chwili jego fotel, wyrwany z prowadnic, wystrzelił naprzód, przechylił się na bok i uderzył w konsolę, zanim Caedus zdołał wyhamować upadek Mocą. Coś w jego piersi chrupnęło głucho. Ból był tak silny, że przez chwilę nie mógł oddychać, ale zaraz całą jego uwagę przyciągnął jaskrawy rozbłysk, nieuchronnie pędzący w jego stronę. Zanim, prawie oślepiiony, zdołał położyć myśliwiec na prawą burtę, kątem oka złowił przemykającą za iluminatorem kanciastą sylwetkę stealthX-a

0 wysuniętych chwytakach i wyczuł obecność innego Jedi.

Próbowali uszkodzić jego myśliwiec i go schwytać?! I to w samym centrum armady Sojuszu! Co za bezczelność! Nie do wiary! Nigdy, przenigdy nie pozwoli nikomu, oprócz własnego ucznia, latać stealthX-ami. Żadnemu zwykłemu pilotowi. Skywalker nadal siedział mu na karku; Caedus prawie czuł na plecach jego oddech. Postanowił zdać się na instynkt, działać odruchowo. Wpadł korkociągiem między rozmieszczone w regularnych odstępach krążowniki - na pewno ktoś musiał go już dostrzec - i przyspieszając, podniósł myśliwiec. Wziął teraz kurs na maszyny pomocnicze i „Anakina Solo”. Albo w niego uderzy, albo się rozbije, ale jeżeli stealthX Luke'a spróbuje przechwycić go przy tej prędkości, z obydwu zostaną tylko strzępy metalu.

Leciał teraz prosto na jedną z jednostek pomocniczych, dokującą przy promie desantowym. Na jej pokładzie pracowali cywile, robotnicy marynarki handlowej, nie zaś żołnierze, a jedynym systemem obronnym stateczku było lekkie działko. Długi tunel łączący obie jednostki był właściwie przedłużeniem śluzy powietrznej, szybką

I prostą drogą dostarczania zapasów bez potrzeby lądowania promem w hangarze. Na pewno była w nim teraz załoga przenosząca towary. Luke wciąż śledził każdy jego ruch; nie odpuszczał.

Jeżeli Caedus uderzy w rękaw cumowniczy, na pewno uszkodzi poważnie swój myśliwiec, nie mówiąc o zniszczeniu tunelu - co by oznaczało śmierć pracujących w nim istot.

Zobaczymy, kto pierwszy mrugnie, pomyślał ze złośliwą satysfakcją.

Nagle dotarło do niego, że nikt z załogi nie ma prawa zobaczyć zamaskowanych stealthX-ów... Jakikolwiek płyn wyciekał z jego myśliwca w wyniku uszkodzenia, teraz nie było po nim śladu. Jednostki pomocnicze nie zarejestrują go nawet czujnikami zbliżeniowymi.

Zrób to! - kołatało mu się uparcie po głowie.

Obok majaczyła masywna sylwetka „Anakina Solo”.

- Jacenie, nie... - rozległo się z głośników. A więc Luke domyśla się, co on zamierza zrobić? Doskonale.

- Myślisz, że się tym przejmuję? - zadrwił Caedus. Kłamał.

Wiedział, że jego wuj nie zaryzykuje śmierci bezbronnych pracowników.

A on... cóż, jakoś to przeżyje.

Pomarańczowy rękaw tunelu zmierzał mu na spotkanie szybciej, niż się spodziewał, więc niemal odruchowo pociągnął drążek sterowniczy do siebie. Nic się nie stało. Nikt nie stanął mu na drodze, a przynajmniej nie wyczuł żadnego oporu. Nie mógł się oglądać za siebie, czuł jednak przerażenie Luke'a. Dzięki niemu zyskał parę cennych sekund, których nie zamierzał zmarnować. W ostatniej chwili zanurkował pod brzuch gwiazdnego niszczyciela i prześliznął się pod nim ku jednemu z hangarów.

- „Anakinie Solo”, zgłaszam lądowanie awaryjne, uszkodzony myśliwiec stealthX jeden-jeden, otworzyć hangar alfa-pięć...

Mógłby przysiąc, że podchodząc do lądowania zawadził o końcówkę anteny łączności; z całej siły starał się utrzymać maszynę na równym kursie - Mocą i systemem sterowania. Wymagało to nie lada skupienia; musiał zwolnić niekontrolowany ślizg stateczku, bo hamulce poważnie szwankowały. Jeżeli nie wyceluje wystarczająco dokładnie, cała sekcja wybuchnie razem z nim.

W pewnym momencie zrozumiał, że mógł aktywować transponder i pozwolić, żeby go zlokalizowali... ale nie mógł namierzyć Jedi.

Za późno.

Przestał myśleć i czuć. Teraz liczyło się tylko jedno: wyhamować. Nagle czerń kosmosu zastąpił oślepiający blask - światła hangaru i... iskry. Ślizgał się w szaleńczym pędzie po pokładzie; pole widzenia wypełniała przeciwnieległa gródź. Myśliwiec natrafił na próg spowalniający i rzuciło nim na coś, co wydało się Caedusowi permabetonowym murem. Kiedy światła na zewnątrz przygasły i przestał widzieć cokolwiek przez panele widokowe, przez chwilę przeszło mu przez myśl, że umiera...

Nie, powtórzył sobie z przekonaniem. Udało mi się. Na pewno nie jestem martwy...

Uzmysłowił sobie, że efekt przytłumionych światel spowodowała ochronna pianą przeciwpożarowa, pokrywająca jego myśliwiec.

Maszyna stała w miejscu - w nic nie uderzył, wyhamował w samą porę. Odetchnął głęboko, krzywiąc się z bólu prawdopodobnie połamanych żeber i spróbował się skupić, żeby go uśmierzyć. Potem przymknął oczy i czekał, aż ekipa ratunkowa uzna, że maszyna jednak nie eksploduje. Nasłuchiwał charakterystycznego trzasku otwieranej owiewki.

Minęło parę dobrych sekund, zanim światła znów rozbłysły. Piana spłynęła i osłona kabiny podniosła się do góry.

- Sir, mam nadzieję, że był pan ubezpieczony...

Musisz powiedzieć to, co chcą usłyszeć, podszepnął mu natychmiast wewnętrzny głos. Zastanów się, co powiedziałby w takiej sytuacji Jacen Solo... Pokaż im, że nie ześwirowałeś...

- Próbowałem po prostu nie zderzyć się z Jedi - zażartował z wysiłkiem. - Ale nie zdążyłem spisać jego tablic. Pomóżcie mi?

Czuł wyraźnie, że spodziewali się po nim raczej wybuchu gniewu, jednak kiedy wyskoczył z kabiny i otrząpiał z resztek piany, zdecydowanie im ulżyło. Obejrzał się na szczątki myśliwca: wyglądał jak kupa złomu. Musiał przyznać, że trochę go to wytrąciło z równowagi.

- Szybkie malowanko i będzie jak nowy - bąknął szef załogi ratunkowej. - Zaraz będzie tu droid medyczny.

- Przynajmniej wiem już, kto stoi za tą niewidzialną flotą... - mruknął Caedus. Ta plotka, jak wiedział, rozejdzie się wśród załogi z prędkością światła. A on odzyska reputację dowódcy nie dość, że przy zdrowych zmysłach, to jeszcze skromnego i z poczuciem humoru, potrafiącego zachować zimną krew w obliczu niebezpieczeństwa. - Następnym razem, kiedy przyjdzie mi do głowy rozwiązywać zagadki Luke'a Skywalkera, zabierzcie mi licencję pilota, dobra?

Wszyscy się roześmiali. Stary, dobry pułkownik Solo, jeden z nich, wreszcie wrócił! Nie był już tyranem, mordującym z zimną krwią członków załogi. Utykając z rozwagą, żeby sprawić należyte wrażenie, Caedus wrócił przez mostek do swojej dziennej kabiny, upewniając się po drodze, że historia o Jedi rozprzestrzenia się należycie szybko po statku. Trzymał gniew pod ścisłą kontrolą, żeby nie dać przedwcześnie upustu wściekłości. Kiedy był już u siebie, spojrzął w lustro: kilka otarć i te oczy... obce, żółte, do których jednak stopniowo się przyzwyczajał.

Teraz mógł już uzewnętrznić swoją złość, ale postanowił, że zachowa ją na później - i wyląduje na Fondorze.

Okręt SGS „Ocean”, punkt zborny floty w przestrzeni nad Fondorem

Niathal wsłuchiwała się w szmer rozmów prowadzonych na mostku, popijając kaf.

- Twierdzi, że Jedi stworzyli dzięki Mocy iluzję potężnej floty i wszystkie te statki rzucili przeciwko niemu! - szeptał jeden z oficerów sygnalizacyjnych.

- Aaa, no tak, Jedi, to jasne — młodszy wachtowy nie spuszczał oka z monitorów czujników, ale trudno było nie zauważyć, że przewrócił oczami. - To straszne, nie sądzisz? - parsknął.

Pani admirał była dokładnie tego samego zdania, ale czekała na sprawozdanie Jacena. Przeciągająca się nieobecność fondoriań- skiej floty niepokoiła ją. Pierwsza fala armady Szczątków Imperium wyskoczyła już z nadprzestrzeni i Kalamarianka czekała tylko na sygnał od Pellaeona. Przemyślała wszystko dokładnie jeszcze raz i zmieniła zdanie: będzie naciskała na kapitulację. Jeżeli Fondor odmówi negocjacji, to trudno - unieszkodliwi siły stacji orbitalnych, da wojskom zielone światło na desant i zabezpieczenie terenu, a potem wyda rozkaz zaatakowania baz naziemnych. Nie było sensu siał spustoszenia i unicestwić całej planety.

A kiedy... jeśli, poprawiła się w myśli... na horyzoncie pojawi się fondoriańska flota, przyjdzie jej się zmierzyć z siłami Pellaeona.

Poza tym... był jeszcze Jacen Solo. Luke Skywalker powinien być się już nauczyć, jak robić użytek z działek, naprawdę, westchnęła w duchu. Najwyższy czas. Zastanawiała się, czy ona sama zestrzeliłaby Jacena bez wahania, gdyby miała go na celowniku... Wyobrażała sobie, jak jej palce zaciskają się na dźwiku celowniczym X-winga, a kciuk naciska spust. Nie była wcale taka pewna, że zrobiłaby to bez zastanowienia.

Ale... jak inaczej poradzić sobie z Sithem? Jak powstrzymać człowieka, który potęgą dorównuje Luke'owi Skywalkerowi, ale wykorzystuje ją dla własnych celów? Który za nic ma powszechnie przyjęte zasady? Przekracza wszelkie granice? Trudno było go postrzegać jako prowadzącego umiarkowaną politykę dyktatorstwa, skoro zbyt często tracił nad wszystkim kontrolę. Jego... odmienność wprawiała ją w zakłopotanie i niepokoiła - nie mogła temu zaprzeczyć. Słabo pamiętała rządy Palpatine'a; najbardziej wryły jej się w pamięć jego wszechobecne wizerunki i mroczna postać Yadera, pojawiająca się od czasu do czasu w holowiadomościach.

Wtedy jednak nie wiedziała, że obydwa są Sithami, nie wiedziała nawet, że istnieją Jedi. W szkole na lekcjach historii uczyła się co prawda o wojnach między Sithami a Jedi, jednak teraz sama siedziała w tym po uszy, a to stawiało wszystko w zupełnie innym świetle. Obie strony nieco ją niepokoiły, szczególnie świadomość, że jedni i drudzy potrafią wpływać na umysł. To sprawiało, że zaczynała się zastanawiać, ile decyzji tak naprawdę podjęła sama. Na razie Luke potrafił omamić Jacena i przekonać go, że walczy z - wyimaginowaną jak się okazało - flotą...

Dość tego, przywołała się do porządku. Żadnych wyrzutów sumienia. Wiedziałaś, co spowoduje przeciek

informacji, ale... chyba jednak powinnaś upewnić się, że każdy z wyborów należał tylko i wyłącznie do ciebie...

- Proszę pani? - z zamyślenia wyrwał ją dobiegający z głośnika głos. — Admirał Pellaeon do pani. Łączność wizualna.

- Gil? Przegapiłeś rozgrzewkę - zażartowała. Na holokranie pojawiła się postać Pellaeona. Białe wąsy miał schludnie przycięte, a ciemnoszary mundur nienagannie wyprasowany. Widziała, jak na jego widok załoga na mostku wyraźnie się rozluźnia. Tryskał wręcz odpowiedzialnością i rzetelnością.

- Słyszałem plotki. Cha - rzucił. - Chyba tam u was spokojnie, co?

- No, nie powiedziałabym...

- Jeśli szykują dla nas niespodziankę, może i my czymś im się zrewanżujemy - mruknął zagadkowo Pellaeon.

- Znalazłeś chwilę, żeby rzucić okiem na mój nowy plan działań?

- Tak - potwierdził. - Sądzisz, że zniesie krytykę pułkownika Solo?

Cóż, jeśli tylko się postarał, Pellaeon zawsze potrafił rozluźnić atmosferę.

- Może sprawdzimy, czy doszedł już do siebie na tyle, żeby się z nami spotkać? - zasugerowała.

- Czyj statek? Mój czy twój? A może jego?

- Zaproponuję mu spotkanie na „Krasnopłetwinie”. Jestem pewna, że zechce ci zrobić tę przyjemność.

- Za pół godziny, zgoda? Naprawdę bardzo mnie niepokoi brak chociażby fondoriańskiego patrolu.

Wypowiedzenie podobnych słów w obecności załogi było odważnym krokiem. Brak zgody między przywódcami politycznymi - nawet reprezentującymi tę samą frakcję - nie był nowością jednak tym razem Niathal robiła to świadomie. Gdyby Luke ostrzegł ją o planowanym ataku, mogłaby mu nawet pomóc - jednak Mistrz Jedi sprawiał wrażenie niechętnego na przyjęcie wsparcia. Zachodziła w głowę, kiedy i gdzie może się go teraz spodziewać. Cóż, jeśli się nie pojawi, Niathal wprowadzi po prostu w życie swój prowizoryczny plan, którego szczegóły właśnie dopracowywała. Odsunie Jacena od władzy i rozkaże „Anakinowi” powrót do bazy. Wszystko będzie oczywiście zależało od postępów całej operacji, ale klamka na pewno zapadnie jeszcze przed powrotem na Coruscant. Miała pod ręką Pellaeona, a więc dysponowała odpowiednimi środkami - i zamierzała wprowadzić swój plan w życie, choćby wymagał użycia siły. Była pewna, że wesprze ją co najmniej jedna trzecia jej grupy zadaniowej. Nie spodziewała się oporu. A jeśli nawet, to bardzo słabego.

Nadal jednak podejmowała duże ryzyko, zważywszy na fakt, że tkwili w samym środku wojny - jednak bezczynne czekanie, aż kampania się skończy, nie wchodziło w grę.

Wiele wskazywało na to, że pod nieobecność Jacena wszystkim - a już szczególnie łącznością na jego statku - dyryguje Tahiri Veila.

- Pani porucznik? Czy pułkownik Solo będzie mógł się zjawić o dwudziestej drugiej na posiedzeniu na pokładzie „Krasnopłet- wina”?

- Pułkownik Solo doszedł już do siebie i czuje się dobrze, pani admirał - zameldowała Tahiri i na chwilę zamilkła, jak gdyby konsultowała się ze swoim przełożonym. - Przybędziemy we wskazane miejsce.

My? Czyżby ta mała awansowała do rangi adiutanta? Część załogi uważała, że Veila to po prostu przelotna miłostka ich przywódcy, ale Niathal uważnie obserwowała relacje między Jacenem i Benem Skywalkerem i wiedziała, że obecny układ bardziej przypomina stosunek przełożony - asystent. Tahiri będzie pomocnikiem, posłańcem Jacena - może także szpiegiem. Może? Raczej na pewno! Cóż, Jacen instynktownie wiedział, jak dowodzić wojskiem, ale jego prawdziwym powołaniem była kariera w polityce.

- Co ze stealthX-em? - spytała. - Do czasu nowej dostawy z In- comu będzie ich trochę mało. Możliwe, że będziecie musieli zadowolić się X-wingami.

- Będzie sprawny w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. W warsztacie montują właśnie działka.

- Na pewno wykorzystują części z innych maszyn. - Przyglądała się dziewczynie przez chwilę w milczeniu. - Zamierzasz uczestniczyć w bitwie?

- Nie, mam służyć jako łącznik między nami a Szczątkami Imperium.

No tak. A więc zamierza szpiegować, pomyślała Niathal. Miałam rację.

- W takim razie do zobaczenia później, pani porucznik.

Powinna się skonsultować z Jacenem w sprawie kontaktu z prezydentem Fondora - Shasem Vadde, ale mieli mało czasu i właśnie ten fakt zamierzała wykorzystać jako wymówkę. Podczas oczekiwania na połączenie z biurem Vadde'a rzuciła okiem na chronometr i po raz pierwszy dotarło do niej, jak dziwną sprawą podczas nawiązywania kontaktów dyplomatycznych było jednoczesne pełnienie funkcji najwyższego przywódcy i głowy Sojuszu... Prośbę o przyłączenie się do SGS raczej trudno było nazwać rozmową wstępną, jeśli pochodziła od najstarszego stopniem dowódcy grupy bojowej, będącej na stopie wojennej.

- Admirał Niathal - przywitał ją Vadde. - Domyślam się, że decyzja została już podjęta.

Miał rację. To była tylko czysta formalność.

- Panie prezydencie Vadde, pragnę tylko spytać jeszcze raz, czy zgadzacie się przyłączyć do Galaktycznego Sojuszu i przyczynić się tym samym do obrony światów członkowskich.

- Zważywszy na fakt, że ledwo co osiągnęliśmy jaką taką równowagę ekonomiczną po wojnie z Yuuzhan Vongami i że nasza gospodarka w głównej mierze opiera się na budowie okrętów, nie mam złudzeń. Wiem, że mamy się stać kolejnym wygodnym źródłem środków do ochrony Coruscant.

Ha! - pomyślała Kalamarianka. Wyjątkowo świętoszkowaty typ jak na przywódcę świata, który eksploatuje bezwzględnie każdy księżyc, asteroidę i bezpieczną skałę w sektorze Tapani.

- Daję panu czas do dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt dziewięć standardowego czasu na przedstawienie żądań państwu rządowi i ogłoszenie waszego oficjalnego stanowiska.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł spokojnie Vadde. - Równie dobrze mogę pani odpowiedzieć teraz.

- Niezależnie od tego, zobowiązano mnie do przyznania wam tego czasu.

Takie ostrzeżenie czasem działało jak coś w rodzaju kubła zimnej wody i sprawiało, że rozmówcy zaczynali trzeźwo myśleć. W skrócie oznaczało tyle, że po północy flota mogła zaatakować w każdej chwili. Na tym etapie nie było już miejsca na element zaskoczenia - i dotyczyło to obu stron.

- Przyjąłem to do wiadomości, pani admirał - zapewnił ją prezydent. - Proszę jednak pamiętać, że zdewastowane stocznie nie przyniosą wam pożytku.

Może jednak była jeszcze szansa na kompromis? Niathal obiecała sobie, że będzie o tym pamiętać. Dobrze wiedziała, że Jacen Solo będzie rozczarowany, jeśli straci szansę na pokazanie, jak się rządzi silną ręką.

- Proszę pani? - zagadnął ją oficer łącznikowy. - W pobliżu pojawiły się mobilne stacje nadawcze wiadomości HoloNetu.

- Nie ogłosiliśmy strefy wykluczenia. - Wzruszyła ramionami.

- Przesłać im ostrzeżenie?

- Powiedz po prostu, że wkrótce mogą się znaleźć na linii ognia. Ich wybór.

- Jedna ze stacji wysłała już prośbę o przeprowadzenie wywiadu z pułkownikiem Solo - zameldował oficer. - Wygląda na to, że dał im zielone światło na relację z desantu wojsk lądowych na pierwszą stację orbitalną.

- W takim razie lepiej, żeby wygrał - mruknęła Niathal. - Inaczej w porze największej oglądalności zaprezentuje rzeszy widzów, jak powtórzyć porażkę Korelii.

A jeśli tak się stanie, dodała w myśli, to sam poniesie konsekwencje.

Przedział desantowy *Tra'kada*, punkt zborny *Oriramikade* w okolicy sektora *Tapani*, godzina 22.00.

W oczekiwaniu na rozkazy od admirała *Daali*

- Czy twój brat wyczuje, kiedy będziesz w pobliżu? - spytała *Mirta Gev*.

Pytanie tak ją zaskoczyło, że *Jaina* na chwilę przestała przeżuwać. Pierwszy raz *Mirta* w ogóle wspomniała o *Jacenie* - a biorąc pod uwagę, że jedynym jej celem było pomszczenie śmierci matki, albo odznaczała się subtelnością albo stosowała ostrożnie dobraną taktykę. Tyle że *mandaloriańskim* kobietom daleko było do subtelności. *Jaina* sięgnęła po następny kawałek *ujalayi* i wykorzystała fakt, że ma pełne usta, żeby pozbierać myśli. Gęste ciasto, mieszanka orzechów, syropu, suszonych owoców i przypraw, było niezwykle słodkie i pożywne, ale skutecznie zapychało. Jego zjedzenie było nie lada sztuką i *Jedi* pomyślała ponuro, że przy takiej diecie niebawem straci zęby.

- Tak, sądzę, że tak - odpowiedziała wreszcie na pytanie *Mirty*. I będzie co najmniej zaskoczony tym, co wyczuje, dodała w myśli. - Jesteśmy bliźniętami. Mawiają że nawet bliźniaki niewrażliwe na Moc łączą pewną więź. A w przypadku *Jedi* ta więź jest bardzo silna. Jest tylko jedno małe „ale”: *Jacen* potrafi maskować swoją obecność w *Mocy*, więc nigdy nie wiem, czy to rzeczywiście on.

Mirta miała oczy swego ojca: wyglądała przez to, jakby nieustannie coś kalkulowała, oceniała ryzyko, podejrzewała, że wydarzy się coś złego - i zastanawiała się, czy mogłaby temu zaradzić, to znaczy zlikwidować przyczynę albo coś na tym zarobić.

- Zawsze możesz go wytropić po trupach - zażartowała ponuro.

Cóż, prędzej czy później dojdzie do konfrontacji, *Jaina* w to nie

wątpiła. Co miała powiedzieć osobie, której matka zginęła przesłuchiwana przez jej brata? „Przepraszam” zabrzmiałoby raczej nie na miejscu. W jakiś dziwny sposób fakt, że *Ailyn Vel* była łowczynią nagród i płatną zabójczynią podobno wynajętą do zabicia rodziny *Solo*, nie napelniał *Jainy* takim oburzeniem, jakie czuła, stając twarzą w twarz z osobami poszkodowanymi przez te decyzje.

W porządku, powtarzała sobie w myśli. To nic takiego. *Aylin* robiła tylko to, co musiała, wykorzystując tatę do zwabienia własnego ojca w śmiertelną pułapkę. Tak naprawdę nie chodziło jej o nas. Poza tym została wynajęta przez kuzyna taty, który już wcześniej próbował się nas pozbyć. Ech, nie ma jak rodzinka, westchnęła w duchu, dając za wygraną.

- Gdybym mogła zrobić coś, co zmazałoby jego grzechy, nie wahałabym się ani przez chwilę - powiedziała i pokręciła smutno głową. - Teraz mogę tylko zrobić co w mojej mocy, żeby powstrzymać go przed popełnieniem podobnych czynów. Chcę, żebyś wiedziała, że... naprawdę mi przykro. Ale chyba nie muszę ci o tym mówić.

- To naprawdę on zabił twoją ciotkę? - spytała *Mirta*. - *Marę Jade*?

Chociaż *Jaina* słyszała już nieraz to pytanie, za każdym razem było dla niej tak samo szokujące. Ciągłe jeszcze nie mogła uwierzyć, że jej brat rzeczywiście był do tego zdolny... ale z drugiej strony, torturował przecież *Bena*, przekonany, że postępuje słusznie. Nawet jeśli to zrobił, możliwe, że tego nie zaplanował - po prostu nie przewidział, że sprawy przybiorą taki obrót.

Gdzie w takim razie była granica między spaczonym postrzeganiem rzeczywistości a prawdziwym złem?

- Nie wiem, *Mirto* - westchnęła.

- Myślisz, że byłby do tego zdolny?

- Nie wiem... On nie jest już tą samą osobą którą kiedyś znałam. Szczerze powiedziawszy, nie wiem nawet, od czego zacząć...

Mirta oparła się o gródz i skrzyżowała ramiona na piersi.

Oprócz *Jainy* i *Mirty* w *Tra 'kademie* było dziesięcioro *Mandalorian* w pełnych zbrojach. Czekali na rozkazy od *Daali*... które w gruncie rzeczy mogły w ogóle nie nadejść. Wszyscy byli członkami specjalnego elitarnego oddziału superkomandosów *Fetta - Ori 'ramikade'*, żołnierzami, którzy ocalili Stację *Caluula* i małżeństwo *Solo* z rąk *Yuuzhan Vongów*.

Cała ta sieć powiązań była strasznie zagmatwana, Jaina musiała to przyznać. Trudno było też pogodzić się jej z faktem - chociaż nie mogła temu zaprzeczyć - że koniec końców to jej rodzina bardziej dała się Fettom we znaki niż oni.

- *A Hit ori'shya tal'din* - mruknęła pod nosem Mirta.

- Co to znaczy? - spytała Jedi.

- Rodzina to coś więcej niż więzy krwi. W skrócie oznacza mniej więcej tyle, że rodziną są dla ciebie ci, którzy cię wychowują i troszczą się o ciebie, nie twoi biologiczni rodzice. Innymi słowy, twoi prawdziwi krewni mogą potraktować cię gorzej od *chakaaryc* obcych.

Tym razem Jaina wiedziała, co Mirta ma na myśli, często jednak miała trudności z odgadnięciem znaczenia mandaloriańskich słów. Doszła do wniosku, że każdy Mandalorianin włada co najmniej trzema językami: *Mando 'a*, basicem i huttyjskim, i spędza większość czasu w hełmie, rozprawiając ze swoimi ziomkami o sprawach, o których ona nie miała pojęcia. Tak więc w którymkolwiek z języków teraz rozmawiali na wewnętrznych kanałach, Jaina mogła tylko próbować wyczytać coś z ich gestów, języka ciała i ruchów głów. Na tej podstawie wywnioskowała, że dyskusja jest bardzo ożywiona - choć widowisko rozgrywało się w całkowitej ciszy. Czuła się nieswojo, jakby reszta jej towarzyszy dysponowała dodatkowym zmysłem, którego ona nie miała. Dziwnie było grać rolę obserwatora, nie mając rozeznania w sytuacji. Może to ją obgadują? - przeszło jej przez myśl. Wydawali się teraz bardzo rozbawieni.

Hm...

Oglądanie własnego odbicia w oczach innych zawsze było... pouczające. Następnym razem, kiedy osoba niewrażliwa na Moc potraktuje ją chłodno, będzie wiedziała, jak ktoś taki jak ona może być postrzegany przez zwykłego „śmiertelnika”, niepobłogosła- wionego jej umiejętnościami.

Mirta odwróciła się i powiedziała coś do żołnierzy, a oni zareagowali potokiem niezrozumiałych dla Jajny słów i śmiechem.

- W tej chwili nie potrafią myśleć o niczym innym - westchnęła Mirta. - Jak to dobrze, że to się dzieje tylko raz na pięć lat...

- Co takiego? - zacięła się Jedi.

- Galaktyczne rozgrywki bolo-balla. W HoloNecie aż o tym huczy.

A więc znów się pomyliła: jej problemy były znacznie mniej interesujące niż wydarzenie sportowe. To jej przypomniało, że nie może wciąż się skupiać na samej sobie. Nie jest pępkiem galaktyki, musi o tym pamiętać.

- Gdzie Fett? - spytała.

- Na „Niewolniku I”, a gdzie indziej miałby być?

Ich niewielka flotylla składała się ze statku Boby Fetta, czołgo- podobnego *Tra 'kada* oraz eskadry Gladiatorów i Agresorów. Holo- mapa na ścianie pokazywała czekające w punkcie zbornym statki: lotniskowiec (sądząc po układzie włazów) i prom desantowy typu Sentinel, sprawiający wrażenie solidnie zmodyfikowanego. Lotniskowiec był mały jak na standardy tego typu maszyn - mierzył najwyżej sto metrów.

- To Beviin? - spytała Jaina. Martwiła się o niego. Odniosła wrażenie, że Mandalorianin stanowczo za często pakuje się dla Fetta w kłopoty. - Nie widziałam, żeby wsiadał na pokład.

- *Ba 'buir* poprosił go, żeby został - wyjaśniła Mirta. - Przypuszczam, że albo po to, żeby ugłaskać Medrita, albo żeby mieć na oku *Ba 'buir*. - Na widok zakłopotania Jajny potrząsnęła lekko głową. - To znaczy babcię. W *Mando 'a* nie ma rozróżnienia płci. No wiesz, Sintas.

Cóż, dobre i to, że Beviin nie da się zabić, spełniając kaprysy Fetta, pomyślała ponuro Jaina. A przynajmniej nie tym razem. Ona sama zawsze podejmowała się misji z konkretnego powodu - przeważnie dla wyższych celów - dlatego trudno jej było przyzwyczaić się do tego, że żołnierze podejmują podobne ryzyko dla kredytów albo z powodu lojalności wobec człowieka, który ich wynajmował. Mimo to nie chciała ich oceniać zbyt pochopnie. Widziała, jak wygląda sytuacja na Mandalorze: nigdy nie musiała się martwić o wyżywienie czy inne takie

prozaiczne sprawy.

- Jakim cudem możesz nienawidzić człowieka, którego właściwie nigdy wcześniej nie spotkałaś, Mirto? - spytała. Nie trzeba było specjalnej przenikliwości, żeby domyślić się relacji między wnuczką a dziadkiem. Na pierwszy rzut oka było widać, że Mirta chce pokochać Fetta, ale się boi, bo sprawił jej już tyle zawodów, za to on wciąż próbuje naprostować ich wzajemne stosunki, mimo ciągłych niepowodzeń. - Czy twoja babka w ogóle go pamięta? Nawet jej nie znasz...

- Dorastałam, słysząc bez przerwy opowieści o tym, jak to Fett porzucił babcię i mamę. Mówiono, że gdyby miał choć trochę odpowiedzialności, babcia nie musiałaby się podejmować takich trudnych zleceń, żeby utrzymać siebie i córkę.

- Rozumiem, ale żeby z tego powodu poszukiwać go, po to, by zabić...? I to przez tyle lat? Na ogół wynajmuje się do takich rzeczy prawników.

- Mama miała trudne dzieciństwo - westchnęła Mirta. - Nigdzie nie zagrzały długo miejsca, a ona ciągle zbierała cięgi, bo była inna. - Wzruszyła ramionami. - Żeby zwiększyć szanse znalezienia *Ba 'baira*, poślubiła nawet Mandalorianina, mojego ojca...

- Hm, nieźle - mruknęła Jaina. Tak wyglądała prawdziwa nienawiść. Nie spytała, dlaczego Mirta zdecydowała się pozostać wierna mandaloriańskiej tradycji ani dlaczego nie zorientowała się wcześniej, że Aylin cierpi na chorobliwą obsesję. - Przykro mi - powiedziała tylko.

- Tylko że... *Ba 'buir* okazał się zupełnie inny, niż go sobie wyobrażałam - ciągnęła Mandalorianka. - Zamiast nieokrzesanego kobieciarza, przepuszczającego fortunę w jakichś zapadłych spelunkach, poznałam prostego, zmęczonego życiem człowieka, którego trudno polubić, a jednak w jakiś sposób jestem z niego dumna. - Westchnęła ciężko i sięgnęła po hełm. To oznaczało koniec wynurzeń, ale Jaina naprawdę doceniała, że dziewczyna w ogóle zdecydowała się obnażyć przed nią duszę.

- Ja wciąż kocham mojego brata, chociaż zrobił wszystko, żeby go znienawidziła - powiedziała cicho. - Miłość to bardzo dziwne uczucie, czasem irracjonalne. Żyje własnym życiem.

- Cóż, jeśli na miłość zasługiwałoby się, zdobywając punkty, to nie byłaby to miłość, prawda? Tylko akceptacja - skwitowała Mirta.

Jaina zdrapała z palca kawałek *uj 'alayi*. Przyszło jej do głowy, że będący składnikiem ciasta gęsty syrop świetnie sprawdziłby się jako szczeliwo. Jeden z komandosów, wytatuowany osiłek imieniem Carid, zdjął hełm i przechylił zadziornie głowę na ramię.

- Halo! Świątować będziesz po ślubie! Co za sens wyruszać w misję, jeśli już cię to gnębi?-Jaina wiedziała, że takie żartobliwe docinki sąmandaloriańskim odpowiednikiem wyrażania współczucia.

- To u Fettów rodzinne - burknęła Mirta.

- Hej, jestem pewien, że Orade skutecznie nauczy cię wesołości - zarechotał Carid.

Na wspomnienie o narzeczonym Mirta zdobyła się na błądy uśmiech.

Czas mijał nieubłaganie. Jaina czuła się jak zamknięta w maszynie starożytnego statku prującego morskie fale, otoczona skomplikowanym systemem rur i zaworów. Z zamyślenia wyrwał ją jakiś zgrzyt i odruchowo spojrzała w górę.

- *Buy 'cese* - zarządził Carid.

Mirta uszczelniła swój hełm i zwróciła wizjer w stronę Jainy.

- Załóż maskę tlenową Jedi - poradziła jej. - Na wypadek de- hermetyzacji. Ktoś jest na górze - dodała.

- Zawsze możemy załatać dziury tym. - Jaina podniosła ostatni kawałek zapakowanego w folię *uj 'alayi*, wywołując salwy śmiechu, tym razem słyszała je wyraźniej. - Bardzo chętnie zajmę się testowaniem kompletnie niesprawdzonego statku.

- Wytrzyma - zapewnił ją Ram Zerimar. - *Mando'ade* nie takie rzeczy robili. Były czasy, kiedy przemierzaliśmy

przestrzeń na bojowych droidach, bez żadnych frymuśnych pancerzy, a od kosmicznej próżni dzieliło nas o, tyle!
- Prawie zetknął palec wskazujący chronionej rękawicą dłoni z kciukiem. - W ten właśnie sposób stworzyliśmy własne imperium. Wymiękasz, *Car'ika*, czy jak?

- Taa, wiem, że nieźli z nas byli wtedy twardziele - zarechotał Carid. - Potrafilimy przeżyć dwa tygodnie, nie oddychając, a za cały posiłek dla klanu starczało pół zdechłego karłowatego borsz- czura... i to przez tydzień! - Skrzyżował ręce na piersi i wyciągnął przed siebie nogi. - Gdy któryś z naszych maluchów nie mógł w kołysce utrzymać *beskada*, hartowaliśmy go, łapiąc mu dorosłego Trandoshanina, a potem każąc mu go zabić smoczkiem i zjeść na surowo. Ach, to były czasy... - Beknął przeciągle. - Przepraszam. Ostatnio staliśmy się zbyt wrażliwi i cywilizowani.

Jaina przygryzła wargę, żeby nie parsknąć śmiechem. Po chwili jeden z włazów w górnej części kadłuba otworzył się i do środka wskoczył Fett.

- Dokowanie „Niewolnika” przebiegło pomyślnie - zameldował, zahaczając kciuk za pas. O rany, a więc naprawdę dopiero teraz testowali *Tra'kada* - przemknęło Jainie przez myśl. Wydawało się jednak, że nikogo z jej towarzyszy to nie rusza. - Znamy już szczegóły.

- A więc zaczynamy? - spytała.

- Nie, ale ustalamy, co mamy robić, kiedy dostaniemy sygnał. - Fett rozdał im dataczipy. - Znajdziecie tu najświeższe plany i układy stoczni. Albo zajmiemy się systemem zasilania, żeby unieruchomić działka stacji orbitalnych, jeżeli będzie to konieczne, albo dokonamy desantu na pokład okrętu flagowego Pellaeona, „Kra-snołętwinia”, żeby go bronić, jeżeli zrobi się gorąco.

- Pellaeon? W takiej zabaweczce typu Turbulent? - odezwał się jeden z Mandalorian. Po głosie Jaina poznała, że to kobieta, a więc musiała to być Isko Talgal. Kiedy Beviin o niej mówił, zawsze zniżał głos do szeptu. - A co mu niby zagraża?

- Daala przypuszcza, że ktoś może... źle mu życzyć - wyjaśnił Fett.

- Czyżby wiedziała coś, czego my nie wiemy?

- Daala ma przygotowany plan awaryjny na każdą sytuację - uciął dyskusję *Mand'alor*. - Całkiem możliwe, że właśnie instruuje kogoś, żeby nas zlikwidował, jeśli się wyłamiemy. To dlatego tak trudno ją zabić. - Jaina pociągnęła nosem: od Fetta czuć było paliwem i środkami odkażającymi. W ciasnym przedziale zapach był bardzo intensywny. - Jeżeli wpadniecie na Jacena Solo, zostawiacie go. To rozkaz - dodał nieznoszącym sprzeciwu głosem. - Chyba że nie będziecie mieli innego wyjścia... wtedy go zabijecie. Żadnego tropienia, zbierania trofeów, mszczenia *Mand'alora* - to nie łowy. Solo jest dla Jainy; zrobi z nim, co uzna za stosowne.

Mam nadzieję, że ten czas, który poświęciliśmy jej z Beviinem, nie poszedł na marne.

- Tak jest, *Mand'alorze* - potwierdził Carid.

Jaina zastanawiała się nad ostatnimi słowami Fetta. Nie wiedziała, czy ma je traktować jak mandaloriańską uprzejmość, czy też on chce po prostu, żeby miała jakiś udział w tej misji. Po namyśle uznała, że nie warto zaprzętać sobie tym głowy.

- Co mam robić? - spytała. - Chyba wszyscy oprócz mnie znają swoją rolę w tej akcji...

- Jesteś świetnym pilotem, Jedi. - Fett skinął głową w stronę rufy, jakby chciał wskazać jej coś na zewnątrz. - Na pokładzie lotniskowca jest wolny *Bes'uliik*. Chciałabyś spróbować?

Jaina poczuła podekscytowanie, prawie natychmiast zastąpione przez poczucie winy. Jak mogła pozwalać sobie na radość, skoro dopiero co straciła życie bliska jej osoba? Mara zginęła tak niedawno. .. Jedi przypomniawszy sobie, że tak samo czuła się po śmierci Anakina, jakby zgadzając się na odczuwanie czegośkolwiek poza żalem z powodu jego śmierci, w jakiś sposób go zdradzała. Strasznie było myśleć, że ktoś odszedł już na zawsze i nigdy więcej nie zazna radości życia. Ale nie miała wyjścia - musi się z tym pogodzić. Wyobraziła sobie, jak Mara by pękała ze śmiechu na widok jej, Jainy Solo, przemykającej chyłkiem pośród pięciolatków z blasterami.

- A czy mogę najpierw rzucić okiem na pulpit sterowniczy? - spytała półzartem. - Nauka na polu walki bywa ciężka.

- Cóż, w takim razie może od razu przetestujemy dokowanie i transfer załogi.

Fett nie żartował. Pilot *Tra'kada* podprowadził statek do lotniskowca i sprowadził go bezbłędnie nad właz. Kiedy kłapa włazu ich statku odsunęła się z sykiem, Jaina poczuła się jak owad, wytrząsany brutalnie z pudełka, ale skoczyła pewnie na widniejący pięć metrów niżej pokład lotniskowca, łagodząc lądowanie Mocą. W pobliżu majaczyły cztery ciemnoszare sylwetki, kształtem przypominające z grubsza kliny, a powietrze przesycił zapach rozgrzanego paliwa, smaru i płynu chłodniczego. Jaina przyglądała się przez chwilę maszynom, podziwiając ich formę. Z zamyślenia wyrwał ją Fett; zszedł na pokład po drabince, dzwoniąc o szczeble metalowymi kolcami wpuszczonymi w noski butów.

- Mirta? - zawołał, ale nie podniósł głosu. Nigdy tego nie robił. - Ty też.

- Zajmę się nią, *Ba 'buir*. - Mirta podeszła do *Bes 'uliika*, wcisnęła jakiś guzik na karwaszu i osłona kabiny poniosła się do góry. - Mamy dość czasu na mały lot szkoleniowy? - spytała.

- Droga wolna. - Fett wspiął się z powrotem i zniknął w brzuchu *Tra'kada*.

- Jest dwuosobowy - wyjaśniła Jainie Mirta. - Wskakuj. Popi- lotujesz.

- Umiesz tym latać?

- Hm... cóż, tak. - Mirta poruszała się niezwykle sprawnie, nawet w ciężkiej mandaloriańskiej zbroi. W mgnieniu oka znalazła się na górze i wśliznęła na fotel drugiego pilota, zanim Jaina zdążyła się obejrzeć. - Jedyny wymóg potrzebny do pilotowania tych cacek to nie dać się zabić. W Keldabe nie lubimy zajmować się teorią

Owiewka zamknęła się z ledwie słyszalnym kliknięciem i w kabinie zapanowała dziwna cisza. Wciśnięta w fotel za Jainą Mirta wskazała jej przycisk zapłonu.

- Naciśnij - poleciła.

Jedi ostrożnie wduśliła kontrolkę i *Bes 'uliik* parsknął cicho, zupełnie jak żywe stworzenie; przez kadłub przeszło lekkie drżenie, kiedy gardłowy warkot silnika zmienił się w wysoki, spokojny, śpiewny pomruk.

- Jeśli się denerwujesz - rzuciła Mirta - to pamiętaj, że w ciebie wierzę.

No tak, jasne, zero ciśnienia, pomyślała z przekąsem Jaina.

Zgodnie z sygnałami dawanymi przez Mandalorianina w brązowej zbroi pociągnęła dźwonek sterowniczy, żeby zawinąć, i ucieszyła się, kiedy myśliwiec zareagował tak, jak podświadomie oczekiwała. Potężna turbowinda podniosła je razem z maszyną do góry. Po drodze Jaina przyglądała się, jak mijają kolejne pokłady, i wsłuchiwała w syk zamykanych za nimi włazów. Kiedy krótka podróż dobiegła końca, nad nimi rozciągała się już tylko usiana gwiazdami czerń kosmosu. Mogły startować.

- Droga wolna - zachęciła ją Mirta. Pochyliła się w swoim fotelu i wyciągnęła ramię, wskazując Jainie instrumenty na panelu sterowniczym. - Ma prawie taki sam układ sterowania jak w X-win- gu - wyjaśniła. - Z tą różnicą że systemy uzbrojenia są po tej stronie. Startuj.

Jestem Jedi, powtórzyła sobie w duchu Jaina. Potrafię latać, czym zechcę.

- Produkujecie je wyłącznie na własny użytek? - spytała.

- Na eksport - wyjaśniła Mirta. - I wierz mi, to, czym latacie u was, nie dorasta tym cackom do stateczników.

Jaina wytłumiła zmysły i pozwoliła, żeby instynkt wziął górę, a jej ruchami pokierowała Moc. Zanim się zorientowała, zostawiła niewielką mandaloriańską flotę daleko w tyle. Pokręciła głową zaskoczona zwrotnością maszyny. Czuliła się cudownie. Ten myśliwiec był prawdziwym dziełem sztuki. Miała wrażenie, że stanowi przedłużenie jej ciała, a nie skomplikowany system uzbrojenia, otaczający ją przedziałem, który miałby sterować.

wał.

- Łatwo uwodzi, co? - rzuciła Mirta, mając oczywiście na myśli *Bes 'uliika*, jednak Jaina pomyślała

automatycznie o łatwości, z jaką zwodziła Ciemna Strona, a potem o tym, jak szybko ona sama odnalazła się w nowym środowisku... i w jak naturalny sposób zaczęła traktować swojego brata jak ofiarę, którą należało wytropić. Zaczęła się zastanawiać, gdzie przebiega granica między otwarciem się na nowe idee a zbytnią łatwością zdradzania tych starych.

- Jest... doskonały - szepnęła z zachwytem.

Mirtę zdecydowanie łatwiej było przejrzeć za pośrednictwem Mocy niż jej dziadka. W kabinie aż wrzało od jej niepokoju.

- Jak myślisz, czy uzdrowiciel Jedi naprawdę będzie mógł pomóc babci? - spytała, zmieniając temat.

Jaina pomyślała o Gotabie. Co przyciągnęło go na Mandalorę? Wiedziała, że nie byłby zbyt zadowolony, gdyby zaczęła drążyć temat. Nie lubił, kiedy ktoś wsadzał nos w nie swoje sprawy.

- Na pewno nie zaszkodzi - powiedziała. - Znajdę kogoś.

- Dzięki, Jaino.

Z pewnym zdziwieniem Jaina odnotowała, że nie jest już dla tej dziewczyny Jedi ani nawet Solo - tylko Jainą. Z jakiegoś powodu pokrzepiło ją to bardziej niż świadomość, że nie została z miejsca zastrzelona przez Mandalorian jako szpieg.

ROZDZIAŁ 13

Taun We: nie, nie jestem martwy... i tak, wciąż mam wyniki twoich badań. Nie zamierzam ich sprzedać i lepiej, żebyś mnie

nie zmuszał do zmiany tych planów. Koa Ne: nie, nie zapomniałem. Dobrze wiesz, że znalazłem to, czego szukałeś, ale nie potrzebują jeszcze aż tak desperacko tych trzech milionów kredytów... Zresztą, przy okazji, cena wciąż jest

taka sama.

Urywek z wiadomości tekstowej Bobby Fetta, czekającej na transmisję z Mandalory za pośrednictwem węzłów komunikacyjnych na Arkanii i Kamino

Imperialny niszczyciel „Krasnopletwin”, punkt zborny grupy zadaniowej, przestrzeń w okolicy Fondora

Caedus wszedł pewnym krokiem na pokład „Krasnopletwina”. Nie zamierzał pozwolić, żeby ostatni incydent z Lukiem wyprowadził go z równowagi. Towarzyszyła mu Tahiri.

Dał się zwieść perfekcyjnie stworzonej fallanasskiej iluzji, a jego stealthX o mało nie został zestrzelony, ale to nic. Coś takiego nie mogło go zaniepokoić na dłużej.

Kiedy głębiej się nad tym wszystkim zastanowił, doszedł do wniosku, że to nie była żadna oznaka jego słabości, a jedynie wskazówka zesłana mu jako zapowiedź jego przeznaczenia.

Sam Luke Skywalker chciał go zniszczyć, a to świadczyło tylko o tym, jak desperacko Jedi pragną go powstrzymać. Doprowadził Luke'a do ostateczności: jego wuj uciekał się do wszelkich możliwych sposobów, żeby się go pozbyć. A skoro fallanaska iluzja (choć udatna, musiał to przyznać) była wszystkim, na co stać jego i jego popleczników, a mimo to nie dali mu rady... Cóż, to mówiło samo za siebie.

Atak na jego stealthX był dosyć żalonym posunięciem. Nie powstrzymali go - tak naprawdę nie zrobili mu najmniejszej krzywdy, chociaż uszkodzili jego myśliwiec. Nie mogli go zabić, nie mieli do tego środków, stwierdził z satysfakcją. Ani w sensie militarnym, ani emocjonalnym nie było ich na to stać.

Luke był potężnym Mistrzem Jedi i właśnie zaprezentował granicę swoich mocy - a takie posunięcie na każdej

wojnie było ogromnym ryzykiem. Caedus widział teraz wszystko dokładnie. To Moc otworzyła mu oczy; teraz musiał tylko spojrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy. Wiedział już, kto jest jego prawdziwym wrogiem i wiedział też, że Luke, choćby nie wiadomo jak się starał, nie dorasta mu do pięt.

I ty także, pani admirał, powiedział w myśli do Niathal, która właśnie nadchodziła - wyczuł to. Nic mi nie zrobisz.

- Widzę, że jest pan w dobrym nastroju, pułkowniku - usłyszał zza pleców jej głos. - Cieszę się, że tak szybko doszedł pan do siebie po tym strasznym incydencie.

Caedus ruszył za imperialnym oficerem przez labirynt korytarzy do twierdzy położonej w sercu gwiazdowego niszcyciela - najściślej chronionego centrum dowodzenia. Statek był sporo mniejszy od „Anakina Solo” i miał inny układ pomieszczeń; sufity były niższe, a korytarze węższe. Kiedy zatrzymali się w przedziale, w którym miało się odbyć spotkanie, przyjrzał się wymalowanemu na grodzi godłu okrętu.

- Dziękuję za troskę, pani admirał - powiedział grzecznie.

Na tarczy wyobrażono czworonoga o ostrych kłach i łapach zakończonych szpiczastymi, rozszczepionymi kopytami. Krwistoczerwona kryza przy ozdabiała niczym płetwa jego wygiętą w łuk szyję.

Niathal także przystanęła, żeby popatrzeć.

- Kiedy pomyślę o tej dodatkowej papierkowej pracy, która wylądowałaby na moim biurku, gdyby coś ci się stało... - mruknęła.

- Szybko dochodzę do siebie - odparł krótko Caedus. Zwierzę z godła miało na sobie starożytną uprzęż bojową. Tratowało właśnie jakąś postać - sądząc po skórzanych elementach pancerza był to jeździec, który niefortunnie spadł z grzbietu zwierzęcia. - Co za pech - westchnął. - Bestia próbująca zniszczyć własnego pana, który przeprowadza ją bezpiecznie przez pole walki...

- .. albo zrzucająca go z grzbietu, bo zbyt mocno spinał ją ostrogami - dodała Niathal i wciągnęła głęboko powietrze, jakby napawała się zapachem chemikaliów przesycającym powietrze na świeżo wykończonym okręcie. - Wspaniała rzecz taki nowy statek.

Z przedziału wynurzył się Pellaeon, jak zwykle w nienagannym mundurze, całkiem opanowany, i skupił przenikliwy wzrok na Caedusie. To było ich pierwsze spotkanie od chwili, kiedy młody Solo uzyskał stopień wojskowy.

- Nasza bestia to krasnopłetwin - wyjaśnił. - Bardzo ciekawe stworzenie.

- Krasnopłetwin? Wydawało mi się, że to zwykły morski drapieжник, groźny tylko w swoim środowisku naturalnym - zdziwił się Jacen.

- Fakt, zapożyczyłem nazwę od tego gatunku ze względu na podobieństwo tego wspaniałego czerwonego grzebienia. - Pellaeon przesunął palcem po krwistoczerwonej farbie. Caedus czuł promieniującą od admirała przedziwną mieszankę kontrolowanego gniewu i radości. - W dawnych czasach krasnopłetwiny służyły nam jako wierzchowce, bo były znakomitymi wojownikami, wytrzymalszymi i zwinniejszymi, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Teraz powinny być dla nas przypomnieniem, że musimy być ostrożni, kierując każdym niebezpiecznym stworzeniem, bo prędzej czy później trzeba będzie zsiąść. Jeśli będziemy okrutni lub beztroscy... bestia może nas nawet zrzucić. A kiedy jeździec wpadnie pod jej kopyta, zwierzę bezwzględnie strątuje go i pożre.

Przez dłuższą chwilę w powietrzu wisiało pełne napięcia milczenie.

- Cieszę się, że teraz mamy skutery repulsorowe - przerwała niezręczną ciszę Tahiri.

Caedus był ciekaw, czy dziewczyna nie zrozumiała podtekstu, czy też jest po prostu znacznie inteligentniejsza i bardziej sprytna, niż myślał. Stawiał na to drugie. Kiedy weszli do sali i rozpoczęło się oficjalne spotkanie, osobiste animozje zeszły chwilowo na dalszy plan. Wszyscy skupili się na czekającym ich zadaniu: odizolowaniu Fondora i zatrzymaniu floty, która nadal mogła czekać w pobliżu. Caedus uważnie studiował holomapę. Trudno było stwierdzić na podstawie materiałów dostarczonych przez wywiad, czy większość statków na Fondorze, którego powierzchnia przypominała jedną wielką stocznię, to w pełni sprawne jednostki,

czy też może zamówienia w trakcie realizacji.

- Z powodu braku min, które skutecznie ostudziłyby zapal Fondorian, będzie to bardzo czasochłonne zadanie - przemówił Caedus. - Sugeruję rozmieszczenie myśliwców Trzeciej i Czwartej Floty wewnątrz pierścienia. Będą mogły przeprowadzić zwiad i w razie potrzeby szybko zareagować na kontratak z powierzchni. Dołożymy niszczyciele i flotyllę fregat, które spacyfikują każdego, kto zechce się nam przeciwstawić. Resztę statków możemy wysłać przeciwko stoczniom orbitalnym i zostawić na ich powierzchni siły desantowe, żeby zabezpieczyły teren. Wojska Imperium zostaną na zewnątrz pierścienia, żeby w razie czego odeprzeć atak fondoriań- skiej floty, która z całą pewnością wkrótce się tu zjawi.

Pellaeon przyglądał się holomapie pogrążony w myślach, bezwiednie gładząc wąsy.

- A więc naszym głównym celem nie jest przejście stoczni w jednym kawałku... - mruknął.

- Otóż to - potwierdziła Niathal, nie spuszczać wzroku z Ca- edusa.

- A to... z pewnością wzięłaś pod uwagę taki scenariusz... pociąga za sobą zajęcie stoczni na dłużej. Taki scenariusz oznacza, że będziemy musieli również utrzymać dłużej Fondor, unieszkodliwiając jego flotę, albo sami skazemy się na oblężeniu w stoczniach. - Pellaeon podniósł trzy palce i przeniósł spojrzenie na Tahiri. - Trzy metody w jednym. Dwie z nich z dużym prawdopodobieństwem oznaczają zaangażowanie na dłuższą metę, chyba że jesteśmy gotowi przeprowadzić w ciągu jednej nocy zbiorową lobotomię na mózgach fondoriańskiego rządu i obywateli, sprawiając, że zapalają do nas nagle gorącym uczuciem.

Caedus czuł, jak pułapka nad nim się zamyka, ale nie widział jamy w dole. Przeciętne istoty często popełniały podobne błędy, ale on nie zamierzał paść ofiarą niepewności. Jeżeli zmieniał zdanie, wynikało to wyłącznie z dynamicznej oceny ryzyka.

- Jeżeli chcecie przez to powiedzieć, że temu nie podaliśmy albo że takie zaangażowanie to za duże obciążenie dla Szczętków Imperium, to śmiało - powiedział. - Większość wojen ekspedycyjnych wymaga prowadzenia walk w miejscach o niezbyt przyjaznych warunkach. Śmiem twierdzić, że o to właśnie w tym wszystkim chodzi.

Pellaeon ciągle gładził wąsy.

- Chcę tylko powiedzieć, że podbić cywilizację jest znacznie trudniej niż rozgromić flotę.

- Nie, jeśli dysponujesz właściwą mocą - odparł spokojnie Caedus.

Pellaeon nawet nie mruknął.

- O jakiej mocy mówisz? - spytał. - O tej niewidzialnej, do której masz dostęp, czy o tej, która robi dużo zamieszania, hałasu i dymu?

- O tej konwencjonalnej.

- Pozwolę sobie zauważyć, że bombardowanie miast to niezbyt konwencjonalny sposób na łamanie woli żywych istot, w dodatku bardzo czasochłonny - skwitował flegmatycznie białowąsy admirał. - W mojej długiej karierze byłem świadkiem wielu takich zdarzeń i wierz mi, że większość istot nie poddawała się, dopóki z ich domostw nie zostały zgliszcza, a oni nie mieli już pod ręką nic, czym mogliby walczyć. W skrócie: stawiali opór. Walczą o swoje domy, nie mają gdzie uciec, nie mają nic do stracenia.

Caedus zignorował pokusę wdania się w dyskusję. W gruncie rzeczy mieli różne cele: on chciał złamać Fondor ku przestrodze, żeby pokazać, jak bardzo zależy mu na stworzeniu galaktyki zdolnej stawić czoło na razie nieznanemu, ale zdecydowanie realnemu niebezpieczeństwu, choćby takiemu jak inwazja Yuuzhan Vongów. Pellaeon zaś pragnął zasobów, które mogłyby wykorzystać SGS - albo Imperium. Niathal najpewniej podzielała jego zdanie. Takie podejście było jednak według Caedusa nie tylko krótkowzroczne, ale także - na skalę galaktyczną - nieoptyczne.

Cóż, typowe podejście.

Niathal uparcie milczała. Caedus zauważył, że nie wspomiała ani słowem o stealthX-ie Jedi płaczącym się w okolicy punktu zbornego floty. Każdego dowódcę coś takiego wyprowadziłoby z równowagi. No, chyba że był przeświadczony, że nikt nie podejrzewa go o maczanie w tym palców...

Nie jestem głupcem, pani admirał, zwrócił się w myśli do Kala- marianki.

- Co pani o tym sądzi, pani admirał? - spytał, wpatrując się w nią przenikliwie.

- Często sama walczyłam z pokusą spopielenia jakiejś planety - odparła Niathal spokojnie. - Chociaż zapewne z całkiem innych powodów niż pan, pułkowniku... Mimo to zgadzam się z Gilem: utrzymywanie naszej pozycji za wszelką cenę byłoby marnotrawstwem środków, jeśli Fondor nie wykaże się pragmatyzmem i nie ustąpi. Sądzę, że powinniśmy im dać ku temu stosowny powód, ale inny niż groźba zrównania ich świata z ziemią.

- Na przykład? - rzucił Pellaeon.

- Na przykład rzucić interesującą propozycję. Niech przyłączą się do SGS na naszych zasadach i pozwolą na pozostawienie u siebie naszych sił przez jakiś czas. Byłaby to gwarancja, że się nie rozmyślą, a w zamian moglibyśmy zaproponować im specjalny status: gwarantowaną pracę SGS na rzecz ich stoczni i fabryk.

- Cóż, właściwie za czasów Imperium było tak samo, o ile dobrze pamiętam - powiedział z namysłem Pellaeon.
- Może przydałaby się jeszcze jakaś wygodna trasa hiperprzestrzenna?

- A więc - podsumowała Niathal - mamy sprawdzony plan zachęcenia ich do współpracy, prawda, Gil? Okupacja gospodarcza to zawsze lepsze wyjście niż okupacja militarna.

Caedus śledził uważnie zawołowane negocjacje między obojgiem admirałów i widział, jak ostateczny kompromis powoli nabiera kształtu - oczywiście bez jego udziału. Jednak w przeciwieństwie do „zwykłych” istot na Sithach coś takiego nie robiło żadnego wrażenia. Potrafili przewidzieć podobne posunięcia i przyjmowali je zupełnie spokojnie.

- A więc uporządkujmy naszą strategię - zaproponował. - Najpierw wyizolujemy Fondor, tak jak planowaliśmy, zabezpieczymy stacje orbitalne, a potem spróbujemy ich zmiekczyć i po kilku godzinach sprawdzimy, czy są bardziej otwarci na negocjacje.

- Zgoda - potwierdziła Niathal. - Musimy tylko pamiętać, że postawiliśmy im termin zgłoszenia kapitulacji.

- Zgoda - powtórzył Pellaeon.

Caedus czuł podświadomie, że musi mieć ich oboje na oku - ale w końcu od czego miał uczenie? Wojna sama się nie wygra.

- Czy mielibyście coś przeciwko temu, żeby porucznik Veila została na pokładzie „Krasnopłetwina” na czas trwania bitwy... jako mój łącznik? Oczywiście, jestem gotów przyjąć w tym samym celu waszego oficera na „Anakina Solo”.

Nieufność Pellaeona wręcz krzyczała poprzez Moc, ale admirał uśmiechnął się tylko - a Caedus musiał przyznać, że wyszło mu to nawet przekonująco.

- Mógłbyś skorzystać z komunikatora, pułkowniku - rzucił żartem - ale oczywiście twoja podwładna jest znacznie bardziej atrakcyjna.

Nieprawda, wcale tak nie myślisz, zadrwił w myśli Sith, ale musiał przyznać, że podobne rozmówki, grzeczne i banalne dla przypadkowego słuchacza, a w istocie złożone z wielu warstw znaczeń i intencji, sprawiały mu przyjemność. Poprzez Moc wyczuł niemy bunt Tahiri. Świetnie się składa, uznał. Zdenerwowana będzie bardziej skuteczna w działaniu. Kiedy odprowadzała go do hangaru, trzymała jednak nerwy na wodzy.

- Co mam robić jako łącznik? - spytała, ledwie poruszając ustami.

- Obserwować.

- A cóż takiego mogłabym zauważyć, czego nie zarejestrowałaby holokamera? - burknęła z przekąsem.

- Gdyby Pellaeon w jakikolwiek sposób chciał mi pokrzyżować plany, powstrzymasz go - szepnął ledwie słyszalnie Caedus. - Moffowie są znacznie bardziej skłonni do współpracy, ale wystarczy jedno jego słowo, żeby tańczyli jak im zagra. Rozumiesz, co mam na myśli?

Tahiri ciągle miała ten uprzejmy i zwodniczo pogodny wyraz twarzy, ale nie dał się oszukać - Moc aż pulsowała

od jej wzburzenia i nieustannego kalkulowania. Była w tej chwili żywym świadectwem zbawiennego wpływu motywacji.

- Tak mi się wydaje.

- Czasem śmierć... poświęcenie kogoś... jest konieczne, chociaż może się wydawać okrutne. - Chciał się upewnić, że dziewczyna właściwie zrozumie, o co mu chodzi, i nie będzie musiał tłumaczyć jej tego bardziej... dosadnie. - Ale pamiętaj: tylko kiedy będzie to naprawdę konieczne.

- Rozumiem. To nic przyjemnego, ale... rozumiem.

Teraz musiał tylko ostrożnie zarzucić przynętę, ostateczny argument, który ją przekona, że to, co robią jest słuszne... Westchnął teatralnie.

- W końcu walczymy o galaktykę, w której tacy jak Anakin nie będą musieli ginąć na darmo... To dlatego musimy podejmować czasem tak drastyczne kroki.

Czuł, jak samodyscyplina Tahiri na chwilę słabnie, ale dziewczyna błyskawicznie wzięła się w garść.

- Według mnie życie przeszłością to niebezpieczny nawyk - powiedziała w końcu powoli. - Pomagam ci, bo uważam, że dobrze rządzona galaktyka to nasza najlepsza ochrona przed powtórką incydentu z Vongami.

Caedus ruszył przed siebie, zostawiając Tahiri w przejściu. Stała z dłońmi splecionymi za plecami, obok godła statku: krasnoplęwi- na pożerającego nieszczęśnika, który zapomniał, z jak niebezpiecznym stworzeniem ma do czynienia. Przez całą drogę powrotną na pokład „Anakina Solo” nie dawały mu spokoju jej ostatnie słowa.

Dotarło do niego, że było to w pewnym sensie ostrzeżenie: próbowała dać mu do zrozumienia, że wie, jak bezwstydnie manipuluje nią, wykorzystując jej obsesję na punkcie jego brata. Czy w takim razie naprawdę wierzyła, że rządy Sithów mogą obronić galaktykę przed następnymi krwawymi konfliktami? A może miała ambicje, o które nigdy by ją nie podejrzewał? Cóż, tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Tahiri była bystra i przenikliwa, potrafiła myśleć jak Sith, a jego przeznaczeniem było wykorzystać ją instrumentalnie.

Na obydwu chronometrach - jeden pokazywał czas lokalny, drugi zaś standardowy czas galaktyczny - nieuchronnie zbliżała się godzina dwudziesta trzecia pięćdziesiąt dziewięć. Na mostku każdego okrętu flagowego jeden kanał był cały czas otwarty w oczekiwaniu na łączność z prezydentem Fondora, jednak pora na przedstawienie oficjalnego stanowiska rządu planety minęła, a z głośników nadal dobiegały tylko nikłe szumy i trzaski wyładowań. „Ocean”, „Kra- snoplęwin” i „Anakin Solo” miały ze sobą łączność audio; załogi każdego ze statków czekały w napięciu. Nevil spacerował wolno po mostku, zaglądając każdemu oficerowi przez ramię i śledząc sytuację na ekranach taktycznych i monitorach czujników.

- Cóż, szczerze powiedziawszy, i tak nie liczyłam zbyt na odpowiedź - mruknęła Niathal pod nosem. - Do wszystkich statków... - dodała głośno - od teraz jesteśmy na pozycjach bojowych. Przypuszczam, że od tej pory nasze dalsze działania przejdą do historii pod nazwą Drugiej Bitwy o Fondora. Będę kierować działaniami naszej floty z ośrodka informacyjnego dowodzenia do nadejścia dalszych rozkazów.

Do Caedusa co jakiś czas docierały podświadomie odbierane sygnały, sugerujące wzmożony ruch w nadprzestrzeni. Ostatnio powtarzały się coraz częściej i wiedział, że oznaczają aktywność floty, przemieszczającej się z miejsca na miejsce, wyskakującej co jakiś czas z nadprzestrzeni, żeby zatrzymać się na chwilę przed kolejnym skokiem i w ten sposób zapobiec wykryciu. Przypuszczał, że fondoriańska armada ostrożnie okrąża zajęta przez statki Sojuszu i Imperium przestrzeń, co jakiś czas sprawdzając, kto stacjonuje w pobliżu i czy zamierza opuścić swoją pozycję.

„Anakin Solo” wziął kurs na Fondora.

Z dwóch stron eskortowały go statki obydwu flot SGS, które właśnie sformowały szyk, i jedna grupa bojowa poprzedzana eskadrą

X-wingów, które wysunęły się na czoło formacji, żeby prześliznąć się za pierścieniami stacji orbitalnych.

Caedus wysłał wici Mocy w poszukiwaniu Jedi, ale nic nie wyczuł. Wiedział, że muszą czaić się gdzieś w pobliżu, skoro był tu Luke, ale nie miał najmniejszego pojęcia, ilu ich jest ani gdzie mogą się ukrywać. Zakładał najgorszy scenariusz: może będą mieli do czynienia z jakąś setką na dodatek przeważnie za sterami stealthX-

ów...

Tak czy inaczej, Jedi czy nie, ich flota nadal miała przewagę liczebną - a w dodatku dysponowali jednostkami większego kalibru. W obecnych czasach żaden szanujący się inżynier budowy okrętów nie popełniał błędów konstrukcyjnych, w wyniku których zwykły myśliwiec mógł pokonać w walce maszynę wojenną wielkości planety. Fartowne dni Luke'a Skywalkera były już tylko wspomnieniem i dawno przeszły do historii. Caedus uznał, że nie ma co zwracać sobie głowy martwieniem się o Jedi. Wyobraził sobie całą swoją flotę i jej dowódców jako sieć, układ scalony, uporządkowany system.

Wiedział, że może na nich liczyć: to byli najlepsi ludzie, dowodzący znakomicie wyszkolonymi załogami. Potrzebowali tylko lekkiego bodźca, małej zachęty, która zmobilizuje ich do podjęcia bardziej zdecydowanych kroków. Tak naprawdę nie trzeba było ich kontrolować; musiał jedynie cały czas być świadom ich pozycji, nastawienia i w razie potrzeby ich ośmielić. Wiedział, że to może być konieczne, bo inne istoty nie dysponowały tak pełnym obrazem sytuacji jak on i odbierały zmiany w teatrze wojny wolniej i słabiej niż Sith.

„Ocean” był tam, gdzie powinien: po jego lewej stronie, nieco z tyłu. Będę cię miał na oku, choćbym był nie wiem jak zajęty, pani admirał, zwrócił się w myśli do Niathal. Widział monitory czujników, rozbłyskujące różnobarwnymi sygnałami na stanowiskach mostka, ale to obraz postrzegany za pomocą dodatkowych zmysłów dawał mu pełniejsze rozeznanie; chwilami obie projekcje nakładały się na siebie i w takich momentach Caedusowi trudno było rozróżnić, który wizerunek jest rzeczywisty, a który wykreowany przez jego umysł.

Nevil odwrócił się do niego i odchrząknął.

- Sygnał długofalowy, sir - zameldował. - Wojska lądowe nas zakłócają.

Czujniki wykryły rój myśliwców zajmujących miejsca na orbicie i Caedus skoncentrował się na umysłach dowódców, zamierzających otoczyć planetę. Między stacjami orbitalnymi przemknęła pierwsza fala X-wingów, po drodze biorąc na cel stanowiska j stoczniowych działek. Eskorta fregat i niszczycieli rozdzieliła się na dwie grupy: pierwsza poleciała pod pierścieniem stoczni, żeby i dotrzeć do Fondora od bieguna południowego, druga zaś powtórzyła ten sam manewr, kierując się na północ. Podczas gdy X-wingi uwijały się jak w ukropie w pobliżu baterii działek stoczni, okręty przegrupowały się wewnątrz pierścienia stacji orbitalnych. Na spotkanie ruszyła im natychmiast chmara fondoriańskich myśliwców: rzuciły się na nie niczym stado grabożerów, reagując tak równo, jakby były ze sobą sprzężone.

- Spokojnie... - mruknął Caedus. - Naprzód... naprzód!

Zewsząd zaczęły dobiegać zgłoszenia o uszkodzeniach, chociaż większość dotyczyła drobiazgów, takich jak przeciążone pola; przekierowywano je do zautomatyzowanego systemu, który dokona oceny i oszacuje ich wpływ na skuteczność floty w danym punkcie. Caedus nie zwracał sobie jednak głowy podobnymi głupstwami. Czuł, jak X-wingi gasną jeden po drugim; zniszczenie każdego było jak bolesne uklucie. Czuł także, jak statki ustawiają się na właściwych pozycjach w odpowiednim czasie...

Systemy obrony naziemnej Fondora jeszcze nie rozpoczęły ostrzału, chociaż miały już statki jego floty w swoim zasięgu. Stocznie nie miały jednak bronić planety - musiały zadbać o własne bezpieczeństwo. Na stworzonej w umyśle Caedusa mentalnej mapie pola walki pojawił się dziwny, martwy punkt, plama spokoju - niczym cisza przed nadchodzącą burzą. Sith przez pełną minutę rozglądał się uważnie dookoła w poszukiwaniu oznak niespodziewanego ataku - roju stealthX-ów, pojawiającego się znikąd i zaganiającego jego statki w pułapkę wewnątrz pierścienia stacji , orbitalnych, albo czegoś podobnego... Czuł to wyraźnie, czuł ich obecność... Nieważne, co Jedi dla niego przygotowali, nieważne, jak ciche i trudne do wykrycia były ich myśliwce - kiedy zaczną atak, na pewno wyczuje ich przyspieszone tętno i fale pompowanej w żyły adrenaliny. Luke może i potrafił przed nim takie rzeczy ukryć, ale wszyscy inni... o, nie.

Floty zajęły swoje miejsca. Skanowały teraz powierzchnię Fondora w poszukiwaniu dział i stanowisk turbolaserów wycelowanych w ich stronę i czekających, aż system celowniczy wroga je namierzy i uruchomi ich czujniki. Bombardowanie powinno się już rozpocząć...Nic. Cisza.

Komunikator na mostku zatrzeszczał głosem Niathal:

- Przygotować się...

Nagle Caedus coś wyczuł. Natychmiast się zorientował, co oznacza ten ucisk w głębi oczodołów: spiętrzoną falę ryku silników, sięgające szczytu napięcia, tysiące istot ruszających do akcji...

Zbliżała się fondoriańska flota.

Jego umysł działał jak w zwolnionym tempie - zdążył się jeszcze przelotnie zastanowić, dlaczego sensory nie pokazywały osaczających ich jeden po drugim statków, ale zaraz się przekonał dlaczego: to stocznie na orbicie nagle ożyły. Z doków zaczęły się podnosić potężne sylwetki niszczycieli, otoczone rojem mniejszych jednostek. Wyczuwał na odległość precyzję manewrów, nie musiał nawet śledzić gwałtownie zmieniających się ikon transponderów na holomapie. Połowa statków skupiła się wokół symboli oznaczających siły SGS, uwięzione teraz między Fondorem a pierścieniem, pozostałe zaś ruszyły na spotkanie reszty grupy zadaniowej, czekającej na zewnątrz.

Fondoriańska flota - albo spora jej część - wysypała się ze stoczni niczym stado kagów z pękniętej rury.

Skanery czujników oszalały.

Dlaczego nie wyczułem ich wcześniej, skoro szykowali wszystko tuż pod moim nosem? - zachodził w głowę Caedus.

Jedi. To byli Jedi, nie miał co do tego wątpliwości. To tam się kryli, maksymalnie skoncentrowani na maskowaniu swojej obecności, niewątpliwie przekonani, że w dobrej wierze bronią cywilów i stacji orbitalnych. Cóż, to by się zgadzało, uznał Sith. Nie byli na tyle oddani sprawie, żeby grać w otwarte karty i własną pierśią bronić od początku Fondora, za to wystarczająco obłudni, żeby pomagać ich...

- Uwaga, kryć się! Przygotować się na zderzenie... - Głos Ne- vila był nienaturalnie spokojny, zresztą jak zwykle. Mimo silnych pól ochronnych turbolaserowa salwa, która uderzyła w „Anakina Solo”, wstrząsnęła mostkiem i rozświetliła panele widokowe oślepiająco białym blaskiem.

Caedus nawet nie drgnął. Taki obrót spraw był pożądanym, a nawet koniecznym, żeby wprowadzić go w odpowiedni nastrój. Wszystko wokół nagle jakby się rozmyło i straciło kolory. Natychmiast rozpoznał to uczucie i we właściwej chwili chwycił cugle swojego gniewu, żeby wykorzystać go jako narzędzie. W przeciwieństwie do nieszczęsnego jeźdźca krasnoplętna nie da się zrzucić z grzbietu, stratować i pożyć.

Poprzez Moc sięgnął ku umysłom swoich dowódców i wsączył w nie trochę agresji i oporu, by grali zgodnie z zasadami zaangażowania w konflikt zbrojny.

Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Caedusa, żeby Nevil zatrzymał się w pół kroku i stanął jak wryty. Ach, prawda, moje oczy, przypomniał sobie Sith. Cóż, będą się musieli przyzwyczaić. Mglista świadomość ruchu statków przemykających w nadprzestrzeni całkowicie znikła.

- Kapitanie - powiedział - przynajmniej wiemy już, gdzie są... i dlaczego nie wyczułem, że na nas czekają.

Druga Bitwa o Fondora: Ośrodek Informacyjny Walki (OIW), okręt galaktycznego sojuszu „Ocean”

Niathal stała w OIW, opierając obie dłonie na holostole taktycznym. Z przerażeniem śledziła sytuację na holomapie. Z pozbawieniem Jacena Solo stanowiska będą musieli poczekać.

Fondor bronił się zębami i pazurami i wszystko wskazywało na to, że ta potyczka przejdzie w coś znacznie poważniejszego, niż się zapowiadało. Sieć min bardzo ułatwiłaby im życie, ale cóż, Niathal podjęła decyzję i musiała teraz zmierzyć się z konsekwencjami. Admirał Makin obchodził stół, bębniąc palcami w blat i przyglądając się krytycznie sytuacji na mapie. Utknął na „Oceanie”, bo walki były teraz zbyt zaciekle, żeby mógł bezpiecznie wrócić na „Sarpentę”.

A ja, głupia, chciałam poczekać z negocjacjami, aż odrobinę zmiękną pomyślała z goryczą Niathal.

- Pani admirał - rozległ się głos Jacena. - Zamierzam coś z tym zrobić, zanim stracimy za dużo statków.

- Sugeruję, żebyśmy się wycofali i przegrupowali - powiedziała stanowczo.

- Nie będziemy uciekać...

- Powiedziałam „przegrupowali”.

- I co potem? - parsknął Jacen. - Co niby takiego mamy radę zrobić później, co postawi nas w lepszej sytuacji?

Nie odpowiedziała. Patrzyli w ciszy, razem z Makinem, jak błękitna ikona „Anakina Solo” powoli, ale stanowczo kieruje się

w stronę Fondora. Okręty flagowe nie angażowały się zazwyczaj do tego stopnia w walkę i nie pchały w najgorszą bitewną zawieruchę niczym zwykle fregaty, ale może Solo jeszcze nie doszedł do tego rozdziału w podręczniku?

- Nie lubi grać w drużynie, co? - mruknął cicho Makin.

- Pułkownik Solo... - Niathal rzadko kiedy potrafiła przewidzieć, co też strzeli do głowy Jacenowi i w jaki sposób włączy się do walki, i była już tym coraz bardziej zmęczona. Za każdym razem działał mniej przewidywalnie. - Pułkownik? Słyszysz mnie pan?

Z głośnika popłynął nikły szmer wyładowań.

- Tak, pani admirał.

- Proszę potwierdzić pańską pozycję i zamiary...

- Zbliżam się do planety.

- To widzę. Po co?

- Żeby doprowadzić do szybszego rozwiązania tego konfliktu.

Niathal zerknęła na Makina i przewróciła oczami. Doświadczony kalamariański dowódca zrobił gest dowodzący, że nie jest do końca przekonany, czy Jacen panuje nad sytuacją.

- Pułkownik, naprawdę sędzę, że powinien pan zawrócić i skupić się na kierowaniu bitwą - podjęła ostrożnie.

„Anakin Solo” nie zmienił kursu ani nie zwolnił.

- Równie dobrze mogę to robić z tego miejsca - odparł Solo. - Proszę tylko postarać się związać Fondorian walką. Ja zajmę się Oridinem.

- Ma pan na myśli baterie naziemne? Czy może pan wskazać swój cel nieco dokładniej?

- Mam na myśli Oridin. Stolicę. Główne centrum handlowe, strategiczny cel.

- Proszę chwilę poczekać. - Niathal przełączyła rozmowę na „Krasnoplętwiną”, na moment zawieszając połączenie z Jace- nem. - Gil, nadążasz?

- Tak - nadeszła odpowiedź Pellaeona. - Musi najpierw wyłączyć pola ochronne planety, a my na razie mamy tu pełne ręce roboty z odpięciem ataku fondoriańskiej floty, więc będzie zdany sam na siebie.

- Gdyby nie miał ze sobą załogi złożonej z Mocy ducha winnych istot, pozwoliłabym Fondorianom zrobić z nim porządek - mruknęła Niathal. - Traktuje ten statek jak swój myśliwiec! Ta jego mentalność asa przestworzy doprowadza mnie do szału...

- Nie możesz go powstrzymać, a my mamy tu co robić - powtórzył cierpliwie Pellaeon.

- Widziałam właśnie wasz meldunek operacyjny.

- Niestety, Cha - westchnął admirał. - Dwa niszczyciele i osiem krążowników. Co tu kryć, oberwało nam się.

Niebieskie symbole SGS były skupione we wnętrzu blokady, jak zaczęto nazywać przestrzeń między Fondorem a stacjami orbitalnymi. Po drugiej stronie, na zewnątrz, gromadziły się bursztynowe i niebieskie symbole, oznaczające statki SGS i Imperium, skupione w luźne gromadki, gwiazdne niszczyciele, próbujące wzajemnie się namierzyć, i resztki grupy bojowej wokół każdego z nich, próbujące je osłaniać. Z planszy zniknęła następna niebieska ikona, pojawiając się w zestawieniu jako zaginiona jednostka. Czasem zdarzało się to, kiedy statki po prostu traciły zasilanie pewnych systemów, więc Niathal miała szczerą nadzieję, że tak było i tym razem.

Makin był wyraźnie sfrustrowany. Nie mogąc walczyć na własnym statku, starał się pomóc, jak umiał. Założył

właśnie słuchawki i nasłuchiwał na jakimś kanale, przymknąwszy oczy.

- Cha? - rzucił w pewnej chwili. - Wiem, że jesteś zajęta, ale... słyszałaś to? To Czwarta Flota, wewnątrz blokady.

Statków uczestniczących w tej bitwie po ich stronie było stanowczo za dużo, żeby chociaż próbować kontrolować łączność między poszczególnymi kapitanami.

- Nie słyszałam - odparła, zbita z tropu. - A powinnam?

- Cóż, hm, tak. To... dziwne.

Makina rzadko kiedy coś dziwiło i już sam ten fakt był niepokojący. Zazwyczaj kalamariański admirał wyrażał się jasno i precyzyjnie. Mało brakowało, a zignorowałaby jego nalegania, ale zreflektowała się szybko i przełączyła na przesłuchiwany przez niego kanał.

Nastroje w centrum dowodzenia okrętu, nawet w bardzo trudnych sytuacjach, bywały znacznie spokojniejsze, a wszystko znajdowało się pod większą kontrolą niż zwykle pokazywano w ho- lofilmach. Podczas ostrzału wszyscy byli maksymalnie spięci i czasem ktoś podniósł głos, ale to, co usłyszała Niathal, raczej nie było typowe dla podobnych sytuacji: jeden z kapitanów rozkazywał właśnie własnym artylerzystom — w bardzo kwiecistych i dosadnych słowach - by zrobił z Fondorianami porządek. Kalamarianka skrzywiła się i wyraźnie zasepiła.

- Kto to?

- Tarpilan.

- Upił się czy co? - Niemożliwe, Jun Tarpilan? On? Nigdy w życiu by nie przypuszczała, że w ogóle zna podobne słowa. Znała go od lat; był formalistą ze starej szkoły. - To... niemożliwe... - wykrztusiła.

- Posłuchaj na innych kanałach. Wszędzie to samo. Zupełnie jakby nagle zbiorowo oszaleli... Chociaż wygląda to raczej, jakby razem chlapnęli o kilka ale za dużo i nagle zachciało im się podbijać galaktykę. I nie mówię tu o braku kompetencji...

Niathal była teraz naprawdę zaniepokojona. Im dłużej nasłuchiwała, tym było gorzej: dowódcy, których znała od dawna - ludzie, Kalamarianie, Sullustanie - niezależnie od rasy, zachowywali się wyjątkowo agresywnie i beztrzesko. Nie było czasu ani sensu debatować nad tym z Makinem, ale pomyślała o Luke'u Skywalkerze i o tym, co mówił o Jacenie i Ciemnej Stronie Mocy. Jedi potrafili bez trudu manipulować emocjami... Mogła się założyć o całą emeryturę, że Jacen także.

- Użyłabym raczej sformułowania „szał bojowy” - mruknęła, ale przerwał jej komunikat z interkomu:

- Uwaga! Przygotować się do zderzenia!

Niathal uklękła i sięgnęła do najbliższego uchwytu, żeby złagodzić wstrząs. W całym OIW zapadła cisza, maćona jedynie przez słaby szum elektroniki, ale jakoś nic się nie stało, więc pozwoliła sobie na westchnienie ulgi. Niszczyciele takie jak „Ocean” były dobrze opancerzone i miały silne pola, ale w obliczu wroga, który produkował najpotężniejsze w galaktyce okręty bojowe i broń jeszcze przed wojną z Yuuzhan Vongami, nie można było niczego z góry zakładać.

W OIW nie było zewnętrznych paneli widokowych; jedynym wizualnym odwzorowaniem sytuacji na polu walki były układy przedstawiane za pomocą wykresów, liczb i ruchomych świetlnych punktów, transmitowane z zewnętrznych holokamer każdego statku albo z kamer kabinowych. Niathal nie lubiła tracić kontaktu z namacalną rzeczywistością. Miała uczucie, że nie postępuje lojalnie wobec własnej załogi, jeżeli razem z nimi nie obserwuje pędzących prosto na nich kul ognia i powykęcanych części kadłubów, znikających jako czerwony wir ognia w pustce przestrzeni kosmicznej. Jednak teraz, żeby móc trzeźwo ocenić sytuację i podjąć

właściwe decyzje, musiała nabrać nieco dystansu. Ból, jaki odczuwała na widok zniszczenia i śmierci, rozpraszał ją i nie pozwalał i spojrzeć na wszystko z szerszej perspektywy. W pewnej chwili ką- ;' tem oka złowiła jakiś ruch na ekranie i odruchowo się odwróciła, żeby sprawdzić, co to takiego. Na jej oczach, na obrazie przekazywanym z kamery z pozycji pilota myśliwca, maszyna rozbiła się o fondoriański statek, który dopiero co dosłownie rozorała ogniem z działek. Ostatnią rzeczą jaką Niathal zobaczyła, było gwałtownie rosnące godło

Fondora, stojące w płomieniach.

Kiedy ta wojna się zaczynała, pomyślała ponuro Niathal, nie tak to miało wyglądać.

- Dobrze, że Imperium przyszło nam na odsiecz - zauważył Makin cicho, kiedy wspólnie śledzili, jak „Anakin Solo” nieuchronnie zbliża się do wewnętrznej blokady. - Bez nich już by nas rozpylili na atomy.

- Stary, dobry Gil... - westchnęła Niathal. Ciągłe nie mogła się otrząsnąć po scenie, jaką przed chwilą zobaczyła.

- Gdyby nie on, ktoś inny zostałby Jacenowi do nadrobienia strat?

„Anakin Solo”, wewnętrzna blokada Fondora

„Anakin Solo” wpadł na pełnej prędkości między dwa punkty orbitalne i wziął kurs prosto na Oridin.

Grupa myśliwców przerwała atak na krążownik „Rozejm”, ostrzeliwujący z turbolaserów stoczną, i skierowała się w stronę niszczyciela. Iluminator wypełniły kule białego, oślepiającego ognia. Rozbłyskiwały i gasły tak szybko, że Caedus nie umiał powiedzieć, co dokładnie widział - czy to maszyny wybuchały, czy statek był ostrzeliwany.

Nie potrzebował monitora z holograficznym odwzorowaniem sytuacji, żeby wiedzieć, gdzie są statki. W tej chwili był w stanie pełnej świadomości bojowej i dzielił się mentalnie swoim gniewem z dowódcami własnej floty, podjudzając ich, żeby strzelali do wszystkiego, co może im zagrozić i stanąć na drodze do wygranej. Nawet jeżeli Luke spróbuje następnych sztuczek z iluzją wiele nie wskóra.

Adrenalina i niczym niezmacona, czysta wściekłość wracały do niego niczym echo odbite od umysłów jego personelu. Było to tak silne uczucie, że aż dławilo w gardle. Zupełnie jak sprzężeniezwrotne: pasja i zacięcie, które im przekazywał, nabierały mocy i pędu, a następnie biegły z powrotem, zmodyfikowane i zintensyfikowane do tego stopnia, że musiał w jakiś sposób wyrzucić je z siebie - albo krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć bez końca...

Brakowało mu tchu. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy, w jakim jest stanie. Jeszcze by pomyśleli, że wpadł w panikę...

- Sir... - Nevil, wyraźnie ożywiony i pobudzony impulsami przesyłanymi przez bitewną więź, sprawiał wrażenie kogoś, kto chce się otrząsnąć z koszmaru i odzyskać skradzioną świadomość. Szkoda. Gdyby poddał się ogarniającej go furii, na pewno poczułby się dużo lepiej - tak jak inni, których Caedus słyszał i których czuł, całkowicie pochłoniętych walką. - Sir, byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan ujawnić swoje plany przebicia się przez tarcze Fondora. Jeśli wolno mi zauważyć, przy naszej sile ognia próba ich osłabienia może potrwać kilka ładnych godzin... Gdybym mógł coś zasugerować, proponuję odwołać „Dewbacka”, żeby nam pomógł.

- To nie będzie konieczne - odparł Caedus. Musiał w jakiś sposób dać upust roznoszącej go energii. Czuł, że rozsada mu pierś. - Zastosujmy metodę alternatywną. Zamierzam przekonać ich, żeby wyłączyli pola ochronne. Proszę przygotować rakiety udarowe.

- Rozumiem - bąknął Nevil, jakby mimo dobrych chęci nie był do końca przekonany. - Czy to...

- Kapitanie - wszedł mu w słowo Sith - wiem, że jest pan zaniepokojony... incydem z Tebut i proszę mi wierzyć, że żałuję, że do tego doszło, ale... Uczę się wykorzystywać w walce potęgę znacznie silniejszą niż ta, którą dysponują Jedi, a wtedy... nie zdołałem jej w pełni kontrolować. Teraz to potrafię. Proszę nadzorować stan pola i natychmiast, kiedy zniknie, wysłać dziesięć pocisków udarowych w przestrzeń nad Oridinem, a następne dwie wystrzelić w generator pola. - Dużo wysiłku włożył w to, żeby brzmieć pewnie i spokojnie; z trudem panował nad drżeniem głosu. -I... proszę się mnie nie bać.

- Tak jest, sir - zapewnił go Nevil profesjonalnym, pozornie lekkim tonem, zupełnie jakby nic się nie stało, jakby przywódca prosił tylko o filiżankę kawy. Caedus usiadł w jednym z foteli dowodzenia i obserwował, jak iluminator powoli wypełnia kulista tarcza Fondora.

Brakowało mu tchu; dławienie w piersi stało się nieznosne. Kumulacja agresji jego dowódców osiągnęła szczyt, do tego stopnia że przestał rozróżniać poszczególne załogi statków < „Anakina Solo”. Wszystko zlało się w oślepiającą mo2 które musiał pchnąć w umysły oddalonych o wiele kil< cych istot, przebywających na powierzchni planety.

Tama została przerwana, ale Caedus opanował żywą falę do koryta. Wyobraził sobie, co Fondorianie obsługujący pole. Nie wiedział, jak w rzeczywistości wygląda miejsce ich pracy, ale nie zamierzał marnie przenosić swojej świadomości do ich umysłów, że wszystko ich oczami. Nie miał na to czasu. Cokolwiek oczami duszy, pozwoli mu się skupić i dać ujście przebiegiem przez niego strumieniowi gniewu i podniecenia setki - setek? - dowódców. Wyobraził sobie budynek, w którym generatory pola i pomieszczenie kontrolne - podobne do tych w cywilizowanej galaktyce: ściana monitorów, rzędy sygnalizacyjnych i szeregi konsol, przy których zeskonywani nieustannie nadzorowali pracę generatorów, a także: spójności pola i poziomu zasilania. Wśród elementów na pewno był system przekazywania informacji, praw w formie tablicy, na której wyświetlano komunikaty także te dotyczące bezpieczeństwa. Caedus doskwierzało że szczegóły są bez znaczenia, dopóki potrafi wyobrazić sobie dzieje się w umysłach tych ludzi, na tyle obrazowo, że mógł w nich pewną myśl za pośrednictwem Mocy i wcielić postrzeżenie do ich świata.

To było zupełnie jak nasłuchiwanie tej jednej, czarnej nuty wibracji podczas dostrajania silnika śmigła; wiedział, które dźwięki - choćby ciche, ledwie słyszalne widłowe, a które odbiegają od normy i mogą sygnalizować błąd. A kiedy już się w taki dźwięk wsłuchał... wtedy przestawało się liczyć.

Tym razem także wyłowił ze wzburzonego strumienia i uczuć miliardów Fondorian ten jeden niepowtarzalny współgrający z resztą. Skupił się i już po chwili nie słyszał tam więcej osób niż zwykle. Nastrój męciła świadomość obecności obcych, jakby w sytuacji kryzysowej do pomocy wezwano dodatkowy personel. Cóż, nie było w tym nic dziwnego - podobną placówkę na co dzień obsługiwały pewnie tylko zespół robotów i ekipa nadzorująca.

Ale teraz... flota Sojuszu potrzebowała schronienia.

Caedus skupił się na przekazaniu wrażenia, że statki SGS i jego sprzymierzeńcy wycofali się, a flota Fondora musi wrócić do bazy. Nadał komunikatowi wysoki priorytet - przekonywał, że wiele statków jest uszkodzonych i musi wylądować, zanim uciekną z nich cała atmosfera albo puszczą nity i spojenia kadłubów.

Otwórzcie! - powtarzał w myśli. Wpuście nas...

Napełnił umysły obsługi pilną potrzebą zapewnienia statkom bezpieczeństwa najszybciej, jak to możliwe, przesłał do nich silną projekcję strachu i troski o bliskich, którzy mogli znajdować się na pokładach, palącą konieczność ocalenia tych ludzi, niesienia im pomocy...

Teraz! Wyłączcie pole, inaczej się rozbijemy! Wpuście nas, na łaskę Mocy, pomóżcie nam...!

- Pola wyłączone! - rozległ się okrzyk oficera uzbrojenia.

Caedus ciągle jeszcze dryfował zanurzony w odmętach cudzych

umysłów, zalewany falami paniki i pośpiechu, z dala od statku, który miał spełnić ich najgorsze koszmary.

- Sekcja udarowa... Strzelać bez rozkazu!

Caedus spróbował się otrząsnąć w tej samej chwili, kiedy przez miasto przetoczyła się fala bólu i przerażenia spowodowanego wybuchem, ale zrobił to o ułamek sekundy za późno i jego zmysły na chwilę przepełnił czysty, prawie zwierzęcy strach, który dosłownie zaparł mu dech w piersi. Szok aż nim wstrząsnął; miał ochotę krzyknąć, dołączając do setek głosów cierpienia i rozpacz, ale w porę nad sobą zapanował. Gdyby nie zdążył... Cóż, jego załoga i tak pewnie uważała, że jest szalony.

Kiedy przeniósł spojrzenie na monitor, zobaczył, jak atmosfera nad miastem wzbiera chmurą ognia i szczątków, niesioną na fali gęstego dymu. Teraz musiał tylko ściągnąć za sobą resztę statków SGS i w pełni wykorzystać ich przewagę, miał jednak poważne wątpliwości, czy zdoła się choćby ruszyć. Był wycieńczony do tego stopnia, że nie mógł nawet porządnie uchwycić podłokietników fotela.

- Sir... - powiedział ktoś do niego.

Kiedy spojrzął do góry, ujrzał twarz Nevila. Nagle, nie z tego, nie z owego przypomniał sobie, że Quarren miał syna... jak mu było na imię? A to z kolei sprawiło, że pomyślał o własnej córce. Straciłem ją... Dla niej już nie istnieję... - przyszło mu do głowy. Sentymentalne myśli zupełnie nie pasowały do kogoś, kto był właściwie żywą bronią. Przypuszczał, że spowodowało je odległe echo odbite od umysłów mieszkańców Fondora, którzy obawiali się o losy najbliższych...

- Sir, admirał Niathal chce z panem rozmawiać - poinformował Nevil.
- Powiedz jej, żeby poczekała. Musimy uderzyć na Fondora od razu... mocno, zdecydowanie, zanim nas otoczą.

Kolory i kontury otoczenia powoli wracały i mostek zaczął znów wyglądać znajomo.

Myśli Caedusa były z powrotem jasne, widział wszystko jak na dłoni: największe miasta planety i całą infrastrukturę, którą będzie musiał się zająć, żeby rzucić Fondora na kolana. Czuł się zupełnie jak w przyjemnym transie - nie całkiem jeszcze zanurzony w rzeczywistości, ale świadom jej, a jednocześnie niechętny pełnemu do niej powrotowi, bo poprzedni stan był tak błogi... tak doskonały, jakby nagle wszystko w galaktyce nabrało sensu i wróciło do równowagi. Ledwie zauważył, że Nevil odmaszerował. Pewnie zrelacjonuje sytuację Niathal na innym kanale, żeby swobodnie poskarżyć się na Caedusa... Nie miało to znaczenia. Mógł narzekać ile wlezie.

- Sprowadź nas niżej - polecił nawigatorowi. - Tak blisko, jak to tylko możliwe.

ROZDZIAŁ 14

Wpis z dziennika pokładowego, okręt bojowy Galaktycznego Sojuszu Anakin Solo: 13.00 Na stanowiskach bojowych. 13.30 Na stanowiskach bojowych.

13.49 Z zespołu 9-alfa wystrzelono kapsułą ratunkową.

Kapitan Kral Nevil zaginiony; podejrzenie nieautoryzowanego opuszczenia stanowiska.

Okręt bojowy galaktycznego sojuszu „Ocean”, przestrzeń w okolicy Fondora

Jacen nie raczył odebrać połączenia z Niathal, ale pani admirał i tak nie była pewna, czy w ogóle by uwierzyła w jego wersję wydarzeń, więc skupiła się na informacjach, które mogła sprawdzić - na sygnałach napływających z pola walki.

Sytuacja na holomapie zmieniała się jak w kalejdoskopie; w jednej chwili blokada wewnętrzna była zbitką czerwonych i zielonych symboli transponderów, a za moment czerwoni opuścili grupę i kierowali się w stronę planety.

W jej słuchawkach dźwięczał głos kapitana Tarpilana. Brzmiał zupełnie tak, jakby wojskowy gwałtownie wytrzeźwiał i nie miał pojęcia, co wyprawiał poprzedniego wieczoru. Zakłopotany, przeproszał za niewybredny język i grubiańskie zachowanie. Statki SGS wciąż były zajęte walką, ale w miarę jak Niathal przeskakiwała z kanału na kanał, żeby sprawdzić sytuację, ze zdziwieniem stwierdzała, że na wszystkich gorączkowa atmosfera sprzed paru chwil ustąpiła zwykłej, pełnej napięcia powadze towarzyszącej walce - całkiem jakby na flotę zstąpił niespodziewany spokój.

- Proszę, powiedz mi, że nie mam zwidów... - mruknęła do Ma- kina. - Jeżeli to kolejna sztuczka i Jacen daje się zrobić... siedzimy po uszy w gównie. - Zazwyczaj nie wyrażała się w taki sposób, ale tym razem z ulgą dała upust nagromadzonemu napięciu. Musiała wycofać statki - na wszelki wypadek, sprawdzić, kto gdzie jest, kto pozostał cały i wyszedł z potyczki bez szwanku, a kto potrzebuje pilnie pomocy, kto stracił moc albo wystrzelił kapsuły ratunkowe. Jacen postawił na swoim i odciął się od nich - definitywnie.

- Jeśli Fondorianie chcą nas wciągnąć w jakąś pułapkę - odparł Makin - to chyba trochę się zagalopowali w efektach specjalnych, mających nadać ich widowisku pozory wiarygodności. - Złapał Niathal za łokieć, żeby zwrócić jej uwagę. - Spójrz tylko.

Parę X-wingów zapuściło się w przestrzeń Fondora na tyle głęboko, że przekazywały szczegółowy obraz świata. Widok zbijał z tropu.

Część kamer pokazywała wysokie słupy pary bijące ze zniszczonych tuneli, biegnących tuż pod powierzchnią planety; inne obrazy całkowicie przesłaniały kłęby czarnego, tłustego dymu i dopiero przełączenie na tryb termowizyjny dawało jakieś takie rozeznanie w sytuacji.

Oridin (czy rzeczywiście patrzyli na Oridin?) płonął. Tak naprawdę był jednym wielkim kotłem wrzących szczątków, chłodniejszym na brzegach, tu i ówdzie zmieniającym kształt, w miarę jak gnana wiatrem pożoga rozprzestrzeniała się dalej i dalej. Obraz nie kłamał: patrzyli na skutki potężnego wybuchu. Mało prawdopodobne, żeby Fondor zrobił coś takiego na ich użytek. Sytuacja na pozostałych ekranach wskazywała na to, że grupa zadaniowa Jacena wykorzystała wyłączenie pola siłowego do zbombardowania innych fondoriańskich miast. Mimo zagłady planety flota Fondora ciągle była w grze, a bitwa trwała w najlepsze.

- „Krasnopletwinie”, tu „Ocean” - rzuciła Niathal do komunikatora. Na jej prywatnym, zakodowanym kanale panowała cisza, więc spróbowała połączyć się za pośrednictwem mostka. - Gil? Jesteś tam jeszcze?

- Sprytne sztuczki - odpowiedział Pellaeon ostrożnym, pełnym napięcia głosem; najwyraźniej miał towarzysztwo. - Jest tu ze mną porucznik Veila. Wyjaśniała mi akurat podstawy działania Mocy...

- Jacen właśnie zrównuje Oridin z ziemią. Zamierzam skontaktować się z Vaddem i zaproponować warunki kapitulacji.

- Pytasz mnie o zdanie czy tylko informujesz?

- Jestem współprzewodniczynią Galaktycznego Sojuszu i nie sądzę, żeby pułkownik Solo mógł coś negocjować, skoro jest bez reszty pochłonięty walką. - Mogła położyć tej farsie kres... teraz, właśnie teraz. Mogła to powstrzymać i zakończyć walkę, ocalając przynajmniej część floty i zapobiegając masakrze Fondora, powtórcie z wojny z Yuuzhan Vongami. Odwróciła się do adiutanta o imieniu Vio, który zazwyczaj towarzyszył jej na „Oceanie”. - Połącz mnie z prezydentem Fondora.

Kapitulacja przeważnie była egzekwowana z pozycji silniejszej niż ta, w jakiej znalazł się Galaktyczny Sojusz, ale tym razem można było powiedzieć, że chociaż SGS stracił ramię, to przeciwnik obydwie nogi, tak więc Niathal ciągle mogła rozdawać karty. Ruszyła na mostek najszybciej, jak zdołała, roztrzając po drodze członków załogi. Nie wiedzieli, co się dzieje; nie mogli wiedzieć. Oficerom w OI W wystarczająco trudno było poskładać fragmenty obrazu w jedną spójną całość, więc każdy, kto zajmował się tylko swoją działką nie miał pojęcia, jak wygląda wszystko z szerszej perspektywy. Oglądali małe skrawki rzeczywistości, jednak wieści o nich z zatrważającą prędkością rozchodziły się po statku, przekazywane pokątnie z pokładu na pokład.

Shas Vadde zwlekał z odpowiedzią nieco dłużej, niż się spodziewała. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że i tak miała szczęście, skoro udało się go wywołać, bo równie dobrze mogło się zdarzyć, że podczas rajdu Jacena przebywał w Oridinie... Naprawdę miała szczęście: prezydent żył. Holotransmisja była nadawana z jakiegoś jasno oświetlonego pomieszczenia - prawdopodobnie centrum planowania kryzysowego - w którym roilo się od ludzi. Część z nich była ubrana w mundury administracji.

- Pani admirał - przemówił Vadde. - Czerpiemy moc z zapasowych generatorów, więc jeśli można, proszę o zwięzłość. W sześciu miastach w okolicy Oridina wysiadło zasilanie. Sam Oridin... cóż, jestem pewien, że zna pani skutki własnych działań...

- Możemy to powstrzymać. - Niathal aż się zjeżyła na samą myśl o wrzuceniu jej do jednego kotła razem z Jacenem, ale rozumiała, że dla kogoś takiego jak Vadde, nieznającego szczegółów, sytuacja może właśnie tak wyglądać. - Jeśli się teraz poddadacie, odwołamy naszą flotę i osobiście gwarantuję panu, że Fondor otrzyma specjalny status ekonomiczny. Poza tym zobowiązujemy się naprawić wyrządzone podczas ataku szkody. Wystarczy jedno pańskie słowo.

Vadde rozważał w milczeniu jej propozycję przez chwilę, która wydała jej się wiecznością. Załoga mostka była zajęta głównie analizowaniem napływających danych i informacji wywiadu przesyłanych z pozostałych statków i za pośrednictwem OIW, ale kilku oficerów przerwało zajęcia, żeby śledzić zaimprovizowane negocjacje. To właśnie takie chwile jak ta zmieniały losy wojen.

- A co z Solo? - spytał niespodziewanie Vadde. - Czy on także zaakceptował taki układ?

- Nie zamierzam pytać go o pozwolenie. - Koniec ze wspólnym stanowiskiem, dodała w myśli, głośno zaś powiedziała: - Jest w tej chwili zbyt zajęty walką z pańską flotą, żeby rozmawiać, więc wypowiadam się tylko we własnym imieniu.

Vadde zwlekał z odpowiedzią przez dobrą minutę, w ciągu której przeszkodził mu adiutant, podsuwając pod nos datapad. Cokolwiek prezydent zobaczył na ekranie, nie były to dobre wieści.

- Poddajemy się - powiedział wreszcie. - Proszę odwołać statki, a ja wycofam swoje. - Odwrócił się, by zamienić parę słów z kimś z tyłu; kiedy z powrotem spojrzał jej w oczy, wydawał się

o całe wieki starszy. - Dotarcie do wszystkich jednostek zajmie nam kilka minut. Zawieszenie broni to nie jest szybka operacja, jak zapewne doskonale zdaje sobie pani sprawę...

Niathal czekała. Jak tylko zaczęły napływać raporty sygnalizujące odwrót fondoriańskich statków, nawiązała połączenie ze wszystkimi jednostkami floty SGS - włącznie z siłami Jacena skupionymi wokół Fondora.

Niech go szlag, pomyślała. Skoro chce się bawić w dowódcę frontu, to wara od dyplomacji.

- Uwaga, do wszystkich jednostek Galaktycznego Sojuszu

I Szczątków Imperium: wstrzymać ogień. Natychmiast - powiedziała. - Powtarzam: wstrzymać ogień. Fondor ogłosił kapitulację.

Ostrożni dowódcy zwykle sprawdzali dokładnie sygnał, a odwołanie pilotów i strzelców, pogrążonych w ferworze walki na śmierć i życie, też trochę trwało, więc zawsze należało uwzględnić przesunięcie czasowe między chwilą wydania rozkazu a jego wypełnieniem. Trudno oczekiwać, że wszystko skończy się nagle jak nożem uciął. Wyglądało na to, że statki Imperium czekają na potwierdzenie od własnych oficerów, ale nie trwało to długo: już wkrótce na wszystkich kanałach rozbrzmiał głos Pellaeona, nakazujący wstrzymanie ognia. Strzelanina powoli milkła.

Z dala od bitewnej gorączki, nie widząc zniszczeń i nie niepokoiona meldunkami o stratach, Niathal mogła przed sobą udawać, że w sektorze zapanował z powrotem spokój i że wszystko wróciło do normy.

Jedynymi statkami, których ikony poruszały się teraz na wyświetlaczu taktycznym, były „Anakin Solo” i jego eskorta fregat. Kalamarianka zastanawiała się z obawą jak Fondor zinterpretuje ten fakt. Nawiązała połączenie i upewniła się, że Vadde usłyszy całą rozmowę.

- „Anakinie Solo”, tu „Ocean”. Zgłoś się.

- Co wy wyprawiacie?! - Tym razem w głosie Jacena zabrakło zwykłej, denerwującej pewności siebie, która brzmiała, jakby starał się wytłumaczyć coś komuś wyjątkowo tępemu. Sprawiał wrażenie, jakby ktoś właśnie zbudził go z głębokiego snu, co bardzo go rozdrażniło. - Nie możemy się teraz zatrzymać!

- Przyjęłam kapitulację Fondora - oznajmiła Niathal. - Wycofali swoją flotę. Proszę, żebyś także odwołał swoje statki i wrócił do punktu zbornego, o ile nie zamierzasz udzielić planecie natychmiastowej pomocy...

- Przebiliśmy się! - Jacen zawiesił głos. - Przebiłem się - sprostował. Niathal słyszała, jak wydaje komuś rozkazy. Prawdopodobnie chciał się dowiedzieć, dlaczego jego statki posłuchały Niathal i wstrzymały ogień. Co oznaczało, że został sam na polu walki... - Nie zamierzam tego tolerować - ogłosił stanowczo. - Musimy wykorzystać naszą przewagę. Pozwalasz im się przegrupować!

- Poddali się, Jacenie, a w cywilizowanej części galaktyki wszędzie, o ile mi wiadomo, panują podobne zasady zaangażowania w konflikt zbrojny: kapitulacja oznacza zawieszenie broni.

Było oczywiste, że w tej chwili Niathal zależy nie tylko na przestrzeganiu konwencji międzyplanetarnych. Fondoriańska flota wcale nie wróciła do stoczni i nie była bezbronna; tkwiła w pobliżu, dziób w dziób ze statkami Sojuszu, i mogła w każdej chwili znowu ruszyć do ataku. Fondor miał wiele do stracenia, ale SGS także nie mógł sobie pozwolić na trwonienie statków lekką ręką. I tak stracili ostatnio połowę Piątej Floty, a Fondor nie był jedynym celem.

- Nie zgadzam się na to - rzucił Jacen. - Mam zamiar dalej walczyć. - Zapadła pełna napięcia cisza. - Nevil? Gdzie jest kapitan? Znajdźcie go. Muszę z nim...

Niathal nie miała już innego wyjścia; w głębi duszy czuła ulgę, że sprawy przybrały taki właśnie obrót. Była w tym jakaś... prawidłowość i prostota.

- Pułkowniku Solo - powiedziała - jeśli nie zastosuje się pan do reguł zawieszenia broni, będę zmuszona odwołać pana ze stanowiska. Proszę pamiętać, że jako admirał przewyższam pana stopniem i nie zawaham się przed wydaniem rozkazu unieszkodliwienia pańskiego statku. - Znowu nastąpiła cisza, zresztą i tak nie spodzie-

wała się, że usłyszy od niego odpowiedź w stylu „tak jest, proszę pani”.

- Nie uznaję pani zwierzchnictwa, pani admirał - odezwał się w końcu Solo.

- Ostrzegam, pułkowniku...

- Do wszystkich statków SGS, tu wasz dowódca. Macie rozkaz podjęcia walki. Do wszystkich jednostek imperialnych... Powołując się na naszą umowę, nalegam, żeby flota wróciła na pole walki.

Niathal dała się porwać strumieniowi wydarzeń, ale wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że to, co zaraz powie, przypieczeruje losy wielu. Czy imperialna flotylla w ogóle odbierała komunikat Jacena?

- Do wszystkich statków SGS - rzuciła do komunikatora. - Pułkownik Solo... został odwołany ze stanowiska.

Biedny kapitan Nevil... Nie zazdrościła mu. Będzie musiał przejąć dowodzenie na „Anakinie”... Nagle uświadomiła sobie coś, o czym powinna pomyśleć, zanim wydała ostatnie oświadczenie: skoro Jacen zdołał wyłączyć pole chroniące planetę samą tylko siłą umysłu, jego załoga miała raczej marne szanse, żeby stawić mu jakkolwiek opór.

Cóż... trzeba chyba liczyć się z koniecznością zestrzelenia „Anakina Solo”.

Zestrzelenia...

W przestrzeni kosmicznej nie istniały takie pojęcia jak góra czy dół, a mimo to miała wrażenie, że spada.

I gdzie, do jasnej cholery, podziewał się Nevil?

Na holowyświetlaczu grupa bojowa, złożona z bursztynowych symboli, zaczęła powoli zawracać ku Fondorowi. Widocznie co najmniej kilku imperialnych dowódców usłyszało apel Jacena i go posłuchało.

Z głośników na mostku zagrział głos Pellaeona:

- Imperialna flota wycofa się natychmiast i zastosuje do polecenia wstrzymania ognia! Grupa bojowa „Wiwern”, proszę w tej chwili wrócić na pozycję. - Bursztynowe ikony zaczęły zwalniać, aż całkiem się zatrzymały. - Od teraz wypełniamy rozkazy wyłącznie admirał Niathal - zakończył nieznoszącym sprzeciwu głosem Pellaeon.

- Proszę pani - odezwał się oficer łącznikowy, przestępując z nogi na nogę. - Mam na łączy panią sekretarz obrony Shasa Vad- de. Pyta, co mają robić, jeśli „Anakin Solo” znów otworzy ogień.

„Anakin Solo” nie odpowiadał. Niathal mogła sobie tylko wyobrażać, jakie piekło rozpętało się właśnie na mostku... Trudno było oczekiwać, że w razie podjęcia przez Jacena ostrzału fondo- riańskie statki przyjmą atak ze spokojem i dotrzymają warunków zawieszenia broni.

- Proszę jej przekazać, że nie będę traktować działania we własnej obronie jako naruszenia umowy. Jeżeli jednak Jacen Solo otworzy ogień, będę musiała podjąć odpowiednie kroki...

Imperialny niszczyciel „Krasnopłetwin”, przestrzeń w okolicy Fondora: centrum dowodzenia

- To przechodzi ludzkie pojęcie! - denerwował się moff Ros- set. - SGS rozpada się na naszych oczach! - Postukał ze złością knykciami w transpatalowy ekran przedstawiający pozycje statków. - Władza najwyższego szczebla, polityczni decydenci, warczą na siebie w środku bitwy, gotowi skoczyć sobie do gardeł! I my mamy powierzyć im obronę interesów obywateli Imperium?! Mieć nadzieję, że dochowają obietnic?! Postradaliśmy rozum czy jak?!

Pellaeon zastanawiał się, co sam by zrobił na miejscu Niathal. Szczerze powiedziawszy, był w nie lepszej sytuacji. Wielcy Mof- fowie i kilku przywódców znaczących ugrupowań spotkali się na pokładzie „Krasnopłetwina” podczas tej dziwnej przerwy w środku walki, żeby przedyskutować plan działania. Pellaeon wiedział, że kilku z nich z ochotą pognałoby za Jacenem, ale w ostatniej chwili się opamiętali.

Cóż, prędzej czy później wszyscy będą musieli wrócić na Bastion. Z pewnością wiedzieli, jakie mogą być konsekwencje, jeśli przejdą od nieśmiałego fantazjowania do czynów - i spróbują go obalić. Jeżeli teraz powiedzą *aurek*, będą musieli powiedzieć *besh*.

- Przyznaję, że nie jestem tym wszystkim zachwycony - westchnął Pellaeon. Był dojmująco świadom, że cały czas śledzą go oczy i uszy Jacena: Tahiri Veila. - Musimy się jednak wycofać i poczekać. W tej chwili powinniśmy się skupić na ocaleniu tego, co się da, i sprawdzić, ile możemy uratować.

Veila obserwowała tę scenę w milczeniu. Coraz bardziej przypominała Pellaeonowi villipy - stworzenie wykorzystywane przez Yuuzhan Vongów do komunikacji. Była zupełnie jak ukryty nadajnik, wylapujący wszystko, związany ze swoim użytkownikiem niewidzialną więzią. Z całej baterii odpychających, organicznych elementów technologii Yuuzhan Vongów akurat villipy były dla Pellaeona najbardziej odrażające; wygrywały nawet z ich żywą bronią a to z tego powodu, że w ich obecności czuł się... szpiegowany. W gruncie rzeczy działanie villipów nie odbiegało zbyt od zwykłych komunikatorów, ale sam fakt, że stworzenia były żywe, przyprawiał go o gęsią skórę. Na domiar złego villipy perfekcyjnie naśladowały głos użytkownika i potrafiły przybrać dowolny kształt, odwzorowując głowę danej osoby. Pellaeon na w pół świadomie oczekiwał, że Tahiri nagle przemówi głosem Jacena, a rysy jej twarzy zastąpi oblicze młodego Solo. Rytualne blizny Yuuzhan Vongów na jej czole tylko potęgowały to uczucie. Wpatrywał się w dziewczynę natarczywie, dopóki nie dała za wygraną i nie odeszła na drugi koniec pomieszczenia.

- Po tym, co zrobił, Solo nigdy nie odzyska władzy - szepnął Moff Sirlt. - To absolutna kompromitacja. Nasuwa się teraz pytanie, czy Niathal zamierza respektować pakt Borleias-Bilbringi...

- W tej chwili i tak się tego nie dowiemy - wszedł mu w słowo Pellaeon. Moffowie zawsze wywęszą świeżą krew, nieważne, jakie pandemonium rozgrywa się akurat dookoła. Priorytetem Pellaeona na parę następnych godzin było ocalenie floty; o podział łupów będzie się martwić później. - Ciągłe jest na to szansa, bo Niathal potrafi trzeźwo myśleć, a poza tym wciąż potrzebuje naszego wsparcia. Najpierw jednak musimy się zatroszczyć o inne rzeczy. Istnieją priorytety.

Moff Quille, znany w Radzie z sympatii dla Jacena, najwyraźniej nie pojął aluzji, bo nie dał za wygraną.

- Są praktycznie w rozsypce, a Fondor na pewno się pozbiera, chociaż owszem, trochę mu się oberwało - mruknął. - Proponowałbym w zamian za niego kilka planet z listy B...

Wyglądało na to, że Quille nie potrafi być lojalny wobec kogoś, kto zachęca go do sprzeciwu wobec jego przełożonego... Pellaeon napawał się ironią tego faktu. Miał nadzieję, że nie umknie to również uwadze Tahiri.

- Nie powiedziałbym, że są w rozsypce - stwierdził z naciskiem. - Bezgłowe zwłoki administracji, wstrząsane przedśmiertnymi drgawkami, to jedno. Inna sprawa, że Fondor wciąż dysponuje sprawną flotą która nas otacza; obowiązują nas zasady zaangażowania, więc jeśli komuś strzeli do głowy coś głupiego, jak na przykład atak na Fondora, w dodatku bez żadnego planu, na pewno dobrze się to nie skończy.

Bez żadnego planu... - powtórzył w myśli. Był przekonany, że poza zasięgiem jego uszu, po kątach snuto plany awaryjne.

- Mam nadzieję, że wyraziłem się dostatecznie jasno? W takim razie nie ma o czym dyskutować. Fondor się poddał. Walka skończona. Nie podejmujemy na razie żadnych działań zbrojnych. SGS osiągnął swój cel i teraz musi tylko zdecydować, kto faktycznie nim kieruje, a my możemy się na chwilę odprężyć i wypić filiżankę kawy. Rozumiemy się?

Nie powinien lekceważyć Quille'a ani innych, którzy mogli go poprzeć. Na statkach w przestrzeni przebywała liczna gromadka moffów, kolejni czekali na Bastionie, a część zasiadała właśnie obok. A admirał Pellaeon był tylko jeden... Utrzymał Imperium dzięki skomplikowanej sieci osobistych zobowiązań, grupowemu przeświadczeniu moffów, że zazwyczaj miał rację, oraz dzięki rzadko stosowanej, ale skutecznej metodzie odpłacania pięknym za nadobne tym, którzy nie grali fair. Bez tego jedynym sposobem na poparcie argumentów był jego służbowy blaster, zresztą najpospolitszy model, nic wymyślnego. Kiedy lepiej się przyjrzeć, władza zawsze okazywała się czymś bardzo mglistym. Zupełnie jak widmowa flota Luke'a Skywalkera, pomyślał.

- Moffie Quille, pytałem, czy się zrozumieliśmy? - powtórzył z naciskiem.

No, może jest coś więcej niż blaster, przyznał z ociąganiem. Miał wsparcie, ale interwencja admirał Daali nie była na razie konieczna, a na pewno nie w związku z podłożem konfliktu. Zwyczaj przygotowania się na każdą ewentualność miał swoje dobre strony. Tak czy inaczej, admirał nosił przy sobie przez cały czas ukryty, aktywny komunikator, ustawiony na częstotliwość Daali, a więc słyszała wszystko i śledziła na bieżąco sytuację. Dotarcie na miejsce zajmie jej dziesięć standardowych minut, a dzięki dotychczasowemu biernemu uczestnictwu w wydarzeniach na pewno dowie się też kilku pożytecznych rzeczy...

Personel centrum dowodzenia zajmował się swoimi sprawami. Niewielu zaszczyciło Quille'a więcej niż jednym spojrzeniem, bo nie pierwszy raz Pellaeon utemperował krewkiego moffa. Widzieli podobne sytuacje już nieraz. Pellaeon nigdy nie podnosił głosu - chyba że wokół panował hałas - a ponieważ ta część statku była znakomicie wytłumiona, wystarczyło dobitnie zaakcentować to, co chciał przekazać zgromadzonym. Tahiri cały czas pilnie nadstawiała uszu ze swojego kąta.

- Tak jest, panie admirale. - Quille dał za wygraną. Nic nowego; admirał był do tego przyzwyczajony, jego perswazja zawsze działała. - Chyba trochę się zagalopowałem.

- Zdecydowanie popieram kreatywne rozwiązania - skwitował Pellaeon - ale taka galopada może nas łatwo zaprowadzić na manowce. Teraz pozostaje nam spokojnie czekać, aż sytuacja się rozwinię.

Czuł się dziwnie, zmuszony do bezczynności. Nie znosił tego, ale też nie miał innego wyjścia.

Tablica stanu systemów statku mieniła się niepokojąco dużą liczbą czerwonych światełek, kontrastujących z zielenią symbolizującą sprawne albo tylko nieznacznie naruszone układy. Czerwień oznaczała poważne uszkodzenia kilku największych gwiazdnych niszczycieli, z których trzy dryfowały bezradnie, z odciętymi prawie wszystkimi funkcjami - z wyjątkiem systemów podtrzymywania życia. Jednostki medyczne uwijały się jak w ukropie. Jeżeli walka znowu rozgorzeje, utkną w samym jej środku wraz z holownikami ratunkowymi. A Pellaeon poprzysiągł sobie, że w jego marynarce po przetrwaniu ataku nikt więcej nie zginie.

No dobrze, czas się odprężyć i zacząć planować, uznał.

- Sir, „Anakin Solo” opuścił swoją pozycję... - Asystent pokładowy przy skanerze dalekiego zasięgu wskazał na holomapie kurs wyznaczany przez niszczyciel Sojuszu. W tej skali wyglądało to, jakby „Anakin Solo” pruł pełną parą przed siebie, chociaż tak naprawdę ogromny statek po prostu leciał spokojnie na obrany cel. Młody oficer postukał dwoma palcami słuchawkę w ucho. - Na „Oceanie” robi się dość gorąco, sir - zameldował. - Ładują turbolaser.

Tahiri nie wiadomo kiedy znalazła się tuż obok. W milczeniu przypatrywała się sytuacji na holomapie i... czy rzeczywiście wyglądała na zatroskaną? Zdaniem Pellaeona, owszem. Cóż, w końcu tkwiła tu samotnie na obmierzłym imperialnym statku, podczas gdy jej przełożony próbował wykaraskać się z opalów.

- Na co on czeka? - spytał ją. - Nigdy nie sprawiał wrażenia, że boi się Niathal. Nie może urwać jej zdalnie głowy siłą woli czy coś w tym stylu? - spytał półżartem. - A może ty potrafisz takie sztuczki?

- Pułkownik Solo dysponuje... wyjątkowymi mocami - bąknęła Tahiri i zamrugła gwałtownie. Sprawiała wrażenie niezłe wystraszonej. - Ja nie.

- Ładuje baterijki? - zadrwił admirał. - To pewnie wyczerpujące, wyłączyć pole planetarne samemu, bez wsparcia przyzwoitej Gwiazdy Śmierci...

Veila wzdrygnęła się nieznacznie na te słowa, co kazało mu uznać, że jest bliższy prawdy, niż przypuszczał. W swojej karierze oglądał już tysiące istot w chwilach stresu i umiał trafnie odczytywać ich reakcje.

- Przypuszczam, że jego załoga ma problemy z wypełnieniem rozkazu - powiedziała wreszcie z ociąganiem. - Są wobec niego lojalni, ale nie można zapominać, że to pole walki, a admirał przewyższa stopniem pułkownika.

- Solo ma tyle tytułów co ziaren piasku na Tatooine. - Pellaeon domyślał się, że wypełnianie rozkazów Niathal może rzeczywiście nastęrczać trudności, zwłaszcza jeśli twój własny przełożony może ci w każdej chwili zmiażdżyć krtań, nie kiwnąwszy nawet palcem. - Muszą się czuć zagubieni.

Asystent odwrócił się gwałtownie do konsoli i nerwowo przycisnął słuchawkę do ucha - w tej samej chwili, w której operator skanera sensorów wykrzyknął:

- „Anakin” strzelił!

Chaotyczne raporty zaczęły napływać jeden za drugim.

- Fondoriański krążownik „Fortuna” trafiony, sir! Dostali prosto w mostek...

- Wygląda na to, że kilkajednostek wroga odpowiedziało ogniem...

- Fondoriańskie myśliwce...

- „Ocean” do pana, sir.

Pellaeon odebrał połączenie audio. Miał nadzieję, że Daala czuwa.

- Cha? Co się dzieje?

- Przykro mi, Gil, ale Solo nie odpowiada na moje apele i wszystko wskazuje na to, że jego dowódcy nie mają zamiaru mi się podporządkować. Zamierzam trochę przyhamować jego rajd na Fondora... w dosyć... no... brutalny sposób. Będzie mi do tego potrzebna twoja pomoc. - Chwila ciszy. - Cholerna szkoda, że zabierze ze sobą tyle dobrych ludzi na tej łajbie.

- Rozumiem - potwierdził krótko Pellaeon. To było nieuchronne, jednak miał nadzieję, że nie będą musieli podejmować drastycznych kroków tak szybko. Cóż, koniec końców chwila była równie dobra, jak każda inna. Odwrócił się w stronę moffów i dał oficerowi łącznikowemu znak, żeby otworzył kanał łączności z całą flotą.

- Do wszystkich statków: zidentyfikować jednostki SGS nie- odpowiadające na rozkaz admirał Niathal i natychmiast ostrzelać każdą, która zaatakuje fondoriańskie obiekty. Dotrzymamy zasad zawieszenia broni tak długo, jak długo będzie ich przestrzegał Fondor. - Wśród moffów rozległ się niespokojny szmer; dało się nawet słyszeć kilka zaskoczonych westchnień.

- Czy to jasne, panowie?

- Tak jest, panie admirale - potwierdził służbiście Quille.

Pellaeon odwrócił się do wyjścia. Musiał porozmawiać z Da-

alą - na osobności. Potem poprosi do siebie Reige'a i wspólnie zastanowią się, co zrobić z Quille'em, kiedy flota wróci do domu.

- Przepraszam na chwilę - bąknął. - Będę w mojej dziennej kabinie. Wiecie, panowie, lata już nie te... - Minął Tahiri i ruszył korytarzem przed siebie. Statek rozbrzmiewał rozkazami zajęcia stanowisk i wszyscy spieszyli do swoich obowiązków; w tej atmosferze gorączkowego podniecenia Pellaeon czuł się dziwnie mały i nieważny. Kiedy znalazł się w swojej kabinie, starannie zablokował drzwi; przyjrzał się krytycznie swojemu odbiciu w lustrzanej tafli świetlika i poprawił stójkę munduru.

Daala i tak wszystko na pewno słyszała, pomyślał. Chcę się tylko dowiedzieć, co o tym wszystkim sądzi. Pewnie bardziej skłania się ku metodom Jacena... Przez chwilę przeszło mu przez myśl, czy przypadkiem nie chce po prostu usłyszeć znajomego głosu, ale nie zastanawiał się nad tym długo. Wyjął komunikator. Cóż, na pewno prędzej czy później wszystko się wyjaśni, uznał. W tej samej chwili drzwi do kabiny się otworzyły. Przecież sprawdziłem blokadę! - zdążył jeszcze pomyśleć, zanim do środka wśliznęła się Tahiri Veila. Miała spuszczoną głowę, jakby czuła się skrepowana, że go niepokoi.

- Przepraszam za najście, sir, ale muszę z panem porozmawiać - rzuciła z lekkim zakłopotaniem.

Pellaeon poczuł nieprzyjemne mrowienie na karku. W przyszłości będę musiał zadbać o jakieś zabezpieczenia przeciwko użytkownikom Mocy, pomyślał ponuro. Na wszelki wypadek, gdyby coś takiego miało się powtórzyć.

- Można było zapukać... - Zmierzył ją niezadowolonym spojrzeniem.

- Sir, na szali tej wojny ważą się losy żywych istot - weszła mu w słowo. - Jeżeli dopuści pan do rozbicia Sojuszu, wszyscy przegramy.

- Nie zamierzam na to pozwolić, pani porucznik - powiedział dobitnie. - Ani mi to w głowie. Udzielam tylko wsparcia sojusznikowi.

- Jeżeli pułkownik Solo zostanie odsunięty od pełnienia obowiązków, SGS pograży się w chaosie...

- Obawiam się, że nie mogę się z tobą zgodzić, moja droga, ale prawda jest taka, że nie muszę, mam rację? Lojalność to wspianała rzecz. Nie myśl, że jej nie doceniam, ale Jacen Solo to uosobienie chaosu, nie zaś lekarstwo na niego. - Wstał, spodziewając się, że dziewczyna spróbuje jakichś babskich sztuczek. Połączenie z

Da- alą wciąż było aktywne: był pewien, że takie nieudolne próby nakłonienia go do zmiany zdania nieżle ją rozbawią. - Czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc? - spytał uprzejmie, ale chłodno.

- Moffowie cię posłuchają jeśli każesz im się wycofać. - Tahiri cofnęła się o krok. - Widziałam, jak się liczą z twoim zdaniem. Moff Quille chciał ci się postawić, ale... pokazałeś mu, gdzie jego miejsce. Wyczuwam w innych moffach rzeczy, o których nawet ci się nie śniło...

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym odmówić prośbie admirał Niathal. Koniec dyskusji.

Tahiri zasznurowała usta i westchnęła z rozdrażnieniem, prawie teatralnie... ale oficerski blaster, który wyciągnęła z kabury, wcale nie wyglądał jak teatralny rekwizyt. Był jak najbardziej prawdziwy.

- Proszę, admirale... - westchnęła. - Proszę po prostu zrobić, co mówię. - Zwolniła blokadę i wycelowała broń w jego pierś. W jej głosie dały się teraz słyszeć ostrzejsze nuty. - Proszę odwołać flotę i dać Jacenowi Solo szansę. On musi wygrać tę walkę.

- Wygrać... - parsknął gorzko admirał.

- Nie może pozwolić, żeby Fondor znowu zagroził SGS - nalegała Tahiri. - To kwestia... przyzwoitości, ale dzięki temu pokaże też całą galaktyce, jak wysoka jest stawka w tej grze.

Co za ironia losu! - pomyślał Pellaeon. Jacen Solo powtarza historię Alderaana... Ciekawe, co powiedziałyby na to Leia?

- Nie. - Przez chwilę zastanawiał się, czy zdążyłby sięgnąć po własną broń, zanim Veila wystrzeli, ale szybko pozbył się złudzeń. Ona była Jedi, a on... cóż, był ponad trzykrotnie starszy od niej. Wnętrznosci skręciło mu nagle przerażające przeświadczenie nadejścia czegoś nieodwracalnego, niezachwiana pewność bliskiego końca. Czuł przenikający jego ciało bezlitosny chłód. Znał to uczucie - ogarniało go już wiele razy, kiedy zdawał sobie sprawę, jak bliski jest śmierci, więc nauczył się je kontrolować i przewycięzać. - Uszanuję kapitulację i nie pozwolę na zrównanie z ziemią terenów cywilnych. I nie dopuszczę, żeby jakiś niewydarzony despota wysługiwał się siłami Imperium dla własnych egoistycznych celów.

- Wiesz, że umrzesz - powiedziała cicho Tahiri.

Pierwsze uderzenie adrenaliny minęło; lata praktyki wzięły górę i znów nad sobą panował. Nie zamierzał się poddać. Szkoda tylko, że był już odrobinę za stary, aby wybrnąć z patowej sytuacji dzięki demonstracji siły fizycznej... Tak czy inaczej, nie da tak łatwo za wygraną o nie.

- Mam dziewięćdziesiąt dwa lata - westchnął i pokręcił głową z lekkim rozbawieniem. - Oczywiście, że umrę, i to już pewnie niedługo, ale liczy się dla mnie sposób, w jaki to się stanie. Proszę, żebyś opuściła moją kabinę.

- Masz ostatnią szansę. - Tahiri podniosła blaster nieco wyżej i wzmocniła uścisk na rękojeści. - Musisz tylko kazać im przestać. Moffowie cię usłuchają.

- Mój syn zginął, walcząc przeciwko Yuuzhan Vongom, a Jacen jest tak samo jak oni zdesperowany, żeby zniszczyć wszystko, co się dla mnie liczy.

Pellaeon nie bał się samej śmierci - zbyt często w ciągu tych wszystkich lat zaglądał jej w oczy - ale przerażała go perspektywa powolnego umierania. Ostatnio czuł jej oddech na karku prawie codziennie - zupełnie jakby próbowała zwrócić na siebie jego uwagę, jak niespokojny ptak, tłukący się o szybę. Teraz ptak odleciał, a strach razem z nim. Stał twarzą w twarz ze śmiercią znacznie bardziej godną - tą, którą znał z pola walki, tą którą wolał. Wiedział, że niewielu miało szansę wyboru podobnego sposobu opuszczenia tego świata. Nie zastanawiał się długo; zamierzał skorzystać z tego przywileju. Sięgnął po komunikator.

- Tu Pellaeon do Floty - rzucił do mikrofonu. Tahiri zamarła, najprawdopodobniej przekonana, że zdołała go złamać swoimi groźbami. Przypuszczał, że samo życie liczyło się dla niej bardziej niż sposób, w jaki je przeżyje. - Do floty... Powtarzam: mówi admirał Pellaeon. Rozkazuję wam oddać w sztykie jednostki do wyłącznej dyspozycji admirał Niathal i usunąć Jacena Solo, na honor Imperium...

Strzał z blastera trafił go prosto w pierś, rzucając na gródz. Ból był tak przelotny, że admirał był pewien, że już nie żyje... Dziwne, całe życie spodziewał się po umieraniu czerni i pustki, nie tego odrętwienia, zupełnie jakby doznał wstrząsu elektrycznego. Tahiri nachyliła się nad nim. Miała szeroko otwarte oczy; wokół roztaczała się

woń przypalonego materiału i strzału z blastera. A więc jeszcze nie umarł...

Reige... - pomyślał półprzytomnie. Nigdy ci nie powiedziałem... Nie... nie teraz! Przeczekaj i walcz, kiedy przyjdzie pora. Nie możesz wiecznie mnie chronić...

- A więc tak wygląda nowy Zakon Sithów Jacena - wyszeptał. Był nieco zaskoczony, że umieranie wygląda w taki sposób. Miał trudności z oddychaniem, całkiem jakby jego pierś opasywała ciasna obręcz. Przeszył go nagle obezwładniający ból. - Mordowanie cywili... z bezpiecznej odległości i rozkazywanie... dziecku... żeby zabiło staruszkę... - wykrztusił z trudem. - Upewnij się tylko, że... zdołasz bezpiecznie zsiąść z tego... krasnopłetwina.

Na twarzy Tahiri malowała się troska. Nad jej ramieniem widział zagląającego przez uchylone drzwi moffa Quille'a. Mężczyzna pochylił głowę, żeby przyjrzeć się lepiej Pellaeonowi, i powoli się wycofał.

- Mogę pana jeszcze ocalić, admiral - powiedziała Tahiri. - Jeszcze nie jest za późno. Serce to elastyczny mięsień...

- Idź... - wyszeptał. - Gnij sobie gdzie indziej... villipie.

Na korytarzu rozległy się kroki - nie łomot biegnących stóp, raczej nerwowe szuranie kogoś zniecierpliwionego. Słyszał też cichnące kroki Tahiri, kiedy od niego odeszła.

- Umarł już? - spytał głos, którego nie rozpoznawał.

- Jeszcze nie - odpowiedział Quille. - Lepiej go nie dotykać, żebyśmy byli czysti.

Ach... kilku moffów Quille'a...

- Quille - wyszeptał resztką sił, mając nadzieję, że Daala wciąż go słyszy i doda do swojej listy następne nazwisko.

Przybycie jej floty będzie wspaniałą niespodzianką nie zamierzał jej psuć moffom, ryzykując, że dosłyszają jak woła ją na pomoc.

Poszukał nieporadnie komunikatora i położył go na podłodze obok; kosztowało go to wiele wysiłku. A potem sięgnął drżącą dłonią do najbliższej twardej powierzchni i zabębnił o nią palcami: puk... puk... puk... puk, puk... brr-rrr-puk...

Ból runął na niego spiętrzoną falą zawieszoną na ułamek sekundy w czasie i przestrzeni. I tak, miał rację: po wszystkim była tylko czerń i pustka.

ROZDZIAŁ 15

Gwiezdny niszczyciel Chimera do Niewolnika I: Fett, zmiana planów.

Chcę, żebyś przejął dla mnie gwiezdny niszczyciel. Aha, zanim zapytasz - tak, wiem, że to będzie kosztować ekstra.

Wiadomość admirała Daali do Boby Fetta, oczekującego na rozkazy

dziesięć standardowych minut skoku nadprzestrzennego od Fondora

„Anakin Solo”, przestrzeń w okolicy Fondora

Caedus czuł się teraz silniejszy, ale czysta energia więzi bitewnej z jego dowódcami, skumulowana i wysłana do umysłów techników obsługujących pole Fondora, jeszcze nie wróciła.

Był wyczerpany; w tej chwili mógł polegać wyłącznie na umiejętnościach swoich ludzi, którzy przyjdą mu na pomoc. Dwie fon- doriańskie fregaty okrążyły „Anakina” i bombardowały zawzięcie kopułę generatora pól ochronnych statku.

Powtarzany w kółko komunikat Niathal do floty Sojuszu przyprawiał go o mdłości:

- ...do wszystkich jednostek: pułkownik Solo został odwołany ze stanowiska. Teraz waszym zadaniem jest zatrzymać i - jeśli to będzie konieczne - unieszkodliwić „Anakina Solo”...

- Zdrajczyni... - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Zdrajczy- ni! - syk przeszedł w gardłowe warczenie. - Podła suka! Wyłącz to, Inondrar! Spójrz tylko na nią! Wydaje jej się, że jest jakąś cholerną męczennicą! Bohaterką! - Skoczył na równe nogi i w kilku susach dopadł do holomapy przedstawiającej Fondor. Statki SGS, posłuszne rozkazom Niathal, formowały szyk razem z fondor- iańską flotą blokując jednostki Caedusa; tworzyły barierę między Fondorem a jego oprawcami. - Zamierza poświęcić nasze życia, żeby chronić zdrajców, takich samych jak ona! Lekką ręką marnotrawi istnienia obrońców Sojuszu! Co ona sobie myśli, że Fondor obwoła ją bohaterką narodową?! Ha! Lepiej dla niej, żeby tak się stało, bo jej stopa już nigdy nie postanie na Coruscant! Nigdy!

Inondrar zamarł w pół ruchu i czekał, aż Caedus nieco ochłonie.

- Tak jest, sir - przytaknął cicho. Pierwszy oficer „Anakina Solo” przejął teraz obowiązki kapitana Nevila. Starał się jak mógł, ale to Caedusowi nie wystarczało. A kiedy znajdzie Nevila... postara się, żeby ten zdrajca odpowiednio za wszystko zapłacił. - Sir, mamy tu... - spróbował znowu.

- Nevil też mnie zdradził, prawda? - wszedł mu w słowo Sith.

- Brakuje jednej kapsuły ratunkowej i nikt nie wie, gdzie jest kapitan. Jednak...

Caedus przez krótką chwilę miał ochotę skoczyć w nadprzestrzeń i zadbać o swoje interesy z Coruscant, ale wiedział, że to tylko zmęczenie daje mu się we znaki. Miał tutaj flotę, a bitwa jeszcze się nie skończyła.

- Daruj sobie, nie trać czasu na darmo. Nie wyczuwam go na statku.

- Sir, Szczątki Imperium... ich flota kieruje się w naszą stronę. Poza tym porucznik Veila chce z panem mówić.

Caedus był zbyt wycieńczony, żeby wyczuć ją dobrze poprzez Moc. Czy Szczątki przyłączały się do reszty tych zdrajców, żeby go wykończyć? Spróbował wyczuć niebezpieczeństwo, ale panujący wokół chaos i ferwor bitewny skutecznie mu to uniemożliwiały. Był w samym środku wojennej zawieruchy, w dodatku pod ostrzałem z każdej strony.

- Tak, poruczniku? - zachęcił Inondrara, żeby kontynuował.

- Sir, admirał Pellaeon nie żyje, a Szczątki Imperium chcą się do nas przyłączyć - wymamrotał oficer, jakby to nie było nic szczególnego. Jego słowa wywołały falę przytłumionego entuzjazmu wśród załogi mostka. Caedus także poczuł nieznaczny ulgę, którą jednak szybko zastąpiła świadomość, że jeszcze wiele dzieli ich od zwycięstwa. Czekala ich zacięta walka, w której „Anakin” będzie głównym celem.

A więc tamci byli gotowi mu pomóc... w przeciwieństwie do Nevila.

Dał Inondrarowi znak, żeby wszystkim się zajął, a sam podszedł do położonej z dala od wścibskich uszu konsoli łączności.

- Czy to twoje dzieło, Tahiri? - rzucił do mikrofonu bez zastanowienia.

- Jj.. ja... zastrzeliłam go, sir - nadeszła odpowiedź.

- Wiesz, że prawdopodobnie właśnie uchroniłaś Galaktyczny Sojusz przed zgubą?

- Nie czuję się wcale jak wybawca... To był tylko stary człowiek. ..

W głosie dziewczyny słychać było niepewność. Ajednak zrobiła to, pomyślał Caedus. Nie zawahała się.

- Jak zamierzasz wrócić na pokład „Anakina” pośród tego całego zamętu? - spytał.

- To będzie trudne...

- Jakoś sobie poradzimy - uspokoił ją. - Wciąż przebywasz na „Krasnopłetwinie”? Na razie jesteś tam bezpieczna.

- Utknęłam na „Krasnopłetwinie” - poprawiła go ze zniecierpliwieniem. - Załoga podniosła bunt, dowództwo próbuje odzyskać kontrolę nad statkiem. Jesteśmy na zasilaniu awaryjnym... Działają tylko systemy podtrzymywania życia. - Na chwilę w jej głosie pojawiła się nuta paniki. - Zostaliśmy ostrzelani przez inne statki Imperium. Przerwali ogień dopiero odwołani przez moffów, którzy przekazali dowodzenie floty. W każdym razie starsi Rady wciąż są tu uwięzieni.

- Przybędę po ciebie, Tahiri.

- Załoga nie zdoła utrzymać długo tych sekcji - dodała ponuro Veila. - Kiedy walka dobiegnie końca, znów poszczują na „Kra- snopłetwina” parę statków, prawdopodobnie nie będą zbytnio się przejmowali, do kogo strzelają, kiedy zaczną się pozbywać zwolenników Pellaeona.

- Mniejsza z tym. Przybędę po ciebie, kiedy... jak tylko sam się z tego wygrzebię. - Teraz, kiedy już mógł się nieco lepiej skupić, czuł jępoprzez Moc. Była zła, ale nie bała się. I chociaż targają nią wątpliwości, z pewnością nie dotyczyły wydostania się z „Krasno- płetwina” cało. - Wstydzisz się tego, co zrobiłaś, Tahiri? - spytał ją poważnie. - Wstydzisz się, że zabiłaś starszego człowieka?

Dziewczyna przez chwilę milczała.

- To niezbyt odpowiada mojemu wyobrażeniu o bohaterskich czynach - stwierdziła wymijająco.

- Ale mimo wszystko zrobiłaś to.

- Tak.

- Tahiri, tak naprawdę łatwiej jest pokonać potężnego wroga niż takiego pozornie słabego, wierz mi. Jeżeli zgładzisz giganta, obwołają cię bohaterem. Kiedy jednak zabijesz kogoś słabego... nawet jeśli przeznaczone mu było umrzeć... w oczach motłochu zasługujesz tylko na wzgardę. A zdolność znoszenia poniżeń, żeby służyć wyższemu celom... walczyć o dobro ogółu... to właśnie cecha prawdziwych Sithów. Będziesz doskonałą uczennicą, Tahiri - dokończył.

- Och! - wyrwało jej się. - A więc jestem... już oficjalnie jestem...

Tahiri miała tendencję do przeceniania podobnych banałów, ale wszystko wskazywało na to, że ta przypadłość pojawia się u niej, kiedy coś ją przerasta. A może... - przeszło mu przez myśl, może ona sobie ze mnie kpi?

- Teraz masz się do mnie zwracać per Darth Caedus. Od tej chwili to będzie moje jedyne imię.

- Tak... mój panie - wyszeptła.

- I pamiętaj... Przylecę po ciebie, Tahiri. Nie zostawię cię.

Szala tej wojny przechylała się właśnie na ich stronę. Caedus

czuł, jak powoli poruszają się kolejne tryby, zmieniając układ zależności w galaktycznej machinie. Galaktyka nie była już tym samym miejscem, co jeszcze niedawno. Potęga imperialnej floty wspierającej jego lojalnych poddanych, była jak świeży zastrzyk energii. Caedus czuł coś jeszcze... ulotną zapowiedź nadchodzących zmian, ale trudno było ją wyłowić z szumu rosnącego podekscytowania załóg, które właśnie miały uderzyć całą siłą na wroga.

- Sir, starsi dowódcy imperialni proszą o rozkazy - zameldował Inondrar z lekkim zniecierpliwieniem, jakby powtarzał to już któryś raz, nie doczekawszy się odpowiedzi.

- A więc dajmy Niathal to, czego tak uparcie się domaga. Dajmy jej wojnę... - wycedził Caedus.

Trzy imperialne krążowniki ruszyły im na odsiecz, przypuszczając zaciekły atak na nękające, Anakina" fregaty. Pierwsza z nich już wkrótce dostała się w ogień krzyżowy, który rozdarł jej górny statecznik solarny. Caedusowi wydawało się, że „Ocean” bierze go na cel, ale szybko się okazało, że to tylko podobny statek tego samego typu.

Nie minęła chwila, a osaczyły go imperialne okręty, stosując taką samą taktykę sfory: zasypując jego pola deszczem ognia, który niebawem zrobił swoje. Sith patrzył, jak statek nieuchronnie zbliża się do zagłady: jego kadłub bombardowało nieustannie dwadzieścia laserowych działek imperialnych myśliwców szturmowych, które nadleciały jakby znikąd i otoczyły go zajądłą chmarą.

SGS będzie wracało do domu z podkulonym ogonem, pomyślał z satysfakcją. Wszystko sprowadzało się do liczb. Zawsze chodziło o liczby. A teraz... on był górą.

Gdzie jesteście, Jedi? - spytał szyderczo w myśli. Nie chcecie zadrasnąć waszych wymuskanych stealthX-ów, co?

- Hm... - bąknął Loccin, wciąż na stanowisku, chociaż minęło już tyle długich godzin. - Sir, z nadprzestrzeni wyskoczyła właśnie jakaś flota...

Caedus odwrócił się w jego stronę, żądny informacji, co rzuciło tym razem do walki Imperium.

- Co to takiego? - zdumiał się na widok nowych statków. Nie dość, że nie rozpoznawał żadnej jednostki, to nigdzie nie widział śladu oznaczeń Imperium. - Statki pomocnicze? Jednostki wsparcia?

Flota wciąż rosła, z nadprzestrzeni cały czas wyskakiwały kolejne okręty. Kiedy sensory obudziły się do życia, reagując na sygnały transponderów, Caedus znał już odpowiedź na swoje pytanie: Jedi. Znow wyleźli ze swoich kryjówek, próbując jeszcze raz jakiejś żalostnej sztuczki wymierzonej w niego i jego flotę... Miał nadzieję, że teraz wszyscy wreszcie zrozumieją, jak bardzo rzeczywiste potrafiły być miraże tworzone metodą Fallanassich, jeśli stał za nimi ktoś bardzo biegły w tej sztuce. Potrafiły oszukać wszystkie zmysły, a nawet czujniki - pod warunkiem że osoba tworząca iluzję była naprawdę potężna.

- To Skywalker- stwierdził krótko. - Spróbujcie jakoś odróżnić projekcje od prawdziwych jednostek. Wiem, że to niełatwe, ale im właśnie o to chodzi: chcą nas wciągnąć w pułapkę, żebyśmy zaczęli strzelać bez ładu i składu.

- To chyba jakiś żart... - parsknął Loccin. Wyglądało na to, że on i młodszy oficer Duv-Horlo także widzą to, co Caedus, więc bez dwóch zdań mieli do czynienia z bardzo silną iluzją na ogromną skalę, postrzeganą przez wiele umysłów... nie tak jak ostatnio, kiedy fałszywą flotę widział tylko on. - Czy ktoś ograbił jakieś kosmiczne muzeum? Co to, u *stang*, jest?

- Spokojnie - mruknął Caedus. - Wiem, że to wygląda bardzo wiarygodnie, ale bądźcie czujni. Nie dajcie się zwieść pozorom.

Żaden z sygnałów transponderów nie odpowiadał kodom zapisanym w systemie... A więc Luke'a stać tylko na tyle? - zadrwił w myśli. Dwóch młodych oficerów spróbowało zidentyfikować statki po ich klasach, zupełnie jakby byli znow na zajęciach w akademii. Rozpoznali dwa krążowniki typu Crusader, niszczyciel typu Victo- ry i eskadrę myśliwców TIE. W tej samej chwili z nadprzestrzeni wyskoczyły dwa krążowniki typu Republic - całkiem jak gwóźdź programu-niespodzianka, zresztą w bardzo złym guście.

- Sir...

Wszystko wyglądało bardzo przekonująco, właściwie tak samo jak poprzednio, może z tą jedną małą różnicą że było zaplanowane z większym rozmachem. Potęga i liczebność floty naprawdę imponowały.

A może... Caedusowi zaświtała niepokojąca myśl: a może to wszystko jest jednak prawdziwe?

- Skontaktuj się z jednym ze starszych moffów i zapytaj, czy to ich siły zbrojne - polecił.

Ekscentryczna zbieranina statków powiększała się z każdą chwilą jakby prosto z kart historii wpadły w rzeczywistość Caedusa. Ich uzbrojenie wyglądało zdecydowanie groźnie - i prawdziwie. Zespół obsługi sensorów uwijał się jak w ukropie, próbując ocenić zagrożenie ze strony okrętów lecących prosto na nich.

- *Fierfek*, te korwety typu Assassin...

- Co jeszcze? - spytał ostro Caedus.

- Myślałem, że wszystkie Scimitary już dawno zezłomowano!

- To szaleństwo. Skąd, u licha, wzięły się te przerdzewiałe balie?

Jedna z korwet opuściła szyk; jej działka bluznęły oślepiającym białym ogniem i nagle lotniskowiec wypuszczający X-wingi na pozycje eksplodował: całą sekcję ruchową pochłonęła rozprzestrzeniająca się kula światła.

To zdecydowanie nie wyglądało na iluzję.

Loccin miał najwyraźniej dosyć cackania się z własnym dowódcą.

- To nie są żarty, sir - bąknął. - Proszę wybaczyć, że się z panem nie zgodzę, ale nie mam żadnych wątpliwości: to wszystko dzieje się naprawdę.

Muszę się skupić, skarcił się w myśli Caedus. Jestem po prostu rozkojarzony. Ale skąd, na litość Mocy, to całe cholerstwo się wzięło?

- Cóż, na to wygląda - przytaknął niechętnie. - Ruszcie się łaskawie i zakrzątnijcie przy torpedach.

Nagle, jakby znikąd, niczym atakujący pikostrząb, który według legend ludu Jacipri zwiastuje koniec wszechświata, sunąc majestatycznie kursem kolizyjnym, pojawił się przed nimi gwiazdny niszczyciel.

Tym razem jednak ich system zidentyfikował jego kod.

- Ss.. .sir... to... I-dwa... Rety, to niemożliwe! - wyjąkał Duv- -Horlo. - Ktoś tu nas wrabia! Czy to prawdziwy statek, czy nie...

Caedus powoli wciągnął powietrze. On też rozpoznawał ten statek i tym razem nie miał wątpliwości.

- Nigdy nie potwierdzono, że została zniszczona... - wymamrotał.

Statek, który ukazał się ich oczom, był okrętem flagowym dowodzonym przez admirałów, którzy przeszli do historii współczesnej galaktyki, i swego czasu uczestniczył w wielu kluczowych bitwach. Caedus musiał przyznać, że wyglądał zdecydowanie lepiej niż podczas bitwy o Bastion.

Tak naprawdę sprawiał wrażenie całkowicie odnowionego.

- „Chimera” - wyszeptał nieprzytomnie.

- Sir, ktoś tu chyba odkopał cały złom galaktyki! - bąknął Duv- -Horlo.

Caedus czuł poprzez Moc skupienie i długo tłumioną nienawiść; początkowo nawet sądził, że ma do czynienia z Sithem... Jednak mrok i gorycz promieniujące od tego, kto przebywał na statku, to były zwykłe, przyziemne uczucia: pieczołowicie hołubiony żal, tęsknota za sprawiedliwością i przesywający ból - ani śladu ciemności użytkownika Mocy. Gdyby myśli Caedusa nie zaprzętały kłopoty związane z pojawieniem się tego statku, uznałby napływające z niego doznania za... fascynujące.

- Wiesz, jakie jesteśmy my, kobiety - popłynął z głośnika lekko zachrypnięty głos o nienagannym akcencie. - Nie potrafimy nic wyrzucić... na wypadek, gdyby kiedyś wróciło do mody.

- Z kim mam przyjemność...? - zająknął się.

- Och, proszę o wybaczenie, pułkowniku Solo - zachnęła się teatralnie tajemnicza rozmówczyni. - Gdzie moje maniery? Mówi admirał Daala, oficer flagowy Nieregularnej Floty Otchłani. Jestem zmuszona prosić, żeby się pan wycofał i natychmiast opuścił fon- doriańską przestrzeń.

Wiedziałem, że wraca do gry, ale... - pomyślał. Wygląda na to, że moffowie muszą usprawnić swój wywiad.

- Obawiam się, że jako przywódca Galaktycznego Sojuszu nie mogę tego zrobić - wykrztusił. Szybko zebrał się w sobie i przywołał nadwyrężone zdolności medytacji bitewnej. - Sekcja lotnicza? Przygotować eskadry pięć-siedem i pięć-dziewięć.

- Jak pan sobie życzy, sir - skwitowała uprzejmie Daala. - Floto Otchłani? Proszę o nawiązanie kontaktu z bojowym centrum informacyjnym admirał Niathal i zaproponowanie pomocnej dłoni.

W głośniku zabrzmiał głos któregoś z moffów - niestety, stanowczo zbyt późno.

- Wiedzieliśmy, że Pellaeon knuł z nią coś na boku!

- Dobry wieczór, mały, nic nieznaczący człowieczku. - Chociaż głos Daali był przesycony satysfakcją, wrażenie psuła nieco nuta bólu i żalu, która się w niego wkradła. Caedus dobrze ją słyszał. - To za Gila Pelleaona... i Liegeusa - dokończyła admirał.

„Chimera” otworzyła ogień, rozpoczynając bitwę.

Mandaloriański oddział abordażowy; statek szturmowy „Orar”, podchodzący do imperialnego gwiazdowego niszczyciela „Krasnopłetwin”, eskortowany przez *Tra'kada*

- Czym dziś będziemy, moje małństwo? - mruknął Orade, przeglądając listę fałszywych kodów transponderów dla jednostek szturmowych. - Zagubionym bez śladu nałastiańskim frachtowcem? Tankowcem? Gwiazdą Śmierci?

- Polową jednostką transmisyjną wiadomości HoloNetu - podsunął Carid. - Nikt specjalnie nie stara się im schodzić z drogi, a i celami taktycznymi raczej nie bywają. Cały czas kręcą się wokół, w dodatku włączają wszędzie, gdzie się da.

Fett musiał przyznać, że Daala miała doskonałe wyczucie czasu. Imperialne jednostki, które miały za zadanie ochraniać „Krasno- płetwina” przed atakiem floty Sojuszu, teraz same były w poważnych tarapatach, ostrzeliwane przez Flotę Otchłani.

- Kilku moffów będzie miało poważne problemy - mruknął Fett. Miał teraz łączność z buntownikami na pokładzie „Krasno- płetwina”. Przeszło mu przez myśl, że to określenie było kwestią dyskusyjną skoro właśnie zamordowano im admirała. - Reige? Jak sytuacja u was?

- Uzbroiliśmy ładunki, na wypadek gdyby ktoś chciał dokonać abordażu - zameldował Reige. - W razie czego wysadzimy statek w powietrze. Jak się przebiją już po nas... nie jesteśmy przygotowani do walki na krótki dystans.

- Dacie radę - uspokoił go Fett. - Zaraz zrobimy z tym porządek, o ile oczywiście wcześniej nie spróbujecie odesłać nas w niebyt. Kto jest na pokładzie?

- Głównie starsi moffowie. Ich hersztem jest teraz Quille, jak sądzę. Reszta moffów, którzy mają coś do powiedzenia, przebywa nadal na swoich statkach.

- Czyli wszyscy pomniejsi zostali w domu? Nie płakałbym, gdybyśmy pozbyli się całej ekipy. Jak sądzisz, zdołamy się przebić i wpuścić im porcję orzeźwiającej próżni, nie zabijając przy okazji twoich ludzi?

- Wątpię. Zabarykadowali się w centrum dowodzenia. Wewnętrzna cytadela ma wzmocnione systemy ochrony, a my aktywowaliśmy grodzie przeciwpożarowe, żeby odseparować otaczające ją przedziały. Jeśli wejdziesz włazami dostawczymi, znajdziecie się znacznie bliżej centrum dowodzenia i nie będziecie musieli torować sobie drogi, gdybyście natknęli się na jakieś towarzystwo.

- Macie też na pokładzie Jedi - przypomniała cicho Jaina. - Tahiri Veile.

- Mam powody, by sądzić, że odwiesiła swój miecz na kołek - mruknął Fett.

- Chciałam powiedzieć, że to oznacza nadprogramowe kłopoty.

„Krasnopłetwin” utknął, bez dwóch zdań. Jego załoga miała związane ręce - uzbrojenie statku i napęd nie działały. Teraz Mandalorianie musieli tylko dostać się w pobliże bez wzbudzania niepotrzebnej uwagi, wejść na pokład i unieszkodliwić żołnierzy, którzy próbowali przejąć kontrolę nad statkiem. Moffowie tkwili w swojej blaszanej skrzynce jak w pułapce. Mieli dwa wyjścia: albo znaleźć sposób na opuszczenie okrętu, albo opanować sytuację, zanim Niathal, Daala czy Fondorianie rozpylą ich na atomy.

Jaina była przygnębiona. Żle się stało, że Pellaeon zginął. Błysk w jej oczach kazał przypuszczać, że gdyby nauki Jedi nie wykorzeniły z niej naturalnej, ludzkiej chęci odwetu, wyruszyłaby bez chwili wahania na krwawą krucjatę.

- Nie powinienem był ci pozwolić wysłuchać nagrania od Daali - odezwał się do niej Fett. - Cóż, jeśli polujesz na ścierwo, Solo, umiejętność rozpoznawania głosów jest gwarancją, że zabijesz dokładnie tego parszywego buhacza, co trzeba.

- Nie jestem mięczakiem - odburknęła. - Nie ruszajamnie takie rzeczy.

Mirta, siedząca obok z hełmem na kolanach, przyjrzała się Fet- towi spode łba. Spojrzenie równie dobrze mogło oznaczać „zostaw ją w spokoju”, jak „dlaczego się z nią tak cackasz?”

- Wiem, że znałaś go od dawna - dodał. - Zginął z ręki Jedi...

- Wystarczy już sam fakt, że to Tahiri go zabiła - westchnęła Jaina. - A w dodatku... Trudno mi sobie wyobrazić kogoś, kto czeka na zewnątrz, aż ktoś inny umrze.

Rozumiał, co dziewczyna ma na myśli. Próbował sobie przypomnieć, ile istot zabił on sam - i nie udało mu się to. Żeby sprawdzić, musiałby pewnie zajrzeć do archiwalnych rozliczeń. Jednego był stuprocentowo pewien: nie wystawił nikogo w taki sposób, jak tamci Pellaena. Ci parszywcy powinni byli go wykończyć. Zasługiwał na szybką i czystą śmierć. Moffowie właściwie mało go obchodzili; wystarczyło, że Daala dała mu jasno do zrozumienia, co ma robić.

Nikt z nich nie był co prawda obeznany z nową serią „kieszonkowych” niszczycieli Szczątków typu Turbulent, ale Daala przesłała im w miarę dokładny rozkład jednostki. Wynikało z niego, że na rufie znajdują się dwa otwarte hangary. Fett namierzył na planie system włączów dostawczych.

- Reige, gdzie są żołnierze? - rzucił do komunikatora.

- Z tego, co się orientujemy, oprócz tych, którzy nas ostrzeliwu- ją roztawili patrole przy głównych włączach zewnętrznych, żeby zapobiec abordażowi.

- Wygląda na to, że „Krasnopłetwin” właśnie stracił górną osłonę...

- Rozejrzyjcie się też za Jacenem Solo, bo najprawdopodobniej ma zamiar wyciągnąć stąd porucznik Veile - dodał. - Powodzenia, Fett.

Mand'alor odwrócił się do Jajny.

- Dodatkowe komplikacje - wyjaśnił. - Ale Jacen będzie miał te same kłopoty, co my.

- Nie mogę namierzyć mojego brata, ale wyczuwam Tahiri - poinformowała go Jedi. - Wykorzystamy ją jako jego transponder.

- Sądysz, że po nią przyjdzie? - spytał Fett.

- Jeżeli nie sprawi mu to za dużo problemów...

Carid pochylił się nad konsolą „Orara” i oznaczył na mapie „Anakina Solo”.

- Nie jest specjalnie blisko, ale lepiej mieć go na oku- wyjaśnił.

- Reige - odezwał się znowu Fett. - Przygotujcie się. Orade, dołączysz do Zerimara w *Tra 'kadzie*.

„Orar” miał jakieś czterdzieści metrów długości i w otoczeniu statków dziesięć, dwadzieścia, a nawet trzydzieści razy większych od niego trudno go było zauważyć; dosłownie ginął. Transponder identyfikował go jako jednostkę nadawczą holowiadomości, która w bitewnej zawierusze przyplątała się nieco za blisko strzelaniny. Kiedy już znalazła się w pobliżu rufy „Krasnopłetwina”, a komuś nagle przyjdzie do głowy sprawdzić, co tam robi HoloNet, będzie za późno. *Tra'kad*, jeszcze mniejszy, trzymał się blisko „Orara”, który właśnie prześliznął się wzdłuż lewej burty nad włązy dostawcze i przylgnął do poszycia kadłuba. Właz na brzuchu jednostki szturmowej otworzył się i ich oczom ukazała się szczelina, szeroka na jakieś dwa metry.

To był kiepski punkt abordażowy... i znakomite miejsce na zastawienie pułapki. Ledwie Fett zdążył zejść do włazu i przyłożyć rękawicę do metalowej powłoki, poczuł rytmiczne, głuche wibracje dobiegające ze środka: ktoś próbował się przebić na zewnątrz. Miał nadzieję, że inżynierowie i technicy zdołają jeszcze przez jakiś czas powstrzymać żołnierzy z elitarniej jednostki uderzeniowej chroniącej statek.

Właz prowadził do magazynu, z którego można było się dostać korytarzem na główny pokład niszczyciela. Jaina wyskoczyła z niego w sam środek zakutych w pancerze Mandalorian; drobna, ubrana na szaro figurka z mieczem świetlnym w jednej i blasterem w drugiej dłoni.

- Znajdę Tahiri - rzuciła na odchodnym.

Statek był pograżony w półmroku, gdzieś tam tylko rozjaśnionym przez światła awaryjne, jednak dzięki wzmacniającemu obraz systemowi w hełmach Fett i jego ludzie widzieli wszystko jak na dłoni. Mimo ograniczonej widoczności Jedi ruszyła pewnie korytarzem przed siebie. Fett uznał po namyśle, że jeśli traktować Jedi jako osoby obdarzone przez naturę wbudowanym endopanczem i HUD-em, nie wydawali się już tak niepokojąco dziwni.

Nie chodzi o ich moce, stwierdził w duchu. Raczej o ich nasli wienie... Z tymi mocami mogą sobie jeszcze jakoś poradzić.

Kubariet, agent Jedi, z którym kiedyś pracował pod pseudonimem z Vongami, był świadom swoich umiejętności, ale nie miał żadnych problemów z używaniem blastera, jeśli wymagały tego

okoliczności. Może i nie wpływało to specjalnie na wynik starcia, ale Fett widział, co tamten robi - i dzięki temu bardziej mu ufał.

Razem z Caridem dotarli do włazu wychodzącego prosto na sekcję centrum dowodzenia. Jaina już tam na nich czekała, rozplaszczona na grodzi.

- Wyczuwam w środku jakieś trzydzieści osób - szepnęła. - Jedna z nich to na pewno Jedi. Zabarykadowali się. Jediną drogą jaką mogą się stąd wydostać, jest ten sam właz, którym weszliśmy.

- A więc do dzieła - zarządził *Mandalor*.

- Pewnie już mnie wyczuła - dodała Jaina. Fett nie musiał wyjaśniać szczegółów. Kiedy właz się otworzył, razem ze swoimi żołnierzami zabije wszystko, co się w środku porusza. Jeżeli Jacen Solo chce uratować swoją uczennicę, lepiej, żeby się pospieszył...

- Na trzy - zakomenderował Carid... - Raz... dwa... Naprzód!

Strumień zmasowanego blasterowego ognia wyrwał właz z zawiasów i posłał go do środka, blokując w zębicy jak rampę bezpieczeństwa. Fett osłaniał sześciu *Ori'ramikade*, którzy wpadli jak burza do pomieszczenia i natychmiast otworzyli ogień; moffowie odpowiedzieli tym samym.

Nie zamierzali poddawać się bez walki. Fett zanurkował w kłęby dymu, między strumienie blasterowych strzałów, nagle zdając sobie sprawę, jak wiele może wytrzymać jego beskarowa zbroja w porównaniu ze starą durastalową.

W tym hałasie i zamieszaniu nawet jego HUD czasem zawodził, więc widok drobnej postaci Jaina Solo, odbijającej strzałę ostrzem miecza świetlnego, ubranej tylko w szary kombinezon lotniczy, wytrącił go nieco z równowagi.

Zanotował w pamięci, żeby kiedyś jej powiedzieć, jak imponująco to wyglądało... Ale na razie musiał się skupić na deszczu blasterowych strzałów i głosie Jaina, klnącej na tyle głośno, że słyszał ją ponad świstem i skwierczeniem przecinanego rozgrzaną plazmą powietrza - bo Tahiri właśnie zniknęła.

Okręt Galaktycznego Sojuszu „Ocean”, przestrzeń w okolicy Fondora

„Chimera” torowała sobie drogę przez pole bitwy i kierowała się prosto na „Anakina Solo”, strzelając pełną parą z turbolaserów.

- O Daali zawsze mawiano, że ignoruje podręczniki do strategii i za nic ma powszechnie przyjęte reguły. - Niathal ciągle jeszcze próbowała ocenić siłę ognia i rozmiar zbieraniny statków, które właśnie przybyły jej na odsiecz. Według pobieżnych szacunków, flota była o jakieś trzydzieści procent większa niż zjednoczona flota moffowie-Jacen, jak teraz nazywała ją w myślach. - Wygląda na to, że zamierza go staranować.

- Osobiście wolałbym zejść jej z drogi - stwierdził Makin.

Najwyraźniej kilku oficerów floty Jacena musiało wpaść na ten

sam pomysł, bo oderwali się od grupy atakującej Fondor i zaczęli zawracać w stronę „Anakina Solo”. Wokół „Chimery” zebrano już sześć okrętów i Niathal zachodziła w głowę, jaką to strategię zamierza obrać Daala. Jedną z zalet rzucenia do walki floty tak zupełnie nieoczekiwanej i złożonej z najbardziej niesamowitych statków było to, że jej pojawienie się wprowadzało totalny zamęt; każdy dowódca musiał przerwać to, co akurat robił, i zastanowić się chwilę nad tym, co widzi... Ale to dotyczyło niestety także sojuszników Daali. W przestrzeni było niewyobrażalnie wręcz tłoczno. Niathal miała wrażenie, że uczestniczą w starożytnej bitwie morskiej na Naboo, gdzie statki stały tak blisko siebie, że nie mogły się bezpiecznie poruszać ani strzelać.

- Rzeczywiście, zamierza skrócić najpóźniej, jak się da - stwierdziła z pewnym zdziwieniem.

- Wolałbym nie być na miejscu tamtej fregaty - skwitował Makin.

- Czy dobrze słyszałam? Czy Daala powiedziała „Nieregularna Flota Otchłani”?

- Dokładnie tak.

Wyglądało na to, że jeden z niszczycieli, kręcących się w pobliżu lewej burty „Chimery”, ma zamiar wystrzelić salwę w jej mostek; w tym samym czasie kursem przechwytyjącym z prawej zbliżał się do niej krążownik. „Chimera” nie przejęła się tym jednak zbyt, otwierając ogień do obydwu jednocześnie i utrzymując kurs, chociaż na pozór nie wyrządziła natrętom wiele szkód.

- Co to było, Vio? - spytała z niepokojem Niathal. - Turbo- laser?

- Nie mam pojęcia, proszę pani.

- Nie czas teraz na podziwianie, jak wyszykowała swój statek, ale... nigdy nie widziałam niczego podobnego - zdziwiła się

Kalamarianka. - Sprawdź, proszę, odczyty czujników. Chcę wiedzieć, jakim uzbrojeniem dysponuje „Chimera” - poleciła. - Mam tylko nadzieję, że to nie jest jakaś grubymi nićmi szyta blaga i nie wygrzebała tego wszystkiego z jakiegoś złomowiska, bo Jacen bardzo szybko to odkryje...

Wciąż obserwując nieuchronną - zdawałoby się - kolizję, Niathal podeszła do jednego z ekranów, żeby sprawdzić przekazy z ho- lokamer sond, znajdujących się najbliżej „Anakina Solo”. „Chimera” pozwalała mniejszym statkom się ostrzeliwać, nie martwiąc się o pola, po czym jakby nigdy nic wycelowała do dwóch statków, którym odpuściła przed chwilą.

Niathal czekała na widoczne skutki ataku, ale to, co zobaczyła, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Kadłub pierwszego statku zapadł się do środka, a potem po prostu rozprysnął niczym torba siewozian. Żadnej eksplozji, żadnej chmury ognia i dymu: nic podobnego. Sekcja rufowa statku pozostała nietknięta, ale w kadłubie ziała dziura wystawiająca na działanie próżni jakieś pięć pokładów.

Wszystko odbyło się w dziwnej ciszy; nie tak powinien kończyć swój żywot krążownik. To dało Niathal do myślenia.

- Hm, mam wrażenie, że Daala przywiozła z sobą kilka swoich zabawek - mruknął Makin. On też śledził uważnie całe widowisko.

- Racja, też mi się zdaje, że ma ze sobą parę nowinek technologicznych. - Kalamariańska admirał nawiązała połączenie ze statkiem flagowym Floty Otchłani. - Tu „Ocean” do „Chimery”... dziękuję za wsparcie. Czyżbyście mieli jakieś niekonwencjonalne uzbrojenie?

- „Oceanie”, potwierdzam - zabrzmiało z głośnika. - Tak, mamy metalowo-krystaliczny przesuwnik fazowy... między innymi.

Broń typu MKPF zmieniała strukturę krystaliczną zaatakowanych obiektów. Punkt, w który oberwał nieszczęsny niszczyciel, po prostu pękł i zapadł się pod własnym ciężarem. Takie cacko dorównywało skutecznością starym, dobrym laserom, ale - co ważniejsze - potrafiło przeniknąć pole ochronne.

- Dziękuję, „Chimero” - powiedziała Niathal.

- A więc jednak - westchnął Makin. - Daala odkurzyła kilka projektów Laboratorium Otchłani. Ciekawe, co jeszcze chowa w rękawie na czarną godzinę.

- Cóż, sądzę, że czas kogoś o tym poinformować... gdybym to ja była na miejscu wroga, troszkę spadłoby mi od tego morale - stwierdziła Niathal.

Jednak wyglądało na to, że Daala sama zajęła się już poinformowaniem floty Jacena o niespodziankach - w bardzo obrazowy sposób. Zostawiała za sobą szlak kolejnych uszkodzonych niszczycieli; zwykłe pola nie dawały żadnej ochrony przed taką bronią.

A Jacen na pewno wyczuwał to, co Niathal widziała - a nawet więcej, bo dysponował dodatkowym zmysłem. Wiedział już pewnie, że ma do czynienia z taktyką i bronią, o których do tej pory nawet mu się nie śniło.

„Anakin Solo” był odsłonięty; stanowił łatwy cel. Otaczająca go grupa bojowa systematycznie ulegała rozbiciu w dziwnie spokojny, ale śmiertelnie skuteczny sposób. Przerażający spektakl rozgrywał się w całkowitej ciszy: żadnego ognia, tylko chmury szczątków z tracących spójność kadłubów.

Nie wiadomo, ile statków Daali było wyposażonych w MKPF, ale to także była część taktyki: niepewność. Jednostki floty SGS i Szczątków Imperium dosłownie rozrzuciło po całej przestrzeni nad Fondorem; każdy dowódca przy zdrowych zmysłach, do którego statku zbliżał się teraz jeden ze statków Daali, zastanawiał się na pewno, czy to on będzie następny w kolejce.

Niathal uznała, że to dobry moment na skontaktowanie się z całą flotą. Miała nadzieję, że wszyscy, którzy przeszli na stronę Jacena, mają aktywne łącza.

- Dowódcy Trzeciej i Czwartej Floty SGS, którzy zdecydowali się nie podporządkować moim rozkazom! To wasza ostatnia szansa na przyłączenie się do sił Galaktycznego Sojuszu - powiedziała z naciskiem. - Wstrzymajcie ogień i wycofajcie się do wyznaczonego punktu zbornego floty. Natychmiast. Nie podejmę, powtarzam, nie podejmę działań dyscyplinarnych wobec żadnego dowódcy, który się teraz wycofa. - Usiadła z powrotem w fotelu. Teraz zaczeka i zobaczy, kto wróci pod jej skrzydła.

Nie spuszczała wzroku z „Anakina Solo”, ciekawa, jak zareaguje Jacen.

ROZDZIAŁ 16

Możesz mnie uznać za paranoika, ale proponuję, żebyśmy po uporaniu się z najważniejszymi problemami poświęcili nieco czasu na odnalezienie Jamy Daali i wszystkich jej zabawek z Laboratorium Otchłani.

Może i teraz nam pomaga, ale kto wie, jak będą wyglądały nasze stosunki w przyszłości?

Admirał Makin do admirał Niathal

Okręt SGS „Anakin Solo”, przestrzeń w okolicy Fondora

Wydaje jej się, że może tak ze mną pogrywać? - zżymał się w myśli Caedus.

- Sir, nie mamy jak temu zaradzić, cokolwiek to jest. - Inondrar uwijał się jak w ukropie, skacząc od jednego wyświetlacza do drugiego i sprawdzając dane, napływające z zaatakowanych statków. - Przypuszczam, że to może być przesuwnik fazowy.

Caedus stał na mostku przed główną holomapą próbując pogodzić to, co widział, z tym, co czuł. Wydawało się, że statki Daali są wszędzie, roiły się wokół jak chmara insektów. Na szczęście jednak, jeśli nawet wszystkie były wyposażone w przesuwniki fazowe, nie wszystkie z nich korzystały. Caedus czuł też coś jeszcze: Jedi. Co prawda nie w pobliżu, na pewno nie polowali na niego tutaj, ale...

Hm, przecież poprzednio też nie wyczułem Luke'a... - przypomniał sobie.

- Zidentyfikujcie statki uzbrojone w to świństwo i skupcie na nich ogień - rozkazał. - Przerwać atak na Fondora

i rzucić wszystkie nasze siły przeciwko Daali. A mówiąc „wszystkie”, naprawdę mam na myśli wszystkie - zastrzeżę. - Nawet wysłane na ratunek jednostkom potrzebującym wsparcia.

- Sir, mamy mnóstwo uszkodzonych statków, nawet X-wingi proszą o pomoc...

- Sir? - Oficer z zespołu obsługi czujników podniosła wzrok znad pulpitu. - „Wiemy Obrońca” wydał rozkaz ewakuacji. Ich kadłub traci spójność... „Róża Wiatrów” leci im na pomoc.

To był następny problem, który Caedus musiał rozwiązać: część jednostek blokowały akcje ratunkowe dla poważnie uszkodzonych statków.

Mógłbym ich wszystkich tu zostawić, przeszło mu przez myśl.

Ale... Nie mógł tego zrobić. Nikt nie zechce dla niego walczyć, jeśli będą podejrzewali, że w razie kłopotów zostawi ich na pastwę losu. Morale miało podczas walki ogromne znaczenie i nawet Caedus nie mógł sprawić, żeby cała załoga jego floty przeszła do porządku nad porzuceniem kolegów.

- To może być dobra okazja do taktycznego wycofania sił i przegrupowania - zauważył ostrożnie Inondrar. - Ponowna ocena sytuacji...

Kiedy ktoś mówił o wycofaniu, Caedus zazwyczaj słyszał „odwrot”, ale teraz wróg miał zdecydowaną przewagę liczebną a zważywszy na niekonwencjonalną broń Daali, SGS był też w bardzo niekorzystnej sytuacji pod względem uzbrojenia. Perspektywa odpuszczenia ataku była pociągająca, ale Caedus wiedział, dlaczego tak myśli: po prostu był przemęczony. Poza tym całkiem możliwe, że w obecnej sytuacji uderzenie na wroga pełną parą mogłoby przechylić szalę zwycięstwa na ich stronę.

- Jak sytuacja? - spytał.

- Połowa naszych statków jest w różnym stopniu uszkodzona. Straciliśmy ponad trzydzieści jednostek, sir - zameldował Inondrar.

Sprawy przybierały niebezpieczny obrót. Jeżeli Caedus będzie zwlekał, może stracić więcej statków. Odwrot byłby dla niego wielkim upokorzeniem, ale powtarzał sobie, że to tylko jedna z wielu bitew, nie cała wojna.

Mimo to trudno było mu się pogodzić z myślą, że będzie musiał uciekać.

- Proszę wybrać punkt zborny, a statkom, które mają sprawny napęd nadprzestrzenny i nie uczestniczą akurat w akcjach ratunkowych, wydać rozkaz skoku. Na razie zabierzemy tylko lojalnych dowódców. Powtarzam, na razie. - Prowadził teraz walkę na trzech frontach: czekało go stłumienie buntu jego prowizorycznej koalicji, musiał znaleźć lekarstwo na nieznaną broń i pokonać wroga, który chciał go zniszczyć. - A potem - dodał z groźbą w głosie - zobaczymy, kto jest prawowitym przywódcą Galaktycznego Sojuszu. - Skoro zachciało im się z nim pogrywać, jeszcze tego pożałują. A jeśli Niathal zostały jakieś resztki zdrowego rozsądku, nie dopuści do awantury o władzę na Coruscant. - Do wszystkich statków: tu pułkownik Solo. Admirał Niathal działa bezprawnie; wzywam was do dochowania wierności Galaktycznemu Sojuszowi. Proszę o zgłoszenie waszych planów; czekajcie na rozkazy.

- Co pan zamierza zrobić, sir? - spytał niepewnie Inondrar.

- Tym, którzy się podporządkują, prześlij namiary na punkt zborny - polecił Caedus. - Wtedy zobaczymy, z czym zostanie Niathal. Jeśli okaże się, że mamy mniej statków, niż myślę, lepiej faktycznie będzie się wycofać. Jeśli zaś sytuacja będzie wyglądała korzystnie, wrócimy na Coruscant, a Niathal zostanie z pustymi rękami. Straciliśmy Fondora, ale możemy go odzyskać kiedy indziej.

- Statki nie mogą skoczyć, dopóki nie opuszczą orbity Thanut.

- A więc każ im się stamtąd ruszyć! - warknął ze zniecierpliwieniem Caedus.

- Tak jest, sir.

- I przygotuj dla mnie sanitarkę.

- Wszystkie, które mieliśmy na pokładzie, zostały wysłane na pomoc innym statkom... - bąknął Inondrar. Caedus już miał zażądać, żeby którąś zawrócono, ale do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Odbicie Tahiri

może będzie dzięki temu nawet nieco łatwiejsze.

- A więc przygotuj ambulans.

- Ale, sir, mamy więcej wezwań do sytuacji krytycznych niż...

- Porucznik Veila utknęła na „Krasnopłetwinie” - wszedł mu w słowo Caedus. - Nie zostawię jej. Nikomu nie przyjdzie do głowy strzelać do ambulansu. Załatw mi statek i uniform sanitariusza.

Inondrar wyraźnie miał ochotę spytać, jak jego przełożony ma zamiar dostać się na pokład „Krasnopłetwina”, ale zamiast tego wymamrotał tylko:

- Tak jest, sir - i skontaktował się z hangarem.

Caedus nie zamierzał na razie zaprzętać sobie tym głowy. Szczegóły planu dopracuje, kiedy dotrze na „Krasnopłetwina”. Będzie miał okazję zatroszczyć się o rannych - a jeśli zabraknie rannych, sam się o nich postara.

- Jaki mamy odzew? - spytał. - Ilu dowódców zadeklarowało, że jest po naszej stronie?

- Jakies dwie trzecie wszystkich statków SGS - nadeszła odpowiedź.

- Doskonale. Prześlij im współrzędne punktu zbornego. - Caedus wyczuwał teraz poprzez Moc Tahiri. Miała poważne kłopoty. - Jakies wieści z „Krasnopłetwina”?

- Straciliśmy łączność z centrum dowodzenia, sir, ale z tego, co wiem, i tak są na zasilaniu awaryjnym.

- Nie... - Caedus pokręcił głową. - Wiem, że dzieje się tam coś niedobrego.

- Nie mamy żadnych informacji o działaniach podjętych przez wroga przeciwko „Krasnopłetwinowi” - wyjaśnił Inondrar. - Wszystko wskazuje na to, że Imperium przestało się nim interesować po tym, jak przekazali dowodzenie.

Może przejęli go buntownicy? - zastanawiał się Caedus. Jeśli tak, na pewno nie obyło się bez ofiar. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś dokonał abordażu. Tak czy inaczej, musiał się spieszyć.

- Inondrar, przekazuję ci dowodzenie - powiedział. - Jak tylko wyciągnę porucznik Veilę, prześlę wam moje współrzędne. Wracajcie na Coruscant, a jeśli Niathal spróbuje wrócić tam ze swoją bandą przemieszczających, pozbadźcie się ich.

Okręt SGS „Ocean”, przestrzeń w okolicy Fondora

- *Stang!*

Chociaż tkwili w samym środku bitwy i wszyscy mieli pełne ręce roboty, na dźwięk głosu Niathal odwróciło się kilka głów. Niathal nigdy głośno nie przeklinała; w ogóle rzadko zdarzało jej się kłąć, więc dla załogi była to zapowiedź bardzo złych wieści.

- Przepraszam - mruknęła, zła na siebie, że ją poniosło. - Paru naszych przyjaciół postanowiło wcześniej wyjść z przyjęcia.

Z holomapy wciąż znikwały kolejne ikony symbolizujące statki. Każdy czujnik, ekran namierzenia i holokamera pokazywały to samo: liczebność ich floty drastycznie malała. W tej chwili zostało tylko parę statków pod dowództwem Jacena, kilka jednostek ratunkowych, ewakuacyjnych i pomocniczych. Flotylla Daali przemykała między tymi szczątkami jak stado rekinów firaxa wśród ławicy mat-shi. Z urywków komunikatów, które docierały do Niathal, wynikało, że nawet Nieregularna Flota Otchłani - jak ją teraz nazywano - miała problemy z odróżnieniem, kto jest po stronie Jacena, a kto został przy niej. Statki Imperium było znacznie łatwiej zidentyfikować i z tego powodu obrywały największe ciągi - część-ze zwykłych dział jono wych i turbolaserów, inne wykańczały przesuwniki fazowe.

Sytuację znakomicie oddałoby określenie „mgła wojny”.

- Cóż, mamy pecha - westchnęła admirał. - Na razie jednak powinniśmy się cieszyć, że Daala ocaliła nam skórę.

Niathal czuła się dziwnie: z jednej strony pokonała flotę Jacena, z drugiej - traciła władzę i autorytet. Patrzyła z przerażeniem na ekran, na szybko topniejącą pulę statków, które nie wypowiedziały jej posłuszeństwa; Makin zaglądał jej przez ramię.

- Naprawdę sądziłem, że tym razem się przeliczy - mruknęła do niego. - Jakim cudem udaje mu się utrzymać przy sobie tyle jednostek?

- Charyzma, rządu terroru i wrodzona skłonność mundurowych do wypełniania poleceń. - Makin pokręcił smutno głową. - Wymaganie od załogi, żeby wybrała między jednym a drugim współ- przywódcą musi się skończyć rozłamek, nie ma innej opcji. Ale mniejsza z tym. Pytanie brzmi: co zrobimy w tej sytuacji? Będzie- my ścigać Jacena? Walczyć z nim o kontrolę Coruscant? W tym celu musielibyśmy mieć na podorzędziu flotę Daali, a próba zdobycia stolicy z pomocą obcych sił byłaby, moim zdaniem, krokiem zdecydowanie niepoprawnym politycznie, nawet gdybyśmy spróbowali tego dokonać bez działań zbrojnych.

Niathal zbesztła się w duchu za to, że wszystkiego dokładnie nie przemyślała, ale... czy właściwie coś by to zmieniło? W chwili kiedy Jacen przeciwstawił się jej żądaniu wycofania, nie miała innego wyjścia; nie było wyboru. Nie mogła się cofnąć, nie mogła dać mu błogosławieństwa na rzeź Fondora; gdyby podporządkowała mu się bez słowa protestu, straciłaby o wiele więcej niż tylko tytuł.

- Nie zrobimy tego, ale damy mu coś, czym będzie mógł się po- martwić - stwierdziła w końcu. - Wycofamy się do jakiejś bazy na uboczu i powołamy rząd SGS na wygnaniu, zapewniając bezpieczną przystań jego wrogom, których grono, jak wiemy, wciąż się powiększa. To niestety przypieczętuje rozłam w SGS i najprawdopodobniej skończymy w jednej partii z kilkoma niezbyt wygodnymi współlokatorami, ale to lepsze niż tańczyć jak nam Jacen zagra.

Zawsze mogli się zwrócić o pomoc do Rady Jedi, ale Niathal wolała trzymać się od nich daleka. Oni także mieli interes w wykluczeniu Jacena z gry, ale nie zamierzała oddać swoich sił pod rozkazy Luke'a Skywalkera. Zresztą szczerze wątpiła, czy on powierzyłby jej pieczy swoich pilotów Jedi.

A skoro już o nich mowa... gdzie się podziewali? stealthX-y krążyły gdzieś w pobliżu - dowodem na to była niechlubna ucieczka Jacena - jednak ich namierzenie było całkiem inną sprawą.

Jacen nie miał wyjścia: musiał się wycofać. Niathal zaryzykowała połączenie i czekała na zgłoszenie któregoś z Jedi.

- Tu „Ocean” do stealthX-ów, odbiór...

Czekała. No, dalej, Luke, powtarzała w myśli. Wiem, że gdzieś tam jesteś...

- stealthX pięć-pięć do „Oceanu” - zaszumiało wreszcie z głośników.

- Mistrzu Skywalkerze...Nie wchodźcie nam w paradę, więc i my nie wtrącamy się w wasze sprawy, ale nie zaszkodziłoby, gdybyście uprzedzili nas o waszych zamiarach...

- Zrozumiałem, „Oceanie” - powiedział Skywalker. - Staramy się utrzymać statki Jacena z dala od fondoriańskich jednostek ratunkowych, ale chyba i tak zmienili plany.

- Wybacz ciekawość - podjęła Kalamarianka - ale czy mieliście coś wspólnego z niespodzianką fondoriańskiej floty?

- Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby chronić cywili pracujących w stocznicach - odparł wymijająco Mistrz Jedi.

- To pewne... ekstremum, jeśli chodzi o moralność Jedi, mam rację?

- Musimy powstrzymać Jacena i zminimalizować straty... i mam tu na myśli przede wszystkim zabijanie niewinnych istot. - Luke przełknął głośno ślinę, jakby próbował ubrać w słowa jakąś wyjątkowo trudną myśl. - Bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało załogi stawiaczy min... Sądziłem, że Fondor zdoła sobie poradzić w jakiś inny sposób.

Ten sam człowiek latał myśliwcem, pomyślała Niathal z niedowierzaniem. Walczył w licznych bitwach... Zniszczył Gwiazdę Śmierci... Nigdy nie zrozumiał Jedi, westchnęła w duchu. Zresztą... to i tak moja wina. Sama się o to prosiłam, ujawniając mu tajne informacje.

- Każdy z nas podczas wojny popełnia błędy, których później żałuje - powiedziała cicho. - To, co dziś wydaje się najlepszym wyjściem z sytuacji, jutro okazuje się pomyłką Mistrzu Skywalkerze. Wszyscy tkwimy w tym po uszy.

- W rzeczy samej.

- Zamierzam ustanowić rząd SGS na wygnaniu - poinformowała go. - Nie mam złudzeń: nie pokonamy Jacena na Coruscant, nie bez pomocy z zewnątrz, a nie jestem pewna, czy w tych okolicznościach byłby to dobry krok.

- Gdzie zamierzacie lecieć? Gdzie w ogóle możecie się skierować?

Cóż, to było dobre pytanie. Najbliższą bazą floty SGS - a przynajmniej najbliższą która nie była wobec Sojuszu wrogo nastawiona - był księżyc Nallastia.

- Nallastia-powiedziała.

- Niezbyt bezpieczne rozwiązanie... - zauważył Luke.

- Fondor byłby jak znalazł, ale wygląda na to, że nadużyliśmy nieco ich gościnności...

- Wyślij na powierzchnię kilka ekip ratunkowych, a ja zobaczę, czy uda mi się coś wynegocjować z prezydentem Vaddem. Próbując skłonić Jacena, żeby uszanował kapitulację, mogliście u nich zarobić kilka punktów. Poza tym... oficjalnie nie reprezentujesz już Sojuszu.

Podczas wojny rozsądek i logika często przestawały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nieraz już zdarzało się, że w samym środku wojny wrogowie znajdowali wspólny cel i zawiązywali koalicje. Niathal chwyciła się kurczowo jednej myśli: takie wyjście dałoby jej załogom szansę na przetrwanie.

- Doceniam twoje wsparcie, Mistrzu Skywalkerze, i jestem za nie wdzięczna - powiedziała.

- Jestem pewien, że zrobiłaby pani dla mnie to samo, pani admirał.

I dokąd mnie to zaprowadziło? - westchnęła w duchu.

Wiedziała doskonale: przyjdzie taka chwila, że nie będzie potrafiła już dłużej tego w sobie tłumić i będzie musiała przyznać się komuś do ujawnienia informacji o polu minowym.

A ty, Luke'u Skywalkerze? - spytała go w myśli. Jak rozliczysz się z własnym sumieniem?

Cóż, to nie był najlepszy moment, żeby go o to pytać.

Wyruszyła na tę bitwę jako przywódca Galaktycznego Sojuszu, a teraz nie mogła nawet wrócić do domu... dopóki Jacen Solo nie zostanie usunięty ze sceny politycznej. Z jakiegoś dziwnego powodu setki istnień członków załóg stawiaczy min ciążyły jej na sumieniu bardziej niż tysiące, które straciły życie podczas walki.

- „Niezniszczalny” zgłasza, że znaleźli kapitana Nevila, proszę pani - wyrwał ją z zamyślenia oficer łącznikowy.
- Prosi o pozwolenie wejścia na pokład „Oceanu”.

Nevil, jeden ocalony na tyłu utraconych...

- Przekaż mu, że ma moje pozwolenie.

Żona Nevila nie powinna tracić męża w tydzień po śmierci syna, rozmyślała Niathal. I ta myśl była dla niej jedynym promieniem światła w tym długim, mrocznym dniu.

Ambulans, w drodze na „Krasnoplętwina”

Pole bitwy było jednym wielkim śmietniskiem szczątków setki - albo nawet więcej - statków. Caedus ostrożnie omijał fragmenty pancerzy - od włazów, poprzez rozdarte płachty plastoidu, po całe sekcje statków, większe niż jego stateczek. Bitwa się skończyła; jak okiem sięgnąć, przestrzeń była pełna skutków tego starcia.

Ale Tahiri żyła. Czuł ją - i w tej chwili nie liczyło się nic więcej.

Czuł też... Jainę.

Ze wszystkich osób, które utracił... które wydawały mu się teraz wyblakłymi wspomnieniami z innego życia, a którym mógł przywrócić dawne kolory i blask, gdyby tylko z powrotem stał się tym, kim był kiedyś ... to właśnie Jaina nie dawała mu spokoju. Dziwne. Spodziewał się, że to utrata Allany będzie go boleć najbardziej. Myśl o córce przerywała tamę wspomnień; z wielkim wysiłkiem skupił się na czymś innym. Prawie zadziałało. Prawie... Bliźniacza siostra ciągle prześladowała jego myśli - i nie wiedział, jak ani gdzie przed tym uciec.

A więc ona też po niego przyszła? Żeby skończyć to, co zaczął Luke? - pomyślał. Yun-Harla: bogini-zwodzielka Yuuzhan Von- gów, czerpiąca satysfakcję z przyglądania się, jak bliźnięta walczą ze sobą na śmierć i życie... Sięgnął poprzez Moc, żeby namierzyć siostrę; tylko tak mógł odnaleźć jej stealthX. Wiedział, że ona nie zdoła go wyczuć - teraz, kiedy ukrywał się w Mocy, poza tym nigdy nie ostrzelałaby jednostki medycznej. Mimo to musiał zachować czujność.

„Krasnopłetwin” dryfował bezwładnie pośród kosmicznych śmieci; obok niego warowały dwa imperialne krążowniki - ostatki floty Szczątków. Nagle głośnik ambulansu obudził się do życia:

- Ambulansie, tu „Złota Forteca”. Mamy na „Krasnopłetwinie” sytuację krytyczną. Zachowaj bezpieczny odstęp, powtarzam: trzymaj się od „Krasnopłetwina” z daleka...

Caedus podszedł powoli w stronę rufy niszczyciela.

- Tu medyczna jednostka ratunkowa dziesięć-czternaście z Czwartej Floty Galaktycznego Sojuszu pułkownika Solo; niesiemy pomoc. Wiemy o waszych problemach.

- Gdzie wasz szef, dziesięć-czternaście? Zwiął z podkulonym ogonem, co?

- Dajcie mi chwilę na rozmowę z „Krasnopłetwinem”. - Nie zareagował na zaczepkę. - Przekonam ich, żeby pozwolili mi wejść na pokład i zabrać rannych. - W mundurze sanitariusza Caedus był całkowicie anonimowy. Nawet jeśli ktoś znał go z widzenia, w tych okolicznościach trudno mu będzie go rozpoznać. Mała sztuczka z wpływaniem na umysł, odrobina manipulacji i będzie mógł bez przeszkód dostać się do środka. - Na litość Mocy, jestem przedstawicielem służb medycznych! Buntownicy czy nie, nie są chyba dzikusami. Macie z nimi łączność?

- Niestety nie - westchnął oficer. - Czekamy. Obłożyli statek ładunkami na wypadek, gdyby ktoś chciał dostać się do środka.

- Pozwólcie mi chociaż spróbować - nalegał Caedus.

W komunikatorze na kilka chwil zapanowała cisza, jakby „Złota Forteca” rozważała jego propozycję.

- W porządku, medyczna jednostka ratunkowa, wysłaliśmy sygnał informujący, że czekasz w pogotowiu, ale nie wiemy, czy go odebrali. Z ostatnich wieści, które od nich mieliśmy, wynika, że żołnierze zajęli hangar, więc robisz to na własne ryzyko. Wiadomo, że nie jesteś oddziałem abordażowym, ale pamiętaj, że może im przyjść do głowy najpierw strzelać, a potem pytać.

- To dla mnie nic nowego - uspokoił oficera Caedus. - Potrafię... przemówić ludziom do rozsądku. - ...Albo sprawić, żeby walczyli dla mnie do ostatniej kropli krwi, dodał w myśli. Ale tego akurat nie musicie wiedzieć.

- Spróbuj zadokować przy górnym włazie awaryjnym, na rufie, od strony wieżyczki, i miej nadzieję, że zdrowy rozsądek zwycięży. Upewnij się, że będziesz odpowiednio oświetlony, doktorku...

Kiedy Caedus podszedł jeszcze bliżej „Krasnopłetwina”, przed dziobem jego statku wolno przepłynął X-wing; wzdłuż lewej burty niszczyciela dryfował bez mocy dziwny, kanciasty statek, którego nie rozpoznawał. Poprzez Moc dotarło do niego nikłe echo życia - i niepokoju. Bez wątplenia pudło pochodziło z muzeum Daali. Gdzie, u licha, schowała to wszystko, kiedy opróżniano Laboratorium Otchłani? - zachodził w głowę. Musi znaleźć tę jej pełną niebezpiecznych zabawek Jamę Carkoon - i to im prędzej, tym lepiej. Tahiri, jestem tutaj! - wysłał poprzez Moc sygnał. Musisz mi pomóc. Skup się! Żyła, czuł to, ale była w opałach. Niemalże słyszał jej bijące niespokojnie serce. Miała naprawdę poważne kłopoty...

Caedus podprowadził ambulans do włazu dostępu awaryjnego i włączył sygnalizację: jego stateczek rozblysnął żółtymi i czerwonymi szewronami.

a i*»

ROZDZIAŁ 17

Wiem, że zdania są podzielone, ale jestem za zapewnieniem admirał Niathal bezpiecznej przystani. W chwilach takich jak ta, kiedy pułkownik Solo jest zagrożeniem nie tylko dla nas, ale i dla reszty galaktyki, zjednoczenie się przeciwko niemu

jest słuszne, a nawet konieczne. Równie dobrze może wrócić, żeby skończyć to, co zaczął - a jeśli tego nie zrobi, z chęcią wyślę resztki naszej floty, żeby go wykończyły.

Shas Vadde, prezydent Fondora, do Luke'a Skywalkera

Imperialny niszczyciel gwiazdny „Krasnopłetwin”

- Mand'alorze? Mamy towarzystwo.

Fett przystanął i mrugnięciem zmienił ustawienia komunikatora w hełmie. Powietrze w przedziale przeszywały ze skwierczeniem strumienie energii.

- Dasz sobie radę, Orade? - spytał.

Tra 'kadbył wręcz idealnym statkiem do takich misji. Nawet bez sterowania ręcznego wspaniale udawał opustoszały wrak.

- Mamy tu ambulans, przybijający do górnego wjazdu awaryjnego.

- Co za opiekuńczość! - parsknął Fett. Był już zmęczony czekaniem, aż moffowie i pluton doborowych żołnierzy, broniący sąsiedniego przedziału, poddadzą się i umrą. - Uwaga! Odsunąć się! - Wrzucił do środka mały granat oślepiający (żadnych detonatorów; chcieli w miarę możliwości zminimalizować bałagan) i wzdrygnął się odruchowo na widok rozbłysku światła i głuchego „łup!", chociaż jego hełm częściowo złagodził towarzyszące wybuchowi efekty. Posłał za ładunkiem kilka serii z blastera. - Odważny medyk czy jakaś łajza nierespektująca sygnału wykluczenia z walki? - zastanowił się głośno.

- Lepiej, żeby to byli sanitariusze, bo inaczej im samym będzie potrzebna pomoc medyczna... Spokojna głowa, zajmijmy się tym z Ramem.

Mirta, przyklejona plecami do grodzi, z blasterem w pogotowiu, podkraśla się bliżej, żeby sprawdzić sytuację w sąsiednim pomieszczeniu. Bronione zaciekłe serce statku było niczym komplet

pudełek, z których każde kryło w środku następne, mniejsze. To było bardzo sprytnie rozwiązanie... dopóki nie przyszło się wydostawać ze środka. Od strony rufy dobiegał co jakiś czas odgłos uderzeń - to żołnierze próbowali przedrzeć się do sekcji centralnej.

- Przysmażyliście zamki włazów na pokład hangarowy? - spytał wnuczkę Fett.

- Tak - potwierdziła Mirta, z uchem przyklepionym do ściany obok następnego wjazdu do ostatniego bastionu moffów. - Nienawidzę, jak mi ktoś przeszkadza w pracy. Zajmiemy się nimi później, jeśli wciąż będą mieli ochotę powalczyć.

Carid i Vevut rozwinęły pasek detonitu, żeby wysadzić drzwi.

- Myślisz, że zmiękną, kiedy trochę im zepsujemy tę balię?

- Możliwe. - Fett przez chwilę obliczał coś w myśli: dwudziestu Mandalorian na pokładzie „Krasnopłetwina”, około trzydziestu czekających w pogotowiu, żeby zatrzymać żołnierzy próbujących się przebić do maszynowni. Imperialni może i mieli znacznie więcej żołnierzy, ale w tak ograniczonej przestrzeni nie dawało im to żadnej przewagi, bo nie mogli wykorzystać przewagi liczebnej. - Są kompletnie udupieni.

Na znak Carida i Vevuta poszukali schronienia - w samą porę. Potężna eksplozja wyrwała właz, a Vevut dokończył dzieła, wydzierając płytę i odrzucając na bok; ze środka natychmiast posypał się na nich grad blasterowych strzałów. Gdyby Daala tak nie nalegała na zminimalizowanie zniszczeń, byłoby już pewnie po wszystkim. Seria z blastera, która trafiła Carida prosto w *beskarowy* napierśnik, posłała go z impetem na gródz i Mandalorianin zaklął pod nosem.

- Och, uwielbiam, kiedy puszcza wam nerwy, chłopaczki! - warknął. Do uszu Fetta doleciał dźwięk wibroostrza wysuwanego z karwasza. - Chodźcie no tu i przywitajcie się z wujkiem Cari- dem... - Zanurkował do środka, a Vevut i Fett za nim. Jak zawsze, wszystko działo się w błyskawicznym tempie; zdarzenia następowały po sobie z taką prędkością, że zlewały się w ciąg zamazanych obrazów. Fett zdążył tylko zauważyć, jak Vevut wpada w grupę zakutych w białe pancerze żołnierzy Imperium. Nigdzie nie było śladu moffów - widocznym szturmowcy polecili im się wycofać do przylegającego pomieszczenia i zostali, żeby ich osłaniać. Było tak ciasno, że walczyli właściwie nos w nos; nie mieli nawet miejsca, żeby porządnie wycelować. Wyświetlacze i konsole rozpryskiwały się pod ostrzałem na setki ostrych odłamków, przeszywających ze świstem powietrze. Fett wdychał zapach spalonego plastoidu. Podczas każdej misji starał się wyczuć otaczającą go atmosferę, niezależnie od tego, czy miał aktywne filtry w hełmie, czy nie. Gdyby nie jego HUD, nic by nie widział w przesłaniającym wszystko gęstym dymie. Wskoczył na zniszczony panel, ale zanim zdołał zejść, płyta pękła pod jego ciężarem i, tracąc równowagę, zatoczył się prosto na jednego z żołnierzy. Szturmowiec nie zastanawiał się długo: przystawił lufę blastera do brzucha Fetta i wypalił.

Uderzenie raptownie się rozprzestrzeniającego rozgrzanego powietrza było niczym cios w splot słoneczny, *beskar* był jednak wart ceny swojego ciężaru. Fett runął bez namysłu na żołnierza, celując wibroostrzem w szczelinę między napierśnikiem a pachą. Kiedy poczuł, że ostrze dotknęło ciała, naparł mocniej. W tej samej chwili hełm szturmowca roztrzaskał się w rozbłysku oślepiającej bieli strzału z blastera. Nieszczęśnik zachwiał się i padł bezwładnie na pokład.

- *Ba 'buirl* - spytała zaniepokojona Mirta, próbując podźwignąć obalonego przez nagły wybuch Fetta. - Gdzie Jedi?

Jaina Solo jest wystarczająco twarda, żeby się o siebie zatroszczyć, przeszło Fettowi przez myśl. Jednak... jeśli da się zabić, naprawdę go wkurzy. Takiej opcji nie było w planie. Ledwie wstał, usłyszał jakiś rumor; obejrzał się w stronę źródła dźwięku i zobaczył Jainę. Zdyszana, wydostała się właśnie z komory wyglądającej na szyb wentylacyjny.

- Tahiri - wysapała. - Jest w sieci kanałów. Według schematów to droga ewakuacyjna, wyjście awaryjne...

- *Mand'alore*, jesteś zajęty? - krzyknął Carid. Chyba zapomniał, że w hełmie nie musi podnosić głosu. Zwykle wołał walczyć bez kubła. - Może sprzątniemy ten bałagan, co?

- Zaraz wam pomogę - poinformował go Fett. - Solo, zdołasz ją zgarnąć?

- Musimy jej odciąć drogę - zdecydowała Jaina.

- Pomogę ci. - Mirta poprawiła hełm. - Jestem na tyle drobna, że bez problemu przecisnę się nawet w zbroi.

- Na górze jest ambulans - wtrącił Fett. - Przypuszczam, że te szyby jakoś się ze sobą łączą...

Mirta zerknęła szybko w swój datapad.

- Ta-ak - mruknęła. - Chyba jest tam nieco miejsca, trochę mniej niż dwa na dwa metry, pod tamtym włazem... Wygląda na to, że Tahiri zamówiła taksówkę. Może powinniśmy użyć miotacza płomieni?

- Wolalabym nie - zaprotestowała Jaina, zerkając z niepokojem na sufit. Przymknęła oczy, nasłuchując, i odkasznęła lekko. *Fier-fek*, zaklął Fett w myśli. Następnym razem dopilnuję, żeby włożyła skafander ochronny. - Wiem, gdzie jest, ale nie wyczuwam nikogo na zewnątrz. - Zmarszczyła czoło.

- Potrafisz takie rzeczy? - zdziwiła się Mirta.

- Kiedy się mocno skupię... - Jaina odetchnęła głęboko i znów odkasznęła. - To może być droid medyczny, ale równie dobrze ktoś, kto potrafi ukryć swoją obecność w Mocy. Nie mam pojęcia, kto to może być.

- Ja nie potrzebuję Mocy, żeby wiedzieć, że to twój braciszek przylazł po swojego villipa - prychnęła Mirta.

Przysunęła sobie krzesło, żeby wspiać się do pobliskiego wylotu szybu wentylacyjnego. - I wierz mi, jeśli dorwę go pierwsza, twoje szkolenie pójdzie na marne.

- Powiedziałem wyraźnie, że zostawiamy tę łajzę Jainie! - Fett złapał Mirtę za kostkę, zanim zdążyła podciągnąć się do tunelu. W tej chwili myśli zaprzętały mu tylko nagły strach o wnuczkę. Jednak spróbował go od siebie odsunąć i się skoncentrować. - Lepiej nie daj się zabić - mruknął pod nosem. - Nie chcę, żeby twój prezent ślubny poszedł na marne.

Mirta wierzgnęła, uwalniając kostkę z jego uścisku.

- W razie czego na pewno da się go zwrócić - burknęła. Jaina rzuciła Fettowi zakłopotane spojrzenie i wzruszyła ramionami; kucnęła, szykując się do skoku. Nie minęła sekunda, a jej drobna postać zniknęła w szybie: płynnie i bezszelestnie. Sprytnie, pomyślał Fett. Odgłosy toczony tuż obok walki przycichły; zastąpiły je przytłumione uderzenia, wprawiające cały kadłub statku w drżenie, jakby pancierz był porządnie i regularnie bombardowany przez kogoś wyjątkowo upartego. Wszystko wskazywało na to, że blastero- odporne grodzie i włazy w maszynowni są też szturmowcoodporne.

Fett rozejrzał się wokół - pierwsze, co zobaczył, była to głowa Carida, wystająca z pobliskiego włazu.

- No i jak, szefie? - zarechotał Baltan. - Od czego masz plecak raketowy? A poważnie, *Mand'alore*, za chwilę sami się wszystkim zajmujemy, więc jeśli byś raczył łaskawie ruszyć swój *shebs*...

- Nie powinienem jej ze sobą brać. Ani Orade'a- mruknął Fett.

- Oj, nasz *Mand'alor* mięknie na starość?

- Chcę mieć po prostu kogoś, kto zatańczy na moim grobie - odburknął Fett. Carid był dobrym człowiekiem, ale podczas misji takich jak ta Fettowi brakowało Beviina. - Ilu tam mamy? - Zaczął sobie torować drogę przez zaśmiecające podłogę szczątki do pobliskiego dwuskrzydłowego włazu. Zgodnie z planem za nimi powinno być pomieszczenie centralne, a w nim, według wskazań jego radaru terahercowego, około dwunastu osób. Zdaniem Fetta podobny układ pomieszczeń na okręcie był bardzo głupim pomysłem, ale też jego metody walki zdecydowanie różniły się od tych stosowanych w imperialnej marynarce...

- Wygląda na to, że dwudziestu do trzydziestu moffów i ich sługusów - zameldował Vevut. - Jak dotąd naliczyłem czternastu martwych.

- Cóż, panowie raczej nie są z tych, co to brudzą sobie rączki na froncie. No, do roboty! Najwyższy czas wykurzyć resztę tych brzydali.

Vevut i Fett przykucnęli za osłoną wyrwanej z pokładu konsoli, gotowi ruszyć do akcji, jak tylko Carid wysadzi właz. Fett nie czuł bólu; wiedział, że jutro będzie się czuł parszywie, ale w tej chwili był odporny na zmęczenie, niesiony falą adrenaliny, bitewnej pasji i długoletniej praktyki. Jego ciało samo wiedziało, jak reagować, chociaż mózg wciąż wysyłał mu sygnały mówiące, że jest już za stary na podobne zabawy i powinien się raczej martwić o wnuczkę.

Miałeś gdzieś jej matkę przez tyle lat, a teraz nagle tak się troszczysz o dzieciaka? - zadał sobie w duchu pytanie.

Chociaż taka refleksja była niezbyt na miejscu, zważywszy na okoliczności, wiedział, że nie jest to nic niezwykłego. Kiedy miało się świadomość, że w każdej chwili można zginąć, do głowy przychodziły najróżniejsze, często absurdalne myśli. A za każdym razem, kiedy Fett wyciągał blaster, jakiś cichy głosik szeptał mu do ucha, że to może być ostatni raz - chociaż w gruncie rzeczy nigdy mu nie wierzył.

- Kryć się! - wrzasnęła Carid.

- Nie musisz się tak drzeć... - zdążył jęknąć Fett; zadzwoniło mu w uszach.

Łuuup!

Skrzydła włazu wgięły się do środka, odsłaniając wnętrze sąsiedniego pomieszczenia. Fett wyprysnął z kryjówki i przemknął obok Carida, ostrzeliwując się z blastera. Zanim wpadł do środka, grupa żołnierzy leżała już pokotem; nie obchodziło go, czy moffowie są uzbrojeni, czy nie - nie miał czasu tego sprawdzać; palec sam odruchowo naciskał spust.

Czekał, aż przejdzie fala najgorszego hałasu: huku wystrzałów, szczęku tłuczonych transpaplastowych kloszy, krzyków i jęków bólu.

0 Mandalorianach mawiano, że atakują w całkowitej ciszy, ale ten, kto tak twierdził, nie wiedział, co się dzieje w szczelnych wnętrzach ich hełmów. Carid cały czas sypał soczystymi wiązkami przekleństw. Co ciekawe, wydawało się, że nigdy nie powtarza dwa razy tego samego zestawu. Vevut bez przerwy mamrotał coś pod nosem. Co jakiś czas któryś krzyknął, kiedy trafił go zbłąkany strzał. Fett nie przypominał sobie jednak, żeby on sam wydawał podczas walki jakiegokolwiek świadome dźwięki - poza sporadycznymi, odruchowymi stęknieniami, kiedy uderzyła w niego fala wybuchu albo kiedy spadał.

- No, to by chyba było tyle - westchnął Carid. Z blasterem w pogotowiu sprawdzał, czy któryś z moffów i żołnierzy jeszcze żyje. Pięciu ludzi; może na statku byli jeszcze inni oficerowie, ale jeśli tak, to na pewno nie tutaj, w centrum cytadeli.

Fett spojrzął do góry.

- No tak - stwierdził. - Nie mogli być aż tak głupi.

Nad głowami mieli klapę włazu: całkiem sporą, niepodobną do wąskich szybów, którymi trudno się było przecisnąć. Obok klapy w sufit wmontowano panel kontrolny. Fett wcisnął lufą blastera jeden z przycisków i klapa opadła, a ze środka wysunęła się drabinka.

- A więc ktoś jednak pomyślał... - Ukierunkował swój radar, przechylając nieco głowę; według obrazu na wyświetlaczu przeziemnym w hełmie szyb szedł przez jakiś czas pionowo w górę, a potem skręcał pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Jeśli wierzyć planom, szyb prowadził do większego korytarza, prosto pod właz awaryjny. Sądząc po dźwiękach dobiegających z tunelu, albo metalowe ściany wyginały się od gorąca, albo ktoś był w środku

I wchodził właśnie w pośpiechu po drabince.

- Dlaczego ludzie zawsze przed nami uciekają? - spytał z rozżaleniem Carid.

- Może sami ich o to zapytajmy - zaproponował Fett.

Imperialny niszczyciel gwiazdny „Krasnopletwin”: droga ewakuacyjna Beta-Jeden

Gwiazdny niszczyciel był poprzecinany siatką szybów, które kojarzyły się Jainie z zatokami w czaszce.

Spocona, wynurzyła się właśnie z ostatniej prostej - a przynajmniej taką miała nadzieję. Westchnęła z ulgą zadowolona, że żmudna wędrówka ciasnymi labiryntami dobiegła końca. Przemknęła skulona korytarzem, rozglądając się czujnie. Przejście nie miało żadnych odgałęzień, nie wyczuwała też ukrytych włazów.

Była pewna, że jeśli jest tu Jacen, już wie o jej obecności, nawet jeśli nie potrafi jej dokładnie namierzyć.

Mirta... - przemknęło jej przez myśl. Gdzie jest Mirta?

Ben powiedział jej kiedyś, że korzysta z wewnętrznego komunikatora w hełmie SGS, bo Moc Mocą ale nie zawsze może jej użyć do wymiany informacji. Jaina westchnęła w duchu. Teraz taki hełm byłby jak znalazł - mogłaby się dzięki niemu skontaktować z Mirtą. Na szczęście szybko się okazało, że nie ma takiej potrzeby: dziewczyna przykucnęła kawałek za nią z blasterem w pogotowiu. Jaina też przypadła do ziemi.

Z sygnałów, które dawała Mirta, wynikało, że ich cel jest jakieś trzy albo cztery segmenty dalej. Litera T nakreślona w powietrzu mogła oznaczać tylko jedno: Tahiri.

- Jest w środku - szepnęła ledwo słyszalnie Jaina. - Czuję ją...

Wyglądało na to, że plany statku nie są kompletne. Nie wypuszczając blastera z uchwytu prawej dłoni, Mirta podniosła lewe przedramię, żeby Jaina mogła odczytać informacje na wbudowanym w karwasz wyświetlaczu. Nie mogło być mowy o pomyłce: plan nie uwzględniał włazu w korytarzu, w którym były. Przemknęły obok bezszelestnie i dotarły do zakrętu.

Zza rogu dobiegało rytmiczne, uporczywe skrobanie - zupełnie jakby ktoś odkręcał przykrywą z metalowego pojemnika. Dziewczyny porozumiały się bez słów: Mirta przeniosła wysuniętą rękę w bok i wskazała na Jainę, a

potem skierowała palec na siebie i machnęła przed siebie. Oznaczało to, że będzie osłaniać Jainę, kiedy ta skreśli za róg. Hm, chyba powoli się przyzwyczajam, pomyślała przelotnie Jedi. Mirta zaczęła bezgłośnie odliczać: raz... dwa... teraz!

Jaina dała susa i skreśliła. Chociaż zdawała sobie sprawę, że znajduje się w strefie ognia Mandalorianki, nie bała się: była spokojna i pewna siebie... W przeciwieństwie do ubranej w jaskrawo- żółty skafander próżniowy Tahiri, która na drugim końcu korytarza mocowała się właśnie z jakimś metalowym elementem nad głową uciepiona drabinki. Jaina bez trudu odbiła mieczem serię strzałów z blastera, które tamta posłała w jej stronę. Od razu rozprysły się na napierśniku Mirty.

Jaina nigdy wcześniej nie zastanawiała się, co się dzieje z rykoszetami, ale teraz już wiedziała. Mirta zaklęła głośno i odpowiedziała ogniem, jednak Tahiri bez trudu odbiła jej strzały mieczem. To wyraźnie rozwścieczyło Mandaloriankę. Jaina miała wrażenie, że jej przyjaciółka dosłownie wpadła w szal. Puściła się pędem, zgięta w pół, prosto na Tahiri, krzycząc na całe gardło coś, co brzmiało jak „*Gar shab 'ika!*”

Przeciętny człowiek - nawet Mandalorianin - nie mógł wygrać z szybkością reakcji Jedi... ale Mircie jakimś cudem się to udało.

Wpadła z rozpędu na Tahiri, powalając ją ze sobą na ziemię. Prawdopodobnie udało się jej to zrobić tylko dlatego, że Veilę dosłownie zamurowało na widok pędzącej prosto na nią zakutej w zbroję i kłnącej siarczyście wcielonej furii, w dodatku zupełnie nic sobie nierobiącej z tego, że wróg może być uzbrojony i niebezpieczny. A zamurowało ją na ułamek sekundy za długo. Kiedy się otrząsnęła, desperacko smagnęła niespodziewanego przeciwnika mieczem. Jaina wiedziała, że nigdy nie zapomni wyrazu przesłoniętej przejrzystym panelem twarzy Tahiri na widok ostrza ześlizgującego się po zbroi Mirty - nie zrobiło jej najmniejszej krzywdy. Dla każdego Jedi taka chwila musiała być najgorszym koszmarem. Pierwszą myślą delikwenta pewnie było: „Mój miecz jest zepsuty!”

Jaina przyskoczyła do Mirty w ułamku sekundy, który wydawał się jej co najmniej kilkoma minutami. Działała jak na automatycznym sterowaniu, w dziwny sposób przestawiając się na tryb ślepej furii, którego próbował nauczyć ją Beviin: nieskończenie skupiona, na wystarczająco długą chwilę zapomniawszy o wszystkich zagrożeniach związanych z Ciemną Stroną.

To nie była prawdziwa wściekłość - po prostu jej ciało przejęło kontrolę i przestało słuchać mózgu. A przez cały ten czas jakiś głos w głowie powtarzał jej uparcie: „Nie możesz dać Mircie zginąć! Niedługo wychodzi za mąż, straciła matkę, odnalazła zaginioną babcię...”. O dziwo, taki tok myślenia wydawał jej się w tej chwili absolutnie prawidłowy i logiczny. Zaatakowała Tahiri z zaciekłością szaleńca, ledwie dostrzegając, że Mirta wykorzystała ten moment, żeby się odsunąć na bok. Jak przez mgłę usłyszała charakterystyczne szczęknięcie wibroostrza wysuwanego z karwasza. Mandalorianka zaatakowała znowu, nurkując pod zasłoną tkaną przez miecz Tahiri;

światliste ostrze drasnęło ją kilka razy, ześlizgując się po *beskaro- wych* płytach. Jainie wydawało się, że ogląda wszystko w zwolnionym tempie: desperackie ciosy Mirty, z których jeden dosięgnął nogi Tahiri, ostrze zagłębiające się w jej udo i krew, przesiąkającą żółty skafander jaskrawą czerwienią. Widocznie Mirta trafiła w tętnicę. Jej blaster upadł na podłogę i prześliznął się kawałek.

Nagle z głębi korytarza dobiegło echo strzałów i tupot nóg. W chwili kiedy Tahiri upadła, trzymając się kurczowo za nogę, Jaina obejrzała się przez ramię i zobaczyła kilku mężczyzn w burych mundurach i czapkach, biegnących prosto na nie. Jeden z nich odwrócił się za siebie, żeby strzelić, i wtedy dosięgnął go promień energii z blastera. Reszta otworzyła ogień do Jainy i Mirty; najwyraźniej chcieli dotrzeć do miejsca, którym wcześniej próbowała się wydostać ze statku Tahiri... W tej chwili kwestia pojmania Veili zeszała na dalszy plan, bo Jaina musiała się zająć odbijaniem lecących na nie strzałów. Tuż za moffami nadbiegali Fett, Carid i Vevut. Jaina zdała się na instynkt, pozwalając, żeby ruchami jej miecza kierowała intuicja.

Na plecach czuła chłodny podmuch, gdzieś z tyłu dolatywały ciche zgrzyty. Widocznie Tahiri udało się usunąć przeszkodę blokującą wejście do włazu. Kiedy Jaina obejrzała się przez ramię, zobaczyła, że dziewczyna gramoli się po drabince i znika w otworze na suficie. Wszystko wokół było czerwone i mokre od krwi. Mirta kłęczała z j edną ręką zacisniętą na gardle...

- Twój *shabla* braciszek - zdołała wychrypieć. - Jest na górze...

Kątem oka Jaina zauważyła, że moffowie leżą bez życia na pokładzie. I wtedy to wyczuła: Jacen dusił Mirtę Mocą, żeby umożliwić Tahiri ucieczkę do rękawa dokującego, przytwierdzonego do drugiego końca włazu. Zebrała się w sobie i z całej siły uderzyła w niewidzialny uchwyt brata na gardle przyjaciółki. Widziała go

oczami duszy jako czarny, gruby łańcuch. Wyobraziła sobie, jak jego ogniwa pękają. Ledwie zwracała uwagę na Carida i Vevuta, pędem docierających do drabinki i wspinających się po szczeblach. Fett zatrzymał się obok nich i chwycił Mirtę za ramię. Chyba myślał, że krew na pokładzie to jego wnuczki.

- Nic mi nie jest - stęknęła Mandalorianka.

- Jeśli cię zranił, ten jeden raz złamię własne zasady i dopilnuję, żeby ginął długo i w mękach - warknął Fett.

- Nie martw się. - Mirta potarła obolały kark. - Mam swoją własną Jedi...

Właz nad ich głowami zamknął się nagle z głuchym trzaskiem. Fett wskoczył bez namysłu na drabinkę i załomotał pięścią w pokrywę.

- Otwórzcie! - Uderzył jeszcze kilka razy. Widocznie nad nimi była śluza powietrzna, bo nic nie słyszeli. - Carid? - powtórzył Fett. - Otwórzcie właz. W tej chwili! Zostaw tę łajzę, ty też, Vevut.

Ale odpowiedź nie nadeszła. Zamiast niej Jaina poczuła, jak pokład drży, i usłyszała dziwne, metaliczne skrobanie.

Ambulans: rękaw dokujący do dolnego włazu „Krasnoplewina”

- Tahiri! - Caedus dostrzegł jej głowę w ciemności tunelu cumowniczego przez transpastalowy wizjer w zewnętrznym włazie stateczku. Rękaw miał jakieś pięć-sześć metrów; był wystarczająco długi, żeby sięgnąć przez wielowarstwowy pancerz statku do śluzy powietrznej w głębi włazu. Otworzył ręcznie klapę. - Tahiri, jeszcze trochę...

- Utknęłam - jęknęła słabo Veila.

- Jeszcze tylko kilka metrów. - Jaina... czuł ją. Za blisko. - No, dalej! - przynaglił ją.

- Jj... jestem ranna - Tahiri była bliska łez. - Próbuję zatamować krwawienie.

- Skąd?

- Uu... udo... Nie mogę powstrzymać krwotoku... mój skafander. ...

Musiała dostać w tętnicę udową, domyślił się Caedus. Za kilka minut wykrwawi się na śmierć. Będzie musiał ją podnieść Mocą...

- Znamy małą sztuczkę, której możemy cię nauczyć, synku - dobiegł zza pleców Tahiri czyjś głos. - Jak oddychać próżnią. Potrafimy to, wiesz? Niezli z nas twardziele! A robi się to tak...

W rękawie, za Tahiri, byli Mandalorianie.

Caedus usłyszał stęknienie uruchamianego urządzenia i nagle powietrze w tunelu wypełnił swąd piłowanego metalu. Niemal natychmiast poczuł na twarzy chłodny powiew i zobaczył wirujące, wciągane w głąb tunelu skrawki flimsi...

Przecinali rękaw!

- Zaczepiłam o coś... skafandrem... - Caedus widział już Tahiri wyraźnie. Ścisnęła przesiąkniętą krwią nogawkę, jakby chciała zatamować krwotok albo zebrać brzegi rozdarcia. - Zaczepiłam

o coś ostrego...

Nie krzyczała, ale Caedus widział w jej oczach bezgraniczne przerażenie. Słyszał też, jak pociąga nosem i przetyka głośno ślinę, kiedy próbowała uwolnić zakleszczony skafander. Materiał ustępował niechętnie z powolnym trzaskiem.

Mogę zatamować krwawienie... - pomyślał.

Mogę naprawić uszkodzony materiał...

Mogę ją uwolnić...

Mógł uderzyć Mocą w Mandalorian albo złapać Tahiri i ją wyciągnąć, albo unieruchomić narzędzie przecinające rękaw, ale tak czy inaczej, uszkodziłby tunel.

Nie wszystko naraz, powtórzył sobie w myśli. Wciąż był wyczerpany po długim utrzymywaniu więzi bitewnej i wyłączeniu pól Fondora.

Nie jestem wszechmogący, przyznał się sam przed sobą.

Mógł wrócić do ambulansu... i zostawić tu Tahiri.

Nie. Nie zrobi tego. Była mu potrzebna.

- Ani mi się waż umierać - syknął ze zniecierpliwieniem i ruszył w głąb tunelu, ostrożnie wymacując uchwyty na ścianach. - Kiedy do ciebie zejdziesz, złap mnie i trzymaj się mocno.

Jak tylko do niej dotrze, skoczy, wspomagając się Mocą i uwolni pierścień dokujący. Plan był dobry. Musi się udać.

W tej samej chwili, gdy o tym pomyślał, ambulans zadrżał dziwnie, rękaw zaskrzypiał i napiął się niebezpiecznie, a klapa wjazdu zatrzasnęła się automatycznie.

Świetnie, pomyślał ze złością. Super. Tkwiał teraz w rękawie cumowniczym, z którego uciekało powietrze, z umierającą kobietą

I żądnymi krwi Mandalorianami w samobójczej krucjacie na karku.

- Mają... próżnioodporne kombinezony - stęknęła Tahiri. Ca- edusowi nigdy nie przyszło do głowy zgłębiać tajniki funkcjonowania mandaloriańskich zbroi i kombinezonów, ale teraz wydało mu się to oczywiste: ich skafandry były podobne do wyposażenia wojskowego. Zniszczone i - wydawałoby się - staroświeckie pancerze kryły najświeższe technologiczne rozwiązania plus mnóstwo przydatnych systemów i narzędzi.

Jeżeli z całej siły naprę na wąż, zdołam go znów otworzyć... - pomyślał. Powietrze uciekało bardzo szybko i Caedus zaczynał się niepokoić. Mandalorianie przecięli wytrzymały materiał jakąś piłą i chociaż szczelina nie była pewnie zbyt duża, to wystarczyła, żeby skutecznie pozbawić rękaw atmosfery. Zszedł jeszcze kawałek w głąb tunelu, dopóki nie poczuł zaciskających się na jego kostce palców. Z początku był przekonany, że to Tahiri, ale rękę okrywała ciężka rękawica, a uścisk... bolał.

Czuł, jak silne palce miażdżą mu kostkę; po chwili druga ręka objęła go mocno z pasie.

Może to jednak Tahiri, pomyślał z nadzieją, ale kiedy palce na jego kostce wykręciły mu boleśnie nogę, stracił resztki złudzeń: to nie mogła być Tahiri.

- Witaj, Jacenie - odezwał się jakiś głos. - Mam wrażenie, jakbyśmy znali się już od dawna, ty parszywy *hut'uunie*.

Nawet Lordowie Sithów nie mogli sobie poradzić z tyłoma rzeczami naraz. Caedus musiał zdecydować, co robić - i to szybko.

ROZDZIAŁ 18

Kim jest hut'uun? To tchórz. Tchórz w sensie jizycznym, tchórz w sensie moralnym - każda kreatura niemająca dość odwagi, żeby podjąć wyzwanie albo dokonać właściwego wyboru. Nie mamy w naszym języku określenia na bohatera. Być gotowym umrzeć za własną rodzinę czy przyjaciół, czy cokolwiek, co ma dla ciebie znaczenie, to podstawowy wymóg u Mando, więc nie ma potrzeby wymyślania dla takiej postawy specjalnego słowa. Jednak tchórz... zasługuje na osobną nazwę.

Baltan Carid, wyjaśniający nad *buy 'ce gal* - dużym ale - niuanse *Mando 'a* i mandaloriańskiej kultury Jainie Solo

Rękaw cumowniczy, przejście między ambulansem a imperialnym gwiazdowym niszczycielem „Krasnopletwin”

Nie mogę jej zostawić... - kołatało się Caedusowi po głowie. ...i nie mogę tutaj zginąć...

Patrzył prosto w oczy - czy raczej w wizjer - Mandaloriani- nowi trzymającemu w żelaznym uścisku jego kostkę. Szczelina

w kształcie litery T była niepokojąco bezosobowa, jakby za nią w poznaczonym szramami i wgnieceniami fioletowym hełmie, była tylko pustka.

Wszystko trwało sekundy, które wydawały mu się jednak wiecznością. Czuł dojmująco uścisk na kostce i lufę blastera, wbijającą mu się pod zębra.

Mandalorianin jednak nie strzelił.

Caedus potrzebował tylko ułamka sekundy, chwili wahania przeciwnika, żeby się uwolnić. Właśnie dzięki tej sztuczce zyskał czas w starciu z Marą - to była nie tyle iluzja, co przemówienie do instynktu danej osoby: pokazanie jej twarzy kogoś drogiego. Zazwyczaj skutecznie rozpraszało to uwagę, nawet jeśli ta osoba była maksymalnie skupiona na walce z wrogiem.

Nie miał pojęcia, co mogłoby zatrzymać na chwilę Mandaloria- nina, więc postawił w ciemno na Ailyn Vel.

- Pudło, *darjetii* - warknął Mandalorianin i przesunął lufę blastera na jego kolano. Caedus czuł przywierającą do niego płataninę kończyn: Tahiri... - Niech cię szlag, Fett - mruknął jego oprawca. - Zawsze psujesz najlepszą zabawę. Wybacz, ale nie mogę się powstrzymać.. . - Nacisnął spust i natychmiast cofnął się w głąb tunelu. Ból przesywający rzepkę Caedusa odszedł nagle gdzieś daleko. W tej chwili czuł go nie Caedus „tu i teraz”, ale jakiś inny Caedus, przebywający daleko stąd... Resztką sił pchnął Mocą włącz - nie mógł się skupić wystarczająco mocno, żeby go otworzyć, nie miał siły na tak skomplikowane operacje, więc po prostu go roztrzaskał. W chwili, kiedy przeszkoda uniemożliwiająca mu dotarcie do ambulansu znikła, odepchnął się mocno zdrową nogą i skoczył przez pierścień dokujący do środka, z Tahiri kurczowo uczeponajego pleców.

Kiedy się ocknął, leżał rozciągnięty na pokładzie ambulansu, ze zwiniętą w kłębek Tahiri u boku. Z całej siły rąbnął w tablicę kontrolną wewnętrznego wjazdu, zamykając śluzę. Musiał się stąd zabierać - i to szybko. Cokolwiek uderzyło w statek, na pewno nie odpuści, jednak teraz musiał się zająć swoją uczennicą. Skupił się bez reszty na zatrzymaniu krwotoku i rzucił do bagażu w poszukiwaniu zacisków i opatrunków.

Tahiri była nieprzytomna. Caedus cały czas spodziewał się podświadomie, że zaraz ktoś zacznie do nich strzelać i cały jego wysiłek pójdzie na marne, ale nie. O dziwo, ambulans wciąż był w jednym kawałku i nikt nie próbował ich atakować. Nie wiedział, czemu zawdzięcza te kilka dodatkowych minut (tym razem to naprawdę były minuty - był tego pewien - nie zaburzenie percepcji czasu wywołane adrenaliną i paniką), ale ciągle byli cali i - powiedzmy - zdrowi, a on mógł zająć się Tahiri.

Udało mu się założyć opatrunek i zatamować krwotok.

lżył.

To naprawdę musiało być przeznaczenie. Nikt nie mógł mieć tyle szczęścia - nie bez wyraźnej przyczyny.

Podszedł chwiejnym krokiem do konsoli i wcisnął autopilota, byle dalej uciec od „Krasnopletwina”.

- Już dobrze, Tahiri - wymamrotał, próbując się uspokoić i wziąć w garść. - Oboje zjemy i wkrótce wrócimy do gry. To nasze przeznaczenie.

Imperialny niszczyciel gwiazdowy „Krasnopletwin”

- Zostaw go! - warknął Fett. - Orade, powiedziałem, że masz go zostawić! Czy wyraziłem się nie dość jasno, kiedy mówiłem, że on jest Jainy?

Gdzieś z daleka nadeszła odpowiedź Orade'a i dopiero po chwili do Jainy dotarło, że słowa napływają z hełmu

Mirty, który leżał na podłodze:

- Tak, *Mand'alore*... Ale nie miej do mnie żalu...

- Spróbuję schwytać Jacena - powiedziała zdecydowanym głosem Jaina. - Jest kontuzjowany, wyczerpany i ma na głowie ranę uczennicę...

- Czym niby? - parsknął Fett. - *Bes 'uliikiem!* Jasne. A co zrobisz, jak go dorwiesz? Nie jesteś na to gotowa. Musisz się od nas jeszcze wiele nauczyć.

Fett wciąż trzymał Mirtę za ramię, jakby miał zamiar nią potrząsnąć, ale zamiast tego dotknął delikatnie jej włosów. Gest był dziwnie nieporadny i widać było, że Fett czuje się nieswojo; niezbyt dobrze szło mu okazywanie czułości. Jainie przyszło do głowy, że pewnie nigdy nie głaskał swojej córki po głowie... Myśl była dziwnie rozczulająca. Tak jak można było się spodziewać, Mirta też nie czuła się zbyt komfortowo. Kiedy potrząsnęła lekko głową Fett cofnął rękę i zatknął swoim zwyczajem kciuk za pas. Krótka chwila, w której próbowali wcielić się w rolę kochających dziadka i wnuczki, minęła bezpowrotnie.

- Nic mi nie jest, *Ba 'buir* - bąknęła Mirta. - Wygląda na to, że tworzymy z Jainą zgraną parę.

- Jesteś szalona. - Jaina pokręciła głową na wправо ze strachem, na wправо z podziwem. - Tahiri mogła cię zabić!

- Najpierw musiałaby sobie poradzić z *beskarem* - parsknęła Mirta. - Zresztą i tak ją załatwiłaś.

- Nie, to ty ją załatwiłaś - poprawiła ją Jaina. - Trafiałaś ją w tętnicę.

- Hm, cóż... to za zabijanie staruszków.

Jaina próbowała sobie wyobrazić, jak Mirta mogła się czuć, przebywając tak blisko osoby, która zabiła jej matkę - i nie móc się zemścić. Teraz, po walce, targały nią sprzeczne emocje. Adrenalina opadła, a w jej miejsce pojawiły się setki pytań typu „co by było, gdyby...?” Miała dziwną ochotę roześmiać się na cały głos, a jednocześnie wciąż była przerażona.

- Wracajmy na dół - przywołał ją do porządku Fett. - Na wypadek gdybyście zapomnieli, wciąż mamy paru żołnierzy do spacyfikowania... - Urwał i przechylił głowę na bok, jakby nasłuchiwał na wewnętrznym kanale. - W porządku. Talgal mówi, że już się tym zajęła. Byłoby miło z ich strony, gdyby ktoś raczył mnie uprzedzić, że wybierają się na pokład hangarowy...

Kłapa wjazdu nad ich głowami nagle odskoczyła i z otworu wytoczyli się Carid i Vevut, opadając na podłogę przy głośnym akompaniamencie łomotu podkutych butów. Carid zdjął hełm i potrząsnął głowając zwierzęce otrzepujące się z wody.

- Podobało mi się to! - Wyszczerył zęby w szerokim uśmiechu. - Bez urazy, *jetii*, ale strzelenie twojemu bratu w kolano naprawdę poprawiło mi humor. Gdyby z naszego *Mand'alora* nie była taka gadzina i gdyby mnie nie powstrzymał, z miłą chęcią wpakowałbym mu seryjkę w jego...

Vevut poklepał Mirtę z uznaniem po plecach.

- *Kandosii!* Mieć taką córkę w rodzinie to prawdziwy powód do dumy! Czy Orade wie, że tak świetnie radzisz sobie z wibroostrzem?

Mirta odwzajemniła uśmiech i popchnęła go lekko w mandaloriańskim odpowiedniku czułości.

- Umiem gotować, kopać okopy i dźgać wibroostrzem *chaka-arów*. - Parsknęła perlistym śmiechem. Wydawała się teraz kimś zupełnie innym niż jeszcze przed chwilą. Widać było, że w obecności przyszłego teścia czuje się zdecydowanie swobodniej niż przy dziadku. Jaina zastanawiała się, czy Fettowi nie jest z tego powodu przykro, ale *Mand'alor* tylko pokręcił głową i zawrócił korytarzem, którym tu dotarli. Garbił się lekko - sufit był tu dosyć nisko. Reszta spojrzała po sobie i ruszyła za nim. Jakimś cudem droga powrotna siecią szybów wydawała się trudniejsza, niż kiedy tu wędrowali - teraz, kiedy było już po wszystkim. Idąc teraz z cytadeli do *Tra'ka-da*, po drodze spotykali licznych członków załogi i żołnierzy z doborowych oddziałów szturmowych w białych pancerzach. Część z nich spędzono pod ścianą głównego korytarza, gdzie oficerowie trzymali ich na muszce. Inni, z hełmami pod pachami, rozmawiali z członkami załogi, jakby nigdy nic. Najwyraźniej nie wszyscy zdecydowali się oddać życie za moffów. Może niektórzy skrycie żalowali śmierci Pellaeona, przeszło Jainie

przez myśl.

- Co za bałagan - mruknął Fett, przyglądając się zamieszaniu panującemu na „Krasnopłetwinie”. Ściany statku znaczyły ślady strzałów; farba na ścianach łuszczyła się tu i ówdzie w miejscach, gdzie przysmażyły ją blastery. Włazy były powgniatane, niektóre wręcz powyrywane z ościeżnic. - Całkiem nowy statek... - westchnął. - Co za szkoda.

- Mogło być gorzej - stwierdził Carid. - Zważywszy na okoliczności, i tak obeszlśmy się z nim wyjątkowo łagodnie. Jeśli Daala ma zamiar narzekać na zniszczone ściany, zawsze może je przemalować...

- Podejrzewam, że ma w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie - stwierdził Fett. - Zamierzam poszukać ciała Pellaeona. Nie jesteśmy w końcu dzikusami.

Jaina ruszyła za nim, trzymając się w bezpiecznej odległości. Wiedziała, że i tak ją widzi - kamera w jego hełmie dawała mu widok na okrągło; po prostu nie chciała się narzucać. Kiedy wszedł do dziennej kabiny admirała, zaczęła na zewnątrz, ale nadstawiła uszu: Fett z kimś rozmawiał. Na całym statku z powrotem włączono normalne oświetlenie; z maszynowni dobiegł nikły szum silników, kiedy znów aktywowano zasilanie.

- To nieuczciwy interes, Reige - mówił Fett. - Czy Daala się zapowiadała z wizytą?

- Tak - potwierdził mężczyzna nazwany Reigem. - Musicie się dogadać między sobą. - Dziwnie drżał mu głos. - Cóż, załoga „Krasnopłetwina” podporządkuje się jej rozkazom z czystego szacunku dla woli admirała. Wyrównamy jego rachunki.

Jaina zrobiła krok do przodu i zajrzała do kabiny. Fett rozmawiał z mężczyzną na oko koło trzydziestki, w mundurze marynarki. Odznaka na piersi wskazywała, że jest pułkownikiem. Obok, na kanapie, leżało przykryte kocem ciało. Pierwszą rzeczą która rzuciła się Jainie w oczy były nienagannie wyglansowane buty, wystające spod materiału. Biedny, stary, dobry Pellaeon, pomyślała z nagłym rozczuleniem. Nie był pierwszą osobą którą znała dobrze, straciła z nią kontakt, a potem spotykała w nieoczekiwanych okolicznościach jako ofiarę wojny, ale straszną rzeczą wydawało jej się osiągnąć taki wiek i zostać zamordowanym z zimną krwią. Nikt nie powinien umierać w taki sposób: zdradzony i samotny...

Reige skinął jej uprzejmie głową ale zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, Fett wyszedł z kabiny i powoli ruszył korytarzem w stronę, z której przyszli. Dogoniła go w kilku krokach.

- Po tych wszystkich latach - westchnęła. - To straszne.

- To wojna - poprawił ją beznamiętnie Fett.

- Chodzi mi o to, że kiedy dobijasz do dziewięćdziesiątki, masz uzasadnione prawo oczekiwać, że umrzesz spokojnie w domu - wyjaśniła.

Fett parsknął z lekkim rozbawieniem.

- Kto jak kto, ale jestem pewien, że Pellaeon nie miał takich marzeń. Umarł dobrą śmiercią. Ludzie tacy jak on nie chcą odchodzić po cichu i w spokoju.

Jaina zastanawiała się, czy sam Fett też nie chciałby odejść w taki sposób. Szczerze powiedziawszy, nie wyobrażała go sobie dzieciinniałego, siedzącego na ławeczce w Keldabe i wygrzewającego stare gnaty na słońcu.

- Mirta świetnie sobie radzi podczas walki - zmieniła temat. Po cholere staram się być towarzyska? - przeszło jej przez myśl. - Mam nadzieję, że jesteś z niej dumny...

Fett wzruszył ramionami, nie zwalniając kroku.

- Jest wojowniczką. Wiem, że umie walczyć.

- Sporo się dziś nauczyłam - spróbowała znowu go zagadnąć. - Udało mi się nawet osiągnąć stan Beviina! Wiesz, czerwona mgła, obłęd, amok, furia...

- Jestem pewien, że byłby zachwycony.

- Nie niepokoi cię, że pozwalacie mi się tyle od was nauczyć? spytała. - Wiem teraz bardzo dużo o waszych sposobach walki...

- A czego takiego właściwie się nauczyłaś, Solo? - Fett zwinął podręczną linkę: całe jej metry zniknęły w karwaszu i Jaina z niedowierzaniem pokręciła głową. Jakim cudem taka ilość sznura mieściła się w tak małym elemencie zbroi? Przypominało to jakąś magiczną sztuczkę. - Poznałaś naszą broń? - podjął Fett, kiedy nie odpowiedziała. - Wszystko, od *Bes 'ulike*, po nasze dłonie, tak? Technologia? Wciąż korzystamy z rozwiązań znanych od tysiącleci. Nasze tajne bazy? Jesteśmy wszędzie. Ile nas jest? Sami nie wiemy - mówił. - A może chlubisz się tym, że wiesz, jak zabić naszych przywódców? W istocie wcale ich nie potrzebujemy. Gdyby jutro mnie zastrzelili, nasi ludzie się przegrupują i świetnie poradzą sobie beze mnie. Jedynym sekretem, jaki mamy, jest sposób, w jaki nasi metalurdzy kują *beskar*. A i tak nie jesteśmy od niego specjalnie zależni.

Jaina wzruszyła ramionami.

- Kiedy przedstawiasz wszystko w takim świetle, wychodzi na zero.

- Każdy widzi, w jaki sposób wygrywamy, ale naśladowanie tego... to zupełnie inna sprawa.

- Hm, tak naprawdę chciałam powiedzieć „dziękuję” - mruknęła Jaina.

- Proszę uprzejmie, Solo - powiedział obojętnie Fett. - A tak przy okazji, wiedziałaś, że twój brat podczas walki potrafi zmieniać wygląd, wcielając się w kogoś innego?

- Nie - westchnęła Jaina. Faktycznie nie miała o tym pojęcia, ale wiedziała, że Jacen lubi sztuczki z iluzją więc nie była specjalnie zaskoczona. - Będę o tym pamiętać. Jeszcze raz dzięki, Fett.

Jeżeli będzie tak szedł i szedł, i szedł, w końcu skończy mu się korytarz, pomyślała z przekąsem. Domyślała się, że chce w spokoju przemyśleć sobie parę spraw.

Zostawił Jacena... dla mnie, przypomniała sobie - i ta myśl nie dała jej już spokoju do końca dnia.

Rufowa kwatera techników, były imperialny gwiazdny niszczyciel „Krasnopletwin”

Daala przechadzała się wzdłuż rzędu ciał, zupełnie jakby przeprowadzała na paradzie inspekcję żołnierzy, którzy dla jej kaprysu położyli się wszyscy na plecach.

Kilka razy zatrzymywała się, przenosiła ciężar ciała na jedną obutą wysoki, wyglansowany but nogę, wysuwając z grąką drugą dla zachowania równowagi, i pochylała się lekko nad delikwentem, żeby odczytać z opaski nazwisko. Dni chwały Quille'a dobiegły końca. Jeden z moffów został zaszczycony bliższymi oględzinami i badawczym szturchnięciem czubkiem buta pani admirał.

- Akurat tego szowinistycznego pasożyta chciałam wykończyć osobiście - mruknęła Daala. - Za Liegeusa. Fett, muszę powiedzieć, że jestem rozczarowana.

- *Shab*, zawsze zapominamy sprawdzić dokumenty, kiedy otwierają do nas ogień. - Carid zdjął hełm i otarł czoło wierzchem rękawicy. - Obiecujemy usprawnić nasze procedury kontroli jakości, proszę pani. Mogę go dźwignąć do pionu, a pani wystrzeli sobie w niego seryjkę, co pani na to?

Daala nie odpowiedziała; nie spuściła nawet na chwilę wzroku z moffów, ale cofnęła się o krok i - nadal nie patrząc w stronę Cari- da - poklepała od niechcienia hełm, który trzymał pod pachą.

Fett doskonale ją rozumiał, nawet jeśli jej komentarz miał formę żartu.

- Proponuję dziesięcioprocentową zniżkę za zabicie tego buha- cza co trzeba, ale w nieodpowiednim czasie - powiedział.

- Prawdziwy z ciebie dżentelmen, Fett - rzuciła uprzejmie Daala. - Chodźmy, niech się nimi zajmą odpowiednie służby. Musimy zadbać o przywrócenie temu statkowi nienagannej kondycji, żeby uczcić pamięć biednego Gila.

„Krasnopletwin” był teraz jej statkiem, kolejną zabawką odebraną wiecznie klóącym się chłopcom, którzy ostatnio nie pozwolili jej się z nimi bawić. Odmaszerowała korytarzem z pewnością siebie posiadaczki statku, ale nie zaszła do kabiny, w której zamordowano Pellaeona. Przespacerowała się tylko po okręcie i zjechała kilka pokładów niżej, do mesy, gdzie grupki ubranych w szare mundury oficerów siedziały wokół stolików i

prowadziły rozmowy ściszym tonem. Wszyscy co do jednego byli mężczyznami, co na pewno musiało Daalę nieco rozdrażnić. Wyglądali, jakby dopiero co sobie uświadomili, jak to jest być na wygnaniu z dala od domu. Na widok pani admirał wszyscy poderwali się jak na komendę. Trzeba jej było to przyznać: bez najmniejszego wysiłku uruchamiała wszystkie odpowiednie trybiki, stawiając oficerów na baczność.

- Dziękuję, panowie. - Skinęła im lekko głową i dała gestem znak, żeby odpuścili sobie protokół, a potem usiadła w jednym z obitych kosztowną tkaniną foteli w osobnym boksie. Wszystko wokół znaczyły ślady trafień z blasterów. - A więc tak wygląda ta nowa polityka Sithów, Fett? - spytała. - Zastrzelenie mężczyzny w wieku Gila, po wszystkich tych latach spędzonych w służbie galaktyce? Jak myślisz, czy tym razem Jedi zdołają się ich pozbyć?

Fett pomyślał o Jainie Solo i o dylemacie, z którym musiała się zmierzyć: wytrzebiecie Sithów było możliwe przy zastosowaniu takiego samego podejścia, jak oni - przynajmniej chwilowo. Cóż, to nie było nic nowego; osoby wysoce moralne często miały problem ze względami praktycznymi.

- Nawet jeśli im się to uda, to znowu któregoś dnia wrócą - westchnął. - To nieuniknione; wystarczy zmiana nastawienia.

- Jak długo istnieją Jedi, tak długo będą istnieć Sithowie - zauważyła Daala. - Obecność jednych wynika z obecności drugich.

Fett sięgnął pamięcią do kart historii - do wydarzeń znanych tylko Mandalorianom.

- Racja - przyznał. - Z czasem robi się to nieco męczące.

- Daj spokój, Fett - parsknęła Daala. - Przecież za Vadera całkiem nieźle ci się wiodło.

- Sithowie wynajmują Mandalorian od tysięcy. - Wzruszył ramionami. - Zdarzyło nam się też z nimi walczyć i zgadnij, kto przegrał... To jak awantury wewnątrz sekty. Każdemu się przy okazji obrywa. Zrobiłem, co mogłem, żeby temu zaradzić, ale oni ciągle wracają jak zły kredyt.

- To samo mówią o *Mando*.

Daala studiowała uważnie swoje wypolerowane paznokcie, pogrążona w myślach. Zza lady pospieszył do nich kelner z drinkami na jonitowej tacy - wszystko jak należy; Imperium bardzo dbało o podobne szczegóły. Daala trzymała swoją szklankę w stulonych dłoniach, ale się nie napiła. Fett nawet nie tknął swojego drinka.

- Sądzę, że jest jeszcze inne wyjście - powiedziała z namysłem. - Trzeba zrobić porządek z Radą Jedi. Odsunąć ich od polityki i trzymać z dala od spraw wojskowych.

- Będą jak mądrale zajmujący się tylko własnymi sprawami? - prychnął Fett. - Daalo, jesteś szalona. To się nigdy nie sprawdzi.

Daala pogładziła stojące przed nią szkło i wreszcie podniosła szklankę do góry.

- A masz jakiś lepszy pomysł? - spytała zaczepnie.

- Nie - przyznał Fett. - Ale arogancja i głupota nie zawsze idą w parze z midichlorianami. Są wszędzie.

- A więc kto nastanie po Jacenie Solo, kiedy w końcu nadejdzie ten piękny dzień i ktoś go wrzuci do szybu reaktora? Bo na pewno nie będzie to ta mała, obrzydła przynęta na Vongów, Tahiri. Po moim trapie. I oczywiście jej.

Fett nie darzył sympatią zbyt wielu osób w galaktyce. Jakies dziewięćdziesiąt dziewięć procent było mu obojętne, a większość pozostałego procenta znajdowała się na liście jego ofiar, jednak nie mógł zaprzeczyć, że Daala wzbudzała w nim pewną sympatię. Mówili tym samym językiem.

- Przemawiasz jak kobieta, którą obchodzi, co się dzieje w Jądrze Galaktyki - zauważył.

- Gdyby tak było... cóż, to ty jesteś lokalnym specjalistą od środków przeciwko Jedi. Czy na emeryturze zgodzisz się udzielać mi konsultacji?

Fett wskazał swój karwasz, mały arsenał broni. Przy okazji zauważył, że miotacz płomieni wymaga przeglądu.

- Konsultować możesz się z tym. Zawsze jestem otwarty na propozycje.

- Pytam poważnie.

- Jeśli będziesz kiedykolwiek potrzebować miejsca, gdzie można by zamknąć paru Jedi, którzy ci się narazili, zawsze mogę sprzedać ci po dobrej cenie *beskarową* klatkę; poza tym zawsze mamy ludzi, którzy chętnie podejmą się takiej roboty.

- Będę o tym pamiętać, -r Daala podniosła szklanę i Fett przez chwilę sądził że zamierza w ten sposób przypieczętować nieformalną umowę, ale szybko odsunął od siebie tę myśl. Znał Daalę dobrze. Wiedział, że nie lubi sentymentów i zbędnego zadęcia - i cenil to sobie.

- Za Gila Pellaeona - wzniosła toast. - Ostatniego prawdziwego dżentelmena w Imperium. Bezpiecznej przystani, mój przyjacielu.

Fett ledwie zauważalnie skinął głową. Galaktyka preferowała martwych bohaterów, którzy nie szwendali się tu i tam i nie wprawiali innych w zakłopotanie, obwiniając wszystkich o wszystko i świecąc przykładem... a przy okazji sprawiając wrażenie denerwująco nieśmiertelnych. Jego najgorszym koszmarem była świadomość, że gdyby jego ojciec przeżył, pewnie nigdy nie dorównałby wyznaczonym przez niego standardom, które wciąż sobie narzucał. To była jedna z rzeczy, nad którymi wolał się nie zastanawiać - no i wciąż nie miał czasu policzyć się z tym buhaczem, który zasiał w jego głowie ziarno wątpliwości.

I co z tego, że Jango Fett nie był świętoszkowatym Fennem Shy- są? - pomyślał. Był moim ojcem. Kochał mnie, a ja kochałem jego. To dla mnie dość, żeby być bohaterem.

- Zapomniałam, jak skuteczne jest wasze żelazo przeciwko użytkownikom Mocy - powiedziała Daala, wyrrywając go z zamyślenia. - Zdziwiłbyś się, co wyładowało w Laboratorium Otchłani, kiedy opróżniono skrytki Imperatora.

Jedno Fett musiał przyznać: Daala zawsze potrafiła zaskakiwać. Nie zawiodła go i tym razem. Zawsze mógł na niej polegać. Była stale na bieżąco, zawsze czujna, chociaż mogło się wydawać, że chwilami przemyka oko. Doceniał fakt, że trzymała formę.

- Zawsze się zastanawiałem, co też Imperium zrobiło z tym całym *beskarem*, który wywieźli z Mandalory.

- Stwierdzili, że nie potrafia go wykorzystać takjak wasi ludzie, i tyle - prychnęła Daala lekceważąco.

Fetta cieszyła świadomość, że korzystanie z *beskaru* wymagało mandaloriańskiej ręki.

- No tak, rzeczywiście. O takie rzeczy trzeba pytać mandaloriańskich metalurgów, i to bardzo grzecznie - mruknął.

- Cieszę się, że się rozumiemy, Fett.

- Doskonale, Daalo.

- Czy miałbyś coś przeciwko, gdybym odwiedziła twój rozkosznie staroświecki świat? - spytała.

- Z miłą chęcią napiję się z tobą na weselu Mirty - zaprosił ją.

- Też mam wnuczkę. I syna. Kiedy to zleciało?

Fett już miał spytać, jakim cudem znalazła czas na założenie rodziny, ale w porę ugryzł się w język. Mimo to Daala miała rację: oboje mieli już swoje lata, a fakt, że pewnego dnia człowiek budził się starszy nagle o półwiecze i zachodził w głowę, jakim cudem wszystko tak szybko minęło, przypominał o ciężącym na nim obowiązku rozliczenia się z Sintas.

- Lepiej już pójść i poszukam mojej oswojonej Jedi - powiedział, przesuwając w jej stronę swojego nietkniętego drinka. - Zanim przywieziesz z powrotem naszą rudę, żeby zrobiono ci z niej klatkę, do której będziesz mogła ją wsadzić.

Znalazł Jainę przechadzającą się niespokojnie po opustoszałym hangarze; wymachiwała w zamyśleniu ręką miecza, ćwicząc jakieś skomplikowane układy. Nie wiedział, czy powinien się cieszyć z tego, że

zaprzyjaźniła się z Mirtą, ale chyba było to lepsze, niż gdyby miał patrzeć, jak jego wnuczka męczy się, zmuszona obcować z siostrą człowieka, który zabił jej matkę. Jaina zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na stojącego w progu Fetta.

- Chodź - powiedział i zszedł do niej po durastalowej siatkowej drabince. - Czas na lekcję łowów.

- Nie jesteś trochę wykończony po wczorajszym? - spytała.

- Nie. - Fett sprawdził swoją linę, gotową do wystrzelenia, i rozprostował palce. - Jeśli nie odstawię cię temu kosmicznemu łazędze, cwańszemu od ciebie, będzie się przechwalał przez następne czterdzieści lat, że jest moim nemezis, a wtedy nie będę miał wyjścia i będę go musiał zastrzelić, żeby się zamknął.

- Pamiętaj tylko, żebyś strzelił pierwszy - mruknęła Jaina i po jej ustach przemknął cień uśmiechu. Tylko cień.

Jaina Solo jest w porządku, uznał Fett. Nie może nic poradzić na to, że jest Jedi.

Pomyślał znów o agencji Jedi Kubariście i zastanowił się, czy on też ma gdzieś wnuczkę...

- No dobra - powiedział, czekając na jej ruch. - Spróbuj mnie złapać, Jedi...

Biuro przewodniczącego Sojuszu, Coruscant: cztery dni później

Codzienna rutyna: płacone o czasie pensje, nocne holofilmy, przewidywalne ceny - to właśnie łagodziło wzburzone nastroje mieszkańców Coruscant podczas krótkiej nieobecności Caedusa. Kiedy drzwi do jego biura rozsunęły się z sykiem, z ulgą wciągnął w nozdrza znajomy zapach dywanów, ciepłego plastoidu datapada i świeżo zaparzonego kawy.

Mogłem ją zastrzelić... - kołatało mu się po głowie.

Gdyby porażka nad Fondorem nie była pokrętnym sposobem Mocy na usunięcie Niathal w czysty i prosty sposób ze stanowiska, czyniąc ją w oczach społeczeństwa wrogiem numer jeden, a jego - rannym bohaterem pokonanym przez zdradę, byłby skłonny przyznać, że to wszystko jest tylko kolejnym i koniecznym źródłem cierpienia, które kształtowało jego charakter. Zdjął rękawice i rzucił je na blat biurka. Gdyby ją zastrzelił, obwołaliby go despota. Gdyby pozwolił sobie na zniszczenie i kradzież floty i personelu, zachowałby resztki honoru, ale efekt byłby ten sam. Wszystko było iluzją. Jeśli Luke Skywalker sądził, że jego fallanasskie zmyłki były tylko sprytnymi sztuczkami, nie doceniał w pełni ich potencjału.

Do biura Caedusa wszedł nowy droid administracyjny.

- Przygotowałem dla pana przegląd mniej pilnych spraw, które wynikły podczas pańskiej nieobecności, panie przywódcu - powiedział, kładąc na biurku, które jeszcze niedawno należało do Cala Omasa, schludny stosik komputerowych notesów. - Pozwoliłem sobie też zająć się biurem admirała Niathal i przesunąć wszystkie sprawy dotyczące obrony do pańskiego wydziału. Na dziś ma pan w grafiku dwa punkty: mianowanie nowego naczelnego dowódcy sił zbrojnych i spotkanie z senatorem G'Silem.

- Ach, całkiem o nim zapomniałem - westchnął Caedus. Garstka senatorów, którzy uchowali się po tych wszystkich dezercjach i rozłamach w SGS, trzymała się razem, wspierając wzajemnie, i tworzyła w komisjach opiekuńcze stada. Rozmawiali, roboty zaś skrzętnie wszystkiego słuchały, przeprowadzały kreatywną interpretację, a potem robiły to, co Caedus im kazał. Taki układ można było nazwać terapeutycznym. Wiele rządowych departamentów było obecnie nadzorowanych przez roboty. Caedusowi podobała się ich skuteczność i brak ambicji do działania we własnym interesie. - Czy Rada Bezpieczeństwa wciąż obraduje?

- Tak sądzę, przywódcu Sojuszu. Raz na kwartał. Właśnie w związku z tym senator chce się z panem spotkać.

- Rozumiem.

- Czekaj na widzenie z panem.

- Teraz jest świetny moment. Przeorganizuj plan. Mam w tym tygodniu bardzo napięty grafik.

- Pozwoliłem sobie przełożyć parę spotkań, sir - powiedział droid. - Przypuszczam, że jest pan nieco zmęczony po wydarzeniach ostatniego tygodnia...

- Masz rację. - Cóż, Caedus naprawdę był pod wrażeniem zapobiegliwości droida. - Doceniam twoją przenikliwość.

- Jak się czuje porucznik Veila?

- Wraca do zdrowia, dziękuję.

Caedus podszedł do biurka (z zadowoleniem zauważając stojący na nim parujący kubek świeżo zaparzonego kaffii) i usiadł, żeby przejrzeć datapady. Galaktyka powoli wracała do normy; czuł to. Wyrżał przez transpasterową ścianę na panoramę Coruscant; zatrzymał wzrok nieco dłużej na strzelistych wieżach, przepastnych wąwozach i gwarnych trasach powietrznych. Praca, spokój, dostatek - to było wszystko, czego potrzeba istotom tej galaktyki. Zanikały echa okupacji Yuuzhan Vongów, widoczne głównie w kilku obcych gatunkach roślinności i nowszych budynkach, wypełniających luki powstałe po zniszczeniach. Wszystko wskazywało na to, że wspomnienia tamtych dni nie niepokoiły obywateli Coruscant bardziej niż najazd Lahag Erlich na Har Binande, po którym ten świat stał się prawdziwą perłą architektury, przyciągającą turystów z najdalszych zakątków galaktyki. Ból i cierpienie, zadane - zdawałoby się - wieki temu, odeszły już całkiem w niepamięć. W pewnym momencie przeszłość traciła prawo głosu i wpływ na podejmowane codziennie decyzje, i stawała się po prostu historią.

Android przygotował dla Caedusa przegląd doniesień medialnych z całego tygodnia. Caedus przejrzał pobieżnie datapady i wybrał jeden, żeby wyświetlić wiadomości na większym wyświetlaczu na biurku. Zapoznawał się właśnie z materiałem z bitwy i z analizą studyjną: kto i dlaczego poniósł klęskę (nic godnego uwagi; tamte wydarzenia też już przeszły do historii), kiedy jego wzrok przykuł nagłówek w jednym z holoideów pełnych plotek - ale nie tych traktujących o pikantnych szczegółach z życia gwiazd holonowej, tylko pretendującego do roli politycznej. W rzeczywistości był to szmatławiec pełen półprawd, kreowanych na wstrząsające wieści. Caedus musiał przyznać, że holozin był na swój sposób naprawdę zabawny, z tymi wszystkimi bzdurnymi artykułami... „Nowa gra rodzinna Jacena: współbandzior sojuszu!”

Caedus już przywykł do ciągłych ataków. Była to reakcja na usunięcie Cala Omasa i niesprecyzowanych sił szybkiego reagowania, zresztą sprawę rozdmuchały tylko marginalne media. Zwykli obywatele nic sobie z tego nie robili i spokojnie zajmowali się swoimi sprawami. Historia zaczynała się od opisu przewrotu; w dalszej części wymieniono działania podjęte przez niego przeciwko własnej rodzinie - próbę postawienia Jaina przed sądem wojennym, nakaz aresztowania rodziców i odsunięcie się od Luke'a i całej Rady Jedi. Na końcu była wzmianka o śmierci „żony Luke'a Skywalkera na

Kavanie, w czasie, kiedy Jacen Solo przebywał poza Coruscant", co zestawiono ze śmiercią Ailyn Vel, nazwaną „Fettówną junior", sprawą Cala Omasa, Dura Gejjena i dosadnym komentarzem jego udziału w „domniemanej napaści ze skutkiem śmiertelnym" na porucznik Tebut oraz brakiem śledztwa prowadzonego w tej sprawie przez flotę lub CSB.

Caedus odstawił kubek na biurko i jeszcze raz przeczytał tekst. Nie czuł się urażony; artykuł go raczej rozdrażnił i... zranił. Właściwie nie było w nim plotek wyssanych z palca. Kiedy zbadał dokładniej swoje uczucia, z zaskoczeniem stwierdził, że naprawdę czuje się zraniony przez takie głupstwo, nic nieznaczący epizod w jego pełnym zawirowań i cierpienia życiu. Przecież to tylko zwykła paplanina kogoś, kto się nie liczył i nie mógł w żaden sposób wpłynąć na jego przeznaczenie.

Ale wszystko w tym artykule przedstawiono na opak, niczym w krzywym zwierciadle. To nie było tak...

W relacji opisano go jako zwykłego kryminalistę, zbira, który sięgnął po władzę i zaczął pozbywać się w brutalny sposób wszystkich, którzy mu się postawili albo weszli mu w drogę, zupełnie jak jakiegoś lorda z przestępczego świata Huttów. Caedus miał ochotę zadzwonić do redakcji tego szmatławca i powiedzieć im, że się mylą że nie rozumieją... że on robi to wszystko dla ich dobra. Przestępcami kierowała żądza bogactwa, wygórowane pragnienia i chore ambicje ponizania żywych istot, a jemu było do tego bardzo daleko. Przecież nie handlował narkotykami ani nikogo nie obrabował! Robił to, co musiał, skoro nikt inny nie miał ochoty zrobić porządku z anarchią w jakiej pograżała się galaktyka, ani przeciwstawić się starym, skostniałym klikom nią rządzącym. Czy naprawdę wydawało im się, że można zmienić wszechświat prosząc uprzejmie, żeby ludzie przestali być dla siebie nawzajem potworami?

Wszystko, co zrobił, było uzasadnione i konieczne.

Mara, porucznik, Tebut... Przecież nie zabiłem ich dla kaprysu! - przekonywał się w duchu. Wszyscy byli częścią drogi, którą muszę pokonać, żeby stać się godnym piastowania mojego tytułu. Jakim cudem mogą pojąć,

jakie brzemie spoczywa na barkach Sitha? Jak mogą usilować narzucać Sithom jakiegokolwiek prawa? O nie, zwykle prawa śmiertelników nas nie dotyczą!

Kto miałby dokonywać za nich wszystkich trudnych wyborów, gdyby Caedusa ograniczały podobne głupstwa? Czy ktoś się obu- rzał, kiedy Luke Skywalker zgładził Palpatine'a? Rebelia złamała wszystkie prawa wszystkich kodeksów i pozbawiła życia wiele istot, ale nikt nie protestował, bo każdy wiedział, że zmiany są konieczne. Caedus robił to samo, a mimo to wylewano na niego kubły pomyj. Cierpiał, widząc, jak bardzo wszyscy wokół niego są ślepi. Dlaczego go nie rozumieli? Może za słabo starał się im to wyjaśnić?

Odstawił z hukiem swój kubek na biurko i wezwał droida.

- Powiedz senatorowi G'Silowi, że nie mogę się z nim dziś zobaczyć. Przekaż, że muszę przełożyć spotkanie.

Głos droida był cierpliwy i spokojny, nie było w nim śladu potępienia czy pretensji.

- Sir, senator twierdzi, że Rada Bezpieczeństwa musi się zebrać w ciągu tygodnia. Taki jest wymóg prawny: muszą się spotykać co najmniej raz na trzy miesiące. Pański udział jest konieczny.

Caedus wyczuł, jak zmienia się perspektywa jego biura. Widział je teraz jak nieostry holowizerunek w czerni i bieli. Biurko cofnęło się w głąb pokoju i w miarę oddalania traciło kolor.

- Hm, jeśli to jedyny problem, dopilnuj, żeby zmieniono wymóg prawny - polecił droidowi.

- Sir?

- Ustaliłem to całe miesiące temu. Poprawka do Ustawy o Stanie Wyjątkowym - warknął, zniecierpliwiony. Czy wszyscy już zapomnieli, że pozbył się tej niepotrzebnej biurokracji? Wyglądało na to, że pamięć o podobnych dokonaniach żyła krótko. - Klauzula, którą wykorzystałem do zmiany prawa i aresztowania Cala Oma- sa - odpowiedział ze znużeniem. - Mogę zmieniać każde prawo, jeśli muszę, bez potrzeby konsultacji z Senatem. Wykorzystaj moje upoważnienia administracyjne i zmień ten wymóg. Albo nie, usuń cały paragraf dotyczący odbywania posiedzeń. To chyba proste, co?

- Tak jest, sir - zgodził się uprzejmie automat. Tak samo jak HM-3, genialny specjalista od analiz prawnych, który znalazł dla niego furtkę prawną nie dywagował nad różnicami między dobrem a złem, kierował się tylko definiowanymi prawnie pojęciami. To Caedus ustanawiał prawa. Taki był obowiązek rządu, a to on stanowił rząd. - Aha, poproś jeszcze do mnie kapitana Shevu - dodał. W oczekiwaniu na przybycie kapitana wziął kilka głębokich oddechów; otoczenie powoli nabierało kolorów, a proporcje wracały do normy. Rzadko ostatnio medytując, uzmysłowił sobie. Cóż, w takim razie za medytację musi mu wystarczyć działanie. Miał mnóstwo roboty, której część będzie musiał złożyć na barki Tahiri. Była teraz uczennicą Sitha, a to oznaczało obowiązki.

Postanowił wezwać do biura wydawcę holosmatławca i zażądać wycofania artykułu oraz zamieszczenia sprostowania, wyjaśniającego jego prawdziwe pobudki, ale im dłużej czekał na przybycie Shevu, tym mniej pilne mu się to zdawało.

Czy ktoś w ogóle to czytał? Czy takie artykuły wzniewały bunty? Nie. W istocie liczył się tylko fakt, że tych kilku ludzi z jego najbliższego otoczenia rozumiało, z jakimi problemami przychodzi mu się borykać każdego dnia.

Na przykład Shevu...

Caedus zmienił zdanie. Nie wyśle oddziału SGS i nie aresztuje autora tekstu, aby zyskać pewność, że ten marny pismak wysłucha uważnie, co ma do powiedzenia. Byłby to głupi kaprys jak na kogoś, kto w ciągu ostatniego roku zrobił tyle, żeby utrzymać porządek na Coruscant.

Dzbanek dobrego kawy, a potem wróci do nadrabiania politycznych zaległości. Podczas bitwy Sithowi bardzo brakowało towarzystwa Shevu. Dziadek Caedusa dobrze znał wartość lojalności, ale on też wiedział, że przekroczenie granicy rozsądku i popadanie w służalczość nigdy nie wróży nic dobrego. Wzajemnemu zrozumieniu dużo lepiej służyła szczerza wymiana zdań, nawet jeśli były one krańcowo różne i prowadziły do zacieklej dyskusji.

W końcu drzwi do jego gabinetu się otworzyły i do środka wszedł kapitan Lon Shevu, jak zawsze z profesjonalnie obojętną miną.

- Witamy z powrotem, sir - powiedział, stając przed biurkiem. Caedus wyczuwał jego cichą niechęć. - Sporo się wydarzyło w ciągu tych paru dni...

Sith wskazał mu gestem krzesło.

- Zaskoczony z powodu Niathal?

Shevu usiadł.

- Niezbyt, sir. No, może trochę... dlatego, że doszło do tego właśnie teraz.

- Dobrze, że tak się stało - stwierdził spokojnie Caedus. - Lepsze to, niż gdyby próbowała mnie usunąć, kiedy byłem poza planetą.

- Oczywiście, sir. Wyobrażam sobie, jak by to wszystko skomplikowało.

Caedus wiedział, że kapitan SGS przedstawia sprawy tak, jak je widzi, i cenił go za to. Lubił jego pewność siebie i prawdomówność. Był przekonany, że zawsze może na niego liczyć.

- Spójrz na to - powiedział, pokazując mu datapad z holozi- nem. Na samo wspomnienie o tych kłamstwach wezbrała w nim nowa fala gniewu. - Spójrz tylko na ten stek bzdur!

Shevu przebiegł dziwnie szybko wzrokiem linijki artykułu - co sugerowało, że albo nie miał ochoty go czytać, albo już to zrobił wcześniej. Cóż, był eksficerem CSB, więc raczej go czytał.

- Czy chce pan, żebym interweniował, sir? - spytał.

- Gdybyś spytał mnie o to samo pół godziny temu, powiedziałbym, że tak.

- A więc woli pan puścić to w niepamięć? Zarzuty są co prawda mocne, ale ze względu na charakter tego typu prasy nikt nie traktuje jej poważnie.

- Nie chodzi mi o fakty, kapitanie - westchnął Caedus. - Nie mogę się z nimi sprzeczać.

- Naprawdę? - Zaskoczenie Shevu rozbłysło w Mocy jak mała supernowa i Caedus uświadomił sobie nagle, że pewnie niewielu poprzednich przełożonych strażnika SGS rozmawiało z nim tak szczerze. - Gdyby pan wniósł pozew, musieliby udowodnić prawdziwość tych... insynuacji.

- Mam po prostu wrażenie, że najwyraźniej nie rozumieją dlaczego musiałem podjąć pewne działania. Przedstawili mnie tu jak zwykłego zbira. - Caedus splótł palce na podołku i odetchnął głęboko, przywołując się do porządku. Już za chwilę znów nad sobą panował. - Napisali tylko to, co... a sam słyszałem to wiele razy na własne uszy... powtarzają po kątach w mesach: że zabiłem całe mnóstwo ludzi, że nie było mnie na służbie, kiedy została zamordowana Mara Skywalker i że niewykluczone, że stoję za tym zabójstwem, bo posunąłbym się nawet do usunięcia własnej ciotki, jak jeden z tych szalonych cesarzy Irmenu. Tak właśnie mówią prawda?

Shevu nie odpowiadał. Siedział bez ruchu, z rękami złożonymi na kolanach i patrzył przywódcy Sojuszu spokojnie w oczy.

- Czy to pana martwi, sir? - zapytał w końcu.

- Auważasz, że powinno? - odpowiedział pytaniem Lord Sithów.

- Cóż, wygląda na to, że mają swoje wtyki w marynarce i innych departamentach... - zauważył ostrożnie kapitan.

- Gardzę brakiem lojalności, ale czy naprawdę warto ścigać plotkujących żółtodziobów, podczas gdy nasi admirałowie zdradzają nasze plany Radzie Jedi?

- Zależy, jaki ma to wpływ na morale, sir - skwitował kapitan.

- Zupełnie jakbym słyszał Niathal.

- Dowodzenie polega na umiejętności utrzymania w ryzach skłonności żołnierzy do przedkładania własnych

interesów nad sprawy wagi międzyplanetarnej i przekonania ich, żeby rzucili swoje losy na szalę wojny, kiedy wszyscy uciekają w przeciwnym kierunku. Oto, czym jest morale. A pan powinien lepiej niż ktokolwiek inny wiedzieć, co myślą o panu pańscy ludzie, sir.

Człowiek o słabszym charakterze na miejscu Shevu zgodziłby się skwapliwie z humorzastym przełożonym, bojąc się powiedzieć coś, co może zostać źle zrozumiane, ale Shevu nawet w najbardziej stresujących sytuacjach nie tracił rezonu. Caedus wciąż czuł jego ostrożność, ale też pewność siebie i wiarę w słuszość własnych przekonań, dające w Mocy wrażenie litego permabetonowego muru. Ten człowiek miał własne zdanie i nie bał się go wyrazić; skoro zaś nie pognał z podkulonym ogonem za Niathal, nie było wątpliwości, że trzyma stronę Caedusa.

Lon Shevu właściwie rozumiał pojęcie sprawiedliwości.

- Chcesz wiedzieć, jak do tego doszło? - spytał go Caedus.

Shevu zacisnął wargi, jakby zakłopotany.

- Sądzi pan, że powinienem? W końcu byłem zamieszany w sprawę Gejjena. Nie, żeby miał być tym zaszokowany...

Nie jestem szaleńcem ani zwykłym przestępcą powtarzał sobie w duchu Caedus. Nie zabiłem Mary z zimną krwią i obchodzi mnie, co o mnie myślisz, bo kiedy na ciebie patrzę, wraca mi wiara w ludzki rozsądek i prawość. Jesteś jak lustro, w którym widzę, jak postrzegają mnie przeciętni obywatele.

- Tak, chcę, żebyś to wiedział - wyznał w końcu. Shevu pewnie nie zrozumiałby zawiłości proroctwa Sithów... a gdyby nawet, to według Caedusa był zbyt zatwardziałym realistą, żeby w nie uwierzyć. Wiedział jednak, że zgodzi się z nim, że nie miał wyboru. - Jeśli to dla ciebie zbyt duży ciężar...

- Nie, sir.

- Wiedziałem, że Mara albo Luke prędzej czy później będą próbowali dobrać mi się do skóry za... uczynienie ich drogiego synka moim uczniem - zaczął swoją opowieść. Wiedział, że Shevu lubi Bena, ale nie było sensu wyjaśniać mu, dlaczego uznał, że będzie zmuszony go zabić. - Wiesz, co mam na myśli, mówiąc

0 uczniu? - spytał. - Jestem Lordem Sithów. - Och, jak dobrze powiedzieć to głośno! To było takie... oczyszczające. Kapitan SGS wciąż przyglądał mu się spokojnie, nawet nie mrugnął. - Wiesz, kim są Sithowie? Jesteśmy użytkownikami Mocy.

- To coś jak starożytny odłam filozofii Jedi, sir? - domyślił się Shevu.

- To... bardzo trafna definicja - stwierdził z uznaniem Caedus. - Masz rację. Kładziemy zdecydowanie większy nacisk niż Rada Jedi na zaprowadzenie prawa i porządku.

Wyraz twarzy Lona Shevu dowodził, że dla niego to kwestia czysto akademicka.

- A więc mówi pan, że Mara Jade Skywalker chciała się na panu zemścić, sir? - spytał grzecznie.

- Poprzysięgła mnie zabić w obecności świadków w kularach Senatu.

- O...

- Wszystko słyszeli senatorowie rasy Bith, H'aas i Ph'OHa - dodał Sith. - Nie mam złudzeń, na pewno dotrzymałaby słowa. Opuszczałem właśnie Gromadę Hapes, kiedy zaatakowała mnie w swoim stealthX-ie. Wylądowaliśmy na Kawanii, gdzie zapędziła mnie w sieć opuszczonych tuneli i próbowała zabić. Wdaliśmy się w bójkę... Zawaliła sklepienie tunelu... Naprawdę, zachowywała się, jakby postradała zmysły, zaślepiła ją gniew, kompletnie nic do niej nie docierało. Byłem ranny. Straciłem blaster i miecz, i jedynym sposobem, w jaki mogłem ją powstrzymać, była zatruta strzałka. To była ostateczność, nie miałem wyjścia.

Ominął co prawda parę szczegółów dotyczących Lumiyi, bo i tak nie miały znaczenia, ale cała reszta była szczerą prawdą. Mara zastawiła na niego pułapkę. Potem zwabiła go do labiryntu tuneli i próbowała zabić - nie aresztować czy zatrzymać, ale właśnie zabić.

Shevu wyglądał na poruszonego jego opowieścią.

- Cóż, przynajmniej wiem teraz, dlaczego Ben zmienił zdanie

I opuścił szeregi Straży - bąknął.

Wszystko, co robiła Mara, robiła ze względu na Bena. Caedus wiązał z chłopcem takie nadzieje... a jednak koniec końców okazało się, że Lumiya miała rację: młody nie potrafił naprawdę walczyć. Brakowało mu zawziętości, którą powinien mieć prawdziwy Sith.

Caedus żałował, że nie może porozmawiać ze swoją świętej pamięci Mistrzynią - teraz, kiedy wiedział znacznie więcej... Aten żal oznaczał, że mu jej brakuje. Nigdy nie sądził, że będzie za nią tęsknił. Lumiya odwróciła od niego uwagę Luke'a Skywalkera - nieważne, że na krótko - i przypłaciła to własnym życiem. To był niezwykle odważny, szlachetny krok i musiał docenić jej poświęcenie.

Brakuje mi jej... - westchnął w myśli. I... tęsknię za Allaną. A przecież powinienem o niej zapomnieć.

- To naprawdę nie była żadna osobista zemsta, kapitanie - zapewnił Shevu, przywołując się z powrotem do porządku. - Takie rzeczy są dobre dla słabych ludzi działających z niskich pobudek. Zrobiłem to, bo... bo była to część mojego przeznaczenia, drogi do wypełnienia dziedzictwa Sithów.

- To musiało być dla pana bardzo trudne, sir - skwitował uprzejmie Shevu. Caedus czuł promieniujące od niego echo silnych emocji, których nie potrafił do końca rozszyfrować, ale sądził, że kapitan po prostu żywo mu współczuje. - Była przecież pańską rodziną...

- Dokładnie - potwierdził Caedus. - Cały czas próbuję przestać o tym myśleć. Był czas, kiedy byliśmy sobie bardzo bliscy...

Shevu poprawił marynarkę, jakby chciał już zakończyć kłopotliwą rozmowę.

- Proszę spróbować starej policyjnej sztuczki, sir - poradził Caedusowi. - Kiedy stajemy twarzą w twarz z czymś przerażającym, do szpiku kości złym, na przykład z niewyobrażalnie okrutnym przestępstwem, najlepiej zapomnieć o tym, co czujemy do sprawy. W przeciwnym razie gniew może sprawić, że zaczniemy postępować lekkomyślnie. Wie pan o co chodzi... droga na skróty, żeby tylko dorwać tego kogoś i wymierzyć mu sprawiedliwość, nie oglądając się na konsekwencje. W takiej sytuacji najlepiej się skupić na ofierze i poszukać w sobie współczucia. Dzięki temu możemy działać racjonalnie, trzeźwo, żeby zagwarantować jej i jej rodzinie sprawiedliwość. Proszę mieć to na uwadze, sir.

- To bardzo przydatna metoda, kapitanie - przyznał ostrożnie Caedus. Wcześniej nie zastanawiał się specjalnie, w jaki sposób osoby ślepe na Moc radzą sobie ze sterowaniem swoimi uczuciami. Nie miał w ogóle pojęcia, że mogą próbować je wykorzystywać w sposób podobny do technik Sithów. Zważywszy na fakt, że Shevu nie darzył go zbyt dużą sympatią gest był... ujmujący - oznaczał, że kapitan go rozumie: obaj mieli do wykonania brudną robotę i musieli jakoś sobie z tym radzić. - A tak przy okazji - dodał na zakończenie wizyty. - Chciałbym, żeby zwracano się do mnie od teraz moim oficjalnym tytułem: Darth Caedus, jeśli można. Mam nadzieję, że taka mała zmiana nie sprawi panu kłopotu, kapitanie?

Shevu wpatrywał się w niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Ależ skąd, sir - zapewnił go. Wyglądał, jakby w myśli próbował wymówić nowy przydomek swojego przełożonego, sprawdzając jego brzmienie. - Czy nadal obowiązuje tytuł „sir”? - zreflektował się.

Jacen wiedział, że i tak już zanadto zamącił biednemu człowiekowi w głowie, chociaż musiał przyznać, że Shevu zniósł to nadspodziewanie dobrze.

- Technicznie rzecz ujmując, raczej „mój panie” - sprostował. - Ale podczas służby „sir” w zupełności wystarczy.

Zerknął na ścienny chronometr. Czuł się pokrzepiony i podniesiony na duchu - znacznie lepiej niż ostatnimi czasami. Fiasko bitwy

0 Fondor było tylko chwilowym impasem, który szybko pójdzie w niepamięć. Teraz miał do swojej dyspozycji Szczałki Imperium -

I chociaż lata imperialnej świetności dawno już minęły, wciąż należało się z nimi liczyć. A Shevu rozumiał go i

jego motywy.

Uśmiechnął się do podwładnego, kiedy ten wstawał, żeby wyjść.

- Wie pan co, kapitanie? Czuję oddech historii na karku - powiedział konfidencjonalnie. - Naprawdę.

ROZDZIAŁ 19

Ben. tak bardzo mi przykro... Znienawidziłbyś mnie, gdybym ci tego nie pokazał. Wiem, że znienawidzisz mnie i tak, kiedy to usłyszysz, ale z dwójga złego wolę, żebyś miał namacalny dowód. Wiem, że będzie ci trudno tego słuchać, przyjacielu - zresztą często tak bywa w przypadku przesłuchań podejrzanych, sam wiesz... Mogę ci powiedzieć tyle, że powodem, dla którego tacy ludzie robią to, co robią, jest fakt, że są przeświadczeni o słuszności swoich postępów. Wierz mi, dałem z siebie

wszystko, żeby podczas tej rozmowy utrzymać nerwy na wodzy i nie dać nic po sobie poznać. Zanim przesłuchasz nagranie, uprzedzę cię w skrócie, że jego własne słowa pasują do dowodów, sugerujących, co w rzeczywistości wydarzyło się na Kavanie.

Skontaktuj się ze mną, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

Pamiętaj, że zawsze służę ci pomocą.

Kapitan Lon Shevu, SGS, zaszyfrowana wiadomość do Bena Skywalkera, wysłana po przesłuchaniu podejrzanego

Była placówka imperialna, Endor

Ben całą godzinę przygotowywał się psychicznie do odtworzenia holonagrania, które Lon Shevu nagrał i mu przekazał, ryzykując własnym życiem.

Han i Leia znaleźli nową bezpieczniejszą kryjówkę dla bazy Jedi i teraz Ben Skywalker stał na środku pustego pomieszczenia, które służyło mu za kwaterę - całe wyposażenie i sprzęt czekały spakowane na przeprowadzkę z Endora. Nie było nawet byle jakiego składanego krzesła. Oprócz koców z zapasów SGS, na których spał, miał tylko menażkę i podstawowe przybory higieniczne. Właściwie krzesło było mu niepotrzebne. Nic by nie zmieniło, nawet, gdyby było wygodne. Prędzej czy później będzie musiał wziąć się w garść, przejść zakurczonym korytarzem, ogołoconym ze wszystkiego, co mogłoby świadczyć o tym, że była tu centrala ruchu oporu Jedi, znaleźć swojego ojca, wuja i ciotkę - i o wszystkim im opowiedzieć.

„To Jacen, tato - będzie musiał powiedzieć. - Oto nagranie, na którym Jacen wyjaśnia mojemu przyjacielowi, jak zabił mamę, dlaczego to zrobił i dlaczego nie uważa się za złego człowieka”.

Zmusił się, żeby ruszyć z miejsca. Nie, żeby miał z tym jakiś problem - to nie był żaden paraliż o podłożu psychicznym, nic z tych rzeczy - po prostu wiedział, że w chwili kiedy przeniesie ciężar ciała na jedną z nóg i zrobi krok naprzód, nie będzie odwrotu: krótki spacer zakończy się zademonstrowaniem jego rodzinie... jego biednemu ojcu... tej obrzydliwej, przyprawiającej o mdłości rozmowy Jacena z Shevu. Obraz był marnej jakości, bo kapitan musiał użyć holokamery z obiektywem wielkości główki od szpilki, żeby móc bezpiecznie wpiąć go w klapę bluzy od munduru, ale dźwięk okazał się doskonały. Lon zaryzykował podsłuch, bo, jak twierdził, Jacen tak już przywykł do oficerów SGS noszących aparaturę szpiegowską, że całkiem przestał zwracać na nią uwagę.

Cóż za ironia: zdolność wyczuwania poprzez Moc broni i zagrożenia, którą dysponował Jacen, w końcu okazała się bezużyteczna. Wszystko przez to, że był bezustannie otoczony siatką spisków, kłamstw i oszustw - tak bardzo, że sam nimi przesiąkł. Przyzwyczyił się do tego jak do szumu w tle, który w końcu przestaje się zauważać.

Czy żałuję, że go nie zabiłem? - zastanowił się Ben.

Cóż, gdyby to zrobił, Jacen nie miałby okazji wypowiadać się Łonowi z tych odrażających grzechów, ciężących

mu na sumieniu, i pożalić, jak to leży mu na duszy los galaktyki. A więc nic się nie zmieniło.

Ben starał się kontrolować. Kiedy przychodziły mu do głowy podobne myśli i żółć dosłownie podchodziła do gardła, skupiał się na swoim ojcu i pytał w duchu, czyjego myśli są złe. Sztuczka zazwyczaj działała. Spróbował pokonać bezsilny, dławiący żal.

Koniec tego dobrego, nakazał sobie. Ruchy, chłopie. Idziemy.

Najpierw wyruszył na poszukiwania ojca.

Lokalne plemię Ewoków umeblowało niższe poziomy bazy prymitywnymi sprzętami, żeby zapewnić Jedi i personelowi pomocniczemu podstawowe wygody w czasie, kiedy będą czekali na koniec przygotowań do przenosin. W byłej sali odpraw Ben znalazł Jaga i Zekka. Siedzieli za prostym, drewnianym stołem, z nogami opartymi o niski blat, i rozmawiali cicho.

- Cześć, Ben. - Jag zaprosił go gestem, żeby usiadł. - Klapniesz? Co jest? - spytał na widok jego miny. - Wszystko w porządku?

- Nie, nie w porządku - odpowiedział za Bena Zekk. - Czuję, jak się miota, przez dwa piętra w górę.

Jeśli Ben miał sobie z tym poradzić, nie mógł się teraz wycofać.

- Bez urazy, chłopaki, ale czy możecie na chwilę wyjść? Proszę, to bardzo ważne.

- Jasne, nie ma sprawy. - Zekk wyprostował się i przysunął bliżej stołu. - A co się stało? Możemy jakoś pomóc?

- Hm, gdybyście mogli znaleźć dla mnie tatę, wujka Hana i ciocię Leię, byłbym wdzięczny - powiedział z pewną ulgą. - Przekażcie, że muszę im coś pokazać i chcę, żeby zobaczyli to wszyscy razem. - W tej samej chwili przyszło mu do głowy, że Jaina także powinna się o wszystkim dowiedzieć. - I jeszcze jedno... Jag, mógłbyś spróbować złapać Jainę? Chciałbym mieć z nią łączność, żeby widziała i słyszała to, co reszta.

Nie zadawali więcej pytań, tylko wyszli zrobić to, o co ich poprosił. Od jakiegoś czasu wszyscy darowali sobie codzienne żarty i przestali się z nim przekomarzać; ostatnie wydarzenia sprawiły, że zaczęli go traktować poważniej. Może Jag i Zekk zareagowali na „ton oficera”, jak nazywał ten jego nieznoszący sprzeciwu głos Jori Lekauf? Tak czy inaczej, wiedzieli, że nie żartuje.

Jori też nie musiał umrzeć, pomyślał smutno Ben. Nie musiał, Jacenie, to było niepotrzebne. Kazałeś mi zabić Gejjena, żebym stał się taki jak ty, a Jori był dla ciebie tylko nic nieznaczącym szczegółem...

Ben nie zamierzał pozwolić, żeby ktokolwiek jeszcze zginął z jego powodu. Koniec, więcej już nie zniesie.

Ustawił stół w takim miejscu, żeby wszyscy mieli dobry widok i postawił ostrożnie komunikator tak, żeby Jaina wszystko dobrze widziała i słyszała. Wiedział, że nie zdoła się zmusić do powtórzenia tego jeszcze raz. Pewnie jego rodzina pomyśli, że tak to zorganizował, żeby trzymać się procedury niczym profesjonalista, ale prawda była taka, że po prostu nie zniósłby przerabiania całej sprawy drugi raz - nie miał co do tego złudzeń.

Słyszał już dobiegający zza drzwi głos Leii: mówiła, że będą mogli dzięki temu częściej widywać Allaną, co oznaczało, że ma na myśli ich nową bazę. Kiedy weszła do środka, zatrzymała się gwałtownie w pół kroku; Han o mało na nią nie wpadł.

- Kochanie - odezwała się do Bena. - Cokolwiek się stało, jesteśmy z tobą wszyscy i wysłuchamy uważnie, co masz nam do powiedzenia.

- To nie ja będę mówił - powiedział cicho Ben. - Mam nagranie...

Han oparł ręce na biodrach i wypuścił powoli powietrze. Podeszedł do Bena i objął go w ten trochę rozczulający, a trochę wprawiający w zakłopotanie, typowo męski sposób. Kilka minut później zjawił się Luke - miał rozwiane włosy i był lekko zdyszany, jakby biegł.

Ben rozdał wszystkim datapady.

- Mamy jeszcze czas, tato - zapewnił go. - Poczekamy na Jaga. Obiecał znaleźć Jainę, żebyśmy nawiązali z nią połączenie, i wtedy dopiero zaczniemy. - Dopiero teraz dotarło do niego, że podświadomie przydzielił zadanie

odnalezienia Jaiiny Jagowi. W ogóle nie przyszło mu do głowy, że Zekk mógł się poczuć urażony - Siadajcie.

Nie mógł się odwrócić i spojrzeć im wszystkim w oczy - jeszcze nie - więc zaczął udawać, że sprawdza coś w swoim komputerowym notesie. Musiał jakoś zabić czas, zanim wróci Jag z komunikatorem. W końcu Jag przyniósł urządzenie i postawił je w miejscu wskazanym przez Bena.

- Widzisz wszystko dokładnie, Jaiino? - upewnił się Ben.

Sądząc po otoczeniu, Jaina była w jakimś magazynie. Ściany

za jej plecami pokrywały półki zastawione pudełkami i puszkami, a zza uchylonych drzwi dobiegały odgłosy rozmów, szcęk metalu i transpastali. Może to zaplecze restauracji?

- Tak, widzę was wszystkich i stół - potwierdziła.

- W porządku. - Ben postanowił ich uprzedzić, tłumacząc, co za chwilę zobaczą. - Wiem, że nie będzie wam łatwo tego słuchać, ale chcę pokazać wam najpierw fizyczny dowód, a potem puścić nagraną rozmowę. To wyjaśni, co łączy Jacena ze śmiercią mojej mamy i co on sam powiedział na ten temat kapitanowi Shevu. Pamiętajcie, że ludzie czasami przypisują sobie rzeczy, których nie zrobili, żeby sprawiać wrażenie twardzieli albo żeby zwrócić na siebie uwagę otoczenia, więc proszę was też, żebyście zestawili dowody z tym, co powie Jacen, żeby ocenić, czy to wszystko prawda. Moje zdanie o całej sprawie nie ma na razie znaczenia. Pokażę wam po prostu to, co dostałem.

Wziął głęboki wdech. O dziwo, dalej było już łatwiej, niż się spodziewał. Wykorzystując datapady i wyświetlając obrazy na ekranie, którego używali do holomap, pokazał zebrany kopię rejestru pokładowego stealthX-a SGS, który wskazywał, kiedy Jacen opuścił Coruscant i kiedy zwrócił myśliwiec do hangaru. Potem pokazał im zapisy z myśliwca mamy, mapę, na której zaznaczono trasę jej lotu w hapańskiej przestrzeni, potwierdzoną przez kontrolę ruchu powietrznego Hades, i wiadomość od Tenel Ka, w której informowała, kiedy Jacen zjawił się w pałacu i kiedy odleciał. Pokazał im otwartego robota kryminalistycznego i wyjaśnił, w jaki sposób on i Shevu wykorzystali go, żeby zebrać dowody ze stealthX-a Jacena.

Kiedy przeszedł do zakrwawionych włosów Mary, zerknął ukradkiem na twarz swojego ojca - do tej pory się na to nie odważył - i o mało nie ugięły się pod nim kolana. Medalion, przypomniał sobie. Ciągle go mam. Muszę go zwrócić tacie.

Wziął się w garść. Wyświetlił teraz nagranie z Kavana, ukazujące ciało Mary i miejsce zbrodni, na końcu zaś przedstawił swoje własne oświadczenie, w którym argumentował, że Jacen Solo odnalazł go, chociaż nie miał boi świetlnej, nie kontaktował się z nim i ukrył swoją obecność w Mocy.

Przyszła pora na najgorszy, ostatni punkt tego smutnego posiedzenia: materiał z rozmowy Shevu i Jacena. Ben włączył nagranie i usiadł, ale nie mógł tego oglądać. Wbił wzrok w kolana i splecione dłonie i słuchał przyspieszonego oddechu wujka Hana, brzmiącego tak, jakby ten miał się zaraz rozplakać. Kiedy zaryzykował szybkie spojrzenie na tatę i ciocię Leię, zobaczył, że oboje siedzą w identycznej pozycji: prawa ręka zgięta, z dłonią podtrzymującą lewy łokieć, a lewa dłoń podniesiona do ust.

Kiedy nagranie dobiegło końca, przez chwilę nikt się nie odzywał. Osobą która przerwała milczenie, była Jaina.

- Ben... - powiedziała cicho. - Czy mógłbyś mi teraz przesłać ten materiał? Chciałabym go dokładniej obejrzeć...

- Tak, jasne - zapewnił ją.

To była dobra wymówka, żeby wstać, zająć czymś ręce i zastanowić się, co powinien powiedzieć. Ciocia Leia, która zawsze mówiła właściwe rzeczy we właściwym czasie i potrafiła zmobilizować wszystkich nawet w najtrudniejszych chwilach, podeszła do niego, odwróciła delikatnie do siebie i przytuliła bez słowa. Kiedy wreszcie na niego spojrzała, oczy miała pełne łez. Ben nigdy jeszcze nie widział, żeby płakała.

- Dziękuję, Ben - powiedziała. - Zrobiłeś to, co trzeba, i świetnie się spisałeś.

Ben zwlekał z wysłaniem nagrania Jainie, dopóki nie został sam. Kiedy skończył, wyszedł na zewnątrz, wspiął się na pierwsze z brzegu drzewo i wszedł na platformę, będącą częścią sieci przejść Ewoków. Usiadł, spuszczać nogi za krawędź kładki, i zapatrzył się w mgłę wiszącą nad wzgórzem.

Nie wiedział, czy siedzi tak minuty, czy godziny. W pewnym momencie usłyszał, jak ktoś wspina się do niego po trzeszczącej drabinie z lokalnych pnączy. Po chwili dołączył do niego ojciec. Przewiesił, tak jak on, nogi na zewnątrz, chociaż z wyraźnym trudem, jakby miał zeszywniałe kolana. Ben oparł się o jego ramię i siedzieli tak, wtuleni w siebie; patrzyli na porośnięte lasem zbocze, obserwując, jak dzień powoli dobiega końca.

Nie odzywali się do siebie ani słowem; nie było o czym rozmawiać, a poza tym i tak nie potrzebowali słów.

Słońce zachodziło w powodzi ognistych, purpurowych płomieni, niezwykłych nawet jak na tutejsze warunki.

Bralsin, w pobliżu Keldabe, pomnik Fenna Shysy

Jaina wiedziała, że powinna była się skontaktować z Fettem i powiedzieć mu, że się spóźni na trening.

Wiedziała też, że będzie zirytowany - nie zły, nigdy się nie złościł, ale nawet lekka irytacja w jego wydaniu była wystarczająco nieprzyjemna. Wiedziała, że powinna zacisnąć zęby i - nieważne, jak przytłaczające otrzymała wieści - powiedzieć mu wprost, że dziś wieczór może być trochę rozkojarzona. Ale nie mogła.

Zamiast tego trafiła tutaj, pod pomnik Fenna Shysy. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, raz po raz oglądając na ekranie datapada ten sam koszmar, okrutne wyznanie jej brata.

Słuchała, jak Jacen w rozsądny - wydawałoby się - i uprzejmy sposób wyjaśnia, dlaczego ludzie muszą ginąć. Odtwarzała film szósty czy siódmy raz, kiedy złapała się w końcu na tym, że nie rozpoznaje zupełnie twarzy brata, a jego słowa brzmią dla niej jak jakiś dziwny, obcy język - tak bywa, kiedy powtarza się coś w kółko tak długo, aż słowa całkiem tracą sens. Zrobił to, tłukło jej się po głowie. On naprawdę to zrobił...

- Shysa zawsze przyciągał kobiety jak magnes - odezwał się nad jej głową głos, który bała się usłyszeć. - Ma większe szczęście martwy niż ja za życia.

Jaina nie spojrzała do góry. Cóż, przynajmniej potraktował ją z humorem, zamiast robić jej wyrzuty w chwili, kiedy nie była w nastroju do wysłuchiwanie czyichś pretensji. Rozklejanie się w obecności Fetta nie wchodziło w grę.

- Wybacz, powinnam była cię uprzedzić — bąknęła.

- Dopiszę stracony czas do rachunku. - Fett kucnął obok, opierając łokcie na kolanach. Wyglądało na to, że w takiej pozycji mimo zbroi jest mu całkiem wygodnie. Jaina chciała mu wyjaśnić, dlaczego zapędziła się aż tutaj, szukając samotności, a najszybszym i najłatwiejszym sposobem na to byłoby pewnie pokazanie nagrania. Zawahała się jednak. Czy obnażając przed Fettem słabe punkty swojej rodziny, w jakiś sposób jej nie zdradzi? A jeśli Fett ucieszy się z ich nieszczęścia? Nie miała pojęcia, jak zareaguje - jeśli w ogóle. Była tak zdruzgotana i przybita, jakby Jacen umarł, odszedł na zawsze. Oczywiście ten Jacen, którego znała i pamiętała...

- Zanim ci to pokażę - zaczęła, wyciągając w jego stronę komputerowy notes - uprzedzam: wkurzysz się, bo na nagraniu jest mój brat. I jeszcze, zanim zaprzeczysz... wiem, że chociaż zgrywasz takiego twardziela, śmierć Ailyn była dla ciebie ogromnym ciosem.

Fett wziął od niej datapad i pomanipulował przy kontrolkach.

- Za pierwszym razem każdy tak mówi - mruknął.

- Nie bądź taki zasadniczy - wytknęła mu. - Jacen zabił twoją córkę.

- Nie bywam zasadniczy. Na pewno chcesz, żebym to zobaczył?

Jaina nie spodziewała się takiego pytania. Może jednak był bardziej nieczuły niż sądziła? Cieszenie się z cudzego nieszczęścia wymagało przecież choć trochę emocjonalnego zaangażowania... Nawet trwającemu całe życie Fetta polowaniu na Jedi brakowało pasji i triumfalnej radości towarzyszącej dopełnianiu zemsty.

- Tak - powiedziała. - Chcę, żebyś sam powiedział mi, co widzisz. I pamiętaj, że to, co on mówi, potwierdzają dowody.

- Jacen mówiący prawdę? - parsknął Fett. - No, no... - Pochylił lekko głowę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym wcisnął guzik na panelu datapada i przyglądał się w milczeniu scenom rozgrywającym na monitorze. Kiedy nagranie się skończyło, trwał jeszcze przez chwilę w bezruchu. Jaina czekała na jego reakcję.

- No i...?

- Co chcesz wiedzieć? - spytał Fett. - Czy mu odbiło? A może, czy lepiej go zabić, czy zamknąć?

- Cokolwiek. - Jaina nie zdążyła ugryźć się w język. Nietrudno było zidentyfikować Shevu jako tego, który wrobił Jacena. *Stang*, naprawdę nie była dziś w formie... - Wiesz, że ten człowiek ryzykował własnym życiem, żeby zdobyć to... - zaczęła.

- Wiem, jak trzymać gębę na kłódkę - wszedł jej w słowo. - Do tej pory powinnaś się już tego ode mnie nauczyć. - Wydawało się, że wciąż wpatruje się w niewielki holowyświetlacz, chociaż trudno było mieć pewność, skoro jego twarz zakrywał hełm. Równie dobrze mógł rozmawiać z kimś na wewnętrznym kanale; Jaina wiedziała, że Mandalorianie potrafili nawiązywać połączenia w tych swoich szczelnych *buy 'cese* w mgnieniu oka, i to dosłownie. Mimo to przypuszczała, że Fett raczej zastanawia się nad czymś, co go zaniepokoiło.

- Widzę trzeźwo myślącego człowieka - podjął w końcu - oto, co widzę. Kiedy tacy jak on dochodzą do władzy, oszukują się cały czas, że doszli do wszystkiego uczciwie i że wszelkie potknięcia to nie ich wina. Wtedy rzeczywistość staje się dla nich czymś obcym. Za to ty czujesz się winna, bo zaczynasz podejrzewać, że może Mara Skywalker to wszystko zaczęła, a ty mimo to chcesz ją postrzegać jako zwykłą Mocny ducha winną ofiarę.

Jaina zrozumiała, że Fett ma rację, bo jego słowa zabolaly.

- I...? - spytała mimo to twardo.

- Ten buhacz prawie dał się załatwić żonie Skywalkera - podjął Fett. - Kiedy o niej mówi, widać, że był naprawdę przerażony, kiedy zaatakowała go jak furiatka. Właśnie tak jak pokazywał ci Beviin.

To była najdłuższa wypowiedź, jaką Fett wygłosił w jej obecności. Pewnie teraz będzie musiał milczeć przez jakichś kilka lat, żeby zachować średnią pomyślała. Była wystarczająco mądra, żeby rozpoznać niewygodną prawdę, więc zaczęła zastanawiać się nad wszystkim, co powiedział. Jak na człowieka, który wydawał się nie mieć serca ani żadnych ludzkich uczuć, wiedział bardzo dużo o emocjach. Może to zasługa spostrzegawczości, niezbędnej w profesji łowcy nagród, a może po prostu brał pewne rzeczy do siebie, bardziej niż był skłonny przyznać? Stawiała na to drugie.

- Masz rację - powiedziała cicho. - Nie chcę myśleć, że to Jacen zabił Marę, ale jeśli to zrobił, wolałabym, żeby była w tym tylko jego wina.

- Mara się o to nie prosiła. - Fett podparł się na dłoni i usiadł, prostując nogi. - Po prostu zabrała się za tępienie szkodników... I prawie jej się to udało.

- Mówisz, że on... - zająknęła się. - Że muszę go zabić...

- To nie takie proste. - Pokręcił powoli głową.

- Ale dlaczego sam nie próbowałeś go dorwać? - spytała Jaina. - Dlaczego kazałeś swoim ludziom zostawić go dla mnie?

- Bo gdybym postąpił z nim, tak jak na to zasługuje, to kiedy prawda pójdzie w zapomnienie, a wy będziecie potrzebowali wymówki, żeby przestać mieć do siebie pretensję za to, co się stało, twoja rodzina znów miałaby powód do zwaleni całej winy na tego wrednego, zdeprawowanego Bobę Fetta. O nie, sami wyrównujcie swoje rachunki. Zastanawiałem się co prawda, czy wycofuję się dlatego, żeby poszczuć na siebie Skywalkerów i Solo, żeby cierpieli, ale to nie tak. Tylko Jacen zasługuje na karę, a ja koniec końców wolałabym, żeby żył dość długo, by zaznać w życiu wiele bólu. Jak mówiłem... trup mi niepotrzebny.

Jaina próbowała zgadnąć, czy Fett po prostu robi jej wykład, czy może naprawdę tak długo go to gryzło, że musiał się komuś wygadać. W końcu uznała jednak, że Fett po prostu głośno myśli, próbując znaleźć odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Poczuła się nagle dziwnie mała i niepotrzebna.

- Zauważyłam, że jak chcesz, umiesz budować całkiem długie zdania - rzuciła dla rozładowania atmosfery.

- Doliczam każdą sekundę do twojego rachunku, Solo.

- Wiem, że nienawidzisz Jedi, i rozumiem to - zmieniła nieco temat. - Widziałeś, jak zginął twój ojciec i sam musiałeś nauczyć się, jak przetrwać...

- Nie - przerwał jej ostro Fett. - Nic nie łapiesz. Gdyby jednak ktoś z tej waszej czeredy miał coś z tego zrozumieć, to pewnie byłabyś to właśnie ty.

Podparł się na jednej ręce i wstał. Jak na swój wiek, wydawał się w całkiem niezłej formie. Zszedł ze wzgórza i skierował się na Kel- dabe, nie oglądając się za siebie, chociaż Jaina i tak wiedziała, że nie musi - jego HUD wyświetlał obraz z przodu, z tyłu i z boków. Nie była pewna, czy dostała odpowiedź na swoje pytanie, ale na pewno pojawiło się kilka dodatkowych. Postanowiła złamać jedną ze swoich zasad i puściła się za nim biegiem.

- Hej, nie bądź taki enigmatyczny, Fett! - zawołała. Kiedy do niego dotarła, szarpnęła go za ramię i pomagając sobie Mocą zmusiła, żeby odwrócił się w jej stronę. Biorąc pod uwagę temat ich przerwanej rozmowy, raczej nie zarobiła tym u niego dodatkowych punktów. - Jedi zabił twojego ojca. Ty ścigałeś mojego. Dlatego cię zmienawidziłam i przez długi czas źle życzyłam wszystkim Manda- lorianom. To przecież...

- Chcesz wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - przerwał jej.

- O co?

- Mace Windu zabił mojego ojca. Parszywy gnojek skończył, wychodząc na wieczny spacer przez okno w gabinecie Palpati- ne'a, więc nie miałem okazji wpakować mu serii w łeb. Przez kilka lat wyładowywałem złość na każdym Jedi, jaki wpadł mi w ręce, aż w końcu przystopowałem i zastanowiłem się nad tym wszystkim.

Wyszło mi, że użytkownicy Mocy bez wyjątku oznaczają kłopoty. Sithowie, Jedi - bez różnicy, chociaż akurat ci pierwsi zawsze lepiej płacili. Każda większa wojna od czasów Starej Republiki... no, może z wyjątkiem tej z Vongami... zaczynała się od waszych zatargów. Wciągalście w nią kogo popadnie. I to nie jest tylko zdanie moje czy takich jak Venku. Przychodzi taki moment, że ludzie zaczynają kombinować i dochodzą do wniosku, że może wcale nie jesteście strażnikami galaktycznego pokoju.

- Przymieralibyście głodem, gdyby nie było wojen, w których moglibyście walczyć - burknęła. - Wykorzystujemy tylko okazję. I naprawdę strzeżemy pokoju. Nie można wiecznie dążyć do niego samym tylko apelowaniem do „zdrowego rozsądku”.

- Och, racja. Zupełnie zapomniałem! - prychnął Fett z sarkazmem. - Litościwi Jedi... - Wyciągnął do niej rękę. - Daj mi twój miecz świetlny. Zostawiłem wszystkie w domu.

- Po co? - spytała nieufnie.

- Po prostu mi go daj.

Jaina odpięła rękojeść od pasa. Przemknęło jej przez myśl, że chyba tylko Jedi pokładający przesadną wiarę w opatrzność Mocy oddałby dobrowolnie swój miecz wkurzonemu Fettowi. Mandalo- rianin aktywował ostrze - posługiwał się bronią pewnie i swobodnie, widać było, że ma z nią do czynienia nie pierwszy raz - i odciął buczącą klingą gałąź rosnącego w pobliżu niewielkiego drzewa, a potem wyłączył miecz, odrzucił rękojeść Jainie i podniósł konar.

- Broń na bardziej cywilizowane czasy, mówisz? - Podsunął jej ucięty koniec gałęzi pod sam nos, żeby zobaczyła zapieczony kikut. - Kiedy skracasz tym kogoś o głowę, w mózgu zostaje uwieczniona wystarczająca ilość natlenionej krwi, żeby zafundować temu komuś nawet dwie minuty świadomości. A teraz wyobraź sobie, jak się czujesz, znajdując uciętą takim czymś głowę swojego ojca. Ciekawe, jak dobrze będziesz potem sypiała. - Odszedł, ale tym razem Jaina nie próbowała go dogonić. Minęło dobre kilkanaście sekund, zanim przyszło jej do głowy, żeby krzyknąć za nim i zapytać, jak często jego zdaniem ludzie umierają natychmiast, ale chyba lepiej się stało, że był już za daleko. Dziwne. W jednej chwili była skłonna przyznać, że dobrze się rozumieją a za moment znów między nimi trwała wojna.

Czy to też była część jego planu, mającego ją przygotować do zadania bólu własnemu bratu, żeby w najpotężniejszych rodzinach Jedi doszło do rozłamu?

Myślenie o takich rzeczach nie doprowadzi do niczego dobrego, uznała z rezygnacją. Fett jest tylko

człowiekiem. To twój brat knuje i kombinuje, to on jest prawdziwym problemem...

Fett nie mógł przewidzieć, że jego córka zginie z rąk Jacena. Nie miał też pojęcia, że Jaina go znajdzie i poprosi, żeby uczynił z niej łowcę Jedi. Był tylko zranionym, ale wciąż niebezpiecznym świadkiem wydarzeń, i próbował się bronić tak jak umiał.

No dobrze, Jacenie, przemówiła w myśli do brata. Czy ty zawahałbyś się mnie zabić, gdybym to ja zaatakowała cię zamiast Mary?

Sądziła, że zna odpowiedź, ale już za chwilę wcale nie była tego taka pewna. Była za to pewna, że dziś nie nauczy się już zbyt wiele. Trening nie wchodził w rachubę. Postanowiła wykorzystać wolny czas na próbę nawiązania bliższego kontaktu z innym Mandalorianinem, który jak do tej pory jej unikał: Gotabem, czy jak on tam się zwał, kiedy jeszcze używał miecza świetlnego.

Życie chyba nieźle dało mu w kość. Musiał być naprawdę szalony - albo zdesperowany - żeby wybrać taki los.

A może po prostu ten nieprzyjazny świat był ostatnim miejscem, w którym ktoś szukałby Jedi...?

Farma Beviina i Vasura, niedaleko Keldabe

- Mirto, gdzie się podziewałaś? - spytała Sintas.

- Pracowałam, *Ba 'buir*.

Fett przyglądał się, jak jego była żona po omacku obchodzi pokój. Patrzenie na nią podczas gdy ona nie mogła go widzieć, wprawiało go w dziwne zakłopotanie. Czuł się jak intruz, włączający z buciorami w czyjeś życie. I chociaż bardziej niż na cokolwiek innym zależało mu teraz na zrobieniu dla niej czegoś pożytecznego, to nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać.

W końcu kobiety znalazły się i uściskały serdecznie.

- Co to była za praca, kochanie?

- Przejęliśmy imperialny gwiazdny niszczyciel.

Sintas lekko rozchyliła usta, a potem parsknęła śmiechem.

- Ach, czyli zupełny drobiazg! Jacyś ranni?

- Mnóstwo ludzi - odparła Mirta. - Ale nikt z naszych.

- Pamiętam, jak rozebrać blaster - powiedziała po chwili milczenia Sintas.

- Byłaś przecież łowczynią nagród, *Ba 'buir* - przypomniała jej łagodnie wnuczka.

- Pamiętam, że kiedyś ścigałam człowieka, który miał coś, co chciałam dostać... metalowe pudełko. Chyba powinnam przypomnieć sobie, na czym polega zawód łowcy nagród, jeśli chcę znów tak zarabiać na życie - westchnęła Vel.

Obserwując, jak Sintas rozpaczliwie chwyta się skrawków swojego życia, żeby z powrotem stanąć na nogi, Fett czuł się podle. Przypominało mu to, że poniósł porażkę w każdej sferze życia, oprócz zawodowej: najlepiej wychodziło mu zabijanie. I nie to niepokoiło go najbardziej, że pozbawił życia niezliczoną liczbę istot, ale to, że kogoś zawiódł. Nie dorastał swojemu ojcu do pięt. Jango Fett nauczył go, jak być doskonałym żołnierzem, ale pokazał mu również, jak być wspaniałym ojcem, a z tych dwóch lekcji Boba przyswoił tylko jedną.

- Sin - powiedział łagodnie. - Już nigdy nie będziesz się musiała martwić o pieniądze. Jestem ci winien sporo kredytów i zamierzam ten dług spłacić.

Sintas odwróciła się w jego stronę i zaczęła torować sobie do niego drogę. Wiedział, że chce go dotknąć; to było nieuchronne. Widział to w jej pustych oczach i bał się tej chwili, bo zdawał sobie sprawę, że wraz z jej dotykiem wróci do niego to wszystko, o czym chciał zapomnieć - nie tylko wspomnienia, które dawno temu wyrzucił z pamięci. Dotyk obudzi pamięć zmysłów i przypomni mu, jak to było trzymać ją w ramionach... A przecież ta część jego życia była dawno martwa i pogrzebana. Zostawiłeś ją na pastwę losu... - szeptał mu uparcie

wewnętrzny głos.

Sintas znalazła jego rękę i chwyciła ją.

- Skoro za ciebie wyszłam, musiałam mieć dobry powód - stwierdziła lekko. - Cokolwiek poszło nie tak, chyba nadal jesteś dobrym człowiekiem.

- Sin, muszę ci powiedzieć coś jeszcze... - westchnął. - I nie będą to dobre wieści. - Nie puszczała jego ręki. Widział swojażonę w najlepszej i najgorszej formie, i nigdy nie mógł się nadziwić, jaka jest piękna. Musiał uwolnić dłoń z jej uścisku, ale... nie chciał tego. Z ich związku nie zostało nic, co można by uratować i Fett nie zamierzał nawet próbować.

Wyobraź sobie, że oboje byliście szczęśliwi w czasach, kiedy zaginęła, powiedział sobie. Wyobraź sobie, że tęskniłeś przez te wszystkie lata, a potem nagle los ci ją zwrócił, ale dzieli was bariera wieku... I ona już cię nie chce, nawet gdyby bardzo się starała rozbudzić w sobie tamto uczucie.

Tak, zdecydowanie lepiej, że tak się stało - skoro ich drogi znowu się przecięły.

- Wyczułam... pewne rzeczy... coś w ognistym sercu - powiedziała Sintas. - Ale nic z tego nie rozumiem.

- No dobrze. Usiądź. - Fett podprowadził ją do krzesła. Mirta przyglądała mu się spode łba, jakby czekała na jakieś jego potknięcie. - Nasza córka nie żyje.

Sintas zareagowała na wieści, mrugając nerwowo. Minęła dobra chwila, zanim znów się odezwała:

- Prawie w ogóle jej nie pamiętam, wiesz? To straszne... Co się z nią stało? Musiała być już dorosła, skoro dochowała się Mirty...

To było jak strzelanie na ślepo, a Fett nienawidził podobnych zgadywanek.

- Muszę ci to wszystko opowiedzieć teraz, bo inaczej codziennie będę ci zadawał nowe rany - ostrzegł ją. A może dlatego, że chcesz to z siebie wyrzucić i uciec jak najdalej, najszybciej jak się da? - spytał złośliwie jego wewnętrzny głos. - Została zamordowana, Sin - westchnął. - Była łowczynią nagród. Obwiniła mnie za to, że musiałaś tak ciężko pracować na wasze utrzymanie; wiedziała, że powinienem być z wami zostać i o was zadbać. Przez całe lata próbowała mnie odnaleźć i zabić, ale w końcu została aresztowana przez tajne służby na Coruscant. Zmarła podczas przesłuchania. Miała pięćdziesiąt trzy... albo pięćdziesiąt cztery lata, o ile się nie mylę. To wszystko. No, może poza tym, że od małego uczyła Mirtę nienawiści do mnie. Mirta też próbowała mnie zabić, ale... jakoś się dogadaliśmy.

Przysłuchująca się ich rozmowie wnuczka nawet nie mrugnęła. Stała obok, z obojętnym wyrazem twarzy, jakby już dawno się ze wszystkim pogodziła. Najgorsze minęło, a Sintas świetnie sobie radziła z kontrolowaniem własnych reakcji, Fett musiał to przyznać. Prawie udało jej się ukryć szok - z wyjątkiem drżenia warg, co ją zdradziło, kiedy przez chwilę nie mogła wykrztusić pytania, cisnącego jej się na usta. Po chwili dała jednak za wygraną i przestała walczyć. Cierpienie w pustych oczach Sintas bolało tym bardziej, że nie mogła widzieć wyrazu twarzy jego ani ich wnuczki.

Żal, poczucie winy, ból, gniew... Szkoda, że tego nie widzisz, Sin, powiedział do niej w duchu. Jestem jednak pewien, że wyobrazasz sobie, jak się czuję.

- Ten buhacz, który zabił moją dziewczynkę... - wykrztusiła w końcu Sintas. - Gdzie on jest? Czy wciąż żyje? Zajmę się nim... - Ból zastąpiła fala wścieklej furii. Może te wydarzenia były dla niej tak oderwane od rzeczywistości i przytłaczające, że nie potrafiła nawet zapłakać? Fett dobrze wiedział, że w takich momentach lepiej jest dać upust emocjom niż starać się z nimi walczyć. - Jak mogłaś chcieć zabić własnego dziadka, Mirto? - Najwyraźniej Sintas znów wzięła się w garść; w jej głosie brzmiała teraz lekka przygana. - Przecież nawet go nie znałaś...

Ich losy po trochu się rozplątywały. Fett starał się jak mógł. To wszystko była jego wina. Musiał teraz ponieść konsekwencje faktu, że skutki jego decyzji wymknęły mu się spod kontroli i zaczęły żyć własnym życiem. Czuł, że nigdy nie robił nic innego oprócz ranienia innych.

- Nie miej do niej pretensji, Sin - powiedział cicho. - Nie wiem, czy Ailyn zdawała sobie z tego sprawę, ale miała rację, że mnie znenawidziła. Jedyne plus tej sytuacji to to, że jestem teraz obrzydliwie bogatym

staruchem, a ty jesteś ciągle młoda, więc możesz opływać w luksusy i korzystać z życia.

Starczy już. Tej granicy emocjonalnej nie mógł przekroczyć. Gdyby był taki jak Beviin... gdyby miał odwagę i nie bał się miłości ani ryzyka, że zostanie przez nią zraniony, przytuliłby Sintasa i opowiedział jej o wszystkich tych pozornie nieistotnych szczegółach. Może dzięki temu cios, jaki jej zadał, nie byłby taki bolesny i wszystko nabrałoby większego sensu, kiedy opadnie pierwsza fala szoku i gniewu. Ale nie był taki jak Beviin i nie mógł nic na to poradzić. Już miał zrzucić z piersi resztę przytłaczającego ciężaru i wyjaśnić jej, dlaczego się rozstali, ale w ostatniej chwili stchórzył. Nie miał na to siły. W końcu, pomyślał, w wentylator może wpaść tylko ograniczona ilość osiek.

- Do zobaczenia później - mruknął. - Chyba uda nam się znaleźć lekarza, który przywróci ci pamięć... i może także wzrok.

Sintas podniosła rękę do ust w geście zdumienia... i przerażenia.

- Och... Cóż, przynajmniej będę na to gotowa...

- Przykro mi.

Potarła oczy, jakby była zmęczona.

- Mnie też przykro, Bo - szepnęła. Chyba nawet nie zdawała sobie sprawy, że go tak nazwała. Bo... Nikt inny się do niego tak nie zwracał. Tylko ona.

- Idź już - ofuknęła go Mirta. - Masz robotę. Posiedzę z nią trochę.

Fett próbował w myśli obliczyć, ile czasu tak naprawdę spędzili wspólnie z Sintasa, od kiedy wróciła - i wyszło mu, że nawet nie jeden cały dzień. Nie, zdecydował, nawet gdyby te wszystkie stracone lata magicznie zniknęły, nie zrobiłoby to żadnej różnicy. Nie potrafił obcować długo z ludźmi. Kiedy wyszedł na zewnątrz, natknął się na Beviina, piłującego deski na podwórzu.

- I jak? - spytał Goran, chociaż wyglądał, jakby znał odpowiedź.

- Źle - odpowiedział Fett. - Ale mogło być gorzej.

To było domostwo Beviina, a on w jakiś dziwny sposób zbrukał je, wnosząc do niego na podszwach resztki swojego jałowego życia. Goran jednak ani razu mu tego nie wypomniał. Zamiast tego przyjął jego żonę po przejściach i bawiącą tu przejazdem Jedi, której rodzina była równie zdeprawowana, jak - zdaniem wielu - on sam. Fett musiał go o to zapytać. Inaczej Beviin mógłby pomyśleć, że nie zdaje sobie sprawy, że przyjaciel raz za razem ratuje mu tyłek.

- Dlaczego wciąż mi pomagasz, Goran? I nie chcę słyszeć, że to obowiązek wobec *Mand'alora*.

- Dlatego - westchnął po chwili milczenia Beviin - że nikt nie może żyć w taki sposób jak ty i nie zauważać, ile mu to przysparza cierpienia. - Zabrał się znów do piłowania drewna. - Chyba po prostu jestem wdzięczny, że mnie nie przydarzyło się coś takiego. - Beviin był z nim zawsze szczery... czasem aż do bólu.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego to robicie. - Fett nie dawał za wygraną. - Shysa... Spar... Dlaczego po prostu nie machnęli ręką i nie powiedzieli: „Fetta to i tak nie obchodzi, więc dlaczego ja miałbym cokolwiek dla niego robić?” Spara nawet nie znałem...

- Słyszałem, że zrobił to dla Shysy, bo on powiedział mu, że *Mand'alor* musi robić na osobach z zewnątrz wrażenie silnego i zdecydowanego. - Beviin wzruszył ramionami.

Fett nie miał zamiaru się oszukiwać, że zrobili to z powodu jego czarującej osobowości. Bywał wredny, tyle że traktował wszystkich w ten sam sposób, więc chociaż o to nikt nie mógł mieć do niego pretensji.

Wiedział też, że wszystkie problemy da się załatwić, jeśli wpakuje się w ich rozwiązanie odpowiednio dużo kredytów: wynajmij zabójcę, łowcę nagród albo kogoś, kto będzie się troszczył o twoją zaniedbywaną żonę, a wszystko znów wróci do normy. Jedyną rzeczą której nie można kupić nawet za wszystkie kredyty galaktyki, jest czas.

Mirta miała rację, stwierdził. Miał robotę, a nawet gdyby nie miał, to coś by sobie znalazł. Wrócił do

„Niewolnika I” i wybrał na komunikatorze kod swojego agenta.

Mawiano o nim, że potrafi dosłownie wszystko, więc teraz będzie miał okazję to udowodnić. Musi znaleźć największe błękitne ogniste serce na rynku - najrzadszy i najdroższy z klejnotów tej galaktyki.

Pub Oyu'baat, Keldabe

- Podobno chciałaś się ze mną widzieć, Jedi.

Jaina podniosła głowę, chociaż i tak wyczuła, że nadchodzi. Obecność Gotaba w Mocy była bardzo charakterystyczna. Venku, jak zawsze kręcący się w pobliżu starszego mężczyzny, by w każdej chwili służyć mu pomocą tlił się w Mocy jak przytłumiony płomień. Obaj byli czujni i dość wrogo nastawieni.

- Zgadza się, Gotabie. - Wstała od stołu i odsunęła mu krzesło. Barman o imieniu Cham przyniósł im trzy kufle ciemnego ale. - Z tobą też, Venku. Siadajcie, proszę.

Mężczyźni zdjęli hełmy. Teraz, kiedy Jaina spędziła już na Mandalorze trochę czasu, w rysach twarzy młodszego zauważała uderzające podobieństwo do Fetta. Miał co prawda inne usta, ale reszta... nie mogło być mowy o pomyłce. Miała do czynienia z materiałem genetycznym najslawniejszego łowcy nagród w galaktyce - szybko nauczyła się tak go nazywać. A przecież nie byli rodziną.

- Czego chcesz? - wypalił bez ogródek Gotab. - Słucham.

- Jesteś uzdrowicielem. - Bardziej stwierdziła, niż spytała.

Gotab zdjął rękawice, odsłaniając pomarszczone, żyłaste dłonie,

które podniósł pod światło.

- Tak - powiedział. - Swego czasu sporo leczyłem. Wyglądam staro na swój wiek, prawda? Uzdrawianie jest wyczerpujące.

- Ilu ludzi tutaj wie, że jesteś Jedi? - spytała.

- Byłem Jedi - poprawił ją. - Zostałem Zakon jakieś sześćdziesiąt lat temu i zostałem *Mando 'ad*. Sądzę jednak, że komuś tak silnemu Mocą jak ty dosyć łatwo mnie przejrzeć, prawda?

- A ty, Venku? - Nie uzyskała jeszcze odpowiedzi na swoje pytanie, czy ktoś wiedział, kim są naprawdę. - Ciebie nieco trudniej namierzyć, ale potrafisz władać Mocą, mam rację?

- Potrafię - potwierdził niechętnie. - Ale staram się tego unikać.

- A więc kto o was wie? - nie ustępowała. - Założę się, że nikt. Czy nadal się boicie? Nie wierzę. - Pokręciła głową. - Naprawdę wiem, jak to jest być Jedi i wejść do kantyny pełnej *Mando* - dodała z przekąsem.

- A dlaczego cię to interesuje? - odpowiedział pytaniem Gotab.

- Na wypadek gdyby mogło to dla was mieć poważne konsekwencje - wyjaśniła. Mężczyźni spojrzeli po sobie, jakby bezgłośnie się konsultowali. W końcu Venku westchnął i pokręcił głową.

- *Buir* - powiedział - jeśli po tych wszystkich latach chcesz mieć czyste konto, a któryś *Mando* chociażby krzywo na ciebie spojrzy, to wiesz dobrze, że go zabiję... Po tym wszystkim, co zrobiłeś dla Mandalory, nikt nie ma prawa nazwać cię *jetu*.

- A co z tobą *Kad'ikal* - spytał Gotab.

- Teraz już Kaminoanie i tak nie mieliby ze mnie żadnego pożytku - burknął chłopak.

Gotab parsknął lekceważąco.

- Fett i tak pewnie chętnie cię sprzeda.

Jaina domyślała się, że uderzyła w czułą strunę, a teraz, kiedy padło nazwisko Fetta, upewniła się, że coś jest na

rzeczy.

- Widzę, że nie przepadacie za Fettem - powiedziała.

Gotab wzruszył ramionami.

- Według mnie facet jest kompletnie zdeprawowany. Kiedy Mandalora była pod okupacją Imperium, nawet się nią nie zainteresował.

- Czegoś tu nie rozumiem, Gotabie. Pozwól, że wyjaśnię, dlaczego pytam o to wszystko - westchnęła Jaina. Z zaskoczeniem odkryła, że czuje potrzebę, żeby bronić Fetta. To nie było tak, jak myśleli ci dwaj. Co prawda kierował się dość surowymi zasadami, które nie pasowały do takiego pojęcia etyki, jak rozumiała to większość istot, ale na pewno nie był kompletnie zdeprawowany. - Ekszona Fetta, Sintas, była zamrożona w karbonicie przez ponad trzydzieści lat. Cierpi teraz na ślepotę i ma amnezję - powiedziała. - Miałam nadzieję, że podejmiesz się jej leczenia. Do tej pory zrobiła duże postępy, ale lekarze niewiele mogą już zrobić.

- Jesteś pewna, że ta kobieta chce pamiętać, że wyszła za Fetta? - parsknął Gotab.

Cóż, nie zabrzmiało to zbyt pochlebnie; były Jedi musiał wiedzieć, że ich małżeństwo nie było szczęśliwym stadłem.

- Fett uważa, że tak będzie bardziej w porządku wobec niej. Jeśli Sintas pozna swoją przeszłość, będzie mogła rozsądniej zdecydować o przyszłości.

Gotab odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał porozumiewawczo na Venku.

- Hej, widziałem w życiu wiele dziwnych rzeczy, ale żeby Fett wyhodował sobie nagle sumienie? *Wayii!*

Chłopak wziął jedną ze szklanic *ne 'tra gala*, gęstego, słodkiego ale, i zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w ciemny płyn.

- Pewnie już się domyślasz, że nie darzymy Fetta zbytnią sympatią, chociaż trzeba mu przyznać, że ostatnio trochę bardziej poczuwa się do swoich obowiązków - stwierdził.

- A więc nie pomożecie jego byłej żonie...

- Naprawdę myślisz, że potrzebna jej taka pomoc? - spytał Gotab.

- Hm, cóż... świadomość, jakim draniem był twój mąż, nie może być gorsza niż pozostanie przez resztę życia ślepy, w dodatku bez wspomnień, nawet o własnym dziecku. - Jaina zaczynała się niecierpliwic. Musiała za wszelką cenę dowiedzieć się, czy ujawnienie prawdziwej tożsamości tych dwóch mężczyzn może ich w jakiś sposób narazić na kłopoty. - A gdyby wasi sąsiedzi odkryli, kim jesteście, czy będziecie mieli z tego powodu nieprzyjemności? - spytała.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do środka wszedł Carid z grupą mężczyzn; wszyscy śmiali się z czegoś głośno. Baltan pomachał jej, jakby była jego starą znajomą. Nie wyobrażała sobie, żeby ktoś taki jak on mógł nastawać na życie tego słabowitego staruszka i skrzywdzić go tylko dlatego, że ten był kiedyś Jedi. Skoro Gotab spędził na Mandalorze sześćdziesiąt lat, musiał wiedzieć, że Mandalorianie - nieważne, za jak brutalny i prymitywny lud ich uważano - nie mieli w zwyczaju obwiniać innych za to, kim byli ich rodzice czy bracia. Na Mandalorze, jeśli tylko tego chciałeś, twoja przeszłość przestawała istnieć.

- To pewnie byłby dla Fetta niezły szok - mruknął Venku. - Ale może to dobre wyjście... jeśli nawet ktoś się o nas dowie i będzie chciał to wykorzystać, najpierw będzie musiał rozmówić się ze mną... i nie będzie to miła rozmowa.

- Proszę... - nie ustępowała Jaina.

Sześćdziesiąt lat ukrywania podobnego sekretu to naprawdę sporo. Domyślała się, że konspiracja weszła Gotabowi w krew, a zresztą pewnie nie mógł sobie nawet wyobrazić, że miałby ujawnić światu prawdę o sobie - bo i po co? Ona sama dobrze znała ciężar mrocznych tajemnic własnej rodziny, na przykład opowieści

o dokonaniach jej dziadka. Im dłużej przebywała z Fettem i pośród Mandalorian, tym więcej widziała łączących ją z nimi podobieństw,

I zastanawiała się, które ze zdarzeń splatających ich losy podsycali przez lata wzajemną niechęć.

- Walczyłem jako generał Jedi w Wojnach Klonów - wyznał w końcu Gotab. - Opuściłem Zakon, bo nie mogłem znieść tej całej gadaniny o współczuciu, a jednocześnie przemykania oka na wykorzystywanie klonów jako mięsa armatniego, jako walczących za nas niewolników. Klony, z którymi służyłem, były moimi braćmi. Pomagałem im w ucieczce, uzdrawiałem ich, robiłem co w mojej mocy, żeby zadośćuczynić całemu złu, które wyrządzili im Jedi. A Venku... *Kad'ika*... Jego matka była Jedi, a ojciec klonem. Ukrywaliśmy go przez całe lata przed Imperium, bo obawialiśmy się, że kiedy odkryją jego pochodzenie, zechcą wyhodować z jego materiału genetycznego nową armię klonów. I robiliśmy to tak skutecznie, że nawet ten adwokat Fetta, Beviin, nie wiedział, kim jesteśmy ani z jakiego klanu pochodzimy.

Nie wyjaśnił swojej niechęci do Fetta, ale Jaina podświadomie czuła, że nie wyciągnie od niego nic więcej. Życie w strachu i nieustanna konieczność zachowania ostrożności niewątpliwie mogły zaowocować paranoją.

- To... - zawahała się. - To jak będzie? Spróbujesz uzdrowić Sintas Vel?

- Uzdrowianie to ciężka praca - burknął Venku. - Spójrz tylko, co z nim zrobiła.

- Fett dobrze ci zapłaci, a jeśli nie on, ja to zrobię - stwierdziła stanowczo.

Gotab skinął głową jakby potwierdziła właśnie jakieś jego przypuszczenia.

- Cóż, twój brat zabił jej córkę - westchnął. - Chociaż tyle możesz dla niej zrobić. - Niech to szlag, zakłęła w duchu Jaina. Czy jest tu chociaż jedna osoba, która nie zna bolesnych szczegółów losów jej rodziny? - Ale nie chcę twoich kredytów - podjął były Jedi. - Ani tym bardziej Fetta. Zrobię to dlatego, że mogę. Nie odmówię twojej prośbie tylko dlatego, że biedaczka była kiedyś żoną Fetta.

No, to już było coś: w negocjacjach nastąpił przełom.

- Ona jest na farmie Beviina - powiedziała Jaina.

- Więc nie będą już nas brali za Kiffarów, co? - spytał z lekkim żalem Gotab.

- Nie. Ale teraz nikt już nie prześladowuje Jedi - przypomniała. - Czystka to przeszłość.

Venku nie wypił dużo swojego drinka, a Gotab swojego nawet nie tknął. Młodszy mężczyzna wstał, dając Jainie do zrozumienia, że ich krótkie spotkanie dobiegło końca.

- To by wyjaśniało, dlaczego Rada Jedi dała drapaka z Coruscant - parsknął pogardliwie. - Skoro być w dzisiejszych czasach Jedi to nic takiego...

Najwyraźniej, mimo życia pędzonego w głuszy, byli na bieżąco - a na tym odludziu głusza była głuszą z prawdziwego zdarzenia.

- Ale ty nie jesteś Jedi - zauważyła Jaina. - Nie przeszedłeś żadnego szkolenia.

- W dodatku jestem zdecydowanie za trzymaniem Jedi z dala od spraw rządowych... Sithów, ma się rozumieć, też - warknął Venku. - Jednak zawsze będę wrażliwy na Moc, nieważne, jak mocno będę próbował się od tego odciąć, i nigdy nie będę czuł się komfortowo w obecności osób, które o tym wiedzą. Kiedy ludzie się zorientują że władasz Mocą od razu myślą że zaczniesz manipulować ich umysłami.

Jaina miała ochotę wcisnąć na odchodnym Gotabowi w rękę kredytowy czip - przecież musiał z czegoś żyć, jak cała reszta - ale nie wiedziała, jak zareaguje na taki gest. Wróciła na farmę i spędziła resztę dnia, naprawiając robota do zbiorów i układając w myśli kolejne wiadomości do Jaga. Kiedy jednak w końcu przyszło co do czego i usiadła z datapadem w rękę, nic jej nie pasowało. Działo się za dużo, żeby mogła mu wszystko streścić. W końcu, zamiast zadzwonić do niego czy do swoich rodziców, wysłała tylko lakoniczną informację, że wszystko u niej w porządku, niedługo się z nimi skontaktuje i świetnie się bawiła podczas lotu *Bes 'uliikiem*. Prawie w tej samej chwili, kiedy wysłała wiadomość, przypomniała sobie, że dopiero co wszyscy obejrzeli nagranie z Jacenem. Nagle określenia „w porządku” i „bawić” wydały jej się wyjątkowo nie na miejscu. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia: jak mogła im w takiej chwili zawracać głowę podobnymi głupstwami? Uznała jednak w końcu, że w życiu potrzebna jest czasem odrobina iluzji, świadomość, że ciągle istnieją zwykłe, proste przyjemności, którymi można się cieszyć nawet w chwilach najczarniejszej rozpacz.

Tego wieczoru, podczas kolacji z rodziną Beviina, rozśmieszała Shalka i Briilę, ostrożnymi pchnięciami Mocy przesuując ich talerzyki; nagle poczuła, że do gospodarstwa zbliżają się Gotab i Venku.

- Beviin? - nachyliła się w jego stronę, żeby dzieci nie słyszały, o czym mówi. - To Gotab. Ma się zająć uzdrawianiem Sintas. Jest Jedi, a przynajmniej był nim kiedyś. Proszę, nie traktuj go z tego powodu źle... Jest jednym z was już prawie sześćdziesiąt lat.

Beviin i Medrit spojrzeli po sobie z niepokojem. Było oczywiste, że adwokat Fetta, jak nazwał Beviina Gotab, jest zaskoczony i zły, że ktoś zdołał ukrywać taki sekret pod samym nosem przez tyle czasu. Goran przeżuwał przez chwilę w zamyśleniu, ze wzrokiem wbitym w dzbanek kawy.

- Nie musimy mówić Fettowi, że to on, jeśli facet ma takiego cykora - powiedział wreszcie. - No, coś podobnego! A niech mnie! *Jetii* żyjący jakby nigdy nic pośród nas! Ciekaw jestem w takim razie, co z Venku...

Jaina darzyła Beviina dużą sympatią ale uznała, że nie musi wiedzieć, że Venku jest synem Jedi. Jeśli chłopak będzie chciał, sam im o tym powie. I tak już chyba trochę się zagalopowała.

Z trudem przywołała na twarz uśmiech.

- Pamiętaj, że Gotab jest uzdrowicielem. Może Venku ma wobec niego jakiś honorowy dług?

Cóż, pewnie było w tym ziarno prawdy. A przynajmniej Jaina uznała to za wystarczająco realne, żeby podobna sugestia nie wzbudziła w niej poczucia winy. Beviin wstał, żeby wpuścić Gotaba do środka, a Medrit spojrzął na nią spod oka. Dinua i Jintar zajęli się dziećmi.

- Plotki chodziły od dawna - mruknął. - Ale nikt nigdy nie sądził, że może chodzić właśnie o Gotaba.

Jaina pożałowała, że nie wpadła na to, żeby zorganizować Sintas sesję uzdrawiającą w *Oyu 'baat*.

- Jestem pewna, że dawno spłacił swój dług wobec was - powiedziała cicho.

- Nie został Jedi z wyboru, prawda? - spytał Medrit.

- Nie, za to sam zdecydował, że chce być jednym z was.

- A więc nie ma o czym dyskutować. - Shalk wlepił w dziadka okrągłe ze zdumienia oczy w sposób charakterystyczny dla ciekawskich dzieci, podejrzewających, że dorośli ukrywają jakieś sekrety. - A to oznacza, że Jainę Skirata należy do ich klanu. Co czyni całą sprawę jeszcze bardziej interesującą...

Gotab wszedł do pokoju z Venku nie odstępującym go ani na krok. Dzieci patrzyły na nich z otwartymi buziami.

Gotab skinął Jainie głową. Goście bez słowa ruszyli za nią do pokoju Sintas.

- A więc potraficie zdziałać cuda? - przywitała ich Kiffarka, kiedy weszli. - Starczy mi jeden cud.

- Nie musisz się na to zgadzać - powiedział Gotab. - Wiem, że wiele przeszłaś.

Zaburzenia pamięci się nie liczyły; Sintas miała niezłomną wolę, która na pewno dobrze jej służyła w zawodzie łowcy nagród.

- A więc muszę stawić temu czoło - zdecydowała. - Przeszłość jest częścią tego, kim jestem.

Jainę ogarnęła nagle fala współczucia dla całego klanu Fetta; spróbowała sobie wyobrazić, jak ona by się czuła, gdyby straciła Jaga i odnalazła go dopiero, kiedy byłaby już za stara, a łączące ich uczucie zbyt nadszarpnięte, żeby warto było o nie walczyć. Nic nie mogło z powrotem poskładać rozbitej rodziny Fetta w całość. Dzieci Mirty będą pierwszym pokoleniem, które zyska szansę na normalne, spokojne życie.

- Zostań - poprosił ją Gotab. - Na wszelki wypadek, gdybym potrzebował małego wsparcia w Mocy.

Uzdrawianie było dla postronnego obserwatora procesem mało widowiskowym i dość monotonnym. Gotab usiadł na brzegu łóżka Sintas i położył jej delikatnie dłonie na głowie. Nawet dla Jainy, przywykłej przecież do medytacji, dwie godziny spędzone na siedzeniu bez słowa w towarzystwie kogoś praktycznie obcego, stanowiły wyzwanie.

- Och... Ojej! - wyrwało się w pewnej chwili Sintas. - Jakie to dziwne!

Gotab uśmiechnął się pod nosem. Jaina nie mogła się nadziwić, jak bardzo ten uśmiech odmienił jego poraną zmarszczkami twarz.

- Leczyłem dawniej uszkodzenia mózgu i wszyscy moi pacjenci mówili, że mają chaotyczne przebłyski wspomnień. Spokojnie, to nic niezwykłego.

- To nie wspomnienia - wyprowadziła go z błędu Sintas. - Widzę... światło.

Jainę ogarnęła euforia. Wszystko wskazywało na to, że nerw wzrokowy Vel znów zaczyna przewodzić impulsy.

- Ile sesji potrzeba, aby w pełni wróciła do zdrowia? - spytała.

- Nie mam pojęcia - wyznał szczerze Gotab. Zdjął jedną rękę z czoła Sintas i przysunął do łóżka lampę. - Jeszcze nigdy nie uzdrawiałem Kiffarki.

Sintas wzdrygnęła się lekko.

- Widzę... kontrast. - Potarła nerwowo oczy i odwróciła się do źródła światła. - Odróżniam jasność od ciemności...

Początkowy entuzjazm JAINY przyćmiła nieco świadomość, że kiedy Sintas odzyska wspomnienia, nie będzie to dla niej przyjemne.

Gotab sprawiał wrażenie wyczerpanego; Venku ujął go za łokieć i ostrożnie zdjął jego rękę z czoła chorej.

- Starczy na dziś, *Buir* - powiedział łagodnie. Jaina wiedziała, że starszy człowiek nie jest tak naprawdę ojcem Venku; była ciekawa, czy chłopak używa tego terminu z czystego szacunku, czy może naprawdę został przez byłego Jedi adoptowany. - Chodź, musisz trochę odpocząć. Czeka nas długa droga.

Na odchodnym Medrit wręczył Venku spory pakunek, zawierający -jak domyślała się Jaina - przetwory i inne produkty spożywcze. Na Mandalorze wciąż jeszcze niełatwo było o pożywienie.

- Jestem pewien, że Fett będzie wam wdzięczny - powiedział na pożegnanie.

- Niepotrzebnie - uciał Gotab, wsparty na ramieniu Venku. - Robię to dla Sintas Vel, nie dla niego. I nie gryż się tym, że nie znalazłeś nas, kiedy Fett wysłał cię na poszukiwania klona w szarych rękawicach... Jaing jest ekspertem w zacieraniu śladów, najlepszym w tym fachu, zresztą tak samo jak my.

Beviin długo wsłuchiwał się w nękający wśród nocy dźwięk silnika śmigacza.

- Chyba ich wystraszyłem - mruknął. - Nie wiem, czy jeszcze wrócą...

Tej nocy Jaina nie mogła zasnąć. Leżała, wpatrując się w ciemność i zastanawiając, co się stanie, kiedy wieści o Gotabie i Venku się rozejdą - bo co do tego, że się rozejdą, nie miała wątpliwości. Czy któryś z nich miał dzieci? - zachodziła w głowę. Czy wrażliwych na Moc Mandalorian było więcej? Wszystko coraz bardziej się komplikowało. To dlatego jej myśli krążyły jak szalone akurat w chwili, kiedy potrzebowała snu, bo musiała się skoncentrować i maksymalnie wykorzystać czas spędzony na szkoleniu u Fetta.

W ciszy mandalorskiej nocy głos niósł się daleko. Do uszu JAINY dobiegały odgłosy zabawy trwającej na farmie Leveta, położonej kawałek dalej. Świętujący wybuchali raz po raz salwami gromkiego śmiechu, a ona ledwo to wytrzymała. Miała ochotę przejść się do nich i kazać się im zamknąć, bo nie dają jej spać. Nagle śmiechy umilkły jak nożem uciał. Po chwili ciszy w powietrze wzbily się pierwsze tony jakiejś pieśni, śpiewanej dźwięcznym, zaskakująco czystym głosem. Ballada była tak rzewna, że Jainę ścisnęło w gardle, a oczy zapiekły ją od łez. Do wiodącego tenoru jeden za drugim dołączały następne męskie głosy.

Nie rozpoznała co prawda ani słowa, poza *Mando 'ade* i *Man- da 'yaim*, ale melodia chwyciła za serce - chwilami Jaina bezwiednie wstrzymywała oddech. Refren powtórzył się dwa razy, po czym głosy znów milkły po kolei, zostawiając tenor śpiewający solo, aż w końcu i ten ucichł.

Chociaż nie rozumiała słów, zdawało jej się, że pieśń mówiła o tęsknocie za domem i o kobietach, czekających w domach na powrót wojowników. Z trudem powstrzymywała łzy. W końcu, przekonana, że i tak już nie usnie,

postanowiła wstać; na dole znalazła Beviina, krzątającego się bezszelestnie po kuchni.

- Ale tu cicho! - szepnęła na jego widok. - Nie wiedziałam, że nie śpisz.
- To te śpiewy - wyjaśnił. - Mam bardzo lekki sen. Pewnie dlatego, że jestem taki nieufny. - Puścił do niej oko.
- Tak, też je słyszałam. To było cudowne! Czy to piosenka o miłości? Jest tak pełna tęsknoty i żalu!

Beviin stłumił rozbawione parsknięcie.

- W wolnym przekładzie brzmi mniej więcej tak: „Nikt nas nie lubi, ale mamy to gdzieś, bo jesteśmy *Mando* i jesteśmy najlepsi”. Wybacz, że zepsułem ci pierwsze wrażenie... Mamy jednak w naszym repertuarze i rzewne ballady - zapewnił ją. Skinął głową w stronę pokoju Sintas. - Chyba ma koszmary - szepnął. - Cokolwiek Gotab jej zrobił, bodźce nerwowe znów zaczynają chyba działać jak należy.

Sintas rzeczywiście musiała mieć koszmary. Jaina nasłuchiwała przez chwilę pod jej drzwiami, a w końcu weszła do środka i usiadła przy niej, na wypadek, gdyby chora obudziła się z krzykiem. Sintas rzuciła się na łóżku, mamrocząc pod nosem bez większego sensu. Jedyne, co Jaina zrozumiała z jej bełkotu, to słowa: „Prze-cież mogłeś im powiedzieć...”

Jakiś czas później oczy zaczęły jej się kleić i zapadła w niespokojną drzemkę.

Kiedy się w końcu obudziła, Sintas siedziała na łóżku, a za oknem świtało.

- *Stang!* - zakląła Kiffarka. - Światło dzienne...
- Widzisz?
- Tak.
- To wspaniała wiadomość! - Jaina wzięła ją za rękę. - Miałś koszmary.
- Śniłam... ale nie wiem, czy to był koszmar. Pamiętam, że byłam na łowach, ale ktoś zastawił na mnie pułapkę, a... a potem ten buhacz mówił, że dostanę za mnie niezły okup... i naszprycował mnie jakimś środkiem nasennym czy czymś...
- Ktoś, kto wiedział, że byłaś żoną Fetta? - podsunęła Jaina.
- Och! *Stang*, pamiętam! Bo zawsze złym okiem patrzył na wszystkich, którzy próbowali ze mną zadzierać... nawet po tym, jak się rozstaliśmy. A potem... Nie, Ailyn, nie...

Jaina przygotowała się na potok traumatycznych wynurzeń. Samo zamrożenie w karbonicie było wystarczająco przerażającym doświadczeniem, a do tego Sintas musiała udźwignąć cały bagaż wspomnień związanych z profesją łowczyni nagród, uraz po rozstaniu z Fettem i brzemię śmierci córki.

- Hej, spokojnie...
- Była taka podekscytowana... - Sintas jakby jej nie słyszała. - Powiedziałam jej, że wrócę z pracy na czas, żeby zabrać ją na Coruscant. Obiecałam, że pokażę jej duże miasto, kupię kilka fajnych prezentów...

Ailyn musiała mieć wtedy jakieś szesnaście lat, obliczyła szybko Jaina. Karbonit i okrutny los zabrały jej niemal czterdzieści lat i życie rodzinne, które mogła mieć. Sintas była twarda jak skała, ale teraz twarz miała mokrą od łez.

- Bo... - wyszeptała nieprzytomnie. - On... zastrzelił kogoś.

Cóż, stwierdzenie było mało precyzyjne i niewiele wyjaśniało.

Jaina podała Sintas chusteczkę, żeby otarła łzy.

- Może poczułabyś się lepiej, gdybyś wzięła jakiś proszek... - zaproponowała.
- Nie, nie! - zaprotestowała spłoszona Sintas. - Chcę sobie wszystko przypomnieć. Muszę! - Podniosła dłoń do

ust. - Ailyn, a potem Mirta... Co takiego jej powiedziałam, że do tego wszystkiego doszło...? Przecież nigdy nie wspomniałam jej o tym ani słowem... Nigdy nie rozmawialiśmy. Nigdy nie powiedziałam jej, dlaczego ja i Bo się rozstaliśmy.

- Mirta była przekonana, że Fett cię porzucił - podsunęła Jaina. Prawie natychmiast dotarło do niej, że nie powinna była tego mówić, ale było już za późno. Raz wypowiedzianych słów nie dało się cofnąć. - Ailyn obwiniła go o to, że nie było go przy tobie podczas twojej... hm, śmierci.

- Wiem, ale... - Sintas zawahała się na moment. - Wiesz, Bo został skazany na wygnanie za morderstwo... To nie było tak, wcale nie. Wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane, niż się wam wydaje...

Jaina zdecydowanie wołała zwięzłą wersję Fetta: zostawił byłą żonę i czuł się podle z powodu konsekwencji swojego czynu. Brzmiało to zwyczajnie i znajomo, jak wiele innych historii, na których prawnicy zbijają fortuny - w przeciwieństwie do wariantu, w którym to wydarzenie stało się motywem zemsty Ailyn, a w rezultacie zamiast oczekiwanego skutku zaowocowało jej śmiercią z ręki brata JAINY. Sintas dała się bez reszty ponieść nurtowi wspomnień, które coraz szybciej zaczynały się łączyć w spójną całość. W jej pamięci rozpad małżeństwa z Fettem był chyba bardziej bolesny, niż przedstawiał to jej były mąż. Ciekawe, pomyślała Jaina. Czyżby ten jeden raz prawo upomniało się o najsłynniejszego łowcę nagród w galaktyce? Nie mogła zaprzeczyć, że cała historia jest tyleż intrygująca, co zaskakująca.

Wiedziała jednak, że Boba Fett nigdy nie robił nic bez powodu - zdążyła się tego nauczyć, przebywając w jego towarzystwie.

- Pójdę po Mirte - zaproponowała niepewnie.

- Nie... - Sintas pokręciła stanowczo głową. - Proszę, jeszcze nie teraz. Mam wrażenie, że jesteś życzliwą osobą która wie, co to znaczy cierpieć z powodu rozpadu rodziny...

Podobno ludzie z Kiffiti mieli zdolności parapsychologiczne. Najwyraźniej w tej plotce było ziarno prawdy, bo Sintas nie mogła lepiej określić tego, co ostatnio się działo w rodzinach Solo i Skywalkerów.

- Dobrze - powiedziała Jaina. - Ale i tak uważam, że powinnaś się z nią zobaczyć.

- Jeszcze nie... - wymamrotała Sintas. - Muszę sobie wszystko poukładać i wymyślić, jak wyjaśnić jej, że... że dziadek został skazany na banicję za zabicie człowieka, który mnie zgwałcił... jego przełożonego.

ROZDZIAŁ 20

Mój panie, Lordzie Caedusie, pozwoliłam sobie zignorować twoje instrukcje co do tego, gdzie szukać Rady Jedi, i wróciłam na planetę, gdzie Luke Skywalker ukrywał się w czasie trwania Rebelii. Jestem na Endorze. Znalazłam tu starą imperialną bazę, która dosłownie kipi od energii Mocy, chociaż obóz opuszczono już jakiś czas temu. Jedi musieli tu być całkiem niedawno, ale nie wiem, dokąd się stąd wynieśli... jeszcze nie wiem.

Wiadomość wysłana przez Tahiri Veilę, uczennicę Sitha, do Dartha Caedusa, Mrocznego Lorda Sithów i przywódcy Galaktycznego Sojuszu

Keldabe, Mandalora: tydzień później

Vevut ogłosił, że tego ranka Mirta i Orade wymienili przysięgę małżeńską, więc należy to uczcić kilkoma toastami i zacząć świętować.

Fett dowiedział się o tym od Beviina. Wiedział, że im dłużej będzie się nad tym zastanawiał, tym bardziej będzie go to gryzło. Siedział samotnie w kabinie „Niewolnika I”, jednym uchem przysłuchując się wiadomościom finansowym HoloNetu i jednocześnie kalibrując swój HUD. Mandalora świetnie radziła sobie bez niego; życie toczyło się dalej jakby nigdy nic.

Musisz dać jej ten klejnot, kołatało mu się po głowie. Właściwie nic to nie zmieni, ale będzie mogła go sprzedać,

a poza tym wysłuchać tego, co zechce jej zdradzić.

Sięgnął do jednej z sakw u pasa i wyciągnął z niej owalny kamień w kolorze królewskiego błękitu: niezwykle rzadkie ogniste serce, szerokości około pięciu centymetrów, mistrzowsko oszlifowane. Jego agent znakomicie się spisał. Trzymany pod światło kamyk mienił się przepięknie wszystkimi kolorami tęczy. Fett ustawił swój wyświetlacz przezierny na powiększenie i przyjrzał się uważnie klejnotowi: wewnątrz krystalicznej powłoki tańczyły opalizujące płomienie. Zdaniem geologów taki efekt wywoływała siateczka mikroskopijnych banieczek pinaklitu, uwięzionych we wnętrzu minerału podczas jego powstawania, co jednocześnie mogło wyjaśniać zdolności kamienia do magazynowania danych związanych z osobą która była jego właścicielem.

Kiffarowie woleli co prawda bardziej mistyczne wyjaśnienie; według nich w kamieniu zostawała zaklęta cząstka dusz dającego i obdarowywanego. Tak czy inaczej, klejnot na pewno miał jakieś zdolności do magazynowania informacji. Gotab - parszywy cwaniak - okazał się Jedi. Fett dowiedział się o tym, mimo że Beviin nie chciał z nim na ten temat rozmawiać. Jedi na pewno mógłby z tego klejnotu odczytać całą historię jego nieszczęśliwego małżeństwa, z najmniejszymi szczegółami. Fett zastanawiał się, ile zmartwień przysporzyłby Sintas, gdyby niebieskie świcidelko faktycznie zachowało kawałek jego duszy...

Wiesz, że to nie jest do końca bajka, powiedział sobie. Masz na to dowód.

Z zamyślenia wyrwało go głośnie łomotanie w iluminator. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył Beviina, gestykulującego niecierpliwie.

- Otwarte - mruknął.

- Zbieraj swoją *shebs* w troki i chodź na przyjęcie weselne swojej wnuczki, *Bob 'ika* - przynaglił go Goran. Stanął w wejściu do statku w swojej kobaltowobłękitnej zbroi, przyozdobionej granatową skórzaną *kamą* - tradycyjnym mandaloriańskim półkiltem. Rzadko go nosił, ale tym razem okazja była wyjątkowa. - Jeśli się nie pojawisz na tym weselu, dasz ciała - powiedział.

Fett podniósł wyżej ogniste serce; trzymał mocno klejnot między kciukiem a palcem wskazującym.

- Pasuje ci do *beskar 'gama*.

- To dla Mirty? - spytał Beviin.

- Dla Sin.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Prezent pożegnalny - mruknął Fett. - Nie chcę jej robić nadziei.

Goran pokręcił głową.

- Sądzę, że bardziej przydałaby się jej część twojego dobytku...

- Jestem przewidujący. - Fett sięgnął do kieszeni i wyjął flim- siplastową kopertę, podobną do staroświeckich teczek, używanych przez prawników. - Są tu wszystkie informacje na temat moich udziałów i majątku - wyjaśnił. - Już nigdy nie będzie musiała zarabiać na życie łowami. Kiedy jej to dasz, powiedz, że...

- *Shab, Bob 'ika!* - wszedł mu w słowo Beviin. - Sam jej to powiedz! To jedyna rzecz, której dla ciebie nie zrobię. Ale jeśli tylko postanowisz mi opowiedzieć, co się stało... to znaczy, całą historię... wiesz, gdzie mnie szukać.

Beviin zeskoczył z drabinki i odszedł bez słowa, łopocząc *kamą*.

Boba Fett zastanawiał się, jak mógłby się pokazać na weselu własnej wnuczki i świętować po tym, co powiedziała jej Sintas. Dobrze się stało, że dziewczyna miała czysty start i że wstąpiła do klanu, który nie miał reputacji rodziny Fetta - ani prześladowającego go pecha.

Wiem, że Sintas niczego by ode mnie nie chciała, pomyślał. Tak samo jak Mirta. Mogę zrobić dla nich chociaż tyle...

Wrócił do majstrowania przy swoim hełmie, zastanawiając się, czy uda mu się nauczyć Jainę Solo rzeczy, dzięki

którym dziewczyna zdoła się zmierzyć ze swoim bratem.

- Co jest grane, Bo? - spytał jakiś głos za jego plecami. - Nie dbasz już o własne bezpieczeństwo?

Przerwał pracę. To była Sintas, stała tuż za nim. Widocznie nie było mu pisane zapomnieć o niej w szybki, prosty sposób... Był naiwny jak dziecko, sądząc, że zdoła uciec przed całym bólem związanym z przeszłością.

- Tutaj, na Mandalorze, nie zwracam sobie głowy blokowaniem wjazdu - mruknął. - Nie muszę się bać *Mando*, Sin.

- Dokładnie to samo mówił Jaster... i zobacz, jak skończył - prychnęła Sintas. - Widzę, że jak tylko odzyskałam wspomnienia, zamierzasz znów mnie unikać... Nadal wściekły?

- Nie. - Czekał, aż żona przejdzie na przód kabiny i spojrzy mu w oczy, ale najwidoczniej nie zamierzała tego zrobić. - Cieszę się, że wracasz do zdrowia - powiedział ostrożnie.

- Dlaczego nie pojawiłeś się na weselu Mirty?

- Z tchórzostwa.

- Powiedziałaś jej... powiedziałaś jej prawdę. Jest załamana.

- Nie powinnaś była tego robić przed jej ślubem.

- Bo, naprawdę nigdy nie zrobiłam nic, żeby Ailyn cię znienawidziła - westchnęła Sintas. - Nie powiedziałam jej o niczym ani słowa. I w tym cały problem. - Westchnęła znowu. - Sama sobie dopowiedziała resztę. Powinnam była jej wszystko wyjaśnić, ale... tak bardzo mi zależało, żebyśmy żyły własnym życiem i zapomniały o tobie... Wiesz przecież...

- Wiem - potwierdził lakonicznie, jednak wiedział też, że wszystko mogło potoczyć się inaczej. Mógł utrzymać z nimi jakiś kontakt, a wtedy Ailyn czułaby przynajmniej, że jest w pobliżu, troszczy się o nie, a nie ma gdzieś. Ale... czy na pewno by to coś zmieniło? - zastanowił się przelotnie. - Też nie jestem zbyt gadatliwy, sama wiesz.

- Gdybyś powiedział w sądzie, dlaczego go zastrześliłeś... nigdy i by cię nie skazali.

- I roztrąbić, co ci zrobił? - warknął Fett. - Nie powiedziałas

o tym nikomu. Nie chciałas, żeby ktokolwiek się dowiedział.

Nie miał wtedy wyjścia. Istniał tylko jeden sposób, w jaki mógł się rozliczyć z tą kanalią Lenovarem. Facet nie był pierwszym lepszym z brzegu gwałcicielem, chociaż już to by wystarczyło, żeby się z nim policzyć - był Wędrującym Protektorem, przełożonym Fetta na Concord Down, stróżem prawa, który powinien był pilnować jego przestrzegania, zamiast kalać swój mundur i zawieść zaufanie Fetta. Gdyby tylko mógł, Boba Fett zabiłby go jeszcze raz, i jeszcze jeden,

I jeszcze... O nie, nie żałował tego. Jediną rzeczą jakiej żałował, były te głupie sprzeczki z Sin i okrutne rzeczy, które jej zarzucał; te pytania, czy Ailyn aby na pewno jest jego dzieckiem - wszystkie te raniące słowa, których teraz nie można było cofnąć. Wiedział, że nigdy nie zdobyłaby się na to, żeby mu powiedzieć o Lenovarze. W końcu sam odkrył prawdę i to było punktem zwrotnym ich związku.

„Winny nie okazuje skruchy”, orzekł sąd. A to ci dopiero! Tego jeszcze brakowało! Za nic!

Pamiętał wszystkie te kłótnie... i wzajemne obwinianie się... i to, co zabrały mu sądy, a potem wygnanie... Jak mógł po czymś takim naprawić swoje małżeństwo? Fakt, takie rzeczy się zdarzały i ludzie jakoś sobie z tym radzili, jednak on... nie potrafił.

Sintas podeszła do fotela pilota. Wiedział, co się stanie i bał się tego; gdyby mógł, wolałby jej oszczędzić kolejnych rozwianych złudzeń.

- Poszłabym za tobą wszędzie, Bo - szepnęła. - Nic mnie nie obchodzi, jak byśmy żyli...

- Wiem. To ja nie byłem na tyle odważny, żeby stawić temu wszystkiemu czoło.

- Ostatni raz, kiedy widziałam twoją twarz... - Zawahała się. - Ile miałeś wtedy lat, dziewiętnaście?

- Mniej więcej.

Czuł, że jego była żona rozpaczliwie chce mu spojrzeć w oczy. Minęło ponad pięćdziesiąt lat, przypomniał sobie. Wiedział, dlaczego Sintas chce to zrobić, ale nadal uważał, że to nie jest zbyt mądry pomysł - dla dobra ich obojga.

Mimo to Sintas - jak to Sintas - postawiła na swoim.

Przekradła się na przód kabiny i zajrzała mu w oczy. Miała teraz niewiele ponad trzydzieści lat, a on był po siedemdziesiątce. Na

jego twarzy - wiedział to - odcisnęła się każda chwila tych pustych, spędzonych samotnie lat.

- Och, Bo... - wyrwało jej się. - Co się z tobą stało?

- Przetrwalem.

Spodziewał się, że będzie bardziej wstrząśnięta, ale Sintas wyglądała tylko na zaskoczoną i... rozżaloną. Na pewno nie czuła jednak takiego żalu, jaki szarpał mu w tej chwili wnętrzości. Dotknęła jego pooranego bliznami policzka - śladów wytrawionych przez kwas żołądka sarlaccy. To była tylko jedna z wielu historii,

o których powinien jej opowiedzieć.

- Chodź, złóż jej chociaż życzenia - szepnęła Sintas. - Proszę...

- Na pewno zaraz mi wytknie, jak źle postąpiłem, nie mówiąc jej całej prawdy.

- Nie. - Pokręciła lekko głową. - Jest już dorosła. Wie, że nic nie jest tak czarno-białe, jak się wydaje.

Sintas nigdy nie oczekiwała od niego elokwencji, i w tej chwili był jej za to niezmiernie wdzięczny. Podał jej kopertę; to z pewnością najłatwiejsza część przeprawy, która go czekała.

- Mam tu parę rzeczy, które chciałbym ci dać - powiedział, zakłopotany.

- Nie musisz.

- Po prostu się zamknij i weź to - warknął. Wiedział, że Shy- sa poradziłby sobie na jego miejscu o niebo lepiej. Ten jego urok osobisty... Szeroki uśmiech i rozbrajający akcent zmiękczały kobiety jak wosk. - I jeszcze... powinienem był ci taki kupić dawno temu... - dodał. - Ale mniejsza z tym. Jest twój. - Wrócił do dostrajania swojego HUD-a, żeby tylko nie musieć patrzeć jej w oczy. Wiedział, że jego była żona potrafi trzymać buzię na kłódkę - i cieszył się, że nie próbuje go zagadywać ani ciągnąć za język.

- Domyślam się, co to jest - powiedziała po chwili milczenia. - Ale nie chcę teraz tego oglądać. - W środku, oprócz papierów

I klejnotu, był ich jedyny rodzinny holowizerunek - całej trójki, utrwalonej w tej krótkiej, ulotnej chwili, zanim wszystko się posypało. - Oszalałeś chyba - dodała zaraz na widok ognistego serca. - Ten kamień jest wart fortunę! Nie zasługuję na to...

- Sprzedaj go - rzucił krótko. - Jest twój. Możesz z nim zrobić, co zechcesz.

- Mam przecież tamten...

- Połowę - sprostował. - Wiele się zdarzyło od tamtej pory, więc w tym niebieskim kamyku jest zaklęty cały nowy rozdział historii Fettów... Gdybyś kiedyś zechciała ją poznać.

Był ciekaw, czy Mirta zabrała jajuż na grób Ailyn. Jeśli opowiedziała Sintas, ile zachodu kosztowało go odnalezienie ciała córki i pogrzebanie jej z połówką ognistego serca... W świetle tej historii wyglądał na zwykłego, kochającego ojca. Ale choćby nawet słuszne motywy kierowały nim, kiedy niszczył swoje małżeństwo, w latach, które nastąpiły po rozpadzie ich związku, nigdy nie zdobył się na odwagę, żeby odnaleźć swoją rodzinę i zrobić coś, żeby wszystko naprawić. To było ponad jego siły.

Żyłeś życiem, na jakie zasłużyłeś, powtarzał sobie w duchu. Masz, co chciałeś.

- Sin... - wykrztusił przez ściśnięte gardło. - Czy po tym, jak cię zostawiłem, znalazłaś sobie kogoś?

Sintas tuliła błękitny klejnot w dłoniach; wzrok miała zamglony, jakby słuchała tego, co mówi drogocenna błyskotka.

- Tak, Bo. I to niejedną raz... - wyznała. - Ale w naszej pracy to nigdy nie jest nic poważnego, prawda? A ty?

- Nie pamiętam - skłamał. Wiedział, że i tak znała prawdę.

- A więc uporządkujmy nasze rodzinne sprawy. - Wsunęła kamień do kieszeni spodni. - Chociaż raz.

Fett nie skończył jeszcze co prawda kalibrować swojego wyświetlacza, ale włożył hełm. A kiedy to zrobił, wyglądał znów jak Bo, którego Sintas znała i kochała, i wszystkie stracone lata na tę krótką chwilę przestały się liczyć - zniknęły bez śladu. Poszli ręką w rękę na wesele Mirty.

Może Sintas odczytała nowe ogniste serce - i dowiedziała się, co działo się z nim przez te wszystkie lata, które ich dzieliły, a nawet to, czego nie potrafił jej wyznać, nawet teraz...

To były tylko dwa słowa... Ale dla Boby Fetta nadal o dwa za dużo.

Dom Novoca Vevuta, Keldabe: przyjęcie weselne Mirty Gev i Ghesa Orade

- Słuchajcie, wiem już, na co mogą się przydać Jedi! - wrzasnął Carid. - Wiedziałem, że kiedyś to odkryję! Spójrzcie tylko na to!

Na duraplastowej ławie wystawionej na tłoczne podwórko domu Vevuta stał długi rząd butelek. Jaina maksymalnie się skoncentrowała - najważniejsze było wyczucie czasu - odetchnęła powoli, cofnęła się o krok i szarpnęła Mocą wszystkie trzydzieści kapsli. Odskakiwały gwałtownie, jeden za drugim, z głośnym „pop!”, brzmącym jak minieksplozje litańskich piropetard. Z szyjek butelek wypłynęła piana, a goście z zachwytem wykrzykiwali: *Oya*, *Kandosii* i z aprobatą łomotali pięściami w płyty udowe mandalo-riańskich pancerzy.

Jaina ukłoniła się nisko.

- Teraz wiecie, dlaczego padawani spędzają całe lata na medytacjach i lekcjach w Akademii - zażartowała.

Gości weselnych było co niemiara: zajmowali całe podwórko i wysypywali się aż na łąkę za ogrodzeniem farmy. Jeden z Manda-lorian, mężczyzna w szarej zbroi, miał ze sobą pupila: sześciogłowego drapieżnika o pofałdowanej, grubej skórze. Kiedy Jaina ich mijiała, zwierzę szarpnęło łbem i spojrzało jej prosto w oczy, jakby ją poznawało, a potem zaczęło piszczeć i powarkiwać, tłukąc jak oszalałe ogonem o ziemię. Mirta odeszła od grupki świętujących i ruszyła w stronę Jajny. Miała poważną, smutną minę.

Jedi czuła jej ból i znała jego źródło: Sintas opowiedziała wnuczce o całej serii tragicznych wypadków, których konsekwencje wymknęły się spod kontroli i w końcu zaowocowały dramatem. Ten dramat dotknął także rodzinę Jajny i sporą część galaktyki. Co prawda nie bezpośrednio, jednak sploty wydarzeń, które do tego doprowadziły, były tak zagmatwane, że i tak nie miało to znaczenia.

A przecież wszystko zaczęło się ponad pięćdziesiąt lat temu... - zadumała się Jaina. Gdzie byli wtedy jej bliscy? Mama dorastała na Alderaanie... Wujek Luke żył sobie spokojnie na Tatooine i nawet mu się nie śniło, że wkrótce jego los tak bardzo się odmieni. A tata...? Pewnie uczył się kraść śmigacze. Sintas zaś, której nikt z nich wtedy nie znał - a usłyszeli o niej dopiero niedawno - była młodą matką, przeżywającą horror. Nikt wtedy nawet nie przypuszczał, że ich drogi pewnego dnia się przetną.

Mircie w końcu udało się przedrzeć przez świętujący tłum. Wzięła Jainę pod rękę i odprowadziła na bok, z dała od gości.

- Widziałam *Ba'buira* z babcią ale teraz nie mogę ich nigdzie znaleźć - powiedziała.

- Pewnie poszli porozmawiać.

- Cały czas myślę teraz o tym, co by się stało, gdybym go zabiła - westchnęła Mirta.

- Ale nie zrobiłaś tego.

- Nie rozumiesz, Jaina - zaprotestowała Mandalorianka. - Wszystkie wspomnienia o mojej matce dotyczą tylko tego. Całe swoje życie, począwszy od zawodu, jaki wybrała, po mężczyznę, którego poślubiła, zbudowała wokół nienawiści do Fetta i na pragnieniu, żeby zapłacił za swoje winy. Tylko tego mnie nauczyła: nienawidzić. Dorastałam karmiona nienawiścią.

- Ale stawiałaś temu czoło, Mirto - tłumaczyła Jaina. - Przewyciężyłaś to. To ty przerwałaś ten zaklęty krąg, wiesz? To naprawdę niesamowite. Musisz o tym wszystkim zapomnieć i żyć własnym życiem. Wiem, że Fett chce, żebyś była szczęśliwa, nawet jeśli tego nie okazuje.

- Mówię o tym, do czego mogło dojść... naprawdę mało brakowało. - Mirta pokręciła smutno głową. - Chciałam go zabić, naprawdę. Gdyby twoja matka nie powstrzymała mnie wtedy na Korelii, byłby już trupem.

Jaina nigdy nie podejrzewała, że Mirta jest typem kobiety, która martwi się podobnymi rzeczami. Była twarda, szczerą i prostą - nie pozwalała sobie na sentymeny i nie wybaczała wyrządzonych krzywd. Jednak wśród walki o przetrwanie i prób wymierzenia sprawiedliwości pozostała osobą zdolną przeciwstawić się wpajającym od dzieciństwa przekonaniom. To świadczyło o niezwykłej sile woli.

- Podobne gdybanie może być niebezpieczne - ostrzegła ją Jaina. - Powinnaś...

- Tu nie chodzi o mnie, Jaina - weszła jej w słowo przyjaciółka. - Chodzi o ciebie. Jak to jest według ciebie, kiedy nagle się dowiadujesz, że wszystko wygląda inaczej niż sądziłaś? Kiedy jesteś gotowa zabić kogoś bliskiego tylko dlatego, że wierzysz w wersję wydarzeń, której cię nauczono?

- Uważasz, że zabiję Jacena...

- Byłabym zabiła własnego dziadka - przypomniała jej Mandalorianka. - Przemyśl najpierw dobrze konsekwencje tego, co chcesz zrobić.

- Mirto, on zamordował twoją matkę i zabił moją ciotkę. - Oczyma duszy Jaina widziała Jacena takiego, jakim był kiedyś. Spróbowała sobie wyobrazić, jak opuszcza na jego głowę ostrze miecza... i przez dobrą chwilę nie mogła złapać tchu, tak bardzo nią to wstrząsnęło. - Chcesz powiedzieć, że powinnam mu wybaczyć? - szepnęła, zaskoczona. - Czy o to chodzi?

- Nie - stwierdziła stanowczo Mirta. - Są rzeczy, których nie można wybaczyć, jednak śmierć to ostateczność. Kiedy zechcesz podjąć decyzję, przypomnij sobie mnie i moją historię.

Jaina poważnie zastanawiała się nad tym, czy nie pomóc Mircie małą sztuczką z wpływaniem na umysł, żeby dziewczyna chociaż w dniu własnego ślubu nie była taka przybita i przytłoczona poczuciem winy, ale zrezygnowała. Wnuczka Fetta była silna. Na pewno szybko się pozbiera.

- Bez urazy - powiedziała - ale według mnie twój dziadek nie był tak zupełnie bez winy. Wyobrażam sobie, jak druzgocącym ciosem musi być takie zdarzenie dla małżeństwa, ale przecież ludzie jakoś sobie radzą z takimi rzeczami. On też mógł załatwić to w inny sposób... Przynajmniej utrzymać z wami jakiś kontakt.

- Kiedy masz w ręku blaster, a na celowniku jego plecy, wszystko wygląda inaczej, wierz mi - powiedziała gorzko Mirta. - Poza tym... on wiele w swoim życiu przeszedł. Twój brat pewnie też...

- Czyja dobrze słyszę? - zachnęła się Jaina. - Wstawiasz się za moim bratem? A gdyby teraz tu przyszedł, zastrzeliłabyś go za to, co zrobił twojej matce?

- Tak. - Mirta wplotła we włosy kilka dzikich kwiatów, ale nie włożyła sukni; ciągle miała na sobie swoją żółtą zbroję. Zestawienie było dziwnie absurdałne i jednocześnie bardzo mandaloriańskie. - Bez wahania. Jestem wnuczką Fetta, w każdym calu. Ale fakt, że ja bym to zrobiła, nie oznacza, że ty powinnaś go zabić. Zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby go schwytać i zamknąć... zacząć leczyć... cokolwiek. Może powinnaś pozwolić, żeby zadecydował los i żeby ktoś inny go... zabił.

To także było dziwnie niestosowne i mandaloriańskie podejście. Rodzina - nie więzy krwi, ale prawdziwe przywiązanie - była dla nich najważniejsza. Może właśnie to było główną przyczyną udręki Mirty?

Martwi się, że będą przechodziła przez to samo, co ona, zrozumiała Jaina. Ciągle nie mogła się nadziwić, jak

osobliwa jest mandaloriańska mentalność: maksymalna brutalność i głęboka miłość szły u nich zawsze w parze.

- Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś - powiedziała w końcu.

Mirta zrobiła zakłopotaną minę, całkiem jakby wstydziła się tego, że jest dla kogoś miła.

- Zabawne, jak zaczęłam się przejmować moją pokreconą rodziną, od kiedy obcuje z *shabla* Jedi - mruknęła.

- Nauczyłam się od was więcej, niż kiedykolwiek mogłabym przypuszczać... i nie chodzi mi tylko o wymachiwanie *beska-dem*. - Jaina pokręciła głową.

Nigdy by także nie przypuszczała, że ktoś, kto chciał zamordować własnego dziadka, poradzi jej, żeby spojrzała na miecz w swoim ręku i zastanowiła się, czy naprawdę zdoła nim zabić własnego brata. Mirta pokazała jej, jak radzić sobie z wyborami i z konsekwencjami, z którymi Jaina nigdy dotąd nie miała do czynienia w swoim spokojnym, poukładanym środowisku. Mandalora była dla niej niczym lustro, w którym zobaczyła własne odbicie; to dzięki temu lepiej zrozumiała własne obowiązki jako Jedi. Każdy choć raz w życiu powinien spojrzeć na siebie oczami innych. To bardzo cenna lekcja.

Mimo to Jaina nadal nie wiedziała, jak powinna się zachować, kiedy będzie musiała zatrzymać Jacena w jego bezmyślnej krucjacie, nieuchronnie prowadzącej do katastrofy.

- Zobaczmy się później - pożegnała Mirtę. - Muszę to wszystko przemyśleć. Mam tylko jedną prośbę: obiecaj mi, że wrócisz na przyjęcie i spróbujesz być dziś szczęśliwa, dobrze?

Los poskąpił Mircie genów szczęścia, to było oczywiste, ale dziewczyna zdobyła się wreszcie na błady uśmiech i ścisnęła Jainę za ramię.

- Ty też mi coś obiecaj - poprosiła. - Przyrzeknij, że nigdy nie będziemy we wrogich obozach, a jeśli tak się stanie, postaramy się siebie unikać, zgoda?

- Zgoda - przytaknęła Jaina.

Jeszcze kilka tygodni temu nie rozumiałyby, co Mirta ma na myśli, ale teraz wszystko było dla niej jasne i oczywiste. Po drodze spotkała Sintas, wracającą z centrum Keldabe do domostwa Vevu- ta. Kiffarka ścisnęła coś kurczowo w prawej dłoni i wpatrywała się w to z napięciem. Początkowo Jaina myślała, że to komunikator.

Sintas wyglądała, jakby zapomniała o całym świecie; nie zauważała Jainy, dopóki prawie na nią nie wpadła. W jej oczach lśniły łzy. Jaina dobrze wiedziała, że kobieta ma powody do płaczu. Sama utrata pamięci była wystarczająco bolesnym przeżyciem, a przywrócone wspomnienia prowadziły do koszmaru po raz drugi. A to musiało boleć dwa razy mocniej.

- Przepraszam - wymamrotała Sintas, kiedy w końcu ją zauważyła. Rozchyliła zaciśnięte palce, odsłaniając duży, błękitny klejnot, mieniący się pod światło wszystkimi kolorami tęczy. - Nadrabiam zaległości...

Odeszła bez słowa wyjaśnienia, zostawiając Jainę zamyśloną nad zdolnością istot żywych do podnoszenia się po najgorszych przeżyciach. Jedi miała nadzieję, że jej rodzina znajdzie w sobie tyle siły, żeby przetrwać najgorsze chwile i wrócić do normalności.

Z daleka dobiegały głosy gości weselnych - śpiewali tę samą tęskną balladę, którą Jaina słyszała tamtej nocy. Chociaż wiedziała już, o czym są te słowa, postanowiła, że będzie to dla niej już zawsze piosenka o miłości i tęsknocie za domem. Postanowiła, że będzie jej o tym przypominała do końca życia.

Kantyna Oyu'baat, Keldabe

Gdyby Fett chciał się dziś w pubie czegoś napić, musiałby obsłużyć się sam.

Wszyscy bawili się na przyjęciu weselnym jego córki - włącznie z barmanem Chamem. Fett czekał w *Oyu'baat* na admirała Daalę. Pomyślał z ponurym rozbawieniem, że ta scena bardzo dobrze podsumowuje jego życie: zamierza ubić interes, podczas gdy jego była żona i wnuczka robią to, co powinny, czyli świętują wesele.

W lustrzanej tafli na ścianie zobaczył, że drzwi do pubu się otwierają i do środka wchodzi Daala.

- Omawiałam z Reigem szczegóły pogrzebu Gila - poinformowała go.
- Czy wasz plan uwzględnia nalot na Bastion? - spytał półzar- tem.
- Rada Moffów, w nieco uszczuplonym zresztą składzie, nie mogła zrozumieć, dlaczego nie chcemy przekazać im ciała na uroczysty pogrzeb wojskowy. - Daala pokręciła głową z udawanym żalem. - Na pocieszenie wysłałam im do spalenia kilku zabitych moffów.
- A więc Korelia?
- Reige zapewnił, że taka byłaby wola Gila.
- Może zaprosimy Jacena Solo? - parsknął Fett. - Jest na Korelii bardzo popularny. Jestem pewien, że zgotują mu gorące powitanie... na przykład raketami termolokacyjnymi.

Daala nie usiadła. Sprawiała wrażenie, jakby się gdzieś spieszyła.

- Niathal oficjalnie utworzyła rząd Galaktycznego Sojuszu na wygnaniu, wiesz? Zgadnij gdzie. Na Fondorze.
- I kto powiedział, że Kalamarianie nie mają poczucia humoru?
- Tak samo jak Fondorianie - dodała Daala. - Zdolność do wybaczenia to cudowna cecha.
- Usiądź - zaprosił ją
- Czy dobrze pamiętam, że obiecałeś mi kufel ale na weselu Mirty?
- Dobrze pamiętasz.
- Mam wrażenie, że niezbyt ci tam spieszno - skwitowała. - Czy to dlatego, że nie masz ochoty się spotkać z byłą żoną?
- Moja była żona zobaczyła dziś po raz pierwszy od pięćdziesięciu dwóch lat moją twarz - powiedział.
- Nigdy nie widziałam cię bez hełmu... - Daala wyglądała na lekko zaintrygowaną.
- Dawniej hełm był moją prawdziwą twarzą.
- Widziałeś jednego *Mando*, widziałeś wszystkich - mruknęła admirał.

Fett bez słowa podniósł dłonie do hełmu, wsunął kciuki pod krawędź i, przekręcając delikatnie, zdjął go z głowy. Daala przyglądała mu się z rękami skrzyżowanymi na piersi. W końcu przeciągające się milczenie stało się nie do zniesienia.

- Nie chodzi ci o blizny, prawda? - odezwał się w końcu Fett. Daala zmrużyła lekko oczy; po jej ustach błąkał się cień uśmiechu.
- Wyglądasz całkiem niezłe jak na staruszka, Fett - powiedziała. - Idę o zakład, że swego czasu złamałeś sporo damskich serc.

Jeśli nawet, to jego wielbicielki mogły tylko wzdychać i tęsknić z daleka.

- Zawsze była tylko Sintas - wyjaśnił beznamiętnie.
- Naprawdę?
- Albo robię coś porządnie, albo nie robię wcale. - Wzruszył ramionami.

Dobrze wiedziała, o czym mówi.

- Rozumiem — powiedziała krótko.

Daala była twarda jak serce Hutta w dniu wypłaty - nie zdobyłaby admirałkiej rangi w zdominowanej przez mężczyzn imperialnej marynarce, pochlipując w chusteczkę, jednak w tej chwili coś w jej *beskarowej* opoce

pękło. Przez chwilę miała dziwnie zamglony wzrok.

- Miała sporo czasu na dążenie do... perfekcji.
- Oszczęda to kłopotów, za których rozwiązywanie mi nie płacą.
- I kłopotów, za które sam nigdy już nie zapłacisz - dodała znacząco.
- Dzięki za przypomnienie.
- Czasem perfekcja to za wiele, Fett - westchnęła. - Pamiętaj, że lepsze bywa wrogiem dobrego. Jaki sens ma przetrwanie za wszelką cenę, jeśli praktycznie nie korzysta się z życia?

Pięćdziesiąt dwa lata spędzone w samotności, pomyślał. Nie, żebym się o to prosił, ale przecież równie dobrze mogły to być pięćdziesiąt dwa lata spędzone w złym towarzystwie. Nie miał złudzeń, co byłoby bardziej bolesne.

- Ten hełm rzeczywiście nie jest twoją twarzą. - Daala podniosła dłoń, jakby zamierzała dotknąć jego policzka, ale zatrzymała się w pół ruchu. Odniosł wrażenie, że chce go zmusić, żeby odwrócił głowę do lustra i spojrzął na siebie... całkiem jakby był jakimś zakompleksionym nastolatkiem, którego trzeba przekonywać, że powinien zaakceptować siebie takim, jakim jest. - A to, co widzisz w lustrze, nie jest twarzą twojego ojca.

Fett nigdy nie miał problemów z patrzeniem sobie w oczy - nie gryzło go sumienie, nie czuł się niepewnie i nie widział w lustrze odbicia Jango. Nigdy nie odwracał wzroku - nigdy, aż do teraz. Z obrzeży pamięci napłynęły, nieproszone, słowa wypowiedziane przez Koę Ne: „Na co przyda ci się majątek w takiej chwili?” Może Daala miała rację? I tak był już martwy, a walka z nowotworem dała mu tylko więcej czasu na zrozumienie, jak jałowe jest jego życie.

- Masz rację - powiedział. - To moja twarz. - Spojrzał znów na własne odbicie i tym razem wytrzymał swoje spojrzenie, ignorując wewnętrzny głos, nakazujący mu odwrócić wzrok - tak samo jak niegdyś ignorował błagalne głosy ofiar, proszących go o darowanie im życia. - Czyżbyś była następną osobą po Jainie Solo, która uważa, że marnuję daną mi szansę?

- Ja też dostałam od życia dragą szansę - powiedziała cicho Daala. - Na Liegeusa. I skorzystałam z niej.

- Ale Liegeus nigdy nie przestał cię kochać.

- Bo nigdy nie dałam mu powodu, żeby przestał. - Zatrzymała się w drzwiach do *Oyu 'baat*, z rękami w kieszeniach, i spojrzała na bezchmurne niebo. - Co za piękny dzień - westchnęła. - Przydałoby się nieco rozruszać, ostatnio większość czasu gniję na statku. - Wyciągnęła w jego stronę rękę, jakby przywoływała do siebie rozbrykane dziecko, żeby nie zgubiło się w tłumie. - Idziesz?

Fett przytroczył hełm do pasa. Dziwnie było czuć jego ciężar, kiedy szedł, zupełnie jakby ktoś natrętnie go posturchiwał, próbując zwrócić na siebie jego uwagę.

- Tak jest, pani admirał.

- Natasi - powiedziała miękko. - Natasi Daala. To stare rena- tajańskie imię.

W Keldabe widywano ostatnio Fetta bez hełmu dość często, żeby się przyzwyczaić. Nikt nie będzie się temu dziwił - tak samo jak admirał Daali u jego boku.

Bralsin, Mandalora: następnego dnia

- Wiedziałem, że nie odpuścisz - westchnął Gotab.

Był wczesny wieczór; nad płynącą w oddali Kelitą zbierała się gęsta mgła. Jaina pomogła starszemu mężczyźnie usiąść na wysłizganym, bładoszarym bloku granitu. Wokół, na przystrzyżonej trawie, leżało jeszcze kilka takich bloków, tworząc na wzniesieniu wzgórze coś na kształt małej areny. Gotab położył hełm na ziemi i zamknął oczy, z zadowoleniem wystawiając twarz na lekką wieczorną bryzę.

- Przyszłam po radę - wyjaśniła Jaina.

- Czyżby Fett był zbyt zajęty omawianiem interesów z admirałem Daalą? - parsknął Gotab.
 - Nie potrzebuję rady Fetta, tylko twojej - obruszyła się lekko. Za chwilę miało się rozstrzygnąć: albo dzięki tej rozmowie podejmie decyzję, która może wpłynąć na losy galaktyki, albo Gotab odejdzie, zniesmaczony. - Potrzebuję rady Jedi.
 - Byłego Jedi - poprawił ją z naciskiem. - Możesz Radę Jedi poprosić o pomoc, Jaina. Zakładam się, że jak tylko do nich zadzwonisz, natychmiast odbiorą.
 - Możliwe, ale żaden z nich nie oglądał galaktyki z obydwu stron barykady - powiedziała. - Nigdy nie rozmawiałam z Jedi, który opuścił Zakon, a nie jest Sithem.
 - Nie opuściłem Zakonu o, tak sobie. Nie skorzystałem z Prawa do Odmowy - sprostował Gotab. - Po prostu przestałem być Jedi. - Parsknął krótkim śmiechem. - Znam również Ciemną Stronę. Żyłem blisko niej przez wiele lat i muszę powiedzieć, że nie zawsze było źle. Ale w jednym masz rację, Jaina: nie jestem Sithem. Jestem po prostu zwykłym człowiekiem.
 - Myślisz o sobie jako o Gotabie? - Jaina obejrzała się przez ramię w poszukiwaniu Venku. Wiedziała, że chłopak cały czas kręci się gdzieś w pobliżu.
 - W pewnym sensie - odparł starszek. - Dosłownie znaczy to tyle, co inżynier. Zawsze byłem dobry w naprawianiu różnych rzeczy. I ludzi. - Wyciągnął z zanadru swój miecz świetlny i zważył rękojeść w dłoni. - Kiedyś nazywałem się Bardan Jusik, ale przestałem tego imienia używać, bo ktoś mógłby się za mną rozglądać podczas Czystki. Prywatnie, dla najbliższych, jestem po prostu *Bard'iką*.
 - Masz rodzinę? - spytała Jaina.
 - Tak, ale wiem, o co tak naprawdę chcesz zapytać: chcesz wiedzieć, czy dochowałem się małej armii mandaloriańskich użytkowników Mocy i czy nie szkoleń ich przypadkiem na super-Jedi? Nie, nic takiego - rzucił z lekkim rozbawieniem. - Mam za to całkiem pokaźne stadko adoptowanych synów... i córek. Moja żona, niech zazna spokoju w *mandzie*, uznała, że tak będzie najlepiej.
 - Przecież mogliście znaleźć dawcę - powiedziała Jaina. - Medycyna jest w tych sprawach bardzo rozwinięta...
 - *Mando 'ade* często adoptują - odparł Gotab. - Wybrałem najlepszą rodzinę, o jakiej mogłem marzyć. Dlaczego mielibyśmy prosić o pomoc kogoś z zewnątrz?
- Jak dotąd Gotab - czy raczej *Bard'ika* - nie zerwał się z oburzeniem na nogi, jak się obawiała, ani jej nie zwymyślał. Czują poprzez Moc jego aurę - był spokojny i odrobinę smutny, w ten słodko-gorzki sposób, którego tak bardzo Mandalorianom zazdrościła; zupełnie jakby patrzył wstecz na szczęśliwie przeżyte życie, niepozbawione jednak momentów bólu. Z całej siły próbowała odsunąć od siebie wszelkie uczucia, bo wiedziała, że jeżeli pozwoli sobie na odczuwanie radości - a w życiu zawsze, nawet w najgorszych chwilach, zdarzało się coś, z czego można się było cieszyć - będzie czuła także ból, przypominający jej o tym, że Mara nie żyje, a ona musi znaleźć rozwiązanie problemu Jacena. Wszystko było w porządku, dopóki zanadto się nad tym nie zastanawiała i traktowała całą sprawę z dystansem, jak mrozący krew w żyłach holodreszczowiec. Jak tylko traciła czujność i pozwalała problemom prześliznąć się do centrum jej uwagi, ból stawał się prawie nie do zniesienia.
- Muszę podjąć trudną decyzję - westchnęła. - Muszę powstrzymać mojego brata... i wszystko wskazuje na to, że jestem jedyną osobą która może to zrobić. Mirta Gev ostrzegła mnie, żebym dobrze wszystko przemyślała i zastanowiła się, czy Jacen naprawdę zasługuje na śmierć z mojej ręki. Zasugerowała nawet, że mógłby się tym zająć ktoś inny, ale obawiam się, że nie ma nikogo takiego.
 - A Mistrz Luke Skywalker? - podsunął Gotab. - Niech mnie... A więc twój brat jest potężniejszy niż sam Palpatine? No, no, kto by pomyślał...
 - Odnoszę wrażenie, że ma pan do Zakonu jakiś żal, sir....
 - Może i jestem zniedołężniały, ale nie jesteśmy w wojsku - obruszył się Gotab. - Mów mi, proszę *Bard'ika*. - Nad ich głowami, w powoli zapadającym zmierzchu, krążyły jakieś skrzydlate stworzenia, których Jaina nie rozpoznawała. Gotab przyglądał im się przez chwilę w milczeniu. - Zakon od dawna działał na zasadzie absurdałnego usprawiedliwiania swojej instytucji, utrzymując się za wszelką cenę przy władzy. Jak widzę, od

moich czasów niewiele się zmieniło. - Pokręcił ze smutkiem głową. - Wiem, co przysięgałem jako Jedi. Na pewno nie miało to nic wspólnego z przymykaniem oka na zło tylko dlatego, że Sithowie są większym złem. A każdy zły czyn, który popełniamy, wzmacnia środowisko, w którym Sithowie mogą istnieć. Tak więc Jedi, którzy upraszczają sobie pracę... Zakon, który wybiera drogę na skróty... tracą prawo do stanowienia o moralności. Tak, mam do Zakonu żal i jestem rozgoryczony. To właśnie dlatego przestałem być Jedi. Potrafię wykorzystywać Moc i nie chcę czynić zła. Zabijałem - i nie żałuję tego. Nigdy nie zadałem ciosu, jeśli moje sumienie protestowało. Dlatego jeśli naprawdę chcesz mojej rady... a właściwie poznać moje zdanie, bo tylko tyle mogę dla ciebie zrobić, Jaina Solo, porozmawiajmy jako zwykli ludzie, którzy przypadkiem są wrażliwi na Moc. Nie, nie pomogę Zakonowi.

Jaina była cały czas świadoma obecności Venku. Chłopak krążył w pobliżu, wokół wzniesienia, na którym rozmawiali, i miał ich cały czas na oku. Nie widziała go co prawda, ale wiedziała, że tam jest.

- W tym wszystkim chodzi tylko o mnie i Jacena - powiedziała wreszcie.

- Moglibyście go powstrzymać... którekolwiek z was, gdybyście zjednoczyli się przeciwko niemu - zauważył Gotab. - Jeden Sith nie zdoła pokonać setek Jedi. Problem w tym, że on jest ci bliski, a nikt z was nie ma odwagi zrobić z tym porządku. Pewnie miałaś nadzieję, że Jacen w końcu się opamięta i cofnie, żebyś nie musiała przez to wszystko przechodzić... Pomyśl tylko, ile zwykłych istot zginęło przez to, że usprawiedliwiałaś go, bo jest twoim bratem?

- Wiem, co masz na myśli. W porządku, już rozumiem - wymamrotała z zakłopotaniem. Znowu ukłuło ją poczucie winy. Gotab miał rację: gdyby na miejscu Jacena był jakikolwiek inny Sith, zabiłaby go bez wahania. Czy ktokolwiek próbował zresocjalizować Palpatine'a albo tego jego ucznia na Naboo? Nikt. Ale przecież Vader... Vader okazał się w końcu ich rodziną, przypomniała sobie. A wujek Luke odnalazł w nim dobro... - Zamierzasz dać mi wykład na temat nieangażowania się emocjonalnie?

Gotab odwrócił się do niej i uśmiechnął zagadkowo. Szybko się ściemniało, ale Jaina wciąż dostrzegała wewnętrzny blask rozświetlający jego oczy, bijącą z nich mądrość i dobroć, chociaż jego słowa brzmiały ostro.

- A także wykorzystywania własnych umiejętności w celach prywatnych, rodzinnych... - dopowiedział. - Czy może raczej w twoim przypadku ich niewykorzystywania - dodał znacząco. - Kiedy będziesz próbowała unikać zaangażowania, staniesz się skostniałą, sztywną istotą niezdolną zrozumieć miłość i poświęcenie. Nie ma na to prostej rady oprócz stosowania ścisłej samokontroli - i nie mam tu na myśli unikania Ciemnej Strony. Chodzi mi o nieużywanie Mocy w ogóle.

- Ale to raczej nie pomoże nikomu w powstrzymaniu Jacena, żeby nie zmienił się w tyrana galaktyki - zaprotestowała.

- Wspaniały tytuł, podoba mi się - stwierdził radośnie Gotab. — „Poszukiwany Galaktyczny Tyran, w celu uzyskania bardziej szczegółowych informacji proszę kontaktować się z...”

- Nie żartuj sobie ze mnie - zjeżyła się.

- Chciałaś wiedzieć, co zrobiłbym na twoim miejscu...

- Tak.

- Zabiłbym go. Z miłości.

Jego odpowiedź zaszokowała Jainę, bo w istocie odpowiadała na jej uczucia. Gotab nie żartował. Nie był już tak spokojny, jak wcześniej. Przepelniały go gwałtowne emocje, tu i ówdzie pojawiały się nawet nuty mroku, ale Jaina czuła, że kochał kiedyś głęboko - i wciąż był pełen miłości. To było jasne jak słońce.

- Nie ucieknę przed tym, prawda? - spytała cicho.

- To w gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego - powiedział Gotab. - Ludzie cały czas zabijają tych, których kochają. Motywem może być cokolwiek, ale zawsze jest tak samo: pozbawiasz kogoś życia, nie zastanawiając się nawet, jak można by je ocalić, a potem... cóż, życie toczy się dalej. Można zabić z zazdrości, z namiętności, z zemsty, miłosierdzia, obowiązku, pragnienia sprawiedliwości, chciwości, lekkomyślności... - wymieniał. - Ilu ludzi zabiłaś na polu walki? Podczas wojny? Dam sobie rękę uciąć, że więcej niż jednego. Nie kochałaś ich, ale to nie czyni ich ani trochę mniej martwymi, więc jedyna różnica w tym, jak potem radzisz sobie ze swoim

sumieniem. Chodzi mi o egoizm. Myślisz: „Jak będę się czuł?”, „Jak będzie się czuła Jaina?”

- A reszta mojej rodziny? - spytała bez cienia nadziei.

- Och, wybacz - parsknął kpiąco. - Sądziłem, że rozmawiamy o tym, co jest dobre dla galaktyki... Ależ ze mnie głupiec, ha, ha!

- Nie obrazisz się, kiedy spytam, dlaczego zabijałeś?

- Z obowiązku, ze strachu, z chęci przetrwania i dla chronienia tych, których kochałem... - zaczął wymieniać. - Głównie zaś, żeby mieć co jeść. - Spojrzał na nią i kiwnął głową. - Nie zapominaj, że mówimy o wszystkich istotach żywych, nie tylko o tych, które uznajemy za bliskie nam gatunkowo.

Jaina nie czuła się ani trochę mądrzejsza.

- Tyle razy wydawało mi się, że podjęłam już decyzję, ale wystarczyła rozmowa z Mirtą, a znów nie mam pojęcia, co robić - westchnęła. - Mój brat zamordował jej matkę, a jednak ona błagała mnie, żebym go nie zabijała - na wypadek, gdyby się okazało, że się co do niego pomyliłam.

- A co będzie, jeśli pozwolisz mu żyć i okaże się, że się myliłam? - spytał Gotab. Jaina przymknęła oczy. Czuła, jak Venku obchodzi powoli wzgórze. Był lekko zdenerwowany i coraz bardziej zniecierpliwiony. On i Bardan-Gotab mieszkali daleko stąd.

Podobno przybyli do Keldabe z dalekiej północy - a przynajmniej tak mawiali bywalcy *Oyu 'baat*. Ponoć nawet Mandalorianie nie zaglądali do nich na filiżankę kawy i pogaduszki.

- Mój przydomek to Miecz Jedi - powiedziała Jaina. - Podobno takie jest właśnie moje przeznaczenie. Zabawne, że te wszystkie przepowiednie zaczynają być dla nas jasne, kiedy jest już za późno.

- A może przypisujesz temu przydomkowi znaczenie, którego w istocie nie ma?

- Jak to?

- W wielu kulturach miecz symbolizuje sprawiedliwość, Ja- ino - wyjaśnił. - Prawdziwa sprawiedliwość jest ślepa, a twoje odczucia nie mają na nią żadnego wpływu.

Jednak... w tym wszystkim nie chodziło o sprawiedliwość. Nagle Jaina wiedziała to z absolutną pewnością. Chodziło nie tyle

o to, co Jacen zrobił, ile o to, co zrobi w przyszłości - o śmierć kolejnych istot. Nie było szans, że się opamięta z własnej woli. Nie istniały żadne logiczne czy etyczne argumenty przemawiające za tym faktem. Chodziło po prostu o zagrożenie życia.

Jaina uświadomiła sobie, że Gotab przygląda się jej uważnie. Jeśli szybko nie włączą pręta jarzeniowego, zaraz będą siedzieć w ciemności, pomyślała. Zresztą i tak nie musieli widzieć swoich twarzy, żeby wiedzieć, jakie myśli się za nimi kryją.

- Nie chodzi o sprawiedliwość ani o karę - powiedziała w końcu. - Znasz takie powiedzenie: „Miarka się przebrała”? Muszę go powstrzymać.

- To przykre, ale chyba masz rację.

- Nie tak bardzo, jak mi się zdawało, ale muszę pamiętać, że w tej chwili to tylko słowa.

Bardan odpiął wreszcie od pasa pręt jarzeniowy i wsunął go w pęknięcie w skale: otoczył ich krąg łagodnego, żółtego światła. Przez chwilę siedzieli w milczeniu; potem starszek zdjął rękawicę, wyciągnął przed siebie pomarszczoną pokrytą bliznami dłoń

I zapatrzył się na nią, jakby wspominał dawne, szczęśliwsze czasy.

- Wiesz... my, Mandalorianie, hodujemy strille - odezwał się w końcu. - To drapieżniki o pofałdowanej skórze i sześciu nogach, może widziałas jakiegoś w okolicy. Jeden z moich przyjaciół miał takiego pupila. Uwielbiał go i rozpieszczał, ale któregoś dnia zwierzę nagle jakby straciło rozum: zaczęło atakować wszystkich, włącznie ze

mną. Musiał je zastrzelić. Okazało się, że biedactwo miało guza mózgu. Nie było sobą. Zabicie zwierzaka złamało mojemu przyjacielowi serce, ale nie miał wyjścia, i to nie tylko ze względów bezpieczeństwa. Nie mógł pozwolić, żeby zwierzę dłużej się męczyło. Czasem musisz zabić tego, kogo kochasz, żeby położyć kres jego cierpieniu, a potem z tym żyć. Bywa, że na tym właśnie polega miłość.

Jainie ścisnęło się z bólu serce. Nie dlatego, żeby sądziła, że Jacen może być niespełna rozumu - jakby miało to w ogóle jakiś wpływ na to, co zrobił - ale dlatego, że wiedziała, iż w głębi duszy cierpi. Pomyślała o Objęciach Cierpienia; jej brat przetrwał ich próbę. Zastanawiała się, czy jego oprawczyń, Vergere, wiedziała co robi i jakie to będzie miało konsekwencje. Życie Jacena koncentrowało się teraz wokół bólu. Był przekonany, że nie zdoła przed nim uciec ani o nim zapomnieć, więc po prostu do niego przywykł.

A potem zaczął tego bólu potrzebować i utwierdził się w przekonaniu, że innym też jest potrzebny - i nic nie mogło go wyprowadzić z błędu, bo nie było sposobu na przerwanie tego zakłętą kręgu, dopóki żył.

Lepiej, żeby to była ja, Jacenie, powiedziała do brata w myśli. Lepiej, żeby to był ktoś, kto cię kocha i zna niż kat; dla niego byłbyś tylko szkodnikiem, którego trzeba się pozbyć.

Ale czy to w ogóle robiło jakąś różnicę?

- I pomyśleć, że winiłam Jacena za śmierć naszego młodszego brata - mruknęła pod nosem. - A to ja wtedy dałam się skusić Ciemnej Stronie.

- Zapomnij o sobie - powiedział ostro Gotab. - Masz zadanie do wykonania, to wszystko. Jeżeli o mnie chodzi, nigdy nie kupiłem tego obłudnego gadania Jedi o tym, że przemoc jest uzasadniona, jeśli dopuszcza się jej z czystych pobudek. Manipulacja, moja droga, i tyle. Zamierzasz zabić swojego brata, bo jest spragnionym władzy, bezlitosnym tyranem, a twoim ziomkom Jedi brak odwagi, by to zrobić. Musisz go powstrzymać, zakończyć to tak, jak uczyli cię Fett i Beviin. O motyw swojego postępowania będziesz się martwić później, kiedy galaktyka znów będzie bezpieczna. Wtedy będziesz mogła sobie pozwolić na takie luksusy jak kontemplowanie stanu własnej duszy.

Jego słowa podziały na nią jak kubeł zimnej wody, ale Jaina poczuła nagle pewność siebie, jakby dopiero teraz przejrzała na oczy.

To nie był ten rodzaj objawienia, po którym człowiek czuł się podniesiony na duchu i mądrzejszy, jakby właśnie zrozumiał sens istnienia i sposób funkcjonowania całej galaktyki.

Było to raczej coś w rodzaju olśnienia, upewnienie się, że jest tylko jedna droga, którą można się wydostać z płonącego budynku, jeśli chce się przeżyć - a prowadzi ona przez ogień.

Jaina wstała i rozprostowała nogi.

- Dziękuję, *Bard'ika* - powiedziała. - Przychodząc tu, nie liczyłam, że podniesiesz mnie na duchu. Chciałam tylko zyskać pewność i ty mi ją dałeś.

- To musi być twój wybór, Jaina - ostrzegł ją. - Nie mój.

- Już wybrałam - uspokoiła go. - Domyślam się, że masz wnuki?

- Najwspanialsze w galaktyce. - Uśmiechnął się promiennie. - Dwadzieścioro, jeśli chodzi o ścisłość.

- A więc, *Bard'ika*, zrobię to dla nich, żeby mogły dorastać w bezpiecznej galaktyce. - Serce jej się krajało, ale nie pierwszy raz - i pewnie nie ostatni. Pomyślała o zdesperowanym, biednym strillu, kłusującym tych, którzy go kochali, i nagle pojęła brzemię bycia Mieczem Jedi. Jej największą obawą była teraz nie perspektywa dalszego życia z ciężką jej na sumieniu śmiercią Jacena, o nie. Znalazła sposób na zastąpienie swojego problemu tym, co naprawdę miało znaczenie: przyszłością dzieci, takich jak „najwspanialsze w galaktyce” wnuki Gotaba i - tak - nawet Fetta.

Odpięła od pasa swój miecz świetlny i podała staruszkowi.

- Wciąż jeszcze używasz swojego? - spytała.

- Co jakiś czas ćwiczę - wyznał. - Ale bez szaleństw, na miarę mojego wieku. Dzięki temu zachowuję jaką taką formę.

- Czy gdybyś mógł wybrać, zrzekłbyś się umiejętności władania Mocą?

- Tak. Oczywiście poza uzdrawianiem. Wiele razy dawało mi to wiarę, że mam po co żyć. - Aktywował ostrze; fioletowa klinga obudziła się do życia z cichym buczeniem. Machnął kilka razy na próbę. - Dobra robota, Jaina - pochwalił ją.

- A Venku ma miecz?

- Nawet dwa.

- Nauczyłeś go, jak nimi walczyć?

- Tak. Ale nie z powodu, o którym myślisz. - Gotab wyłączył miecz i oddał jej rękojeść. Jaina czuła, że zbliża się do nich Venku;

po chwili jego głowa wynurzyła się zza wzniesienia. Ciepłe światło pręta jarzeniowego rozświetliło jasne płyty jego zbroi.

- *Buir*, czas na nas - powiedział.

- Bardzo miło nam się z Jainą rozmawia - uspokoił go Gotab. - Chodź, *Kad'ika*, siadaj z nami. - Uśmiechnął się pod nosem. - Wiesz, Jaina, co znaczy przydomek Venku, *Kad'ikdl* Mały Miecz. On też jest mieczem, tak jak ty, ale mieczem Mandalorian. Tym, który przypomina nam, że musimy martwić się sami o siebie i nie pchać się do walki w wojnach toczonych przez inne światy.

Zdaniem Jaina brzmiało to bardzo rozsądnie. Włączyła swój miecz. Broń była naprawdę piękna, ale Fett miał rację co do jej prawdziwego przeznaczenia. Venku podszedł powoli, jakby niepewnie, i zatrzymał się kilka kroków od niej.

- Masz ochotę poćwiczyć? - spytała go.

- Nie jestem Jedi - burknął.

- Nie musisz.

- Skoro tak mówisz...

Venku wyjął dwa miecze - obydwa ostrza były niebieskie - i przez chwilę przyglądał się im z bezgraniczną tęsknotą i miłością jakby wszystko inne przestało nagle dla niego istnieć. Ktokolwiek był ich poprzednim właścicielem... Jaina pewnie nigdy się tego nie dowie, ale rozumiała ten rodzaj bólu aż za dobrze.

Stała w pozycji wyjściowej, trzymając rękojeść oburącz. Technika walki *beskadem* Beviina nie była na tę chwilę odpowiednia.

- Zaczynajcie - zachęcił ich Gotab.

Gęstą ciemność tego wieczoru na Mandalorze rozjaśniły lśniące zasłony, tkane przez brzęczące cicho ostrza. Jaina czuła, że właśnie wyjaśniło się dla niej wiele mrocznych pytań - i wiedziała, że jedynym sposobem na rozwiązanie jej problemu jest bolesne, ale konieczne przejście przez płomienie.

EPILOG

Obozowisko Jedi: tajna baza w Ulotnych Mgłach, w pobliżu Gromady Hapes

Sterta koców do spania na brudnej podłodze w zupełności Benowi wystarczała. W tej chwili wszystkim, czego potrzebował, był sen. Wczołgał się do namiotu i padł bez czucia na swoje prowizoryczne legowisko.

- Wszystko w porządku, Ben? - W głosie Luke'a słychać było zmęczenie. Ben odwrócił się na drugi bok i wbił

wzrok w płachtę namiotu.

- Tak, tato - mruknął. - Teraz chyba tak. A ty, jak się czujesz?
- Świetnie. Chciałem się tylko upewnić, że u ciebie wszystko dobrze.
- Powinieneś się przespać...
- I kto to mówi?

Ben nie mógł spać - jeszcze nie. Pozwolił swoim myślom dryfować swobodnie. Zastanawiał się, co może teraz robić Lon Shevu — czy od chwili wysłania transmisji miał okazję spotkać się z Shulą? - i jak sobie radzą rodzice Joriego Lekaufa, nie mogąc opowiedzieć nikomu, że ich syn umarł jak bohater. Ta wojna rozbiła tyle rodzin i zniszczyła życie tylu istotom... Ben czuł się, jakby znał ich wszystkich osobiście - i poniekąd tak było. Przynajmniej uważał, że zna ich stanowczo zbyt dużo.

Wiedział, że sen sam przyjdzie, kiedy jego mózg uzna, że ciało jest na to gotowe, więc nie starał się zasnąć na siłę. Miał wrażenie, że trwa w takim sennym zawieszeniu umysłu całe godziny, kiedy nagle usłyszał głos swojego ojca. Całkiem go to rozbudziło.

Nie, nie zdawało mu się, dobrze słyszał: jego tata z kimś rozmawiał.

Ale kto mógł obudzić Luke'a w środku nocy? Ben wiedział, że nikt nie miał prawa ich tu znaleźć. Mimo to wymacał przypięty do pasa miecz świetlny - ostatnio weszło mu to w nawyk i wiedział, że nigdy się tego odruchu nie pozbędzie. To była kolejna spuścizna po tej strasznej wojnie.

- Och, kochanie... - mówił Luke. - W końcu do mnie przyszłaś! Znalazłaś mnie... Nie odchodź, proszę, zostań przez chwilę...

Ben zastanowił się przelotnie, czy przypadkiem jego ojciec nie mówi przez sen, ale szybko odsunął od siebie tę myśl, bo nagle wyczuł wzbierającą w nim falę gorących uczuć - zupełnie jakby ktoś zapalił światło tuż obok. Jego pierwszą reakcją była euforia; miał ochotę się zerwać na równe nogi, wybiec z namiotu i pognać do niej - miał jej teraz tyle do powiedzenia! Tyle pytań, które chciał zadać... Jednak po chwili uznał, że nie powinien tego robić. To były chwile przeznaczone wyłącznie dla jego ojca, nikogo innego.

Ben doskonale wiedział, kto znalazł Luke'a Skywalkera.

Uśmiechnął się, złożył głowę na posłaniu i pozwolił, by łzy spływały mu niepowstrzymany strumieniem po policzkach, dopóki nie upomniał się o niego sen.